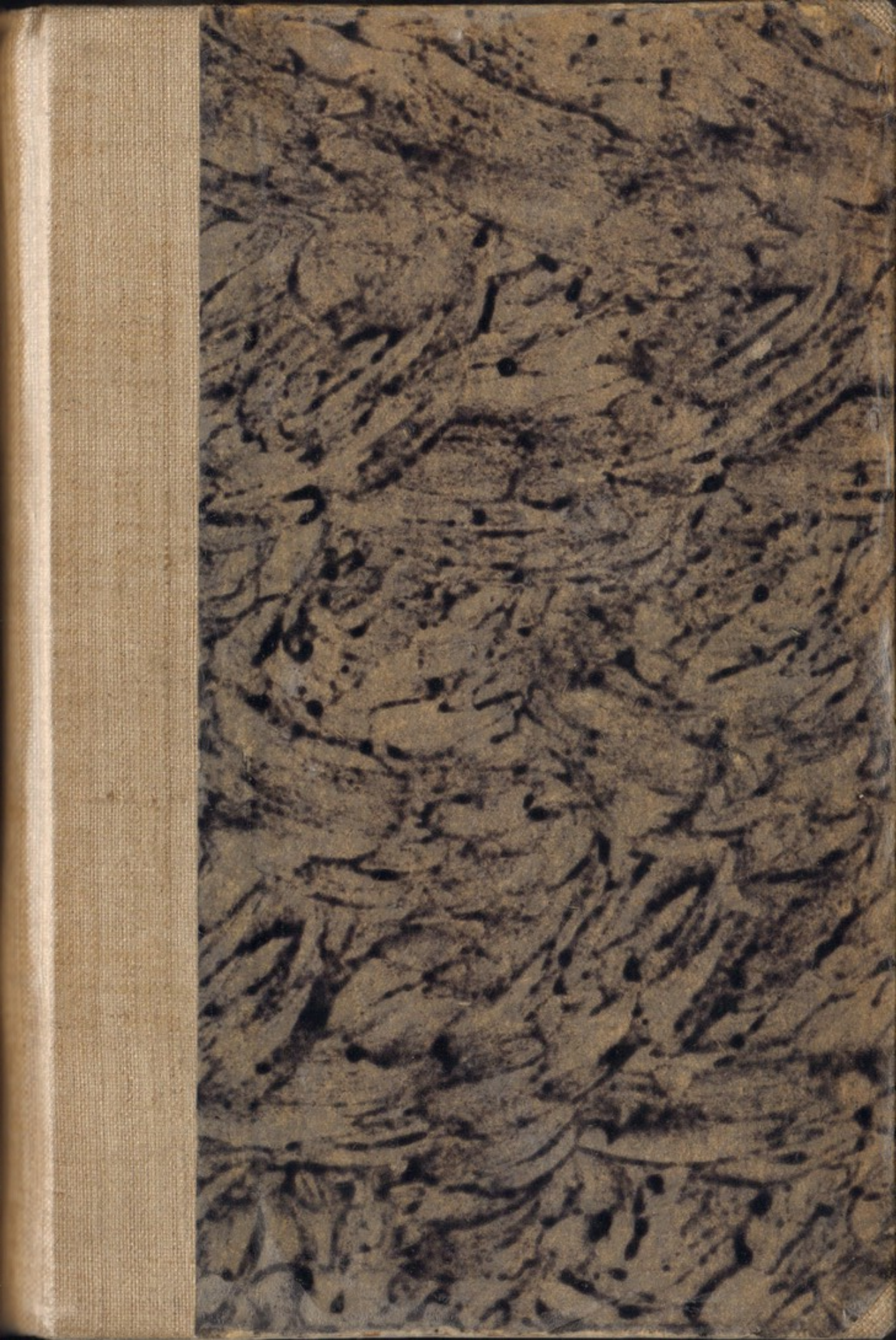

Pr. str. 483-486

WIEK XIX

STO LAT MYŚLI POLSKIEJ

ŻYCIORYSY, STRESZCZENIA, WYJĄTKI

POD REDAKCYĄ

BRONISŁAWA CHLEBOWSKIEGO,
IGNACEGO CHRZANOWSKIEGO, HENRYKA GALLEGO,
GABRYELA KORBUTA, STANISŁAWA KRZEMIŃSKIEGO

TOM IV
WYPISY Nr 463—584

Biblioteka Publiczna
Warszawa - Wola
431
3011--000431-00
O

884(09)

L 183-48

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1908

Bibl. Publ. m. st. W-wy
Neb. 8117

F III 59 IV

Czyt. Naukowa
Nr III
Nr in. C. N. 431/59 IV

431

Kraków 1908. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

Pamięci

Juliusza Słowackiego

w przededniu

Jego jubileuszu

(1809—1909)

LXXIII.

LELEWEL JOACHIM

(1786—1861).

Przodkowie Lelewela po mieczu byli Niemcami i najprawdopodobniej protestantami; pisali się Loelhoeffel, Lelheffel, Lelhövel, Laelhoefel. Sam dziejopisarz w liście do Woelkera, z powodu uchwał Parlamentu Frankfurckiego (1848), wskazuje gniazdo rodziny swej w Wystruciu (Insterburg) w Prusiech Wschodnich. Stąd wyszedł Jerzy Fryderyk, poseł brandenburski w Polsce, za zasługi dyplomatyczne w r. 1713 uszlachcony przez elektora Fryderyka I., z przydomkiem «von Lövensprung». Potomek jego w linii prostej, syn, a może wnuk, Henryk, jest z Lelewelów pierwszym przywiązanym do ziemi polskiej. W latach 1720 do 30 uczy się on u Jezuitów w Wilnie, kończy ich szkoły, wyjeżdża do Niemiec po nauki wyższe, zagląda do Hollandyi, kształci się w Leydzie, wraca z zagranicy już lekarzem, zostaje wkrótce «konsyliarzem i doktorem» J. Kr. Mości Augusta III, i w późnym już wieku umiera w Warszawie d. 10 marca 1767 r., «opatrzony ŚŚ. Sakramentami» («Wiad. Warsz.»). Wnuk twierdzi, «umiał on być wiernym obywatelem kraju, który stał się jego ojczyzną». Żona jego Konstancya Jauch, była również Niemką z pochodzenia, a jak ją określa bliżej tenże wnuk w liście do K. Sienkiewicza z dnia 17 kwietnia 1859 roku, Saksonką, urodzoną ze Szwajcarki Münich. «To prawda — pisze — że jej krewniak Münich za Augusta III uchodził w Warszawie za najgorliwszego patryotę polskiego, ale zawsze był to Szwajcar, a nie szlachcic polski».

Małżeństwo Prusaka z Saksonką wydało Karola Lelewela, który, poduczywszy się prawa i kameraliów ówczesnych w Getyndze, może i na innych uczelniach, choć «nie szlachcic polski», polskim jednak obyczajem rozpoczął służbę swą w nowej ojczyźnie od szarży porucznika dragonii, autoramentu cudzoziemskiego, i w pułku swym dosłużył się stopnia kapitana. Był to człowiek światły, pilny, biegły

w pracy, a nadewszystko prawy. Kiedy Komisya Edukacyjna potrzebowała dobrego i uczciwego dozorcy bieżących wpływów i wydatków swoich, zwróciła na niego oko i przez lat prawie dwadzieścia, od r. 1775 aż do powstania Kościuszkowskiego, Karol Lelewel był jej generalnym kasyerem na Koronę i Litwę, urzędnikiem nieskazitelnym, ścisłym, a gdy było potrzeba, to i twardym. W samym początku urzędowania został szlachcicem polskim: indygenat z herbem pruskim z r. 1713 otrzymał d. 18 marca 1775 r., a potwierdzenie jego ze zmianą nazwiska na «Lelewel» w d. 24 grudnia 1777 r. (*Vol. Legum* VII, 800; Metryka Litewska ks. 220, str. 138). Ceniono go i poza Komisyą: Sejm Wielki uczynił ówczesnego cześnika liwskiego jednym z rewizorów starostw w latach 1790—2; powstanie miało z niego komisarza cywilno-wojskowego. Za zasługi swe otrzymał nadanie w probostwie miechowskiem, zniesione w r. 1793 przez Targowicę. Po upadku państwa osiadł w wioseczce, nabytej jeszcze dawniej w Stanisławowskiem, Woli Cygowskiej, kilka mil od stolicy. Rządy pruskie przeczekał, aby w r. 1807 wychylić się z ustronia i zakrzątnąć około rzeczy publicznej. W latach 1808—15 uczestniczył w pracach Izby, później Dyrekcyi Edukacyjnej (od r. 1811) odznaczył się uporczywą obroną funduszu narodowego. W r. 1816 został radcą stanu w Komisyi wyznań religijnych i oświecenia publicznego, ale niemoc wieku już w r. 1820 oderwała go od ulubionego zajęcia, a śmierć zabrała nazajutrz po wybuchu listopadowym.

I po kądzieli również nie był Lelewel etnograficznym Polakiem. W owym liście do Sienkiewicza, przyznawszy, że w nim «kropli krwi Lecha niema», z surową swoją zwięzłością wyraża się o matce swej († 1837), że miała za ojca «Rusina, a może i Moskala, Szeluttę»; matką tej Ewy z Szeluttów była Antonina Cieciszowska, siostra późniejszego biskupa łuckiego, a następnie metropolity wszech kościołów katolickich w Rosyi († 1831).

Małżeństwo Karola Lelewela z Ewą Szeluttówną miało siedmioro potomstwa; dwoje zmarło w dzieciństwie; dwie córki powychodziły za ziemian: jedna za Nosarzewskiego Podlasiaka, drugą, Marya, bliższa sercem historykowi, za Majewskiego w Pułtuskiem. Z dwóch jego braci Prot, w młodości żołnierz, autor drukowanych już wspomnień o r. 1813 w Niemczech i zalegającego jeszcze w rękopisie ciekawego pamiętnika o Litwie w r. 1812, w r. 1831 referendarz rady stanu, osiadłszy na roli, po wejściu wojsk rosyjskich do Warszawy ocalił przed niewątpliwym zaborem całą pracownię naukową wielkiego swego brata i, przechowując pozostałość w rękopisach i drukach w rodzinnej Woli, strzegąc ich jako drogich pamiątek, po oddaniu wielu manuskryptów do Biblioteki Jagiellońskiej, w 94-tym roku życia, w 1885 r. zmarł. Dla jego-to dzieci Joachim napisał «Dzieje potocznym sposobem opowiedziane». Najmłodszy z braci, Jan, inżenier, podpułkownik wojska polskiego, dzielny stróż posterunku na Pradze podczas obu bitew grochowskich, zaraz, d. 26 lutego 1831 r., mianowany «komen-

WYKAZ WYPISÓW.

LXXIII.

LELEWEL JOACHIM (1786—1861).

Wypisy Nr 463—483.

Str.

A) «Historyka» (1809—1815) 41
a) Historyka (właściwa) 43
b) Jakim być ma historyk 47
B) «Ocalenie Polski za króla Łokietka» (1822) 55
C) «Panowanie Stanisława Augusta» 72
D) «Polska odradzająca się» 76
E) «Uwagi nad dziejami Polski i ludu jej» 80
F) «Wieca Królowej Polski w Sokalu» 105
G) «Co o mnie mówią arystokraci, demokraci i doktrynerzy?» . . . 107
H) Demokracya, arystokracya, doktrynerya 109

LXXIV.

MOCHNACKI MAURYCY (1804[3]—1834).

Wypisy Nr 484—491.

A) «O duchu i źródłach poezyi w Polszcze» (1825) 124
B) «O literaturze polskiej w wieku dziewiętnastym» (1830) 132
C) «Powstanie Narodu Polskiego w r. 1830—31» 143
D) «Pisma rozmaite» (1831—3) 152
O terroryzmie nierozumu i obskurantyzmu politycznego . . . 152

LXXV.

GARCZYŃSKI STEFAN (1805—1833).

Wypisy Nr 492—497.

A) «Wacława dzieje» (1833) 159
B) Wspomnienia z czasów wojny narodowej polskiej 1831 r. 169
W rocznicę (dn. 29 listopada) 169

	Str.
C) Sonety wojenne (1833)	170
Posterunek na stracenie	179

LXXVI.

SŁOWACKI JULIUSZ (1809—1849).

Wypisy Nr 498—580.

A) Sonet (1827)	251
B) Szanfary, ułomki poematu arabskiego (1828)	251
C) Godzina myśli (Paryż 1832)	253
D) Kordyan (1834)	255
E) Balladyna, tragedya w 5 aktach (1835—1839)	268
F) W Szwajcaryi	281
G) Anhelli (1838)	289
H) Lilla Weneda, tragedya w 5 aktach (1840)	304
I) Beniowski (1841)	325
J) Nowa Dejanira (1841)	358
K) Złota Czaszka (1841 ?)	368
L) Tak mi Boże dopomóż (13 lipca 1842)	379
Ł) Ksiądz Marek, poema dramatyczne w 3 aktach (1843)	380
M) Genezis z Ducha (1844)	390
N) Rozmowa z Matką Makryną Mieczysławską (1845)	395
O) Poeta i Duch, fragment	400
P) Samuel Zborowski, dramat w 5 aktach (1845 ?)	408
R) Do autora trzech psalmów	428
S) Król Duch (1846—1849)	434

LXXVII.

TOWIAŃSKI ANDRZEJ (1799—1878).

Wypisy Nr 581—584.

A) Biesiada z Janem Skrzyneckim	472
B) O powinności artysty chrześcijańskiego w tej epoce	476
C) Noty rozmów z Feliksem N. 1866 r.	480

dantem inżynieryi i artyleryi fortyfikacyi Pragi», później inżenierem naczelnym na prawym brzegu Wisły od Modlina, po ostatecznej klęsce narodowej opuściwszy kraj, krótko tylko zabawił we Francyi, udał się do Szwajcaryi i dzięki umiejętności swej, pracowitości i charakterowi, zaskarbił sobie u cudzoziemców takie względy, że go powołali do steru służby inżynierskiej cywilnej w Bernie; wydarła mu go śmierć już w r. 1847.

Z takiego rodu wyszedł największy historyk i jeden z najżarliwszych patryotów polskich. Urodził się w Warszawie d. 22 marca 1786 r., «niedołężny, chimeryk, upornie wymagający, nieutulony i nieuciszony płaksa» («Przygody» str. 1). Pierwsze rozbudzenie się myśli ukazało w niej skłonność do brania wszystkiego na rozum. Kilkoletni zaledwie odziomek nie mógł już znieść tego, aby po piątku nie następował «szóstek», i sobotę też stale szóstkiem nazywał. Żywy, bystry, a pracowity, rwał się do książki i pióra; czytał, rozważał, oceniał, robił wyciągi, pisał. Już w 9-tym roku życia miał w sobie energię pracy naukowej; w 10-tym myślał już o encyklopedyi lepszej od przeczytanej [M i c h a ł a So ł t y k a]; w 13-tym znał już «historyę państw», ostrzegał brata przed błędem co do Tartaryi po Tamerlanie, zaczynał pisać historyą polską, układał «listy królów sarmackich», a jednocześnie redagował sobie fizykę, kreślił figury astronomiczne i niepokoił się o leszcza morskiego i jedwabników. Mając na wsi niebo gwiaździste, zaciekawiał się konstellacyami, wypatrywał je i rozpoznawał. Z zamiłowaniem rysował i malował; pismo miał ładne. Geometryą, arytmetykę, początki algebry chciwie chwytał. Najżywiej i najwytrwalej oddawał się historyi i geografii; przy nich powziął pociąg do map i planów; w 14-tym roku życia z opisu ułożył oblężenie Pskowa. Prot świadczy, że Joachimek już w r. 1801 spisywał pieśni ludowe, krakowiaki; ale rzetelny zwykle świadek, w tym wypadku chyba się pomylił. Naukę domową prowadzili Pijarzy od r. 1795—9 w Woli: Urner, Dąbrowski i Konkowski; w latach 1799—1801 w Okrzei, u Cieciszowskich, Moroz.

Na początku roku szkolnego 1801/2 ojciec zawiózł syna do konwiktu Pijarów w Warszawie. Przyjęty odrazu do klasy trzeciej, wziął się szczerze do nauki, nie był jednak nigdy uczniem celującym — «we wszystkich studyach mierny, ale wymierny» («Przygody» str. 3); jedna tylko gramatyka nie chciała mu jakoś wchodzić w głowę. Nie ubiegał się nigdy o żadne zaszczyty; nie miał nigdy banalnej szlachetnej ambicyi, ale miał zato własne, podniosłe dążenia. Omijała go też godność *duc de l'académie*, zastępująca dawną *princeps juventutis;* nie dostąpił też nigdy dorzeczniejszej już — «sędziego», co najwyżej mógł zostać «deputowanym». Już u Pijarów zamknął się w sobie, zaczął żyć umysłowo, wytykał sobie umysłowe cele. W kl. V. rwał się już do historyi w. XVIII; nieraz już po północy głos księdza prefekta zapędzał go do łóżka. Z historyi polskiej znał Naruszewicza i z niego dopełnił słynne tablice Blaira rzeczami polskiemi. Rzecz prawie nie

do uwierzenia, że już w konwikcie, w r. 1803, myśląc o wielkich studyach, przetłómaczył sobie z francuskiego gramatykę hebrajsko-chaldejską Leusdena.

Ojciec, widząc rzeczywiste postępy, zaproponował młodzieńcowi studya w Królewcu; ale on, lękając się zniemczenia, wolał Wilno: tracił tym sposobem wykłady Krausa. W lecie 1804 r. pojechał z ojcem do Wilna. Jako stypendysta — kandydat do posady nauczycielskiej, wszedł do reorganizowanej pod Stroynowskim akademii. Musiał się uczyć wielu rzeczy wzajemnie od siebie odbiegających, rozstrzelwających energię naukową, ale jako jednostka z własnem prawem, własną żądzą i celem «szukał głównie historyi, a ta wnet mu znikła» («Przygody» str. 8). Katedrę zajmował stary ksiądz misyonarz Tomasz Hussarzewski, człowiek już bardzo wiekowy; pierwszy rok uniwersytetu dla ucznia był ostatnim dla profesora; w r. 1805 opuścił starzec katedrę bez następcy († 1807). Lelewel odrazu utknął; ale rychło sam sobie poradził, kierując się tylko światłem starego emeryta, do którego od pierwszej chwili był przylgnął. Ośmielony przez niego — według długu wyznawanej zasady francuskiej («Przygody» str. 3): «chcesz się czego nauczyć? napisz dzieło» — aby się nauczyć porządku w pracy historycznej, napisał metodykę, która później, w dojrzalszy schemat rozumowy ujęta, wytworzyła «Historykę», poświęconą «Cieniom Tomasza Hussarzewskiego».

Najwięcej wpłynął na Lelelewa-ucznia uczony Groddeck. Wkupił się był w jego łaski niepochopny do języków student zapisaniem się na język i literaturę grecką; przez pewien czas był jednym z dwuch uczniów, dwu jedynych na cały uniwersytet: gorącość naukowa pol ska! Poważny mąż otwierał młodzieńcowi świat nauki, ukazywał jego zjawiska, najnowsze dzieła; od niego zapalił się Lelewel do geografii starożytnej, sięgającej aż w Homera; od niego dowiedział się o «Nestorze» Schlözera, u niego powziął myśl zbicia Bohusza popierającego Herulów jako przodków Litwinów; on mu dostarczał pism erudytów niemieckich. Książki stare, kroniki znajdował młodzieniec stypendysta w księgozbiorze pojezuickim.

W życiu uniwersyteckiem wyższego zakresu żwawo się ruszał W końcu 1805 r. powstało było w Wilnie towarzystwo studentów o uprawy nauk i umiejętności, nazwane później «Filomatycznem» a urzędownie «Tow. doskonalącej się młodzieży». Związek ten, współzawodniczący z trzema innemi, w szczerym trudzie Lelewela znalazł rzetelny czynnik przewagi, którą ostatecznie pozyskał. Lelewel był jego sekretarzem, redagował mu ustawy, zabiegał o członków czynnych i honorowych, odczytywał na posiedzeniach umyślnie dla niego pisane rozprawki, jak np. o «Ostatniem Scytów (!) do Skandynawii przybyciu» o zabytkach run, o «Strom der Zeiten» Strassa, o «Dziejach narodów przed czasokresem chrześcijańskim»; o potrzebie odżywiania wiadomości ojczystej w dziejopisarstwie i wydawania źródeł, zwłaszcza nowego krytycznego wydania Kadłubka i Galla; o koniecznem bada-

niu początków Słowian, i inne. Jak widać z owych Scytów, z «Eddy» (1807) w jej części oryginalnej, z potopu, ciągnącego od południa ku północy, zwykłe u poczynających łowienie ryb przed niewodem kaziło jeszcze pracę poważną. I pojęcia też związane z rozwojem historycznym nie były jeszcze ustalone. Tak np. 18-letni młodzieniec «nie wie przyczyny, co-by dotąd przeszkadzała do jedności kościoła (rzymskiego z greckim). Póki była Polska, polityka nie dozwalała: dziś niewiem żadnej zawady» («Listy do rodzeństwa» I. 13). Oryginalną jest uwaga nad 22 kościołami Wilna (tamże, 29): «Muszą być ludzie źli, kiedy ich tyle potrzebują».

Zwolna z roztworu, dobrze nasycanego przez ustawiczną a coraz porządniejszą pracę, osadzały się kryształy rzetelnej wiedzy. Raz wszczęta praca nad historyą, geografią i geografią historyczną postępowała zwolna, ale ciągle, i miała po kilku latach wydać dwie książki, jakich, z samego już przedmiotu, niewiele było w literaturze europejskiej. Rosły studya nad dziejami ojczystemi, rosły wraz z niemi wyciągi do późniejszych opracowań. Początki, tak nęcące każdego historyka, jak bieguny ziemskie nęcą geografa, nie przestawały pociągać umysłu. Spisywał sobie pieśni i dumy skandynawskie, gromadził abecadła różnych ludów, zbierał teksty słowiańskich, litewskich i innych «Ojcze nasz», pragnął zaznajomić się z językiem syryjskim, nawet z mową Berberów; geografią sięgając w Homera, krytyką wywracał chronologią Biblii i w rękopisie 20-stoarkuszowym układał nową, ze świadectw postronnych (tamże, 100). W Wilnie w r. 1808 zaczął się zaprawiać do sztycharstwa. Jeszcze w konwikcie na jakimś egzaminie uderzył był swoich mistrzów wprawnością w odpowiedziach na pytania o Krzyżakach; teraz w parę lat później, już po upadku potęgi pruskiej, nadarzyła mu się sposobność do napiętnowania krzyżactwa jako rozbójnictwa i łupieztwa dziejowego. W ostrych rysach skreślił do kalendarzyka na r. 1807 historyę pruską, cenzura jednak z połowę jej poumarzała (tamże, 100) — łatwo się domyślić dlaczego jeszcze wtedy Rosya szła jawnie ręka w rękę z Prusami, niezmuszona przez Napoleona do odgrywania komedyi.

Tak «mierny, ale wymierny» w konwikcie, wybijał się na czoło w uniwersytecie, był pierwszym jego uczniem. Imię jego miało już rozgłos a siły wzbudzały wiarę. Zawadzki w r. 1807 zażądał od niego «Dziejów Ojczystych». «Zamiar za wielki — pisze — ale podjąłem się jemu Teodora Wagę poprawić i dokończyć». W czwartym roku szkolnym praca nad początkami Słowian, nad Medami i Sarmatami nakazała mu poważnie uczyć się języka greckiego; nauczył się go tyle, ile potrzebował historyk. Krytykę na Bohusza w tym czasie napisał.

Kończąc swe kandydackie nauki, złożone z fizyki, chemii, matematyki, z języków i gramatyki, której nie przestawał urągać, z miłej sercu historyi i geografii (historycznej), wreszcie z rysunków, z trwogą myślał o «bakałarce 100-dukatowej gdzieś w głębokiej Litwie». (Listy do rodz. 111). Sam był sobie winien, że w r. 1808 jeszcze trwożyć się musiał. Już w r. 1806, w październiku, Czacki, zasłyszawszy o nim,

zaproponował mu był doskonalenie się na profesora historyi w Krzemieńcu. Skromna odpowiedź studenta skwapliwie pochwyciła propozycyę (tamże, 94). Od września 1807 r. miał już Lelewel korzystać ze zbiorów i z przewodnictwa Czackiego, który go zapewniał (tamże, 96): «do szkoły powiatowej użytym nie zostaniesz, tylko będziesz pode mną sposobił się na profesora historyi w gimnazyum», i odrazu zawiązał ściślejszy z nim stosunek, powierzając mu korektę swej rozprawy o Żydach w nowem wydaniu (tamże, 97). Czartoryski zgodził się na zamysł Czackiego. Wiadomo, że podejrzliwość polityczna rządu oderwała w tym czasie wizytatora Rusi od urzędu. Sprawa uległa zwłoce, przez roztargnienie zasłużonego męża niewątpliwie przedłużonej. W sierpniu jednak 1808 r. Czacki, stwierdzając niewzruszoność zamysłu, napisał do uniwersytetu o Lelewela i wciąż przeznaczał dla niego katedrę historyi, ale już teraz z możliwą zamianą na numizmatykę; uniwersytet wydał kandydatowi odpowiednie polecenie.

Zdaje się, że wakacye, spędzone w Warszawie i u rodziców, ostudziły ową skwapliwość; przyszły profesor nie kwapił się już teraz z wyjazdem, przesiedział na Mazowszu kilka miesięcy i dopiero w styczniu 1809 r. do swej Mekki naukowej wyjechał. Pobyt w Łucku, u biskupa, zwiększył jeszcze zwłokę, a gdy wreszcie w początkach wiosny zawitał Lelewel do Krzemieńca, zastał obie katedry, historyi i numizmatyki, zajęte: zaniedbanie z jednej strony wywołało zapomnienie z drugiej. W rozmowie z Czackim, długo wyczekiwanej, już w maju, nie zawahał się protegowany powiedzieć protektorowi, że bardzo źle do Krzemieńca trafił: istotnie, ani katedry nie miał, ani uposażenia. Wizytator chciał go wziąć pod siebie; kandydat wziąć się nie dawał, nie chciał być już więcej uczniem, domagał się katedry po nieudolnym Mirowskim (144—5), przed którego-to Kołłątaj mądre swe instrukcye w «Listach» ciskał jak perły przed wieprze. Stanęło na wykładzie numizmatyki i dozorze gabinetu numizmatycznego. Ciężkiem strapieniem było zamknięcie odświeżanej biblioteki w Porycku; ale po zwłoce Czacki zaprosił młodego uczonego do siebie, pozwolił mu ze zbiorów korzystać, a nawet — wielka już łaska — dał mu do domu księgi i rękopisy potrzebne do poznania starodawnych praw polskich. Zaszczytny list Ad. Kaź. Czartoryskiego, odwołujący od starzyzny do dziejów dostępnych już dla historyi pragmatycznej, a narodowej — list, stanowisko pierwszego w czasie dziejopisa polskiego przeznaczający właśnie Lelewelowi — nie zdołał wytrącić myśli badawczej z jej torów.

W Krzemieńcu, rozgoryczony, nie chcąc «bąków zbijać», przez półtora miesiąca «ciągle pisał nowe dzieła». Po pięciu miesiącach pojechał do Łucka i ślęczał nad «Badaniami starożytności, we względzie geografii» (wydruk. 1818). W «odpoczynku» napisał komentarz nad «Mateuszem, herbu Cholewa» (wydruk. 1811), nie spostrzegłszy niewłaściwości herbu w wieku XII, a choćby jeszcze i za czasów Kadłubka w XIII. W samym końcu r. 1809 wrócił do Krzemieńca. Teraz

już «wolałby tutaj pozostać, niż do Wilna jechać», dokąd go wezwać miano. W nader cennych, człowieka w uczonym odsłaniających listach zwierza się pan Joachim, że w zapusty szalał, a na wiosnę uczył się kadrylów francuskich. Dostał nareszcie w r. 1810 katedrę, aby z niej wykładać geografią Starożytnych; miał czterech słuchaczy. W Krzemieńcu znalazł wielu życzliwych, nawet przyjaznych i zaczął się już z nim zżywać — «grzęznąc chętnie w błocie krzemienieckiem, nigdy nie wysychającem», gdy wskutek nowego ulotnienia się katedry historyi, musiał Ateny wołyńskie na zawsze już porzucić (grudzień 1810). Zabiegliwy ojciec w Warszawie wyrabiał mu jakąś posadę u Łuszczewskiego, w ministeryum spraw wewnętrznych; pojechał więc, ale znowu doznał zawodu; zamiast nauczycielstwa coś w rodzaju sekretarstwa przy ministrze: powołanie niewdzięczne, niegodne takiej siły. Gdyby nie księgi pozwożone z klasztorów, gdyby nie Metryka i nieustająca na chwilę ciekawość i pożądliwość naukowa, mógłby się był wykoleić z toru porządnej pracy i obowiązku. Niezwykły dar oryentacyi, pamięć stateczna a żywa i łatwość pisarska pozwoliły mu w ciągu półtrzecia miesiąca w r. 1813 napisać «Historyą polską do końca panowania Stef. Batorego», grubą książkę o 677 stronicach («Polska» VIII, «Dz.» Żup. T. XIII). Zakończył manuskrypt zapowiedzią dalszego ciągu, ale go już nie napisał i samego manuskryptu nie wydrukował. Zestawiona z «Uwagami» (1854 wyd. zbior. Żup. t. VIII), ta «Historya» wskazuje ogromny odskok, mniej w samym podziale na okresy i ujęciu ich w nazwy, mniej nawet w ukształtowaniu samych faktów, ile w przekonaniach o życiu, zwłaszcza o królach, a nadewszystko w biegunowo przeciwnym sądzie o Batorym, któremu Lelewel, w emigracyjnej dobie myślenia, przypisuje wpływ złowrogi na rozwój wewnętrzny.

Bywając na posiedzeniach Tow. Przyj. Nauk, używany nawet przez nie do posług naukowych, znalazł poparcie w Woroniczu i Berganzonim, a względność u innych; przyjęto do odczytania jego rzecz o «Merkantylnej polityce Kartagów». W r. 1814 ze studyów historyczno-geograficznych, podjętych do «Badań», których opracowywać nie przestawał, wytworzyła się książka «Pomniejsze pisma geograficzno-polityczne». Podawany dwukrotnie przedtem na członka Towarzystwa, teraz nareszcie został przybranym (1815). «Pisma» otworzyły mu wrota i do Wilna. Śniadecki poznał się na nich i wyjednał dla dawnego ucznia zastępstwo na katedrze historyi.

W kwietniu 1815 r. zjawił się Lelewel po raz drugi w Wilnie. Śniadeckiego na rektorstwie już nie zastał. Wykłady rozpoczął w tydzień po świętach (d. 8 maja n. s.); nie wywinął się od uroczystości: zeszła się generalicya uniwersytecka, wypadło czemś większem zagaić. Sięgnął tedy po gotową już dawniej rozprawkę «O łatwem i pożytecznem nauczaniu historyi» i odczytał — sprawił wrażenie. Nie wyrzekł się nadziei otrzymania stałej profesury; dodawał wszakże, iż «same intrygi tu rzeczy kierują» («Listy do rodz.», I 201). Zabrnąwszy już w miedziorytnictwo, sprowadza sobie blachy z Petersburga

do ciągłej kartografii, uzupełniającej pracę nad geografią. Pracuje wiele, kłębią się pomysły, pociąga i życie, słabo obsługiwane przez publicystykę wileńską. Już we wrześniu zagrzewał miejscowego nakładcę i drukarza Żółkowskiego do założenia «Tygodnika Wileńskiego» i sam chciał być «największym jego motorem». Pomysł urzeczywistnił się z początkiem r. 1816 i przez ten pierwszy rok Lelewel był rzeczywiście główną siłą w czasopiśmie. Tu zamieścił w latach 1816—7 «spostrzeżenia we względzie dziejów narodowych polskich» (tytuł już na «Mateuszu»), które w czterdzieści prawie lat później weszły do «Polski W. Średnich». Jako dopełnienie wydanej w r. 1815 w Wilnie «Historyki» ogłosił w «Tygodniku», z r. 1817—8 rozprawki «O potrzebie gruntownej znajomości historyi» i «Jakim ma być historyk» — obie przedrukowane w wydaniu warszawskiem wszystkich rzeczy z metodą historyczną związanych. W r. 1821 napisał «O potrzebie elementarnych dzieł historycznych», z powodu drugiego wydania podręcznika J. S. Bandtkiego. W Wilnie rozebrał «Śpiewy historyczne», krótkie zbiory dawniejsze historyi polskiej, rozprawy J. W. Bandtkiego o prawie polskiem, historyą rzymską Goldsmitha i in. Puszczał się nawet na satyrę; w imieniu «Tygodnika» życzył «Świstkowi» Potockiego zdrowia dobrego, a w życzeniu wydrwiwał tablice chronologiczne Kotowskiego. W listach do redakcyi bronił j o t y, odpędzał ypsylona, upominał się o właściwe formy liczby podwójnej w słowach i rzeczownikach. W całej seryi listów, najczęściej w polemice z «Pamiętnikiem» Bentkowskiego, roztrząsał sprawy literatury: zbijał twierdzenie Królikowskiego, jakoby rymy dali nowożytnej poezyi Arabowie, a bronił zdania powszechniej panującego, że je wydała psująca się łacina; wynosił Floriana nad Kotzebuego; potępiał «Ludgardę», rozwiewając mniemanie o statecznej wierności Polaków dla swych królów; stawał do polemiki z Akademią połocką o Templaryuszów, z duchowieństwem o inkwizycyą, z Jezuitami o jezuityzm Husa i jego stosunki. Zadzieranie z księżmi, a jak się mawiać zwykło, z religią, wyrabiało mu coraz gorszą sławę, aż wreszcie poruszyła się cenzura i trzech listów wcale drukować nie pozwoliła, uwieńczając — jak się zdaje, zakaz konfiskatą, gdyż niema ich w wydaniu zbiorowem, do którego Rykaczewski dość skrzętnie zbierał pozostałości.

Wśród tak żwawej, z obrębu dociekań erudycyjnych wykraczającej działalności, przy dobrem zdrowiu i humorze, nawiedzały niekiedy samotnią uczonego (przy ul. Zamkowej nr. 127) mary szczęśliwości małżeńskiej ale on ich nie przytrzymał, nie wymienił na rzeczywistość. Jak Macaulay nie żenił się, bo «nie miał czasu», tak Lelewel przez namiętność w pracy zanadto już oderwał się był od życia rodzajowego, aby mógł poważnie pomyśleć o własnej zagrodzie rodzinnej. Wykłady uniwersyteckie toczyły się z coraz większem powodzeniem w liczbie i jakości słuchaczów. Na początku roku szkolnego 1815 - 6 (20 września n. s.) miał ich już «huk», t. j. 70-ciu, a w tej liczbie 51 zapisanych; wykładał cztery godziny tygodniowo historyą powszechną,

głównie starożytną. W listopadzie liczba właściwych studentów w jego audytoryum wzrosła do 80-ciu: równie wielką nie mógł się pochwalić żaden z najaktualniejszych profesorów, a on przecież był tylko zastępcą. W tem zastępstwie było mu już w końcu r. 1816 za ciasno. Kiedy Wincenty Bandtke przez ojca zaproponował synowi katedrę w Warszawie, gdzie jeszcze uniwersytetu nie było, Lelewel odpowiedział, że narzucać się nie chce, ani tu, ani tam, ale myśl samą mimo pewnego zniechęcenia się tymczasowością, przyjął nieobojętnie: Warszawa koniecznie mieć powinna nie jednę, ale dwie katedry — jednę dla dziejów rodu ludzkiego, drugą dla dziejów Polski. Sprawa ślimaczyła się jeszcze w marcu 1818 r., kiedy historyk zaczynał już spodziewać się profesury nadzwyczajnej w samem Wilnie.

Z prac naukowych, prócz wspomnionych wyżej, wykończył w tym okresie dopiski i poprawki do Wagi «Historyi książąt i królów polskich» i «Badania starożytności we względzie geografii» z 50 mapami w tekście i obszernym o 19 mapach atlasem, własnego rysunku i rycia (Wilno 1818; 594 str. 8⁰); «Dzieje starożytne», zaofiarowane przez «Mazura Ziomkom Litwinom», wreszcie opracowywał dzieje historyi i jej literaturę («Listy do rodz.» I 293) i zamierzał na r. 1820 dać historyą polską, zapewne ową do Batorego, po doprowadzeniu jej do upadku państwa.

Owa profesura historyi w Warszawie przedzierzgnęła się w bibliotekarstwo czynne, później zaś i w bibliografię z katedry wykładaną; widoki też wileńskie szybko się zmroczyły. Na wiosnę 1818 r. Lelewel zgodził się wykładać w uniwersytecie warszawskim bibliografię, ale jeżył się na myśl, że ma być tylko pomocnikiem dyrektora biblioteki, wówczas jeszcze niewybranego przez komisyą; w lecie przystawał już i na adjunkturę przy Lindym, z tytułem podbibliotekarza; otrzymał przecież tutuł «zastępcy bibliotekarza», gdy Linde został dyrektorem. To, co odrzucał, miało mu właśnie przynieść trwały pożytek w niezwykle rozszerzonej wiedzy i rzetelnych zdobyczach dla rdzennej pracy, która nie przestawała skupiać się w historyi. Podbibliotekarstwu Lelewela w Warszawie zawdzięcza piśmiennictwo historyczne polskie dzieło w swoim rodzaju jedyne, obok dzieł Jerzego Sam. Bandtkiego i Bentkowskiego, stojące własnem swem prawem, choć z nich w części korzystające, z głębokiem wniknięciem w przedmiot, z wszechstronnością i dokładnością nieomal okazową dokonane: «Bibliograficznych ksiąg dwoje». Nigdy-by takiego dzieła, na swój czas, na ówczesną możność syntentycznego poznania bibliografii polskiej, znakomitego, nie było, gdyby nie trzyletnie urzędowanie Lelewela w księgozbiorze warszawskim (Warszawa 1818—1821). Zamiar wydania T. III. pozostał nieurzeczywistnionym, a sam trud bibliograficzny uzupełniły «Dzieje powszechne Bibliotek» (Warszawa 1828).

Znalazło się w Warszawie i coś więcej jeszcze prócz podrzędnej katedry bibliografii, prawie że niezajmowanej: w r. 1820 zgodne przedstawienia dwu wydziałów: prawnego i literackiego wprowadziły Le-

lewela na katedrę historyi powszechnej, w charakterze adjunkta. Wykładał z niej dzieje Europy w XVI i XVII w., zwracając się głównie ku Polsce; w ten sposób, choć niedostatecznie, ułomnie, zaprowadzał sam w Warszawie owe dwie katedry, które za niezbędne w stolicy kraju uważał. Młodzież z początku okazywała się dość chętną; później zaczęła wykłady zaniedbywać; w r. 1821 miał Lelewel zaledwie kilku słuchaczy i dopiero gdy zaczął wykładać teoryę konstytucyi, zwolna zapełniały się pustki w sali wykładów. Dla tego-to kursu w r. 1820 opracował nauczającą «Historyczną Parallelę Hiszpanii z Polską». Zwierzchność uniwersytecka, przestraszona śmiałością samego tematu, zaczęła patrzeć na adjunkta bibliografii zukosa, ale w r. 1821, dowiedziawszy się o zamysłach powrócenia do Wilna, przysłała pod dniem 8 czerwca nominacyą na profesora zwyczajnego, aby taką siłę w Warszawie zatrzymać: nie wpłynęło to na ostateczny wynik propozycyi nadchodzących z Wilna.

Praca książkowa w tym pierwszym i ostatnim okresie nauczycielstwa uniwersyteckiego w Warszawie wydała: «Panowanie Stanisława Augusta Poniatowskiego» jako dopełnienie przerobionego Wagi (1819; 66 str.); rozszerzony z «Dziejów do Batorego» wykład o Zygmuncie Starym. («Ostatnie lata panowania Zygmunta Starego»); rozprawę o Słowianach, napisaną dla Gołębiowskiego do nowego wydania Naruszewicza, objaśnienia udzielone Lindemu do jego przekładu «Kadłubka» Ossolińskiego; «Dzieje starożytne Indyi»; rozbiory wraz z rzeczą o «Andrzeju Ciołku i jego braciach» rozbiory pomieszczone w «Pamiętniku» Bentkowskiego. Książka o przeszłości Indów zjednała uczonemu, przy poparciu J. S. Bandtkiego, doktorat honorowy w Krakowie, a za całą działalność w Warszawie Towarzystwo Przyjaciół Nauk zaszczyciło Lelewela tytułem i prawami członka czynnego (1821).

Ogłoszony w roku szkolnym 1820—1 przez uniwersytet wileński konkurs o katedrę historyi powszechnej, tymczasowo zajmowaną przez Onacewicza, otworzył Lelewelowi widoki ponownego nauczycielstwa w Wilnie. Posłał tam swoją dawniejszą «Historykę», uzupełnioną «Naukami dającemi poznawać źrzódła historyczne» (wydrukowane w wyd. zb. Żup. T. X.); dostał się na katedrę; w środku grudnia był już w Wilnie. Przyjęty otwartemi rękoma, w dniu 25 grudnia (n. s.) dał na uroczystej sesyi uniwersytetu *manum stipulatam*. Kurs miał się rozpocząć dnia 19 stycznia, w dzień sobotni. Wyglądała go z upragnieniem młodzież, z zaciekawieniem całe umysłowo żyjące Wilno, które miało prawo uważać Lelewela za swego. W przeddzień prelekcyi wstępnej Mickiewicz, znajdujący się podówczas w stolicy litewskiej, powitał przewodnika młodych umysłów pięknym listem wierszowanym, gdzie w dydaktykę, wybornie obrazowaną, wplotło się głębokie zdanie: «słońce prawdy nie zna wschodu ni zachodu»... — Polakom szczególniej potrzebne. Entuzyastyczne powitanie: «Imię twoje wybiegło za Chrobrego szranki, między teutońskie sędzie i bystrzejsze Franki» żadnego nie wywarło wpływu na wrażliwość Lelewela. Kiedy w listopadzie

tego samego roku podejmował u siebie na obiedzie autora wydanego już tomiku poezyi, prócz słów «poeta balladysta Mickiewicz» nic więcej o gościu swym powiedzieć nie umiał. W późniejszych latach odrysował jego oblicze na miedzi.

Gdy nadszedł oczekiwany wieczór pierwszego odczytu, tłok, ścisk, tłumy zalegające nawet schody i kurytarze nie pozwoliły profesorowi przecisnąć się do katedry. «Sala wypełniona pod sufit» — pisze w zajmującym liście do ojca z dnia 25 stycznia 1822 r. Na prędce złożono radę i uchwalono przeniesienie się do innej, większej sali. Rozpoczął się pochód przez dziedziniec uniwersytecki. W nowej sali nowy ścisk; «Groddecka dobrze że nie zgnietli»; nawet dla rektora Malewskiego nie było zrazu miejsca. Ostatecznie skończyło się na odłożeniu wykładu do poniedziałku.

W poniedziałek d. 21 stycznia prócz młodzieży i profesorów zeszło się wiele obywatelstwa i księży, i znowu był ścisk. Słowo wstępne i z promienia myśli i ze szczerości wyznania przypadło do serc młodzieży: praca będzie wspólną, a z obu stron powinna być dobrą — nieraz uczeń bywa «ofiarą trudności z nauczyciela idących»; ufność wzajemna umniejszy trudności; historya musi być wszechstronną, musi wszędzie zaglądać, gdzie tylko był człowiek; obowiązkiem wykładu jest nietylko wydobywanie faktów w wierności prawdzie, ale budzenie uczuć, wzruszanie dusz; całą wspaniałość historyi dostrzeżemy wtedy, kiedy ogrom dziejów zestawimy z maluczkością jednostki, choćby najdzielniejszym obdarzonej umysłem; historya powszechna przed innemi ogromnością swą umysł uciska; «żadnego zakątka Europy dziejów nie można traktować bez znajomości dziejów powszechnych». Pełne mądrości — a jakże smutne jest zakończenie: «Losy krajów i narodów nie od samej tylko ich dzielności i błędów zależą, ale od ruchu powszechnego i zmian kultury. Kto wzgardzi tą ogólną rodu ludzkiego działalnością, [ten] dzieje własnego narodu niewiernie odda, a przodków swoich raz próżnem uwielbieniem obarczy, inny raz mimowolnie ich skrzywdzi». W tem słowie wstępnem zwrócił Lelewel uwagę słuchaczy na dzieje miejscowe, litewskie, i zachęcił do pracy nad niemi.

Po odpływie pierwszej fali pozostało jeszcze około 400 słuchaczy — liczba niepamiętna w dawnej akademii; zbliżoną miał później Gołuchowski na filozofii i na pierwszych jego prelekcyach panował lelewelowski tłok. Wilno zaczęło żyć historyą; na wykładach bywały i damy — ku niewielkiemu zadowoleniu wykładającego («Listy» I. passim od str. 186). Do egzaminów stanęło pierwszego roku 130 uczniów, a to było dla nauczyciela milszem od sali przepełniającej się niekiedy tylko wskutek czczej ciekawości. Rok akademicki zamknęła jędrna rozprawa «Ocalenie Polski za Łokietka», dnia 29 czerwca 1822 r.; nastawał rok drugi. W pierwszym wykładał Grecyą i wiek XVI i XVII, teraz roztwierał przed młodzią Rzym i Wieki Średnie. W tym drugim roku 1822—3 miał 200 słuchaczy zapisanych a 300 rzeczywistych: miłość czy miłostka w publiczności nie była przelotną.

W tym roku podjął się Lelewel cenzorstwa, które odrzucił był zaraz po przyjeździe, ale podjął się tylko pod naciskiem, gdy po surowem odpędzeniu prałata Kłągiewicza uniwersyt et znalazł się w kłopocie, a starsi skwapliwie się uchylali. Skorzysta z tego w r. 1831 w Warszawie hrabia Bruno Kiciński, płytki a pyszny, aby rzucić cień na członka Rządu Narodowego (ob. «Kuryer Polski» 1831 ur. 495).

Na rok 1823—4 przypadł ze starożytności Wschód, klasycznym dziś nazywany: Azya Mniejsza, Syrya, Mezopotamia i Egipt, a z wieków nowożytnych XVIII. Kurs trzyletni był całkowitym. Dodawał do niego nauczyciel wykłady metodyczne o historyi i naukach z nią związanych, a nadto z historyą ściśle łączył potrzebną dla samej treści dziejów statystykę, szeroko pojętą, przedstawiającą nietylko liczby, ale same formy życia w instytucyach państwowych, więc np. konstytucye państw. W statystyce liczbowej widział, z Achenwallem, i słusznie — arytmetykę polityczno-społeczną, pokazującą siły i zasoby zbiorowe. Oczywiście, o demografii w owych czasach nie było mowy. Z nauk pomocniczych wykładał stale dyplomatykę, heraldykę i numizmatykę, a nadto zarysowywał koleje dziejopisarstwa. Historyą wraz z uzupełnieniami wykładał przez sześć, statystykę przez dwie godziny na tydzień.

Od samego początku trzeciego roku, od września 1823 r., nad uniwersytetem ciążyła czarna chmura; prześladowanie polityczne zmniejszyło liczbę słuchaczy stałych, wstrzymywało wędrownych; dozór nad wykładami wzmógł się siłami przybywającemi już z zewnątrz. Podczas wykładu o konstytucyi 3-go maja gniewliwie brząkały pałasze. Przygnębienie ogólne działało i na Lelewela; ogarniało go uczucie niemocy i niepowodzenia, nieodłączne od przygnębiających warunków, pozbawiając tego rozpędu, jaki dają swoboda i powodzenie. Ton listów z tego roku pokazuje troskę, stale nurtującą człowieka, o przyszłość instytucyi, o los młodzieży, a również i o własny; w liście do ojca wydrą mu się z pod pióra słowa: «Szczęśliwi, co umierają!», do matki zaś: «Wśród strapień i strapienia bawią» («Listy» 411, 413), gdy chodzi o mniejsze wśród większych. Czasy te opisze kiedyś, w lat niewiele, w zarysie «Nowosilcow w Wilnie» (Warszawa 1831).

Już po uwięzieniach młodzieży i pierwszych krokach przeciwko uniwersytetowi przypadły wybory dziekana na wydziale moralno-politycznym; trzykrotnie obierany, Lelewel, mimo potajemnego nacisku Pelikana, wybór przyjął. To uraziło Nowosilcowa, który, rozpocząwszy od Gołuchowskiego, dążył właśnie do oczyszczenia uniwersytetu z młodych: nakłonił więc ministra do wpisania nazwiska, przepadłego właśnie na wyborach, na miejsce rzeczywistego elekta. Oprócz tego wyboru, dowodzącego przecież hardości uniwersytetu, zaszkodziła Lelewelowi, i jeszcze więcej, wziętość u młodzieży i największa z całego uniwersytetu liczba słuchaczy. Głuche wieści o surowym raporcie komisyi *ad hoc* dochodziły Lelewela w Łucku, dokąd udał się był na wakacye 1824 r. Po powrocie do Wilna we wrześniu ogłoszono mu ukaz z dnia 14 sierpnia (st. s.) tegoż roku a z niego, dowiedział się, że młodzież

uprawiała «nierozsądną narodowość polską», «dla przecięcia zaś szkodliwego wpływu» on sam wespół z ks. Bobrowskim, Daniłowiczem i Gołuchowskim ma być «oddalonym od obowiązków». Pobył jeszcze do końca października, patrzał na wywiezienie Mickiewicza i innych i wrócił do Warszawy.

Trzeci ten pobyt w Wilnie wypełnił Lelewel, poza uniwersytetem, pracą głównie skierowaną na starodawne prawa polskie. Tu opracował i z pomocą Daniłowicza wydał z zbiorów puławskich «Księgi Ustaw polskich i mazowieckich» (1824). W Wilnie również zredagował Księgi Bibliograficzne, a pierwszą z nich wydał w druku (1823; druga 1826;) do trzeciej się zabierał, pomnażając je materyałami prawnemi. Już podczas tych ostatnich pięciu tygodni, które przepędził w Wilnie jako wygnany z uniwersytetu, dorwał się do archiwum Komisyi Edukacyjnej i poczynił wyciągi, w części zużytkowane w Księdze Bibliograficznej drugiej. W r. 1823 posłał do zbioru rosyjskiego «Sewiernyj Archiw» pierwszą część swej recenzyi z Historyi Karamzinowskiej i narobił nią wrzawy w Rosyi. Dobijały się o Lelewela i inne też czasopisma rosyjskie poważne. W obronie Karamzina podniosły się larcze. Wprawdzie opiekun Chodakowskiego Rumiancew komplimentami obdarzał, ale za to przyjaciel historyka Błudow ostrzył pioruny («Listy» I. 409), których łoskotu wszakże wygnaniec wileński już nie słyszał.

Szczęśliwy temperament nie pozwolił mu w Warszawie odczuć ciężkiej krzywdy, jakiej dopuściła się względem niego komisya kwalifikująca go do usunięcia z uniwersytetu. Toż to cała jego dydaktyka w praktyce, kształcąca sobie ciągle metodę i samą treść wykładów, odrazu prysnęła! W kamieniczce ojcowskiej, przy ulicy Długiej nr. 540, cieszył się izdebką dobrze ogrzaną», ale «bez sieni, bez przedpokoju», cieszył się, bo mógł w niej całemi dniami, o ile do jakiego księgozbioru zajrzeć nie potrzebował, pracować, czytać i pisać. A pisał wiele. «Dziennikowi warszawskiemu» z lat 1825—7 dał z nowych prac: «Wiadomość o starych pieniądzach, blizko Płocka w Trzebuniu wykopanych», odczytaną przedtem w Tow. Przyj. Nauk, d. 5 maja 1825 r., a rozprowadzoną dalej w «Objaśnieniu», wszystko z 7 tablicami własnego rylca (w rocznikach z lat 1825 i 6) — poważna podstawa do przyszłej Numizmatyki Wieków Średnich; dalej «Dodatek do dyplomatyki ruskiej Daniłowicza» (3 tabl. podobizn pisma i dokumentów); «O historyi, jej rozgałęzieniu się...». Z rzeczy dawniejszych dał «Dziennik» dostał «Ocalenie Polski za Łokietka», wszystkie trzy przemówienia w Wilnie, wyjątki z nader cennych, «Księgami Bibliograficznemi» nieobjętych «Dziejów powszechnych bibliotek» (1827, os. Warszawa 1828); wreszcie przypiski do rozprawy Al. Mickiewicza «Jaki wpływ prawodawstwo rzymskie na prawodawstwo polskie i litewskie mieć mogło?» Natomiast samodzielnie już wejrzał Lelewel w prawa wsze w «Początkowem prawodawstwie polskiem, cywilnem i kryminalnem», oddanem do «Roczników Tow. Przyj. Nauk» w 2 częściach

(T. T. XIX i XX; T. III «Polska W. Średn.»). Myślał o wydaniu krytycznem Statutu Litewskiego pierwszej redakcyi, t. zw. Gasztolda (1529, promulg. 1530), i gromadził do niego zasoby, teksty i wiadomości. W «Themidzie polskiej» (1829) roztrząsał już sam ów spór od czasów Czackiego wiedzę polską żywo zajmujący, do którego w «Dzienniku Warszawskim» wpłynął był tylko notami. Ze starożytnictwa dał rozbiór wykopalisk w Ruszczy Płaszczyźnie w Sandomierskiem («Pam. umiejętności moraln. i literatury», (T. I str. 287 r. 1830]), dał rozprawkę «Objaśnienie 3 pieniędzy kufickich Sassanidów» («Pam. warsz. umiejętn. ścisłych i stosowanych« T. IV, str. 5 do 29 [1829], z tablicą); nabierał coraz większego rozgłosu, jako numizmatyk, zaopatrywał cudzoziemców w noty żądane. Podjąwszy wydanie owej młodzieńczej «Eddy», miał jeszcze czas wydać zamiast niej, nową zupełnie, a sporą książkę, z zajmującą rozprawą «Powstanie, rozwijanie się i zgaśnienie bałwochwalstwa dawnych Skandynawów, oraz dzieła o niem mówiące» (Wilno 1828). Pracowitym był Długosz, ale siły tak ogromnej w pracy jak Lelewel jeszcześmy nie mieli. Wielostronność historyzmu w niej zdumiewała.

Nagle z historyka wybłyskuje literat, teoretyk literatury. Już nie o jotę mu chodzi, jak ongi w «Tygodniku wileńskim», nie o ortografią wogóle, jak w późniejszych «Uwagach nad pisownią deputacyi ortograficznej Tow. Przyj. Nauk («Pamiętnik warsz. umiejętności ścisłych i stosowanych», T. III str. 24—45 [1829]), ale o poezyą polską, o jej rdzeń: staje do walki z Mochnackim, który w «Dzienniku warszawskim», przez Podczaszyńskiego i przez samego siebie wydawanym, zamieścił był historycznej doniosłości rozprawę «O duchu i źródłach poezyi w Polszcze» («Dziennik warsz.» T. I. [1825]). Lelewel odpowiedział mu zaraz w «Bibliotece Polskiej» 1825 (T. IV. 185—200; «Dz.» Żup. XVIII 137—52). Trzymając mu przed oczyma jego własną tezę, że tylko przedmioty narodowe mogą poruszyć poetę, ale przytem poezya żywić się musi starożytnością pogańską, a nie klasyczną, mitologią północną, a nie rzymską lub grecką, i duchem Wieków Średnich, między innemi i trubadurów, zarzuca mu, że właśnie wtedy, kiedy naród polski powstawał, starożytności słowiańskie nie mogły jeszcze być dla niego dość narodowemi, że mitologia północna nie jest wcale narodową, że trubaduryzm (i truweryzm) musiałby doznać wprzód niesłychanego przetworzenia, zanimby mógł stać się polskim, że nakoniec dotychczasową już poezyą polską ożywiały temata narodowe. Nie widzi Lelewel słuszności w uznaniu nawskróś poezyi romantycznej za idealistyczną, klasycznej za sensualistyczną, pierwszej tylko za twórczą, drugiej tylko za naśladowczą. Głównie uderza na Skandynawizm; w żadnej żywnie sposób przystać nie może na to, «aby mytologia skandynawska w czemkolwiek poezyi (polskiej) przydatną być mogła»: «lepiej Sobieskiemu na polach Elizejskich, niż wśród Walkyryi». Nie są to chyba myśli płoche, nawet dziś, po ośmdziesięciu latach, kiedy już nad

nym romantyzmem huczy nawałnica nowej całkiem poetyczności poezyi.

W tejsamej «Bibliotece» 1825—7 pomieścił Lelewel: «Porównanie Karamzina z Naruszewiczem», z tematu przeznaczone jeszcze w r. 1823 dla zbioru «Sewiernyj Wiestnik» ale napisane dopiero w Warszawie («Dz.» Żup. XVIII), wraz z dodatkami o Ruryku, o Ładodze, Waregach i wojnach Bolesława Wielkiego, oraz rozbiór słynnego Prokosza, Kownackiego, którego był sfabrykował w XVIII w. Dyamentowski. Są prace historyka naszego w «Rozmaitościach warszawskich» 1826, w «Gazecie Polskiej» 1827, nawet w «Motylu» 1829; przypomnieć też wypada «Stan włościan w Polsce» (Gazeta Warszawska 1830, nr. 101).

Uczony staje się popularyzatorem: pisze «Dzieje Polski, potocznym sposobem opowiedziane» (Warszawa 1829; 330 str., 8 min; atlas z 12 mapach, 3 tabl. genealog.). Dzieło to znalazło pokup niesłychany w Polsce, wiecznie chorej na książkowstręt: w ciągu pięciu miesięcy rozeszło się 2000 egzemplarzy. Wydań późniejszych, prawowitych i bezprawnych, całkowitych i obcinanych, rzetelnych i fałszowanych, wraz z przeróbkami, jest do dwudziestu. Prócz 12 map do «atlasu» Reginy Korzeniowskiej (1829) człowiek niestrudzony w pracy zaopatrzył wydawnictwo to w «Opisanie krajów» i «Obraz dziejów polskich». Z pod jego własnego rylca wyszło 14 map składających «Atlas do historyi i geografii starożytnej» (Warszawa 1828).

Taki jest ogromny plon drugiego okresu warszawskiego.

Już wykłady w Warszawie zjednały Lelewelowi wziętość u młodzieży; z Wilna powracał jako jej ulubieniec, rozpalający w duszach młodych, mimo wszelkich ścieśnień, nietylko wiedzę, ale i miłość przeszłości, nauczający je cenić nadewszystko wolność jako najwyższe dobro, a postęp, jako jedyny wyraz życia czynnego zbiorowości ludzkich; powracał przytem jako ofiara polityczna. Zwrócił na siebie odrazu podejrzliwość władz i zaufanie patryotów, dla opinii stał się mężem wybitnym. Nie mogło go pominąć i to grono ludzi, które w podziemiach panującego porządku pracowało nad jego wywróceniem, niecąc miłość ojczyzny, nienawiść ku gwałtom i bezprawiom, pragnienie i wolę lepszego jutra. Wciągnięty w r. 1825 przez Plichtę, późniejszego sekretarza Rządu Narodowego, do Towarzystwa Patryotycznego, Lelewel, po wykryciu spisków Dekabrystów i ich rokowań z patryotami polskimi, stanął przed komisyą śledczą, pod prezydencyą ordynata Zamoyskiego badającą uczestników sprzysiężenia. Dnia 10 marca 1826 r., w obronie swej własnej i zarazem ogółu związkowych, zeznał, że dążeniem ich wspólnem było to, aby w częściach Polski pod obcem panowaniem był utrzymany tensam duch co w Królestwie, aby wszystkie z czasem do Królestwa, posiadającego przecież rząd własny, przyłączonemi być mogły». Takiesamo stanowisko zajął później sąd sejmowy i w samym wyroku z dnia 30 maja 1828 roku i w jego usprawiedliwieniu, nakazanem z Petersburga. Ponieważ usiłowania podjęte

przez Towarzystwo były rzeczywiście bardzo skromne, a poważniejszy charakter wobec kodeksu miały jedynie układy ze związkiem rosyjskim, do tych zaś Lelewel ani pośrednio, ani bezpośrednio wcale nie wpływał: przeto śledztwo skończyło się dla niego pomyślnie — nie wszedł na listę oskarżonych o zbrodnię stanu i nawet nie był dłużej więziony. Cała przygoda podniosła jego powagę i wzmogła popularność, a prześladowanie przez cenzurę, odejmując mu możność dotykania czasów bliższych, opowiadania wypadków z wyrazistością prawdy, nie pozbawiło go przecież tej swobody, jakiej potrzebował badacz przeszłości dalszej, pragnący prace swoje ogłaszać. Widzieliśmy, jak z niej korzystał.

Już w r. 1827 myślał historyk o dostaniu się do sejmu; w roku następnym wysunął swą kandydaturę w powiecie żelechowskim jako ziemianin z Okrzei (Cieciszowskich) i został posłem. Dzięki temu mógł już na zjeździe koronacyjnym w maju 1829 r. położyć nazwisko swoje pod adresem do tronu, upominającym się o zniesienie Artykułu Dodatkowego przywrócenie jawności obrad sejmowych i nadanie całemu rządowi kierunku ściśle konstytucyjnego. O spisku koronacyjnym wcale nie wiedział, nawet już i po zaniechaniu zamysłów. Na sejmie r. 1830 przewodniczył w Komisyi do praw organicznych i administracyjnych. Dnia 24 czerwca, w chwili już bardzo stanowczej, kiedy wątpliwem było czy Izba poselska nie przechyli się na stronę uchwały wydanej przez senat, a zwracającej duchowieństwu dawną za Rzpltej jurysdykcyę wyłączną w sprawach małżeńskich, obszerna a uczona, niezupełnie jednak w torze pracy prawodawczej trzymana, mowa Lelewela dobitnością argumentów swoich wsparła dzielne wystąpienie Wołowskiego, który głównie przyczynił się do odrzucenia projektu, i to nader poważną, nieprzewidywaną większością głosów. Pragnąc raz już ograniczyć samowolę cenzury, ustanowionej poza konstytucyą i wyraźnie ją gwałcącej, spisał poseł żelechowski «Myśl do projektu prawa o wolności druku»; na miejsce urzędu cenzorskiego wprowadzał tu komitet rozpoznawczy, któryby już po swobodnem wydrukowaniu książki, broszury lub artykułu w ciągu roku stanowił, czy nie zachodzi potrzeba pociągnięcia autora do odpowiedzialności sądowej za czyn przewidziany w kodeksie. Blizkie już wypadki miały daleko skuteczniej zabezpieczyć wolność słowa, przez jedenaście lat gwałconą.

Dnia 21 listopada 1830 r. Ksawery Bronikowski, znający się z Lelewelem, wprowadził do niego, jako bibliotekarza Towarzystwa Przyjaciół Nauk, do sali bibliotecznej, dwóch z tryumwiratu kierującego spiskiem, Wysockiego i Zaliwskiego, którzy pragnęli zasięgnąć jego zdania względem przygotowywanego ruchu powstańczego. Wysocki, według własnego sprawozdania, ogłoszonego we wszystkich dziennikach warszawskich, zawiadomił Lelewela o związku wojskowym i blizkim już wybuchu. Na wezwanie: — «Przemów do nas Twoim we wszystkiej Polsce znanym głosem» — otrzymał odpowiedź: — «Naród Polski podziela uczucia wojska; tymsamym duchem co wy tchną

wszyscy dobrzy Polacy. Nie wątpię o pomyślnym skutku waszych usiłowań, jeżeli całe wojsko macie za sobą. Trzydzieści tysięcy zbrojnych ludzi, mających jednę chęć, jedno życzenie, naród cały pociągną za sobą». Ani w tej odpowiedzi, ani też w całem sprawozdaniu, które poniekąd za urzędowe ze strony twórców Powstania Listopadowego uważać potrzeba, niema wcale owej rady «schowania się w cień», która, od Spaziera zacząwszy, zjawia się we wszystkich prawie opowiadaniach. Ale niema też i rady przeciwnej; nie widać niepokoju o to, aby ster ruchu nie dostał się odrazu w ręce niepowołane. Rady usunięcia się w cień spiskowi nie potrzebowali: żaden z twórców Nocy Listopadowej z cienia jej wychylić się nawet nie usiłował, a ze stanowczej, z głębokiem przekonaniem przeprowadzonej argumentacyi Goszczyńskiego («Noc Belwederska») widać, że «schowanie się w cień» było jakby dogmatem samych przywódzców, wcale nie pewnych, zali ów warunek lelewelowski: «jeżeli c a ł e wojsko macie za sobą» — rzeczywiście się spełni. Nie potrzeba zresztą rady, której najprawdopodobniej Lelewel nie dał, aby rolę jego w powstaniu osądzić i roli tej nie pochwalić. Nie okazał się on człowiekiem czynu politycznego; nie zajął tego stanowiska, które jego imię, jego zdolności umysłowe, jego szlachetna bezinteresowność osobista, miłość ojczyzny i sama groza położenia — wymagająca absolutyzmu idei, dobycia wszystkich sił i całej mądrości i uczciwości narodowej — odrazu mu wskazywały. W nocy, w której konał ukochany jego ojciec, mógł nawet wcale nie uczestniczyć w wypadkach, jakby cudem tylko ukształtowanych w ostateczne powodzenie powstania; ale już od pierwszej chwili po niej dał się wepchnąć i wcisnął się sam w jamę bez wyjścia dla energii, któraby rzeczywistą być mogła i chciała. Odrazu pozwolił się spętać wciągnięciem do Rady Administracyjnej, zamiast pomyśleć o wytworzeniu w wojsku, w sejmie i poza niemi stronnictwa wojny narodowej, w jaką powstanie koniecznie zamienić się musiało, jeżeli nie miało zmarnieć. Słabym surrogatem takiego zrzeszenia sił, zdolnego wydać z siebie ster dla celu niezbędny, było Towarzystwo Patryotyczne, gdzie, jak w kombinacyach pierwszych dni grudniowych, Lelewel więcej znaczył swem nazwiskiem niż rzeczywistą działalnością. Nie przestał w niem prezydować nawet wtedy, gdy przez samych założycieli swoich porzucane, okazało się, choćby tylko jako ognisko agitacyi, zbiegowiskiem bądź niedołężnem, małostkowem i nierozumnem, bądź zupełnie bezczynnem, albo też znagła demagogicznem. Raz zabrnąwszy w Radę, usiłującą ze strachu i ludowi warszawskiemu się przypodobać i łaski królewskiej nie utracić, pozostał już do 17 sierpnia, do prezesostwa Krukowieckiego, w sferach rządowych, a będąc jednocześnie prezesem Towarzystwa, które wielkiego hasła na kraj cały wydać nie zdołało — był jakby zawieszony w powietrzu między rządem, do walki o życie niezdolnym, a klubem, na rząd krzyczącym, ale nic więcej nad krzyk niedającym. Prawda, że osobiście, dla siebie, przed wewnętrznym trybunałem swoim był czysty i ani zasad swych,

ani krytyki czynów, wypadków i ludzi się nie zapierał; ale tosamo już, że cały jego rozumny, szczery i gorący idealizm nie zdołał się nigdy, — choćby w częściowym, krótkotrwałym wpływie na polityczny kierunek wojny narodowej — zrealizować, dowodzi, że ani w sejmie, ani w rządzie, ani w narodzie nie dorósł do zadań wielkiej, tragicznie wielkiej chwili dziejowej. Raz jeszcze sprawdziło się na nim właśnie to, że co innego jest myśleć, a co innego działać, że pracownia uczonego nie jest szkołą życia.

Przypominamy tu główne momenta działalności i przygód. Dnia 2 grudnia w delegacyi do Wierzbna Lelewel wespół z Ostrowskim Władysławem stanowił śmielszą jej połowę; Księżnie Łowickiej na jej namowy wręcz oświadczył, żeby się wyrzekła przeciągnięcia już teraz kogokolwiek na stronę legalnego porządku; W. Księciu powiedział, że ruch nie jest buntem wojska, ani zerwaniem się ludu warszawskiego, ale powstaniem narodowem, i radził mu kraj opuścić. Kiedy W. Książę zwolnił już wojsko z pod swej komendy i Warszawa w dniu 3 grudnia miała swój wielki dzień, w nocy razem z Czartoryskim i Dembowskim wytworzył Rząd Tymczasowy, do którego weszło jeszcze kilka innych popularnych osobistości. Rząd ten utrzymał się nawet po zamachu Chłopickiego, ale aż do otwarcia sejmu nic zgoła nie znaczył. Podczas przesilenia dnia 17—19 grudnia Lelewel zachował się obojętnie, lepszego wodza, pomimo dwulicowości, nad Chłopickiego nie widząc; głosowanie za nim w sejmie umotywował tem, że dziś «niewolno otwarcie wyjawić zdania» — bo rzeczywiście Ostrowski jako marszałek zabronił był rozpraw nad atrybucyami dyktatora. Po ulegalizowaniu dyktatury (20 grudnia) Lelewel nie utrzymał się na stanowisku, nie wszedł do tak zwanej Rady Najwyższej Narodowej, ale dostał inne jako zastępca ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego (21 grudnia). Z władzy swej odrazu skorzystał, aby podnieść zgnębiony systematem ociemniania uniwersytet. Zarządził wybór rektora przez samych profesorów, dokonany rzeczywiście w dniu 10 stycznia, radzie uniwersyteckiej zlecił ułożenie nowego statutu, pomyślał o powszechnej ustawie szkolnej i o reorganizacyi samej Komisyi, której przewodniczył, a do której wprowadził Gołuchowskiego, wreszcie zniósł w uniwersytecie mundury; dziwna rzecz jednak, że Zinserlinga odrazu nie wyrzucił. Ruch raz wszczęty w szkole głównej nie ustawał; ale nie był to czas na reformy szkolne. Jako minister doznał Lelewel przykrości tak od urzędników nawykłych do rutyny, jak od Kicińskiego, który publicznie wypominał mu cenzorstwo w Wilnie a w Warszawie świeże wsadzenie brata, Prota, do Komisyi, chociaż ten Prot ledwo tydzień może w Komisyi pobył, zostawszy referendarzem stanu.

Z działalności politycznej Lelewela w obronie dyktatury ulegalizowanej wybija się jego współpracownictwo w delegacyi wyznaczonej przez obu przewodniczących Izbom do napisania w imieniu sejmu manifestu, który przed narodem i Europą uznać miał powstanie za czyn narodowy i wyłuszczyć wywołujące je przyczyny. Lelewel ułożył

własny projekt, i ten posłużył za podstawę do ostatecznej redakcyi aktu, noszącego datę 20 grudnia, ale ujawnionego dopiero w d. 5 stycznia 1831 r. Sprawa manifestu, rozwiązana wbrew woli dyktatorskiej i przed powrotem Jezierskiego z Petersburga, rozgniewała Chłopickiego, zwłaszcza źle go usposobiła względem zastępcy ministra oświaty. Kiedy zatem Dobrzański zadenuncyował Towarzystwo Patryotyczne, mające na czele swem Lelewela, o spisek przeciw rządowi, nie namyślał się długo mąż postawiony u steru losów narodowych i kazał posła żelechowskiego dnia 11 stycznia uwięzić. Opór Bonawentury Niemojowskiego, zastępcy ministra sprawiedliwości, zwrócił swobodę osobistą, a śledztwo prawidłowo przeprowadzone wykazało czczość denuncyacyi. Uwięzienie nie trwało nawet 24 godzin i zwiększyło tylko popularność człowieka.

W pamiętnym dniu 25 stycznia Lelewel miał mowę, z której bynajmniej nie wynika, aby w przekonaniu jego stosunek wytworzony przez powstanie ująć się dał w formułę króla konstytucyjnego w walce z władzcą absolutnym — co przy swej bujnej stylizacyi Mochnacki jako punkt do wierzenia przekazał. Owszem, Lelewel ani w dniu powyższym ani dnia 20 grudnia, ani w delegacyi do manifestu niczego podobnego nie powiedział: a miał przecież dość nieprzyjaciół na to, aby prawda ukryć się nie mogła. Gdy przyszła na niego kolej, głos swój bez namysłu oddał i odpowiedniem przemówieniem poparł; przypomniał był nawet Ostrowskiemu, zagajającemu posiedzenie, przed czterema dniami już złożony wniosek Sołtyka. Po uchwale projektował odezwę do Rosyan i manifest do narodu (wyd. zb. Żup. T. XX).

Kiedy powrót Jezierskiego wraz z następstwami swemi nie pozwolił już Chłopickiemu na dalsze sprawowanie dyktatury, sejm przy ustanawianiu nowej władzy wykonawczej, już stałej, dnia 30 stycznia 1831 r. powołał Lelewela do Rządu Narodowego. Wybór szedł ciężko. Pierwszy turnus nie wydał większości, w drugim więcej od Lelewela głosów otrzymał Barzykowski; historyk był ostatnim z wybranych. Ponieważ przepisano głosowanie na radach rządowych koleją liczby głosów pozyskanych, a Czartoryskiemu wraz z przewodniczeniem przyznano i głos najpierwszy — znalazł się przeto Lelewel wobec prezesa, dwu Kaliszan, Wincentego Niemojowskiego i Teofila Morawskiego, i Barzykowskiego, nietylko zupełnie odosobnionym, ale i znieruchomionym, najczęściej bowiem mógł wtedy dopiero zdanie swe dorzucić do innych, kiedy w zgodności głosów wcześniejszych wytwarzało się już niejako jądro samej uchwały.

W takich warunkach energia Lelewela, niedorównywająca już i tak brzemieniu wypadków i obowiązków dziejowych, zupełnie osłabnąć musiała. Miał też słuszność «Kuryer Polski» (nr. 531, r. 1831), gdy w charakterystyce jego nazywał go «cichym widzem i martwym świadkiem powolnych prac wykonawczych»: tak było w większości wypadków. Zasiadanie w rządzie z prawnej istoty swej konstytucyjnomonarchicznym, a jednocześnie przewodniczenie klubowi, który rzecz-

pospolitą za jedyną formę dla narodu, zwłaszcza w walce, uważał, wygłaszanie zdań, że rewolucya nietylko narodową, ale i socyalną być powinna, wtedy, gdy większość sejmowa lękała się nawet skromnego projektu Biernackiego o oczynszowaniu włościan w dobrach narodowych, mającem ich doprowadzić do własności — czyniły Lelewela wobec kolegów osobistością nielubioną, nawet niekiedy dla niektórych wstrętną, i jeszcze bardziej utrudniały mu zadanie współrządzenia i przyćmiewały jego powagę. Kiedy po klęsce ostrołęckiej, po większej, w skutkach straszliwszej — zupełnego zwichnięcia wyprawy na gwardye, przybycie Skrzyneckiego do Warszawy podsyciło w sejmie ruch o zreformowanie rządu, rozprawy z pierwszych dni czerwca aż nadto dobitnie powiedziały piątemu członkowi rządu, że nie ma już w nim co robić. Nie pomogło wczesne usunięcie się z «NowejPolski» Mochnackiego; nie pomogło rzadkie ukazywanie się w Towarzystwie Patryotycznem: w publicystyce wołano nań, by wyszedł; tensam organ, który nazwisko jego pod tytułem swym stale zamieszczał, teraz, podczas kampanii o zmianę składu osobistego i samej formy rządu, nie zawahał się wezwać go do ustąpienia. «Porzuć, Lelewelu, zawód niewłaściwy, wystąp z zakresu, zbyt dla twoich talentów i duszy szczupłego, powróć na ławę poselską, tyle przez ciebie zaszczyconą» — pisał «Kuryer». Ale on tej roztropnej rady nie posłuchał i właśnie w tejsamej chwili dobrowolnie rozwiązujące się towarzystwo sklejał: rzecz publiczna na jego przynależności do obu biegunów teoretycznych powstania nic nie zyskiwała, a czas upływał, indywidualność się kurczyła, samowiedza nawet, wiara w siebie słabła, idee niespełnione, niewywalczane nawet szczerze, z poświęceniem osoby a wolą działania, szarpały sumienie: od małości czynów malał i człowiek. Wprowadzenie do sejmu posłów z Litwy, popieranie gorące wyborów poselskich z województw ruskich nie mogły jemusamemu zastąpić tej rzeczywistości, po którą sięgał, kiedy wydawał ciche, połowiczne, a może i spóźnione już wówczas (w styczniu) hasło: «Na Litwę!»

Kiedy sejm zabierał się do sprawy włościan, w marcu, Lelewel wydrukował w «Nowej Polsce» (Nr 73) swój projekt nadania im własności. Tu przypomniał, że zaraz po ustanowieniu rządu wniósł był wynagrodzenie żołnierzy wysłużonych ziemią na własność. Sejm uchwalił 10 milionów z dóbr narodowych i oznakę honorową, ale tego było za mało; nie wystarcza też oczynszowanie w dobrach narodowych, zaprojektowane przez sam rząd: potrzeba z góry oznaczyć i niewzruszenie ustalić wysokość kapitału wymaganego przy skupie czynszu; oczynszowanie w dobrach prywatnych zostawić należy samemu obywatelstwu ziemskiemu: podniesione uczucia w całym narodzie dostatecznie poręczają rozpostarcie się reformy z dóbr rządowych na prywatne. Doraźnego zniesienia pańszczyzny bez oczynszowania Lelewel nie żąda. Taki jest jego socyalizm agrarny! Uwłaszczenie żołnierzy powinno być odrazu doskonałem, bez żadnych zgoła czynszów i zastrzeżeń, z prawem własności nieograniczonej; przypadłyby im przestrzenie pozostałe w dobrach rządowych od oczynszowania; największą trudnością jest zabudowanie i zagospodarowanie osad. — Przy powodzeniach wojennych możeby te myśli lelewelowskie przyoblekły się w ciało; klęski po klęskach udaremniały zamysły, dla których powstało nawet było umyślne stowarzyszenie.

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
Wnin 431

Podczas tego zawodu politycznego nie porzucał Lelewel pióra jako historyk. W marcu wydał «Panowanie Stanisława Augusta» (większe), którego wzbraniał upadły systemat, później na wiosnę, «Nowosilcowa w Wilnie»; dnia 9 lipca datował swe «Porównanie Trzech Konstytucyi», ofiarowane członkom sejmu, którzy w tym właśnie czasie najmniej skorzy byli do odczytywania rozumnych, a nawet bystrych spostrzeżeń. W pierwszych dniach powstania zapisywał wypadki i swój w nich udział, i te notaty posłał Podczaszyńskiemu do Paryża, dał też i Mochnackiemu, jeszcze w Warszawie. Scenę ofuknięcia rządu tymczasowego i posłów przez Chłopickiego w dniu 18 grudnia, milcząc o niej, jak sobie przyrzeczono przed sejmem, opisał jednak i również Podczaszyńskiemu do ogłoszenia posłał.

Niepojętem wydaje się milczenie Lelewela na wielkiej radzie polityczno-wojennej, którą nareszcie Bon. Niemojowski wykołatał na rządzie dla naciśnięcia Skrzyneckiego, aby cośkolwiek zrobił — gdy już w samem polu niewiele dobrego do zrobienia było (koniec lipca). Ale się poruszył w dwa tygodnie później, gdy nowa bezczynność nowe obudziła trwogi, a Paskiewicz stał już w Łowiczu; za missyą też do Bolimowa i spędzeniem Skrzyneckiego z dowództwa gorąco przemawiał. Gdy nikt nie chciał objąć spadku, bo ludzi nie było, i Krukowiecki czyhał tylko na pochwycenie władzy, Lelewel ani do zmowy w Towarzystwie Patryotycznem, ani do konszachtów Mochnackiego z człowiekiem złym, zuchwałym i samolubnym nie należał i odrzucał wręcz zostawione dla siebie miejsce w tymczasowym komitecie ocalenia publicznego, który Mochnackiemu, Puławskiemu i Krępowieckiemu szczególniej się uśmiechał. O jego gwałtownem starciu się z prezesem rządu będzie w życiorysie Czartoryskiego. Dziwne jego zachowanie się d. 15 sierpnia, po południu, podczas sesyi rządu w pałacu namiestnikowskim wzbudziło podejrzenie o zmowę z awanturnikami ulicznymi, których prowadzili członkowie Towarzystwa Patryotycznego. Barzykowski pisze jak się ukrył za firanką; Spazier zapisuje jak przez cały czas użerania się z tłumem na progu sali sesyonalnej on jeden, jedyny ze wszystkich, nie ruszając się krokiem, odsiadywał czas starcia przy stole; Dembowski nawet posądzać go każe o czyhanie na życie Czartoryskiego, co jednakże nawet taki Gadon odrzuca.

Nowa dyktatura, prezesostwo ministrów, zmiatając rząd narodowy, zmiotła i Lelewela. Odtąd przez całe trzy tygodnie, kiedy dogorywała walka, gasł duch zbiorowy, powstanie ze świata zewnętrznego wracało do dusz, a ostatnia swobodna siła materyalna z Ramoriną i Czartoryskim odbiegała daleko od Warszawy, poseł żelechowski, jako stały uczestnik sejmu, nie usiłował już nawet oprzeć się losowi, który

wszystkich przepędzał pod jarzmem upokorzenia, bólu i nicości. Tylko jeszcze dnia 7 września, popołudniu, kiedy już Krukowiecki, postanowiwszy poddać się, słał jedne po drugich oddziały wojska na Pragę, a sejm zadać sobie musiał pytanie: co zrobić z samym sobą, Lelewel przemówił silniej przeciwko limicie, kiedy ją zaś odrzucono, poszedł w całym ówczesnym składzie, głównie z posłów złożonym, na wędrówkę do Modlina, Zakroczymia, Płocka, Włocławka, dopóki nie znalazł się w Prusiech. We wrześniu już, nie czekając na przejście całego korpus u Rybińskiego w Świedziebnie (5—7 paźdz.), wyruszył w daleką mroczną drogę.

Przykrą była dla rozbitków z r. 1831 przeprawa przez Prusy, ale już od Elby zaczynał się z północy na południe, ze wschodu na zachód, w Hannoweryi, w Hessyi, w Bawaryi i nad Renem pochód tryumfalny wielkiego nieszczęścia, wyposażonego w potęgę idei, a odczuwanego przez Ludzkość. Lelewel, opuściwszy kraj wraz z Niemojowskim Bonawenturą i Ostrowskimi, jeszcze przed poddaniem się wojska Prusakom, trafił na same dopiero początki serdecznego odczucia, które przejmowało Niemcy filozofów i Schillera. Dnia 29 października był już w Paryżu; stanął w hotelu Rossignol, przy ul. Croix des Petits Champs, na lewym brzegu Sekwany. Zaraz zawiązał stosunki z Buchezem, współwydawcą olbrzymiej «*Histoire parlementaire de la Révolution Française*», w roku 1848 prezydentem *Assemblée nationale*, i z Raspailem, prezesem stowarzyszenia *Amis du peuple*. W pierwszej chwili wszedł do gotowego już zespolenia, które wytworzył był Niemojowski, ale tylko na krótko. Największa emigracya polityczna, jaką świat widział, potrzebowała straży porządku i opieki, a rozżalone uczucie rwało się jeszcze do jedynego, niezatamowanego jeszcze działania: do manifestacyi piśmiennych, tak dla jednania sobie życzliwości obcych jak dla protestowania przeciwko gwałtom w kraju i ścieśnieniom ścigającym rozbitków na obczyźnie.

Około Lelewela skupiła się gromada demokratyczna. Już d. 8 grudnia 1831 r. wybrano władzę tymczasową, a w tydzień potem wprawiono w ruch organizacyą «Ogółu» rozpostartą na całą Francyą pod sterem Komitetu Narodowego Polskiego, z Lelewelem jako przewodniczącym (komitet od ulicy, przy której rezydował, zwano «Taranem»); on najwięcej, on sam prawie wszystko w nim robił. Wszedł też i do zawiązującego się jednocześnie Towarzystwa Litewskiego (później i Ziem Ruskich); powoływały go tu tradycye powstania, inicyatywa w upomnieniu się o przedstawicieli Litwy i Rusi. Nie przystał do Zjednoczenia Dwernickiego, stronił też od Tow. Demokratycznego, powstałego z odszczepieństwa od Komitetu Narodowego i Ogółu. Mając zrazu wejść do projektowanej Centralizacyi wraz z Ostrowskim Ant. i Czartoryskim, oparł się później delegacyi z generałów i Czartoryskiego, bo wyczuwał z niej wpływ na emigracyą sprzeczny z przekonaniami demokratycznemi i patryotyzmem bez interesu. Przeciwko mocyi Fergussona (1832 r.) zebrał z całej Francyi adres do Izby Gmin, bo ideał

Polski całej był mu droższym nad królestwo kongresowe, zresztą już przez Statut Organiczny zdmuchnięte. Gorąco agitował przeciwko legionowi, formacyom algerskim i wyprawom portugalskim. W sejmie, z mocy prawa z lutego 1831 r. zebranym w styczniu 1833 r., uczestniczył dla stwierdzenia ciągłości władzy narodowej. Emigracya wybrała go do komisyi, mającej, już po prawach kwietniowych, wystawić Izbom francuskim okropny stan Polski. Kiedy Francuzi sami zachęcali Polaków do wielkiego 50-tomowego wydawnictwa o Polsce, Lelewel stanął na czele odpowiedniego stowarzyszenia naukowo-literackiego, a Mochnackiego miał za sekretarza. Kiedy emigracya wybierała komitet do zaopiekowania się archiwum sejmowem, które życzliwa Polakom policya w Getyndze, zabrawszy jawnie pod naciskiem Rosyi, potajemnie zwróciła była wychodźcom, wybrała do niego i Lelewela.

On był we wszystkiem, wszędzie, w ustawicznym, jakby młodzieńczym ruchu, coraz bardziej uidealniając swą treść człowieczą, coraz rdzenniej żyjąc tylko duchem, bez żadnej zgoła żądzy osobistej, z doskonałem zapomnieniem o sobie, aż wreszcie zwolna dotychczasowa skromność stała się już ascetyzmem. Mochnacki pisze, że zmizerniał, wychudł; zapadłe oczy z dołów swych świeciły uderzającym blaskiem; zgorzkniał i stał się przykrym w stosunkach. Wygnanie wydobyło z niego radykalizm, który tkwił już w naturze umysłowej dziecka. W kraju oportunista raczej niż ideowiec, nierozpalający się wypadkami, dopóki miały w sobie moc twórczą, na wygnaniu stał się absolutnym, czynnym, prowadzącym innych z energią myśli czystej, nieoglądającej się na rzeczywistość niemocy, na ciężkie warunki życia przedmiotowego — a usposobienie takie z każdym rokiem potęgować się w nim będzie. Teraz ocknęło się serce, w duszy zapłonął ogień: och, czemuż nie wcześniej, kiedy jeszcze wypadki miały w sobie ową moc twórczą! Im głębiej czuł zmarnowanie Dwudziestegodziewiątego Listopada, tem uporczywiej pędził do nowej chwili podobnej, aby nią i żałość i gniew i sumienie własne ukoić. Wiara w lud idealny, w idealną jego potęgę wciąż rosła; zasady demokratyczne, pogłębiając się ciągle, wypierały umysł na nowe drogi, prowadziły go do zerwania z dotychczasowem przewodnictwem szlachty jako stanu wyodrębniającego się z narodu przez samą wyższość stanowiska i środków. Wyobraźnia i uczucie rwały się do jakiejś Nowej Hieruzalem, w którejby niepokalana myśl o ojczyźnie, a nie o sobie, dając czystość duchom, wyposażała je w siłę prawą do czynu dla niej. Nauczyliśmy się cenić historyka, ale niedostatecznie jeszcze odczuwamy bijący od Lelewela-wygnańca czar uczucia. Chcąc poznać duchowe wnętrze ówczesnego człowieka, ukształtować sobie pojęcie o uczuciowo-myślowej stronie jego patryotyzmu, trzeba koniecznie poznać tę gorącą a mocną, bo zawodami jeszcze niezwątloną psychikę żałości i nadziei, którą w Polaku owej doby utrzymywało jasno świecące słońce wiary w jakiś boski świata porządek. Taksamo bez mów listopadowych bez wynu-

rzeń na obchodach i z powodu ważniejszych wypadków, niepodobna byłoby po takim Lelewelu, jakiego się widziało w powstaniu, odtworzyć sobie Lelewela jako syntezy uczuć i myśli całego życia — o Ojczyźnie i dla niej.

Skrzętność jego, pracowitość, zabiegliwość serdeczna w Komitecie Narodowym były niesłychane. On układał podziękowania Węgrom, na które nie zdobył się dyplomatyzujący pod wpływem Czartoryskiego sejm — podziękowania za adres 22 komitatów; on odzywał się do Izraela na ziemiach polskich o sympatyę, współdziałanie i pomoc pieniężną; on redagował adresy do Izb Zachodu; on protestował przeciwko Statutowi Organicznemu; on odzywał się do Rosyan nie jako Polak, ale jak człowiek do ludzi; jego-to listy pobudzały Lafayette'a do upominania się za Polską. Że te wszystkie czyny objawiały, potęgowały rozdarcie wewnętrzne w emigracyi, że jej samej zzewnątrz groziły, a nie przynosiły polepszenia w losie narodu, że jako czyny życia praktycznego były bez znaczenia — to prawda; ale żaden historyk, znający koleje 1831 r. i trzymający wzrok otwarty na naturę ludzką, jak na owo rozdarcie piorunować nie będzie, tak też nie zada sobie pytania: dlaczego psychiczne jedynie objawy realnych owoców nie przyniosły?

Manifesty, odezwy, artykuły w pismach peryodycznych pobudzały naciskowi uległy rząd Ludwika Filipa do ostrych środków przeciwko wygnańcom. Policya paryska, nastrajana przez rząd, tłumnie wypędzała ich ze stolicy, jaknajdalej od niej; wypędziła i wyróżnionego z tłumu Lelewela. Wziął go do siebie Lafayette do Lagrange pod Paryżem, ale gdy przytulony gościnnie przekraczał zakaz i potajemnie wykradał się do stolicy, rząd skazał go na wygnanie do Tours. Tu był już w marcu 1833 r.; doznał gościnności w domu numizmatyka Jouffraina. W sierpniu skazany na zupełne już wygnanie, w pierwszych dniach września znalazł się u granicy belgijskiej w Arras. Odprowadzili go Francuzi, nawet znakomitsi, których pociągała uczoność; policya francuska pozwoliła na pożegnanie uroczyste. W chwili gdy opuszczał Francyą, d. 15 września, zaniósł wymowną protestacyą («Dzieła» Zup. XX 175—87).

Na granicy belgijskiej oczekiwała Lelewela deputacya. Skierowawszy się do Brukselli, wygnaniec bez środków do życia, biedny zupełnie, z ciężarem jeszcze długów, które nań zwaliło przewodniczenie w Komitecie Narod., z brzemieniem potwarzy, która go czyniła złodziejem mienia narodowego, ujrzał się w stolicy Belgii, a szukając sobie mieszkania, wyczytał przy ul. des Epéronniers nr. 56 napis na szyldzie *Estaminet de Varsovie:* tu zamieszka, jeśli jest jeszcze miejsce. Znalazła się izba wolna; najął ją i obrał na siedzibę, która stać się miała dwudziestoletnią; ustąpił z niej wtedy dopiero, gdy dom zmienił właściciela. Nowe mieszkanie wynalazł sobie przy ul. du Chêne nr. 26 i już do śmierci w niem przebył

Konieczność życia zapędziła go do żwawej pracy. Ubrał się w bluzę robotniczą, bo uważał się za zwykłego, ciężko pracującego

robotnika. Szlachetna duma nie pozwalała na przyjmowanie zasiłków. Jak we Francyi odrzucił był zapomogę od koła awenionskiego, jak nie przyjął paru tysięcy franków, wtykanych mu w ręce już na samej granicy przez Francuzów, tak w Brukselli odsuwał wszelkie zasiłki, z jakiemi wyrywał się ten i ów z nawiedzających go rodaków z kraju, i podejrzliwem zawsze okiem patrzał na propozycye nowych wydań lub zakupów z »magazynu« t. j. z nakładów nowych, trzymanych w domu. Trudno o większą czystość i siłę w ubóstwie: mimowoli odpowiadał niemi na oszczerstwa, które zresztą nie jego tylko jednego szarpały.

Wiedzieli już coś uczeni belgijscy o jego studyach numizmatycznych: wciągnęli go nowemi okazami w robotę. Lelewel zapalił się do numizmatyki, zebrał dawniejsze swe opracowania, pozawiązywał rozległe stosunki i w ciągu półtora roku opracował dwutomowe dzieło: *«Numismatique du Moyen Age considérée sous le rapport du type»* (Paryż i Bruksella 1835; 25 tablic folio własnego rylca). Uzupełniają to dzieło *Etudes numismatiques*, za któremi poszło w latach następnych kilkadziesiąt rozpraw, wiadomości i sprawozdań, drukowanych bądź osobno, bądź też w różnych zbiorach zachodnio-europejskich. Zjednał sobie takie imię, że nowo powstałe w lat kilka po ukazaniu się Numizmatyki towarzystwo belgijskie zamianowało go odrazu swym prezesem honorowym. Belgowie żądali od niego, aby im pisał ich historyą; zaraz po wygnaniu z Francyi proponowali napisanie dziejów Niderlandów; Leodyum chciało go ściągnąć do siebie na wykłady, jakieby sobie sam obrał w uniwersytecie. Propozycye takie odrzucał: chciał pracować u siebie myślą i piórem, a nie żywem słowem. Praca twórcza nad dziejami Polski, w oderwaniu od kraju, od zasobów, w części tylko i dopiero w latach 1836—7 odzyskanych, stała się niemożliwą. Mógł jedynie cudzoziemcom dawać nowe, już nie ściśle źródłowe, opowiadania; mógł pozwalać na przekłady książek dawniej napisanych, wreszcie rozważać dzieje w takiej postaci, w jaką się przez dawniejsze studya były ukształtowały.

Oczywiście, że przybywające mu z kraju ważniejsze wydawnictwa poprawiały i rozszerzały jego wiedzę, ale z nich skorzystał dopiero wtedy, kiedy mu się nadarzyła sposobność do zebrania wszystkich pism całego życia o Polsce; tymczasem trzymał się wyżej wskazanych kolei. Pozwolił na przekład francuski »Dziejów potocznie opowiedzianych«, a gdy już wyszły, uzupełnił je »Polską odradzającą się«, porozbiorową (Bruksella, 1836 r.), przeznaczoną dla dzieci, ale posilną i dla starych. Ułożył nową Historyą polską, która miała jako oryginał ukazać się najpierw w Londynie po angielsku, ale rzeczywiście wyszła po francusku jako *Histoire de Pologne* (Paryż 1844 2 t. ob. Bibliogr.). Dla Bobrowicza opracował do 10-tomowego wydania »Herbarza« Niesieckiego wykazy urzędów i urzędników, dostojeństw i dostojników, z których skorzystał Sienkiewicz przy opracowywaniu wstępu; zasilał *Pologne illustrée* Chodźki, *La Pologne et les Polonais* Straszewicza; opracował ciekawy pamiętnik podróży po Polsce i Litwie

(Guilbert de Lannoy); wkońcu zabrał się do wydania zbiorowego, które podjął ostatecznie Zupański. Wtedy dopiero, po roku 1840, zaczęła się nowa praca poznawcza i krytyczna nad dziejami Polski, zwłaszcza jej średniowiecza. Wydanie ciągnęło się powolnie. Rzut oka na Pierwotne dzieje Polski, Wstęp Krytyczny Bielowskiego pobudziły badacza do opracowania ogromnego tomu »Narody na ziemiach sławiańskich przed powstaniem Polski«. Najważniejszą, do dziś dnia niewyblakłą pracą rozważającą dzieje, były po francusku pierwotnie napisane *Considérations* (ob. wypisy), które jako »Uwagi nad dziejami Polski« weszły do zbioru »Polska, dzieje i rzeczy jej«. Jest to książka obfitująca w zestawienia, spostrzeżenia i z faktów wysnuwane wnioski, dająca przytem całkowity pochód dziejowy narodu z punktu widzenia demokratycznego, przy którem los ludu zajmuje piszącego nietylko ze względu na uczucia humanitarne i należyty układ społeczny, ale i z powodu tego nieukojonego niczem prawa życia, które każdemu narodowi nakazuje odnawiać się, rozrastać i potężnieć od dołu — z pokładów ludowych.

Już podczas pracy nad wydaniem dzieł powrócił Lelewel do swej od młodości ulubionej geografii. Wystawił był już wiedzę geograficzną Starożytnych jeszcze w Wilnie; teraz zabrał się do Wieków Średnich. Rozpocząwszy pracę przed r. 1848, już w r. 1849—50 wydał dzieło drukowane, które w edycyi powtórzonej rozrosło się w cztery tomy (Bruksella 1852), objęło świadectwa i pojęcia 89 geografów, a wzbogacone atlasem o 50 tablicach i licznemi objaśnieniami rysunkowemi przy tekście, przedstawia całość wspaniałą. Wszystkie mapy, plany, widoki rył sam autor na miedzi, niczyim rylcem się nie wyręczając; zdumiewa tu już sam ogrom pracy.

Ciężkie znoje naukowe nie odrywały Lelewela od życia, od polityki, od obchodów narodowych pamiątek, od kołatania do gorętszych żywiołów rewolucyjnych Europy, do jełczejącego w niewoli patryotyzmu polskiego. Mowy listopadowe, miewane osobno do Belgów, osobno do Polaków, rokrocznie aż po r. 1848, świadczą przekonywająco o tej tęsknocie do kraju, tem rwaniu się do pierwszej nad nim jutrzenki, które stały się namiętnością wygnańca. Z tych mów najwybitniejsze są: z r. 1843 o potrzebie opierania się na samych sobie; z r. 1844 o potędze uczucia, ujętej w słowa: »Serce jest ostatnią i jedynie niezdobytą twierdzą każdej narodowości«; z r. 1847 o »świętej miłości ojczyzny«, wzbijająca się na wyżyny poetycznego uniesienia.

Z rewolucyą europejską w ścisłym stał związku przez Młodą Polskę, do której odrazu w r. 1834 wszedł. Jego głównie staraniem Komitet tego zrzeszenia przeniósł się do Brukselli i od d. 20 grudnia 1835 r. aż do upadku w r. 1836 rezydował. Nowe Zjednoczenie, teraz już wybitnie demokratyczne, zastąpiło Młodą Polskę. W programacie jego znalazły się cztery punkta lelewelowskie: usamowolnienie ludu, uwłaszczenie go, nieograniczona swoboda wyznań, powszechne wychowanie narodowe. Towarzystwo to nie było dość spoistem, tak, że w r. 1843 trzeba je było nanowo organizować, a gdy po powstaniu krakowskiem wpłynęły do niego żywioły postronne, nawet zachowawcze, Lelewel, stojący na jego czele, musiał je rozwiązać (d. 11 lipca 1846 r.). Już wtedy z Nocą Listopadową współzawodniczył dzień 22 lutego 1846 r. Obchód pierwszej rocznicy zgromadził samych Polaków i trochę tylko cudzoziemców, ale na drugim ci przeważną już grali rolę. Stanął na nim sojusz z demokracyą rewolucyjną, z rodzącym się neosocyalizmem europejskim, który w manifeście krakowskim dostrzegł punkt styczny Polski teraźniejszości z Europą przyszłości. Stawili się na uroczystość prócz Polaków i Belgów Niemcy i Francuzi, zjechali Marx i Engels, przybył i Bakunin. Lelewel stwierdził wspólność dążeń, wyraźnie jednak po stronie uniwersalnego przewrotu dla celów swoistych socyalizmu nie stanął. Czy podpisał manifest komunistyczny? Autentycznego aktu z jego podpisem dotychczas nie ogłoszono. Na osiem dni przed tym obchodem odbył się inny, zadzierzgujący dobre porozumienie z rewolucyonistami rosyjskimi. Przemowę Lelewela do Bakunina znamionuje powściągliwość, zaostrzona jeszcze przypomnieniem wszystkich krzywd i cierpień Polski. Widać ją i w liście do Herzena podczas wojny krymskiej, z d. 6 sierpnia 1855 r.

Przez cały czas zamieszkiwania w Brukselli Lelewel był ogniskiem miejscowej gminy demokratycznej. Jakim sposobem stać się to mogło, że ta gmina uchwaliła zastąpienie barw narodowych trójkolorowemi — nie wiemy; ale samego faktu nie wolno uzupełniać domysłem, że w kierowniku zrzeszenia uniwersalizm przytłoczył wyindywidualizowane uczucie polskie: właśnie, jeżeli co odpychało go od Tow. Demokratycznego, to zbytnie jego pochylenie się ku uniwersalizmowi, a ten wstręt był stałym i nie znał żadnych falowań. Prawda, że w »Wiecach królowej polskiej w Sokalu« padają słowa bardzo już ostre na szlachtę, że M. B. Poczajowska wyrzuca innym, iż cuda swe czyniły dla Polski szlacheckiej, że w haśle »kozak i wolność« dźwięczy groźba zerwania niepodzielności narodowej, a wezwanie: »Nie podnoście unii Brzeskiej, nie występujcie z katolicyzmem« może razić uczucie nawykłe do wyznania najpowszechniejszego w Rzeczypospolitej; ale w tej najradykalniejszej manifestacyi ducha lelewelowskiego rozlega się zaraz hasło: »Niech szlachta złączy się z ludem!« i ono jedno wszystko już wyjaśnia: chciał Lelewel ujrzeć nareszcie szlachtę na stanowisku ogólnie-narodowem, a do ustroju przyszłej Polski dopuszczał ideę federacyjną.

Na sprawy krajowe nie zamykał oczu. Wiedział, co się w kraju działo we wszystkich trzech dzielnicach i nieraz głos zabierał. Wystarczy tu przytoczenie sprawy żydowskiej po wyzywającym artykule »Gazety Warszawskiej«. Mylą się dziś Żydzi, uważając Lelewela za judofila. List do Merzbacha każe Żydom przedewszystkiem być Polakami, przygarnia i osłania tylko tych, którzy się garną do Polski i polskości, gani nawet krewkich mścicieli zniewagi za zbyt energiczny odwet

na Lesznowskim. Polskości wymagał Lelewel tak bezwzględnie, że nawet talmud chciał ujrzeć w przekładzie polskim i dziwił się, że Żydzi przez tak długi czas spolszczenia nie dokonali.

Wielkie współczucie — można powiedzieć: i cześć — które Lelewel od Belgów odbierał, po wypadkach lutowych i kwietniowych 1861 r. wyrwały z ich piersi entuzyazm, zamanifestowany w tłumnem zgromadzeniu się przed jego domem w d. 18 kwietnia. Schorzały już bardzo, nie miał siły na odpowiedź dość donośną; dlatego nazajutrz nadesłał podziękowanie na piśmie. Wieje z niego smutek przerażający— jakby ból przeczucia, jakby jęk bezdennej rozpaczy. »Cierpienia Polski, pisał, wzruszyły wasze serca i waszego ducha obywatelskiego, i chcieliście podzielić naszą boleść, kiedy cała pomyślność jest przed wami. Używajcie jej, bądźcie szczęśliwi i nie zapominajcie o nas, gdy już nie będziemy na tym świecie«. Była to już ostatnia manifestacya jego ducha. Przychodziła śmierć.

Owa duma szlachetna skazywała samotnika na życie nędzarza. Obliczył był sobie, że człowiekowi niezbytkującemu 700 fr. na rok wystarczyć powinno — byle tylko »na kęs chleba i świeczkę» — do pracy. Z początku nie wydawał więcej, później podniósł budżet do 1000 fr. Niejednemu z Polaków zachodziło oko łzą na widok ubóstwa, z którem przecież walczyło bogactwo w ustawicznie gromadzonych nowych drukach i odzyskanej nakoniec, dopiero w r. 1848, reszcie zbiorów pozostawionych w kraju; ale sposobu na zasiłek nie było; starzec strzegł się podejścia. Jednemu tylko Waleryanowi Krasińskiemu udał się podstęp z ową historyą angielską, udawał się na krótko przed skonem Drowi Gałęzowskiemu. Złodziej-milioner, demokrata-antychryst, otulony w zrudziały płaszcz, sam kupował sobie na targu niepierwszej świeżości ryby morskie, mleko od włościanek, niekiedy kilka jaj, nie zawsze miał świeżą bułkę w domu, a gdy w dnie mięsne przypadła kolej na zmianę, szedł do jatki rzeźniczej i kupował sobie siekaninę zwaną *fricandeau*, z ochłapów mięsa wytwarzaną: i to już była uczta milionera.

Przy sposobie życia bez ruchu i żywienia się bez posiłku słabnący coraz bardziej organizm musiał pochylić się ku grobowi. Stan zdrowia już w r. 1853 był tak niedobry, że starzec, w przewidywaniu śmierci, napisał testament, na krótko przed skonem uzupełniony zaczętym dopiero kodycylem. List do siostry Majewskiej, d. 2 maja 1861 r., daje prawdziwie okropny obraz nędzy i niedoli fizycznej. Kiedy Gałęzowski, dowiedziawszy się o zupełnym już upadku sił, przyleciał do Brukselli, aby chorego z sobą zabrać, a uraczywszy go już «buteleczką wyborowego bordeaux», potem jeszcze «napoczął z nim Xeres» — uparty starzec zabrać się nie dał: są przecież *Garde-malades* i w Brukselli i kuracya tu tańsza! Ale w trzy tygodnie później dobry człowiek zjawił się ponownie, gwałtem już porwał umierającego anachoretę do Paryża i umieścił w Maison de Santé na Faubourg St Denis, gdzie d. 29 maja o godz. 7-mej zrana przyszła po wielkiego historyka

śmierć. Nie stało się zadość jego ostatniej woli: nie zawieziono go na cmentarz »jednym tylko koniem«, nie »wrzucono go w jamę«, nie opędzono kosztów pogrzebu »dziesięcioma«, a najwyżej »dwudziestu pięciu frankami«; ale w przystających do takiego zgonu formach, całą pośmiertną oddano przysługę. Dnia 1 czerwca po egzekwiach w kościele św. Wincentego à Paulo złożono zwłoki na Montmartre. Przemówił nad niemi w imieniu Instytutu Ludwik Wołowski, w imieniu ludu francuskiego robotnik w bluzie i sabotach, Chabaud, od żydów — rabin z Portugalii. Na domu, w którym nieboszczyk przeszło 20 lat przemieszkał, municypalność pozwoliła wmurować tablicę pamiątkową, z napisem w pięknej łacinie (»Dzieła« Żup. X). Polacy dotychczas jeszcze nie postawili wielkiemu współrodakowi swemu pomnika w życiorysie i poważnym naukowym obrazie niezapomnianych jego trudów i zasług.

BIBLIOGRAFIA.

I. PISMA LELEWELA. **A) Druki.** a) W latach 1846—68 wydał Żupański w Poznaniu przez samego Lelewela wybrane, poprawione, dopełnione i w druku dopilnowywane pisma dotyczące dziejów Polski, z dodaniem niewielu innych historycznych, jakoteż rozbiory i krytyki, pisma drobne, zaczynając od młodocianych, wreszcie zagajenia uniwersyteckie, odezwy, mowy i pisma pomniejsze polityczne, prawie wyłącznie z emigracyi. Wszystkiego zebrało się 18 tomów, ale ich liczbowanie porządkowe z powodu zostawienia tomów XIV i XV na »Bibliograficznych ksiąg dwoje«, które wydanie ostatecznie pominęło, ciągnie się do dwudziestki. Całość rozpada się na 6 działów: T. I »Narody na ziemiach sławiańskich«; II—V »Polska Wieków Średnich«; VI—XIII i XVI—XVIII »Polska, dzieje i rzeczy jej rozpatrywane przez...«, XIX »Rozmaitości«; XX «Mowy i pisma polityczne». T. XVI niewłaściwie do Polski wliczony, obejmuje z wiedzy i stosunków powszechnych «Dzieje bibliotek» i «Dzieje geografii i odkryć». Od T. XIII wydanie prowadził Erazm Rykaczewski z rzetelną starannością i pracowitością, którą widać szczególniej w dopełnieniach do T. XVI w T. XVII i XVIII mieszczą się «Rozbiory» (dział 6-ty). Całe to wydanie oznaczamy nazwą «Dzieła». («Dz».) Ważniejsze przedmioty wyłuszcza następujący wskaźnik (cyfra rzymska oznacza liczbę porządkową tomu): Akielewicz, jego krytyka żmudzkich i litewskich bogów X; Alanie I; Ammiana Marcellina, Opis Europy półn. I; Annalista krakowski II; polski II; Anonyma mała kronika w Puławach II; Anonym szląski II; Aryjskie języki, europejskie i azyatyckie, ich podobieństwa I; Aryjskich i irańskich słów odmiany I. — Bakunin, przemowa do niego XX nr. 92; Baltyckie pobrzeża I; Bandtke J. W. ob. »Jus polon.«; Bawarski geograf (Slavia) I, jego winulska słowiańszczyzna II; Bartnictwo ob. Polska; Baszko Godzisław II; Batory ob. Polska (Historya), w dziejach XX (Korona polska i jej królewskość); Bibliotek historya XVI; Bielowski Aug. V (Ostatnie pojrzenie na Polskę W. Śr.), ob. Pol-

ska; Bolesław Śmiały i pomnik Ossyacki III, jego upadek III; Bolesława W. Zdobycze III; Bolesławów Grobowe napisy i grobowce w Poznaniu i Ossyaku III; Brunona Żywot św. Wojciecha II; Bruksella, ob. Lelewel. — Celtów praojciec I; Chazary I; Chronografowie (Czasownicy) polscy i ruscy II; Czud I. — Dacya I; Dakowie I, jedni z Wenedami I, Słowianami I; Daniłowicz X (Dodatek do pisma D-a o bibliotece Tołstowa), ob. Polskie prawodawstwo; Dalmacya I; Długosz, pisarze dziejów przed nim II, jego księżostwo III; Dombrówka kron. II; Dzirzwa czyli Mirzwa, sprostowanie II; Dostojności ob. Polska. Edrisi nubejski o Polsce III, wydanie jego paryskie III; Elba ob. Odra; Europy półn. opis u Ammiana Marcel. I. — Finni I; Franciszkanin mnich II; Frankfurt u Łotwaka II; Frankfurcki parlam. XX nr. 95 i 6; Gallowie I; Gallus II, o Polsce III; Geograf bawarski I, II, III, nubejski I, III, Masudy III, geografii i odkryć Historya XVI; Getowie I; Gniezno drzwi kościelne V; Gołębiowski Łuk., notaty dla niego II; Gomer, praojciec Celtów I; Gruber, odkrywca Łotwaka II; Grzywna, ob. Polskie prawodawstwo (Zabójstwo)) V. — Helcel, ob. Polskie prawodawstwo; Helmold, o Polsce III; Henryk Brod. ob. Polskie prawodawstwo (Oszczerstwo) V; Herby, ob. Polska; Heruli I; Herzen, list do niego XX nr. 100; Historyk, ob. Nauki; Hiszpania, Histor. parallela z Polską VIII; Hunni I. — Illyrianie I; *Inculpatio nobilitatis* V; Iran, ob. Aryjskich. — Jagielloński ród w dziejach Polski i Rusi X; Jeubert Amadeusz, wydawca Edrisiego III; *Jus polonicum*, krytyka wydania, V. — Kadłubek, o nim II, zestawiony z Mateuszem II; Kanaparza żywot św. Wojciecha II; Kasztelanowie ob. Polska; Kmiecie VII, i Lechici VII, ob. Włościanie, Zlechcice; Kmiecy stan ob. Stracone obywatelstwo V; Konstanty w. ks., rozmowa z nim i umowa w Wierzbnie XII; Konstytucya 3 Maja XX, konstytucyj polskich trzech Porównanie XII; Krakowski annalista II, uniwersytet, ob. Polska (oświecenie, nauki); Kronika węg.-polska, mała w Puławach II, Kronikarze II, ob. Gallus; Kufickie pieniądze ob. Pieniądze; Kultura, ob. Polska; Kuropatnickiego rękopis i Dzirzwa II. — Lechia ob. Polska; Lechici (Zlechcice) VII; Lelewel, wykreślany przez Szaniawskiego II, przymówienie się na sesyi detronizacyi XII, Przygody w poszukiwaniach VI, użycie notat przez Mochnackiego XII, Co o mnie mówią arystokraci, demokraci i doktrynerzy XIX, Uprzednia myśl przed Uwagami (ob.) VII, spis dzieł różnemi czasy ogłoszonych X, testamenty XX, napis na kamienicy w Brukselli X; Leszczyński St. prześladowany przez Szaniawskiego II; Lettoni I; Linde, przekł. Kadłubka i inn. II, notaty mu udzielone II; Litewskie narody X, Litwa (spis bogów żmudzkich i lit.) X, ob. Polska, Litwy i Rusi dzieje X, Lud niewolny V. Łokietek, Ocalenie Polski V; Łotysze I. — Maciejowski, Mój i A. W. M-go trud V, polemika z nim V; Mazow. ustawy ob. Polskie prawod.; Marka ob. Polskie prawodawstwo III (zabójstwo); Masudy geograf III; Mateusz, Uwagi II, tekst II, autor 3 ksiąg II, zmyślenie wojny Bolesława Śm. z ludem III; *Meydeburgense jus* ob. *Vocabula*, Polskie prawod. V; Mirzwa II;

Mnich Franc. II; Moneta polska X; Morawa (Slavia) I; Mowy i pisma polityczne XX. — Nadworne dostojności i urzędy IX; Napis na kamienicy ob. Lelewel; Nauki ob. Polska; Naruszewicz, przeciwko niemu I; Nauki dające poznawać źródła historyczne X; Nestor II; *Nobilitatis inculp.* ob. Zarzucenie szlachectwa V; Nowosilcow w Wilnie XII. — Odra, między O-ą a Elbą wytępienie bałwochwalstwa i Słowian II; Ojcze nasz I; Ossyak, grobowy napis i grobowiec Bolesł. Śmiał. III; Oświecenie ob. Polska. — Pannoni I; Parallela VIII; Piastowie, pieniądze V; Pieniądze stare Kufickie, Samanidów ob. Trzebuń X; Piśmiennictwo ob. Polska; Płockie drzwi kościelne V; Polska: abecadłowy rozkład VI, Dostojności i urzędy nadworne, ziemskie, wojewody, kasztelani IX, grody, zamki III, handel, przemysł, zmiany towarzyskości III, herby II, w Polszcze IX, Historya Polski XIII, kultura, nauki, ich stan (do atlasu Reg. Korzen.) VI; Lechia i jej podziały III, Litwy i Rusi Dzieje X, Narody na ziemiach sławiańskich przed powstaniem Polski I, ostatnie pojrzenie na Polskę w. śred. V, oświecenie i nauki aż do wprowadz. druku V, Pojedynki w Polsce IX, Pszczoły i bartnictwo IX, Uwagi nad dziejami P-i i ludu jej VIII, Parallela Hiszpanii z Polską VIII; Polski i Słowian cześć bałwochwalcza II; Polski sąsiedztwa opisanie za czasów Bolesława Krzyw. III, dziesięciu upłynionych wieków chronologia VI, Dzieje potoczne VII, polski annalista II; Polskich krajów opisanie udzielone do atlasu Reg. Korzen. VI; Polskie prawodawstwo cywilne i kryminalne IV, Krytyczny rozbiór prawod. do czasów Jagiel. IV; Krótki rozbiór prawodawstwa wiślickiego IV; Polskie prawodawstwo: małżeństwa, śluby, rozwody VI, porządek sądowy V, puścizny V, prawo rycerskie V, rozpatrzenie niektórych względów i punktów V, prawne wyrazy i zakończenie V, siedmnadziesiąta V, konstytucye łęczyckie Kazimierza Sprawiedliwego V, Zabójstwo, odcięcie, rany, uderzenie (Helcel) V; Polscy Chronograf. II, królowie (związki ich z Niemcami) III, tytuł królewski III, Polskich królów grobowe pomniki X, dziejów obraz VI; Poniatowskich familia królewska XI; Potocki i geograf bawarski I, jego genealogia Słowian I; dwu powstań Narodu polskiego 1794 i 1830 Porównanie XI; Poznań, grobowy napis i grobowiec Bolesława W. III; Prawda Ruska V; Prawo o małżeństwach i rozwodach w r. 1830 XII; Prawo rycerskie ob. Polskie prawodawstwo; Pruskie i litewskie bałwochwalstwo w stosunku do słowiańskiego II; Prylwickie bałwany II; Przygody, ob. Lelewel; Pszczoły i bartnictwo, ob. Polska; Puławy, ob. Anonym II. — Rifat, praojciec Słowian I; Rocznikarze ob. Annaliści; Rok 1794 i 1830, ob. dwu powstań... Porównanie; Rosyjska w gub. polskich administracya i policya XII; «Rozbiory dzieł obejmujących dzieje polskie różnemi czasy ogłoszone XVII i XVIII; «Rozmaitości» XIX; Ruryk, książęta od niego pochodzący X, Ruscy chronografowie X; Ruś ob. Litwa, Polska. — Samanidów pieniądze ob. Pieniądze; Sarmaci I; Schlözer II; Scyry I; Serbia I; Skolotowie I; Skythowie I; Slavia X i XII w. I; Sławiański obrządek i jego losy V; Sławian Cześć bałwochwalcza II; Słowianie

Dakami I, między Odrą i Elbą wytępieni II, Ostatnie obejrzenie się na to, co się o Sław. powiedziało I; Sławiańskie bałwochwalstwo I; Sławiańskie ziemie, narody na nich I; Sławiańszczyzna Winulska II; Sorabi (Slavia) I, Stanisław św., legendy II; Stan. August Poniatowski XI; Statut wiślicki V, wydanie i rozbiór V; Szaniawski II ob. Gołębiowski, Lelewel; Szlachectwo (zarzucenie nieszlachectwa) ob. Polskie prawodawstwo, *Inculpatio* V; Szląski anonym II; Szlązak Jan II. — Teutoni I; Thraki I; Trajana kolumna I; Trzebuń, dwie tablice starych pieniędzy X. — Uniw. krak. ob. krakowski uniw.; Urzędy w Polsce ob. Polska; Uwagi nad dziejami Polski VIII; *Vocabula juris* ob. Polskie prawod.; Vinuli (Slavia) I. — Wagi Teod. Historya ob. Lelewel; Waregi I; Wenedzi I; Węgiersko-polska kronika II; Wiardunek, ob. Polskie prawod. (Zabójstwo i t. d. V,) Winulska Sławiańszczyzna (ob.); Wiślańskie-wschodnie narody nabrzeżne I; Wiślicki Statut ob. Statut Wiśl.; Włościanie, nadanie im ziemi XII; Woelker, list do niego XX nr. 94; Wojciecha św. żywoty ob. Bruno, Kanaparz; Wojewody ob. Polska; Wołosi I. — Ziemskie dostojności i urzędy IX; Zlechcice III, ich stosunek do kmieci III. Żmudź, ob. Litwa.

W zbiorze Żup. niewłaściwie zatytułowano T. XVI «Polska, dzieje i rzeczy jej», obejmuje on bowiem: «Dzieje powsz. bibliotek» i «Historyą geografii i odkryć». Do T. XVIII («Rozbiory» II) włączono recenzyą Xawerego Cz. (Czarneckiego) z lelewelowskiego «Prawodawstwa» («Pols. W. Śred.» IV), zamieszczonego pierwotnie w T. XIX i XX «Roczników T. Prz. N.»; nadto z tego tomu odpada rzecz o romantyzmie do «Rozmaitości». Z T. XX należą do «Polski»: «Prawność» (art. XCVIII) i «Korona polska» (XCIX), a do «Rozmaitości» «Dowcipna bajeczka» (XCVII). L., składając «Pols. W. Śr.» z prac dawniejszych, a nawet z młodzieńczych («Mateusz», «Rzut oka») poprawki i dodatki wyróżniał z ostatecznego tekstu dla Żupańskiego, dawne jedną, nowe dwiema gwiazdkami: skrupulatność jego w tem dorównywa tej miłości prawdy, która w nim była cnotą. Wszystkich odrębnych całostek, nie licząc «Narodów», w 17 tomach wyd. Żup. jest 236: 19 «Pols. W. Śred.», 40 «Polska, dzieje i rzeczy jej», 2 w T. XVI (ob. tu wyżej), 36 «Rozbiory», 35 «Rozmaitości» i 104 «Mowy i t. d.» Nowemi w wyd. Żup. są: Historya do Batorego (XIII), rozszerzona «Hist. geografii i odkryć» (XVI), rozbiór kodeksu wielkopolskiego (XVII), prace uniwersyteckie (XIX), nowo opracowane «Prawność» i «Korona» (XX), oraz kilka drobnych wrażeń spisanych jak «Co o mnie mówią» (T. XX). Tu zaliczyć trzeba i rzeczy pierwotnie francuskie w przekładach bądź własnych *(Considérations)*, bądź cudzych.

b) Poza wydaniem zbiorowem i wydaniem ważniejsze pism pomieszczonych w zbiorze, oraz przekłady na języki obce, w porządku chronologicznym:

1) «Edda, t. j. księga religii dawnych Skandynawii mieszkańców» (Wilno 1807, 55, XV str. 8°; tże 1828, z dopełnieniem w tytule: «Starą semundińską w wielkiej części tłómaczył, nową Snorrona skrócił...», wyd. 2-gie, 226 str. 8°). 2) «Wzmianka o najdawniejszych dziejopisach polskich i uwagi nad rozprawą J. W. J. X. Bohusza o Początkach Narodu i języka litewskiego» (Warszawa, 1809; 56 str. 8°; «Dzieła» Żup. XVII). 3) «Uwagi nad Mateuszem herbu Cholewa. J-a L-a we względzie dziejów polskich postrzeżenia» (Wilno 1811, przerob. do przekładu Lindego z Ossolińskiego «Vincent Kadłubek» Warszawa, 1822; ponownie wyd. Wilno, 1822; «Dz.» Żup.). 4) «Pisma pomniejsze geograf.-histor.: Historya geografii, Wiadomość hist. o staroż. miarach długości, Wiad. o narodach we wnętrzu Europy aż do X w. będ acych, Stosunki Karthagów z Grekami, Opis Skythii Herodota» (Warsz, 1814; wszystkie osobno, «Historya» p. t. «Początki geografii» Warsz. 1815; przekład niem. całości przez Ney'a, Lipsk, 1836). 5) *a)* «Historyka, tudzież o łatwem i pożytecznem nauczaniu historyi» (Wilno, 1815; 126 str. 12°); *b)* «O historyi, jej rozgałęzieniu i naukach związek z nią mających. Pismo w r. 1820 w czerwcu napisane, teraz nieco poprawione i do druku podane» (rozprawa konkursowa z «Dz. Warsz.» 1826; os. Warsz., 1826, Pukszta, 127 str. 8°). *c)* «O potrzebie gruntownej znajomości historyi, na czym ta gruntowność zależy; wyjątek z «Tygodn. Wil.» [1817], (Wilno, 1818; 31 str. 8°). *d)* «Jakim ma być historyk» («Tyg. Wileński» 1818); *e)* «Nauki dające poznawać źródła histor.» (Wilno, 1822, Przydatek tże 1824; «Dz.» Żup.). Pisma *a*, *b*, *c*, *d* zebrane w «Historykę» (Warsz., 1862, Lewiński). 6) «Panowanie Poniatowskiego» (mniejsze), dodatek do Teod. Wagi («Pam. warsz.» Bentk. 1818, T. XII, os. Warsz. 1819). 7) «Badania starożytności we względzie geografii» (Wilno, 1818); «Atlas» (tże 1818). 8) «Dzieje starożytne...» (Wilno, 1818); «Dodatki i poprawki» (tże 1824). 9) «Dzieje staroż. Indyi ze szczególnem zastanowieniem się nad wpływem, jaki mieć mogła na strony zachodnie» (Warsz., 1820). 10) «Odkrycia Karthagów i Greków na Oceanie Atlanckim» (Warsz. 1821; 177 str. 8°, 2 mapy; przekł. niem., z ważną przedmową Karola Rittera, Berlin, 1831). 11) «Pisarze dziejów w Polszcze przed Długoszem» (przekład w Ossolińs.-Lindego «Vinc. Kadłubek», według przerobionej umyślnie «Wzmianki» nr. 2). 12) «Bibl. ks. dwoje...» (T. I Wilno, 1823, Zaw.; T. II tże, 1826; 18 tablic; do życia L-a ob. IIα). 13) «Histor. pomniki języka i uchwał polskich i mazowieckich z w. XV i XVI, T. I, wzięty *[tak]* z 3 rękopisów... Księgi ustaw pols. i maz. na język polski w lat. 1449, 1450, 1503, 1451...» (Wilno, 1824; 185 str. 4-to, 1 tabl.). 14) «Objaśnienie starych pieniędzy blisko Płocka w r. 1824 w czerwcu w Trzebuniu znalezionych» («Dz. Warsz.», 1825—6; os. Warsz., 1826, 238 str. 8° min.; w roczniku 1826 T. III str. 231—5 «Wiadomość o starych pieniądzach wykopanych 1823 r. w Sierpowie»). 15) «Atlas do hist. i geogr. starożytnej podług planu J-a L-a» (Warsz., 1828). 16) «Stan włościan polskich» («Gaz. warsz.» 1830, nr. 101). 17) «Nadanie własn. ziemskiej włościanom» («N. Polska», nr. 73; «Dz.» Żup. XII; «Polska odradzająca się» 1843). 18) «Nowosilców w Wilnie w roku szkolnym

1823—4; dołączona nota o kuratoryi N-a, podana na ręce gen. Rosen przez Onacewicza» (Warsz., 1831; 120 str. 16⁰: nota nie wymieniona w innych wyd.; przekł. franc. *N. à Vilna ou guerre impériale avec les enfants et l'instruction*, Bruksella, 1844; 80 str. 8⁰; «Dz.» Żup. XII). 20) «Trzy konstitucie polskie 1791, 1807, 1815 porównał i różnice ich rozważył...» (Warsz., 1831, druk. Węcki, 94 str. 24⁰; Paryż, 1832, wyd. L. Chodźko; «Trzy konstytucye...» Poznań, 1861, Żup. 108 str. 12⁰; przekł. franc. Rykaczewskiego ob. β «Analyse»; «Dz.» Żup. XII). 21) Panow. króla polskiego St. Aug. Poniat...» (Warsz., 1831; VII, 168 str. 8⁰. Tytuł uzupełniony «wyd. po czwarty raz pomnoż. z dołącz. «Porównania dwu powstawań Nar. Polskiego: w r. 1794 i 1830—1 [i Geneal. Poniat.]», (Paryż 1839). Wyd. «szóste» Bruksella, 1847, Młodecki); «Dz.» Żup. XI. Jednocześnie z wyd. 1-em jako oryg. niemiecki przekł. Drakego, Brunświk, 1831; L. uważa go wraz 1-m wyd. pols. za 3-e; ponowny przekł. niem. Handschuh'a, Zürich, 1846; franc. L. Chodźki do wyd. *Hist. de Pologne* z r. 1844 (ob.). 22) «Czy kodeks nasz karny dostateczne zawiera przepisy na nadużycia wolności druku?» («Kur. Polski» 1831, nr. 497 (liczbowanie ciągnie się od r. 1829); podpis «Joachim Lelewel»). 23) «Widzenie się w Wierzbnie» (oryg. wraz z przekł. franc., Awenion, 1832, Bratkowski St.; por. «Dz.» Żup. XII). 24) «Całoroczne trudy czyli Zdanie sprawy z czyn. Komit. Nar. Pols. od grud. 1831 do końca 1833» (Paryż, 1834; 3 zeszyty z odrębnem stronicowaniem); toż, z odmienną nieco zawartością, po franc. tże t. r. Niektóre odezwy stąd weszły do «Dz.» Żup. XX). 25) Zarys «Dziejów Litwy i Rusi aż do unii z Polską...» w Dodatkach do wyd. X. Teod. Wagi «Hist. książąt i królów Pols.», Wilno, 1824 i w kursach uniwersyteckich 1822—4; rozwinięty w «Dzieje» (Paryż, 1839; 278 str. 16⁰. Przekład franc. Rykaczewskiego «...*avec les notes du traducteur*» Paryż-Lipsk 1861; XCI, 228 str. 8⁰, 2 mapy). 26) J. B. L. «Sarmatowie i Sarmacya, Alanie «[Słowianie]» («Bibl. war.» 1842, II 71—98, IV 280—314 i 445—85; por. «Dz.» Żup. I). 27) O monecie polskiej w L. Chodźki *Pologne illustrée* 1843 «Dz.» Żup. X). 28) «Kalendarzyk emigranta na r. 1843»; (Bruksella). 28) «Stracone obywatelstwo stanu kmiecego» (pierwotnie w brzmieniu niemiec. przy przekładzie Sporschila francuskich *Considérations* 1844; po polsku popraw. w «Orle Białym» Bruks. 1846 i os. tże 1846, 1847; polemika z «Przegl. pozn.» 1848 wrzesień, grudzień; dodatek «Lud niewolny»; »Dz.» Żup. V). 29) «Atlas hist. do dziejów pols.» (Wrocław, 1845). 30) «Materyały do dziejów polskich» (Poznań, 1847, Żup. 2 t.; 431 str. 8⁰, 1 mapa, 1 tabl. Jest to T. I. «Rozbiorów dzieł» z wyd. 1844; «Dz.» Żup. XVII; to wyd. weszło do zbioru «Polski» w tożsamości drukarskiej). 31) «Wykład dziejów powsz.» (Wrocł., 1850, Schletter, 4 t. 8⁰ min.; przedr. bezprawny Warsz. t. r., Orgelbrand, 5 t.; jest tu «Historyka» właśc. w redakcyi odmiennej, por. «Historyka», Warsz., 1862). 32) List («Znicz» red. Kaz. Szulc, Wrocł., 1851). 33) «Album rytownika polskiego; Alb. d'un graveur pol.» (Poznań, 1854; Żup., druk. Decker,

folio obl., 30 map, 12 tabl., 12 str. tekstu i nlb. 8). 34) Recenzyjka «Szkółki niedzielnej» Machczyńskiej («Dz. liter.» 1858 nr. 54; nakaz zbliżenia się dworu do chaty, podpis «J. L.») 35) «Lotniki piśmiennictwa tułaczki polskiej» (Bruks., 1859). 36) «Rocznica tysiączna wstąp. na tron Ziemowita, syna Piasta» (Gniezno, 1860). 37) «Historyka» (Warsz., 1862 ob. nr. 5). 38) «Korr. J-a L-a z K. Sienkiewiczem» («Roczn. Tow. Hist. Liter.» w Paryżu r. 1870—2 (T. IV od pocz.; Pozn., 1872, Żup.; os. tże t. r.). 39) «Listy... pisane; oddz. I: Do rodzeństwa» (Poznań, 1878—9, Żup.; 2 t.: I: XXXV, 495 str.; II: 481 str. — 8⁰; ten tylko oddział wydany). 40) «Listy do Leona. Chodźki» («Album Muz. Nar. w Rapperswylu», Poznań, 1872). 41) «Koresp. L-a z Pietkiewiczem i Zwierkowskim» 1833—5 (Gadon, «Emigr. polska» III, dodatki). 42) «List do wojew. Ostrowskiego», 1835 (tże). 43) «List do Jul. Bartoszewicza» («Przegl. lit.,» Krak., 1897 nr. 11). 44) Przybywają jeszcze: stadencki ów artykulik o Prusach, z Kalendarzyka wileńskiego na r. 1807 (ob. życiorys), O «Rocz. Tow. P. N.», O prawie kryminalnem rzymskiem («Themis polska» 1829) wreszcie «Dziesięć upłynion. wieków historyi polskiej» (Warszawa 1829; tabl. chronologiczne) i Numizmatyka polska, franc. i niemiecka w 41 pozycyach ob. tu II β Merzbach nr. 64 i «Dz.» Żup. X oraz poniżej Archeol., Pierwopisy francuskie. Estreicher II 571 wymienia «Polityczne przemiany państw i narodów przed erą chrześc. oraz... za czasów chrześciaństwa do w. XVI», ale o takiej książce Lelewela nic nie wiemy.

β) *W obcych językach.* 45) «Discours pron. à la célébration de la révol. de Juillet» (Warsz., 1831). 46) «Disc. au convoi funèbre du général Lamarque le 5 juin 1832» (Paryż, 1832). 47) «Analyse et parallèle de 3 Constit. polon. 1791, 1807, 1815...» (Arras, 1833, druk De Georges; wstęp L-a!; przekł. Rykaczewskiego z nru 20). 48) «Pythéas de Marseille et la géographie de son temps» (Par., 1836; przek. niem. Hoffman'a, Lipsk, 1838). 49) «La légitimité de la nation polonaise» («J. de Rouen», 1837; os. tże t. r.; tekst polski «Dz.» Żup. XX art. XCVIII). 50) «La couronne de Pologne et sa royauté» («J. de R.», 1837; os. tże t. r.; tekst pols. «Dz.» Żup. XX art. XCIX). 51) «Numismatique du Moyen Age considérée sous le rapport du type, accompagnée d'un Atlas...» (Paryż, 1835, 2 tomy 8⁰; atlas o 25 tabl. miedzioryt, 38 tabl. druk.; wyd. tytuł. Bruksella, 1835). 52) «Etudes numismatiques et archéologiques, vol. I» (Bruks., 1840; 468 str. 8⁰; dalsze tomy nie wyszły). 53) «D. Panslavismus u. Polen, Ein Sendschreiben an d. Redact. d. Grenzboten» (1843; os. Lipsk t. r.). 54) «Hist. de Pologne» (Paryż, Księg. Polska-Lille, Vanackere — 1844; 2 t. 8⁰: T. I 2 części: I «L'hist. de la Pol. racontée par un oncle à ses neveux», II «La Pol. renaissant, publiée par les soins des Polonais»; T. II 2 części: I «La Pol. sous le règne de St. Aug. Pon.», II «Considérations sur l'état polit. de l'anc. Pol. et sur l'histoire de son peuple» — T. I: XX, 388 str., 1 ryc.; T. II: 208, VIII str., 359 str., 5 tabl., 5 map.

Są tu zatem przekłady: 1) «Dzieje potoczn. sposobem...» «Dz.» Żup. VII; 2) «Polska odradzająca się» «Dz.» Żup. XII; 3) nr. 21; 4) pierwszy raz ogłoszone «Uwagi nad dziejami Polski» «Dz.» Żup. VIII, rozpocz. jeszcze w r. 1836). Całość «Histoire» przełoż. na niem. Jordan (Lipsk, 1846, 1847), «Consid.» Sporschil jako «Betracht. über d. polit. Zustand d. ehem. Polens u. über d. Gesch. seines Volkes mit hist. Anmerkungen d. Verfassers» (Bruks.-Lipsk, 1845). «Anmerk.» jest to «Stracone obywatelstwo» nr. 28; przekł. «Panow. Stan. Aug.» ob. nr. 21. 55) «Considérations» ob. nr. 54; wyd. os. Paryż-Lille, 1844. 56) «Célébr. à Bruxelles du 2-me anniv. de la révol. polon. du 22 Fevrier 1846. Discours pron. par A. J. Sénault, Ch. Marx, Lelewel, Engels et Louis Lubliner» (Bruks., 1848; wyd. wespół z Lublinerem; mowa L-a «Dz.» Żup. XX art. XCIII). 57) «Itinéraire Brugeois, composé vers 1380, publié d'après la copie du manuscrit de la Bibl. de Gand» (Bruks., 1858; 32 str. 8⁰). [Ord. Zam.] 58) «La voix du peuple» czasop. w Brukselli, w r. 1833 wspólnie z Worcellem i Pułaskim wydawane. 59) «La Pologne, la Russie et la Prusse» (po polsku i po franc.; Paryż 1832 [Estr.]). «Parallelę Hisz. z Polską» przełożono na franc., niem., ross, nawet na łacinę.

γ) *Czasopisma i zbiornie z pracami Lelewela* (nie wszystkie). 1) «Annalen für Gesch. u. Politik» Stuttgart, 1834. 2) «Athénée» brukselskie (wskazówka L-a). 3) «Bibl. polska» 1825—7. 4) «Bibl. warsz.» 1842. 5) «Blätter für Münzkunde» Getynga przed r. 1840 (numizmatyka; w. L.). 6) «Bulletin» Ferrusala (w. L.). 7) «Dzien. lit.» lwow. 1858 nr. 54 ob. tu A αb nr. 34. 8) «Dzien. warsz.» 1825—6. 9) «Dz. Wil.» 1815—6. 10) «Gaz. lit.» Warsz. 1821. 11) «Gaz. warsz.» 1828—30. 12) «Grenzboten» 1843. 13) «Jour. de Rouen» 1837. 14) «Morning Herald» 1839. 15) «Motyl» Warsz., 1829. 16) «Orzeł biały» Bruks., 1846 («Stracone obywatelstwo» po polsku). 17) Pamiętn. umiej.; ścisłych i stosow.; mor. i lit.» Warsz., 1829—30. 18) «Pam. warsz.» Bent. 1818, 1820—1. 19) «Pielgrzym emigracyjny» Pietkiewicza 1833. 20) «Pologne illustrée» Chodźki, 1839, 1843. 21) «Przegl. Poznański» 1848 (polemika 22) «Przegl. lit.» krak., 1897). 23) «Recueil des voyages et mémoires» Bruks. (przekł. Edrisiego przez Jeuberta T. V. i VI r. 1837—40. 24) «Revue du Nord» (w. L.). 25) «Revue de la numismatique belge» Bruks. r. 1853 (w. L.). 26) «Revue encyclop.» (w. L.) 27) «Roczn. Tow. Prz. N.» T. XIV, r. 1821, XIX 1827, XX 1828. 28) «Rozmaitości» Warsz., przy «Korres.» i «Gazecie korr.» (w. L.). 29) «Stadło» Budyszyn, Zmorski, 1849. 30) «Themis polska» 1829. 31) «Tyg. liter. «Poplińskiego Woykowskiego» 1841 (polem. z Maciejowskim; ob. «Dz.» Żup. V «Mój i Al. W. Mac. trud»). 32) «Tyg. wil.» 1816—8, 1820—1. 33) «Znicz» Wrocł. 1850. Por. II β Merzbach nr. 73.

δ) *Wykaz pism i przekładów spis. przez s...ego Lelewela.* W. t. X. «Dz.» Żup. str. 485—92 jest «Spis dzieł różnemi czasy przez ś. p. Joachima Lelewela drukiem ogłoszonych, odbity wier-

nie z notatki własnoręcznej nieboszczyka... się w ręku J. K. Żupańskiego» — w 17 działach: Historya i dzieje w powszechności (pozycyi 16), Archeologia (9), Mitologia (3), Dochodzenie historyczne (10), Podręczne poglądy na dzieje (3), Wyrozumienie dziejów (6), Historya polska (obrazowa, opowiadana) (6), Prawo polskie (5), Varia i Rozmaitości (5), Historya literatury i bibliografia polska (3), Językoznawstwo polskie (3), Wydawn. historyczne (5), Świadectwa dla historyi (7), Pisma polit. publicystyczne (6), Krytyka hist. dzieł (11), Pierwopisy francuskie (19), Przekłady z polskiego i francuskiego (25). Razem wszystkich pozycyi głównych w 15-tu pierwszych działach 93, ale są i powtarzające się, a brak znowu samoistnych, których wiele weszło do «Narodów», do Numizmatyki i Geografii francuskiej, do «Polski wieków średnich». «Mowy i Rozbiory» liczone za jednostki. Systematyka najogólniejsza. Po doliczeniu «Pierwopisów» mamy wszystkich całości wyodrębnionych 112. Tu (I A α a) jest 236, a poza tą summą stoją jeszcze prace w obcych językach niespolszczone lub w «Dz.» Żup. niepomieszczone, głównie numizmatyczne. Powiedzieć można, że całości pojedyńczych z pod pióra Lelewela wyszło więcej niż trzysta. Numizmatyka włączona do Archeologii; w Pierwopisach wskazanie prac numizmatycznych, pominiętych w Archeologii; a «Géogr. du Moyen Age» włączona w Historyą i dzieje w powszech., taksamo i «Atlas» z r. 1828; cztery pierwsze pozycye tego działu wypełniają rozprawy metodologiczne. Tak summa ostateczna jak systematyka znojnej jeszcze potrzebują pracy.

B) Rękopisy. Jest ich sporo, zwłaszcza Listów, ale nie dają rzeczy nowych. Poza listami mamy prace przygotowawcze, badawcze do pism drukowanych, ukazujące znój i porządek w znoju, ważne dla historyka-biografa, jeżeli ten kiedykolwiek jeszcze się znajdzie. Najwięcej tej kategoryi rękopisów w Bibl. Jag., której Prot. Lelewel dn. 12 listop. 1875 r. podarował zbierane troskliwie autografy brata, sięgające od r. 1794 pod r. 1830 (ob. katalog Wisłockiego). Uderza tu głębokość studyów do «Badań starożytn. we względzie geografii» i «Pism pomniejszych» (nr. 3479, 3480—6, 3488—96, 3504, 3509). Nietylko uczył się mąż w nauce polskiej wielki języka «Eddy» w obu odmianach, ale poznawał mowę wrzekomych Herulów, Berberów, Hebrejów, Syrów, Chaldejów (nr. 3497, 3500), nawet przekładał na własny użytek gramatyki i zbierał Ojcze-nasze. Badania nad językiem ojczystym odsłaniają nr. 3505, 3507 (skrót gramatyki Mesgiena). Do rozprawy nad «Mateuszem» należą nr. 39 i 3487, 3503. Dla jakiejś pracy o wielkim promieniu Lelewel chciał mieć «Res herbaria» Sprengla, — zrobił z niej odpis (nr. 3782). Jak na drogą pamiątkę patrzy się na dziecięcą jeszcze pracę z r. 1801 w nr. 3501 i nie o wiele poważ... w nr. 3502 (wydr. «Dz.» Żup. XIX art. I) i 3503. Listy n... Jag.: do Bandkiego J. S. nr. 1800 i od niego nr. 4170, do Groddecka nr. 3097, Śniadeckiego Jana nr. 3131, 3498, do Janowskiego J. N. nr. 3685. Co przybyło Bibl. Jag. po Wisłockim, tego

szukać potrzeba w «Przewodn. bibliograf.». Znacznie mniej zasobne są: Muzeum Czart. (inwentarz miejscowy) i Akademia (katalog Czubka). U Czart. niejedno w obfitych dowodach z emigracyi (nr. 5322—9, 5331—45, 5348, 5541). W Warszawie też mało. Młodzieńczy «Rzut oka na dzieje narodów przed czasokresem chrześciańskim» ma w brulionach (36 k.) Bibl. Ord. Kras. nr. 357, a nadto: «Historyą o Łysej Górze i o św. Krzyżu (6 k.) nr. 358 i «Historyą polską» (76 k.) nr. 370. Według dawniejszego notatnika Rembowskiego dotyczą Lelewela: nr. 189, 193—4, 231—2, 252, 268, 271, 1234 (34 listy L-a do Onacewicza), 1352, 1413 (Listy L-a). U Zamojskich: nr. 850 spisywane przez ucznia Lelewela, Wład. Trębickiego 1823—4 r. «Dzieje nowożytne» aż pod koniec XVIII w. (323 k. 4-to); nr. 851, gruby sposzyt 4-to wykładów o Starożytności i Wiekach Średnich (między str. 167—414 o Bolesławie Wielkim polskim aż do skonu, od str. 415 Bolesław Śmiały). Bibl. Oss. ob. Katalog Kętrzyńskiego. W Bibl. Polskiej na Quai d'Orléans szukać trzeba tej pozostałości, którą bądź Gałęzowski, bądź Elżanowski zabrali z Brukselli, przyczem niejedno przepaść musiało. Rękopisy L-a ma Rapperswyl; ale w tym grodzie pamiątek polskich najszacowniejsze są listy do niego, w liczbie ok. 4000, wszystkie już z emigracyi, i stanowią t. zw. Archiwum Lelewelowskie. Sporo przyczynków do życia, stosunków i działalności na wygnaniu w «Tekach Chodźki» (około 100). Pracy spisania Rpsów lelewelowskich nikt jeszcze dotychczas nie podjął.

II. Pisma o Lelewelu i jego pracach (niektóre).

α) *On sam o sobie:* 1) «Bibl. ksiąg dwoje», zwłaszcza II 120, 155, 174, 184, 237—9 o działalności na podbibliotekarstwie, I α b nr. 12. 2) «Nowosilców» nr. 18, «Polska odradzająca się», «Dz.» Zup XII. 3) «Polska odradzająca się», Bruksella, 1843, dodatki. 4) «Całoroczne trudy» nr. 24. 5) «Co o mnie mówią aryst...» 1833 «Dz.» Żup. XIX, art. XXV. 6) «Korr. z Pietkiewiczem i Zwierkowskim 1833—5» nr. 41. 7) «List do wojew. Ostrowskiego» 1835, nr. 42. 8) «Listy do L. Chodźki» nr. 40. 9) Mowy listopadowe, zwłaszcza 1843, 1844, 1847; mowa dn. 22 lutego 1848 r. («Dz.» Żup. XX art. XCIII). 10) Dwie odezwy do Parl. Frankfurc. 1848 (tże art. XCV i VI). 11) «List do Woelkera» 1848 (tże art. XCIV). 12) «Czego dopuszcza się Przegląd poznański» 1848 («Dz.» Żup. XIX art. XXIII). 13) List nr. 32. 14) «Album rytownika polskiego» nr. 33, tekst. 15) «Przygody w poszukiwaniach» («Dz.» Żup. VI, os. Poznań 1858). 16) «Notatka z r. 1859» («Dz.» Żup. XX art. CI). 17) «Korr. z Kar. Sienkiewiczem» nr. 39. 18) List do Bartoszewicza, nr. 43. 19) «Pismo do zebranych w Leodium d. 29 listopada 1860 r.» (tże art. CII). 20) «Podziękowanie Belgom d. 19 kwietnia 1861 r. (tże art. CIII). 21) Testament (tże art. CIV). 22) «Listy do rodzeństwa» nr 38. Por. niżej pod β nr. 69, a także «Mój i W. A. trud», «Dz.» Żup. V art. XIII.

β) *Inni o nim:* 23) Recenzya rozpr. «Nauki dające poznawać źródła hist.» («Dz. warsz.» 1825 T. II str. 163—95). 24) «Notice biograph... de la Biographie des Contemporains» bezimiennie, wyd. Aucher-Eloy (Paryż 1828, wyd. 3-e tże 1834, 4-te tże 1853). 24) Opis audyencyi d. 19 grud. 1830 r. u Chłopickiego («Le Temps» paryski 1831; podał M. Podczaszyński z notaty L-a). 25) O powstaniu i pierwszych rządach po niem («Revue des deux mondes» T. III, sierpień-wrzesień 1831 r.; z notat L-a i inn. ułożył M. Podcz.). 26) Czyński J. «D. 15 sierpnia i sąd na członków Tow. Patr.» (Warsz. 1831; przekł. niem. pomnoż. Zweibrücken-Lipsk 1832, franc. pomn. Paryż,1832). 27) Helcel A. Z. O pracy L-a z powodu marki i wiardunku («Kwart. naukowy» 1835, str. 305—47). 28) Czyński «Biogr. polonaise, extraite de la Biographie de hommes du jour» (Paryż, 1836). 29) Fal...ski, «Autor ksiąg Bibl. Dwoje» («Oręd. nauk.» 1841 nr. 21—3). 30) Chodźko M. «Polska» (Paryż, 1843). 31) Maciejowski W. Al. «Lelewela Rozbiory... i Considérations...» («Oręd. nauk.» 1844 nr. 51—2). 32) «O Narodach na ziemiach słowiańskich...» («Przegl. pozn.» 1854). 33) «Eastern Europe...» (wyd. 2-e, Londyn, 1856; T. I). 34) Schmitt Henr. «J. L.» («Dz. lit.» lwow. 1858 nr. 82—9, 116—7). 35) «Autobiografia L-a» («Dz. lit.» 1858 nr. 64—6). 36) Siemieński L. «Prace hist. L-a» («Dod. do Czasu» 1858 r. XI). 37) Schmitt H. «Pogląd na rozwój i kierunek dziejopis. polskiego» («Dz. lit.» 1859). 38) «Lelewel J. i Dembiński generał» (Paryż 1859). 39) «Zgon L-a» («Przegl. rzeczy polskich» zesz. z d. 7 czerwca 1861). 40) «Les funerailles... avec les discours prononcés sur sa tombe» (Par. 1861). 41) Hardy J. «Les six derniers jours de J. L.» (Bruks., 1861). 42) «Ostat. chwile J-a L-a» ob. Januszkiewicz Eust. 43) «J. L.» («Dz. lit.» 1861 nr. 45). 44) «Jak uczcić pamięć L-a» (tże nr. 63). 45) «Portrety L-a» (tże nr. 75). 46) List X. Déchamps (wezwanego do dyspon. L-a na śmierć) z Brukselli, d. 3 lipca 1861 r. (tże nr. 102). 47) «J. L.» («Dz. pozn.» 1861 nr. 147—9). 48) Heltman W. i Sawaszkiewicz L. «J. L.» (Bruksella 1861; Sawasz. wydał jeszcze i po franc. tże 1862 «Notice sur la vie...»). 49) [Januszkiewicz Eust.] «Ostat. chwile J-a L-a» (Poznań, 1861, 1862; «Bibl. warsz.» 1863 w przeróbce Wóycickiego). 50) Bartoszewicz J. «L-a Historya polska do końca panow. St. Batorego...» («Bibl. warsz.» 1864 I, 447—65). 51) O L-u («Dz. lit.» 1865, nr. 39). 52) Siemieński L. «Portrety liter.» T. I (Poznań, 1865). 53) «Protokóły posiedzeń Rady Adm., Wydz. wykon. tejże Rady i Rz. Tymczas. od 30 listop. do 5 grudnia 1830 r.» («Roczn. Tow. hist.-lit.» w Paryżu 1870—2 (T. IV) Poznań, 1872, Zup.). 54) *a)* «L. i Bułharyn» («Przegl. lwowski» 1876, T. XIII; na podst. listów B-a do L-a; przedr. «Bibl. warsz.» 1877 p. t. «Listy... r. 1820—30»); *b)* Ptaszycki Stanisław «Listy Joach. Lelewela do Bułharyna» («Gwiazda», kalendarz petersburski na r. 1881). 55) «O działalności naukowej L-a» («Niwa» War., 1877, T. XII). 56) Jabłonowski Aleks. «Sękowski w kor. z Lelewelem» («Echo warsz.», 1878 nr. 41—72; listy Sęk-go z r. 1820—4, 1825—6, 1828).

57) O L-u («Przew. nauk i lit.» lwow. 1878 T. XVI). 58) Warnka St. «J-a L-a zasługi na polu geografii» (Poznań, 1878). 59) Korotyński W. «Rodzina L-ów» («Tyg. powsz.» Warsz., 1882 między str. 774—841). 60) Smoleński Wład. «Szkoły hist. w Polsce» («Ateneum» warsz., 1886 IV; «Bibl. dz. wybor.» nr. 19; «Pisma»). 61) Małecki Ant. «Filomaci w Wilnie 1805—8» («Dla Zagrzebia» Lwów, 1887). 62) Koźmian Kaj. «Pisma prozą» (Krak., 1888, Żup. str. 392—409 «Kilka słów o J-e L-u i Rewolucyi 1830 r.»). 63) Merzbach H. «J. L. w Bruxelli» («Dz. pozn.» 1889, os. Poznań t. r.). 64). Tenże: Wykaz prac o numizmatyce («Wiadom. numizmat.-archeolog.» Kraków, 1889 nr. 2). 65) Korzon Tad. «Błędy historyografii naszej w budowaniu dziejów Polski» («Pam. drugiego zjazdu historyków polskich» Lwów, 1890). 66) Balzer Osw. «W obronie historyografii naszej» (tże i «Gaz. lwowska» 1890). 67) «Rzut oka na dzieje Muz. Nar. w Rapperswylu (1869—93)» (Kraków, 1894). 68) Korzon T. «Pogląd na działaln. nauk. J-a L-a» («Kwart. histor.» 1897, T. XI., os. Lwów t. r.) 69) «Piętnastoletni J. L. jako pierwszy zbieracz piosnek ludu w r. 1801» («Księga pamiątkowa na uczczenie setnej rocznicy urodzin Ad. Mickiewicza» T. I, str. 83—92, Warsz. 1898; są tu krakowiaki z okolic Okrzei, Żelechowa, Maciejowic). 70) Bieliński J. Dr. «Uniwersytet wileński (1579—1831)» (Kraków, 1899—1900, 3 t; wskaźnik). 71) Gadon Lubomir «Emigracya polska» (Krak., 1900—1, 3 t.; wskaźnik). 72) Korzon T. «J. L.» («Album biograf. zasłuż. Polaków i Polek w. XIX» T. I zesz. VI—VII, str. 221—9, Warsz., 1901; nowe źródło rękopiś. do rodowodu). 73) Limanowski Bol. «Hist. demokr. polskiej» (Zürich, 1901). 74) Woźnicki Kaz. «Materyały do życior. L-a (r. 1859)» («Bibl. warsz.» 1906 T. III str. 165—70). 75) «Muzeum Narod. polskie w Rapperswylu» (Krak., 1906, nakł. dyrekcyi Muzeum). 76) Bieliński J. «Król. uniwers. Warsz.» T. I (Warsz., 1907; dalsze w druku; wskaźnik). Pisała o L-u przed r. 1830 «Biographie universelle» (Paryż, 1826—31).

PAMIĄTKI, RZECZY MUZEALNE. Lelewel miał już przed rokiem 1830 ze 60 płyt miedzianych przez siebie rytowanych; na wychodztwie daleko więcej przybyło. Pojęcie o usilnej pracowitości i w tym także dziale daje «Album» I A α b nr. 33. Zabytki te znajdują się w rozproszeniu; najwięcej zaginęło zaraz po śmierci. Niedawno jeszcze wykryto zniknienie z prywatnego posiadania w Krakowie 10 płyt, wziętych w r. 1894 jakoby na wystawę lwowską («Kur. warsz.» 1906 nr. 244). Z opisu II β nr. 75 widać, że w Rapperswylu znalazły schronienie roboty rylca Lelewela nie kartograficzne, ani też nie ilustrujące tylko tekst, ale już do działu utworów należące, jak dwa rysunki piórkiem, jeden z oblicza Mickiewicza, drugi Groddecka; z pierwszego Croutelle zrobił swój miedzioryt. Podobizn samego historyka ma Muz. Rapp. kilka: rysunek Tepy z r. 1859, ukradkiem zdjęty, do wielkiego portretu Dzieduszyckich we Lwowie; podobiznę

rzeźb. przez Davida; medal na cześć L-a i Chalona, dwu pierwszych prezesów honor. Towarzystwa Numizmat. brukselskiego, przez nie zarządzony u Fernanda Dubois; kameę roboty Bianchiniego; medalion przez Czarnomskiego; wreszcie maskę pośmiertną. Z pamiątek po Lelewelu ma Rapperswyl bluzę jego, kij z wędrówek po Belgii i chorągiew sejmową, wywiezioną przez niego z Warszawy (nr. 606). Inne zbiory nie mówią co mają. I tu również potomność nie spełniła względem Lelewela swego obowiązku.

A) „Historyka" (1809—1815).

Rozprawa napisana pierwotnie w r. 1809, «przez wdzięcznego ucznia poświęcona cieniom Tomasza Husarzewskiego», poprawiona i oddana do druku za pierwszej profesury w Wilnie, na jesieni 1815 r. Przejrzał ją autor, poprawił i uzupełnił na konkurs o katedrę w r. 1821, ale nie był z niej zadowolonym i jeszcze w r. 1825 zamierzał ją całkiem na nowo opracować; zamiaru tego jednak nigdy już nie spełnił. Jest ona jego własnością, bo własne jego przekonania wyraża, ale jej geneza tkwi we wpływie nauki niemieckiej, głównie Wachsmutha i Ruehsa. Przy wielkiej, nawet nadmiernej zwięzłości, obfitością swych myśli rozsadzająca swą formę i w wysłowieniu wadliwa, jak na ową chwilę była ona pierwszą u nas teoryą historyi i samych dziejów, tak, uzupełniona późniejszemi rozprawami, jednorodnemi z przedmiotu i celu, jest dotychczas w naszej literaturze historycznej jedyną pracą sięgającą w istotę dziejopisarstwa głęboko i obejmującą wszystkie jego obszary. Uzupełnieniem jej najpierwszem był odczyt publiczny w gronie profesorów wileńskich w roku szkolnym 1815—16 «O łatwem i pożytecznem nauczaniu historyi». Zaraz potem napisał Lelewel «O potrzebie gruntownej znajomości historyi i na czem ta gruntowność zależy» i «Jakim być ma historyk» (obie rozprawy w «Tyg. wileńskim» 1817 i 1818 r.). Podczas drugiej profesury w Wilnie w r. 1822 wydał na użytek uczniów swoich podręcznik «Nauki dające poznawać źrzódła historyczne». (Wilno 1822 r., 26 str. 4-o maj., 4 tabl. miedzior.; dodatek tamże 1824 r., 4 str. 4-to min. 4 tablice miedzioryt; razem w T. X «Polska» Żup. str. 287—391 i os.). W trzy lata później przerobił go i w r. 1826 wydrukował w «Dzienniku Warszawskim» (T. III str. 3—40, T. IV str. 113—54 i 253—99; osob. Warszawa 1826 r. Pukszta) p. t. «O historyi, jej rozgałęzieniu i naukach związek z nią mających». Jest to już praca nawskróś oryginalna, rdzennie pomyślana, metodycznie prowadzona, duchem filozofii dziejów i dziejopisarstwa przejęta. Wszystkie te rozprawy, w liczbie pięciu, przedrukował w r. 1862 w Warszawie, pod głównym tytułem «Historyka» Aleks. Lewiński — bez należytej staranności (169 str. 12°). W «Historyce» rozwija Lelewel następujące myśli:

Historya w obszerniejszem znaczeniu obejmuje wszystkie okoliczności czasu i przestrzeni; w ściślejszem opowiada wypadki ludzkie w danem

miejscu i czasie. Historyka (§ 1—2) jest sztuką historyi; rozpada się na: krytykę, etiologikę i historyografią; pierwsza wykazuje co się stało, druga dlaczego się stało, trzecia wskazuje sposoby opowiadania. A) Krytyka (§ 3—6) ma trojakie dla siebie źródło: podania, pomniki nieme, pomniki pisane; wszystkie przynoszą bądź rzeczywiste świadectwa, bądź zastępcze przyświadczenia; najpożądańszem świadectwem jest najbliższe wypadku; są złe i dobre, jasne i mętne. Ze źródła dobrego potrzeba czerpać tak, aby stać się niejako uczestnikiem samego wypadku. W badaniu wiarogodności źródeł okazuje historyk swą siłę krytyczną. B) Etiologika (§ 7—18) zasadza się na poznaniu wszelkich okoliczności w człowieku i społeczeństwie warunkujących działanie. Jest ona badaniem przyczyn i skutków historycznych. Wpływ warunków geograficznych i klimatycznych na człowieka jest najpierwotniejszym, najgłębszym; mniejsze ma znaczenie czas niż miejsce, na które człowiek przez pracę swoją wpływ wzajemny wywiera. Czasem historycznym jest dopiero ta atmosfera, którą człowiek sam sobie wytwarza przy współdziałaniu czynników fizycznych. Najwięcej tworzywa dziejom dostarcza sam człowiek. Innym on jest w wolności, innym w niewoli, zewnętrznej czy wewnętrznej; w pierwszej rozwija swój geniusz, w drugiej może być tylko naśladowcą. Na całej kuli ziemskiej człowiek wytwarza jeden ogólny związek społeczny, którego nic rozerwać nie zdoła, bo go ustala sama natura. Ta powszechność węzła spajającego ludzi nie powstrzymuje jednak dzielenia się ich na nieprzeliczone związki społeczne poszczególne, w dwie grupy ułożyć się dające: jednorodne — rodzina, różnorodne — naród, społeczeństwo i związki wewnątrz nich «aż do najobszerniejszych stowarzyszeń ludów i narodów». Związki wewnętrzne, wytykając sobie cel własny, stawiają interes swój wyżej nad wszelkie inne. Źle to wpływa na moralność, rozpoławia człowieka, ścieśnia jego umysł, tępi postęp i popęd do działania; wszelki zaś swobodniejszy polot rozluźnia związek. Związki narodowe wewnętrzne i związki narodów między sobą rozpatrywać można ze stanowiska antropologii, statystyki i polityki; na ostatniem z nich najważniejsze jest odróżnianie organizacyi władzy w stosunku do narodu od organizacyi samego społeczeństwa. Dopiero wtedy występują wyraziście charaktery demokracyi, arystokracyi, monarchii, despotyzmu, tyranii, rządu mieszanego, prawa powszechnego i przywileju. Celem związków wewnątrznarodowych jest ocalenie bytu i zapewnienie bezpieczeństwa. Wszystko tutaj współdziała: miłość z samolubstwem, idea z myśleniem, nałogiem i zwyczajem. W życiu społeczno-narodowem wszelka krańcowość jest zgubną; despotyzm niedość że psuje umysł i serce narodu, odrętwia jeszcze nawet przemysł, pracę wytwórczą materyalną. Zbyteczne rozluźnienie więzi władzy prowadzi do wyuzdania, zacieśnienie znowu sprowadza niedołęstwo. Najczynniejszem jest życie wtedy, gdy związki społeczne zostają «w pewnym stopniu prześladowania», ale jednocześnie jakikolwiek ruch społeczno-narodowy trzyma je wszystkie na wodzy. Nazewnątrz narody «stanowią społeczeństwo w sobie niezgodne, w różnych widokach prześladujące się» lub łączące, a te ich związki mimo swej dorywczości «mają

przecież w sobie ciąg, oparty na jednostajnych przyczynach, jakie ludami ciągle kierują». Szczęście jest bodźcem do życia w człowieka i w narodzie, szczęście nietylko zmysłowe, ale i duchowe. Ma ono różnorodną postać: człowiek wolny chce mieć swoje pragnienia i nadzieje zaspokojone, a dąży wciąż coraz dalej i wyżej w burzliwej wolności; niewolnik poprzestaje na spokoju i wygodzie cielesnej. «Dojmujące ciągle niedole, ciążąc na duszy, tępią rozwijanie się zdolności rozumu, sprawują zepsucie prawości serca, wkładają do fałszu, chytrości i podstępów». W dziejach nie działa żadna przyczyna wyłącznie: mniejsze z większemi zbiegają się w rozmaitości objawów, ale w jedności skutku. Rozwikłanie przyczyn jest zadaniem historyka. Etiologika odbyć musi drogę krytyki. Historyk oprzeć się powinien na gruntownej znajomości człowieka; własna jego natura będzie mu przewodnicą. Znajomość sztuczna niewiele dokaże; nauka może tylko rozwinąć zdolność wrodzoną, ale jej nie da. C) Historyka (§ 19—25). Trudną jest historya, gdy ma być rzeczywistą, t. j. pragmatyczną. Musi wtedy wystawić konstytucyą, siły, zamożność, stan wewnętrzny, stosunki z obcymi, prawa, zwyczaje, handel, nauki, religią, współczesny bieg postępu ludzkości: wszystko to, co tylko «może dać poznać charakter i zdolność narodu stosownie do wieku, w którym jak co było». A opowiadać powinien historyk «w szczerej prawdzie, któraby nauczała i do serca przemawiała, bez pochlebstw i bez przygryzków, poważnie»; «przekładanie podstępów i polityki nad czystą i prostą moralność» niegodne jest historyka. Strzedz się ma i «dorywczych nauczek», i wszelkich też «wyskoków». «Wyrażenia podłe i zbyt pospolite», «ani nawet potoczne», nie są dozwolone. Szczęśliwy ten, kto sam ukryć się potrafi za przedmiotowością swego stylu. W powieści historycznej najważniejsze jest wytworzenie «wielkiego widoku», dającego syntezę. Wypadki przedstawiać trzeba chronologicznie; ludzi najlepiej charakteryzować wtedy, kiedy wchodzą w działanie; etnografię, statystykę, politykę wplatać w samo opowiadanie; literatura nie powinna toku rozrywać. W pismach badawczych najważniejsze są: jasność, łatwość, trzymanie się przedmiotu. W rozprawach krytycznych i w pismach mających już tok historyczny potrzeba odróżniać źródła główne od pomocniczych i zastępczych, opracowania od źródeł i świadectw, a wszystko układać w porządku chronologicznym samych wypadków; not obszernych, o ile można, unikać: praca przeładowana notami jest jeszcze mniej wdzięczną od słownika. Wszelkie popisywanie się z wiadomostkami ubocznemi zamienia pisma historyczne w ramoty.

a) Historyka (właściwa).

463) § 11. Człowiek historyczny. Człowiek jest różny od wszelkich stworzeń na świecie: inaczej on ułożony, ma głos do mowy sposobny, społeczne życie jest dla niego nieodzowne; w jakkolwiek różnej postawie, jednostajnie sposobny doskonalić się i panować na kuli ziemskiej. Nigdzie nie jest

w stanie zwierzęcym, wszędzie w pewnym stopniu doskonalenia się, wstrzymanym lub postępującym, wszędzie ma być wolny i rozkazujący. Niedołężny on jest, słaby, naśladujący, powolnie, stopniami we wszystkich swych władzach doskonalący się. Nie sposobny, prawda, do rozwijania zarazem w równym stopniu wszystkich swych zdolności, ale pojedyncze doprowadza do wyższego stopnia, jak jakiekolwiek natura, w zwyczajnym biegu jakim stworzeniom wydzieliła. Naśladując, już rzeczy przeistacza, rozumem je kieruje: w tem zbiera zakłady do dalszego postępu, do uzacnienia swego jestestwa. Wszędzie tu jest pastwą otaczających go i w nim zasiadłych okoliczności, stanowiących jego wyobrażenia, jego przekonania; przelewkiem nietylko krwi plemienia swego, ale i wszelkich zdolności jego; wypadkiem, nakoniec, skłonności rozmaitych, w zbiegu tak rozlicznym ukształconych, wszędzie nieodstępujących go. Jest człowiek historyczny, uważany jako w stanie społecznym, w pewnym stopniu doskonalenia się, a namiętnościami, uprzedzeniami napojony. Z takiemi w sobie okolicznościami, pojedynczo w społeczeństwie uważany, jednejże będąc natury, jednychże czuciów *[tak]*, ogólnie biorąc, jednostajnie zawsze przyjmuje otaczające go okoliczności; atoli z powodu w nim będących *[okoliczności]* szczególne jego skłonności i zdolności sprawią tychże okoliczności otaczających go obojętne lub odporne, a niekiedy nawet wcale przeciwne jego naturze przyjęcie. Nieraz rozwinięte władze rozumu czynią sobie ze wszystkiego prawdziwe igrzysko. Zawsze swoboda i pomyślność, czyli to wszystko, co tylko uwalnia jego władze od zawad w postępowaniu, co ma jego przyjemnym nadziejom i myślom dogadzać, podnosi umysł, ożywia wszelkie siły, do czynności i doskonalenia obudza. Przeciwnie, ucisk, niedola, czyli, w ogólnem znaczeniu wzięte, wszystko to, co władze jego krępuje lub wstrzymuje, lub co jego bolesne uczucia dotyka, wyryje na nim piętna ponurości i spodlenia, wyzuje *[go]* z zacności, z wielu uczuć i usposobień. Stosownie do tego, względnie do swego położenia ułożony, pomyślność i szczęście przyjmuje w żywych uniesieniach, prędko wzdychających do nowych życzeń i uciech, albo w odrętwiałej spokojności i dumaniu. W czynnościach swoich, w miarę tego wszystkiego, rozwija tylko pewne i prawie oznaczone zdolności: przy swobodach,

mianowicie, umysłowych, jest twórczym geniuszem, kształcicielem gustu; w ucisku, a nadewszystko ściśnieniu umysłowych wyobrażeń — wymuszonym naśladowcą, tem najwięcej zajęty, co w jakikolwiek sposób do zmysłów przemawia, i tak dalej. Tyle w zbiegu jego i otaczających go okoliczności odcieni, ile można pojedynczych na świecie ludzi naliczyć.

464) § 15. Ogólne skutki związków narodowych. Powszechnym celem i zasadą związków w narodzie jest ocalenie swego bezpieczeństwa i niepodległości. Wszakże różne okoliczności jak nieraz te zamiary osłabiają, tak często do nich inny interes narodu plączą. Łączą się w to przywiązanie do religii, do ulubionego rządu, do osób władnących, do miejsca, miłość własna, samolubstwo, różne mniemania, zwyczaje. Wszystkie te nieraz się posiłkują, ale, oczywiście, jak to jest powszechną wadą wszelkich związków, z natury ludzkiej wynikającą, krępując w cieśniejsze kluby związki społeczne narodowe, wymagają z innych stron swobód, mianowicie umysłowych. Ogólnie biorąc, w tym składzie rzeczy wszelka wolność ułatwia postęp w doskonaleniu się i rozwijaniu zacności rodu ludzkiego, a wszelkie ścieśnienie jej wstrzymuje to i zawadą się staje, i stosownie do przeważenia się tych okoliczności skutki odmienne się w narodach ukazują. Gdzie władza panująca najmniej czuć się daje, gdzie wolność myślenia nie jest krępowana nałogami lub mniemaniami, tam oczekiwać należy szybkiego wzrostu w cywilizacyi; w przemyśle, w naukach, w guście będą wszelkiego rodzaju wynalazki. Owóż anthropologicznie uważany naród już jest w pewnym stanie, z którego mając się w doskonaleniu z różnego stopnia położenia swego podnieść, tem trudniej się z tego wyrusza, im większe w swojem już położeniu znajduje więzy w uprzedzeniach, w jakowych wyobrażeniach, odłączających go od związków z innemi ludami, i tak dalej. W statystycznym składzie surowe a ostre prawa, uciążliwe lub nieporządne wymierzanie sprawiedliwości, przeciążające wydatki i uciskające wybieranie publicznych dochodów, — koniecznie wiele i bardzo mocno wpływają na stan umysłu i serca narodowego: psuje się charakter i moralność. Zwracając zaś uwagę na przemysł, w ogólnem wzięciu, tak niezmiernie zdolności ludów rozwijający, jeżeli naród, wyłącznie do je-

dnego zwróconym się okaże, bezwątpienia prześcignie w tym widoku inne, ale ukażą się w nim konieczne wady, z zupełnego wyłączenia się, z tworzenia odrębnego interesu, i tak dalej. Rolnictwo, niezawsze mogące czuć czynnego oddziaływacza, wolniejsze od interesu, dotknie *[= przejmie ten naród]* łagodnością i niedołęstwem; przemysł rzemieślniczy zawięzuje mocno władze czystego rozumu, wkłada do cierpliwości; przemysł handlarski, szczególniej nad wszystkie inne postęp ludzkości ożywiający, zaostrza niezmiernie interes, zazdrość, chęć zysku, psuje charakter, zaraża chciwością, zaczem i nielitościwe postępki idą. W różnych stosunkach wewnętrznych zbyteczne wszystkiego porównanie *[= zrównanie]*, ujednostajnienie, przy rozwolnieniu więzów społecznych, lub bezczynna równość przy ich zaostrzeniu, już to gwałtownie dźwiga i rozwija władze, *[aż]* w wyuzdanej wolności podepcze wszelkie węzły społeczne, już znowu odrętwiała niedołęstwem je dotknie. Jakikolwiek ruch w społeczeństwach narodowych, trzymający nawzajem różne stowarzyszenia między sobą na wodzy, w pewnym stopniu prześladowania się, daje społeczeństwu życie najczynniejsze. Lecz skoro znajdą się stowarzyszenia, *[które]* jedne drugie stanowczym sposobem w przewadze pognębią, wówczas oba do spodlenia dążą: jedne poniżone zupełnie, do niewolnictwa wprzężone i wszystkie znamiona niewolnictwa przybierające; drugie duma, nieznośnie umysłom ciążąca, zawięzuje w sobie, zaślepia, zaraża własnym interesem i chciwością uderza, niedołęstwem dotyka i z uciśnionych okropne znamiona niewoli na nie same przelewa. Niechże oznaczeńsze *[tak]* jedynowładztwo ściśle złączy w sobie interes ludu całego, tam już olśli *[olśnieni]* blaskiem tronu poddani pracują na wielkość imienia jednowładcy, ubiegają się jedynie o jego pochwały, łaski, znikome nagrody, co jedno może być bodźcem do pewnego różnych okoliczności doskonalenia, ale nie przetwarzania. Despotyzm, niezostawujący niewolnictwu żadnego we własności bezpieczeństwa, najokropniejsze razy ludzkości zadaje: wymus, przerażająca ponurość, trwoga obrazy wielkiego majestatu — obsiędą zawsze posępną niewolę, wyzutą z wielu uczuć, nieznającą granic między swą nizkością a wielkością despoty, we wszystkiem wiary i uprzedzeń szukającą; jej pochlebstwa nawet podłością zarażone; sama *[ona]* napo-

jona chytrością i fałszem, cnoty w czystości znać nie może. W tych wszystkich okolicznościach związków narodowych, tak ze strony sprzyjającej ludzkości jako i ze strony uciskającej, wszelka ostateczność jest najokropniej szkodliwa. Wszakże w zbiegu niezmiernie rozmaitych okoliczności, w których się narody kształcą, które też w narodach się ukazują, są niezliczone stopnie i odcienia.

b) Jakim być ma historyk.

465) § 1. Żadne dotąd wieki równie licznych historyków nie wydawały, jak teraźniejsze; żadne nie czyniły piękniejszych nadziei, że w każdym rodzaju prac historycznych prześcignąwszystkie dotąd ludzkie usilności: a przecie w tych wiekach widoki historyi, obejmując w sobie bez wyjątku wszystko, co tylko ród ludzki obchodzić może, tak się stały rozmaitemi, tak niezmiernie obszernemi, że zdaje się być nie podobną komubądź dostatecznie odpowiedzieć potrzebom, któreby ułatwiły i uspasabiały do pozyskania znamienia prawdziwego historyka. Byli historycy różnym wiekom przodkujący i między sobą wielce różni, mimo ważących się wzajem ich zalet. Lecz teraźniejszych czasów cięższe mają do spełnienia obowiązki, więcej się po nich wymaga. Opisywać historyka, jakim on w dzisiejszym rzeczy stanie być powinien, jest przedmiotem dającym się bardzo rozciągać, przedmiotem nieobojętnym, a kilka ważniejszych z niego powtórzyć uwag jest teraz zamiarem naszym.

§ 2. Zdolny podejmować różnych rodzajów prace historyczne badawcze, umiejący je pięknie i w całej świetności wystawić, oczywiście, że może mieć sobie przyznany tytuł historyka. Lecz wiele jeszcze warunków to zaszczytne imie moderują. Jedne podnoszą go *[tytuł]* do właściwego mu wielkiego znaczenia, inne zmniejszają i zupełnie próżnym, czyli nieprawnie zagrabionym sprawują. Chcemy szukać warunków tych, które pracujących nad historyą podnoszą do najwyższego zaszczytu historyków, a te najlepiej poznać się dadzą, jeśli naturę prac podejmowanych przebieżemy. Tym sposobem, wyjaśni się potrzebne do tych prac usposobienie i życzone w historyku zdolności.

§ 3. Znajomość dostateczna i okwita *[tak]* wypadków, znajomość kolei czasu, znajomość miejsca i w każdym razie czasowego

stanu rzeczy ludzkich, ile są dotychmiast wyjaśnione, są to konieczności, bez których historyk nic rozpocząć nie zdoła. Pamięć, obecność wszystkiego na myśli, łacne przypomnienie są dary przyrodzenia niezmiernie pracującemu historykowi pomocne, w natężonej pracy ulgę przynoszące, ale niestanowiące znamienia historyka; staną się nawet dlań bezużyteczne *[tak]* do uzyskania prawdziwego tytułu, jeśli swych władz rozumowych nie będzie umiał używać.

§ 4. Prace historyczne są na rozumowanych działaniach oparte. Historyk prawdziwy nie ugania się za czynnościami prywatnemi pojedynczych osób, jeśli te nie mają wpływu na ród ludzki. Ród ludzki w całym ogóle i tysiące tego rodu okoliczności zajmują wszystkie starania rozumującego historyka. Z pojedynczych działań wynikające nauczki moralne, zręczne zastosowania, dorywcze polityczne uwagi, szacowne skądinąd i przyjemne, wystawią ubiegającego się o zaszczyt dziejopisa małym i nieprzezornym, jeśli się właściwemi wielkiemi widokami historycznemi rodu ludzkiego nie zajmuje.

§ 5. Zwrócona uwaga na dzieje ludzkie patrzy na ich tłumne zjawiska jak na rozmaitości, najmniej do siebie podobne, między sobą odosobnione; ona je rozbiera, jedne obok drugich ogląda: aż rozumowanie umie je wiązać i pojedynczy w nich łańcuch dostrzegać: spajać cząstki w jedną całość, wybadywać przez to nieprzerwany bieg natury w ciągłem rozgałęzianiu się skutków z przyczyn. Przez rozumowanie dają się wyjaśniać ogólne widoki i sprężyny ludami kierujące; przez rozumowanie śledzą się zdarzeń ogólne znamiona. Bez takiego rozbioru, poznania i urządzenia zdarzeń i czynności rodu ludzkiego nie masz historyi; bez doświadczenia własnych sił w tym rodzaju badań pracownik nie godzien nosić imienia historyka. Podejmuje nieodzownie potrzebne na ten koniec działania historyk, a te działania są zupełnie rozumowe, filozoficzne.

§ 6. Ale i w tych działaniach jeszcze nie zasługuje na dostojne imie historyka rozumujący badacz, jeśli nie połączy wprawy swych krytycznych zdolności. Jest jego koniecznym obowiązkiem poznawać źrzódła, w nich śledzić prawdy, w nich stan ludzkości, ducha miejsca i czasu. Bez znajomości źrzódeł będzie badacz zniewolony zawierzyć cudzemu oku, stanie się

przetwórcą obcych uwidzeń, nie zaś wyjaśniaczem prawdy: głos jego będzie przystrojony, nietylko w kształt czasu, w którym sam pisze, ale na tenże sposób przeinaczy czasy, o których pisze, i stanie się niewiernym. Jedne tylko źrzódła zdolne są wcielić go właśnie do stanu wieków opisywanych, źrzódła krytycznie traktowane. Bez takiego używania samych źrzódeł, nie było w naszych wiekach wyborniejszych historyków i być ich nie może.

§ 7. Jawi się wszystko w przestrzeni i w pewnej kolei, a te, powszechnie wszystkim zdarzeniom właściwe, warunki wymagają pilnej rozwagi w rozbiorze zdarzeń zmysłowie czyli doświadczeniem poznawanych. Baczna tych warunków, to jest miejsca i czasu, rozwaga, ich niezamięszanie, są jedyne środki ustrzeżenia się setnych błędów i uchybień. Rozwaga tych warunków w źrzódłach, z których się zdarzenia wyjaśniają, ma natężać pilność historyka badacza, albowiem jedynie ścisłem świadectw ze zdarzeniami przybliżaniem, poznawanie świadectw i zdarzeń, ile na nich *[tak]* okoliczności czasu i miejsca wpływają, takie dań *[= danych]* historycznych rozważanie, krytyczne zdolności rozwiną, wzbudzą baczność wolną od wyobrażeń prawdę wikłających. W dopełnieniu tych działań badacza historyka jaśnieją wszędzie filozoficzne działania: a jakże dalece jeszcze krytyk filozoficzny pilności potrzebuje, żeby, ile może, swe rozważanie i rozumowanie bezwarunkowie utrzymał!

§ 8. Jeżeli więc pamięć wiernie kolej wypadków na myśl przywodzi, przywodzi je tak, jak doświadczenie zmysłowe obejmuje: rozwaga je przetrawia; a kiedy uwaga rozbiera, rozumowanie podnosi do ogólnej spójni i rzeczywistego związku. Zbieg tych zdolności, do działań filozoficznych potrzebny, potrzebny do działań badawczych historyka, sprawia, że obeznawanie się z filozofią jest jedną z istotnych rzeczy historyka stanowiących. Jest, zaprawdę, ród ludzki od natury do tych filozoficznych, tak krytycznych jak przyczynowych (etiologicznych), badań skłoniony i usposobiony, bez nich w swojem towarzyskiem pożyciu obejść się niemogący; każdego też w szczególności natura ułożyła do tych działań, które przez wprawę ciągłą doskonalą się i zdolności pracownika podnoszą, ale szczególne ćwiczenia się w naukach filozoficznych mocno ułatwiają użycie tego do-

brodziejstwa natury, a jeżeli w różnem stopniowaniu zdolności ludzkich podobało się przyrodzeniu w kim wolny bieg filozoficznego ducha zatrzymać, nauka nieraz jest zdolna dźwignąć go i kształcić.

§ 9. Nie na tem jednak koniec potrzeby obeznania się z filozofią. Walne z niej korzyści otrzymuje dziejopis w ułożeniu i złagodzeniu swych uczuć, w biegłości oderwania się od wpływu zewnętrznego, który nas biernemi i od prawdy poniewolnie oddaleńszemi czyni. Dalsze uwagi ukażą jeszcze, jak dalece historyk w tej mierze do filozofii uciekać się musi; tu, dla dopełnienia główniejszych przyczyn, które jednają nieodzowne z filozofią historyka oswajanie się, przytoczyć należy, że filozoficzne działanie jest działaniem rodu ludzkiego. W każdem miejscu i wieku filozoficzne mniemania i nauki są wielowładną czynności rodu ludzkiego sprężyną i podnietą, a przyczyny tych czynności historyk poznaje.

§ 10. Umysłowe władze swoje kształcący ród unosi się w zacnych uczuciach swoich do poznania jestestwa, które mu dało początek, bada Stwórcę świata, cześć Mu oddaje. Do towarzyskiego związku na kuli ziemskiej osadzony, dręczy się w rozpoznaniu natury i ustanowień węzłów społeczeństw, usiłuje swe związki wydoskonalić. Stąd najznamienitsze i najważniejsze do uwag historycznych sprawy religijne i polityczne wymagają posiadania przez historyka nader wielu wiadomości i nauk. Statystyczny skład stowarzyszeń i stan polityczny, poznawany w każdym wydziale dziejów ludzkich, najgłówniejszem zawsze staje się dziejopisa zatrudnieniem i wymaga porządnego tym końcem usposobienia.

§ 11. Ważną jest przeto rzeczą zgruntować naturę społeczeństw, stan ich polityczny, ich ekonomikę, zdolność i działalność, żeby na zasadach statystyki i polityki umieć z czystością wystawiać każdego czasu stan rzeczy ludzkich i w każdym razie usposobić się do przeniknienia rozmaitości miejscowych i wiekowych. Historyczne dania w stanie politycznym, religijnym i wszelkim innym ludzkości dają się poznawać ze źrzódeł, z któremi niepodobna się dokładnie jak potrzeba oswoić i obeznać bez dostatecznej znajomości języka oryginalnego, w którym są pisane. Źrzódła, żeby z pewnością użyte być mogły, mu-

szą nosić niezaprzeczonej autentyczności znamie, a historyk ma się wprzód o ich niezawodności i naturze przekonać. Środki zatem w paleografii, numizmatyce, epigrafice, dyplomatyce podane nieznanemi od niego być nie mogą. Są to nauki krytycznej pracy pomocne. Możnaby je liczyć i mnożyć w sposobie odstręczającym, wszakże, w przesadzonem pożądaniu usposobienia dziejopisa, znajdzie on w ćwiczeniach, w pożyciu i w naturze swojej wielkie ułatwienia, wspomnione zaś wymaganie po nim świadomości i oswojenia się z istotnemi i głównemi naukami, bez których do prac historycznych przystępu *[tak]* znaleźć przytrudno, nie jest nad siły, jest nawet dla miernych sposobności nietrudne. Wreszcie natura w wielkiej części dziejopisa uspasabia i zdolnościami obdarza, a niezmordowana praca i duch badawczy, ze wszelką usilnością w sobie podniecany i natężany, są środki do wynagrodzenia tysiącznych w swojem usposobieniu niedostatków, w swoich zdolnościach braku, są jedne ze znamion dziejopisa.

§ 12. W miarę zdolności swoich zasilony nauką i własnem ćwiczeniem swego ducha postrzegawczego będzie nabywał znajomości człowieka, tak istotnej dla historyka rzeczy. Zajmując się działaniem rodu ludzkiego, ma w niem działanie wspólne pojedynczych ludzi: w społeczeństwach tego rodu patrzy na przymioty, na wady, naturze ludzkiej właściwe. Tak na społeczeństwa zewnętrzne okoliczności swój wpływ wywierają jak na pojedynczego człowieka; takież stąd skutki na nich jak na człowieku. Ani podobna zgłębić i z należytą tęgością przejąć się historykowi prawdziwemi sprężynami, które społeczeństwem i ludzkością kierują, bez znajomości człowieka. Prawda, iż to właśnie jest jeden z przymiotów, który się niezmiernie do darów przyrodzenia odwołuje: z tem wszystkiem, własne postrzegawcze usilności, wprawa zaciągania obcego a wytrawnego doświadczenia, może bardzo daleko rozwijać uskąpione od natury łatwości.

§ 13. Niewyczerpane morze wystawują dzieje ludzkie, w których pomykane prace nigdzie dna ostatecznego dogłębić nie zdołały. Żeby w całej zupełności historyą przetrawić, w porządku wskazanym badań własnych i czerpania ze źrzódeł samych, tego wykonać niepodobna. Lecz pewny wydział dziejów,

stając się zatrudnieniem badacza i pisarza, wymaga wszystkiej jego pracowitości. Przerazić może niejednego trud, jaki podejmować wypada. Wszakże przeżyli długie lata niezmordowani znamienici historycy i stali się przykładem dla następców. Doświadczenie nauczyło, że w ogromie rzeczy słabość pamięci, niedostatek tęższych zdolności, pracowitością nadstarczone, ścigały się z talentami. Obdarzony nawet najświetniej od natury nie ma polegać na siłach pamięci, na zdolności bystrego obejmowania: powinien nie szczędzić pracy, która może zapewniać niechybność. Najzmudniejsze wyciągi, wypisy, rozbiory, porównywania, utworzą mozolnie z ogromu czytania zebrane składy, w badaniach zasilające. Lecz przy pracy i badawczych działaniach historyka ma szczególniejszym sposobem prawy i godny charakter trudy i pisma jego zaszczycać.

§ 14. Stu wieków doświadczenie ludzkie przekonywać będzie, że tam w całej się świetności i zacności swojej historya ukazuje, tam powstają w całem znaczeniu dziejopisowie, gdzie niepodległość, a wielkie znaczenie polityczne naród podnosi, gdzie swobody i wolności jaknajpowszechniejsze, gdzie dość tęgie cnoty, duch publiczny w swojej trwa mocy. Tam jest gniazdo historyków, bo tam najsnadniej godność i prawość historyczna zasiedlić się może. Lecz nauka, naśladowstwo, filozofia, i cnych uczuć ożywianie mogą niedostatek wspomnionych warunków zastąpić, kształcić dziejopisów. Dzisiejszy stan Europy wielce do tego ród ludzki uspasabia.

§ 15. W całym blasku swoim w dziejach mając jaśnieć prawda, pragnie widzieć w historykach wyznawców swoich, powołuje ich do wydawania głosu w spokojności i łagodności, w najszczerszej bezstronności. Jest atoli człowiek igraszką zewnątrz nań działających okoliczności: i historyk uległy im, kierowany swem położeniem, stanem, swemi uczuciami, usposobieniem. Stąd zawołano niebacznie, że wyzuć się ze wszystkiego bezwarunkowie winien: nie mieć ojczyzny, nie mieć religii, przywieść się do zupełnej obojętności, wyzuć z wzruszeń i ludzkiego uczucia. Ostre te wyrazy wymagają niezmiernego złagodzenia, obwarowania ich charakterem, który historya nosić powinna.

§ 16. Zbliżająca tożsamości filozofia wprawia niepomału

do bezstronności, waży na jednej ważce ludzkie religijne uczucia, waży uczucia przywiązania do ojczyzny, w równowadze wreszcie utrzymuje sprawę stron wszelkich w zawód lub do walki z sobą stających. Lecz niejednostajne wyobrażenia religijne w sercach ludzkich zagnieździły się; narody różnemi skłonnościami odznaczone; strony działające niejednostajnie zacne czynności przedsiębiorą. Historyk wszystko to oddaje we właściwej barwie, a wystawując szczerze, nie zaniecha w słowach swoich podnosić to wszystko, co tylko uzacniać i uszlachetniać czynności ludzkie może.

§ 17. Kiedy więc ten jest wielki obowiązek, ma on sam być przejęty duchem publicznym od warunków ubocznych niezawisłym, ma się napawać najżywiej uczuciami, które określać mu wypada. Musi czuć dostojność własnej religii, unosić się miłością ojczyzny i narodowości, żeby był mocen oceniać uczucia, z któremi najwięcej jest w dziejach do czynienia. Nie idzie tu, ażeby on, powabnie wystawując rzeczy ludzkie, rozlewał się w rozliczne sentencye, podniecać ludzkość do szlachetnych działań mające; bo jeśli innych sam skłonności będzie, te wśród wywoływań najpiękniejszych swe ślady rozproszą, jego prace skażą. Jest uległa krewkości człecza natura; ale pilną bacznością własne skłonności przenikający winien jaknajmocniej sam się przejąć tem wszystkiem, co ludzkość uzacnia; do tego wszelkie swe poruszenia, życzenia i usilności, wszelkie trudy zwracać, ażeby z najżywszem przekonaniem czuł, że jest tworem dla społeczeństwa żyjącym, żeby złe skłonności, w najlepszych czynnościach markotność sprawujące, umilkły: wówczas spokojnie wyrażana prawda historyczna będzie napojoną i nasiękłą tą prawością i godnością, do której się historyk osobiście podniósł. Nie zachwieje nim lube mu uczucie przywiązania do ojczyzny, do politycznego znaczenia, do religii, do tych najdostojniejszych w czynnem życiu rodu ludzkiego widoków; nie zachwieje nim to unoszenie się we własnym duchu publicznym, bo tym sposobem obce tegoż rodzaju uczucia szanować może; ani sprawią na nim wrażenia otaczające go okoliczności, któreby ów duch publiczny i zacny względnym i warunkowym uczynić mogły.

§ 18. Niepłatany w prywatne, ściślejsze związki, może

spokojniejszem na wszystkie strony poglądać okiem. Lecz jeżeli familijne związki, jeśli go uwikłały zainteresowania się w obce sprawy, już z położenia takiego *[historyk]* podnoszący swój duch publiczny starannie umarzać musi to, coby temu na zawadzie stawało, gasić w sobie rozmaite uczucia, któremi ujarzmiony i spętany zostaje, a które, tłumione w sobie, albo nie dopuszczą dopiąć zamiaru i zjednają stronie, do której się przywiązał, pobłażanie, albo też, przemożone, surowość zaostrzą. Przez takie wreszcie uplątanie się w stronnictwo małego interesu historyk niepewnym się stawa, jak dalece z interesu powzięte skłonności, jak dalece stanowić jego głosem będą, gdy mu przyjdzie obce, ale naturą swą podobne przypadki wystawiać. Szczęśliwy historyk, który w małe związki nieusidlony, swemi interesami niezajęty, do najzacniejszych uczuć społecznych podniesiony, w spokojności wolne słowa bez przykrego oglądania się w duchu publicznym głosi.

§ 19. Całą usilnością zamieniający się historyk w jestestwo najwyższej moralności, cnemi uczuciami doda pięknej barwy historycznym zatrudnieniom swoim, albowiem niemi tylko może do serca ludzkiego przemawiać. Jego więc poruszenia nie będą uwłaczać znamionom historyka, jeżeli własne uniesienia swoje zwróci do pożądanych od historyi uczuć. Obruszą jego przedmioty ludzkość poniżające, zadające jej cierpienia, krzywdzące ją; zachwycą jego serca wspaniałe czynności, rozczuli go dobroczynny i litościwy uczynek; a to tak, iżby nie same pojedynczych osób drobiazgowe zdarzenia zabawiały, ale najwięcej społeczeństwa, narody, powszechny rodu ludzkiego interes zajmował. W tak podniesionych uczuciach historyka jego miłość własna, w sprawie powszechnej rozkosz znajdująca, cieszyć się będzie, że wielkości przedmiotu, którym się zajmuje, swemi usilnościami odpowiada i w nich stara się ziomkom i ludzkości być pożytecznym.

§ 20. Słowem, z natury prac historycznych wypada, że historyk przy pracowitości niezmordowanej, przy usilnościach ducha postrzegawczego, przy sposobnościach, jakie *[tak]* mu natura udzieliła, powinien się starać o naukowe usposobienia, do filozoficznych działań wprawy nabywać, krytyczne zdolności doskonalić i dokładać usilności, aby mógł się osobiście poszczycić

charakterem tym, jaki sama historya mieć powinna. Takim gdy ma być dzieje ludzkie badający i wystawujący, obowiązki jego i prace powinnyby stawać się najpowszechniejszem i najulubieńszem zatrudnieniem człowieka rozumowie pracującego. Zaprawdę, ciężkie są dziejopisów zawody, prawda, że z liczby niezmiernej pracowników około dziejów ludzkich chodzących nader mała wspina się do szczytu; ale ułatwienia, jakie w sobie mniej więcej każdy znajduje, zajęcie się tak interesownym przedmiotem, jakim jest śledzenie losów ludzkości, powinnoby wabić każdego. Nieotrzymanie najwyższego zaszczytu nie poniży zawodnika; pozostaną mu w wydziale wielkie zasługi, które otrzyma, wcielając się do uzacniających go zatrudnień. Skoro zaś dość szczęśliwym będzie, że zostawi w częściach wytrawne i dojrzałe prace, z chlubą to będzie mógł powtarzać: i ja też przyczyniłem się do podniesienia historyi, do skierowania ziomków, że otrzymają wawrzyny historyków.

B) „Ocalenie Polski za króla Łokietka“ (1822).

Odczyt; obacz Życiorys. Najpierw w «Dzienniku Warsz.» 1826 r. V, str. 97—111 i 219—32; «Polska W. Średn.» T. IV (V ogól. zb.) str. 237—59.

466) 1. Skandynawskie na północy Skaldy z westchnieniem biorą lutnią przypominać przeszłość! Jęcząca północ rada udzielać czułą łzę wspomieniom! W cierpiącem i melancholicznem tchnieniu wznawia pamięć swoich bohaterów i rycerzy, znajduje ulgę i wypoczynek w cnotach walecznych ojców. Blade światło upłynionych wieków nie rozwesela rozczulonego serca, ale odświeżany promyk jego słodko przejmuje zacniejsze uczucia. Tak przeszłość ludzi zajmuje, a ta przeszłość, śpiewów północy przedmiot, jest równie udziałem historyi. W niej są, niecofnione już, zaszłe przemiany ludzkości, w niej zadatki niepewnej przyszłości. Różne wrażenia, nieraz dolegliwe, przeszłość działać zdolna. Gdzie w niej powstanie państwa jakiego bez wielolicznych ruin i upadków? gdzie tryumfy cnoty, bez odrażliwych dzikości i przestępstw! Zniechęcony ku ludziom człowiek, oburzony tem, upada na umyśle; lecz historyk nie poddaje się pozorom, albo samej tylko złej wróżby pochmurnym

widokom: wystawia na wstręt i ohydę gwałty i wykroczenia; wypoczywa na cichej cnocie, często cierpiącej, która jednak w wytrwałym bycie swoję błogość znaleźć może, o swojej prawości nie wątpi. Łączy on i spaja wieki, oczekuje większego doświadczenia, które się staje dalszej potomności udziałem. I niezawsze samo rozerwanie i upadki w przeszłości dostrzega; niezawsze jedynie przerażające widoki rozpatrującego się w dziejach zajmują. Znajduje on więcej przyjemne obrazy: odradzającej się ludzkości, postępującej i ulepszonej towarzyskości, ocalonych narodów i państw, ochronionej i podźwignionej budowy, bez ruin — wstrzymane i skruszone ciosy, położone tamy zgubnym zamachom, naprawiony gmach i nowe życie jemu nadane. Ku tym widokom chcemy zwrócić baczność naszę, nad niemi zastanowić uwagę, albowiem dzieje różne tego wskazują przykłady.

2. Zlewek ludów utworzył naród Franków; zabory prowincyi rzymskiej i wielu narodów niemieckich dźwignęły ich wielkie państwo; Karol Wielki dopełnił jego wspaniałości: lecz niebawem Francya idzie w rozsypkę. Był nieprzyjaciel postronny, który mógł roznosić klęski i spustoszenia, ale jej obalić nie był zdolny. Francya sama przez się dzieli się i rozsypuje. Jej wielkości główne siedlisko i środek: okolice Renu i Akwizgranu, w powszechnej rozsypce tracą to imię, tyle czasów za Merowingów i Karlowingów świetne. Imię Francyi zacieśnia się do okolic dolnej Sekwany i Paryża. Między Pyreneami, Rodanem i Mozą kilku książąt, czterdziestu kilku hrabiów — panują: reszta poddani lub niewolnicy. Umilkło dawne prawo ich, tylko osobista wola i moc włada. Ich zbiór wprawdzie nazywa się Francyą Zachodnią, ale między sobą udzielni składają drobne i liczne państwa. Żadnej połączenia nadziei; wieki, owszem, to rozerwanie umocować mogą: zniknienie Francyi wówczas niechybne... Lecz z Kapetów hrabia Paryża, który księstwem Francyi rządził, nosił tytuł króla Francyi. Nie przeczyła mu tego hierarchia duchowna, ni książęta, ni hrabiowie, ani ich wassale i mieszkańcy między Pyreneami, Rodanem i Mozą: mógł się o prawa korony upominać. Niemałą czasu koleją jego władza, z nią i ocalenie, znizkąd ustronnie niezachwianego, a tak dalece w rozerwaniu rozsypką grożącego, gmachu wzmagać się mogły.

Polityką dworu Kapetów Francya zniknienia uszła i państwem utrzymała się.

3. Innego rodzaju było rozerwanie potomków Ruryka. Ród licznie rozrodzony; ani wielki kniaź zwierzchnictwo mógł utrzymać. W rozerwaniu jarzmo mongolskie, a więcej jeszcze zabory litewskie i polskie zagrażały zupełnem umorzeniem bytu ruskich Ruryka potomków, zapowiadały zniknienie Rusi. Wszakże w mongolskim ucisku ucichły dawne prawa i na wieca zwołujące dzwony. Dźwięk innych powoływał tylko do chwały Najwyższego, którego dopełnianą wolą *[= wolę]* z poniżeniem i rezygnacyą lud znosił. Jeżeli gdzie podźwignie się usilność jaka, opiera się jemu ciało martwe, stronnictwo lub zdrada. W smutnym wieku tym dźwigała się autokracya wielkiego kniazia moskiewskiego, od ujarzmiciela wspierana. Aż przyszedł czas, w którym na Polach Kulikowskich śmiałość Dymitra, wsparta dzielnością Włodzimierza Andrzejewicza, przełamała Moguły. Zaczem zewnętrzne okoliczności autokratorom ulgę uczyniły; albowiem, wstrząśniona wschodniemi najazdy, horda Ruś ujarzmiająca rozerwała się i nie tyle już straszna; lecz drugie sto lat upływało, jeszcze wyswobodzenia państwa nie było, albowiem tażsama horda jeszcze trwogę siała. W trudnym razie metropolita Gerontiusz, arcybiskup Wassyan i opat Paissyus, powoływali głosu niebios za ludem; tchem swoim ufność i męstwo podniecają, a wszakże, zachęcany do boju nad Ugrzą, jeszcze Iwan chwiać się zdawał. Obawa obie strony z pola rozegnała. Lud ruski błogosławił niebo, że go cudem ratowało. Tymczasem horda ze szczętem znikła a Gedymina potomkowie, w pokrzyżowanych interesach swoich, przestali być groźni. Usunęły się tym sposobem okoliczności, które z zewnątrz Rusi zagrażały upadkiem. Autokracya ruskie wielkie księztwo moskiewskie ocaliła, a imperyum rosyjskie dźwignęła.

4. Nad jakąż przepaścią stali Kanutów w Danii potomkowie! Rozkazywali niegdyś jedni Kanutowie Anglii, inni pobrzeżom morza Bałtyckiego. Dania najpotężniejszem w Skandynawii była królestwem, wszakże zdawała się niknąć; rozrywała ją najwyższa arystokracyi niesforność: szerokie ziemie i całe prowincye odłużone w zastawie, hrabiowie niemieccy, siejąc postrach i odmęt, ponękali i zagarnęli resztę. Lud, ich uciskiem

dojęty, szukał równie niebezpiecznego lekarstwa jak niebezpieczne były cierpienia, i część trzecia Danii poddała się Szwecyi. Król wspaniałego tronu Kanutów, bez państwa, na ustronnej wysepce, umierał — i więcej Danii nie było. Jeden hrabia niemiecki, Gerard, myślał coś więcej: zaczął podbijać, i możeby, jak cudzoziemiec zaborca, tytuł zgasłego króla wskrzesił i królestwo przetworzył; lecz nie wszystko jeszcze zagładzone zostało, albowiem — byli Duńczycy. Zapowiada Gerardowi zgubę i śmierć Mikołaj Ebbesen. Wśród nocy, wśród tysięcy czuwających, dopełnia awanturniczego zabójstwa, a znagła nowy duch w poniżonych krajowców wstąpił: powołali Waldemara III. Życzliwe mu zrazu serca odpowiadały niestrudzonej jego czynności. On, w sądach niezbłagany, on, rozpoznając rozerwanie dóbr koronnych, surowy, w powściągnieniu nadużyć ostry, szukał pokrzepiających się *[go]* sił; odcinając słabsze członki, Estonią sprzedał, podobnie Skanią — za co inne kraje i wyspy wykupywał. Jednakże to naprawienie państwa niezupełne jeszcze. W długiem panowaniu niezmordowany Waldemar III jeździł po świecie, plątał się w niezgody postronne, trzymał na wodzy wewnętrzne, szukał przyjaciół w głowie Kościoła, między sąsiadami. Odzyskiwał straty, bo Skanią odzyskał. Wszakże pod koniec panowania, 1368 r., wyzwana jest nań wielka burza: związały się miasta Hanzeatyckie, hrabiowie postronni i część własnych jego poddanych. Zwątpił o sobie starzec i państwo, zdawało się, że opuścił, że je na łaskę cesarską zdaje, a więcej na czułość krajowców. Utrzymał królestwo i zostawił, nie zawsze równie silne, ile że od harmonii wewnętrznej zależące. Nieraz Hanza groźną być mogła; zawsze jednak Danią i życzenie i ruch krajowców a wielka czynność ich króla — od rozerwania i ujarzmienia ocaliły.

5. Jak Francya, Rosya, Dania, w różnych czasach, nie w jednostajnem rozerwaniu, rozsypaniem się i zniknieniem groziły, tak różny zbieg okoliczności i różne środki ratowały: powolnym a zręcznym biegiem we Francyi, dotrwałością i szczęściem w Rosyi, żywą przemianą i czynnym ruchem w Danii. Gdy tedy historyk, równie jak Skaldowie Północy, posępną przeszłość tęskną przebiega myślą, gdy się w niej zagłębia i działania ludzi rozważa — znajduje obrazy przeszłości mogące stru-

dzonemu upadkami umysłowi pogodniejsze otwierać widoki, nakazujące, w najtrudniejszych razach wielbić cnoty, które każdy rad w dziejach ojczystych widzieć. Tegoż czasu, w którym do exystencyi swej wracała Dania, tegoż czasu ratowała się Lechia czyli Polska.

6. Zbliżał się do końca wiek drugi, od czasu jak Krzywousty Bolesławowskie państwo między syny podzielił, a pomiędzy narodami, czyli udzielnemi państwami w Europie będącemi (jeśli potomków Ruryka wyłączymy), niema podobnego przykładu, aby tak stale naród czyli państwo jakie w jednej familii dziedzicznie podzielone było. W siódmej generacyi coraz nowe podziały zachodziły i drobniał ród Piastów, bez nadziei, aby spadkami Państwo Bolesławów połączyć się miało: książęta Krakowscy, Szlązcy, Mazowieccy, Polscy i Kujawscy, do których spowinowaconych, innego rodu, Pomorskich liczyć należy, byli między sobą udzielni i niepodlegli. Pierwszeństwo Krakowa znikomym było tytułem; ani się krakowski polski monarcha o jakie zwierzchnictwo upominał. Żadnego węzła, ni feudalnego, ni federacyjnego.

Rozerwana między książęty hierarchia kościelna jedynie całość jakąś ukazywała: ponieważ we Wrocławiu, w Krakowie, w Płocku, w Lubuszu i w Kamienie *[tak]*, Gniezno za metropolią znano. Imię Polski stało się prowincyonalnem, zastąpiło je, w nikłącej spólni, imię Lechii. Pełno w niej niezgody, niechęci i braterskiej nienawiści. Coraz brzydsze zdrady i coraz *[więcej coraz]* dzikszych zagęszczało się wydarzeń. Wyrzekali się książęta swojego plemienia; otaczając się Niemcami, stawali się dla swego narodu cudzoziemcami. Warowniejsze od częstego zniszczenia miasta zaludniane były przez Niemców lub poniemczonych Czechów. Rosło miast zuchwalstwo, a z niem pociąg ku książętom zniemczałym, przychylność dla Czechów i Niemców. Ależ i pomiędzy większymi pany egoizm groźnie się ukazywał! Biskupi, wojewodowie, kasztelany, starostowie, przerzucali panującymi; szczególniej naczelny Kraków na wdzierstwo wystawiony. Zgasł duch publiczny i narodowy, o zmiennictwa i zdrady kraju nie trudno. Wielka część krajowców — cudzoziemska; część wielka — w obłąkaniu; reszta, jak martwa ofiara, strasznemi niedawno poterana klęskami, zagonami Tatarów rozorana, w anarchii do-

mowej, wzajemną łupieżą wyniszczona, smutnej przyszłości wyglądała.

7. Tymczasem zewsząd, zbliża, nastawał Ród Niemiecki. Były dolegliwe, ale przemijające, litewskie napaści. Od Węgier zasłaniały góry i wieloletnia spokojność, zgodną obu narodów skłonnością warowna; lecz do rzeszy niemieckiej należący Czesi, Margrabia Brandeburski, Książę Szczeciński, Zakon Krzyżacki, jednym duchem grabieży i nienawiści tchnący, podają sobie ręce. Już Czesi, Księztwo Opawskie trzymając, na inne nastają; już margrabiowie część Szlązka, Lubusz i okolice Noteci z Wartą zagarnęli, Zakon dopełnił zaboru Prusaków i widocznie brał się na wyłudzenie ziem Polskich: któryż z książąt Lechii mógł się mierzyć z możnym margrabią a, daleko potężniejszym, Czeskim Królem? Któż mógł ocenić siłę Zakonu? Żelazem warowne, Europy rycerstwo lądem i morzem ściągało się pod znaki ich krzyża; różne Europy okolice składały do karbon pieniądz i dostatki swoje na utrzymanie ich warowni i zaciągów. Posiadał już zakon w Prusiech ziemię równą najpotężniejszym w Lechii księztwom, przewyższającą je obwarowaniem swojem; posiadał i szersze daleko, bo mu dań i pomoc niosły Inflanty i Kurlandya. Pod bronią stojący niemiecki Zakon na każdy raz gotów wyraźną przemoc przeciw książętom Lechii wywrzeć. Tymczasem w Lechii książęta, mieszczanie, i pany nawet, tchną duchem zawrotu, poszukują Niemców; na zgubne zjednoczone ciosy otwarte Lechii łono: zatarcie imienia narodu niechybne.

8. Ubiegał czas, a z każdym rokiem trudniejsze położenie, bliższy wszystkiego upadek. Wśród ponawianych klęsk zjawia się niejaki opór i usilność podźwignienia walącej się budowy, ale ponawiane razy zdają się do ostatka nękać. Za króla Łokietka półpięta wieku exystujące Bolesławów Państwo, zdawało się, że dogorywa i gaśnie. Niedawno, za Leszka Czarnego, srogiemi dotknione łupieżami, traciło ludność; napływ cudzoziemców pozamykał się po niewielu miastach, i cudzoziemcy miasta Krakowa narzucają Lechii monarchów. Prawy dziedzic, Łokietek, o panowanie dobijać się musi. Każdy połysk pogodniejszej przyszłości nowe ciosy zaostrza. Wskrzesza tytuł królewski Przemysław: i poległ pod morderczem żelazem; od Morza Baltyckiego do Gór Karpackich pospajały się *[dzielnice]* pod Łokietka obszerne księztwo: i Łokietek obudza ku sobie niechęć. Knują postronne zmowy arcybiskup i biskupi poznański i kujawski; niechętny Czech na króla wezwany: Łokietka wszystko opuściło — poszedł na tułactwo... Poraz pierwszy dla cudzoziemca ród Piastów porzucony.

9. Wszakże powrócił Łokietek i nikt nie wątpi, że mu królestwo należy. Tymczasem co zniewag i strat! Bez władzy, cesarz dysponuje Lechii ziemiami; Król Czeski bierze tytuł Króla Polskiego i wdziera się do kraju, a niechęcią ku bratniej krwi pojątrzeni książęta za pana go uznają; szlązkie księstwa, nawet mazowieckie, odpadają od Lechii. Król Czeski, Margrabia Brandeburski, Książę Szczeciński, Krzyżacki Zakon, frymarczą między sobą grabionemi ziemiami. Wyłudza Zakon od kujawskich książąt najwyborniejsze okolice. Podstępem, zdradą i dzikim gwałtem tenże zakon ze Szczecińskiem książęciem Pomorze rozrywa. Ród niemiecki Lechią od morza odcina. Srożą się na kraj zrozmaicone zamachy: Łokietek niewiernością otoczony. Jak bunt Szwenców rozpoczął kolej utraty Pomorza, tak nie zaraz złożyli powziętą niechęć Wielkopolanie, tak miasto Poznań oddano w ręce szlązkie, tak zmienność Biskupa Krakowskiego, wpływ Niemców i Czechów, w Krakowie i okolicach mieszkających, wydały stolicę cudzoziemcom. Chwiała się w sobie reszta budowy, kiedy zbyt przemagający Zakon, głuchy na wyroki i zwierzchnicze rozkazy, w przestępstwie zakamieniały, pozostałą resztę Lechii ujarzmić pragnie. Straszna jego przemoc grozi — wtedy, gdy zdrada Szamotulskiego, otwierając najgłębsze kraju ustronia, łupieżą i pożogami uprawiała do przyszłej zdobyczy ofiarę. Kujawy przez Zakon zajęte. Poważne Państwo Bolesławów, za synów Krzywoustego około 5.500 mil kwadratowych liczące, tak długo rozerwane, niewiele do czasów Łokietka uszczuplone, za niego, nagle, z odpadnieniem Szlązka, około 1500 mil uszczerbku doznało, drugie tyle przez zabór Pomorza i Kujaw, a tak więcej jak do połowy zmniejszone.

Stracona połowa, mocno ludniejsza i zamożniejsza; w pozostałej blizko część trzecią składało niewierne Mazowsze. O tej reszcie pozostałej, świeżo tak ciężkiem krzyżackiem zniszczeniem dotkniętej, zamyślał sam Zakon i Król Czeski, który się Polskim nazywał. Ostąpionej zewsząd, zacieśnionej, bez wspar-

cia już targniętej resztki — łatwy podział, łatwe zniknienie. A tak ubiegał czas i za każdą Łokietka chwilą trudniejsze położenie, bliższy wszystkiego upadek. Tak bujał przed wieki świetnym blaskiem obłok, bieg czasu go ocmił w ciemną chmurę; ubiegał czas i w niczem jej nie rozjaśniał: gęsta i ciężka utrzymywała się, a spójność jej słabiała. Wtem nadbiegają lata: szumiące wichry i ostre wiatry rozrywają. Przerzedza się, blednie, lada wietrzykiem powionięta chmurka; pewnie zaginie w uchodzącej przeszłości. Wszakże, zatwardziały w cierpieniu i trudach, Łokietek kierował nią; nie rozpaczał, a z nim również przeczuwający naród. Bo uczuł dzielny Łokietek, że przesilenie nastało, dostrzegł poruszające się, dawniej uśpione, sprężyny, które zdolne były rozwijać środki dźwignienia się z przepaści, a odradzającemu się narodowi nowe życie nadać.

10. Hierarchia duchowna, wspomnienie na wspólność szczepu panujących książąt, pokrewieństwo, język i dawne zwyczaje, utrzymywały pamięć jedności rozdzielonej Lechii. Wszystko to jednak wpływ i przewaga obca rozerwać, opanować lub wytępić mogły, wytępić usiłowały. Wszakże wśród ponawianych i coraz więcej trwożących niebezpieczeństw zjawił się niejaki opór i usilność podźwignienia. Tam zaś większa, tam skuteczniejsza usilność, gdzie niezwątlała narodowość, gdzie odpychany obcy obyczaj, gdzie zaostrzana pilność, żeby cudzoziemcy, ani na duchowne, ani na świeckie nie cisnęli się urzędy; gdzie skuteczniej działały starania biskupów o całość języka krajowego, żeby po szkołach rodowici krajowcy uczyli, a jeżeli cudzoziemcy uczyć mają, żeby dobrze polski znali.

Po zarzuceniu kroniki Galla po tychże szkołach dla łaciny wykładana Kronika Wincentego syna Kadłubka odświeżała wspomnienia dziejów narodu i jego dawnej całości. Czytano w dziejach, w kronikach Galla, w legendzie Św. Stefana, zapowiedzenia obecnego podziału Lechii: i połączenia jej z tych przepowiedzeń oczekiwano. Nic tedy dziwnego, że się zjawiło życzenie spojenia rozerwanych cząstek, podźwignienia z ciężkiego upadku; nic dziwnego, że przy życzeniu objawiła się usilność odpierania tych przeciwności, które ostateczną groziły zagładą. Niechęć ku nastającym Niemcom pobudziła była Kaszubów i Gdańskie Pomorze, że Przemysława za pana uznały.

Przez koronacyą Przemysława i następców jego przepowiadał naród nieprzyjaciołom, że z kimsiś więcej, niż z drobnemi książętami, rozpierać się mają. Wzięli się przez się Małopolanie Lublin odzyskać. Chętne było wszędzie przyznanie Łokietka; jego powrót odświeżał przykłady powszechnych życzeń i rosnących usilności.

11. Wszakże tylokrotne usiłowania strasznie przetrącane były: tyle zdrad, tyle zmienności, wśród czterdziestu lat nieustających Łokietka zabiegów, pokryły kraj żałobą: tyle strat, tyle grabieży przemocą dokonanych zostało: wszystkie usiłowania zdawały się daremne. Z ubytkiem sił i środków ściśnione działanie reszty czyliż się w usiłowaniach nie wysili? czyli w życzeniach nie ostygnie? czy usiłowania nie zostaną przełamane i pokonane? czy w miarę wzrastających niebezpieczeństw również natężone być mogą? O tem, czterdziestoletniem doświadczeniem wspierany, Łokietek był w stanie sądzić. Łokietek nie rozpaczał; ale dotrwałości, ale czasu było potrzeba: co sam czuł, o tem wszystkich przeświadczyć należało. Trzeba zapewnić miasta, że kraj przez się utrzymać się może, żeby w nich życzliwość wzbudzić, do powolniejszego prowadzenia się skłonić, ich wierność wyjednać: słowem, trzeba było Łokietkowi przelać uczucia swoje w lud cudzoziemczy, za krajowców przyjęty. Z innej strony trzeba obłąkane panów myśli na prostą zwrócić drogę, w całym narodzie jedneż uczucie podniecać, ożywiać i podnosić. Pewnie od początku nie brakło życzeń; pewnie że z powrotem Łokietka każdy pragnął odetchnąć nadzieją i zaufaniem. Wierzbięta kasztelan, Andrzej ze Zmigroda, wojewoda, Klemens kanonik — krakowscy; Żegota, wojewoda, Prandota, kasztelan, Smil, sędzia — sandomirscy otoczyli Łokietka; Sandomierzanie, a za nimi inni Małopolanie, przywiązali się do [illegible] i do powszechnego interesu. Gerard, Biskup Kujawski, poświęcił swe prace krajowi; poświęcili je inni, obywatelskiem [illegible]iem przejęci. Uczucia niewielu z postępem czasu większej [illegible]dzielały się liczbie. Upowszechniał się i wzmagał zwolna duch publiczny i narodowy: aż czarna Szamotulskiego zdrada, dotknąwszy zbyt szeroką kraju przestrzeń smutkiem i cierpieniem, otworzyła niebacznym oczy. Poległ zdrajca pomstą strat poniesionych: rzucona trwoga na zdrajce, obawa klęsk podobnych

natężyła pilność. Wszystko odetchnęło zaufaniem i jednością, podrosła wrodzona dzielność i zabłysnęły od wielu czasów nieznane cnoty. Po tylu leciech i ciężkich próbach widział Łokietek wielką w umyśle i sercu przemianę, patrzał na powolny postęp — i ujrzał w pozostałej resztce nową siłę, jakiej całość wprzódy nie miała. On sam tą siłą naród natchnął, swoją go żywił dotrwałością, a w resztce pozostałej naród sam przez się dźwigać się począł.

12. Przeciwnościami poduczony, Łokietek, gdy wrócił do kraju, nie zaległ nieczynnością. Urządzał te cząstki, które do niego przystępowały, lub przy nim pozostały — postronnie traktował. Leczył rany niedokładnie dopełnianej sprawiedliwości; ogłaszał edykta i uchwały, naprawujące porządek, powściągające łotrowstwa; powoływał do powolności krajowców: staraniami swemi był poprzednikiem króla prawodawcy. Z Dworem Papiezkim odnawiane umowy; u niego wyjednywane wyroki i rozkazy przeciw nieprzyjaciołom; od Węgier, z któremi narodów przyjaźń a królów pokrewieństwo trwało, uzyskiwane niekiedy małe wsparcie; szukane nawet książę szczecińskie, które ciężko Lechią skrzywdziło, ale ze wszystkich najłatwiej upamiętać się mogło — które niemniej od sąsiadów Niemców niedość bezpieczne, jeszcze kiedyniekiedy na wspólność krwi, na świeżo kojarzone pokrewieństwo wspominało. Wszakże niedość było tego Łokietkowi: opuszczony od stryjecznych, od synowców stryjów, którzy wszyscy, nieludzką ku niemu nienawiścią powodowani, swojej krwi, swojego się języka i naddziadowskich wyrzekli uczuć; którzy wyrzekli się narodu własnego i występną przeciw niemi podnieśli rękę: opuszczony od Piastów, szukał dalszych nieco braci, szukał dzielnych króla Mindowe następców. Już od czasu niejakiego przez pośrednie Mazowsze poczęła się mieszać krew litewska z polską. Nietylko na polu wojennem, nietylko przez uprowadzanych jeńców, ale sojuszami i osadnikami, oraz małżeńskiem łączeniem się obu narodów, powiązała się Litwa z Mazowszem. Przedysława, córka Trojdena Litewskiego, stała się matką linii czerskiej; Danmilla, córka Gedymina, — małżonką i matką książęcia płockiego. Już jedynie z księżniczek litewskich potomki w Mazowszu panowali. I Mazowsze pierwsze otwierało środki przyszłego połączenia

dwu narodów. Łokietek zwracał na to baczność; jego starania, a jeszcze więcej, wspólny Litwie i Polszcze nieprzyjaciel, Krzyżacy i Niemcy, wzajemną przychylność ustalili. Córki Gedymina: Marya stała się małżonką z mazowieckich ruskiego książęcia, Anna Aldona — Kazimirza, syna Łokietka. Stanęły przymierza szerokiej ściany: od wschodu pokój zapewniony; wspólne działanie dwu państw rozpoczęło się; dla Polski w Litwie otwarta gościna, odnawianie się związków przyjaźni i pokrewieństwa coraz częstsze. Łokietek stał się sprawcą przyszłego spojenia i zlewku narodów. On i Gedymin zbierali pierwsze owoce związku, nim jego prawnuka z Gedyminowym wnukiem na jeden kłębek dwu narodów wątek nawinęli.

13. Tymczasem ustąpiła trwoga od strony margrabstwa; od strony Czech, po tylu stratach, nie ciągłe gromy słyszeć się dawały; od Zakonu tylko, tak w posiadłość, siłę, zamożność i potęgę wzrosłego, największe niebezpieczeństwo! W tę stronę całą usilność swoję, więcej laty, niż niemiecką przemocą dociskany, Łokietek zwraca; w tę stronę waleczność narodu wyzywa; na równinach Płowców odświeżyła się dzielność przodkom właściwa. Nowe straty, zwycięzców ścigające, powoływały Łokietka i naród do nowego sił natężenia — i w pozostałej resztce więcej się znalazło wigoru niż w rozerwanej całości. Z pozoru nie widać tego było: niema dawnej rozciągłości, wszystko w resztę mniejszem zostało, ale się zjawiły siły moralne, tyle czasów bądź odrętwiałe, bądź martwe. Miał je sam w sobie zczerstwiałe Łokietek; znalazł je, w niedoli szczęśliwy, w swoim narodzie. Jednakże zakrótkie były dni Łokietka; czując jak dalece wszystko jego duchem tchnęło, siwizną pokryty, umysł spokojny w czynności utrzymywał, serce słodkiemi ożywiał uczuciami i poglądał na przyszłość! Jeszcze on się przysposabiał i pokrzepiał wątlejące siły ciała; ale wiedział, że rozpoczęte dzieło zostawia następcy i narodowi. Ochraniał tedy dni młodzieńcze syna; upominał go, aby pomniał na potrzeby narodu, którym włada; aby, naśladując ojca w męstwie i stałości, wiódł waleczne rycerstwo a odzyskiwał potracone kraje i zamki. Tak w chwili, gdy najtężej zdawał się być Łokietek ściśnięty, wówczas najwięcej wre, starością zasilony, zapał jego. Wielka dusza, do nieprzełamanego oporu stworzona, nie umiała się pomyślnością przyzwoicie cie-

szyć; w niedoli rzadką dotrwałość okazuje, a w prześladujących ją przeciwnościach swoją wielkość rozwija i zostawia ową chmurkę przerzedzoną i zbledniałą, która, byle powionięta, zniknąć mogła — zostawia w objęciu zbyt małem, ale nowem światłem połyskującą, zostawia ją, żeby się w biegu dalszych pokoleń pożywnym w przyszłości tchem posilona, w jasny obłok roztoczyła.

14. Nikt nie wątpił, że Bolesławów Królestwo uratowane zostało. Tak wśród cierpień i klęsk ta przeszłość, te upłynione wieki więcej przyjemne obrazy otwierają. Mimowolnie unosi się ku nim umysł i serce, wpatruje w postęp i dziwną zmianę rzeczy ludzkich, a pociesza się, gdy widzi w szczątkach ocalone domowstwo, podane mu środki powolnego naprawiania burzami skołatanych ścian, wzmocnienia ich na odświeżonych posadach, odbudowania obalonych. Bez szkody chciwych, łupieżą jeszcze nienasyconych, sąsiadów ma wkroczyć w przyszłych czasach w granice swoje Zakon; zostają wzrosłe margrabstwo i Czechy; a wszakże Królestwo Bolesławów od ich nastawań już jest warowne i w sobie mocne. A jeszcze nowy w upłynionej przeszłości zjawia się widok, gdy ochroniona przez Łokietka budowa ma być przez następców podźwignioną do wielkości. Kreśli ten wielki obraz w dziejach poszukiwana przeszłość, odnawia wspomnienie imienia, które przez wiele pokoleń imieniem wielkiego uczczone zostało.

15. Łokietka syn, Kazimirz Wielki, szukał, zamiast zaleconej od ojca wojny — pokoju: traktował sam i do przystępowania do traktatów niewolił naród. Obsiadły go: przy boku niepewna rada; z południa, w pokrewnem sąsiedztwie, interes; od zachodu — obłudne przyjaźni oświadczenia, wyłuda grosza lub ziem, a niekiedy gotowa napaść; od północy naostatek — niewiara, upór i największe niebezpieczeństwo.

16. Żeby pokój pozyskać i utrzymać, trzeba było Kazimirzowi dać się łudzić: zrzec się Szlązka dla umorzenia tytułu, jaki Czescy Królowie przybierali; odstąpić i przyznać posiadłość krzyżacką nad Pomorzem, żeby bez wojny Kujawy odzyskać. Stało się to wszystko tak, iż nadszedł czas, że wierne ludy krwi, która je przed wieki z kolebki wywiodła i świeżo z niedoli dźwignęła, która jednak swój język i uczucie opuszczała,

że łatwemi zostały do jej odrzucenia, że odcięte są na zawsze piękne odrzańskie, po większej części mocno zgangrenowane, okolice, że Kaszuby i Pomorze zostawione swemu losowi, a czas wyzwolenia ich w przyszłość odłożony. Używał Kazimirz na łonie narodu wypoczynku, w spokojności i rozkoszy. Gdy wyciągał z pochew oręża *[tak]*, wyciągał go tym końcem, aby wiódł waleczne rycerstwo ku wschodowi — zajmować ziemie, które już język i wpływ narodowości polskiej od niemałego czasu łagodnie podbijał. Prędko wracał do domu, gospodarnością zajęty. Spieszył wyższą naukę w okolice Karpatów przywołać; w skołatanym dawnemi klęskami statku budować; co było dobrego upowszechnić, zebrać i ułożyć. Wymierzał tym sposobem król wydatki stosownie do dochodów; dźwigał uniwersytet obok murowanych zamków rozkoszy i obrony; przerywał niemiecki w sądownictwie do miast małopolskich wpływ, jak już znalazł przerwany w Wielkiejpolszcze; powoływał prowincye do spisywania swoich praw i zwyczajów, czego w Małejpolszcze uroczyście w Wiślicy dopełnił. Co wieki zdziałały, co przodkowie przyjęli i uchwalili, to wyjaśniał Kazimirz, i tak prawodawcą się stawał. Wielkie są jego sprawy, ale nie sam je działa: działa je wspólnie z narodem. I stał się Kazimirz wielkim, albowiem władał ludem, którego mocno natchnęła wielka króla Łokietka dusza.

17. Natchnęła go, ponieważ, gdy Kazimirz wkracza w ślady i myśl wielkiego ojca; gdy dopełnia, co ojciec rozpoczął: gdy na zjazdy, na *colloquia* (na wzór Chęcińskich 1331) zwołuje urzędniki, pierwszych w narodzie, stan rycerski lub miejską reprezentacyą; gdy z nimi naradza się nad potrzebami kraju, naprawia sądy, roztrząsa edykta, gromadzi i odświeża znane prawa, wydziera pozostałą Lechii resztkę z pod wpływu niemieckiego, wyzywa naród do działania przez się, do przejęcia się duchem publicznym, — w tem wszystkiem wszelką znajduje powolność. W umocowaniu i zatwierdzeniu umów i pokoju, które sam Kazimirz i nieszczerość sąsiednia skojarzały, powszechny opór, powszechne protestacye. Przymuszone od kochanego króla, z Piastów ostatniego, podpisywały stany umów warunki, podpisywały je, niechcąc z królem zrywać, nadwerężać wierności: a wszakże w sercu je odrzucały. Skłaniały się wreszcie do podpisów, o ich

nieprawności przeświadczone, oczekując, że nadejdzie chwila, w której samego ujarzmionego ludu głos powoła je do wspólnego odrzucenia tyle razy wprzód od nieprzyjaciół potarganych traktatów. W nich bowiem widziały uczynioną ujmę wzrastającym siłom swoim i krajowi, który w dalsze wieki ma obszernem państwem pozostać; w nich naostatek niedopełnienie i ubliżenie woli Łokietka. Tak tedy Kazimirz był wielkim, ponieważ do wielkości utorował mu drogę ojciec Łokietek, ponieważ znalazł do swej wielkości usposobionych kraju mieszkańców.

18. Wszakże był w tamte wieki taki bieg rzeczy na świecie, że się ludzkość podnosiła i rozwijała. Czasy krzyżowych wojen pootwierały uwadze ludzkiej liczbę wielką nowych wyobrażeń, usposabiały ludzkość do czynniejszego działania. Rozerwanie zeszłych czasów wiązało ściślej w jedność państwa, działanie stanu świeckiego odosobniało od duchownego; tworzyły się w narodach stany, rozmaite towarzyskie porządki i przepisy. Nie były to wieki upadku: pochylenia się przemijające, a czas wyjaśnienia granic. Od tego powszechnego biegu rzeczy ludzkich nie mogła uchylić się Polska i sobie właściwym torem powinna była przeistoczyć się; że ku wschodowi oddalona, zatem, nieco opóźnionem wydarzeniem, doczekała się przemiany swojej za Łokietka.

19. Jego dotrwałość i hart duszy wczas towarzyszyły przesileniu się w Lechii wydarzonemu i łatwo wywołały waleczność narodową, w łagodnym postępie przetrzymałość. Tysiąc lat w państwo zawiązani mieszkańcy równin nadwiślańskich, na różną próbę wystawieni, do różnego działania używani, czas, żeby nawracali większą niż dotąd baczność ludzi poznających: czas rozważać niedostatek ostrości, który tyle wieków nie poniżał, szeroką przestrzeń Europy zajmującego, ludu. Nie jest on wyzuty z żywych uniesień i poruszeń, choć namiętności jego mało się rozgrzewają. Raczej w nim tęsknota albo zaspokojenie serce dręczy lub porusza, niżeliby zbytni smutek do rozpaczy go przywiódł, albo niepomiarkowane ukontentowanie obłąkało. Nic ostrego: wszystko łagodne, w krokach wolnych. Jeżeli brak natężonego działania, brak *[i]* dotrwałości; trudno nagle poruszać i odmieniać; rzadko dobitny czegokolwiek w dziejach narodu

wyraz: zato wszędzie ciąg powolny, ruch nie ustaje, powlokły ciąg rzeczy nie zrywa się. Czyli to osłabienie i nieudolność odpierania nastających niebezpieczeństw i zastawienia się ze strony szkodliwemu działaniu, czyli w odzyskiwaniu sił i nowo rozwijających się usposobień brak momentalnej mocy i nietrwałość zapędu: nie zrywa raz zwróconego dążenia, bo nastające z kolei, powolnem przechyleniem, się zmiany, równie jak właściwe narodowi usposobienia mogą być hamowane, uciszone, ale, zbyt mocno urażone, zostają, a trudno jaką siłą przełamane. Widzisz w nim blade kolory, ale czyste, w harmonii łagodne, na wejrzenie nietyle uderzające, co w głębszem rozpatrzeniu zajmujące; dla czystego oka wyraźne, dla słabego mogą być wśród innych promieni niedojrzałe *[niedojrzane]*, ale zblakować nie mogą; są zawsze teżsame, zatem w biegu powolnym; wysilenie, tak niełatwe, jak ostudzenie serca nietrwałe; a gdy idzie o prawa i byt swobodny, długo naród żywił oczekiwania, polegał na przyszłości, w zmiennem położeniu, choć utęsknione uczucia jego nie gasły. Jeżeli ostygł w zapałach, nie oziąbł w nadziei i poszukiwał co mu czas domierzy. Gdy tak, ciężkiemi zdarzeniami uszczerbiany i zacieśniony, lud nie przestał czuć jednostajnie, moc duszy Łokietka znalazła w nim i poznała potrzebne cnoty i waleczność. Powolniejsze serce i umysł Kazimirza cieszyły się, że rozpuściły cugle wolnego życia ludu, w którym, nie jeden, nie kilku, odrodzenie państwa sprawiły; nie powołani, ale własnem uczuciem pobudzeni, w massie za swą sprawą stanęli. Dopełniła się zatem odmiana w tak szczęśliwem dźwignieniu, że stany, a mianowicie stan szlachecki w polityce państwa czynnym się staje.

20. Tak Łokietek i Kazimirz wespół z narodem naprawiali resztkę ocalonej Polski, walczyli z nieprzyjaciołmi obcego rodu i z pokrewnemi książęty. Za tem poszło, iż Piastowie z tronu ustąpili, a obok króla szlachta w imieniu narodu występuje. Zaszczepione od Łokietka latorośle miały czas rozgałęziać się i rozkrzewiać za Kazimirza Wielkiego; schorzałe usposobienia narodu, po przesileniu wyzdrawiając, za tegoż do sił przychodzą. Już więcej Polska Niemców i Krzyżaków nie lęka się, już Zakon jej ujarzmienia nie przedsiębierze. A czas, powolnemu rozwijaniu się zakwitającego narodu potakujący, stopniami dopełniał to, czemu Łokietek początek dawał. I rzadkim w dzie-

jach wątkiem, dwa, różne językiem, czcią i zawiązkiem polityczny, sąsiednie narody, wolnym czasu postępem skłaniały się ku sobie. Po wielekroć podając wzajem dłoń braterską, mimo siebie trudności i nieprzyjemności uchylali, a gdy z laty wzrastała przychylność i przywiązanie, znikły między nimi różnice i przedziały. Jednoż ich życie, jeden ich los koło Wisły i Wilii unosił! A tak jasny już w Europie obłok, równie brzegom Wisły, jak brzegom Wilii i Dniepru świecący, większego blasku przez imię Jagiełłonów i wspólność narodów pozyskał.

21. Lecz nie tak rozległy był cel niniejszego przypominania przeszłości. Niech przedsięwzięcie hamuje myśl lotną, niech wypocząć jej przy Łokietku i Kazimirzu dozwoli: zawarła się w wiekach bardzo upłynionych. Wspomnienie zręczności Kapetów, dzielności Dymitra Dońskiego, wielkich uniesień i cnót Wassyana, zrozmaiconych Waldemara III usiłowań — nastręczają rozmaitość, jaka się w dziejach znachodzi, stawią obok niejednostajne pojedyńczych osób i mieszkańców działanie. W nich, gdy myśl ściga co bliższem i podobniejszem się wydaje, widzi, że tegoż czasu, w którym do exystencyi swej wracała Dania, tegoż czasu, ratującą się znajduje Lechią czyli Polskę. Oba wypadki zdziałane przez królów i mieszkańców. Czterdziestoletnie Waldemara III panowanie i czterdziestoletnie Łokietka o tron dobijanie się lub dźwiganie jego, wystawują ich tułactwo, ich poszukiwanie Dworu Papiezkiego, ich niestrudzone usilności w naprawianiu sprawiedliwości i powściąganiu nieładu wewnętrznego, poszukiwanie przymierzy i odnawiane wojny. Oba są otoczeni niepewnem sercem mieszkańców, — niezawsze sprzyjającym, pospolicie przeciwnym, losem. Lecz Waldemar III działał po zaszłem przesileniu rozsypującej się Danii, szukał pokoju i wojny, zrzekał się ziem i odzyskiwał je; w krokach swoich ostry, nagły i nierówny; każda przeciwność tronem jego chwieje; mimo przesilenia w Danii brakuje jednostajnego ducha: pod koniec panowania i sąsiedzi, i mieszkańcy kraju, na niego się oburzyli, cząstka wiernych miała mu koronę ocalić. Łokietek działał w najtrudniejszych razach: nie mógł znaleźć pokoju; w ostatku chciał wojny; tracił coraz więcej ziem, a rósł w nadzieję i ufność; w krokach swoich nieustający, powolny a dotrwały; każda przeciwność tron jego umocowywa, bo go

opierał na narodowości; doczekał się przesilenia — jednostajnego ducha i uczucia. Pod koniec panowania w resztce ocalonej mieszkańcy wespół z nim pracują. Również pracują wespół z synem jego.

22. Dopełniło się to Lechii ocalenie właściwą jej koleją: nie dzikim, ostrym, lub nagłym ruchem, ale łagodnym i powolnym, choć przesilenie uczuć się dało. Nie chwila jedna, ani szybka zmiana zniszczoną czerstwość zwróciła: każdy rok, koleją następujący, nowej ilości sił dodawał, skołataną pokrzepiał okolicę, z każdym rokiem przez niemały przeciąg czasu podnosiła się moc uczuć, wzmagająca oczekiwanie. W latach wolno pomykanych roztaczał się obraz wspaniały, którego dziś w zapadłej przeszłości szukamy. Nie pokrył on smutkiem ni żałobą ludów: przyniósł im, owszem, po cierpieniach słodki wypoczynek, zaufanie i bezpieczeństwo, a świetny byt na wiek następny. Stroskane krwawym biegiem rzeczy ludzkich na świecie, myśli w tej przeszłości mogą wypoczynku i zaspokojenia poszukiwać; nie staną się tem zniechęcone ku ludziom, ale gdziekolwiek się obrócą, tam nowym interesem zajęte zostaną — Francya, Rosya, Dania i Wiślańskie okolice zastanowią; a gdy stu miejsc polotem dotkną i pędzą się po zakołach upłynionych wieków, gdy łączą i spoić usiłują w rozmaitości między sobą odległe zdarzenia, niezawsze ich *[tak]* dosyć jaskrawe upłynionych wieków światło uderza, ale promyk jego słodko zacniejsze przejmuje uczucia. Wiem, że te przypomnienia nie rozweseliły, nie zaspokoiły stroskanego serca; wiem, że obudziły wspomnienia zgasłych czasów, pełnych żałości, pełnych tęsknych zachwyceń: wszakże mam nadzieję, że ta przeszłość i to przypomnienie ożywia uczucia i zwolna miłą roznieca pociechę. Czyli zaś ta przeszłość poważnym historyi głosem, czyli posępnym barda lub Skaldy północnego śpiewem dotkniętą będzie — kiedy rozweselić nie może, niech przynajmniej utęsknionym jakążkolwiek ulgę przynosi.

Pisałem w Wilnie, w maju 1822 r.

C) „Panowanie St. Augusta".

Wydania: 1) «P. St. Aug. Poniatowskiego [obejmujące trzydziestoletnie usilności narodu podźwignienia się, ocalenia bytu i niepodległości]». Warszawa 1831; str. I—VII, 1—168 — 12°. 2) Paryż 1839, Januszk., 32°; tablica; L., nazywa to wydanie «czwartem». 3) Bruksella 1847, Młodecki; Lipsk, Brockhaus; 256 str. 12°; tyt. z wyd. 1-go; wydanie «szóste». 2-e «pomnożone, z dołączeniem porównania dwu powstawań 1794 i 1830—1831». «Szóstem» jest wydanie 3-e dopiero po wliczeniu dwóch «Dodatku do książki Wagi» oraz przekładu Chodźki włączonego w «Histoire de Pologne» (I A β). 4) «Polska» Żup. T. XI: str. 1—15. Przedwstępie i wstęp, 16—160 tekst, 161—71 Zamknięcie, 173—248 Przypiski. 249—91 Porówn. dwu powstań, 293—310 wykazy, 2 k. nlb,: Familia królewska. Napis. r. 1825—30. Dziełko to powstało ze zwięzłego (66 str. 12°) «Dodatku do książki X. Teodora Wagi «Historya królów i książąt polskich» (1818) wydruk. najpierw w «Pamiętniku» Bentkowskiego 1818, następnie w kilku wydaniach książkowych. Nowe opracowanie w dwójnasób zwiększyło objętość, ale nie wzmocniło podstaw badawczych: źródłem dlań były dzieła w części na wstępie wymienione, oraz opowiadania jeszcze żyjących, a m. in. samego ojca dziejopisa. Przed r. 1831 nie było jeszcze druku polskiego ujmującego Epokę Stanisławowską w wykład. Lelewel, zaradzając brakowi, rzut swój pierwotny, uznany za niedostateczny, rozszerzył i przerobił; ale gdy Szaniawski z Nowosilcowem nie pozwalali mu wychylać się w czasy ciepłe jeszcze od nieszczęścia, rękopisu do druku nie podawał: uczynił to dopiero po wybuchu listopadowym. Książka wyszła w marcu 1831 r. Rzecz swą prowadzi autor w 9 rozdziałach: Wstęp i elekcya, Konf. Radomska, Barska, Sejm delegacyjny, Kultura i Światło, Sejmy, Sejm czteroletni, Konfederacya Targowicka, Powst. Kościuszki. W wydaniu 3-m i 4-em mamy 3 peryody: Burze i Uszczerbek (konf. Czartoryskich, Radomska, Barska, Sejm deleg.), Cisza (Kultura i Światło, Sejmy), Przeobrażenie i upadek (Sejm konstytuc., Konfed. Targ., Powstanie Kościuszki). Tu daje się z wyd. 1-go pogląd ogólny z łagodnym sądem na St. Augusta i, prócz form językowych, utrzymuje pisownię i przestankowanie oryginalne, aby je dać poznać czytelnikowi nie zaglądającemu do dzieł Lelewela.

467) § 144. Złożeniem broni przez wojsko Polskie [1794], zamyka się trzeci i ostatni sześcioletni, panowania Stanisława Augusta period. Podobnie jak pierwszy, zaczął się *[on]* od starań poprawienia rzeczypospolitej, kończył wojną o niepodległość, a zamknął nowym kraju uszczerbkiem. Lecz przy elekcii niewielu przemożnych naprawę przedsiębrało, szukać obcej przemocy zniewoleni: w sejmie czteroletnim cała reprezentacia narodu do tego się brała i cały naród chętnie się bez narzekania do tego skłaniał, a do tego już obcéj nie było potrzeba po-

mocy. Wprzód, mnogie nieukontentowania zawichrzyły całą Polskę i Litwę konfederaciami, wpływem obcym kierowane, uchylały elekcyjne naprawy: potem, aby obalić czteroletniego sejmu budowę, zaledwie tylko kilku wyżebrało obcej pomocy i wszystkie potężne siły na ojczyznę ściągnęło. Skruszona budowa czteroletniego sejmu, przysypała byt polityczny narodu. W ostatniej walce o niepodległość nie sama szlachta, jak w konfederacii Barskiej, ale i mieszczanie, i wieśniacy i wojsko w obronie ojczyzny stawali. Ale w szczuplejszym kraju szczuplejsze były te siły: żadnej znikąd pomocy, a połączonych sąsiadów cała potęga wyszła w pole. Oczywistą przemocą i nieodzowną prawie przyszłości wróżbą, niebył odstręczony naród od dopełnienia obowiąsku swego. Objawił światu, że chyląc się do upadku, odzyskiwał, po długiem odrętwieniu, życie, które go do coraz powszechniejszego i coraz zgodniejszego usposabiało poruszenia. Okazał, że w samym upadku nastąpiło jego odrodzenie.

§ 145. Trzy mocarstwa sąsiednie między sobą zupełny podział Polski układać poczęły i w roku następnym zgodnie go do skutku przywiodły. Tymczasem archivum metryk koronnych i litewskich oraz biblioteka publiczna Załuskich, która już była własnością narodową, z Warszawy do Petersburga wywiezione. Warszawa Prusakom oddaną być miała. Archiva później dwory między sobą podzieliły. Biblioteka zaś zajmuje w stolicy imperatorskiéj gmach oddzielny. Roku 1795 król Stanisław August otrzymał rozkaz od dworu petersburskiego udania się z Warszawy do Grodna. Opuścił więc 9 [7] stycznia stolicę, a w dniu 25 listopada w rocznicę koronacii swojéj, podpisał akt abdykacii, który książę Repnin kurierem przesłał do Petersburga, wymiarkowawszy aby w dzień imienin Katarzyny II za bukiet i za wiązanie jej oddany był. Już 26 kwietnia przyłączenie Kurlandii do Rosii ogłoszone było. W dniu 25 grudnia wyszedł ukaz wcielenia Litwy do cesarstwa. Po długich naostatek, między sprzymierzonymi trzema dworami, układach roku 1796 objęły mocarstwa wydziały swoje. Austriacy 5 stycznia do Krakowa, a Prusacy 9 tegoż miesiąca do Warszawy weszli. Pilica, Wisła i Bug, oznaczyły wydział austriacki. Niemen i od niego do Bugu dotykająca sucha granica oddzielała Pruski od Rossyjskiego. Przy Niemirowie nad Bugiem stykały się wszystkie trzy gra-

nice. Rossia 2183, Prusy 697, Austria 834 mil kwadratowych w wydziałach swojich wzięły.

§ 146. Stanisław August Poniatowski 1797 r. z Grodna przyzwany do Petersburga, tam się na dokończenie życia przeniósł. Grał on niepospolitą w dziejach narodu swego rolę, bo wszystkiemu był obecny, wszystko podpisywał i wszystkie niedole narodu pieczętował. Przez całe trzydziestoletnie panowanie, był w niedogodném, trudném, przykrém i smutném położeniu, tak jak cały naród i każdy osóbno obywatel; doznawał przeszkód i przeciwności losu z całym narodem, równie jak każdy Polak. Życzył narodowi i ojczyźnie jak najlepiej, równie jak najcnotliwsi obywatele, jak i ci zaślepieni zapamiętalcy, co odchylając się od sprawy powszechnej, zdradzali ją. Był czułym, bolał nad nieszczęściami, równie jak wszyscy ojczyznę miłujący i ci co wydając ją w cudze ręce, na zawód i stratę narzekali, a gdyby się utrzymała, o swój los się lękali. Każdy Polak był nieszczęśliwy i król z nimi nieszczęśliwy być musiał. Całego narodu i każdego z osóbna los godzien był litości i król był godzien politowania. Lecz jeżeli poczciwy obywatel, obowiąsków dopełniający i cnotą swą zaspokojony, godzien litości: same przykre i gorzkie wzbudza uczucia, z prawej drogi schodzący.

§ 147. Ci co zbliża na osobę Stanisława Augusta patrzyli, nadewszystko w gabinecie jego pracujący, lub przy dworze będący; ci co jego łaski, dobrodziejstw doznali, co z nim o naukach i sztukach rozmawiali; i ci, których los najwięcej od króla zależał, lub których osobiste z nim stosunki wiązały: uwielbiali, jego dobroć i biegłość w polityce. Nie przyznały mu tego osoby, z nim na publicznych tylko zasiadające obradach, ani w polu piersi swoje w obronie ojczyzny stawiający. We wszystkich klasach ludzi w narodzie, widać było uszanowanie dla dostojności, którą Stanisław August piastował, a wzgardliwe uczucie do jego osoby; a wielu przejęci byli największą wzgardą i niechęcią. Nie było w tem żadnych osobistych styczności, tylko interes publiczny tak wielu, odstręczał. Księga dziejów szuka przyczyn, patrzy na to co było, ocenia skutki, nie przypuszcza domysłów, coby to było, gdyby było inaczej? Jeżeli

jednak ma być jaka bądź nad Polską rozwaga, jakie bądź przypuszczenie pozwolone, trudno z nich pomyślne wyprowadzać rokowanie. Jarzmo lub upadek! Gdyby naród inaczej postępował, gdyby król inaczej postępował, bezwątpienia byłoby było inaczej, a w skutku zawsze mogłoby być nienajlepiej. Człowiek prawą postępujący drogą, nieoglądający się na skutki, nieodpowiada za nie, w obliczu dziejów. Czysty zostaje. Lecz zważający jedynie na skutki, opuszczający dlatego obowiąski swoje, krętą idący drogą by do celu trafił, gdy do celu nietrafi, gdy wypadek zdrożności jego nie uwieńczy, do ciężkiej bywa pociągany odpowiedzialności.

§ 148. Stanisław August, był pan bardzo dobry. Ludzki, wspaniały skoro tylko do tego niemiał przeszkody: ale najzasłużeńszego i najprzywiązańszego do siebie, w przeciwnym razie opuścił. Cierpliwy i łagodny: dlatego przyzwalał na wszystko, niczemu mężnie oprzeć się nieumiał: jak przebaczał obrazę osobistą, tak był powolny w przebaczaniu publicznej: znosił, równie swoje jak i powszechne poniżenie i zniewagi. Czuły, płakał nad niedolą, i w publicznych słowach i pismach, rozlewał narzekania i bolał, a opiekunce swej uczucia wdzięczności wynurzał. Był to pan pełen wiadomości i nauki, mówca i polityk. Wpływem obcym na tronie osadzony, pod tym wpływem całe beśpieczeństwo swoje i rzeczypospolitéj widział. Jeśli przez swoję powolność lub politykę z tej drogi schodził, na tęż drogę, dopóki mu jej stało, zawsze powracał. Biegły polityk, znał dobrze niebeśpieczne położenie Polski, równie jak każdy Polak; a przewidywał wszystkie w polityce wypadki: tylko tego nie przewidział, że mu drogi którą postępował zabraknie; znał wszystkie potrzeby i uczucia narodu: tylko tego niepoznał, że naród nie mogąc znieść jarzma, niepodległości lub śmierci potrzebował i szukał; przezorny polityk, manewrował na swej drodze, do każdej przystępował konfederacii: tylko do obrony niepodległości ani raz nieprzystąpił. Jeżeli tedy zawiedziony był naród, że ufał okolicznościom, polityce i traktatom, którym powinien był nieufać, niemniej zawiódł się król, gdy mniemał niewyczerpane, znajdywać łaskę i beśpieczeństwo u opiekunki. A zawiedli się na sobie, król i naród. Naród niemógł w upodleniu gnuśnić *[tak]*, o niepodległości i wolności zapomnić; król niemiał duszy, aby

się z jarzma wydobył. Umarł w Petersburgu 1798 r. 12 lutego, mając lat 66.

D) „Polska odradzająca się".

«Polska odradzająca się czyli Dzieje Polskie od r. 1795 potocznie opowiedziane» (Bruksella 1836, Paryż 1837, Januszkiewicz; 144 str. 8⁰ min. 1 mapa). Wyd. 2-e Bruksella 1843, Młodecki; 216 str. 16⁰; 5 mapek na 2 tabl.; od str. 131 «Dodatki»: najpierwszy «Nowosilców w Wilnie», wydany przedtem osob. w Warsz. 1831 (przekł. franc. Bruksella 1843), prawie jednocześnie z «Panow. St. Augusta»; drugi «Rosijska w gubernjach Polskich administracja i policja; obracanie ludzi w poddaństwo»; trzeci «Nadanie własności ziemskiej włościanom» (z «Nowej Polski» 1831, nr. 73); czwarty «Użycie mych notat przez Maurycego Mochnackiego, objaśnienie udzielone posłowi Chełmickiemu». «Nowy dodatek» z tego samego roku pod tożsamym tytułem głównym, do niewielu tylko egzemplarzy dołączony, str. 217—232 jest pióra Michała Chodźki, dotyczy spraw wileńskich. W jednym czasie z wyd. polskiem ukazało się także w Paryżu francuskie w przekł. Eraz. Rykaczewskiego. Wyd. 3-e znajduje się w zbiorze ed. Żup. T. XII. Na str. VII—VIII Lelewel każe «Polskę» uważać za dopełnienie «Dziejów pot. spos. [synowcom] opowiedzianych». «Nowosilców» usunięty z dodatków do tekstu tomu, wraz z dodatkiem Chodźki, ale wprowadzone nowe: «Prawo o małżeństwach i rozwodach (na sejmie 1830 r.)»; «Rozmowa i umowa z w. ks. Konstantym w Wierzbnie»; «Przymówienie się moje na sesyi detronizacyi 25 stycz. 1831 r.» Tekst sam zajmuje str. 1—135, 136—40 bibliografia (jest już w wyd. z r. 1843), 143—84 Dodatki. Tu z wyd. brukselskiego drugiego, pisownią ówczesna Lelewela.

468) *a) XXXVI. Nowosilców spuszczony na dzieci; śledztwo w Wilnie.* Owóż Nowosilców: chociaż sądzić należało, że od czasu wzbronienia, filareci i filomaci czynności swe zakryli i przerwali, jednak bezecny Nowosilców począł śledzić, chcąc jich policzyć i zbrodnię jich wymyślić. Co tylko było lepiej prowadzącego się, gorliwie do nauk garnącego, to było u niego podejrzane. Zamienił on dziesięć klasztorów wileńskich na więzienia, do których brano młodzież z lekcji, z ulic, z domów rodzicielskich, z kościołów; zwożono ze wszystkich gubernij polskich i z Petersburga, wojskowych, duchownych, adwokatów, profesorów różnych szkół, obywateli, kwiat młodzieży co niedawno uniwersytet pokończyła, a w tym wszystkim niewiele było, którymby dwadzieścia lat minęło, po większej części byli to kilkunastoletni młodzianie. Po ośmiu miesiącach utrapienia i więzienia ukazem cesarza rossyjskiego, a króla polskiego, Alexandra, 1824 r. 14 sierpnia, dowiedzieli się, że popełnili zbrodnię stanu, gdy drogą nauk, krzepili nierozsądną narodowość polską. Za to Tomasz Zan poszedł na Sybir do Orenburga, wielu jinnych w różne strony i w różnę *[tak]* służbę w głąb Rossji rozesłani, a przytem z uniwersytetu wileńskiego wydalono czterech młodszych profesorów, którzy dla uczniów przystępniejsi byli. Od tego czasu uniwersytet wileński był poniżany, upadlany. Nowosilców objął kuratorstwo na miejsce Czartoryskiego, fundusze dostały się w ręce chciwe i nienasycone, nauki były zepsute. Lecz nie tu koniec dzieła Nowosilcowa. Oprócz śledztw wileńskich uczniów, zaszły po różnych szkołach zdarzenia, w których albo objawiły się uczucia narodowe, albo młody wiek, dopuścił się płochości, za to wszystko sąd wojenny karał dzieci chwostane aby winę wyznawały, w kazamaty, w sołdaty, na Sybir. Wydzierano je na zawsze z rąk jich matek, w okowach rzucano na kibitkę aby się na miejsce przeznaczenia dostały. Oh! co płaczu, co złorzeczenia było!

469) *b) XLIV. 29 Listopada. Rada administracijna.* Noc 29 listopada nieudała się. Umówiony signał nie ukazał się, to zrządziło w ruchach ułożonych nieszykowność; wojsko rossyjskie miało być rozbrojone, skończyło się, że zostało z koszar wyparowane. Nieustraszona młodzież opanowała Belweder i wypłoszyła z niego wielkiego księcia, w nim atoli utrzymać się nie mogła i wielki książę jeszcze raz do Belwederu wrócił. Z obu stron ludzi niewielu zginęło; niektórzy przypadkiem i kilku jenerałów, co byli narzędziem łotrostw, przypłaciło życiem. Rożniecki jednak uszedł. Kierujący tym całym w stolicy poruszeniem mieli naznaczyć rząd tymczasowy, przez co Mikołaja władza byłaby odrazu uchylona; ale wskutek nieposzykowania znaleść się nie mogli i rząd rewolucyjny nie powstał: poczęła radzić i rządzić rada administracijna, mianowana od Mikołaja, która wziętość zupełnie straciła, a w której rej wodził minister skarbu Xawery Lubecki. Ten książe Lubecki, wziąwszy księcia Czartoryskiego z sobą, jechali w nocy do Belwederu do wielkiego księcia, wzywając go, aby użył swej władzy dyskrecjonalnej i burzycielów poskromił. Lecz wielki książe im odpowiedział, że się w kłótnie Polaków wdawać nie chce i za miasto się wyniósł. Zaczym książe Lube-

cki przybrał do rady administracijnej, książąt Adama Czartoryskiego, Michała Radziwiłła, oraz wiekiem i zasługą poważnych mężów, Niemcewicza i Kochanowskiego; co zrobiwszy, próbował w nocy wydaną proklamacją uśmierzyć poburzenie. Gdy jednak na dzień się miało, bądź strachem powodowany, bądź zdrowiej poruszenie pojmując, począł wchodzić w widoki powstańców i popuszczać cugle rewolucji. A że rada administracijna przerzadzała się *[tak]* przez usuwanie się jej członków, którzy mieli opinię przeciw sobie, Lubecki przybrał jeszcze w pomoc radzie administracijnej rewolucjonującej się i gasnącej: z senatu kasztelana Dębowskiego, z jizby poselskiej trzech posłów, którzy na ostatnim sejmie kommissjom sejmowym przewodniczyli: Gustawa Małachowskiego, Władysława Ostrowskiego i Joachima Lelewela.

470) *c) XLV. Nazajutrz niepewność.* Nazajutrz po rewolucyjnej nocy, na dniu 30 listopada, wielki książę Konstanty, z całem wojskiem swem rossyjskiem, 8.000 liczącem, 30 armat, i amunicji dostatek, stał za miastem, koło aleów; z nim było jeszcze nieco wojska polskiego. Modlin, w którym była cała amunicja, z garnizonem w połowie z Polaków, w połowie z Rossjan złożonym, nie miał komunikacji, ani ze stolicą, ani z wielkim księciem. W stolicy samej było wojska polskiego do 4.000, amunicji cale mało. Domy i sklepy pozamykane; lud, za przykładem wojskowych, przypinając trójkolorowe kokardy, czerwone (amarant), białe z granatem, w sieczną i palną broń opatrzony, z bruku krzesał szablami ognia, strzelał na wiatr i roznosił popłoch do obozu i głównej kwatery wielkiego księcia. Jenerał Chłopicki, przez radę administracijną na dowódcę wojsk powołany, krył się i znaleźć go nie było można; a rada administracijna z przybranemi *[tak]*, oczekiwała wiadomości z województw i od pułków opodal od stolicy stojących. Zaniechała ona tytułów króla Mikołaja, ale się go nie wyrzekła; odezwy w swojim jimieniu ogłaszała, wzywając do porządku; ale ani raz nie można było skłonić książąt i z nimi jidących, do odezwy w jimieniu i w sprawie całego narodu. Były osoby, co dostrzegły, że rzeczy zły obrót wzięły, przeczuwając w tym niedobry koniec. Mianowicie w klubie który się na dniu 1 grudnia zawiązał, objawiały się groźne narzekania i nieufność do osób

książęcych, do Chłopickiego. Głosy te, słuszne, nie miały żadnego wsparcia czynnego, i rada administracijna z przybranémi dalej sobie radziła.

471) *d) XLVI. Wielki książe ustępuje, rząd tymczasowy.* Wielki książe Konstanty, stojąc ze swym wojskiem za miastem i zamieszkując małą jizdebkę w karczemce Wierzbna zwanej, pilnie się dowiadując co się w mieście dzieje, zapragnął być ustnie od kogo z rady administracijnej objaśniony. Jechali tam 2 grudnia, książęta Lubecki i Czartoryski, a z nimi Władysław Ostrowski i Lelewel. Lubecki utrzymywał tam, że to jest rewolucja przeciw urzędnikom w obronie konstytucji, a Lelewel twierdził, że jest powstanie narodu, który o swoje prawa upomina się. Wielki książe uręczał, że nie chce krwi przelewu, i żadnych nieprzyjacielskich kroków, przeciw stolicy, ani przeciw królestwu nie uczyni. To uręczenie pozwolił ogłosić pismem. Może być, iż tam książęta naradzali się z wielkim księciem, co mają dalej robić: to tylko pewna, że kiedy w tej rozmowie diplomatycznej w Wierzbnie, Ostrowski i Lelewel radzili aby sobie wielki książe poszedł precz z Polski, książęta radzili, aby wrócił do Warszawy; a gdy do rady powrócili, ciż książęta napisali do wielkiego księcia, radząc także, aby się wynosił. Jich rady posłuchał. Nazajutrz 3 grudnia resztę wojsk polskich, które *[tak]* przy nim jeszcze było, odpuścił i oświadczył, że się spodziewa po prawości Polaków, że w ustępie jego wojsko rossyjskie niepokojone nie będzie. Wnet wolnym marszem ruszył, niepokojony tylko przykrą porą roku. W radzie zaś administracijnej po powrocie z Wierzbny wielka zaszła odmiana. Przedsięwzięto ustanowić rząd tymczasowy. Lubecki oświadczył, że się z rady usuwa, tylko jako minister służyć będzie; wybierał się w misji oraz do Petersburga i rapporta gotował. Nim noc nadeszła, rada administracijna zupełnie się rozsypała i więcej nie zasiadła, a w nocy Czartoryski, Leon Dębowski i Lelewel utworzyli rząd tymczasowy, do którego weszli oni sami, i przyzwali Niemcewicza, Paca, Ostrowskiego, Kochanowskiego, do których wnet przybył książe Michał Radziwiłł. Przytaczam wam dzieci jimiona wszystkich tych osób, bo niejedna z nich po wiele kroć w tym ciągu na świeczniku się ukazała. Powołał jich po wielkiej części naprzód Lubecki, jako

wziętość w narodzie mających i musieli ją mieć rzeczywiście, kiedy się sami narzucać mogli, a niejeden z nich potem w obradach sejmowych głosy uzyskiwał. Nie wyszło to na dobre dla sprawy narodowej. Pierwszym rządu tymczasowego zatrudnieniem było zwołanie sejmu.

472) *e) XLVII. Całe królestwo w powstaniu. Radość!!* Wiadomość o rewolucji w stolicy rozbiegła się po kraju pędem niesłychanym, a gdzie doszła, nie było pułku, nie było powiatu, w którym by się nie odezwał głos narodowy z całym życiem. W parę dni, całe Królestwo było w powstaniu. Uczuł naród że od upadku Polski, żadna mu się świetniejsza nie otworzyła pora, jak w tej chwili, własnych sił zapróbować, własnymi się dźwignąć; uczuł swe wielkie powołanie i był przejęty wzruszeniem nadzwyczajnym, nie do opowiedzenia. Jeden przed drugim wynurzał swe uniesienia. I jakież twarde serce na widok ten oziębłe być mogło! Jeżeli osoby w rządzie, tłum zatrudnień obarczał i nużył, również je bez przerwy zajmowały i trudniły, oświadczenia mnóstwa rodaków ze wszystkich stron królestwa nadbiegających, w prawdziwem zachwyceniu, w uniesieniach radości, w zapale patriotizmu. Ale nie bez ciężkiej przykrości muszę to wam kochane dzieci powiedzieć, że wśród powszechnej radości jenerał Chłopicki co nareszcie wyszedłszy z kryjówki kommendę objął, chodził posępny i kwaśny: a razu jednego rząd ujrzał wchodzącego lekkim krokiem oficera, który oświadczył, że także przystępuje do rewolucji narodowej ale zawsze będzie pamiętał na przysięgę uczynioną Mikołajowi: był to półkownik, którego nazwisko kto wie niech dopisze [Skrzynecki, dowódzca 8-go pułku piechoty, w Pułtusku].

E) „Uwagi nad dziejami Polski i ludu jej".

(1836—44, 1854; Żup. T. VIII str. 1—469. Pierwotnie po francusku jako «Considérations sur l'état politique de l'ancienne Pologne et l'histoire de son peuple» (Lille 1844) dla uzupełnienia 2-tomowej «Histoire de Pologne» (Paryż-Lille 1844); przekład samego Lelewela dla Żupańskiego). Por. tu *Bibliografię* I. A β nr. 54.

Słowo do poszukiwań wstępne. Skład społeczeństwa słowiańskiego u pisarzów greckich. Budowa społeczna Serbów w w. XIV. W Czechach, w Polsce kmet, strącony później przez władyków i Lechów (Lesi); u Polaków w końcu nad wszystkimi z-lechcice [szlachta]. Okres I, Samowładztwo (860—1139). Lechowie od Lecha. W pierwotnym zborze słowiańskim równość, a własność i wspólna i osobnicza; ziemia, wojskowość, godność dla wszystkich zarówno. Smerdo — dzierżawca, użytkownik. Niewolnicy — z wojen i za długi; wyzwalanie się przez uprawę roli, stąd wola. W Polsce po buncie Masława gmin wiejski *(originarii, adscriptitii)*; los jego najlepszy na Mazowszu, najgorszy w W. Polsce, za Bolesława Śm. już bardzo zły: urząd, godność, wojskowość tylko dla szlachty; tak jednoczenie się w naród niszczy pierwotną równość. Droga utorowana możnowładztwu. Okres II, Możnowładztwo (1139—1374). Dzielenie państwa jakby własności prywatnej; władza zwierzchnia w młodszej linii Piastów. Przy księciu rada ze szlachty trójstopniowej; od r. 1374 jedynym podatkiem od szlachty 2 grosze z łanu (Koszyce); darowizny przywiązują do księcia, za niemi idą i prawa państwowości; panu nie wolno jeszcze zatrzymywać kmiecia w swej włości. Magdeburgie miejskie zamieniają miasta w rzeczypospolite, ale na wsiach sołectwa, pochodzenia niemieckiego, nie polepszają losu ludu wiejskiego. Kmieć jest wolny, ma tylko obowiązki względem dworu, może ustanawiać spadkobierców, ale tylko na całość, posiada wieczyście; puścizna wraca do gminy, synowie nieosiadli idą gdzie chcą. Wolę wydziela pan do uprawy; dziesięcina z wól i dziesięcina illibera (niewolna) od kmieci. Pod koniec okresu kmieć jest już poddanym dworu. Polska nie była nigdy feudalną, bo własność osobnicza ograniczała tytuły prawne panującego do ziemi; zespolenie się z Polską umorzyło feudalizm na Litwie. Cały okres ma trzy doby: wzrostu, wybryków i przytłumienia możnowładztwa (granice czasu: 1180, synod łęczycki; [1320] koronacya Łokietka). Okres III, Gminnowładztwo *[tak]* szlachty (1374—1607). Jedyną potęgą duch obywatelski w szlachcie: on-to buduje państwo, on i własną swą przewagę nad niższymi utrwala. We wszystkich trzech wielkich dzielnicach Rzplitej jedność urządzeń i obyczaju społeczno-politycznego: jedne herby, dostojeństwa, urzędy. «Polska jedynie sama rozwinęła się w przestronną i narodową rzeczpospolitę *[tak]*; ona dźwignęła i postawiła zasady, do których stara Europa dąży, aby odmłodnieć i położenie swych mieszkańców poprawić... Polska roztacza widok wspaniały, z posad różny od tych wszystkich republik, które różnemi czasy w dziejach świata błyszczały». Ale im wyżej wznosiła się ta budowa szlachecka, tem głębiej pod nią jęczały klasy nieszlacheckie. Statut r. 1496 wydziera plebejom własność; w r. 1519 nowe więzy; od r. 1520 odrabia już jeden dzień pańszczyzny kmieć dotychczas zupełnie wolny, czynszownik. Odtąd ucisk gwałtownie wzrasta; pańszczyzna wielodniowa ogarnia i kmiecia, a przyobiecana koekwacya nigdy już do skutku nie przyjdzie. Wola staje się służebnością. Excepta mazowieckie równają kmiecia tamtejszego z koronnym; w W. Polsce wciąż najgorzej. Unieru-

chomienie potomstwa kmiecego, instytut włóczęgostwa. Stan rycerski coraz sroższy dla ludu, aż wreszcie głowszczyzna oburza uczciwie czujących. Sądownictwo patrymonialne, zwyczajowe, ze swojem prawem życia i śmierci, z poza prawa wchodzi w obyczaj prawny, w prawo samo, przez akt Konfederacyi warszawskiej z d. 28 stycznia 1573 r. Kołacą się jeszcze sołtysi, wójci, ławnicy, ale już tylko jako cienie; prześwitują jeszcze z przeszłości zbory, roki, wieca, ale już tylko jako przeżytki. Najgorzej w wielkich majątkach. Od środka XV w. szlachta nawet owe dwa grosze koszyckie zwala na lud, który od XVII w. [1629] zamiast nich płaci podymne. Wyłączność stanowa wyrzuca miasta pruskie z sejmu pruskiego. Miasta wogóle, z żywiołami i prawami obcemi, daremnie czekają na prawodawstwo narodowe (Śliwnicki). Szlachta wypiera mieszczan z sejmu, ogranicza i duchowieństwo; procesy o herezyą niezmiernie rzadkie, juryzdykcya duchowna nieuznawana, własność ścieśniona. Naprawa Rzplitej spełzła. Pomimo jednak niedomagań i więzów prawodawczych rośnie wciąż pomyślność ekonomiczna; cudzoziemcy napływają, wzmaga się osadnictwo na krańcach. Uwagi ogólne. Gdy w Rzymie znaczyły jednostki, w Grecyi przeciwnie, lud; coś podobnego w Polsce: gmin szlachecki wytworzył Rzplitą; «wielka budowa znajdowała nieznanych z imienia budowników, pracowitych a niestrudzonych cieśli i mularzy». Możnowładztwo koronne tonie w morzu szlacheckiem, tylko litewskie stoi i trzyma się mocno. Unia lubelska dodaje szlachcie siły, a państwu jedności, którą zadzierzgnął sejm wspólny. Od kiedy Zamoyski «przelał Polskę w postać rzymską», każdy poseł stał się trybunem ludu, a stąd veto, niezrozumiane, na złem rozumieniu zaręczenia Nil novi (1505) opierane. Aliści z morza szlacheckiego zaczęło się wychylać nowe możnowładztwo, a za Batorego ocknęła się idea władzy monarszej. Za Jagiellonów król był tylko głową Rzplitej; «Batory uznał się monarchą» i «przygotował opłakane zgiełki i zawichrzenia». On to «Zborowskim wytoczył bezecną sprawę obrazy majestatu, w dziejach Rzeczypospolitej nieznanej» (CI). Zamoyski «człek nadzwyczajny... w wieku podeszłym, nie bacząc jak często swej wierze przeniewierzał się, bolał nad przyszłością, a wstępując do grobu zostawił rozpalone żarzewie, co miało wielki rozognić pożar» (CII). Z tego żarzewia Rokosz Zebrzydowskiego z doktryną tribunitiae potestatis; przezeń się wzmaga i owo nowe możnowładztwo. Cały ten okres ma cztery doby (r. 1454 Statuta Nieszawskie, 1505 radomskie Nil novi, 1562 Naprawa Rzplitej). Okres IV. Gminnowładztwo w zawichrzeniu (1607—1795). Polacy rozwinęli w sobie ogólne znamiona słowiańskie: miłość wolności i narodowości; potrzebowali życia politycznego; ich męstwo powstało z ich przywiązania do wolności. W polityce działają prozaicznie, jasno; w wielkich wypadkach niezaradni, ale nie tchórzliwi. Zdolni, ale wiedzą rzadko górują. Bezinteresowni, bez chciwości, «nie pożądali cudzego, a mocno chybili, mniemając, że w innych swą zaletę znajdą» «Odważni bez zuchwalstwa, unoszący się bez namiętności, do nieograniczonego poświęcenia są skłonni». Nie przedsiębiorą podbojów; zjednywają słodyczą, braterstwem; przewagi nie nadużywają nigdy, raczej rzadko kiedy z niej korzystają należycie. Ale zaniedbanie i niebaczność niweczą owoce dzielności i ujmującego wpływu. Burzliwość tylko pozorna; w gruncie zamiłowanie spokoju: stosownie zażyty, Polak łatwo powodować się daje; korzystano z tego w dziejach. Nadwerężenie państwowości poczyna się, nie od przekupstwa, ale od spaczenia umysłów, od nieładu w myślach; z niego nieład w kraju. Znaczenie szlachty mazowieckiej, przewaga liczby: piąta część posłów z Mazowsza. Co do stosunków religijnych, to Reformacya nie mogła wywołać takiej zmiany, któraby na chwilę upadku zapewniła ocalenie. Katolicyzm był narodowym; różnowierstwo wszakże dążyło do uprawnienia, a krzewiło się wszędzie. Unia brzeska rozpaliła fanatyzm, któregoby nie było przy florenckiej; zaraz też katolicyzm z królewskiego staje się państwowym i przynosi nieszczęścia. Wprawodawstwie gnuśność. W okresie poprzednim zwrot ku zasadom słowiańskim, w obecnym walka z zasadami cudzoziemskiemi, wprowadzanemi przez królów, przez Rzym i prałatów, przez panów przemożnych. System dynastyczny utrzymuje Polskę w ciągłym niepokoju, kształci arystokracyą na wzór cudzoziemskiej, zagnieżdża anarchią. Zygmunt III z kolei dynastycznych nie wychodzi; Władysław IV zrazu się opiera, ale potem sam brnie. Egoizm królewski i egoizm arystokratyczny mają wspólny cel: jedynowładztwo. Do celu tego dopomagała wielce «pszczoła bez żądła», darząca miodem, jaką król polski — w mniemaniu samych Polaków — być powinien. Arystokracya prowadziła politykę na własną rękę, umawiała się z cudzoziemcami, zawierała nawet przymierza, miała swoje twierdze, wojska, straże: składała się jakby z królów, i stąd Dalérac nazywa króla polskiego «królem królów». Stan szlachecki coraz bardziej odszczepia się od arystokracyi i układa do własnego poziomu, we własnych swoich konfederacyach i związkach samoistność swą stwierdza, a gdy za J. Kazimierza roztłuczoną już ojczyznę na nowo dźwiga, to zarazem stwierdza i swoją żywotność. W życiu wewnętrznem jest wciąż niepoprawny: gnębi mieszczan i plebejów, uciemiężа lud rolniczy i pośrednio wywołuje kozaczyznę. Budzi się wprawdzie w Konfederacyi Tyszowieckiej sumienie stanu, ale przysięga J. Kazimierza we Lwowie — czcza! Próżne wysiłki kaznodziejów XVIII w.; Opaliński pisze w w. XVII: lud wypędzany z sadyb, przymnażana pańszczyzna, tłuki, gwałty, daremszczyzny, żyd-pijawka; tyrania ekonomów, komisarzy, starostów, podstarościch — niewysłowiona niedola. Grożba powstania, rzucona przez Leszczyńskiego. Odpór: w XVII w. Napierski, w XVIII Palej, Woszczydło: bunty ukraińskie, Rzeź Humańska, nowe bunty 1789—90. Zniesiona nareszcie [1768] bezkarność zabójstwa, odtąd «życie za życie»; ale jeszcze i potem krzyki na Andrzeja Zamoyskiego o chłopów. Głosy na sejmie czteroletnim i Konstytucya 3-go Maja. Na złe nie byłoby nic zaradziło wyrobienie się tiers état. Fanatyzm katolicki w tym okresie spaczył uczu-

cie narodowe. Następstwem zdrożności upadek zdolności stanu rycerskiego, a przez to i państwa. Sama szlachta podupada, liczebnie maleje; zanik pospolitego ruszenia. Przybytek nowej szlachty nie pokrywa ubytku, a klejnot szlachecki podleje. Ze swej strony stosunki polityczne przygotowują upadek. W latach 1717—64 «strudzenie niesłychane powaliło rzeczpospolitą szlachecką». Możnowładztwo, próżne i pyszne, idzie wbrew i wpoprzek szlachcie. Konfederacye ze związków ogólno-narodowych przedzierzgają się w XVIII we fakcyjne: jedna przeciwko drugiej. Zrywanie sejmów staje się dobrem prawem szlachcica. Ustala się zasada R. Leszczyńskiego: Malo periculosam libertatem quam quietum servitium (wolę niebezpieczną wolność niż niewolę bez troski). Takie były instytucye i takie ich zwyrodnienie. Instytucye nie zabiły niepodległości Polski: one, owszem, «przeciągnęły jej byt». Jeżeli istotnie Zamoyski, po nim Lubomirski chcieli umorzyć dostojność królewską, to działali zgodnie z tem pojęciem wolności, które przejmowało stan rycerski. Król polski, jego prerogatywy z wolnością niezgodne, jego atrybucye; niewspółmierność praw króla i narodu; odpowiedź dana cudzoziemcowi: «Owszem, my mamy króla u siebie, ale u was król was ma». Znaczenie Warszawy. W anarchii XVIII w. spokój wewnętrzny, zadziwiający obcych. Publicyści zagraniczni, ich poglądy i rady; Mably; Garran de Coulon, Filozof Genewski.

473) *XVIII. Rzut oka na pierwszy okres.* Poglądając na wydarzenia zaszłe aż do zgonu Krzywoustego, dostrzega się samowładztwo wzrastające, a następnie słabnące. Sprzyjały do ukazania się jego i wzrostu zlewki gmin, tworzenie się państwa, podboje, tudzież interes lechicki, szanujący gmin, dążący do wyniesienia się nad gmin kmiecy. Podupadanie gmin pociągnęło za sobą słabnienie samowładztwa, gdy lechici-szlachta groźnej władzy więcej nie potrzebowali i znaleźli środki do jej osłabienia. Ten przeciąg czasu na trzy rozkłada się działy: I. W zmroku pierwotnych dziejów samowładztwo rozwija się tworzeniem państwa — sprzecznie z duchem sławiańskim, z zasadami, jakich się od wieków plemię trzymało. Samowładztwo utrzymało się i wsparcie najdowało do zgonu Bolesława W. w r. 1025. Przez lat 170 (860—1025) musiało wzrastać i połykać wszystkie żywioły gminne z powodu potrzeby spojenia rozdrobnionych ludów w jedność narodową. Skoro spełniło posłannictwo, musiało uledz usposobieniom plemienia, któremu przywodziło. Lechici niem kierowali i w państwie górą stali. Obywatelstwo kmiece, w swych okręgach zamknięte, czuło ogólnego zwierzchnictwa ciążę, mianowicie: z nowego obyczaju wyrastającą, i ujmę sobie czynioną. II. W drugim dziale, lat 55 (1025—1080), samowładztwo wstrząśnione i podwrócone. Wyparcie Ryxy, okropne następnie zawichrzenie, ostrość Bolesława Śmiałego i jego wyparcie — podwróciło siły samowładztwu, otworzyło pole wpływu przemożnych. Złamanie ludu po dwakroć pozbawiało samowładztwo podpory; a lud przemocą i nowym obyczajem ujrzał się wyzuwany z praw obywatelskich. III. W ostatnich 60 latach (1080—1139) wojewody Sieciecha pod nieudolnym Władysławem Hermanem excessa, Zbigniewa pod rycerskiem Krzywoustego panowaniem zawichrzenia — osłabiły samowładztwo do ostatka. Można szlachta, nowym obyczajem, goni w rozbrat z upokorzonym gminem i toruje sobie drogę do następnego możnowładztwa.

474) *XLV. Rzut oka na drugi okres.* Drugi, 234 lat, okres, od 1139 do 1374 r., wystawia nader posępny obraz możnowładztwa, którego wichrzące osobistości, dorwawszy się kierownictwa i władzy, niepokoją i szarpią wnętrza kraju i nierychlej powściągnione być mogły, aż dopiero kiedy duch obywatelski znamienitszej narodu części, wzmógłszy się, stał się szkarady hamulcem. Okres ten na trzy rozpada się działy: wzrostu możnowładztwa, jego excessów i przytłumienia. I. Ustaliło się możnowładztwo, ścierając się w pierwszych 40 leciech, od roku 1139 do 1180, z dowolnościami synów Bolesława Krzywoustego. Dwu książąt wyparcie, dowolność radą hamowana, przyzwoleniem możnych i baronów, zasady stanu ogłoszone — były wydarzeniem pierwszego działu, kończącego się prawodawczym synodem i urządzeniem senatu. Możnowładztwo niepospolitą w tej dobie okazuje dzielność i pojęcia wzniosłe, ale razem umysł osobistości niespokojnej, wichrzącej, niemający pociągu do spójni, do utworzenia ciała politycznego, raczej do rozprzężenia dążący. W rozbracie z gminem, nie odmawia mu opieki wspólnego prawa. II. Od synodu prawodawczego, od r. 1180, do ukoronowania Łokietka, w przeciągu 140 lat, w anarchii możnowładczej rozpasana do najwyższego stopnia osobistość wyosabnia się przywilejami i wdzierstwem, szarpie w kęsy ziemię i naród, wyradza się, przenaradawia i ćwiertuje kraj: pędzi bez hamulca szkaradnem bezprawiem. Knowania, napaści, podstępne morderstwa, najczarniejsze zbrodnie odznaczają szczególnie ostatnie

lata tego anarchicznego działu: książęta, biskupi, baroni, mieszczanie — zarówno liczą przeniewierców, zdrajców, zbrodniarzy, podłych, co się swego rodu i ojczyzny wyrzekali. Prawo poplątane, potargane, dla obywatelstwa, dla ludu, płodziło dowolność i niepewność; lud, w ciszy trudu swego, przez różne zmienne uciążliwości koleje przechodzi. III. Niedola bytem kraju chwiała, kiedy w części jego podniósł się, w dość mnogim wydziale narodu, obywatelski duch, aby złe zatrzymać, i w szlachcie dźwignął dla nieładu możnowładczego nieprzełamaną tamę, tak, iż wnet wyuzdaność możnych zesłabła — wysilona, gasła. Ukoronowanie Łokietka 1319 r. *[1320]* zapewniło jedność państwa. Jego dzielność, powodując się duchem narodu, przytłumiła rozpustę. Sejmy: Chęciński 1331 r., Wiślicki 1347 r., i inne — otworzyły narodowi udział do sprawy powszechnej stanu. Pakta, kapitulacye czyli konwencye z Ludwikiem Andegaweńskim, zwane przywilejami, udzielone, przyznane ciału narodowemu, tworzą stan rycerski. Pod te czasy, wzmagając swój ogrom, Litwa zbliżyła się do Polski.

475) *CI. Monarchiczna zasada nieci rozerwanie.* Stefan Batory wraził się w te wewnętrzne szarpaniny i otwarcie sarkał na instytucye odejmujące mu środki w silnem, według swego widzenia, działaniu. Jagiellonowie, jego poprzednicy, kierowali statkiem, uśmierzając namiętności, nie myśląc objaśniać ciemnic między ich a ludu samowładztwem. Dzielność Batorego, niecierpliwiąc się, zamierzyła przedział w nich wytknąć.

Jagiellonowie i Zyg. August, naprawę Rzeczypospolitej dopełniający, unikali podrzędnych widoków, jakim była rzecz czci religijnej; uchylili ją od istotnych urządzeń. Batory zamierzył niepewność w tej mierze uprzątnąć. Jego zamachy, na nieszczęście, zrządziły to, że rozerwania myśli, które stały przyduszone zwodniczemi dawnego porządku pozorami, a gasły pod tarczą wyuzdanej wolności, poczęły się lądz i ze skorup wyłazić. Mówił on o tolerancyi, sprzyjając papiezkiemu stronnictwu; podnosił swą władzę, przywracał jej dawne prawa, i chwytał za miecz prawowierny a nieubłagany, co najdolegliwszym przejęło dyssydentów niepokojem. Lubował godność i sławę stanu rycerskiego, znamienitość państwa, jego rzeczpospolitę, człeka ludu nawet, co rej wodził: a utyskiwał na rozpasaną wolność,

na zaprzysiężone prawa fundamentalne, człeka zaś ludu podnosił na magnata, sprzyjał możnowładztwu duchownych i świeckich; niektórych przemożnych za nieprzyjaciół uznał i w zatargę z nimi wszedł.

Jagiellonowie żyli w majestacie królewskim z całą wielmożeństwa monarszego wystawą, będąc właściwie głową rzeczypospolitej. Batory uznał się być monarchą, przedsięwziął podnieść swą władzę, a tym niewczesnym zamiarem monarchiczną zasadę wywiódł w spór z republikańskim porządkiem; przejmując trwogą wolności szlacheckie, przygotował opłakane zgiełki i zawichrzenia.

Wielkie Księstwo Litewskie wtedy, kiedy było dziedziczne, zapisało w swych statutach prawo obrażonego majestatu. Polska, na rzeczpospolitę postępująca, nie znała tego w prawodawstwie swojem; obrazę posła ziemskiego, reprezentanta narodu, trybuna ludu, obrazą majestatu nazwała, ale nie przypuszczała obrazy głowy państwa, tak, jak nie znała obrazy izby jakiej lub sejmu. Batory, przejęty monarchiczną myślą, a walcząc, wespół z Zamojskim, stronnictwo Zborowskich, nie miał dosyć zarzutu zdrady i narażenia kraju: wedle statutu w Litwie ściął Ościka jako zdrajcę, a w Polsce Zborowskim wytoczył bezecną sprawę obrazy majestatu, w dziejach rzeczypospolitej nieznanej, co rozerwało na zawsze wyrozumiałą zgodę między obywatelską wolnością a naczelną państwa głową.

CII. Przywódcy wywołują lud do walki. Następstwa zerwania braterskiej wyrozumiałości, jaka od wieków rzeczypospolitej sprzyjała, wnet się (między 1586 a 1605) gorzko objawiły. Krew, skrycie na rusztowaniu przelana — uroczyste potępienie zbrodni wymyślonej obrazy majestatu — trysnęła na stronnictwa i zatarg z tronem; a niebawem rozlało się krwi więcej w boju domowym.

Górka i Zborowscy, naprzekór popularnemu Zamojskiemu, wynieśli na tron niepopularnego Maxymiliana Austryaka. Rozprawa pod Byczyną złamała to stronnictwo, które ostatecznie uśpione zostało zgonem Górki a przywróceniem do czci i oczyszczeniem Zborowskich. Ale Zamojski niezwłocznie zadarł ze dworem, poruszył lud; niechcąc rzeczy do ostatka przywodzić, pogroził przeniewierstwu i wierzganiu królewskiemu. Człek nad-

zwyczajny, który w sile wieku swego natchnął lud szlachecki wysokiemi gminnowładnemi wszechwładztwa pojęciami, następnie, powinowacąc się z Batorym, jego widzeniom monarchicznym potakuje, usiłując wędzidło na wyuzdanie założyć, podniósł nieprzyjaciela rzeczypospolitej, z którym ubijać się wypadło. Sam tego doświadczył, dając otuchę krzywoprzysięztwu Batorego, a zniewolony gniew swój okazać krzywoprzysięztwu Zygmunta III. W wieku podeszłym, nie bacząc, jak często swej wierze przeniewierzał się, bolał nad przyszłością, a zstępując do grobu, zostawił rozpalone zarzewie, co miało wielki rozognić pożar.

Lud, ze złej wiary królewskiej markotny, przywykły mieć przewodników, dał się prowadzić wichurze. Zebrzydowski, Jan Radziwiłł, wezwali go: i tłumnie ruszył podpisać rokosz pod Sandomirzem. Cień Zamojskiego zdawał się popierać wielkie narodowe poruszenie, a tron zadrżał w posadach swych odgłosem groźb zgasłego naczelnika, odgłosem tysiąckroć powtórzonym przez groźny lud.

Zebrzydowski, powołując się na Zamojskiego naukę, utrzymywał, że ponieważ trybuni ludu, w sejmie zasiadający, mają prawo położenia *veto*, a gdy rzeczpospolita w obecnem położeniu jednomyślnością stanowić nie może: wypada przeto zawiązać się w rokosz czyli konfederacyą, aby większością działać; uchybił *[pominął]* sejm i niesfornie stanął przeciwko temu wszechwładnemu ciału. Ze swej strony król do broni się wziął. Do boju przyszło. Pod Guzowem lała się krew bratnia. Zebrzydowski i Radziwiłł zniesieni. Król zwycięzcą, a z nim austryacka fakcya i Jezuici, katolickie stronnictwo — odnoszą stanowcze zwycięztwo i zupełną górę; możnowładztwo na swą rękę nieobliczone korzyści pozyskuje. Jeżeli zważymy, że od czasu, jak osobiste naczelników zwady kierują i szczepią lud *[rozszczepują]* najczynniejsi naczelnicy i przywódcy są dyssydenci, heretyki lub schismatyki: Firley, Zborowski, Górka, Jan Radziwiłł, Ostrogski i wielu innych, wyznać trzeba, że ostatecznie naczelnicy byli tylko ukorzeni, a dyssydenci i lud rzeczywiście zmożeni.

Jedynie tylko konfederacyi zasada, legalnej rebelii, ustaliła się i stała się potrzebną, bo zwycięzca nie dość był mocny, by rzeczpospolitę ujarzmił; wspaniale przeciwnikom swym

przebaczył, pokrył się płaszczem rzeczypospolitej, a czepiając się żywiołów sprzecznych jej duchowi, zagrażał ciągle wolności.

CIII. Rzut oka na trzeci okres. Trzeci okres, 233 lat, roztacza okazały obraz gminnowładztwa szlacheckiego, którego duch obywatelski w przestrzeniach niepomiernych podnosi rzeczpospolitę, krusząc przeciwności i zawady, w postępie pojęcie swe rozwija, żywioły sprzeczne poniża, a górując, niebacznie lud ujarzmia. Bieg rzeczy dopełniał się bez krwawych wydarzeń, bez wstrząśnień, bez zawichrzeń, pod zasłoną pełnej zgiełku pogody. Jagiellonowie kierują statkiem — do steru oborem powołani, a Litwa, zwolna wabiona, zlewa się z Polską.

I. W pierwszych tego trzeciego okresu latach, od czasu przywileju przez Ludwika 1374 nadanego do wojny pruskiej i prawodawstwa we wrzawie bojowej uchwalonego 1454 r., w przeciągu 80 lat, zrazu ubijające się w Wielkiej Polsce Nałęczów i Grzymalczyków stronnictwa ostatnie połyski wysilającego się możnowładztwa okazują. Wnet arystokracya wlewa się w równość stanu rycerskiego, który rośnie w siłę i zapewnia swe wolności przez umowy, kapitulacye, czyli pozyskane przywileja *[tak]*. Zasada *koekwacyi*, zjednostajnienia, zbliża prowincye, wiąże je w polityczne zgromadzenia, w pojedynczy sejm, coraz częstszy. W Litwie targaniny dynastyczne ustają, możnowładztwo miejscowe stara się utrzymać ją pod zawiadywaniem osobnych książąt, oddzielnie od Polski. II. Od nieszawskiego, 1454, sejmu do sejmów radomskiego i piotrkowskiego i ogłoszenia zupełności statutów, 1506, w ciągu lat 52 (już nie przywileja, ale) prawodawstwo zapewnia i stanowi o potędze i władzy stanu rycerskiego, który prawodawczy sam *[= sam jeden jest prawodawczym, daje prawa narodowi]*. Sejmy się urządzają, w jednę całość wiążą i spajają zetknięte rzeczypospolitej cząstki. Gminnowładztwo szlacheckie do dojrzałości dochodzi. Możnowładztwo litewskie, pod przewodem Gasztołda i Glińskiego, usiłuje od Polski W. Księstwo oderwać. III. Sejmy w Radomiu i Piotrkowie, 1505, 1493, gminnowładztwo szlacheckie do najwyższego szczytu podniosły, panowanie mu nad wszystkimi mieszkańcami zapewniły. Od owego czasu aż do naprawy rzeczypospolitej, od 1506—1562, w ciągu 56 lat, mieszczanie, wie-

śniacy, wysokie duchowieństwo, co jeszcze z możnych było — wszystko poniżone lub ujarzmione. Obok pełnej zgiełku Polski Litwa w wewnętrznej ciszy ponosi postronne straty, rozmyśla, do unii się sposobi. IV. Od początku naprawy rzeczypospolitej, 1562, aż do klęski pod Guzowem, 1607, przeciąg 44 lat rozwija ostatecznie wszechwładztwo szlacheckiego ludu, ostatecznie urządza rzeczpospolitę. Ostatni to trzeciego okresu dział, pełen niezmiernej wagi wydarzeń. Naprawa rzeczypospolitej, Unia Lubelska, prawodawstwo wszechwładnego ludu bez głowy naczelnej, obór *[tak]* powszechnem głosowaniem, *veto* trybunów ludu, konfederacye, krew w boju toczona; Gdańsk, mieszczaństwa reprezentant, przemożony, orężem pokonany, polubownie ugodzony; fakcya opak ludowi stojąca pod Byczyną pokonana; strona ludowa pod Guzowem zwyciężona; monarchiczny żywioł podniósł miecz. Lud, pomyślnością dwu wieków unoszony, z zawierzeniem pędzi za swym przewodnikiem, który, rej wodząc, dziwnem w polityce zbłąkaniem, czy przekorną sprzecznością, miłuje najwznioślejsze rzeczypospolitej pojęcia a, monarchicznej zasadzie dając otuchę, walczy jej niesforność, budzi możnowładczy żywioł.

476) *CXXIII. Okres upadania jest walką z cudzoziemskiemi zasadami.* Poprzedni okres roztaczał nam zwrot do sławiańskich zasad i postępne narodu rozwijanie się pod wpływem cywilizacyi wieku. Nie dał się nią usidlić: postępował, a nic mu oprzeć się nie zdołało; wszystko mu uległo. Jest to postęp żywiołu wielkości państwa i najwyższej jego pomyślności. W następnym upadania Polski okresie, jakim się zajmujemy, odrazu inny roztacza się widok. Jest to zwarcie, bój, ustawiczna różnorodnych a sprzecznych sobie ubijatyka żywiołów. Zasada narodowa mimowolnie wyzwana do niebezpiecznych zapasów z cudzoziemskiemi zasadami, jakie zbieg okoliczności nasyła i narzuca.

Duch narodowy pragnął utrzymać niepodległość kościoła narodowego, domagał się poprawy w karności: polityka Dworu Rzymskiego przynosi mu uchwały Soboru Trydenckiego i bierną uległość. Skłonność narodowa do tolerancyi usiłuje pokój między dyssydentami utrzymać: polityka Dworu Rzymskiego wywołuje protestacye, podburza, rozognia prześladowanie. Usposobienie narodowe chce przynajmniej polityczne między dyssydentami

zawiązać braterstwo: opiera się temu niemiecki luteranizm. Wolność szlachecka osłania wszystkie nauki i mniemania: cudzoziemski jezuityzm jątrzy ku nim zawziętą nienawiść. Porządek Rzeczypospolitej uchylił rzecz wyznań z obywatelstwa: wpływ cudzoziemski plącze i na tensam kłębek wikła.

Wszystko to wynikało z góry. To król z obcych krain wzięty, to prałaci, to przemożne pany — poruszają i powołują te sprzeczne żywioły. Co duch narodowy ze wstrętem odpiera, czego nienawidzi, w tem się lubuje król ze swymi zausznikami i dworakami, za tem goni, temu otuchę daje, to podnosi. System dynastyczny, który omal Lechii nie roztrącił i nie zgubił, którego się naród wyrzekł i potępił go wszechwładztwem swem, przyzwany cudzoziemskiemi pojęciami, utrzymuje Rzeczpospolitę w ciągłym niepokoju i snuje w niej zwykłe sobie następstwa. Niegdyś, w poprzednim okresie, z nepotyzmu królewskiego wydarzyły się nadzwyczajne wypadki przeciw zasadzie, ze szkodą powszechną: w biegącym, jaki rozpatrujemy, okresie — myśl dynastyczna, byle sposobność, trudni się *[= zajmuje się]* dziedziczeniem, nepotyzmem, następcą. Republikanizm narodowy ustawicznie straszony jest zamysłami i małemi usiłowaniami pomnożenia władzy, stosownie do cudzoziemskich pojęć monarchicznych, co plącze dwór w skryte podejścia knowania.

Duch narodowy należycie postawił braterstwo i równość obywatelską, znijaczył lub do powszechnego poziomu przywiódł żywioł arystokracki: ten żywioł, działając opak, odzyskuje siły; przesiąkły cudzoziemskiemi pojęciami, arystokracyą na wzór cudzoziemskiej kształci, z cudzoziemcami się porozumiewa, otwiera nieograniczony ich polityce wpływ.

Rojalizm, arystokracya i szczyt hierarchiczny są żywioły cudzoziemskie dla Rzeczypospolitej, opak idące, jej zasadom nieprzyjazne. W poprzednim okresie wszystko się rozwijało, rozrastało: w okresie upadania zwarcie się różnorodnych żywiołów, które się zgodzić nie mogą i usiłują osłabić się, wywrócić, tworzy odmęt, nierząd, tak zwaną anarchią. To zwarcie przerażające a przeciągłe, przez wygórowaną osobistość i egoizm jej rozniecone, wynurzyło się wraz z przyzwaniem cudzoziemców do sterowania Rzecząpospolitą i wywołało Sandomirski rokosz; po rozpędzeniu rokoszan w pierwszych latach 40 (1607—1648),

do zgonu Władysława IV, nadweręża, koszlawi, wprowadza rozprzężenie, zepsucie: opłakany dział okresu, płodzący tak zwaną anarchią. Pojrzeliśmy na wynikłe stąd następstwa pod względem wyznań; mamy rozpatrywać podobneż pod względem obywatelstwa, polityki i stanu towarzyskiego.

CXIX. Monarchizm szarpie Rzeczpospolitej zasady. Mądry Zyg. August, w rozpuście pogrążony, zawierzając wróżbiarstwu, czy czarom, stosował się do zasad tłumu: z mianem króla był naczelnikiem rzeczypospolitej; wyparł się praw dynastycznych, a kiedy licha klika w ustroniu wypróżniała jego szkatułkę i rozrywała między sobą własny jego skarb, Rzeczpospolita nie miała się o co upominać: on uwieńczył szczytny jej rozwój.

Zygmunt III, rodem Szwed, z kraju sprotestantyzowanego, pociągiem skłonności i przywyknieniem do zwyczajów, Niemiec, katolik, bigot — exorcystami, jezuitami, Niemcami, nawracającymi świętoszkami otoczony, żarliwą nawrócenia świata trawiony żądzą, do zbroczonego krwią habsburskiego uprzężony woza, po tysiącznych, toczącego się nietolerancyi, prześladowania lub poświęcenia się obywatelskiego, zwłokach — Zygmunt III skrycie kierował cudzoziemskie knowania, szedł jego dynastyczną koleją, wywoływał o sukcesyą i religijne wojny, których Rzeczpospolita znać nie chciała, wysysał zasoby krajowe, na rzecz swoję skarb odzierał — a od rozprawy pod Guzowem nic go w tem nie wstrzymywało rozpasaniu. Bezkarnie zrządził rozprzężenie w Rzeczypospolitej, grzązł w niecnej dyplomacyi; własnem postępowaniem zgotował nieszczęścia daleko większe.

Syn jego, Władysław IV, więcej rozsądny, tolerant i Polak, koił zrazu złe; wciągniony, zabrnął był w podobneż, z duchem narodowym sprzeczne, *zakoły*. Niespodziewany opór zniewolił go do powściągnięcia tych wyrzutów i złorzeczeń, jakiemi obciążone jest świetne jego ojca panowanie. Rzeczpospolita nie daje dostatecznych jędrności dowodów w tym lat 40 przeciągu, ale potępia królewskie postępowania *[tak]*, a odsłania smutne rozdwojenie między nią *[rzecząpospolitą]* a jej głową.

CXX. Arystokracya odzyskuje stanowisko. Król Polski — mawiali Polacy — jest jak matka w ulu: niema żądła, poddanym swym dokuczyć nie może, ale może wiele dobrego czynić, gdy według swej woli rozdawniczy biskupstwami, opactwami, dostojnościami świeckiemi wojewodów, senatorów, kanclerzy, starostów, generałów, wyższemi oraz urzędami wojny, skarbu, sprawiedliwości, policyi. Obliczenie to rozdawnictwa królewskiego okazuje: w czem to widziano tyle dobrego, co uczynić może *[król]*, i komu to na dobre wychodziło. Łowili w tem możni, dorobkowa arystokracya. Mniemałby kto, że, zmowna z królem *[arystokracya]*, jego rzecz przędła. Tak nie było: egoizm, niesforność a gminnota szlachty — ścisłą zmowę niepodobną czyniły; ale egoizmu królewskiego i arystokrackiego wspólny był cel, duchowi narodowemu sprzeczny. Każdy na swój kłębek wiązał, zbliżał się lub rostrychał *[tak]*, dążył lub walczył wspólnie, z dostatków krajowych dla siebie ciągle brał, powodując gminem szlachty, jak narzędziem, które służyło osobistym ich widokom.

Arystokracya przybranych prowincyi pobratała się z równością szlachecką i zdawała się wyrzekać nowych prerogatyw; ale jej odróżnianie się i wynoszenie w innym wytoczyło się sposobie, i kiedy nastała żywsza ducha arystokrackiego czynność, jej odżycie wywijało się z nowoprzybranych ziem. Popularnym było zaszczytem genealogiami i heraldycznemi dziełami okazywać, że się kniaziowskich i książęcych zrzekli tytułów, ale onych nie zgubili, bo ich akt Unii Lubelskiej dozwolił. Radziwiłłowie i Ostrogski założyli w Litwie i w Ziemiach Ruskich ordynacye czyli majoraty. Radziwiłłowie też byli aktem Unii upoważnieni do tytułu książęcego, tytułu cudzoziemskiego, jaki nie dopiero w Niemczech, w Rzymskiem Imperyum, nabyli, a szukali związków z domami za panujące poczytywanemi.

Pożądliwości arystokrackie puściły się w tej dobie w obce ziemie, goniąc tam za panowaniem i zdobyczą. Napadane obie Wołoszczyzny i Moskwa stały otworem dla wypraw dorywczych, w których, w nieładzie, każdy swego się dobijał.

W Polszcze zaszczytnie było nieprzyjmować cudzoziemskich tytułów. Z tem wszystkiem pożądliwość niektórych dorobkowych chętnie szła w ślady młodszych braci: ordynacye, tytuły, dyplomatyczne małżeństwa pojawiły się w Koronie i wyprawy w ziemie obce podejmowano. Zamojski sam dał tego przykłady. Niebawem wieczne po cudzych ziemiach gonitwy

ustały, wszystkie pożądliwości w domowe zwróciły się zagrody, w obrębach Rzeczypospolitej się zamknęły, gdzie, wywijając cudzoziemskim żywiołem, narodowi nieprzyjaznym, krajowi szkodliwym, wycieńczać poczynają żywotne Rzeczypospolitej siły.

477) *CXXVI.* W ciągu lat czterdziestu (1607—1648) nadwerężającej się Rzeczypospolitej, widzieliśmy podnoszącą się we wzrastającym nieładzie arystokracyą, blask swój za krańcami opodal ukazującą. W dwudziestu pięciu latach (1648—1673) dwu następnych panowań wśród klęsk, nieładu, bezrządu, kiedy się wszystko do wnętrza zwróciło, żywotne siły wstrząsało — stan rycerski okazał niezwykłą dzielność i sprężystość.

Trzy wieki temu, za Władysława Łokietka, Polska, w ostateczne pchnięta przepaści, powołała swe dzieci do obrony; i dzielni wojownicy, wołaniu strapionej zadosyć czyniąc, zawiązali się w stan rycerski. Był to wiek pełen przyszłości, wiek młodzieńczy; wypracowawszy nowe pojęcia, ojczyznę ocalił, urządził: i ta wspaniale wzrastała. Trzysta lat potem, pod Janem Kazim. Wazą i M. Wiśniowieckim, stan rycerski, znowu niemniej niebezpiecznem ojczyzny położeniem powołany, z równą się żarliwością i poświęceniem rzucił, roztłuczoną podźwignął, podupadłą, strapioną utrzymał. Był to wiek męzki, chorobą wieku tknięty, ale pełen siły, doświadczenia, przeszłością poduczony, wielkiemi zaszczycony wspomnieniami — wiek, którego niezmienne w niepewności ustalenie rzeczy jedyną było przyszłością. Przeciągnął byt z umysłem nieprzełamanym, z przedawnionemi pojęciami, z obyczajem nałogowym, słusznie się szczycąc, że w najwyższych utrapieniach nie uląkł się przerażającego niebezpieczeństwa, ani strwożył okropnym nieładem, i na gruzach usiadł zwycięzki.

Nie wiem: czy rychło Polska ujrzy dość biegłego, dość zdolnego pisarza, coby skreślił niedolę, jaka w owej dobie gnębiła! Sroga wojna obywatelstwa z ludem; jednoczesne pięciu nieprzyjaciół wdarcie się, odrazu całą rozrywające krainę; za niem wtargnięcie Turków, zaborczym ożywionych duchem; zdradne a zdzierce fałszywych przyjaciół posiłki; zajadłość sekt, do fanatyzmu posunięta; kraj cudzoziemcom podle wydawany —

religii, zasad, nienawiści, osobistych zawziętości powodem *[= z powodu...]*; król nieprzyjacielem Rzeczypospolitej ogłoszony, małej dogadzając zemście, zazdrości igrzysko — król jeszcze frymarczący z cudzoziemskiemi dworami — poniewiera koronę nieprawemi umowami, naraża pokój swemi dziedzicznemi prawami; rzecz o następcy podnosi, nie bacząc na przysięgi, na prawa fundamentalne, na bezpieczeństwo publiczne; łudzenie i obłąkanie, opuszczenie lub odbieżenie sprawy narodowej, wiarołomstwo, przeniewierzanie się, zdrady, bunty, fakcye między sobą drące się, nieukojone nienawiści, niecne pychy, pięcie się i wdzierstwo; namiętności rozpasane, w odmęcie różnorodnych, sprzecznych, nieubłaganie nieprzyjaznych żywiołów, we wszystkich ścierające się kierunkach; strata prowincyi, innych spustoszenie; dzikie niszczenie, niesyta łupież, miecz i ogień zmieniają wszystko w pustkę; rzezie, w pień cięcie, krwawe jatki, srogie okrucieństwa — broczyły wszystkie strony kraju w te dni nieszczęsne; powietrze i pomorek nareszcie wypleniały ludność: — względów do rozważania bez liku, z których się cnota narodowa wydźwignęła. Okrutne przeznaczenie, zwaliwszy tyle nieszczęść na Polskę, przygotowało dla piszących obraz krwi i płomieni, przerażenia i rozpasanego zepsucia, — męstwa, dzielności i szczerego wylania się dla ledwie nie zwątpiałej sprawy.

Tłum widoków staje do rozważania, jakich nie możemy objąć i rozpatrywać w niniejszym trudzie, ni stosunków politycznych lub handlowych z innemi krajami, ni prawodawstwa, ni naukowej i piśmiennej kolei, ni wielu innych widoków. Uchylamy je na stronę, mamy jedynie rozpatrzeć następstwa w wewnętrznym stanie Rzeczypospolitej, obywatelstwa i towarzyskości, a mianowicie los ludu, zatrzymując się zrazu nad wydarzeniami, w których, w części wielkiej, czynnie występował.

478) *CXLIX. Przysięgi Tyszowieckich konfederatów.* W czasie najopłakańszego położenia Polski, ze wszech stron nieprzyjacielem zalanej, od własnych dzieci poszarpanej, kiedy we krwi ponurzona szła w okruchy przy świetle płomieni jej byt trawiących; kiedy wszystko się gotowało jej gruzy między siebie rozerwać: kiedy w ścisku powszechnym zaledwie lud bezbronny nieprzyjacielowi czoła stawiał, a niewielu obywateli na ustroni w konfederacyą się zawiązało, by ojczyznę ocalić:

wtedy sumienie w konfederacyą wiążących się, widokiem niedoli przerażone, znękane widokiem wykroczeń, co tyle klęsk zrządziły — sumienie ich, wchodząc w siebie, w szczerej skrusze, przysięgło, uroczyście przed ołtarzem Przedwiecznego przysięgło, wyzwolić lud.

Było to w r. 1656, d. 1 kwietnia, w metropolitalnym we Lwowie kościele. Król Jan Kazimierz, senatorowie, co byli obecni, w imieniu narodu na podźwignienie ojczyzny skonfederowanego, wyrzekli pamiętną przysięgę, w której wszyscy i każdy osobno rzekł: «Gdy z wielką boleścią jasno widzę, że dla płaczu i uciemiężenia ludzi prostego stanu na królestwo zesłana plaga morowej zarazy, wojen i nieszczęść przez siedm lat (1648 - 1656), przyrzekam i nadto ślubuję, że odtąd ze wszystkiemi stanami, po odzyskaniu pokoju użyję sposobów, aby lud mój uwolniony był od wszelkich ucisków i nadużyć». Czcza przysięga, przed ołtarzem i Bogiem wyrzeczona — przez króla i ludzi bez wiary.

Król mężny i odważny, we wzruszeniach unoszący się, mściwy, namiętnościami powodowany; król-niestatek, śmiejący się wśród powszechnego płaczu, zmieniający widzenie i powołanie, wesoło pląsający wśród zawieruchy i biedy, mało dbający o małżonkę, zalotny, z zaufaniem i serdecznością zarówno na przyjaciołach i nieprzyjaciołach polegający, zdaniem i sumieniem frymarczący — puszczał wnet w niepamięć najuroczystsze przyrzeczenia, woląc brnąć w intrygi żonine, obmyślać następcę po sobie. Jakże mógł przywiązywać wagę do przyrzeczeń wśród niebezpieczeństwa czynionych, kiedy niebezpieczeństwa minęły?

A czegóż się można było spodziewać po stanie rycerskim i senacie? Powtarzano wtedy łacińskie przysłowie: «Jaki pasterz, taka trzoda; do króla stosuje się świat cały». Wadzono się, zabawiano, a każdy swoję prządkę wił. Król zajęty małemi rozrywkami i uciechami, dostojnicy — swemi zaszczytami, stan rycerski — swą wyłącznością i wszechwładną wielmożnością.

Lud był zapomniany, zaniedbany! Stan jego srodze się nawet pogorszył. W lat pięćdziesiąt potem, kiedy nowe na Polskę waliły się klęski, kaznodzieja jezuicki Szyrma, przypomniał, że gdy ludu krzywda trwa i wzmaga się, więc i miecza dobytego

Pan Bóg nie schował, wojny, zamieszanie, niepokój nie ustał. Ale głos za ludem mówiący był głosem na puszczy: stan rycerski nie dosłyszał go; w hulaczce, w zapamiętałości nie widział nic, nie słyszał; odrętwiony, nic nie przeczuwał — i popełniał niesprawiedliwość wielką. Stanisław Leszczyński, w dostojnej ciszy swej, więcej filozof niż król, pomny na stan Rzeczypospolitej, której był obywatelem, wołał za sprawą ludu, przekładał, gromił, przeczuwanem niebezpieczeństwem tknięty: bez skutku wołanie jego, ze zbyt dalekich krain szło, aby dosłyszane być mogło, a na wyrzuty zatwardziałego sumienia ani kaznodzieje, Bonawentura Gelarowski (1737), Jan Zrzelski (1739), wzruszyć nie mogli. Bez owocu też silił się mówić Kurzeniecki (1752). Wincenty Skrzetuski, Pijar (1777), uważał, że przez ostatnie dwa wieki nic w tej materyi na sejmach nie uchwalono, ani podobno o niej nie wspominano; a kiedy to pisał, przeszło sto lat od tyszowieckich we Lwowie przysiąg przeminęło.

479) *CLXIII. Tiers-état jakieby w Polszcze następstwa miało?* Niektórzy cudzoziemscy pisarze, a za nimi są i nasi, co mniemają, że niedola i poniżenie wieśniactwa wynikło w Polszcze z niedostatku trzeciego, dość możnego, pośredniego stanu. Mnie się widzi, że podobne hypotetyczne przypuszczenia szkodliwemi są raczej, aniżeli jakie światło poszukiwaniom przynoszącemi się stają, mianowicie, gdy płyną z analogii mylnie chwyconej. Ci, co sobie podobny wywód roją, znając dobrze dzieje Królestwa Francuzkiego, oraz krajów na Zachodzie położonych, wywiązują z tego, że podobnyż byłby w Polszcze i w reszcie wschodniej Europy bieg i takież z trzeciego stanu następstwa. Powinniby przecie baczyć na to, na cośmy po wielekroć uwagę zwracali: że posada i stan towarzyski wschodnich europejskich krain były cale inne. Krainy te nie były rzymskiemi prowincyami; feudalizm, wdzierając się, nie mógł się ze swemi zasiedlić następstwami, udział, jaki w Krzyżowych Wyprawach bardzo niejednostajnie brały, inne wywięzywał skutki, albo raczej żadnych nie zrządził: żyła w nich pierwotna wolność, której z chrześcijaństwem wprowadzona cywilizacya tak rychło podławić nie zdołała; rolniczy i handlarski żywioł nie miał pociągu do przemysłu, do rękodzieł i fabryk; królestwa stawały się elekcyjne *[tak]*; miasta sadowiły się jak cudzoziemskie

dla narodu. Byli to przybylcy, co przynosili mieszczanom nieprzyjazne bogi, oddając im cześć na łonie kraju, który im gościnę *[tak]* udzielił. Słowem, wszystkie te kraje tworzyły inny polityczny system od krain zachodnich: aby o nich z jakiego podobieństwa zbliżenia sądzić, cośby podobniejszego upatrzyć wypadało, aby w podobieństwie różnice rozpoznać: prawda i pozorne urojenia więcej-by korzystały.

Polska, mianowicie, odznacza się owym do krucyat i feudalizmu wstrętem, swym rolniczym żywiołem. Ze swem republikanizmu znamieniem, w którym król jest obranym naczelnym dostojnikiem a równość obywatelska żywiołem politycznego węzła, raczejby iść mogła w porównanie z Rzymską lub Ateńską Rzecząpospolitą. Miłośnik hypotez jaki — dla plebejów, dla niewolników czy dostrzegł i obmyślił pożyteczny w stanie trzecim środek? Nie wiem też coby tam miał do czynienia trzeci: gdzie dwu w zapasach, co trzeciemu do tego? Żałować raczej, że w Polszcze walka między dwoma nie mogła się stać na silniejszej posadzie dość przeciągłą. Ta, co czasowie wybuchła, nierównemi wytoczyła się siłami; siła materyalna mogła-ć z obu stron zapasy na równo zacząć, ale siła moralna nie rozwinęła się, nie miała dość jędrnego bodźca, na żadnej nie wzniosła się stronie. Z obu stron wycieńczyło się wysilenie, bez owocu. Bez powziętej myśli, bez sił moralnych, nie zdołały ni postępu czynić, ni zapasy *[tak]* przeciągnąć. Były to pioruny, których trzask i łysk przeraził strony, żałobą je pokrył. W monarchicznym sensie możnaby powiedzieć, że król powinien był ruszać się czynniej za sprawą nieszlachty, pośredni stan utworzyć, stanu rycerskiego sobkostwo łamać. Napozór przynajmniej miał niemałe do tego środki. Jeżeli nie mógł użyć ni skarbu rzeczypospolitej, ni kozaczyzny, ni wojska narodowego, był przecież sam z siebie dość bogaty, był bezpośrednio panującym i opiekunem miast królewskich, a przeto stolic i głównych każdej prowincyi miast. W Rzymie ni konsul, ni sternik jaki rzeczypospolitej nie mógł na swój karb ni prawa, ni prawideł, ni ustanowionego przekraczać porządku bez wystawienia karku swego na strącenie ze Skały Tarpejskiej. Trudno tedy powiedzieć: jakiby los spotkał tego z królów, coby przedsiębrał jakie podchwytki za pośrednictwem mieszczan, albo gdyby zamierzał uzbrajać ich

i przyrządzać zapasy ze stanem *[rycerskim]*. Żaden myśli podobnej nie powziął. Liczne królewskie targania zrządziły wiele złego; też *[targania się]* z mieszczany *[z pomocą mieszczan]* przywiodłyby rzecz do ostateczności.

Ale, że Polska miała mieszczaństwo i mogłaby mieć stan pośredni, posiadając miasta handlowe, przemyślne i warowne — przypuśćmy czynną z nich pośredniego stanu potęgę: cóżby się z niej wyrodziło? Aby na to odpowiedzieć, nie radźmy się dziejów zachodnich, ale postępu zdarzeń miejscowych lub poblizkich, które mogą coś podobnego do prawdy nastręczyć, na wnioski do prawdy podobne naprowadzić. Otóż wiadomo, że przewaga miast i mieszczaństwa, prawo niemieckie i niemczyzna groziły zagładą zasadzie i duchowi Rzeczypospolitej, narodowości i bytowi Polski. Dając tedy tyle sprzecznym żywiołom górę i przewagę, byłaby niechybnie przepadła. Wiadomo jak w przepadnienie takie poszły części Polski Niemcom pograniczne; silnie się do tego przyczynił stan pośredni mieszczański, który tam mocno się podniósł, a w Polszcze całej nie inny mógł głowę podnieść, tylko taki, jaki w oderwanych wygórował częściach. Pytam: co zyskali pracowici rolnicy przez to, za pośrednictwem trzeciego stanu, przenarodowienie? Ta jedna przecie kombinacya jest podobna dla tych poszukiwaczy, coby chcieli przewidzieć i wytoczyć następstwa dla Polski w razie, gdyby potężny stan średni posiadała. Polska, unikając tych śmiertelnych ciosów, inny w dziejach do rozpatrywania wystawuje obraz.

CLXIV. Katolicyzm. Uważaliśmy, że wszystkie w kraju wzruszenia od czasu zagnieżdżenia się Jezuitów przybrały religijne znamie. Obory *[tak]*, gminne ruchy, konfederacye, zawichrzenia, poburzenia ludu, obywatelskie obrady — wrzały intolerancyą i prześladowaniem. Polska, której wielkość czasu Unii Lubelskiej rozwijała polityczną dla mniemań religijnych obojętność, dla każdego pokój, swobodę i obywatelstwo zaręczająca, Polska stała się wyłącznie katolicką i wszyscy niekatolicy poczytani są za jej nieprzyjaciół. Akatolicy też naprawdę sprzyjali cudzoziemcom, co Polskę najechali, z nimi się bratali, tak jak możni panowie, co tych cudzoziemców przyzwali i z nimi się zmówili, własny kraj im otworzyli. Ale panom tym bezkarnie

to uszło, a niekatolicy byli karceni, gnieceni, wyparci. W ciągu wojny burzono ich miasteczka, wywracano kościoły. Wyrokiem sejmu, powtarzanym 1658, 1659, 1661, Socynianie, Anabaptyści i niektórzy inni sektarze z Polski wywołani zostali.

Jak wyborem do tronu powołany nie mógł być niekatolik bez nawrócenia się, tak cudzoziemiec szlachcic nie mógł się spodziewać indygenatu, jeśli katolikiem nie był: to zapowiedziało prawo 1661 r. Prawowierne Mazowsze uczyniło 1666 r. wniosek, aby czci dyssydenckiej więcej nie cierpieć. Wniosek ten odrzuconym został przez wzgląd na fundamentalne prawo zapewniające dyssydentom pokój; jednakże senat był 1669 r. ostatecznie z sektatorów oczyszczony, a niekatolik nie mógł więcej zasiąść spokojnie w Izbie Poselskiej: jego obecność obudzała gorszące wrzaski, wskutek których wyparty z Izby, z powodu, że dyssydent; to w r. 1718 spotkało Piotrowskiego, posła wieluńskiego.

Prawodawcze konfederacyi i sejmów rozporządzenia 1717, 1733, 1736 r., wzbraniając dyssydentom obywatelskie prawo *[tak]*, zamknęły im przystęp do wysokich dostojeństw i urzędów, do senatu i urzędów koronnych, do poselstwa, deputacyi, komisyi i starostw sądowych. Duch jezuicki, aby te środki prawodawcze uzupełnić, pozwalał sobie w druku uchwał — podchwytnych drukarskich uchybień. Skargi i żale dyssydentów daremne były: nikt za nimi nie przemówił.

Narodowe uczucie zwichnięte, powołane do obrony wiary, pod pozorem nabożeństwa wpadło w bigoteryą i zabobonne praktyki; unosiło się tak dobrze przeciw heretykom jak przeciw czarownicom; bez oporu spalenia (1689) bluźniercy dopuściło wysokiemu duchowieństwu, które mniemało sobie tym aktem względy Dworu Rzymskiego zjednać; wyrokiem sejmu potępiało i exekwowało Magistrat Toruński, co zgorszyło i obudziło krzyki krajów z wymaganej tolerancyi wcale nie zaszczytnie znanych — krajów protestanckich, co się z powodu zdarzenia tego różnemi czasy do wewnętrznych Rzeczypospolitej spraw wrażały, oświadczając się z opieką nad swymi w Polszcze współwyznawcami. A dobrze uważać, że w owe czasy religijnych wstrząśnień i zatargów a srogiej niedoli, jaka kraj docisnęła, weszło w zwyczaj przysłowie: «Kiedy trwoga, to do Boga»;

a kraju pod pieczę Bogarodzicy oddanie wlało w lud bogobojne zawierzenie, że w niej zbawienie ojczyzny leży, — z jej czcią polityczny byt kraju spajało. Na wszystkie strony do obrazów Matki Boskiej pielgrzymki się wzmogły i koronacye Królowej Niebios i Polskiej zajmowały uczucia obecnego ludu mnogiego. Ta uroczystość więcej jak cokolwiek okazywała, że Polska była krajem całkiem katolickim. Uważano też, że katolicy starali się, jeśli nie gnębić otwarcie, to poniżać dyssydentów mniej jawnemi środkami, jakie *[tak]* dostarczała im przewaga ich.

Trzeba jednak i na to baczyć, że ta przewaga znajdowała hamulce we wrodzonych usposobieniach, które się małowiele złudzenia ustrzegły, poddmuchy odparły a kładły tamy zgubnym intolerancyi i zabobonów następstwom. Ludzie prawa okazywali wstręt do zarzutu o czary; ze statutami w ręku nieraz odrzucali podobne oskarżenia jako niedorzeczne. Nabożeństwo dyssydentów nie było ciśnięte, zaledwie-co głuszone, a wolność czci, będąc prawem fundamentalnem, zasłaniała od łupieży i zdzierstwa, zapewniała bezpieczeństwo, rzadko nastraszone. Duchowieństwo polskie stanęło nawet z tego względu spornie z polityką Dworu Rzymskiego: nie bacząc na jego naukę, na jego wymagania względem małżeństw mięszanych, nie kładło warunku nawrócenia się, dyspensując i błogosławiąc bez różnicy chrześcijańskie wyznania.

Nie zatrzymuję się dłużej nad stanowiskiem religijnem, jakie Polska w polityce europejskiej wzięła; doznała z tego wszystkich następstw, jak to bieg wydarzeń dostatecznie poświadcza. Rozpatrywałem je w *Paralleli Hiszpanii z Polską;* tu dotknąłem cierpień i biedy, aby łatwiej *[można było]* pojąć rany i wrzody, jakie żarły i trawiły stan towarzyski Rzeczypospolitej przy jej zesłabnieniu i schyłku.

CXLV. Upadek zdolności stanu rycerskiego. Po trzydziestoletniej wojnie Niemcy stały zrujnowane, puste, zdziczałe, wycieńczone. Podobnie było z Polską po klęskach, co pamiętnem panowanie Jana Kazimirza uczyniły. Klęski jednak, które ją dojąć *miały,* nie *miały* jeszcze końca i wewnętrzne targania nie ustawały jeszcze w ciągu następnych lat czterdziestu czterech (1673—1717). Były przecie chwile wypoczynku, w których naród mógł użyć reszty od zniszczenia pozostającej, mógł ode-

tchnąć, pokrzepić się, siły odzyskać. Te jednak lat 44 odkryły wycieńczenie kraju, niecofnione jego żywiołów podupadnienie; — szczere przywiązanie do zwyczajów i ustaw, ale poniżenie i upadek ducha narodowego. Nędza ludu; wielkie majętności poniszczone, podupadłe — ledwie cień dawnej wielkości wyobrażały. Swawola i drapieztwo urzędów i wojskowych postojów, przemarszów, wynikając z wojen i zawichrzeń, trapiły kraj w czasach spokojnych. Sława niektórych wydarzeń, niejakich zwycięztw bez owocu, sława Sobieskiego wyprawy, co Wiedeń i Austryą ocaliła — rzucały połysk złudzenia, ostatnie światełka.

«Dzielność i wspaniałość poszły za dolą bogactw — mówi z czuciem wpatrujący się w Polskę cudzoziemiec (Dalérac) — Prawie ich nie znajdzie: a naród przedtem tak wojenny, od kilku lat pogląda zdaleka na skałę Kamieńca przez Turków trzymaną. Hussarze, pancerni i inna dzielna jazda, bohatery niegdyś, których boju oko wytrzymać nie śmiało, których natarciu nic oprzeć się nie mogło — dziś ciż ludzie stanowiska niebezpieczne bez wzdrygania się chętnie powierzają towarzyszom, pachołkom, dragonom z cudzoziemców, piechocie z wiejskiego ludu złożonym. Ale Polacy chcą jeszcze — mówi tenże cudzoziemiec — świecić na sejmach, a lubując się w ucztach i stołach, wyprawują biesiady wspaniałe, przy pogrzebach, mianowicie, i weselach. Próżność i okazałość nie opuściły ich. Słusznie się znają na wzniosłości umysłu, zamiłowaniu niepodległości i wyższości swych przodków, ale w nich samych niema nic, coby to utrzymało. Dmą przepychem w nędzy, pełni kraju zwyczajów, obejścia się własnego, swej wielkości, gardzą wszystkiem, nad wszystko przenosząc Polskę; wolą swą zakopciałą szlacheczczyznę niż włoskie pałace». Boleje nad taką uporczywością cudzoziemiec — i *[nad]* tą wadą najwznioślejszych Polski umysłów, gdy widzi tak powszechne swojszczyzny zamiłowanie.

480) *CLXXI.* Mówią, że wielki Zamojski Jan zamyślał umorzyć dostojność królewską; Jerzy Lubomirski był pomawiany, że zamierzał i potemu czynił kroki, aby ją znieść. Jeśli to prawda, wyznać trzeba, że to było wielce stosowne do zasad wolności, za jakiemi obstawali, wcale zgodne z tem pojęciem wolności, jakiem stan rycerski był przejęty. Byliby wyzwolili rzeczpospolitę *[tak]* z niedogodnego stroju, oczyścili z zadymki, która jej postaci rozpoznać nie dawała, często wielce szkodliwy odmęt sprawiała, gdyż Rzeczpospolita w niczem więcej złudzeń i tak wielu nie doznawała opaczności. Mniemali Polacy, że król jest ich naczelną głową, że ich obradom przewodniczy, że u nich rej wodzi, — wyraz obradujących, z którego nic wyjść nie może, coby z ich nie zgadzało się myślą, którego kroki przodkują ich własne — tłómacz narodu, surowy prawa dostrzegacz, on sam najpierwszy z posłuszeństwa uwalnia, skoro go *[tak]* przekroczy.

Cudzoziemcy, co nie mogli dość pojąć urządzenia Polski, utyskiwali nad ścieśnieniem władzy królewskiej. Jeden z nich mówił: — «Wy, Polacy, nie macie króla» — «Wybacz — mamy króla — odparł nasz Polak, a u was król was ma». Inni, co lepiej rozpatrywali się w jego władzy, w jego środkach, a między tymi w księżej sukience dworak, dziwiąc się nad jego prerogatywami, z wolnością niezgodnemi, życzy, aby je ścieśnić [Mably]. Król miał skarbnicę własną, w stosunku do Rzeczypospolitej dochodów należycie opatrzoną, prawdziwie bogatą; był rozdawcą mnogich łask, dostojności, urzędów, starostw, dóbr; był panującym nad wszystkiemi królewskiemi miastami; przewodnikiem Senatus-consultów, które znaczenia wysokiego nabyły od czasu odrętwienia sejmów, — kierującym radą ministrów, w której miał nieograniczoną władzę wykonawczą, sejmowi jedynie sprawę zdającą.

Ale ministrowie ci są stali, niewzruszeni, a przeto odeń niezależący; szlachta czuwająca, zatrzymująca swem *veto* i konfederacyami; panowie, magnaci w swarach i pożądliwościach, o zaszczyty i łaski dobijający się, aby swę wyniosłość okazać i niezawdzięczenie; miasta biedne, cale niebojowne. A ów król, tak potężny, otoczony okazałym blaskiem i tylu z wolnością niezgodnemi prerogatywami, mógł jedynie zjednać sobie niektóre podłości przekupić się dające, zagmatwać sprawę publiczną: a w tenże *[moment]* ujrzał się wplątany w niezliczone trudności, zatrzymany nieprzełamanemi zawadami, niewolony przypomnieć sobie — odpowiedzialność.

Osoba jego święta miała być niechybną, a przeto nieodpowiedzialną, według nauki niektórych monarchistów, co rząd polski zwali mieszanym *(gouvernement mixte)*. Ale dopytki Za-

mojskiego na Sejmie Inkwizycyjnym, warunek zaprzysięgany przez królów, że uwalnia od wszelkiej niepodległości naród, skoro prawo przekroczy, groźby, na ostatek, detronizowania i po kilkakroć ogłaszane tronu osierocenie — dostatecznie udowadnia, że stan rycerski nie pojmował niechybności i cale nie przypuszczał nieodpowiedzialności. Owóż królewska dostojność, na innych (jak w monarchiach) postawiona posadach, była tylko najwyższą magistraturą. Ale majestat jej, okazałość, tytuł — potrzebowały stolicy, dworu, kliki i zwykłych wymagań.

Widzieliśmy, że dawnemi czasy żadnej nie było stolicy stałej, a ześrodkowanie Rzeczypospolitej kołysało się z przepływem Stanu Rycerskiego, sejm urządzającego. Od czasu Unii Narodów i podniesienia godności królewskiej na monarchią przez Batorego wszystko się zbiega, środkuje i sadowi w stolicy. Warszawa, dość znamienite mazowieckie miasto, ten otrzymała zaszczyt. Stolica ta między europejskiemi innego cokolwiek była rodzaju, obcą wydawała się latoroślą, z ludnością swą i prawem cudzoziemskiem, a staje się zbiegiem wszystkich sprzecznych z Rzecząpospolitą żywiołów, tudzież szlachty obojego narodu, a w szczególności mazowieckiej, zagranicznych posłów, zgromadzeń narodowych, wyborczych, prawodawczych, a jest stolicą króla i katolicyzmu. Wazowie już utrzymywali w niej swój dwór. Zamiłowanie w podróżach Sobieskiego, Sasów w nieprzesiadywaniu, klęski, co niewoliły do opuszczania jej — nie zmieniły przeznaczenia Warszawy: wszystko się zbiega, środkuje i zamyka w jej mury; los Rzeczypospolitej czepia się jej. Dość długo jeszcze zdobywana przez nieprzyjaciół, odzyskiwana przez Polaków, była podrzędnym doli kraju przedmiotem. Z czasem pole elekcyjne, o jarzmie Rzeczypospolitej stanowiące, ode dnia do dnia ściślej los narodu do niej przywiązało. Na ostatek dwór Stanisława Augusta zamknął rzeczpospolitę i całe życie narodowe w stolicy. Upadek Warszawy stanie się upadkiem narodu.

Byt narodu zwolna się chyli: a stolica rośnie, król w niej świeci ze swym dworem, dworakami, szambelanami, ze swemi intrygami, klikami, królowemi (z których w ostatnich czasach ostatnia rozwiozłe w Petersburgu prowadziła życie). Małżeństwa królewskie ożywiały stosunki zagraniczne; wszystkie królestwa, cała dyplomacya z najjaśniejszym umawiają się królem — rzecz-

pospolita zostaje na boku. Wyjąwszy dobrego a nieudolnego Michała, wszyscy królowie i królowe, jeśli nie myślały o dziedzictwie tronu, zamierzały następcę mianować. Do tych zamachów czepiały się wszystkie nieprzyjazne żywioły: intolerancya, arystokracya, wpływ cudzoziemski, chciwość wynoszenia się, łakomstwo, nieprawe nadużycia, przewrotne nauki — co tworzyło, nie rząd mięszany, ale zaraźliwą mieszaninę, wyradzającą nieład i nierząd, trudzącą naród w ciągu kilku pokoleń, wycieńczając siły i jarzmo przyrządzając.

F) „Wieca Królowej Polski w Sokalu".

(Napis. 1842, drk. Bruksella 1843; «Lotniki Emigracyi polskiej» 1859; «Dzieła» Żup. T. XIX str. 208—21).

Wywołane wielkim zjazdem duchowieństwa i pielgrzymką wiernych do cudownego Obrazu Matki B. Sokalskiej dn. 8 września 1842 r. Przybywają na uroczystość i inne cudowne Matki Boskie narodu: Częstochowska, Ostrobramska, Żurowicka, Białynicka, Poczajowska, Berdyczowska, Latyczewska, Jarosławska, Krakowska, Lwowska, Leżajska, Świętolipka (Heiligenlinden na Warmii), Podkamieńska i Łaska. Miejscowa zaklina przybyłe, aby dopomogły narodowi do wyzwolenia się. Zaczynają rozmawiać o stosunkach wyznaniowych. Po Częstochowskiej Poczajowska wydaje głos najmocniejszy; przypomina błogie czasy Jagiellonów, kiedy to Ruś korzystała z zupełnego równouprawnienia w duchu unii florenckiej, zastąpionej na nieszczęście brzeską. Panowało wówczas między obrządkami braterstwo, a potem przyszło wywyższenie się jednego nad drugi, a teraz wszystkie Matki Boskie uciśnione i cierpiące. W stałej myśli swojej, z wyrozumiewania dziejów w «Uwagach» powziętej, Lelewel ustami Poczajowskiej woła: «O Lachy, o Polaki! w polityce waszej, w obywatelskiem życiu waszem, nie podnoście Unii Brzeskiej», «nie występujcie z katolicyzmem, bo krew niewinna, krew zbłąkanych spadnie na was!» — i rzuca hasło: «kozak i wolność». «Szlachta niechaj nie występuje z obrazami waszemi, które znieważyła: odmówcie jej łask, ażby wylaniem się całem dla ojczyzny, dla ludu skrzywdzonego, dokazaniem cudów waleczności, plamę zmazała». Lepszego losu doczeka się ojczyzna dopiero wtedy, gdy się szlachta z ludem połączy, «gdy się w e ń w c i e l i» (!str. 220). Zadaniem Częstochowskiej jest wzbudzenie czci wielkiego ideału i wiary we własne siły. Tu głos jej z «Dzieł.» Żup. T. XIX str. 213—5.

481) *[Głos M. Boskiej Częstochowskiej]*. Nie bierzcie mi za złe, moje drogie towarzyszki, jeśli wam powiem prawdę. Ufam, że mi nie zaprzeczycie dłuższego doświadczenia i pewnie wziętości, która was wyprzedziła i zasługuje u was na jakikol-

wiek wzgląd. Widzicie we mnie wierny obraz najświętszej dziewicy; w niebie przez apostoła Łukasza malowany, z łaską niebios na ziemię zesłany, z Ruskich ziem na Polskie przeniesiony, błyszczy na Jasnej Górze od wieków. Mnogi lud pobożny zbiegał się i zbiega z Polski, Szląska, z Czech, Moraw i ze Słowackiej ziemi. Wybaczcie mi, że powiem, nie przez chełpliwość, ale przez istotną rzeczywistość, żem pierwsza i sama jedynie koronę polską piastowała, jej orędowniczką była, nim-eście wy, drogie towarzyszki, po kolei świątobliwemi koronacyami królestwo otrzymały. Mnie było przyznano, że Konfederacya Tyszowiecka Polskę utrzymała, żem szlachtę polską nowem życiem natchnęła. Szlachta powierzyła Polskę w orędownictwo moje; od tej chwili od Odry do Dniepru zagrzmiały hymny na chwałę naszą, litanie nie pomijały Królowej Polski, cudownej dziewicy. Jasna Góra stała się twierdzą niezdobytą, pod moją straż składano skarby, bo Jasna Góra była świętym Polski przybytkiem, w którym i konfederaci barscy silne stanowisko i dotrwalsze niż jakiekolwiek inne należli. Wszystko to prawda. Ależ, najdroższe moje towarzyszki, pozwólcie mi powiedzieć, że w tem ani moich, ani waszych cudów nie było. Na rany me, przez Szweda zadane, zaręczam was *[tak]* żadnych cudów nie było. Cuda, które świat widzieć mniemał, nam przyznawał, były zdziałane przez dzielnych Polaków. Jeżeli Ojcowie Paulini twierdzę na Jasnej Górze obronili kiedy, to to się stało ich szlachetną walecznością. Jak nie było Kordeckiego i Puławskiego *[tak]*, tom i ja nic nie mogła. Kiedy lichy król kazał otworzyć szańce nieprzyjacielowi, nie byłam silna wzbronić i ocalić zwątpionej sprawy. Gdy się rozogniły dusze polskie, gdy je myśl wielka przejęła, gdy w własne ufając siły, własnej sprawie się wyleli — wtedy dokazali, i nasza cześć była górą, bo przed naszemi obrazami cześć swej własnej dzielności oddawali. Skoro w nich siły zmalały, nieudolność ich dojęła, próżno na nas liczyli. Zawód im zrobiłyśmy, i Berdyczowska, co ani Marka swego nie ochroniła, i Lwowska, i ja na Jasnej Górze, a nakoniec i Ostrobramska, gdy Wilno ..... zajęte zostało. Nie chwalmy się, bo kiedy oni niemocni, to i my niemocne; kiedy oni sami cudów nie zdziałają, to i nasza cudowność ustaje. Najdroższe towarzyszki, patrzyłyśmy spokojnie, kiedy w kęsy Polskę szarpano;

żadna z nas najmniejszego nie poważyła się objawić cudu. Na mnożenie cudów naszych nie potrzeba było ani Bohomolca, ani biskupów, co praktyki pobożnisiowskie i nieprzyzwoite mortyfikacye wytępiali, ale rzeczywistej w narodzie niemocy. I cóż dziwnego! ich poniżenie stało się naszem poniżeniem; od nich zależy nas podnieść, albo nas zapomnieć. Nie podniosą oni czci i korony naszej ani oczekiwaniem na cuda, ani płaczem, ani modłami, tylko walecznością. Konfederaci Tyszowieccy wprzód walczyli, nim ołtarze nasze otoczyli i dziękczynnym hymnem świątynie napełnili. Biada dziś, jeśli w modłach zatopieni cudów oczekiwać zechcą. Byłoby to toż samo i gorzej, aniżeli liczyć na siły cudzoziemskie królów; byłoby to wyzionąć ducha przed czasem. Rada moja, aby dusze swe wielkie natchnęli walecznością i niezłomną wiarą we własne siły! aby w braterstwie powstali razem jak jedno ciało, a Bóg będzie z nimi. Ojczyzna cudów po nich samych wymaga; będziemy je widziały! a te zdziaławszy, waleczny lud pospieszy z uniesieniem nasze świątynie napełnić wonią kadzidła i śpiewem chwały i radości. Wtedy, żeby nadal był cały, bezpieczny, lepiej, aby lud koronę powierzył niepokalanej dziewicy nieba i Bogu, aniżeli jakiemu ziemskiemu ludów oprawcy.

G) „Co o mnie mówią arystokraci, demokraci“ i doktrynerzy?“

(Napis. w Brukseli. Dzieła Żup. T. XIX, str. 192—4).

482) Chciałbym i ja między bajki włożyć co o mnie powiadają; ale, że to powiadają niektórzy, a o tem nie wszyscy ziomkowie moi wiedzą, dla tego samego wszystko to, a przynajmniej wiele o sobie pozbierałem, i to sam ogłaszam, dla przestrogi powszechnej rodaków moich, jako i cudzoziemców wiadomości.

W czasie rewolucyi naszej arystokraci nasi utrzymywali, żem chciał zostać dyktatorem albo doktorem Francia; utrzymywali, żem do urzędowania proponował familią albo klubistów, żem pensye im rozdawał. Utrzymywali, żem wydawał rozkazy stawiania szubienic i gilotyn; że się nigdy z myśli moich wytłó-

maczyć nie chcę; że powinienem wyznanie wiary uczynić; że pragnę mordów i krwi, a jak się sam zabójstw nie dopuszczę, miło mi słyszeć o nich; że tym końcem rozsiewam maksymy mordercze, wpajam je w młodzież i chłopów, dla których nauki podpalackie wymyślam. Utrzymywali, że jestem twórcą i żywicielem klubów; że się tylko z klubistami i motłochem mięszam; widzieli, żem należał do spisku rewolucyjnego dlatego, żem z innymi za rządu.... urzędu otrzymać nie mógł, a wraz z klubistami knowałem zdradę i upadek powstania narodowego.

Po upadku sprawy naszej jeszcze oni, arystokraci i ich słudzy, nie przestają tu swoje *[tak]* wymysły rozwijać; upewniają, żem więcej sprawie naszej zaszkodził aniżeli Dybicz i Paskiewicz; że protegują klubistów i łotrów, marnuję fundusze komitetów francuskich, swoim po 25 fr. rozdaję, a sam dla siebie bez miary biorę.

Teraz-że powiem, co o mnie mówią demokraci. Powiadają oni, że rozdaję pieniądze między tych, którym sprzyjam; że powierzonemi na moje ręce z komitetu meteńskiego (Metz) pieniędzmi podzieliłem się z moim kolegą; żem się we Francyi związał w jakąś partyą orleańską; żem jest *juste-milieu*, że wyznanie polityczne wiary uczynić powinienem, a kiedy tego nie uczynię, tom oszust polityczny: za co innego się podaję a co innego jestem; że się mięszam i przechylam na stronę arystokracyi; że chcę utrzymywać niewolę chłopów i upodlenie żydów, a niewiadomo kiedy byłem i czy jestem ochrzczony. To mówią o mnie nasi demokraci.

Mniemałby może kto, że ludzie *du juste-milieu* puszczą mnie na sucho, ale nie: i ci mnie przypisują chętkę do gwałtowności, że chciwie mijam drogi prawne, szukając zdrożnych; żem jest podżegaczem i sprawcą nocy 15 sierpnia, a bodaj, żem nawet mordował wtedy dzieci. Utrzymują, że się wiążę z ludźmi ladaco, polegam na nich i przez nich kierowany jestem; żem intrygant, zawsze coś knuję, działam jedynie przez towarzystwa sekretne, a z myśli wytłómaczyć się nie chcę, ani wyznania wiary legalnej uczynić; żem jest zamiłowany w anarchii, chciałbym nie uznawać władz narodowych i wywracać je; a nadewszystko, że chciałbym obalić sejm, że działam w tym celu i postępuję przeciw decyzyom sejmu, bo, jako republikanin, nie

mogę być wierny zasadom monarchii konstytucyjno-reprezentacyjnej i legalnego porządku cierpieć nie mogę. To mówią o mnie nasi ludzie *du juste-milieu*.

Nie trudno mi cytacye autorów tych wszystkich powieści podokładać; dość, że pryncypały tak nazwanych u nas arystokracyi, demokracyi i *juste-milieu* za takiego mnie łotra znać chcą, za takiego wszędzie głoszą i opisują. Żeby ich zdania były prędzej wszystkim wiadome, pozbierałem je i ogłaszam. A gdy się z tych wszystkich potwarzy, oszczerstw, wymysłów i zdań każdemu stronnictwu, stosownie do jego zdolności, właściwych, dostatecznie okazuje, że wszystkim tym panom zawadzam, a zatem z pola politycznego ustępuję. Niech ich cnoty ojczyznę moją bez przeszkody i zwad z mojej strony zbawią. Ja w ustroniu mojem z pomyślności cudzej cieszyć się i użytecznym być potrafię.

H) Demokracya, arystokracya, doktrynerya.

(Dzieła Żup. T. XIX, str. 194—6).

483) 1. Towarzystwo demokratyczne naprzód wyemigrowało z całą emigracyą narodową w kraje zachodnie Europy i do Francyi. Potem, chcąc robić wysokie teorye, zasady, wyemigrowało powtóre ze sprawy narodowej w eter kosmopolityczny. Powiadano, że myśleli kiedyś uznać się, nie już towarzystwem, ale osobną emigracyą. Byłoby to trzecie emigrowanie, emigrowanie z emigracyi. Opóźnienie tej powszechnej emigracyi zrządziło zniecierpliwienie, że poczęli z towarzystwa pojedyńczo emigrować. Zaiste, jest to osobliwsze i niesfatygowane zamiłowanie w emigracyi.

2. Demokraci kosmopolici podobni są do pluskwy w bajkach Jachowicza, która się poświęciła dla sprawy ludu i człowiekowi siebie i swój ród wygnieść pozwoliła, aby go nie kąsała. Takiego poświęcenia po Polakach wymaga Mikołaj I i centralność [Centralizacya Tow. Demokratycznego].

3. Niema większych pod słońcem kosmopolitów nad arystokratów; bo jeden chodzi z angielska, a papla po francusku, a inny stąpa po francusku, a gada po angielsku, jakby polskiego języka i obyczaju nie znał. Układni do wszystkiego, po-

rozumiewają się równie serdecznie z Austryakami byle na dniu jasnym i w cieniu nocy świecili.

Zapamiętali głosiciele kosmopolityzmu, nie baczą, że przygotowują czasy imperium rzymskiego. A naprzód zostanie zobojętnienie na to, co swoje, i obcy przewodzić zaczną; a potem oziębłość na to, co się dzieje, i źli ludzie panować i uciskać zaczną; a nareszcie barbarzyniec przyjdzie, znikczemnionych, złych i dobrych kosmopolitów pochłonie, i nowe bolesne odrodzenie po upływie wieków rozpocznie. Płaczcie dzieci nad przyszłością!

Doktrynerya jest to służebne i niewolnicze naśladowanie cudzej nauki. Jest w chrześciaństwie doktrynerya papiezka czyli dworu rzymskiego; jest w polityce doktrynerya konstytucyjna czyli Benjamina Constant, czy jak tam zwana; jest w rewolucyi doktrynerya 1793, zwana Dantonowska, Roberspierowska i tym podobnie. Doktryneryą tedy po polsku możnaby przełożyć: małpiarstwo.

Człowiek próżny jest jak purchel: gdy go nadepcesz, to się z niego znikome próchno rozleci; podobny do nadętego pęcherza, prochem nasypanego. Uczepże go do kociego ogona: kot w bok, a on bez końca grucha i grucha. W tułactwie naszem nie braknie tych, co nie baczą, że zostali uczepieni do kociego ogona.

Powieści ludu karłom spryt i rozum przyznają, a powszechne mniemanie niesie, że kto nad miarę wyrośnie, to słaby i ograniczony. Jakoż nie było podobno więcej miałkich głów nad olbrzymy. Stawiali góry aż pod niebiosa, nie przewidując, że się pod ziemię zwalą. Olbrzym Goliat nie dostrzegł, że mu *[tak]* maleńki Dawid kamyczkiem w głowę palnie. Zadrwił z olbrzyma Cyklopa karzeł Ulisses. Prawdziwie, wolę być karłem niż olbrzymem.

Jan przymawiał Jakóbowi, że się przechwalał zasługami ojca swego. Na to Jakób Janowi: Życzę Ci, Janie, aby twój syn jaknajrychlej mógł się zasługami ojca pochwalić, a jeźli nie twój syn, to przynajmniej twój wnuk niech ma to to szczęście.

Opracował ST. KRZEMIŃSKI.

LXXIV.

MOCHNACKI MAURYCY.

(1804[3]—1834).

Najświetniejszy z pisarzów naszych aż po koniec okresu mickiewiczowskiego nie doczekał się dotychczas biografii samoistnej a źródłowej: dlatego nawet data jego urodzenia ustaloną nie jest. Rodzona matka podaje r. 1804, dzień 13 września; historycy literatury, przepisując jedni z drugich, trzymają się wskazania roku i miesiąca, ale zmieniają dzień na 4-ty września; Marya Wysłouchowa w entuzyastycznem wspomnieniu w «Kuryerze Lwowskim» z r. 1890 wprowadza rok 1803, a datę dnia i miesiąca najpowszechniej przyjmowaną posuwa o dni 12 — na 16 września — która to liczba odpowiada różnicy między dwoma kalendarzami galicyjskiemi, zachodnim i wschodnim. Miejscem urodzenia jest Bojaniec w Galicyi wschodniej, w ówczesnym obwodzie, dzisiejszym powiecie żółkiewskim. Ojciec pisarza, Bazyli, ożeniony z Dembińską, był «prawnikiem», prawdopodobnie obrońcą sądowym; powodziło mu się dobrze, zebrał sobie trochę grosza, kupił wieś niedaleką od Lwowa i, godząc ziemiaństwo z prawnictwem, zajmował wśród współobywateli stanowisko wybitniejsze. Zwykłego kauzyperdy, albo gryzipiórka biurowego nie wybrałby z pewnością Komitet Centralny lwowski z r. 1809, już po rozejmie w Znaimie, do pomocy deputatom z podziękowaniem Napoleonowi za oswobodzenie Galicyi: a pan Bazyli właśnie w lecie t. r. wraz z deputacyą pojechał do Wiednia.

Nie brakło rodzicom funduszów na kształcenie syna u siebie w domu: było to w zwyczaju u ówczesnej szlachty z szarego tłumu sterczącej; odpowiadać też musiało ambicyi ziemianina i obywatela, może i nie szlachcica, ale samem posiadaniem już wsi i stanowiskiem wybitniejszem wdzierającego się między rdzenną szlachtę. Do nauczania domowego skłonić też mógł rodziców wzgląd na wątłe zdrowie dzieci, wśród których odrazu uderzał niesłychaną żywością, rozumem w oku,

fantazyą w mowie i pięknem, oryginalnem obliczem Maurycy. Chłopiec rwał się do wiedzy, z książki miał towarzyszkę miłą, zawsze pożądaną i zajmującą. W 12-tym roku życia tonął w «Iliadzie» i «Odyssei», oczywiście w przekładach, kochał się w Grekach i Rzymianach, czytał i mówił po niemiecku i francusku, posiadał elementarną wiedzę łaciny. W stylu czasu ćwiczono młodych i w «talentach», bez których nie było zgoła wychowania prawdziwie szlacheckiego. Maurycy miał do muzyki zdatność wyższą, rzetelne już uzdolnienie, można powiedzieć: talent; grał dobrze na fortepianie; gdy podrósł, z gry swej podobał się ludziom, a czego nabył w dzieciństwie, to dalej uprawiał w wieku młodzieńczym, rozwijając w sobie nawet dar kompozycyi. Ta muzykalność miała później, na wygnaniu, tak nawet spotężnieć, że na niej opierał władca pióra materyalne swe rachuby, wywoływane troską o środki do życia.

Jak się to stało — nie wiemy, dość, że Bojaniec wysunął się z rąk p. Bazylego, zachwiała się nawet majątkowa podstawa bytu rodziny. Mochnaccy przenieśli się do Lwowa; ale nie bardzo im się tu wiodło. W r. 1819 wywędrowali do Królestwa, gdzie mieli «folwark na Czersku» — jak pisze sama matka Maurycego — zapewne nie wielki, skoro ojciec rodziny, podjęte może już we Lwowie, starania o stałą posadę w jakiej dykasteryi rządowej usilnie w samej Warszawie prowadził, dopóki nareszcie nie został asesorem Prokuratoryi; urząd odpowiadał zawodowi prawniczemu.

Podkształcony już dobrze syn wszedł odrazu do klasy VI liceum, zostającego pod Lindym; w r. 1821 miał już maturę. Przyjaciel jego, zażyły z rodziną, kolega szkolny, towarzysz prawie nieodstępny i współpracownik w kraju i na obczyźnie, Michał Podczaszyński, syn profesora uniw. wileńskiego, lata uniwersyteckie Mochnackiego zamyka między rokiem 1820—3; matka mówi o poznaniu się przyjaciół w r. 1821; on sam milczy. W dziele dra Bielińskiego znajdzie się niezawodnie data pewna. Maturzysta zaciągnął się na wydział prawny, aby za przykładem ojca zostać prawnikiem. Świadectwo matki nie jest świetnem: Maurycy zaniedbywał się w naukach, nie stawał do egzaminów, nie prowadził studyów, nie miał własnych skryptów: «był» tylko w uniwersytecie; pochłaniało go życie patryotyczne, odciągała od prawa literatura, a może i młoda krew w żyłach. Nieustalenie chronologii nie pozwala ściśle oznaczyć roku, w którym Maurycego spotkała ciężka przygoda, łamiąca mu zawód uniwersytecki. Otóż w r. 1822 lub 3 zaczepił go na ulicy komisarz policyjny; zobaczył studenta nie w mundurze, i do tego jeszcze palącego fajkę: obces na młodego. Ten opędził się i obronił tak stanowczo, że na twarzy komisarskiej zostały ślady ręki studenckiej. Wszczęła się sprawa, groźna — gdyż wejrzał w nią odrazu sam wielki książę. Były to czasy już po uwięzieniu Łukasińskiego, Dobrogojskiego i Dobrzyckiego; w kancelaryi Nowosilcowa i w Belwederze policyjny rozum stanu skierowywano przedewszystkiem na młodzież. O tem, że młody Maurycy jeszcze w liceum należał do

związku «Wolnych Braci Polaków», założonego przez Bronikowskiego, że był jednym z gorliwszych członków stowarzyszenia uniwersyteckiego, a członkiem jednej z gmin warszawskich Towarzystwa Patryotycznego — o tem wszystkiem jeszcze wówczas nie wiedziano; ale podejrzaną wydała się sama już zuchwałość wobec władzy wcielonej w policyanta—podejrzaną i karygodną. Ponieważ młodzian i na przesłuchywaniu śledczem stawiał się hardo, przeto Wódz Naczelny Wojska polskiego skazał go — rzecz prawie nie do uwierzenia — na roboty ciężkie, grabarskie przy usypywaniu stoku pod pałacem belwederskim od strony ogrodu. Wyrok pierwszej chwili jako karę dodatkową przyniósł młodzieńcowi ogolenie głowy i ubiór aresztancki; ale gdy w. książę ochłonął, skończyło się na samych tylko 40 dniach robót w taczkach. Rzeczywista kara trwała okrągły miesiąc. Los Mochnackiego nie był bynajmniej czemś w owych czasach nadzwyczajnem: w jednym tylko roku 1822 tak jak i on skazanych naliczyła komisya do przejrzenia papierów po Nowosilcowie i w. księciu — aż 41.

Gorsze od samej kary były jej skutki na przyszłość: w. książę kazał wydalić Mochnackiego z uniwersytetu. Jeżeli się nie myli Podczaszyński, mówiąc, że przygoda zaszła na kilkanaście dni przed egzaminem ostatecznym na prawnika, to wydalenie było srogim już ciosem. Puszczony na swobodę osobistą, młodzieniec nie mógł już zostać adwokatem, nie byłby też przyjętym do urzędu: nie miał więc przed sobą otwartej żadnej zgoła drogi zawodowej. Ale w sobie samym miał coś więcej: miał genialność żądną wiedzy i rzetelne już tej wiedzy początki; taki umysł zmarnieć nie mógł, chybaby go zmogła wyuzdana zmysłowość. Niedoszły prawnik czytał chciwie filozofów i estetyków, rozszerzał i pogłębiał swą znajomość literatury powszechnej i ojczystej, kochał się zwłaszcza w Eddzie, Skaldach, we wrzekomym Ossyanie, Byronie i Shakespeare'ze, a z Niemców lgnął do Herdera i Schellinga, do Schillera i Goethego; Skargę miał ciągle na swym stoliku; czytał i wypisywał co go uderzyło; zaprawiał pióro do przyszłych czynów literackich i zapasów polemicznych, a w r. 1823 umieścił najpierwszy, najdawniejszy swój artykuł w «Astrei».

W listopadzie 1823 r. został uwięziony i wtrącony do Karmelitów. Jeden z więźniów młodocianych na Litwie wyśpiewał był przed komisyą śledczą wileńską wszystko, co wiedział i czego nawet nie wiedział — jak bywało nieraz wśród zaskoczonych nagle, nieprzytomnych a «śpiewaniem» ratujących się młodzieniaszków. Wyszły na jaw stosunki patryotyczne Mochnackiego na uniwersytecie; nie ukryło się przed komisyą śledczą warszawską i uczestnictwo jego w jednej z gmin Tow. Patryotycznego w Warszawie; rzeczywiście należał do tej, którą w r. 1823 organizowali Heltman Wiktor i Piątkiewicz. Razem z nim aresztowano Kozłowskiego Józefa, Maciejowskiego Ignacego, Bronikowskiego Fr. Ksawerego i Zegrzdę. Sprawa była już teraz bardzo poważna, a więzienie, z początku zwłaszcza, ostre: celka do 5 łokci, okno przysłonione t. zw. «pudłem Rożnieckiego», tamującem światło,

lecz wpuszczającem trochę powietrza; na cały dzień pół funta chleba i kwarta wody, a gdy ten post ohydny minął — strawa zła, wstrętna, obrażająca nerwy. Wzruszająco później opisuje sam więzień swe wrażenia: «Czasem w nocy rozległ się krzyk: Strzeżcie się, bracia, trują nas! Następowała potem cichość i słychać było tylko na dziedzińcu albo na kurytarzu turkot bębna, tłumiący konającego przestrogę»; «Kogoż to wynoszą po nocy cicho na marach, przy latarni? Mieszkańcy Leszna szepcą jeden drugiemu: To więzień Karmelitów. Kogoż potem grzebią na rozstajnej drodze? Ofiarę Karmelitów». (List do M. Hubego z dn. 18 sierpnia 1832 r. — «Dzieła» Żup. I 331).

Nastręcza się tu uwaga, że jak w odczuwaniu więzienia tak w lgnieniu do spisków, które je wywołały, ogromną rolę grała żywa, na chwilę w ruchu nieustająca wyobraźnia Mochnackiego. Szczere uczucie popchnęło go do najpierwszego sprzysiężenia, jeszcze licealnego, szczere uczucie wydało z siebie uczestnictwo w kole patryotycznem uniwersytetu, a później w gminie warszawskiej; ale w ciągłem napięciu utrzymywała energię uczuciową tylko wyobraźnia. Te schadzki nocne na Dynasach, w istniejących jeszcze wówczas zwaliskach zamku Nassauczyka i jego małżonki, tajemnicze ognie i światła, izba powleczona kirem, męka pańska wyryta na szabli, przysięgi, zaklęcia i groźby, sentencye i mowy uroczyste — wszystko to w duchu czasu całej Europy — miało urok przykuwający do miejsca, do momentu czasu i stosunków upostaciowanych w sprzysiężenie. A przytem wszystkiem nad głowami unosiła się jeszcze groza sądu i kary. Ściągnął ją na siebie i sam Maurycy. Matka opowiada, że raz wszedł do Mochnackich — mieszkali w gmachu paulińskim na Podwalu — jakiś młodzieniec nieznany i spytał o Maurycego, którego nie było właśnie w domu. Okazało się później, że nieznajomy był wykonawcą jakiegoś wyroku: miał rozkaz zwabienia syna państwa Mochnackich na Bielany, aby go tam z urwistego brzegu strącić do Wisły. Wyrok straszliwy złagodzono później na surową reprymendę. («Dzieła» Żup. I 307). Coby to była za sprawa — tego ani matka, ani jej syn nigdy nie powiedział; najprawdopodobniej szło o niewypełnienie jakiegoś zobowiązania.

Indywidualność taka, jaką był Mochnacki, znalazłszy się w więzieniu, sama sobie największą wyrządziła krzywdę. Człowiek nie umiał dotrwać, nie wzbił się na ten szczyt odpowiedzialności za czyny, na którym cierpienie staje się cierpliwością, a niepokalana czystość — siłą. Promyk nadziei, że formalne wyparcie się samego siebie zapewni swobodę, wystarczył do oślepienia samowiedzy. Jest to mroczny moment życia Mochnackiego, — i żadne sympatye, żadne względy, i całe przywiązanie do przeszłości, do ludzi i rzeczy dawnych, dzisiejszemu pokoleniu drogich, nie zdoła rozproszyć mroku otulającego jasną postać genialnego młodzieńca. «Pismo karmelickie» (inaczej «Memoryał więzienny Mochnackiego» albo «Projekt wychowania publicznego w Polsce») jak było tak pozostanie ciężkim błędem jego młodości. On sam po wyzwoleniu się wyznał przed matką, że «te pisma

są jego hańbą» («Dzieła» Żup. I 313), a chociaż zaraz dodał, że «mu dyktowali», że «musiał to pisać» — pierwszy przecież okrzyk, który mimowoli wyrwał się z sumienia w uroczystej chwili powitania z rodzicielką, głuszy wszelkie późniejsze wyjaśnienia i zaręczenia i cały długi list do Hubego: w tym okrzyku tylko jest prawda. Memoryał dotyczył wad systematu wychowawczego w Królestwie ze względu na nieprawomyślność młodzieży, a nosi datę r. 1824, odpowiadającą czasowi uwolnienia po 10-miesięcznem więzieniu. Z uwagami zasadniczemi łączą się spostrzeżenia nad zbytnią łagodnością cenzury (która od dwóch lat już i nad czasopismami i nad książkami ciążyła). Najjaskrawsze są wskazówki, jakiegoby jarzma użyć potrzeba na uniwersytet, aby z niego wychodziła młodzież i dobrze wyuczana i zarazem należycie wyćwiczana w «moralności». Rząd wprawdzie, nie czekając na Mochnackiego, już tegosamego roku dał uniwersytetowi opiekuna w osobie Fredry, ale samo wydobycie uznania z więźnia tak wybitnego wystarczyło mu do przeświadczenia, że złamał wolę oporną i zbezcześcił charakter.

Kiedy w r. 1830 i bolesna ta sprawa wypłynęła na wierzch, bronił się przyszły polityk-historyk argumentem jedynego wyjścia i drugim — niezawodnego zapadnięcia się wszelkiego rządu, któryby poszedł za radami «Memoryału»; utrzymywał wreszcie, że mu «Projekt» podsunięto do podpisu, i że on, Mochnacki, nie jest zgoła autorem tej obrzydliwości. Tesame argumenta powtórzył w owym liście do Hubego, dodając nowe a słuszne, z późniejszego swego życia. Na razie obrona niewiele zaważyła na surowej szali sądu w Komitecie rozpoznawczym, w którym prezydował Hube, i rząd powstania zgodził się ze zdaniem rozpoznawców i uznał lekkomyślnego więźnia za niezdolnego do służby publicznej. Orzeczenie takie za rządu wolnego, niepodległego, było prawdziwym wyrokiem potępiającym, i zdaje się, że ten wyrok właśnie rzucił tak nagle Mochnackiego w szeregi zbrojne.

Do odzyskania swobody sam tylko «Memoryał» nie wystarczył: musiał dać więzień przyrzeczenie, że na rękojmię swej prawomyślności wstąpi do cenzury; była nawet chwila, iż dla większej pewności chwytał się wykrętu, że zostanie księdzem, aby, zwrócony już stale ku niebu, nigdy już więcej nie mógł stać się przestępcą na ziemi. W. książę, który Maurycego dobrze pamiętał, teraz, mając sobie zdaną sprawę z zakończenia śledztwa, pilnował, aby słowo nie poszło na wiatr, i zapytywał Szaniawskiego o skutek; Szaniawski, bywający w domu rodziców, nie przestawał nalegać: albo do kancelaryi Nowosilcowa albo do cenzury. Mochnacki zwłóczył jak mógł, aż wreszcie, ciągle nagabywany, w obawie nowego uwięzienia, oddał się pod komendę dawnemu wielbicielowi Kanta. W liście do «Kuryera Polskiego» nr. 364 z r. 1830 usprawiedliwiał się znowu tem, że tylko dwa miesiące w cenzurze pracował; ale się nie spostrzegł, że w tymsamym liście starego niegodziwca, z września 1827 r., który miał być nieprzebitą

tarczą, stoją niewzruszone słowa: «Strofowałem cię już dawniej w protokółach», a «Własnoręczny raport do cenzury o niektórych dziełach wydanych w r. 1826» przynosi już niezachwiany dowód, iż nieopatrzny człowiek znacznie dłużej i stale jako płatny urzędnik pracował w biurze Szaniawskiego. Owe dwa miesiące mogły być tylko czasem zaniedbywania obowiązków.

Po liście zwierzchnika, bynajmniej nie nalegającym na powrót do biura, wydobył się nareszcie Mochnacki z jamy, w którą samowolnie był wpadł. Teraz potrzebował oczyszczenia się przed samym sobą i przed światem; miał niesmak, czuł rozterkę w duszy i musiał ją jakimś objawem dodatnim uspokoić. Sposobność nastręczył mu Sąd Sejmowy. Gdy się rozpoczęło postępowanie główne (kwiecień 1828), z memoryalisty i cenzora wybuchnął nagle gorący patryota — jakim w głębi duszy swej był. Po kryjomu w odpisach krążył po kraju «Głos obywatela z Poznańskiego do Senatu Królestwa Polskiego» — upomnienie do sędziów, aby, wyrokując według prawdy, zawyrokowali również i według sumienia, jak zalecała ustawa z kwietnia 1827 r. Autor był nieznany, pismo jędrne, ciekawość powszechna naprężona, a samo już wykrycie autorstwa groziło ciężkiem prześladowaniem. Mochnacki przyznał się Woroniczowi, że to on «Głos» napisał: starzec we łzach pobłogosławił młodą siłę — na nową, lepszą od dotychczasowej drogę — i błogosławieństwo nie poszło na marne.

Miał już wtedy za sobą przyszły dziejopis i publicysta trzy lata pracy literacko-dziennikarskiej: najpierw w «Dz. Warszawskim», który założył był w końcu roku 1824 wespół z Podczaszyńskim, potem w «Gazecie polskiej», wreszcie w «Kuryerze Polskim», przy którym zastał go Dwudziesty Dziewiąty Listopada. Na chleb pracował w «Izydzie» od r. 1826—30, pobierał też jakieś stałe dyety z wydziału przemysłu w Komisyi Spraw wewnętrznych i Policyi — musiał więc chyba i tam pracować. W czasopismach pomieszczał artykuły literackie, krytyki, spostrzeżenia i wywody, głównie jako szermierz romantyzmu, teoretyk, z bujnością wielką szerzący swe mniemania i poglądy, a stylista to już taki, jakiego przed nim literatura polska świecka jeszcze u nas nie miała, zwłaszcza w kolorycie myśli i ciętości wyrażenia. Przedsiębiorstwa nie szły: po półroczu 1825 r. upadł «Dziennik» miesięczny, prowadzony poważnie, i może dlatego właśnie przy zdawaniu redakcyi za całe bogactwo miał — d z i e w i ę t n a s t u prenumeratorów. Gdyby nie zamożność niektórych współwłaścicieli i dobra ich wola, takisam los spotkałby był zapewne «Gazetę polską», którą Mochnacki do spółki z Bronikowskim w listopadzie 1827 r. założył i od 1 grudnia 1827 do 1 grudnia 1829 r. prowadził, zasilając ją już lepiej niż «Dziennik» pracami własnemi, przeważnie literackiego znaczenia. «Kuryer Polski» od grudnia 1829 r., pismo jak «Gazeta» codzienne, skupiał naokoło siebie przekonania liberalne, którym jednak ciężkie warunki zewnętrzne nie dawały dostatecznego ujścia; dopiero powstanie nadało temu organowi rzeczywiste znaczenie

i historyczną nawet doniosłość; z tego czasu artykuły samego Mochnackiego w nimnie są liczne.

Ze sprzysiężeniem wojskowem zetknął się Mochnacki już w styczniu r. 1829; brat Kamil, podchorąży, wprowadził go na zebranie spiskowych. W lecie t. r. nastąpiło zbliżenie się z Wysockim i rzeczywiste już wejście do cywilnego oddziału związku. Na krótko przed wybuchem — podczas łowów urządzanych na podejrzaną młodzież uniwersytecką, zajść z Woydą i policyą o nabożeństwo w rocznicę szturmu Pragi — zniechęcony gadulstwem młodych a wstydliwością polityczną sprzysiężonych, utraciwszy wiarę nawet w samą możliwość wybuchu, usunął się na stronę, «drzwi przed związkowymi zamykał», nie chciał o nich wiedzieć; ale w przeddzień wybuchu powrócił, nie zawiódł oczekiwań, wciągniętych w plan działania, i na stanowisko podążył. Piękne wyszło wtedy z ust jego słowo: «Wolę zginąć z wami, jak dla przeprowadzenia mojej opinii odstąpić teraz od związku». Opinią tą był gniew, że spiskowi nie chcą z samych siebie wyłonić władzy do kierowania powstaniem. Gdy zrana Dwudziestego Dziewiątego wszedł do niego Goszczyński, zastał go nad rękopisem dziełka «O literaturze polskiej w wieku dziewiętnastym». Maurycy odłożył pióro i zawołał: «To na później; teraz biegnę do szaserów» — którzy się chwiali. Inne teraz nastawało pisanie: piórem miał być karabin. Przedmowa do I części przerwanej i nigdy już niedokończonej «Literatury», datowana dn. 14 grudnia, oddaje szczery nastrój autora i ukazuje rzeczywiste jego uczucia podczas powstania.

Wieczorem dn. 29 listopada wraz z Kozłowskim, Karmańskim, Bronikowskim, Duninem Anastazym, Żukowskim Ludwikiem i innymi wyciągał lud ze Starego Miasta na ulice, a potem prowadził go pod arsenał: stawał się człowiekiem publicznym. Drażniła go odezwa Rady Administracyjnej, jątrzyło powolne wykluwanie się stanowczości w czynach. Jak przed wybuchem zrywał ze spiskowymi dla ich niedołężnej woli politycznej, tak teraz usiłował wolę lepszą, dostrzeganą w tłumach i jednostkach, zorganizować w ster nad powstaniem. Tak stanął dn. 1 grudnia Klub głównie jego zabiegami, tak z klubu wyłoniło się później Tow. Patryotyczne. Nie dał się skusić Radzie Administracyjnej, która go razem z Bronikowskim wezwała do swego grona; nazajutrz w salach redutowych Starego Teatru, gdzie zbierał się klub, nie licząc się z popularnością Chłopickiego, ze składem zgromadzenia, w które wtargnął był Lach Szyrma ze swym legionem akademickim — odezwał się o ulubieńcu ludu a wybrańcu całej inteligencyi politycznej: on zdradza! Rzucono się na mówcę; ledwo mu życie uratowali najbliżsi. O tej-to chwili później powiedział, że zbyt nagle zdążał do władzy. Próbował jeszcze poruszyć podchorążych, aby ustanowić ten ster idealny, na który zgrzytała rzeczywistość, a po drodze do celu sprzątnąć Lubeckiego, głównego sprawcę dyplomatyzującej połowiczności. Zaklęcie Wysockiego powstrzymało podchorążych i może samemu Mochnackiemu ocaliło życie. Teraz spostrzegł, że wraz z roz-

pędzeniem klubu zrobiła się naokoło niego pustka, a zuchwałe pogróżki niedorzecznej gwardyi akademickiej, że go zabije, kazały mu poważnie myśleć o bezpieczeństwie osobistem. Schronienie dał mu rząd w pałacu ministra skarbu, dał minister, tensam, na którego życie właśnie godził, kiedy porywał za sobą podchorążych, i w jego mieszkaniu ukrył się przed nożami głupców. Lubecki, już na wyjezdnem do Petersburga, zaszczycał go częstą rozmową, okazywał żywe zajęcie się jego myślami: pociągała go niepospolita indywidualność. Dla Mochnackiego położenie było tem fałszywsze, że minister w uprzejmości swej raczył go nawet obiadami z własnej kuchni. Po odjeździe Lubeckiego starał się zrównoważyć uczucie ujemne, które owładnąć go musiało, krótką notą pochlebną w «Kur. Polskim» nr. 364.

Twórcza głowa nie mogła być bezczynną. Już na pierwsze odezwy Rady Administracyjnej zaimprowizował swą własną; złagodził ją drugą, drukowaną. W samą wigilię Bożego Narodzenia wydał broszurę «Co rozumieć przez rewolucyą w Polszcze» — pełną myśli zdrowych o życiu narodowem, o powstaniu w zestawieniu z rewolucyą francuską, o piętnastoletnich rządach, wymownie scharakteryzowanych. Powstanie uważał za jeden z wypadków wielkiego znaczenia dla całej Europy; ale właśnie nie widział odpowiadającego tej wielkości nastroju, choćby tylko w Warszawie, z której przecież «iskry pryskać powinny na kraj cały». Zastrzegał się przeciwko socyalnemu charakterowi powstania («Pierwej bądźmy narodem, a potem poczynimy stosowne zmiany w wewnętrznym składzie naszej społeczności»); uczył, że rewolucya jest umiejętnością, której w Polsce właśnie nie widać. W «Kuryerze polskim» nr. 370 wydrukował spokojny a mądry artykuł «Wypadki i ich kierunek» (ciąg pierwszy). W dn. 8 stycznia w nrze 384 znika nazwisko Mochnackiego z pod tytułu «Kuryera»; w drugiej połowie miesiąca pojawia się w «Nowej Polsce». Troskę o powstanie przejmuje już teraz gniew. Gorące, zapalczywe artykuły piętnują dotychczasowy kierunek, wskazują środek ratunku w poruszeniu socyalnem, które ma być narzędziem ruchu zbrojnego; stawiają dyktaturę, ale rzetelną powstańczą, jako dogmat polityki wewnętrznej na chwilę walki; sięgają w przeszłość, wytykają złe nałogi i wieczną trwożliwość przed hasłami radykalnemi wydawanemi w kierunku celu, do którego się zdążało; nie oszczędzają Kościuszki, nie wstrzymują się przed sejmem, szarpią nowy rząd, nicują jego odezwy: chcą walki takiej, do jakiej rozpaliła się była Francya przeciwko najazdowi za wielkiej rewolucyi. Gwałtowność słowa a głębokość myśli w tej krótkotrwałej, trzytygodniowej publicystyce niema równej sobie w piśmiennictwie politycznem polskiem.

Na grudzień przypada wysłanie Mochnackiego przez Czartoryskiego i Ostrowskiego na Wołyń dla pobudzenia tam umysłów bez kompromitowania rządu a narażania się Chłopickiemu. Emisaryusz wcale nie był na Wołyniu; poza Lublin niedaleko się posunął, a listy do znakomitszych obywateli wołyńskich, które był otrzymał, zabrał kto

inny. Cała misya wygląda na pozbycie się tylko ze stolicy niedogodnego podżegacza.

Zaraz po ostatnim artykule w «N. Polsce» (14 lutego) zaciągnął się Mochnacki do wojska, do tego samego pułku czwartego strzelców pieszych, w którym służył brat jego, Kamil. Jako ochotnik bił się pod Okuniewem, Wawrem, Liwem, Długosiodłem, Potyczą, na grobli Tykocińskiej i wreszcie pod Ostrołęką, w pułku mieszanym Breańskiego. W morderczej bitwie, która rozstrzygnęła o losach powstania, otrzymał cztery rany, cztery zaszczyty. Po wyjściu ze szpitala w Warszawie pozostał już w stolicy, ale bez wybitniejszej roli; odegrał raczej ujemną, kiedy Skrzyneckiego nakłaniał do rozpędzenia rządu, aby nieporadność zastąpić zuchwalstwem złej woli. Dopiero zamach, przygotowany przez Krukowieckiego pod hasłami demokratycznemi, poruszył go znowu do czynu. Organem jego myśli był wówczas «Dziennik powszechny (krajowy, narodowy)». Zapóźno poznał się na Krukowieckim; spiskował razem z nim i miał przyrzeczone miejsce w radzie piętnastu przy konsulacie, utopionym w nowej dyktaturze. Prześladowali go i sam prezes rządu i gubernator stolicy Chrzanowski; pierwszy groził mu śmiercią, drugi wydaniem Paskiewiczowi — jak sam zagrożony pisze; ocalał jednak, niewiadomo przez kogo uwolniony z więzienia w Ratuszu. W krwawych wypadkach 15-go sierpnia udział Mochnackiego, jeżeli był, to bardzo słaby; rozumny artykuł w «Pamiętniku emigracyi polskiej» przemawiać-by powinien za zupełnem uchyleniem się od nieszczęsnego ruchu.

Po klęsce warszawskiej pociągnął Mochnacki traktem wygnania na Modlin, Zakroczym, Płock a wkońcu Świedziebno. W Zakroczymiu był współredaktorem «Gazety narodowej» i kilka w niej artykułów, przemawiających za wytrwaniem bez poddawania się, zamieścił. Po zmarnowanych zapędach do pozostania w kraju i podtrzymania walki obaj bracia znaleźli się już dn. 2 listopada w Paryżu. Tu Mochnacki zrazu trzymał z Lelewelem, był nawet sekretarzem na konstytucyjnem zgromadzeniu Komitetu Narodowego w dn. 8 grudnia, bywał na Taranie. W lutym 1832 r. wyjechał nagle do Metz, do Podczaszyńskiego; uciekał przed zawieruchą emigracyjną w Paryżu, aby spisać i ostatecznie wykończyć 2 pierwsze tomy «Powstania Narodu Polskiego». Pisał niesłychanie prędko, namiętnie i w lecie miał już całość — na początku r. 1833 ostatecznie wykończoną. Długo szukał na nią nakładcy, zabiegał o zasiłek z funduszu narodowego w Galicyi, uderzał do zamożniejszych emigrantów, ogłaszał i zbierał prenumeratę, marzył o «spekulacyach muzycznych», o wydaniu swych kompozycyj, kołysał się w snach, że wielki koncert, dany w Londynie przyniesie mu conajmniej z 500 funtów: upojony powodzeniem na wieczorkach w Metz, nie wahał się sił swoich przeceniać. Później zniżywszy loty, liczył jeszcze na swój dar nauczania muzyki, aby z niego żyć. Przy niestałości myśli i nigdy ukoić się nie dającej wrażliwości wszystkie te ułudy prysnęły, gdy znalazł się nakładca na «Powstanie», nie-

jaki Chełmicki, emigrant. Dla druku, chcąc go mieć jak najtańszym, przeniósł się Mochnacki w środku roku 1833 do Marly-le-Roy, niedaleko od Paryża, i bawił tam, dopóki książki nie wydał (z datą r. 1834). Odwiózł tymczasem umierającego brata do Hyères i sam pięć tygodni przeleżał; zdrowie miał coraz słabsze.

Rzeczywistość emigracyjna rozkładała go. Gniotące każdego historyka prawo przedmiotowego punktu widzenia odrywało go stopniowo od dawnych marzeń, dogmatów, gwiazd przewodnich życia czynnego, a na potężną siłę kształtowania myśli za słaba zdolność do analizy i syntezy nie pozwalała umysłowi bronić się od gnębiącego nacisku. Ustawiczne falowanie mniemań i doznań tamowało spokojne krystalizowanie się przekonań niewzruszonych, jakich potrzebował i człowiek doznający wrażeń i historyk porządkujący fakta w pewne kategorye rozumowe. Rozwiewała się nietylko wiara w demokracyą, ale i samo przedświadczenie o skuteczności wszelkiej zbiorowej woli, energii i działalności. Już w liście z Metz z dn. 22 lutego 1832 r. do Lelewela pisze: «Te smutne obserwacye (starć w Paryżu) uczyniły mnie s t r o n n i k i e m a b s o l u t y z m u». Wyznanie było szczere; po niebezpiecznej pochyłości umysł staczać się już nie przestanie. Jednakże do środka, aż pod koniec r. 1833, z tej tonacyi duchowej, która panuje w «Powstaniu», niepodobna wyczuć jeszcze odstępstwa i artykuły w «Pamiętniku» Podczaszyńskiego mają jeszcze nastrój kanonicznej księgi przekonań Mochnackiego.

Dopiero w końcu roku 1833 zaczyna się już biegun przesuwać. Założenie Zjednoczenia Dwernickiego dało do tego pierwszą pobudkę, gdy Mochnacki, zrywając z Lelewelem, z Komitetem przy ulicy Taranne, jeden z najgorliwszych poparł nowe, bezwyrazowe zespolenie sił pod hasłem, że emigracya nie powinna mieć, ani uprawiać żadnej polityki, ma tylko trzymać się w kupie, a jeśli się sposobność nadarzy, brać co dadzą, na nic i na nikogo ze swej strony nie licząc. («Niczyjej pomocy nie odrzucamy, ale w niczyją nie wierzymy» [Pismo okólne]). Ta zasada wcześniej już, zanim się rozpoczął przewrót wewnętrzny, rozpaliła nienawiść do Towarzystwa Demokratycznego. Mochnacki już w r. 1832 nazywał je wzgardliwie sektą, prześladował swą myślą i jednocześnie lekceważył słowem. Zwolna dokonywało się w nim przechylenie na prawo. Rok 1834 zastaje go już zjednanym dla Kaliszan, monarchistów, dla wszystkich ludzi spokojnych, dla Czartoryskiego — wreszcie dla całego obozu monarchicznego. I wtedy właśnie dopiero z mgieł rozkładowych wynurza się osobliwszy teoremat «insurrekcyi wewnętrznej», wręcz przeczący owej zasadzie niepolitykowania, i wyciąga z duszy dawniejszy dogmat nieograniczonej dyktatury w powstaniu, aby nim opromienić przyszłego króla, opiewanego już przez Praniewicza. Teraz już i Dwernicki ze swojem przystąpieniem do protestacyi w Poitiers przeciwko machinacyom i pretensyom obozu ściąga na siebie nienawiść Mochnackiego, a sama protestacya pobudza go do nowego rozerwania jedności, do nowej organizacyi cząstkowej.

W końcu lata wyjeżdża Mochnacki do Auxerre nad Jonną w Szampanii południowej, gdzie «zakład» (dépôt), t. j. zrzeszenie emigrantów przymusowe okazywało już pociąg ku Czartoryskiemu. Talent i energia wywołują dwie życzliwe manifestacye dla księcia Adama, dla całego kierunku zachowawczego: «List do gen. Dwernickiego» z dn. 17 paźdz. 1834 r. i «Pismo okólne oficerów, podoficerów i żołnierzy z zakładu w Auxerre do rodaków w emigracyi» z dn. 3 paźdz. 1834 r. W «Liście» stawia Mochnacki zadziwiającą tezę, że «tylko domowe niezgody przywiodły do upadku ostatnie powstanie narodowe w Polsce»; potrzebuje wprawdzie Polska reformy społecznej i wielkiej, ale jej nie wyda z siebie Tow. Dem.; dotychczas w Polsce jeden stan wszystko może, bo ma własność i oświatę: ile razy jeszcze zechce, cały lud z sobą do broni powoła; wbrew temu właśnie hasłem sekty demokratycznej jest «szlachtę w pień wyciąć, majątek jej odjąć i między lud rozdać»; cokolwiek o Czartoryskim kto powie, ma on największe stosunki w kraju i uważanie powszechne i niemałe wpływy zagranicą. «Napadać na Czartoryskiego, kiedy trzeba każdą reputacyę wzmacniać, to nierozum; dlaczegoby miał być gorszym od innych, a nie był przecież samowładnym w rewolucyi: zostawał pod wpływem i rozkazami sejmu w rządzie tyle tylko znaczył, ile każdy z kolegów» i t. d. — w dosłownych wyrażeniach.

W «Piśmie» mówi Mochnacki, że polityka zagraniczna rozdzieliła emigracyą, ale «ją zjednoczy władza dla insurrekcyi wewnętrznej 20-milionowego narodu»; naród, który nie przestał być jeszcze narodem, tylko sam siebie uratować może; będzie się mógł obronić tylko przy władzy porządnej własnej; ta władza powinna być dla insurrekcyi w duchu zasad insurrekcyi i t. d. Mochnacki myśli tu o władzy insurrekcyjnej na emigracyi, mówi bowiem wyraźnie: «pierwszym jej charakterem powinna być możność zawiązania stosunków z narodem» («Dzieła» Zup. I 377), nie miał zaś wątpliwości komu ją powierzyć. Wtłaczanie rzezi szlachty na Tow. Demokratyczne mogło być tylko skutkiem oślepiającej nienawiści neofity politycznego: z wyjątkiem dwu warcholących krzykaczy. Gurowskiego, późniejszego odstępcy, i Krępowieckiego nikt nie chciał rznąć, nikt nawet nie wypędzał szlachty z przybytku cierpień, walk i znojów narodowych, nikt jej nie wzbraniał przystępu do demokracyi, ani w r. 1834, ani jeszcze w 1844 r., kiedy Prawdowski roztwierał przed narodem swój ewangeliarz. Z bólem, ale i z niemiłosierdziem wymawiał pierwszemu historykowi powstania 1831 r. te wszystkie zboczenia myśli, tę całą metamorfozę radykalizmu szlachetny belwederczyk Nabielak. Na nowe nawrócenie się szybko pędząca śmierć nie zostawiła już czasu.

Zapalenie mózgu i suchoty powaliły krzepki organizm już w 30-m roku życia. Zmarł w Auxerre, 20 grudnia 1834 r. Miał pogrzeb wspaniały: cała fara kirem obita, prefekt, generał komenderujący, gwardya narodowa z muzyką i paradą, wszyscy urzędnicy w wielkich mundurach, ciało niesione przez miasto. Nad zwłokami gorliwość ziom-

ków złożyła grosz wdowi na okazały pomnik z wyniosłej kolumny i kolosalnego biustu bronzowego, pomysłu Wład. Oleszczyńskiego. Później Antoni Oleszczyński wyrył przepiękny staloryt.

BIBLIOGRAFIA.

I. PISMA MOCHNACKIEGO. **A) Druki.** 1) Najpierwsza rzecz drukowana w «Astrei» Grzymały w r. 1823. 2) «Dz. warszawski» redag. wspólnie z Podczaszyńskim. Tu w T. I str. 129 ustęp «O duchu i źródłach poezyi w Polszcze z krótką wzmianką o mytologii północnych Skaldów»; w tymże str. 447 «Kilka myśli o wpływie tłómaczeń z obcych języków na literaturę polską». Przypisywane zazwyczaj Mochnackiemu, a niepodpisane «Niektóre uwagi nad poezyą romantyczną z powodu rozprawy Jana Śniadeckiego o pismach klasycznych i romantycznych» T. II, str. 88, 325 nst., po głębszem wniknięciu nie okazują się pracą M-go (por. T. III «Stu lat» str. 266). O samem czasopiśmie ob. życiorys. 3) «Gaz. polska» redag. w r. 1827—9, zrazu wespół z Franc. Ksaw. Bronikowskim i Nep. Janowskim. (wiele artykułów). Por. T. III «Stu lat» str. 266, 275. 4) «Kuryer Polski» 1829—30, od 29-go z Żukowskim, Lelewelem, Wysockim i in. Bardzo wiele artykułów, zwłaszcza recenzyj teatralnych i zapewne drobnostek dziennikarskich. Po 29 listopada nr. 364 odpowiedź na oskarżenie w «Polaku sumiennym» wraz z listem Szaniawskiego, a może i ujęcie się za Lubeckim, podp. «M. M»; nr. 370 «Wypadki i ich kierunek»; nr. 382 z dn. 6 stycz. 1831 r. bezim. art. «Rada dla reprezentacyi narodowej» jest w stylu M-go; we dwa dni później znika już nazwisko jego z nagłówka «Kuryera» a pod koniec miesiąca zaczyna się jeden ciąg wybuchów w «N. Polsce». 5) «O literaturze polskiej w w. XIX, część I». (Warszawa, drk. Węcki J.; 226 str. 8⁰, 1 nlb. przedmowy z datą 14 grudnia w małej tylko liczbie egzemplarzy, przedruk w «Listach» wyd. matki M-go, nakł. Żup., ob. niżej). Wyd. 2-ge, «dopełnione», Poznań, 1845, Stefański; 220, 4 str. 8⁰. Wyd. 3-e w «Dziełach» i os. Poznań, 1863, Żup. 6) Odezwa z dn. 2 grudnia 1830 r. odb. staraniem czwartego pułku piechoty. 7) «Co rozumieć przez rewolucyę w Polszcze?» (Warszawa, 24 grud. 1830 r., 15 str. 8⁰). 8) «Nowa Polska» w drugiej połowie stycznia i pierwszej lutego redag. przez Mochnackiego i inn. (Wiele jego artykułów, por. wstęp objaśn. do «Pism rozmaitych» w wypisach). 9) Artykuły w «Dzien. krajowym« («Dz. powszechny krajowy», «Dz. Narodowy» z sierpnia i pocz. września 1831 r.) 10) Artykuły w «Gazecie narodowej» zakroczymskiej. 11) «Rocznica 29-go listopada» (Paryż, dn. 29 listop. 1831 r. drk. Pinard; 4 str. 8⁰). 12) «Do rodaków bawiących w Paryżu» (Paryż, 1831; 8 str. 8⁰; przeciwko Bonaw. Niemojowskiemu). 13) «O towarzystwie wzajemnej pomocy» (Paryż, 1833; jakoby pod imieniem Al. Jełowickiego; broszura popierająca starania kaszt. H. Nakwaskiego o skuteczne używanie czasu w emigracyi. Wyd. 2-e dedykowane» O-u (księdzu) Aleksandrowi (Jeł-u) przez Prawdzica II z Jasnej Góry», Lipsk, 1866; 63 str. 8⁰). 14) «Pam. emigracyi polskiej» (każdy zeszyt pod wezwaniem jednego z królów i książąt polskich; red. M. Podczaszyński i sam M. Paryż, 1832—4. Ob. wstęp objaśniający do «Pism rozmaitych» w wypisach; m. inn. «List do Hubego» z dn. 18 sierp. 1832 r.) 15) «Powstanie Narodu Polskiego w roku 1830—1» (Paryż, 1834, drk. Baudouin'a w Marly-le-Roi; 2 t.; I 698, II 816 str. 8⁰. Estreicher (III 148) podaje niewłaściwe T. III, który należy do wyd. 3-go. Wyd. 2-e, Wrocław, 1850, Schletter; 4 t.: I: IV i 268; II: IV i 280; III: IV i 363; IV: 343 str. 8⁰ min. Wyd. 3-e Berlin i Poznań, 1863, B. Behr (E. Bock); 3 t.: 288, 396, 303 str., 8⁰ min. Wyd. 4-te «Dzieła» Żup.) 16) List do Dwernickiego, dnia 17 paźdz. 1834 r. 17) «Pismo okólne oficerów, podoficerów i żołnierzy z zakładu w Auxerre do rodaków w emigracyi» dn. 23 października 1834 r. — Nr. 16 i 17 znajdują się w «Listach» ob. nr. 19. 18) «Pisma rozmaite» (Paryż, 1836, Jełowicki; XVI, 485 str. 8⁰; portret. Wydanie podjęte przez Podczaszyńskiego, dokon. przez Jełowickiego i inn. Wyd. 2-e z dodatkiem «Oddział porewolucyjny» (Berlin, 1860, Schletter (E. Bock), drk. Korn we Wrocławiu; 2 t.: I: XX, 243, 2 knlb.; II: 232 str. — 8⁰. Ob. Wstęp objaśn. j. w. W T. I str. 131—51 «List do M. Hubego»). 19) «Dzieła», wyd. jedynie prawne, ogłoszone z wiedzą matki autora» (Poznań, 1863, Żup.; 5 t. 8⁰: I: «Listy Maurycego i brata jego Kamilla... z Paryża, Metz i Avignon do rodziców swoich w Galicyi», podob. oblicza miedzior., IX, 388 str.; II i III «Powstanie Nar. Polskiego w r. 1830—1», 387 i VIII, 445 i VIII str.; IV «Pisma rozm., oddział porewolucyjny» 290 i VIII str., podobizna z biustu Oleszczyńskiego; V «O literaturze polskiej w w. XIX» 151 str. W T. I: Przedmowa do «Literatury», List do Dwernickiego, «Pismo okólne», Odezwa po 29-m listop., O udziale w sprzysiężeniu 1830 r., «List do M. Hubego» z «Pamiętnika em. polsk.» (str. 324—43). W T. III o udziale w sprzysiężeniu powtórzone (dopisek V). Estreicher niewłaściwie kładzie pod Mochnackim «Kraj i emigracya, pismo czasowe» (Paryż, 1835—9); również nieusprawiedliwione jest przypisanie mu autorstwa druku wymien. w T. III str. 148. (IX, 106 str. in 24⁰). Czy kiedykolwiek «Odezwa» wspomniana w życiorysie z odpisów, w których krążyła, ukazała się i w druku — piszącemu niewiadomo. Kraushar ogłosił «Memoryał więzienny» z r. 1824 («Miscellanea histor.»); ob. Rękopisy. Przekłady pomijamy. Co do nr. 1—4 porównaj tu II Dobrzycki.

B) Rękopisy. Z nowych, niedrukowanych za życia nie zostało nic takiego, coby Podczaszyński i Jełowicki za wymagające, a choćby tylko godne, druku w «Pismach rozmaitych» uznali. Nic też z pozostałości nie wydobyła matka do «Dzieł». Po skonie znaleziono tylko wypisy, zaznaczenia do T. III «Powstania»; a owe masy papierów, o których wzmianki w «Listach», były rękopisami rzeczy już drukowanych, wyciągami, pomysłami, może nawet seksternami młodzień-

czemi. Coby się stało z drugą częścią «Literatury», którą M., wychodząc z Warszawy, zostawił u Feliksa Miaskowskiego («Dzieła» I 13)— dotychczas nie wyśledzono. Niema jej pod właśc. tytułem w katalogach wydrukowanych. W Bibl. Głównej w Warszawie znajduje się rękopis nr. 1034, sign. $4^4/_3$ «Własnoręczny raport dla cenzury o niektórych dziełach wyd. w r. 1826» 3 ark. folio. Skorzystał z niego Kraushar przy «Memoryale więziennym», ob. tu nadto II.

II. PISMA O MOCHNACKIM. 1) Dembiński Hen. generał «Mowa z okazyi odbytego w Paryżu obchodu żałobnego po ś. p. M. M-m» (b. m. i r. drk. [Paryż, 1834, Pinard]). 2) Dobrzycki Stan. «Spis liter. art. i rozpraw Mochnackiego w czasopismach warszawskich 1825—30 r.» («Pam. literacki» 1900, str. 456—68. Blisko połowa liter., sporo też przekładów w «Dz. Warsz.», «Gazecie polskiej» i «Kur. polskim» — wogóle na wykazie 106 art., ale przy niektórych wyrażona wątpliwość). 3) Gadon Lub. «Emigr. polska» (Kraków, 1900—1; wskaźnik). 4) Janowski J. N. «Do wydawców Królów Polskich» (Paryż, 1832). 5) Heltmann W. «Emigracya Polska w r. 1831—63» Lipsk, 1863; str. 37—43). 6) Kraushar Al. «Poglądy M-go w r. 1826» («Kraj» petersb., 1903, nr. 52). 7) Lelewel J. «Polska odradz. się», str. 199—208; ob. tu Lelewel Bibl. II α. 8) Nabielak L. «Do Maurycego M-go z powodu pism auxerskich» (Paryż, 1834 23 str. 8°). 9) Podczaszyński M.: Życiorys w T. I «Dzieł» Żup. str. 292 nst. 10) Polacy w Auxerre o składki na pomnik («Listy» w «Dziełach» str. 358—9). 11) Przewóski Edw. «M. M. jako krytyk literatury» (Warszawa, 1905; «Książki dla wszystkich» nr. 282). 12) Szpotański Stan. «M. M.» («Bibl. warsz.» 1907, IV 201—21). 13) Walewski Ant.: List do rodziców M-go, opisujący chorobę, hallucynacye i skon («Listy» w «Dziełach» str. 349—56). 14) «Wspomnienie pośmiertne o M. M-m» («Młoda Polska», r. III (1840) str. 3 - 11). 15) Wysłouchowa Marya «M. M.» («Kuryer Lwowski» 1890).

A) „O duchu i źródłach poezyi w Polszcze" (1825).

(«Dz. warsz.» 1825, T. I, zeszyt 2-gi, str. 128—97).

Rozprawa, «napisana w Warszawie w czerwcu 1825 r.», na gorąco jeszcze poszła do druku. Przejmuje ją wiara w romantyzm, który wyszedł z nowej teoryi Niemców dla życia i sztuki. Jest to fenomen «dobroczynny»; on nam «stworzy narodową literaturę». Czem jest istotna poezya i czem życiodajny romantyzm — o tem na str. 135—47. Najważniejszą może częścią romantyzmu jest poezya gminu, po niej podania starosłowiańskie, a przez nie znowu mytologia północna Skaldów, oparta, co prawda, na kosmogonii dziwacznej, dzikiej. W krótkości ją autor wykłada, powołuje Czackiego i przechodzi do chrześcijaństwa. Człowiek żył wtedy silnie, uprawiał męstwo, kochał wolność — ale dla siebie. Powstała z tych żywiołów «piękna instytucya» rycerstwa. Potwornem było społeczeństwo, ale wspaniałym człowiek, gdy z wnętrza swego wyprowadzał «najpiękniejszy owoc wieków i pokoleń» — miłość idealną i entuzyazm religijny. Ostatecznie «starożytność sławiańska, mytologia północna i duch Wieków Średnich — te są źródła romantycznej poezyi w Polszcze». «Uczuli tę prawdę Mickiewicz, Zalewski, Odyniec i kilku innych młodych poetów» (176). «Opłakany dziś stan literatury i teatru polskiego» podnieść zdoła tylko poezya romantyczna i narodowa (181), a piękno jej nie będzie zgoła klasycznem. «Piękność starożytna jest skończoną, ogranicza się jedną chwilą, jest formalną, spoczywającą, właściwie plastyczną ideą»; »piękność zaś chrześcijanizmu jest idealną, nad sferą dotykalnego świata krążącą. Nie zna innej miary, prócz nieskończoności, innego celu prócz drugiej połowy bytu rzeczy, który nazywamy wiecznością». Cała kultura grecka jest sensualistyczną. Grecy przywiedli filozofię swoją i sztukę do syntezy; my żyjemy analizą — grobem indywidualizmu. Nauki mogły przechodzić z kraju do kraju, z wieku do wieku, ale w poezyi każdy naród i wiek sam za siebie mówić musi. Pseudoklasycyzm, który panował w Europie «jest to posąg Alcyda, przeniesiony z warsztatu Praxitelesa do wieku Ludwika XIV i nakryty peruką» (190). «Odwieczne rozdwojenie w sercu człowieka, ważącego się między rachubą i natchnieniem, między ideą i rzeczywistością, jest obrazem poezyi klasycznej i romantycznej». Brodziński pierwszy zadał cios Francuzom, a zerwać z nimi trzeba zupełnie. «Jeżeli już powołaniem naszem jest we wszystkiem unikać oryginalności», to naśladujmy raczej poezyę romantyczną niemiecką, która, «wracając do mglistych dolin, połączyła swój głos z głosem wietrznej harmonii, z wiejskiego zacisza przebiegła krainę pamiątek, a utworzywszy sobie ojczyznę w myśli, nakształt cieni Ossyana wzniosła się pod obłoki». Ossyan jest Mochnackiemu najdroższym, wywiera na niego urok największy, a Schlegel Fr. włada jego mniemaniami teoretycznemi. Wiry wywołane przez tę rozprawę były najuporczywsze. Odpowiada na nią m. in. Lelewel w «Bibliotece Polskiej».

484) *str. 135—47.* Romantyczność bynajmniej nie jest oddzielnym wyrazem lub formą uczucia poetycznego; nie należy więc nazywać ten *[tak]* rodzaj Poezyi szkołą ustanowioną w pewnej epoce przez ludzi różne z jednegoż względu przekonanie mających. Wyobrażenia szkoły, tak nierozsądnie do tego lub owego rodzaju Poezyi w naszym wieku naciągane, zdradzają niedostatek głębszej uwagi w użyciu słów i zadziwiającą nieznajomość przedmiotu.

Poezya nie jest dziełem rozumu, więc nie może być wieloraką. Nie jest nauką, więc nie powinna być znieważaną rozdziałem na sekty jak inne sublunarne umiejętności, które prawda i błąd za schronienie lub plac szermierki obrały. To

wyobrażenie, zniżające Poezyę do poziomu pospolitych utworów, sprawiedliwie oburza wszystkich, którzy się przekonali o jej zacniejszym rodzie, o jej źródłach, które z odwiecznych, stopą ludzką nietkniętych krain pochodzą.

Nie zgodzono się dotąd na rzetelne znaczenie wyrazu «Poezya», chociaż ona już wtenczas była własnością człowieka, kiedy myśl jego jeszcze nie wniknęła w tajemnice dziewiczej natury, kiedy niekształtne jego towarzyskie stosunki dopiero w długim biegu wieków rozwinąć się miały, kiedy rozum jego spoczywał w nieczynności. Jeżeli zastanowimy się z uwagą nad dziejami rodzaju ludzkiego, i jeżeli z pochodnią zdrowego rozsądku przebiegniemy stanowcze w życiu narodów chwile, przekonamy się, iż od niepamiętnych czasów, od czasów, których wspomnienie ginie w domysłach kronikarzów, człowiek zawsze żył pod podwójnym wpływem: zmysłowego uczucia obecności i tajemnicą omglonej przyszłości. Księga przyrodzenia była zawsze dwójznaczną; świat zawsze był kolebką i obszernym grobem jestestw: wszelako jedna iskra w duszy człowieka służyła mu za skazówkę nieskończoności. Początek i zniszczenie, byt i nicość: wszystko obwiniało o fałsz tę wskazówkę; wszelako jedno brzmienie, nic nie wyrażające, lecz pełne harmonii, objawiało mu wieczność. Gdziekolwiek podróżny wśród najdzikszego nawet narodu natrafia głaz mchem obrosły, lub drzewo wiekami poświęcone, przed którem ludożercy zginają kolana, — tam byt człowieka stał się już podwójnym, tam już jedną połową istnienia dążył do nieznajomego sobie kresu. Jak widok gotyckiej wieży lub jedno spojrzenie w wieczorne niebo z łona czasów wydziera umysł nasz i stawia go na progu wieczności, tak owe proste, owe dzikie znamiona religii przyrodzonej w najodleglejszej starożytności rozkrzewiały uczucie piękniejszego życia. Od niepamiętnych czasów uważano to uczucie za wyraz symboliczny świata niewidzialnego, a przekonanie to, podwajając rozkosz istnienia, stało się źródłem wieszczego zapału.

Są poświęcone w przyrodzeniu człowieka chwile, uroczyste igrzyska umysłu i duszy, w których myśl nasza, zagrążając się w otchłani bytu, toczy sępny *[tak]* wzrok po całej przestrzeni minionych i przyszłych czasów. Niepojęty skład umysłu potrzebuje, dla ożywienia i wzmocnienia w sobie jednostajnym

biegiem porządku zardzewiałych uczuć życia, przenieść się czasem do stanu wstrząśnień, który powszechnie entuzyazmem nazywamy.

Pospolite zjawiska nie mogą uczynić zadosyć tej potrzebie; gdyż to, co pojmujemy, przestaje być już źródłem zadziwienia. Niezaprzeczona oczywistość najczęściej jest tylko spoczynkiem lub niedołężnością umysłu. Prawdziwym zaś jego żywiołem są natchnienia, świat idealny, kraina cudów i złudzeń, i to eteryczne dążenie, w którem indywidualność Poety stopniami niknie i stopniami jednoczy się z Wszechogromem *(Universum)*. Tylko te połyski geniuszu, ten wylew myśli, to wezbranie uczuć, ten uroczysty ton, którym coraz wyższe, coraz wspanialsze, coraz mocniejsze uniesienia duszy do najwyższego jej działalności kresu malujemy, jest prawdziwą Poezyą. Jej dzieła wypływają z jednego rzutu, na wzór czystego kryształu odbijają w dotykalnych kształtach odwieczne prawdy, to jest myśli i uczucia od bytu ziemskiego wyższe.

Chwile czystego, niestępionego wzroku duszy i głębokiej na ułomną połowę jestestwa niepamięci otwierają nam odwieczne źródła nieskończoności; światło i noc, szum wiatru kołyszącego wierzchołki starożytnych gajów; wesołość i rozrzewnienie; harmonia chórów i łoskot gromu: wszystko to rozwija w nas religijną tęsknotę. Myśl przenosi się do źródeł czasu i przestrzeni, tajemnice niepojęte dla rozumu, nieokreślone zwyczajnem brzmieniem słów rozwiązuje uczucie: i tam dopiero, gdzie nie wystarczają zwyczajne rozumowania, mieszka niewątpliwa pewność, gdzie ustają dowody, zaczyna się rzeczywistość w Poezyi: natchnienie za sferą rzeczywistości, za sferą słów pomysły, za pomysłami wzruszenia.

Ponieważ Historya Poezyi tak dalece połączoną jest z Historyą człowieka, że te same charakterystyczne rysy, które odznaczają epoki tworzenia się, wzrostu i politycznego zgonu społeczeństw, najwłaściwiej do rozmaitych epok Poezyi zastosować się dają: więc uczucie nieskończoności, ta najpierwsza zasada i to najpierwsze faktum w organizowaniu się i życiu społeczeństw, jest oraz pierwszem źródłem Poezyi. Starożytność, która wszystkie prawie wyższego rzędu prawdy dokładnie znała, lub przynajmniej ocenić je i przeczuć umiała, Poezyą za dar nieba

poczytywała. Tradycye i mniemania jej mędrców zgadzają się w tej mierze. Lecz i w odległej już starożytności przejście Poezyi z rąk natury do społeczności, z twórczego natchnienia do kunsztu, z kunsztu do rzemiosła, zbyt jest uderzające, aby nie miało stanowić tyleż *[tak]* ważnych epok. Stosunki bowiem człowieka z przyrodzeniem wkrótce zmieniły się. Natura, prosta, wspaniała i pełna tajemnic w przekonaniu natchnionych, była tylko teatrem coraz nowych wypadków i coraz nowych uroczystości w oczach następnych, do rewolucyi moralnej i estetycznej zbliżonych pokoleń. Dożrzewające drzewo cywilizacyi przyśpieszyło tę rewolucyę. Wykształcone i uporządkowane stosunki towarzyskie zmieniły bujną rolę dzikiej i głębokiej imaginacyi — gdzie organiczne przyrodzenia siły, od najdrobniejszych roślinnych nasion, od kwiatów i bławatu, do wzniosłych cedrów, rozwijały się w niezliczonych, coraz więcej olbrzymich kształtach, gdzie upałem słońca przejęte, od bladej zorzy do szkarłatu, jaśniały tysiączne barwy — na nieżyzny, chociaż symetryczny, ogród, na urzeczoną krainę leniwej wegetacyi, w zarodzie zwiędniałych lub obumarłych kwiatów. Tak wezbrany wśród łomów i dzikich jarów z szumem płynący potok nagle ucisza się, niknie i w małem, lecz przeźroczystem źródle przestaje być potokiem.

Wpływ stosunków towarzyskich na imaginacyą i czucie, ochramiając wewnętrzne do nieskończoności dążenie, zmniejszając w sercu naszem potrzebę wdzięków, których ona sama twórczynią być może, dał początek sztuce i ukształcenie człowieka powierzył tej kapłance piękności. Lecz sztuka, ów starożytny dar wytwornej cywilizacyi Egipcyan i Greków, ów sfałszowany wizerunek piękniejszej natury, zbyt słabe echo odwiecznej harmonii, czyliż zdoła rozwiązać zagadkę świata i człowieka? zdołaż uśmierzyć nawałnicę uczuć i myśli dręczonych tajemnicą przyszłego bytu? jej forma, będąca dziełem ślepego mechanizmu i przyczyn zewnętrznych, żadnego powinowactwa z naturą rzeczy niemających, zdołaż zastąpić brak organicznego kształtu, który wypływa z wewnętrznych części, wynika z żywotnego składu i, z bytem rzeczy współczesny biorąc początek, rozwijając nasiona i zarody, coraz piękniejszym, coraz doskonalszym się staje? — Jeżeli przez wyższe powinowactwo, nieznane mędrcom, przyrodzenie jest wizerunkiem umysłu ludzkiego, jeżeli

odwieczne prawa, obrotowi kół niebieskich służące, są oraz prawami biegu naszych myśli, tak, że umysł ludzki jest nawzajem obrazem świata: cóż nam objawiło ten związek cudowny? jakiegoż organu użyjemy na wyśledzenie i wyrażenie tej zachwycającej harmonii? Rachuba tłómaczy poziome tylko prawdy; promień doświadczenia nie przenika zjawisk wyższego rzędu. Cudowny łańcuch spajający człowieka z całem przyrodzeniem tylko cudem pojąć się daje.

Myśl spokojna, głęboka; imaginacya żywa, płonąca obrazem rajskiego mienia; uczucie tkliwe i rzewne — obszerniejsze koło zakreślają życiu, a przedłużając wątek znikomego bytu, do nieskończoności otwierają podwoje niewidzialnego świata. Wtenczas przyrodzenie nowym blaskiem jaśnieje. Kwiaty, rośliny, drzewa i kamienie przestają być obojętnemi istotami. Sympatyczne ogniwa łączą nas ze światem niemych zjawisk: pojmujemy bieg sfer niebieskich, żywot martwych jestestw, ocean wieków i pokoleń. Lecz to uroczyste nad poziom ułomnego bytu wzniesionych umysłów dążenie potrzebuje zewnętrznego kształtu i dotykalnych znamion. Któraż struna swem drżeniem niepojętą harmonią duszy powtórzyć zdoła? jakiż głos natchnione pomysły i czucia przeniesie do potomności? Mowa wspaniała i prosta, podobnież jak owe pomysły i czucia natchniona.

Nazywając tę mowę Poezyą, powinniśmy ją tem samem poczytać za potrzebną i niezaprzeczoną własność serca i umysłu ludzkiego, kiedy, odstępując od zwyczajnej trzeźwości imaginacyi i uczuć, używamy jej daru na uzmysłowienie najpiękniejszych, niewcielonych przymiotów duszy.

Z tego, cośmy dotąd powiedzieli, okazuje się, że prawdziwa Poezya, to jest taka, która, wypływając z uczuć nieskończoności, nadaje zmysłową, dotykalną barwę wewnętrznym spirytualnym zjawiskom, — idealny porządek przeistacza na materyalny i, tłómacząc bliższe powinowactwo umysłu z przyrodzeniem, jeżeli nie rozwiązuje, to przynajmniej czyni mniej zawiłą i wątpliwą najwyższą bytu zagadkę — nietylko nie wynika ze stosunków towarzyskich, lecz owszem, uważana historycznie, poprzedza ich wykształcenie. Dlatego żyje w świecie pamiątek, w dziedzinie znikłych wieków, lub w przyszłości umajonej kwiatami twórczej imaginacyi; albo raczej żyje w myśli i w tęsknocie.

Poezya z tego stanowiska uważana jest niezaprzeczonym utworem Romantyczności czyli zasad chrześcianizmu *[tak]*, połączonych z duchem rycerstwa, uczuciami honoru i szacunkiem dla płci pięknej. Niżej powiemy, dlaczego duch Poezyi romantycznej, ten najpiękniejszy ułomek całości, którą religia, obyczaje i charakter narodów w Średnich Wiekach wykształciły, rozsądna zaś Filozofia, w nowszych czasach zdobiąc darem najgłębszych pomysłów, starannie oceniła, nie mogła mieć miejsca w starożytności.

Uważając Romantyczność za pewny oznaczony rodzaj Poezyi lub za jaką część Literatury, nigdy nie poznalibyśmy jej najpiękniejszych przymiotów. Uzbrojona wiarą gminu, wzbogacona głębszą znajomością serca ludzkiego, poważna i lekka, sępna i wesoła, jest duchem ożywiającym wszystkie części Poezyi i Literatury — Sielanką a oraz Elegią Chrześcianizmu, której tkliwe i harmonijne pieśni poraz pierwszy zabrzmiały w Średnich Wiekach, a której ostatnia scena zdaje się być odłożoną do wieczności: duchem, który w każdym narodzie inną postać przybrać może, nie zmieniając swej natury, zawsze odmienny co do zewnętrznego kroju, zawsze jednakim się okazuje co do wewnętrznych przymiotów.

Jeżeli Romantyczność jedynie tylko w stroju narodowym zastosowana do religii, obyczajów i wszelkich innych miejscowych okoliczności prawdziwie jest pięknem zjawiskiem, nie małoby się ten przyczynił do znacznego w każdym rodzaju Literatury postępu, ktoby gruntownem badaniem rozwiązał zapytanie: w jakiej postaci Romantyczność ukazać się może na horyzoncie Literatury Polskiej i co jej zabezpieczyć zdoła trwały wpływ w dziedzinie Poezyi ojczystej? Podobne zagadnienie mogłoby się stać przedmiotem obszernej, a z wielu względów nader użytecznej rozprawy. Nie roszcząc żadnego prawa do dokładności w tej mierze, poczytując, owszem, to wszystko, co niżej powiemy, za lekką tylko skazówkę, będziemy się starali okazać: że przedmiotem Poezyi romantycznej w Polszcze jest starożytność sławiańska, Mytologia północy i duch Średnich Wieków.

Szczątki Mytów i duch sławiańskiego poganizmu mają właściwy charakter więcej uduchowniony *[tak]*, a zatem więcej poetyczny od poganizmu greckiego i rzymskiego, bo nieskażony zmysłową kulturą. Sławianie, lud spokojny, pobożny, pod wpływem srogiego klimatu, wśród lasów, gór, lub nieżyznych płaszczyzn i stepów, wśród ciągłych niebezpieczeństw od najezdniczych i wędrownych hord, które północ Azyi wylęgła, kształcili te żałośne uczucia, tę sępną tęsknotę, która dziś jeszcze w śpiewach i dumach prostoty *[=lud prosty]* na Ukrainie i Wołyniu jest wiernym obrazem nieszczęść i przeszłości.

Niech to nas bynajmniej nie odstręcza, że tradycye i legendy tej prostoty tak są nieokrzesane, nielogiczne, pełne cudów i guseł; nauczyliśmy się od Francuzów zbyt daleko posuwać pogardę przesądów gminu i uważać je tylko ze śmiesznej strony. Mają one swój początek w sercu człowieka, i jeżeli je lekceważy Filozofia, natenczas jest bezzasadną i zarozumiałą. Natura nie chciała mieć w człowieku istoty odosobnionej, jedynie przeznaczonej do uprawy i zaludnienia ziemi, mającej tylko martwe stosunki korzyści własnej z tem wszystkiem, co do jej rodzaju nie należy. Moralne i fizyczne jestestwa połączone są łańcuchem wyższego powinowactwa. Prowadząc wzrok po nieskończonym horyzoncie przestrzeni morza lub czystego nieba, nie doświadczamyż wzruszeń niepojętych i niedających się oznaczyć? nie słyszymyż czasem harmoniii schodzącej z wysokości nieba, ze szczytu skał, brzmiącej w falach rzek i strumieni, wynikającej z ciemnych borów lub z głębokich otchłani? Zdaje się, że w poważnym locie kruków, w żałobnym krzyku nocnych ptaków, w ryczeniu dzikich zwierząt — przez skały, jary i doliny powtarzanym — jest coś okropnie wróżącego o przyszłości. Wszystko mówi do serca naszego, co nie jest ucywilizowane, co nie podlega sztucznemu berłu człowieka. Te tylko rzeczy, które on sposobi dla własnego użycia, są nieme, bo martwe. Lecz kiedy czas zniszczy ich użyteczność, odzyskują mistyczne życie. Zniszczenie wskrzesza ich stosunki z przyrodzeniem. Dlatego wspaniałe budowy i gmachy milczą, lecz ruiny mówią. Cały świat odzywa się do nas niepojętym głosem, który słyszymy w głębi tej nieznanej części istnienia, gdzie uczucie graniczy z myślą. Dlaczegóżby widoczna staranność natury przeniknienia w jądro i tajemnice serca, pospolitemu oku zawiłe, nie miała mieć mistycznego znaczenia? dlaczegożby miała być bez

przyczyny i bez celu? Rozum nie zdoła wytłómaczyć tego fenomenu czucia i imaginacyi, albowiem natychmiast znika, dotkniony narzędziem rozbioru: lecz właśnie dla tej przyczyny jest prawdziwą własnością Poezyi.

B) „O literaturze polskiej w wieku dziewiętnastym" (1830)

(Wyd. Żup. Poznań 1863).

Rozprawa ta jest filozoficznem rozprowadzeniem poprzedniej i dopełnieniem jej ze strony narodowości, słabo w niej uwydatnionej. Przeniknąć chce Mochnacki w tej rozprawie do istoty narodu w literaturze (str. 4). Jak człowiek tak i natura może mieć «uznanie samej siebie w jestestwie swojem». Odrazu mamy tedy Schellinga. Zachwyca się teoretyk literaturą niemiecką, dobrze ją zna, i z niej wysnuwa swe przędziwo. Miewa wyrażenia prześliczne np. «Światło wiedzące, że jaśnieje, byłoby myślą». Całe sploty myśli bierze «z wielkiego założyciela przyrodoznawstwa», którym jest właśnie dla niego Schelling. Samowiedza w naturze przeprowadza go do samowiedzy w literaturze, określonej jako «system tych nauk, tych umiejętności, tych wszystkich razem tworów ludzkiego umysłu, a raczej systemu tych działań i poruszeń myśli, które mają najbliższy i bezpośredni związek z cywilizacyą i duchem narodu» (41). «Literatura jest refleksyą oświeconego narodu» (61). «Cywilizacya jest wyrażaniem się ducha w powszechnym systemie działań i poruszeń myśli całego narodu» (41). Polacy potrzebują do tak ważnego powołania i ludzi poważnych, a «nie motylowego owadu» (43). Nie w doświadczeniu, ale w myśli jest prawda. W Polsce już od fanatyzmu doświadczenia «skamieniała» umiejętność; niema ani umiejętności ścisłej, ani też oryginalności. Doświadczeniami nie nabędzie się wiedzy przyrodniczej, jak nie nabędzie się filozofii z zewnątrz. Najwyższą filozofią, filozofią geniuszu jest inspiracya poetycka (61). Astronomii uczymy się na to, aby się wznieść ku Bogu. Harmonia niebieskich sfer, duch astralny, gwiaździste idee: taki może być ostatni kres astronomii, u tego kresu jest «prawdziwe słońce wszystkich światów». Umiejętność powinna postępować jak natura: od materyi do pojęcia; a to samo w literaturze. Niemowlęctwo estetyczne Polaków szło w parze z filozoficznem: teraz nareszcie wydobywają się z pieluch. Niema w Polsce i nie było ani romantyków, ani klasyków prawdziwych; ale spory obudziły ruch, dały gimnastykę umysłową. Literatura mieści się w ideach, nawet w opinii publicznej (73). Idee mają taką wagę, że właściwie historya jest tylko grą wyobrażeń idei; reprezentantami ich są narody. Idee nasze za Bolesława W. (str. 84—6). Ubóstwo czasów stanisławowskich. Później już Woronicz i Niemcewicz poruszają uczucie. Brodziński jest pierwszym krytykiem w Polsce. Konieczność historyi: wszystko musi mieć oparcie w dziejach; jeśli je utraci, pada. Czego chcieli romantycy, czego klasycy (94—6).

Na tem kończy się rozdział drugi książki z teoryą literatury: w trzecim staje się Mochnacki krytykiem; roztrząsa «Maryę», która mu się bardzo podoba, rozbiera Mickiewicza, mówi o Zaleskim i Goszczyńskim. «Dziady» (część IV) uważa za dokończenie «Werthera» a dzieło poety, Grażynę zaś za utwór obrazowego sztukmistrza. «Wallenrodowi» zarzuca niezdarność, niewymierność, ociężałość — mielizny w poetyczności. Sam bohater jest upiorem z «Dziadów», zbyt pieściwym i nie dość silnym wrogiem Krzyżaków, wręcz anachronizmem (120—4). Mickiewicz przypomina błędy Rossiniego: taksamo «*grandioso* swoje nieraz rozprasza częstem powtarzaniem spowszedniałej w orkiestrze pieściwości» (124). W scenie Alfa z Aldoną wpada wielki artysta w «śmieszność i dzieciństwo» — «nie umie wyjść ze swej indywidualności», «stworzyć świata odrębnego za granicami swego ducha» (125). Ale za te niedobory płaci nam jakby wytrysk ducha w części czwartej, płaci «Grażyna» poetyckim swoim realizmem. Nie zachwycają krytyka ani «Sonety», ani «Farys»: «obcy wydał je klimat» — i nic więcej! Bardziej przedmiotowym od Mickiewicza jest Zaleski, ma styl, a «Rusałki» jego — zachwycające. Co do Goszczyńskiego, to prawda, że nie ma on wiersza, ale ileż ma ducha! Zna Mochnacki jego liryki w rękopisie, ma je nawet wydać; «Zamek» żywo go zajmuje. Po szczegółowym rozbiorze treści domówienie zasadnicze zakończa rozdział o krytyce.

Część I «Literatury» nie doczekała się drugiej; pisze tylko Mochnacki w «Listach», że wychodząc z Warszawy na wygnanie, zostawił ją u Feliksa Miaskowskiego, ale dotychczas śladu jej nie wynaleziono, a o ile była wykończoną — nic także nie wiadomo. Mogło go przy niej zaskoczyć powstanie, a po bitwie ostrołęckiej może trwała dalsza praca dopadkami. Do części I, już wydrukowanej w listopadzie, napisał przedmowę patryotyczną dn. 14 grudnia 1830 r. Jest ona dziś bardzo rzadką.

485) *Str. 5—6.* Wszyscy estetycy radzi powtarzają, jedni za drugimi: że literatura powinna być obrazem narodu. Nic nadto pewniejszego. Ale obraz narodu jest także obrazem czasu. Czas zaś, jakiż to ruchomy element! Czas nigdy nie jest rzeczywiście. Zawsze staje się. Trudno więc położyć granicę nieprzeskoczną między upłynionym a przyszłym czasem [1]). Tę główną trudność w rzeczy samej spotykam w piśmie mojem. Każda upłyniona chwila w przeszłość zapada: każda następna, nawet kiedy to piszę, do przyszłości należy. Którąż godzinę,

[1]) Tę samą myśl umieściłem był w artykule «Kuryera Polskiego»: «Czas teraźniejszy» (Nr. 130) [r. 1829]. Cały ten artykuł w «Kuryerze Polskim» co do słowa prawie wypisany z niniejszego dziełka. *(Przyp. Autora).*

którą minutę, sekundę uważać jako nieruchomy punkt między temi dwoma, jeżeli tak rzec godzi się, biegunami czasu? między przeszłością i przyszłością? — Nie jest li teraźniejszość złudzeniem? Kto w to pilniej wejrzy, powie: niemasz teraźniejszego czasu.

Czas był, albo będzie; nigdy nie jest; zawsze się rozwija. A przecież żądamy od spółczesnych dziejów pisarza, a szczególniej od historyka spółczesnej literatury, obrazu teraźniejszości. Żądamy więc tego, czego nikt dokazać nie może; bo ten sam historyk co chwila, za każdem uderzeniem pulsu, należy w połowie do minionego, a w połowie do przyszłego czasu... Jakże uchwyci zarysy tej mieniącej się co chwila fizyognomii wieku? Jak odmaluje obraz, gesta, wejrzenie ruchomej twarzy? Portret osoby niecierpliwej, niespokojnej, która za każdem pociągnieniem pędzla wstaje z miejsca i odbiega od artysty, a potem znowu wraca i odchodzi z odmiennem co chwila wejrzeniem, to pochmurnego, to rozjaśnionego lica, która jest ustawnie to w smutku, to w weselu, która jest wszystka z duszą i z ciałem w grze namiętności: — portret takiej osoby będzież jej podobny?

A jednak żądamy wiernego portretu od spółczesnych dziejów pisarza! — W takim samym przypadku i ja się znajduję. Trudny zawód — może trudniejszy, niżeli inne literackie przedsięwzięcia. Z tej przyczyny położyłem na tem piśmie godło: *in magnis voluisse sat est [w rzeczach wielkich dość jest już tego, że się ich chciało].*

486) *Str. 28—31.* Znać siebie i mieć uznanie samego siebie w jestestwie swojem, mieć wewnątrz ujęcie i grunt pod sobą — owoż niezaprzeczone, niezatracone prawo w rodzie ludzkim i najdostojniejszy przymiot człowieka! — Lecz tej własności rozwinionej i udoskonalonej na świat z sobą nie przynosimy. Człowiek rodzi się, nie wiedząc tego. Przez długi czas żyje w niemowlęctwie — zamknięty, ograniczony jako monada, z której nic a nic na zewnątrz wynijść, ani wewnątrz do niej przeniknąć nie może. Wszystkie władze, zdolności, rozumienia, ideje drzemią uśpione w zarodku. Ciche, bierne życie najpodobniejsze wegetacyi! I w rzeczy samej zdaje się, że natura w każdym człowieku wznawia i niejako powtarza proces po-

wszechny formacyi wszystkich dzieł swoich, przebiegając przez stopnie i schody pośrednie tę samą drogę od początku ku końcowi. Tryb postępowania jednaki; toż w przyrodzeniu, toż w człowieku, toż w historyi. Od bezwładności do pojęcia! Od punktu, na którym jesteśmy, nie wiedząc tego, do punktu, gdzie mamy uznanie nas samych we własnem, oddzielonem jestestwie. Patrzmy się na dzieci nic nie wiedzące o sobie, kiedy jeszcze żadna podnieta zatajonej iskry w nich nie roznieciła, i żadna reflexya nie wniosła rozerwania, niepokoju do ich niewinnego, błogiego jestestwa. Czyż wtenczas nie są nakształt roślin, albo drzew, których obraz w wodzie się maluje? Enigmatyczne, dziwne stworzenia! Przedmioty naokoło siebie w zamięszaniu, w wątpliwem postrzegają świetle. Rozliczne, coraz nowe wrażenia plączą się, wikłają w ich duszy. Bojaźń, nadzieja prędko, silnie zajmują dziecię; dlatego chwieje się wśród mienionych coraz kształtów, postaci, obrazów. Ułuda, omamienie, pusta wesołość, strach i smutek, niecone lada fraszką, mijają, i znowu wracają w tej porze ufności, szczęścia. Takie pojęcie, takie uczucie. Dzieci ani dzielić, ani odosabniać nie umieją; nie rozrywają tego, co na jedności zależy. Wielkie też masy w najprostszych widzą zarysach, i choć samych siebie nie pojmują, po wielekroć przecie w rzeczach bardzo trudnych, zakrytych i napozór niedostępnych ich pojęciu z podziwieniem naszem dalej przenikają jak ludzie stare lata mający, żartkiego dowcipu, bystrego rozumu. Ściślejszym związkiem niżeli my połączone z całą naturą, zostają pod ową porę w zgodzie wszystko ogarniającej wszechrzeczy; ku czemu nikt potem nie przyjdzie ani usilną chęcią, ani biegłością w nauce, ani wiadomością rzeczy przeszłych — ani tęsknicą! — Gdy zaczynają własnej mocy doświadczać, natenczas przechodzą drugą kolej bytu; a tej odpowiednią moglibyśmy znaleść w dziale zwierząt. Tu jeszcze rządzą się naśladowstwem, za przykładem starszych czyniąc co starsi czynią. Niedługo potem dają słabe oznaki wyższego pojęcia; następnie coraz jawniejsze, dobitniejsze. Wreszcie duch zaczyna się wyrażać na ciele. Z dziecinnych lat wyrasta młodzieniec swawolny, bujny — potem nieukrócony, burzliwy — namiętny i tkliwy, i pełen uniesień. Z całości się wyrywa, z powszechnej wydziera się zgody we wszechrzeczy jestestwie.

A potem zabrzmi, zagrzmi mąż jako dźwięk, jako ton szczególny, rozstrojony, fałszywy w ogólnej tonice. Jest natenczas osobą[1]), jest szczegółem, indywidualną istotą — samolubem — «ja». — Jeden raz na *[tak]* życiu swojem każdy z nas był w raju, nim wyszedł z lat dziecinnych; w przeciągu między brzaskiem, świtem, jutrzenką — w rozdziale między wschodem i południem lat męzkich! — nim zaufał własnej sile i zaczął oddzielnie exystować w sobie dla siebie! — nim zaczął być sobą.

Cóż sprawuje te zmiany? Oto obwarowana, dotąd nierozdziergniona, nierozszczepiona monada rozwierać się powoli zaczyna. Niepokój w duszy się szerzy, wzrasta w sercu. Młodzieniec, mężniejąc, wiedzie przeciwieństwo z całym światem, naturą, społecznością, z któremi dotąd w zgodzie i jedności zostawał — i myśl się jego na zewnątrz wydziera z boleścią, jako się dziecięce zęby boleśnie z dziąsł *[tak]* wyrzynają. Przyszedłszy ku swej zupełnej sile, wyosobniony ze wszechrzeczy jestestwa, wszystko znajduje przeciwko sobie; bo jest osobą, bo jest sobą samym. Już nie jest w naturze, ale zewnątrz natury, z pewnego względu za jej okresem. Natura zaczyna być dla nas przedmiotem, czyli rzeczą oddzielną. Człowiek wiedzący siebie, myśl swoją i wolę swoją, postrzega gdzie jest, po co? na co? i co go otacza? Pierwszy wszystkich nauk i doświadczeń początek! Teraz dopiero bada, rozumie, dzieli, łączy, mierzy, waży, obserwuje i nad wszystko się wynosi, i wszystko pod swoje podbija posłuszeństwo... Jedna linija przez wszystkie lata życia naszego się rozciąga; z początku w ciemnych niknąca punktach, jak we mgle i w mroku— dalej coraz jaśniejsza, wyraźniejsza, naostatek samą jest jasnością, promieniem, światłem — wewnątrz obróconą źrenicą — widzeniem siebie okiem ducha — «uznaniem samego siebie w oddzielnem jestestwie». Otóż niedościgła zagadka naszego bytu!... Pierwszy człowiek, jak wszystko żywiące[2]), z łona natury jeszcze niewyłoniony, spał snem twardym,

[1]) Osobą! Ten wyraz w polskim języku zawiera filozoficzne wyobrażenie. Znaczy zaś: «jakoby tylko był sobie, w sobie, a nie komu innemu»; albo: «jakoby był osobno, nie razem». Kamiński mówi: *persona— per-se-stat [sama przez się, własną mocą stoi].*

[2]) Wyrażenie biblijne; przekład Wujka. *(Przypiski Autora).*

we śnie niewypowiedzianego szczęścia. Powoli zaczął się budzić z tego snu na jawie i wychodzić duszą, myślą z wszech rzeczy ogółu. Nakoniec został szczegółem, istotą rozumną — jednostką dumającą! Ta jest wielka jestestwa naszego tajemnica. Cóż go *[tak]* dotąd zaszczyca po tylu wiekach obłędnej kolei? Co w nim najpiękniejszego? Oto tęsknica na duszy i boleść na sercu, która je uciska po stracie nieskazitelnego mienia! Oto chęć wyjścia tą samą promienną myślą z ciasnego koła, z okresu jednostki, egoizmu, samolubstwa — chęć rozszerzenia się, rozprzestrzenienia miłością płomienistą, wszystko obejmującą od końca do końca, we wszech rzeczy jestestwie, w nierozdzielonym całej natury porządku — w tej harmonii, tej cudotwornej tonice całego świata!...

487) *Str. 37 - 39.* Ze jedne narody giną, i śladu po sobie nie zostawując, a drugich pamięć przechowuje się w dziejach, skądże to pochodzi? Co sprawuje tę tak ważną różnicę? Oto, że ostatnie za dni swoich przyszły ku uznaniu siebie w masie swych myśli i wyobrażeń, a jestestwo pierwszych zasadzało się jedynie na zmiennych, przemijających warunkach bytu, to jest: na pewnej liczbie indywiduów, które, mieszkając w przestrzeni określonej pewnemi granicami, nigdy samych siebie w jestestwie swojem nie uznały, uznania tego świadectw ani piśmiennym dostatkiem, ani w dziełach sztuki potomności nie przekazały; — a tem samem żadnej reprezentacyi czy to w moralnym, czy umysłowym, czy estetycznym świecie mieć nie mogły. Takie zbiory indywiduów są nakształt cząstek materyi, zostających między sobą w słabym związku mechanicznym, który środki mechaniczne łatwo rozrywają i niszczą.

Niechaj naród raz tylko, i choć na czas najkrótszy, ma to uznanie samego siebie w swojem jestestwie, a już pamięć jego nie zaginie; wyrazi się bowiem, wyjawi, zasłynie; będzie miał poetów, sztukmistrzów, dziejopisarzy, mowców. Uczucie to bowiem, kiedy się naród w swojem jestestwie nierozdzielonem czuje *[= wyczuwa, rozpoznaje]* jak po tętnie[1]), jest tak piękne, tak szlachetne, że się koniecznie wszystek w niem

[1]) Stary wyraz polski: znaczy puls. *(Przyp. Autora).*

wyjawić musi, wyrwać na jaw, wynurzyć — swoje «ja» na oko pokazać.

To wyrażenie ducha, to wyciągnienie myśli spólnej na jaśnią, ta ogólna masa wszystkich razem wyobrażeń i pojęć, cechujących narodu istotę, «stanowią literaturę tego narodu».

Do tego zmierzały poprzednie rozumowania. Zajmując pod jeden widok to wszystko, co się dotąd rzekło, wyznaję:

że naród jedynie tylko w literaturze ma swoją reflexyą;

że jedynie tylko w masie swoich wyobrażeń i myśli ma wewnątrz ujęcie, ma grunt pod sobą, i uznanie samego siebie w jestestwie swojem.

Ważna prawda! — Jest więc literatura z pewnego względu jako sumienie narodu. Z czego wypada: że naród niemający własnej, oryginalnej literatury, to jest, niemający wyciągnionej na jaśnią powszechnej masy wszystkich swoich wyobrażeń, pojęć i myśli, jest tylko zbiorem ludzi, zamieszkałych na przestrzeni określonej pewnemi granicami, którzy jeszcze moralnego ogółu nie składają... Nie dosyć na tem, że jesteśmy: potrzeba to jeszcze wiedzieć. Im lepiej to wiemy, tem bardziej roszerzamy się, umacniamy w jestestwie naszem. Kto jest— powtarzam to raz jeszcze — a nie ma uznania samego siebie, czyli: kto tego, że jest, nie wie, ten jest tak, jakby go wcale nie było. Jest, ale tylko dla drugich, nie dla samego siebie... Nie dosyć na tem, że wiemy jak jesteśmy teraz. Jeżeli tylko w obecnem uznajemy się jestestwie: czyż to uznanie będzie kiedykolwiek doskonałe? Na co się wreszcie przyda taka wiedza? Cóż z tego, że z dnia na dzień żyjemy jako żebracy, tułacze jałmużną się utrzymujący, którzy nie wiedzą, gdzie głowę swoją skłonić mają ku wieczorowi? Śliskie myśli nasze i byt nasz śliski: pamięć nietrwała, a w utrapieniu ledwo się sama czuje. Przecież trzeba mieć wsporę na czemś. Wszelki ród rodowity, historyczny, w historyą świata zachodzący, jest jako roślina w patryarchalnej osiadłości: z nasion na ojczystym rozkwita gruncie, a potem za błogosławieństwem nieba w wysokie, cieniste drzewo wyrasta. Stoi mocno i bezpiecznie na pniu to drzewo, jeśli ssie pokarm z ziemi, jako z piersi macierzyńskich. Korzeniem jego jest przeszłość historyczna. A wszystkie

dzieje tego pnia rokrocznie wyrzynające się na nim pierścienie szeroko rozpowiedzą! Tam w pośrodku spostrzeżesz zdrzeń *[=rdzeń]* życie rośliny, z którego się pierwotne rozwinęły listki; naokoło w coraz szerszych kręgach postrzeżesz późniejsze lata i wieki — każdy oddzielnie, a jednak wszystkie razem najściślej z sobą związane, zrosłe — z których każdy jeden w drugi zachodzi, jak koła zazębione zachodzą za siebie, i jedno drugie, choćby ich było i najwięcej, porusza, obraca. Wszystko to razem zewnętrzna okrywa kora, spaja w całość. Takie jest życie ludu!

488) *Str. 84—6.* W dziejach polskiego narodu niejedna wielkiemi nadziejami rozbłysnęła chwila! I u nas nieprzerodną płodnością szerzyły się rozległe pojęcia. Mieliśmy poetyckie czasy, czasy olbrzymiej mocy; mieliśmy rzeczywistą poezyą w życiu, lecz nikt jej nie przekazał następnym pokoleniom utworami poetyckiego genijuszu. Tę myśl potrzeba dobrze zrozumieć; to bowiem, jak sądzę, charakteryzuje naszą dzisiejszą poetycką literaturę. Z tego tylko względu uważać ją będę.

Wejrzyjmy, naprzykład, w wiek Bolesława Wielkiego. Szerzyła się w dziedzinie bolesławowskiej, górowała potężna myśl, wielka, genialna ideja, którą ten mąż nadzwyczajny, że tak powiem, namiestniczą sprawował władzę ludów sławiańskich: myśl ich jedności, mocy, chwały! Bolesław tę ideję rozpleniał szablą swoją, nie dopuszczając, żeby przeciwna w krajach sławiańskich ideja germanizmu, niemniej wówczas potężna, świetna, wojująca, przed nią przodek otrzymać miała. Był on nietylko królem polskim, ale zarazem opiekę swoją na wszystkich rozciągał Sławian. Tą cechą oznaczone jego wojny z Niemcami. Ta myśl opatrzna kierowała ledwo nie każdem jego poruszeniem. Dlatego takie oko miał na Czechy. Z tej przyczyny dzierżaw swoich tak upornie bronił w Miśnii i Milzawii *[kraina Milczan]*. Inne przedsięwzięcia Bolesława są raczej sprawą zdobywcy niżeli rozmnożyciela i patrona wspomnianej idei... Gdzież ojcowie poezyi naszej? Kiedy opatrzność powołała Bolesława do przełożeństwa w narodzie polskim — ten czas prędkiego wzrostu, czas powodnego szczęścia, był gdzieindziej, jak np. w Grecyi, w Hiszpanii, we wszczątku nowszych społe-

czeństw europejskich, w Anglii, w Niemczech, we Włoszech, czasem poetyckiej inspiracyi, zawodem śmiałych geniuszów, i niejako idealną podstawą, skarbnicą literatury, następnie kształconej i pomnażanej! U nas ogromne w krótkim czasie państwo powstało. Postrzegamy przed sobą charakter poetycki, romantyczną postać dziejów polskich! Jak astralne światło jaśnieje ten ulubieniec Lelewela w odległej dali naszych czasów. Jego kraj szeroki — jego lud prosty, niebywały, źle otarty z bałwochwalstwa, po tej przestrzeni rozsypany wiejskiemi osadami, wśród nieprzetrzebionych puszcz, wśród głuchych lasów. Szlachta drapieżna, ni z praw ni z obyczajów w swej woli ukrócenia niemająca. Zewsząd groźny nieprzyjaciel! Tu hordy dzikszych Sławian, którzy się jeszcze ciosanym bożkom kłaniają, — ówdzie przemoc sąsiedzkich Niemców. Jaka burza nad głową młodego króla! Jaki plac do szlachetnego zawodu! Temu jednak podołał ogromowi, bo nim władał duch plemion sławiańskich, równie nadzwyczajny i silny, jak były nadzwyczajne, a prawie nadludzkiej siły wymagające, ówczesne okoliczności. Wiarę krzepi, mocnie *[tak]* szerzy światło; ujmuje w kluby swawolę, niesforność; gromi nieprzyjaciół, ich dzierżawami swoje pomnaża. Od Odry do Dniepru niespracowany goniec, wódz i żołnierz, ustawodawca i gospodarz, ubezpiecza niepodległość państwa, wnętrzny porządek ustanawia. Odziedziczywszy po ojcu, jak powiada Naruszewicz, «obszerną nikczemność», puścizną przekazuje następcom dostatek, chwałę i postrach swego imienia. A też figury, co go otaczały? A ci bojarowie z dzikiemi, leśnemi sercami, odważni, bitni, pancerni? A ta starszyzna? Wywołajmy sobie z pamięci te wszystkie postacie!! Wystawmy sobie Bolesława w domu drewnianym, którego ściany, jak je Lelewel opisuje, bogato ubrane złotemi i srebrnemi blachami, tarczami i szablami, od kamieni i kruszcu lśniły się. Wyobraźmy go sobie jako rozmyśla o darowiźnie Ottona, co mniemanem prawem wszystkie sławiańskie bałwochwalskie narody jego dziedzictwu zostawił. Albo też, kiedy przy wieczerzy w Pradze czeskiej od powiada ze wzgardą kapelanowi biskupa kolbergskiego *[kołobrzeskiego]*, który mu oznajmił niespodziane wtargnienie Niemców — «że te żaby tak rychło przyczołgać się nie mogą». Nie wyrażaż się temi słowy duch rycerza, co nie zna w sercu

żadnej trwogi? Rozum i imaginacyą zajmują sprawy Bolesława. Wszystkie zafarbowane tą poetycką farbą. Jego przymierze z Ottonem! Jego polityka! Jego przyjaźń z świętym Wojciechem i mnichem Gaudentym! Scena w lesie pustelniczym! — Rysy, właściwość charakteru, wiek, ludzie, okoliczności, wszystko to stawia tego króla jakby w świetle romantycznej powieści, której najbujniejsze zmyślenie nic-by nie przydało godniejszego pamięci i zadziwienia. Nawet wiara ludu osnuła go mgłą poetycką: Szczerbiec miał mu się dostać z rąk anioła. Wieść się także daleko rozniosła, jakoby na znak zwycięztwa nad Rusinami miał powrzucać do Dniepru misterną robotą udziałane trąby, przez które sącząca się woda dźwięk dziwny w powietrze wydawała.

489) *Str. 94—6.* Czegóż chcieli romantycy na ziemi Bolesława Chrobrego? Ojczystej poezyi, związku z dawniejszą Polską i rozumem starego czasu; nie mieli tego u siebie za rzecz dobrą i piękną, że wiarę poczciwych ojców cieśniły w literaturze poetyckiej swawolnie pieśni, jakby całopalenia ze czcią tylko bożków marmurowego *[tak]* politeizmu, nieprzypadającego do miary z cywilizacyą i duchem chrześcijańskiej Europy. Chcieli oni większej zapewne z wspomnieniami zgody, mniemając, że groby i rumowiska do życia należą, i jakoby samo zniszczenie było tylko atomem, jednym z pierwiastków rzeczywistości. Pokochali wyobrażenia i fantazyą gminu, dlatego, że w prostocie serca najwięcej poetyckiej prawdy i szczeroty. Oni-to chcieli obraz malarski roztrąconego jestestwa w zwierciadlanem pokazać przeźroczu, żeby myśl prędką jak widzenie, a chęć dobrą, ognistą jak płomień, wzniecił, rozpalił. Nabijali romantycy w ucho ziomkom swoim, że przeminął czas, kiedy u nas pisano wiersze na cześć kształtnych stóp kobiecych i misternie trefionych kędziorów. Do górniejszego wznieśli się lotu! Ten gdzieindziej zmierzał. Do wyższych dźwięków, do wspanialszych tonów, piękniejszych akordów naciągnęli strunę. Zadrżała w ich ręku, zabrzmiała! Żałośne i tęschne ich pienie, nakształt dumań samotnika, co po długiej niebytności z burzy świata, z rozdartem sercem wraca do domu, nieznany, ledwie postrzeżony, a choć gada swoim o swoich rzeczach, nikt go jednak nie rozumie.

Czegóż chcieli polscy klassycy? Oni tej całej nie pojmowali zagadki. Mniemając, jakoby nie czas jeszcze było myślić po swojemu i wszystko rozumieć swojem pojęciem, przestrzegali delikatności, zalecali poprawność smaku. Po wielekroć śmieli się z złych wierszów i złej prozy niewyćwiczonego talentu. Chwalili, co było godniejsze nagany, a ganili, co ze wszech miar na pochwałę zasługiwało.

Ale jak pierwsi tak drudzy zacni ludzie; ja przynajmniej i jednych i drugich poważam, cenię. Nic nie szkodzi, że w tej materyi nie było i niemasz zgody, kiedy w tylu innych rzeczach jedno chcieć i myśleć możemy. Mniejsza wreszcie o gołe nazwiska, których rzetelne znaczenie gdzieindziej w tem piśmie roztrząsnę. Dość, że przez czas niejaki za hasło dwóm przeciwnym służyły stronnictwom, których dysputy, czy potocznej, czy piśmiennej, zdaniem mojem, nikt osławiać nie powinien. W całym toku tej sprawy nic nie było nagannego, nie dopiero zdrożnego. Że się przez to rozchwiała, jak mgła przemijając, reputacya niektórych gładkich rymotwórców, nie wielka szkoda. Z innej strony, cieszyć się powinniśmy z tych pierwszych zatargów w rzeczach gustu, z tego estetycznego u nas sektarstwa: bo kiedy publiczność do takich rozrywek starań przykłada, już tosamo oznacza niemały postęp kultury. Jak w religii tak i w literaturze pożyteczniejsze jest gorliwe, uporne nawet przy swojem obstawanie od owej na wszystko obojętności, która, jeżeli z obyczajów zmazanych jakową skazą nie pochodzi, najczęściej bywa znakiem umysłowej niemocy. Wspomnijmy sobie, że przed niewielą laty nikt prawie u nas o literaturze nie pisał, rzadko kto niósł jej wspomożenie choćby gruntownem tylko o jej wielkich i licznych potrzebach rozmyślaniem. Tę sprawę przezorności krytyków i filozofów ślepemu niemal zlecono trafowi; dzisiaj stała się ona sprawą narodu, rzeczą wszystkich chęci i wszystkich usiłowań, rozmów. Zważmy także: że entuzyazm w popieraniu wszelkich opinii nie gwoli osobistej korzyści i pożytkowi prywatnemu zawsze okazuje poczciwe serce i myśl wspaniałą. Zaiste, daleko lepiej rządzić się wątpliwem zdaniem w tej mierze, choćby nawet omylne było, jak żadnego nie mieć! Nasuwa się tu uwadze mojej przepis ateńskiego ustawodawcy, skazujący na grzywnę tych mieszkańców rze-

czypospolitej, którzy w rozterkach domowych do żadnego stronnictwa należeć nie chcieli. Prawdziwej harmonii tak potrzebna zgoda jak waśń i rozstrojenie. Światła polemika pożytecznie służy piśmiennictwu!

C) „Powstanie Narodu Polskiego w r. 1830—31".

(Ok. 1829—33).

(«Dz.» Żup. T. II i III, Poznań 1863).

Pracować nad niem zaczął Mochnacki jeszcze przed wypadkami; zbierał zasoby, ściągał świadectwa, pisał pojedyncze ustępy. Cały prawie piętnastoletni okres królestwa w T. I jest owocem przedrewolucyjnym. T. II, zaczynający się Nocą Belwederską, kończący przed samem wtargnieniem Dybicza, pisało już pióro wygnańca, a pisało niezwykle szybko. Całość chciał już mieć na czerwiec 1832 r., rzeczywiście wykończoną miał na wiosnę 1833 r. Zabiegi około prenumeraty opóźniały druk, ukończony dopiero w 1834 r. Dalsze opowiadanie zająć miało dwa jeszcze tomy, ale praca nad niemi była tylko dorywczą, spisywane ustępy drobnemi (niektóre w «Pamiętniku emigracyi polskiej» Podczaszyńskiego 1832—3). Pisał wprawdzie Mochnacki do rodziców w r. 1834, że ma już T. III «gotowy, ale jeszcze niewydrukowany»; właściwie jednak życzliwi po skonie znaleźli tylko notaty i urywki, a T. IV nawet i tego dla siebie nie miał. Do T. I prócz materyałów ogólnych, rękopiśmiennych i drukowanych, wielce posłużyły Mochnackiemu świadectwa Niemojowskich i Kaliszan, brata Kamilla, własne uczestnictwo w sprzysiężeniu wojskowem, wyciągi z rękopisów dawniejszych i druki. Do T. II, obejmującego mało co więcej nad dwa miesiące po 29 listopada, prócz wspomnień i wrażeń osobistych, ogłaszanych uchwał sejmu i dyktatury, zasiłek dały zwierzenia i opowiadania uczestników, a głównie Lelewela, którego noty udzielone Podczaszyńskiemu i zużytkowane przez niego w «Revue des deux mondes» i w «Temps», dostały się Mochnackiemu, już nie w pierwotnej postaci, ale zato pomnożone. Sposób zużytkowania tych notat nie pokazuje wcale względności dla autora źródła. Już w połowie r. 1832 Mochnacki zerwał z Lelewelem, a popuściwszy wodze przekonaniu o jego błędach, szczypał go już w «Powstaniu» sarkazmem i ironią. Lelewel w «Polsce odradzającej się» krytykował zużytkowanie. Korzystał też Mochnacki z opowiadania «Delegowani w Wierzbnie». Uczestnictwo samego Mochnackiego w sprzysiężeniu, jego niezadowolenie z kierunku nadawanego mu przez podchorążych, głównie występuje w nocie V. I po 29-ym i przed nim; opowiadanie nosi częstokroć charakter pamiętnikowy, a ważny dla samego działacza (np. rzucanie podchorążych na Lubeckiego, II 132—3). Obrazy mają bezpośredniość, wrą życiem i mimo całej bujności stylu opromienia je urok prawdy. Opowiadanie jest wogóle rzetelne. Do obu tomów dodał autor liczne dokumenty, prawie wszystkie ważne. Wśród

pięciu w T. I znajduje się «Głos obywatela» i «Objaśnienie» (nota V). Szczególną wagę ma «Zdanie sprawy ces. Mikołajowi» przez Bielińskiego i uwagi nad niem w. księcia, jakoteż jego «Uwagi nad raportem Rady Adm.». W T. II str. 385—445 jest dowodów 15, z nich dwa wyszłe od Lelewela: «Delegowani» (I) i «Mowa detronizacyjna» (XI), dalej «Konwencya w Wierzbnie», «Manifest z dn. 20 grudnia 1830 r.», «Gwardya honorowa dyktatora» i t. d. Na T. II kończy się praca; poza nim są tylko strzępki. «Powstanie» Mochnackiego ciągnął dalej Mierosławski i wydał 5 tomów; całość składana ma 7 tomów.

490) *T. II. str. 1—10. Noc 29-go Listopada.* [Łazienki i Belweder]. Nad wieczorem dn. 29 listopada 1830 r., gdy się zbliżała umówiona pora do działania, cywilni spiskowi, którym poruczono rozpoczęcie ruchu napadem na Belweder, szli po dwóch, po trzech, różnemi drogami do lasku łazienkowskiego, jedni z ukrytą krótką bronią palną, drudzy bez broni, ponieważ wszyscy spodziewali się dostać karabinów ze szkoły podchorążych. Niebo było pochmurne ten cały dzień, tak, że zmierzch i noc prawie bez przedziału w jeden moment przypadły. W Łazienkach po prawej i lewej stronie posągu króla Jana zejść się mieli ci waleczni młodzieńcy na pół godziny przed terminem; miało ich być wszystkich czterdziestu; lecz różne okoliczności, jak zaraz obaczymy, więcej niżeli o połowę tę liczbę zmniejszyły. W rozległej stolicy Polski oddziały garnizonu były jedne od drugich bardzo oddalone. Za hasło do wspólnego, jednoczesnego działania, o czem wszyscy w wigilią zostali uprzedzeni, miał służyć pożar browaru na Solcu; po tym dopiero znaku z południa plan sprzysiężonych zalecał podpalenie dwóch drewnianych budowli w przeciwnej stronie: w bliskości koszar gwardyi wołyńskiej, na Nowo-Lipiu. Tą podwójną łuną oddziały garnizonu polskiego ruszone ze wszystkich punktów, z koszar sapieżyńskich i ordynackich, tudzież z kwater w mieście i głównych wart, mogły z łatwością w jednej chwili rzucić się na nieprzygotowanego nieprzyjaciela, bądź w tych samych koszarach, bądź gdzieindziej, rozbroić go i wziąć w niewolę, a potem wskazane pozajmować stanowiska. Tak chciał mieć plan przepisany dla działań tej nocy, plan dobrze pomyślany, rozważony gruntownie i, sądząc z wyższości sił naszych, łatwy do wykonania. Wszakże los psotny, który się śmieje z ludzkiej przezorności, tylko co wszystkiego na samym wstępie w niwecz

nie obrócił. Czy zegar łazienkowski szedł prędzej od miejskich zegarów, czyli też dwaj podchorążowie wyprawieni do wzniecenia pożaru na Solcu zbyt skwapliwie chcieli się uiścić z tego obowiązku: dość, że hasło do wspólnego działania i zawcześnie i źle było dane, to jest chybiło w porze umówionej. Ogień na Solcu błysnął na pół godziny przed szóstą, a zgasł o szóstej. Browar, stary, na wpół zbutwiały budynek, nasamprzód wcale nie chciał się zapalić. Wysocki za późno, bo dopiero dnia 28 listopada, żądał palnych materyałów od Karola Stolzmana, porucznika artyleryi, adjunkta w dyrekcyi młyna prochowego; żądał tego w niedzielę, kiedy pracownia ogniów wojennych była zamknięta; a powinien był, jak obiecał, porozumieć się w tej mierze ze Stolzmanem na kilka dni pierwej. W braku tedy palnych materyałów, mogących ułatwić to przedsięwzięcie i skutek jego uczynić niewątpliwym, dwaj podchorążowie musieli użyć słomy. Ogień wszczynał się z wielką trudnością i daleko pierwej nim wszyscy z oddziału belwederskiego zdążyli przybyć do Łazienek: co, naturalnie, zaraz ich zmięszało *[tak]*, i na różne opaczne naprowadzało domysły. Nabielak z Goszczyńskim spieszyli wtedy od głównej alei ku miejscu zgromadzenia akademików. W drodze postrzegają ten przedwczesny ogień, a w Łazienkach zastają ledwo kilkunastu z tych, co mieli przybyć. W tej samej chwili uderzono na trwogę ogniową w pobliskich koszarach. W mgnieniu oka powstaje niezmierny ruch naokoło. Posyłki konne i piesze przebiegały lasek we wszystkich kierunkach, z Belwederu do koszar, z koszar do Belwederu; namnożyło się świateł między drzewami, na odwachach dzwoniono, i warty występować zaczynały. Za czasów carewicza służba ogniowa była dobrze urządzona. On sam miał we zwyczaju dojeżdżać do każdego pożaru, czy we dnie, czy w nocy, mógł więc i tą razą wypaść z Belwederu. Z kilkunastu przybyłych akademików ledwo kilku zostało z śród tego zamięszania, nareszcie i ci się rozproszyli w różne strony, żeby nie wpaść w ręce żołnierzy i policyantów. Ten alarm trwał w Łazienkach przeszło pół godziny.

Zawczesny i słaby ogień w browarze zgaszono bez wielkiej trudności. Ta okoliczność, jakkolwiek drobna, stawia sprzysiężenie w najprzykrzejszem położeniu i rodzi wszystkie złe

skutki, jakie koniecznie z braku jednoczesności w działaniu na tak obszernym teatrze wyniknąć musiały. Od tej chwili wszystko idzie oporem: związkowi w południowej części miasta, koło Belwederu i koszar jazdy moskiewskiej, nie mogli dać znać o sobie związkowym na tylu innych punktach stolicy. Ci, nie postrzegając sygnału z południa, rozumieli, że tam się jeszcze nic nie stało, i nie zaczynali działać; po terminie upływało więc dużo czasu — i oto jedno nic, pochodzące z roztargnienia Wysockiego, naraża całą sprawę, naraża przyszłość powstania.

Po chwili wszystko jednak znowu ucichło w Łazienkach. Rozsypany oddział zaczął się zgromadzać. Spiskowi, wychodząc z za drzew, pytają jeden drugiego o nazwisko, ale co dalej począć w tak szczupłej liczbie, po obudzeniu czujności nieprzyjaciela, nie wiedzą. Z krótkiej narady, którą wtenczas odprawili między sobą, wypadło, aby Nabielak poszedł na zwiady do szkoły podchorążych — o parę set kroków od mostu Sobieskiego. Udał się on tam, ale z niczem powrócił. Wysocki bawił jeszcze w mieście; nie nadeszli i ci dwaj podchorążowie, którym browar zapalić polecono. Szkoła była równie jak oddział belwederski zatrwożona, najbardziej lękali się podchorążowie, aby tych podpalaczów nie schwytano. Nastąpiła tedy druga pauza, przeciągła jak wiek, pauza nieczynności i oczekiwania śród przyspieszonego krwi obiegu. Już godzina upływała od chwili naznaczonej do rozpoczęcia ogólnego ruchu! Chybiony sygnał, który miał wzruszyć całe miasto, który miał z miasta zapewnić pomoc podchorążym, demoralizował szczególnie młodych akademików, dość odważnych, żeby się rzucić pierwszym zapędem i w największe niebezpieczeństwo, lecz przy zimnej refleksyi, do czego tyle czasu mieli, zaczynających już mierzyć otchłań bez gruntu, co się przed niemi roztwierała. Ta przewłoka, nastrajająca wysoko żywą, młodocianą fantazyą, była bolesna... Nabielak i Goszczyński idą powtórnie do szkoły podchorążych. Napróżno: i tą razą żadnej jeszcze z nikąd wiadomości. Dopiero wracając spotykają Wysockiego, przybywającego z miasta w towarzystwie Szlegla, Dobrowolskiego, Paszkiewicza i Rottermunda. Wysocki z dwoma pierwszymi pobiegł zaraz do szkoły; Paszkiewicz i Rottermund woleli połączyć się z wyprawą na carewicza. Od tej chwili inny duch wstąpił we wszystkich. Wyniesiono karabiny

podchorążych Moskali, którzy udawali, że nie postrzegają tego, co się około nich działo. Gdy się szkoła uzbrajała, Nabielak i Goszczyński nabijali broń i obliczali swe siły: było wszystkich ośmnastu z Paszkiewiczem i Rottermundem, tudzież dwoma podchorążymi, Trzaskowskim i Kobylańskim, którzy oddział prowadzić mogli, jako dobrze znający Belweder we środku. Rozdzielili się na dwie równe części. Jedna część, pod komendą Trzaskowskiego, udała się w górę drogą ku rogatkom mokotowskim, żeby wpaść do Belwederu od frontu przez główną bramę. Tęższi, silniejsi z postawy, składali ten oddział, bo odwagę moralną mieli wszyscy jednaką. Druga część, pod dowództwem Kobylańskiego, ruszyła do ogrodu belwederskiego, aby działać z tyłu pałacu na przypadek, jeżeliby p t a s z e k, jak się wyrażali spiskowi, wyleciał do ogrodu [1]).

Oddział od frontu, dochodząc do bramy, podwoił kroku i nagle z przerażającym okrzykiem «Ś m i e r ć t y r a n o w i» wleciał na dziedziniec. Kilka osób tam będących uciekło natychmiast i przymykało za sobą drzwi środkowe. Jeden z oddziału uderzył w te drzwi kolbą i przy pomocy innych wysadzili je z zawias. Potłuczono szyby w dolnych oknach, przy ciągłem wołaniu: «Ś m i e r ć t y r a n o w i!» Już natenczas szedł ogień od koszar z ręcznej broni, co domowników księcia do reszty przeraziło, a napadającym dodało ducha. Wtłoczyli się do głównego korpusu oknem i drzwiami. Głuche naokoło milczenie! Żadnego oporu, żadnego ruchu w całym pałacu. Wpadają na górę, odmykają, a raczej wyłamują, jedne drzwi po drugich, z jednego do drugiego przechodzą pokoju — nigdzie żywej duszy. Czynią niezmierny hałas, wszystko wywracają w siedzibie tyrana, lecz jego samego nie znajdują. W przysionku sali audiencyonalnej wysoki mężczyzna stoi za drzwiami na pół otwartemi; zdawał się chcieć uniknąć niepochybnej zguby. Poznany i pchnięty kilku bagnetami pada na posadzkę, lecz nie umiera, bo go tylko niewprawne jeszcze ręce dotknęły. Był to vice-prezydent miasta

[1]) W oddziale od frontu byli: Trzaskowski, Nabielak, Goszczyński, Zenon Niemojowski, Roch i Nikodem Rupniewscy, Orpiszewski, Jankowski i Nasiorowski; w oddziale od ogrodu: Kobylański, Paszkiewicz, Poniński, Edward Trzciński, Edward Rottermund, Swiętosławski, Krosnowski, Rettel i Kosiński.

Lubowidzki, którego zła gwiazda na chwilę przed tym napadem sprowadziła do Belwederu, z pewną już wiadomością o mającej wybuchnąć rewolucyi. Powstanie zastało carewicza śpiącego. Za pierwszym na dole okrzykiem kamerdyner Kochanowski budzi go, przecierającego jeszcze oczy porywa gwałtem z łóżka i wpycha do gabinetu, skąd tajemne schody prowadziły do lewego pawilonu księżny Łowickiej; uczynił to w samą porę, gdyż zaraz potem kilku spiskowych wpadło do tegoż gabinetu. U księżny miała miejsce malarska scena. Ledwo nie u stóp Polki, której tron poświęcił, szukał Konstanty ratunku przed Polakami. Cały dwór niewieści był tam już zebrany: gdy carewicz wbiegł do pokoju księżny w nieładzie nocnego odzienia, kazała ona poklękać kobietom wokoło niego i na głos odmawiać pacierze, pewna, że śród zastępu silnego modlitwą i płcią, żadna go zemsta z rąk polskich nie dosięgnie. W takiej postawie, z gestami okazującemi bojaźń największą, z wejrzeniem obłąkania, zostawał w tem gronie przez kilka minut, nieprzytomny, blady, i słowa wyrzec nie mogąc. W godzinę jeszcze potem drżał jak liść, a wsiadającemu na konia musiano nogę w strzemie *[tak]* zakładać. Oddział zemsty narodowej, splądrowawszy całe górne i dolne pomieszkanie prócz pawilonu księżny Łowickiej, jak wleciał tak wyleciał z pałacu pędem wichru, lecz pierwej na dziedzińcu jedną jeszcze ofiarą swe odwiedziny uczynił pamiętniejszemi. «Najnikczemniejszy z nikczemnych», jak go sam W. książę nazywał, nieodstępny towarzysz, koniuszy, pierwszy faktor carewicza, generał Gendre, spieszący do pobliskich stajen, wpadł tedy w ręce spiskowych. Krzyczał ze wszystkich sił swoich: «*Je suis général du jour;*» lecz to nic nie pomogło: otrzymał bagnetem w piersi raz głęboki, śmiertelny. Cała wyprawa kilkunastu minut nie trwała. Młodzież, naznaczywszy krwią podwoje carewicza, obróciła się z Belwederu w prawo i przez ogród botaniczny zmierzała szybkim krokiem do mostu Sobieskiego. Tu nastąpiło połączenie całego oddziału z podchorążymi, gdyż i druga część, nie mając nic do czynienia w ogrodzie, cofała się ku tej stronie, położywszy trupem jednego z warty ogrodowej, który biegł do pałacu z wiadomością o przybyciu niespodziewanych gości. Tylko co Nabielak i jego towarzysze zdążyli ujść paręset kroków od pałacu, gdy silny tentent koni

na drodze z Łazienek do rogatek mokotowskich przekonał ich jak szczęśliwie, jak cudownym prawie sposobem wielkiego uniknęli niebezpieczeństwa; albowiem wtenczas właśnie jedna część z rozbitych przez podchorążych kirysyerów przybyła galopem pod Belweder, otaczając pałac z przodu i z boku od ogrodu botanicznego. Jeszcze tedy kilka minut dłużej, a nikt nie byłby żywy wyszedł z oddziału, który wpadł od frontu.

Kiedy rewolucya w pierwszem poruszeniu swojem nawiedzała Belweder i brata potężnych carów północy spłaszała z pościeli, podchorążowie wiedli bój krwawszy, zaciętszy z przemagającemi siłami. Wysocki, jak się wyżej rzekło, wszedł do szkoły, przerwał lekcyę teoryi, wykładaną, jak zwykle, o tej porze, i, dobywając szpady, zawołał donośnym głosem: «Polacy! Godzina zemsty wybiła, dzisiaj zwyciężymy, albo polegniem: nadstawmy piersi nasze wrogom, aby były dla nich Termopilami!» Rozległ się w sali okrzyk: «Do broni, do broni!» Dzielni młodzieńcy rozebrali ostre ładunki, które Szlegel przyniósł, nabili karabiny, i daleko prędzej niżelibym to opisać zdołał wzięli szyk bojowy na dole. Było ich wszystkich stu sześciudziesięciu i kilku, każdy z nich znał komendę brygady i dywizyi jak generał, a robił bronią jak szermierz. Zręczniejszych tyralierów, celniejszych strzelców pewnie żadne wojsko nie miało. Teraz szli się odpłacać Moskalowi za długą naukę na Saskim Placu! Na czele tej kolumny uczonych atletów postępował Wysocki wprost do koszar trzech pułków jazdy nieprzyjacielskiej. Koszary te, bronione przez piechotę, mogłyby być niezdobytą warownią, ale dla jazdy, choćby kilkotysięcznej, napadniętej przez jeden tylko batalion piechoty, były stanowiskiem niedogodnem i niebezpiecznem. Zawierały wewnątrz kilkadziesiąt podłużnych stajen i mnóstwo mniejszych pomiędzy niemi domków, gdzie żołnierze mieli swe kwatery. Czerwone dachy, poręcze, chorągiewki wokoło stajen i długie regularne ulice między niemi użyczały temu ogromowi pozoru oddzielnego przedmieścia na Solcu. W środku między budynkami było kilka dziedzińców wysypanych piaskiem, tak obszernych, że dwa i trzy szwadrony mogły razem odbywać swe obroty. Całą przestrzeń opasywał dokoła szeroki i głęboki kanał, napełniony wodą, dla konia nieprzeskoczny. Prócz tego jedne koszary od drugich oddzielały cokolwiek mniejsze kanały

na których było kilkanaście drewnianych mostków. Podchorążowie, zbliżając się do tego miejsca, strzelili na wiatr, tak dla sprawienia popłochu w jeździe moskiewskiej, jakoteż dla uwiadomienia kompanii, mających przybyć z miasta, że walka już się zaczęła. Te to strzały towarzyszyły wpadającym do Belwederu. Podchorążowie skoczyli zaraz potem w środek koszar ułanów cesarzewicza; już ich trzechset zastali na koniach w szyku do szarży. Nie czekając ani chwili, młódź polska postąpiła ku nim na pół strzału karabinowego, i z tej odległości, gdy każdy jeźdźca albo konia na cel bierze, zaraz spędziła z miejsca ten oddział jazdy. Ułani sformowali się za chwilę i kłusem ruszyli naprzód; wtedy podchorążowie, z mniejszej jeszcze odległości sypiąc ogień na jedną komendę, zsadzili z koni kilkunastu ludzi, reszta pierzchła w największym nieładzie, który pomnażały kule gęsto padające między tłoczących się w przeprawie przez mostki. Noc była ciemna; rozumieli przeto Moskale, że najmniej parę tysięcy piechoty mają za sobą. Wistocie trwoga, zamieszanie były tam tak wielkie, że najwięcej dwie kompanie, zachodząc natenczas z przodu, od miasta, mogły były łatwo rozbroić tę całą jazdę i zabrać ją w niewolę. Lecz gdy Wysockiemu żadna z nikąd pomoc nie przybywała, kirysyery i huzary mieli dość czasu wsiąść na konie i w porządku wyjść z swoich koszar, żeby naszych otoczyć i odciąć od miasta. Ta okoliczność, po części i brak ostrych ładunków, zmusiły podchorążych do cofnienia się ze zdobytych pustych koszar ułańskich.

Ten pierwszy czyn niezrównanego męstwa przeraził potem i zadziwił nieprzyjaciela, gdy tenże nakoniec postrzegł, że go taka garstka wyrzuciła z koszar. Wysocki zajął stanowisko za mostem Sobieskiego. Tu przedsięwziął oczekiwać bratniej pomocy; tu nadstawiał ucha, rychło li zagrzmią z pagórka pod koszarami radziwiłowskiemi cztery działa Nieszokocia, jak miało być według umowy. Żeby o tych działach i kompaniach wyborczych powziąć jakąkolwiek wiadomość, wysyła nareszcie podchorążego Kamila Mochnackiego z poleceniem przynaglenia tej pomocy, jeśliby już nadciągała. Lecz Mochnacki wrócił za chwilę i tę tylko przyniósł wiadomość, że zamiast polskiej piechoty postrzegł kirysyerów, którzy zewsząd otaczają podchorążych dla przecięcia im drogi do miasta. Wysocki postąpił kilka

kroków naprzód i sam się o tem przekonał. Trzeba więc było zwieść jeszcze krwawą potyczkę dla wyratowania się z pośród nieprzyjaciół. Dwie drogi prowadziły do miasta od mostu Sobieskiego: jedna wprost pod górę, a potem przez główną aleję, druga zaraz w prawo poza gmachem ujazdowskim do Wiejskiej Kawy. Kirysyery zajmowali obiedwie w szyku do szarży. Wysocki daje rozkaz natarcia z bagnetem na obadwa oddziały. Sam z kilkunastu podchorążymi rzuca się w prawo, przeciwko konnicy, co zajmowała trakt boczny. Walka trwała tylko jeden moment. Podchorążowie, rozsypując się i gromadząc, obyczajem tyralierskim, nacierając i ustępując w miarę jak tego miejsce dopuszczało, strzelając z rowów, z poza drzew, z przodu i z boku, rozpędzili kirysyerów — a potem zebrawszy się, postępowali drogą za Ujazdowem. Część rozbitej jazdy poleciała galopem do Belwederu, wtedy właśnie, kiedy z tamtąd spiskowi wychodzili, druga część z tyłu niepokoiła podchorążych, którzy, mając wolną drogę przed sobą, pomykali się naprzód śród ciągłych, zawsze odpieranych napadów kawaleryi. Dochodząc do Wiejskiej Kawy, młodzież nasza postrzegła przed sobą nowego nieprzyjaciela: szwadron huzarów, który w tej samej chwili ruszył kłusem od głównej alei na czoło małej kolumny Wysockiego. Położenie podchorążych było wtedy najkrytyczniejsze. Z tyłu parci przez kirysyerów, z przodu zagrożeni od huzarów (których cały pułk stał na odwodzie na polu za owym szwadronem), pół obrotem na lewo od Wiejskiej Kawy dopadli szczęśliwie koszar radziwiłłowskich, budynku niedokończonego, gdzie z okien i z bramy ubili Moskalom kilku jeszcze ludzi i koni. Tu Wysocki miał myśl zatrudnienia sobą jaknajdłużej jazdy nieprzyjacielskiej, żeby nie wpadła do miasta, coby, oczywiście, zaszkodziło rozpoczynającym się tam ruchom i utrudniło opanowanie celniejszych punktów. Mniemał także, iż się przecie choć w oblężeniu doczeka artyleryi i kompanii wyborczych. Lecz nakoniec, gdy zupełnie zabrakło ładunków prawie wszystkim podchorążym, a przed bramą coraz gęstszy hufiec jazdy skupiać się począł, zostawało mu tylko bagnetem otworzyć sobie drogę do miasta. «Oblegają nas» — krzyknęli podchorążowie: otworzyli przeto bramę i rzucili się na huzarów. Ale

i ten trzeci oddział jazdy, jak dwa pierwsze, nie dotrzymał placu ich natarczywości.

D) „Pisma rozmaite“ (1831—3).

(«Dz.» Żup. T. IV, 1863).

Składają się na nie: a) artykuły publicystyczne: 1) w «Nowej Polsce» od 26 stycznia do 14 lutego 1831 r., 2) w «Dzienniku krajowym [narodowym, powszechnym, powszechno-krajowym»] od 17 sierpnia do 5 września t. r.; 3) w «Gazecie Narodowej» zakroczymskiej z d. 16—18 września t. r.; 4) w «Pamiętniku emigracyi polskiej» od 1 lipca 1832 do do 25 lipca 1833 r. b) historyczne: 5) w «Pamiętn. emigracyi» — «Kilka listów w przedmiotach narodowego powstania»; jest ich sześć; 6) tże «Przyczyny nocy 15 sierpnia» i «Skutki n. 15 sierpnia», sięgające głębiej jeszcze w powstanie; 7) tże «O rewolucyi społecznej w Polsce» (i o konstytucyi 3-go maja); 8) tże «Historya Tow. Patryotycznego»; 9) w «Dz. powsz. krajowym» «Konfederacya Barska» (apologia). Z pomiędzy artykułów publicystycznych w kraju najwybitniejsze są: «Być albo nie być», «Dlaczego massy nie powstają», «Terroryzm nierozumu» (z «N. Polski»); z emigracyjnych: «O charakterze emigracyi polskiej»; pięć artykułów wspaniale charakteryzujących politykę rosyjską w Europie; «O rewolucyi w Niemczech» — wszystkie dopiero w «Pamiętniku». Umysłowość Mochnackiego ze wszystkiemi swemi właściwościami, a nawet jego psychika od kategoryi logicznych oderwana najjaśniej przed oko potomne wybija się w tych właśnie «Pismach rozmaitych»; współzawodniczą z niemi «Listy» (ob. Bibliografia). Pierwsze wydanie Paryż, 1836; 2-e Poznań, 1863 Żup.

O terroryzmie nierozumu i obskurantyzmu politycznego.

(«Nowa Polska» nr. 26 z dn. 30 stycznia 1831 r.; «Pisma rozmaite» ed. Żup. str. 12—15).

491) Liczne są rodzaje terroryzmu. Jest terroryzm stronnictwa, które w rozterkach domowych przemógłszy słabsze fakcye, zasady swoje uświęca systematycznym krwi rozlewem. Tak było we Francyi. Za czasów Dantona gilotyna mocowała i podkopywała teorye społeczeńskie, ludzie umierali za maxymy. Niemasz takiego terroryzmu w Polsce, i dziękujmy niebu za to. Cale inny jest charakter naszej rewolucyi: — nie socyalny, ale excentryczny; nie wewnętrzny, ale zewnętrzny. Idzie nam najpierwej o niepodległość i całość.

Drugi jest terroryzm geniuszu, terroryzm wielkiego ducha, który wszystko pociąga ku sobie i pod swoje podbija posłu-

szeństwo. Taki był terroryzm Napoleona i Cezara. Sława geniuszu zajmuje imaginacyą. Geniusz polityczny i wojskowy roznieca, exaltuje tę imaginacyą, czaruje, mami. Ludzie z ochotą go słuchają; zdaje się im, że anioł zstąpił z nieba na ziemię. Nie masz u nas takiego terroryzmu; ale się zjawić może w dalszym postępie rewolucyi, któraby upadła bez wielkiego ducha.

Trzeci jest terroryzm genialnych rozmyślaczy, genialnych pisarzy, filozofów. Takim terrorystą, takim metafizycznym Dantonem, takim transcendentalnym Robespierem w Niemczech jest teraz Szelling, jest Gerres [Goerres] i Steffens. Ci ludzie mocą attrakcyjną, siłą niepojętą intellektualnego powinowactwa, przyciągają do środkowego punktu sfery swego ducha wszystkie rozumy, wszystkie pojęcia. Wojują wyobrażeniami; wywyższają się nad innych dyalektyką. Są to mocarze loiki. My nigdy takiego nie będziemy mieli terroryzmu. Polacy obawiają się entuzyazmu wyobrażeń, natchnienie filozoficzne zowią mistycyzmem. Lubią styl potoczysty, gładki, a czego odrazu nie zrozumieją, to mają za rzecz niegodną poważniejszego rozmysłu i zastanowienia. Niecierpliwość jest najistotniejszą cechą naszego charakteru.

Czwarty nareszcie gatunek terroryzmu, najstraszniejszy, najokropniejszy, jest terroryzm zawziętego w śmiesznem uprzedzeniu mniemania, terroryzm obskurantyzmu politycznego, terroryzm socyalnego nierozumu. Taki terroryzm mistrzuje w naszej rewolucyi mimo obywatelstwo i polską cnotę wszystkiej niemal ludności! Niemasz żadnego na to złe lekarstwa. Do naszych mas żadne nie trafią rozumowania; żadna myśl oryginalna nie opanuje większości. W imie *[tak]* jedności i zgody tylko co nie zgubili Polski przyjaciele Dyktatora. Wszelką przeciwko niemu opozycyą nazywano zdradą kraju. Wierzmy dyktatorowi, bo to wielki człowiek! słynie w Europie, on sam jeden zbawi Polskę. Rada najwyższa przypatrywała się codziennie sprawom jego: wierzono radzie najwyższej. Ex-sekretarz dyktatora *[Aleksander Krysiński]* wiedział o wszystkiem, a nikomu nic nie powiedział: wierzono ex-sekretarzowi ex-dyktatora. Co większa! Terroryzm politycznego obskurantyzmu do-

szedł do tego kresu, że ci nawet, którzy mieli ocenić postępowanie ex-dyktatora, samym sobie wierzyć nie chcieli.

Mistrzował w Polsce po wszystkie czasy, panował, broił ów terroryzm nazwiska, terroryzm łatwowierności, terroryzm zaufania nieodpowiadającego zasłudze. Byliśmy i jesteśmy dotąd dziwowidzami, chwalcami, panegirystami bądź mniemanego talentu, bądź urojonej jakiejś przewagi. Nic łatwiejszego jak zostać sławnym i popularnym w Polsce. Mamy wielkich literatów, którzy nigdy nic nie pisali, wielkich obywateli, którzy nigdy nic dobrego dla kraju nie zrobili, wielkich dyplomatyków, którzy ledwo czytać umieją. Sławy, reputacyi, popularności dostać u nas można jak lichego na jarmarkach towaru.

Ta mniemana sława, ta czcza reputacya, ta urojona, wmówiona popularność szerzy się następnie jak dźwięk hucznego dzwonu w powietrzokręgu, uzbraja się całą potęgą terroryzmu łatwowierności, szczerej lub udanej, i ludziom myślącym nakazuje milczenie terroryzmem politycznego nierozumu. Biada temu u nas, kto myśli swoją głową i swojem rozumieniem rzeczy około siebie pojmuje! To wichrzyciel! To burzyciel! mówi i pisze za pruskie talary, za ruble moskiewskie.

Gdy cesarzewicz Konstanty umknął z wojskiem, przestał naród wierzyć tymczasowemu rządowi. Gdy ex-dyktator zdradził, przestaliśmy wierzyć w dyktaturę... Sejm próżnuje! Będziemyż wierzyli sejmowi? Nowy terroryzm zaufania! Gdyby nie stu dwudziestu posłów, którzy za rządów cesarzewicza żadnego ministra oskarżyć nie śmieli *[nieprawda]*, ale stu dwudziestu aniołów z archanielską mądrością zasiadło i obradowało w tej izbie, nie wierzyłbym teraz stu dwudziestu aniołom! Nieufność i podejrzliwość są najpierwszą cnotą rewolucyjnych czasów. Ufność niechaj będzie nagrodą zasługi, ale nie zachętą do działania.

Nie ufajmy nikomu; nie wierzmy nikomu, a wszystkich wzywajmy, pobudzajmy. Toć jest bodźcem i najlepszą zachętą. Tylko papież, jak mniemano w Wiekach Średnich, był nieomylny; zgromadzenia zaś polityczne, sejmy, koncylia jak indywidua mylić się mogą.

Obskurantyzm polityczny nie toleruje u nas żadnej opozycyi. Opozycya mówna lub piśmienna przeciwko władzy zo-

wie się tu buntem, zdradą. Tak i cesarzewicz z Nowosilcowem rozumowali.

Polska nie zginie brakiem obywatelstwa i cnoty, nie zginie brakiem męstwa i środków materyalnych, ale zginie terroryzmem nierozumu [1]).

---

[1]) Prócz wypisów powyższych jest jeszcze w Tomie III. str. 275—8 Mochnackiego «Artykuł, do którego był powodem «Zamek Kaniowski» Goszczyńskiego». *(Przyp. Red.).*

Opracował: ST. KRZEMINSKI.

LXXV

GARCZYŃSKI STEFAN

(1805—1833)

Pochodził ze starej i niegdyś bogatej rodziny szlacheckiej, której się członkowie dobrze krajowi zasłużyli. Urodził się 13 października 1805 r. w Kosmowie pod Kaliszem, z ojca Franciszka, pułkownika, i matki Katarzyny z Radolińskich. W ósmym roku życia stracił ojca, a wkrótce potem «ronił łzy nad mogiłą matki». Sierotą zaopiekowali się wujowstwo, hr. Skórzewscy, a szczególnie p. Skórzewska. Serdeczna troskliwość tej kobiety, ubóstwianej przez chłopca, silnie napięta struna patryotyzmu i bogata umysłowość opiekunów, zasobna biblioteka i przyroda — oto atmosfera, w której wzrastał Garczyński. W r. 1814 wysłano go do Bydgoszczy, do szkoły, w której przebywał do r. 1817. Na ławie szkolnej budzi się dusza dziecka: brutalność Prusaków rodzi w chłopcu poczucie odrębnej, a uciśnionej narodowości i wywołuje przysięgę na «wieczną nienawiść Niemcom». W 1817 r., przeniesiony do gimnazyum w Trzemesznie, przez dwa lata tam przebywał. Chłopiec garnął się usilnie do pracy, aby i wiedzę posiąść i ciotki nie martwić; najwyższe pochwały, jakie zdobywał, dla swych zdolności, pilności i skromności obyczajów, były mu bodźcem do tem usilniejszej pracy. Wdzięcznem sercem, ale z jakąś bojaźnią przyjmował od wujowstwa zasiłki pieniężne: lękał się, aby czasem opiekunów za drogo nie kosztować, więc wydatki swoje możliwie ograniczał i ciągle zapewniał opiekunów, że niczego nie potrzebuje. W r. 1819 wielce obiecujący chłopiec wstąpił do Liceum warszawskiego (pod rektorem Lindem), w którem aż do chlubnego w roku 1823 ukończenia przebywał. Szczególne zamiłowanie do nauk ścisłych i do poezyi znamionowały w młodzieńcu pracę myśli i skłonność do refleksyi. I ta właśnie skłonność do zastanawiania się, do pracy myśli tłumaczy nam, dlaczego dzieła klasycyzmu francuskiego, jako dzieła «zdrowego rozsądku», «trzeźwego aż nadto tworzenia», trafiały do

gustu G-mu. Zaczytywał się więc w dziełach klasyków, robił z nich staranne wyciągi, studyował «L'art poétique», tem gorliwiej, że profesorowie Liceum byli zwolennikami idei «wieku oświeconego», a właściciel pensyonatu, gdzie mieszkał G-i, również klasyk, pilnie śledził, żeby jego wychowańcy «zakazanych romantyków» nie czytali. A jeśli, pomimo zakazu, G-i czyta Byrona, to nie dla «nowego ducha» jego poezyi, ani bujnej fantazyi poety, tylko dla myśli, w jego utworach zawartych, i dla... przypisków, podających ciekawe szczegóły z życia narodów wschodnich. Po ukończeniu Liceum bawi G-i przez pewien czas w majątku swych opiekunów. Tu dorywczo próbuje — w smaku klasycznym — swych sił poetyckich.

W r. 1825 zapisał się w Berlinie na wydziały filozofii i prawa, głównie zaś zajęły go wykłady Hegla i historyka Gansa; wkrótce zasłynął, jako najlepszy wśród studentów heglista i «jedna z najgenialniejszych głów, jakie się podówczas w uniwersytecie znajdowały». Heglem przejął się głęboko, ale nie ślepo. Inaczej być nie mogło: Hegel przecie przyznawał sile brutalnej władzę nad światem, dowodził, że «wszystko, co istnieje — rozumne!» I na inny pogląd Hegla nie mógł się G-i godzić, że każdy naród ma pewne posłannictwo dziejowe, a jeśli upadł, to widocznie swoją rolę historyczną już skończył. Godząc się na takie poglądy, G-i musiałby zadać kłam swym najświętszym uczuciom, musiałby przestać wierzyć w odbudowanie Polski. Otóż ta sprzeczność poglądów Hegla z jego własnymi u c z u c i a m i była źródłem rozterki wewnętrznej w duszy G-go, rozterki, która wreszcie (1826 - 7) doprowadziła go do wytworzenia pojęć, które w sześć lat później miały stanowić podstawę mesyanizmu polskiego. Te pojęcia znalazły wyraz w «Hymnie do Boga» (w styczniu 1826 r.— niedrukowany) i w «Spiewie» (niedruk.). Słońce wolności, które ma świat opromienić, zejdzie w «Lecha ziemi», wraz z niem zapanuje cnota — przez zasługę i sprawę Polski. W Berlinie poznał G-i dokładnie poezyę niemiecką, zwłaszcza Goethego; pod wpływem «Fausta» powstaje myśl napisania poematu filozoficznego, który będzie właśnie odzwierciedleniem własnej rozterki duchowej poety, a zarazem próbą rozwiązania dręczącego duszę młodzieńczą problematu: jak pogodzić rozum z sercem? Oto geneza «Wacława dziejów». Na wykonanie zamiaru wywarł wpływ, oprócz Goethego, Byron (głównie «Manfred») i Mickiewicz, którego G-i poznał w Berlinie r. 1829, a który oczarował go swoją siłą ducha, mocną wiarą w szczęśliwą przyszłość ojczyzny. Terazto staje się G-i romantykiem: «dla zrobienia początku» — pod bezpośrednim wpływem postaci M-a — powstaje w ciągu tygodnia zbiorek wierszy — dość nieudolnych — p. t. «Wiersze do Aliny».

Po ukończeniu studyów uniwersyteckich w r. 1829, jedzie do Rzymu (na początku 1830), gdzie spotyka M-a, Odyńca i innych wybitnych Polaków, z którymi stacza namiętne dysputy w obronie Hegla. Praca nad «Wacławem» postępuje. Ale jednocześnie rwie się szlachetna dusza do czynu. Cichy i skromny, «panienką» przez Odyńca

zwany, pełen ofiarnego ducha i idealnych pragnień, szczytnych zapędów ku wyżynom moralnym i intellektualnym, poświęca swe życie na realizacyę zasady: «ciągła ofiara z siebie dla celów ogólnego dobra», «bezwzględne poświęcenie się służbie swego społeczeństwa i kraju». Do zajętego pracą i biedzącego się nad rozwiązaniem bolesnych zagadnień życia dochodzi wieść piorunowa o działaniach rewolucyjnych 31 roku. Rzuca Rzym, pędzi do Polski i z nadszarpniętem zdrowiem wskutek ciągłej pracy, suchotnik, walczy za wolność, naprzód jako prosty żołnierz, a później jako porucznik. I dopiero wtedy porzuca ojczyznę, kiedy padły ostatnie rewolucyi strzały — bezskuteczne. Na początku r. 1832 jest w Dreźnie. Na tę właśnie chwilę przypada w życiu G-go okres najbardziej natężonej pracy wewnętrznej nad rozwiązaniem bolesnego problematu, jaki jest stosunek rozumu do uczucia w życiu, jednostki i narodu, która z tych dwu władz ma rządzić czynami, jaki stosunek jednostki do społeczeństwa i na czem go oprzeć, skąd początek i jaki cel bytu i t. d. Po długich walkach wewnętrznych, pod wpływem Mickiewicza, który potępiał «rozum książkowy», jako siłę przyziemną, nie mogącą wznieść się do bezkresnych wyżyn ducha, skąd patrzy się w oblicze Boga i w Nim czyta się tajemnicę przyszłości i rozwiązanie najważniejszych zagadnień, wreszcie wskutek wypadków 31 roku, kiedy bohaterski zapał, zwłaszcza młodzieży, i wiara w wysiłki jednostek porwały moralnie i materyalnie osłabiony naród w wir tytanicznej walki z wrogiem wielokroć silniejszym, — pod wpływem tych czynników, zachodzi w G-im już stanowczy przełom; rozum i jego siła ustępuje «wierze i czuciu». Teraz to pracuje G-i nad utworami, bądź to nowymi, bądź też rozpoczętymi dawniej; na ich dnie spoczywają poraz pierwszy w naszej poezyi — zagadnienia filozoficzno-społeczne. Są to «Wacław», «Wizya» i «Nabożeństwo tegoczesne»; następnie «Wspomnienia z r. 1831», «Sonety wojenne», króciutki romans: «Król i giermek» i szereg mniejszych utworów. Zebrane poezye posyła do Paryża, do Domejki, z prośbą o korektę druku. Tymczasem M-cz sam na siebie bierze tę pracę — i dobrze na tem wyszedł zbiorek poezyi, a głównie «Wacław». G-i wyrażał się ciężko i zawile, przytem, wychowywany w szkołach niemieckich, wtrącał germanizmy. M-cz usuwał je, ciężkie zaś i zawiłe zwroty zastępował zwięzłymi i dobitnymi; często obraz nie dość plastyczny uzupełniał, czyniąc go malowniczym.

Oto próbka z «Wacława»: «Dziś inaczej, dziś ledwie jodła swe konary słabe, wichrom posłuszne, z murów chyli szpary, albo, jakby czas zmienił ród ludzki w rośliny, bluszcz skromny pnie się w górę, z starej rozpadliny, dziś ledwie strumyk mruczy». A w przeróbce Mickiewicza: «Dziś inaczej — dziś jodła swoimi konary mur zdobyła, ramiona wychyla przez szpary; dziś jakoby czas zmienił ród ludzki w rośliny, skromny bluszcz pnie się w górę między rozpadliny, dziś tylko strumyk mruczy».

Ciężko chory na piersi, udał się G-i do Szwajcaryi. Na wieść o ciężkiej chorobie przyjaciela, Mickiewicz rzucił rozpoczętego «Pana Tadeusza» i pospieszył z Paryża do G-go. Ten był już na łożu śmierci; przewieziony do Avignonu, zmarł 20 września 1833 r.

Wczesna śmierć nie pozwoliła mu wszechstronnie rozwinąć się. Artystą nie był i sam świadomie podporządkowywał formę treści. «Nie miękkie rymy skandowanych wierszy, z których pospólstwo laur czasem splata,.. wabią mi ducha»... Poeta refleksyi, bujnej ani samodzielnej fantazyi nie posiadał — zasilał ją pomysłami obcymi. Niema zazwyczaj w jego poezyi ani plastyki, ani malowniczości, przeważają pojęcia abstrakcyjne lub analiza stanów i przejść duchowych, a jeśli zjawi się obraz fantastyczny, to stworzony nie dla wywarcia na czytelniku wrażenia estetycznego, lecz dla zadokumentowania pewnej prawdy filozoficznej, dla której ma być rodzajem ilustracyi. Zato imponuje G-i głębią i ilością myśli, zwłaszcza w «Wacławie». On pierwszy, samorzutnie sformułował — przed M-m — myśli mesyanistyczne, jakie panowały na emigracyi po r. 1832; obok Krasińskiego jest on przedstawicielem kierunku filozoficznego w romantyzmie naszym i to przed Krasińskim, któremu w swych poemacikach nastręczał tematy dla niektórych utworów. Imponuje szlachetnością, czystością, i wzniosłością moralną i umysłową. W pięknem ciele — piękna dusza.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

A) Wydania poezyi G-go. Pierwsze w r. 1833, Paryż, 2-gie w Lipsku. (Brockhaus) 1860. Rękopisy w Bibliotece Jagiellońskiej i w Lubostroniu, majątku hr. Skórzewskiego.

B) Dzieła o G-im. Pini T.: Dwaj poeci filozofowie, Bibliot. Warsz. 1900, tom III; toż osobno, Lwów, 1900. 2) Tenże: Stef. G-i, (Rok Mickiewiczowski), Lwów, 1899. 3) Tenże: Rękopis poezyi G-go. (Pam. Tow. liter. im. Mick. t. 6). 4) Tenże: M-cz, jako wydawca pism G-go. Lwów, 1898. 5) Tarnowski: St. G-go «Wacław» i drobne poezye. (Rozprawy i sprawozdania, t. II, Kraków, 1896). 6) Poznańczyk: List z powodu prelekcyi o G-im. (Pismo zbiorowe «Na dziś», Kraków, 1872). 7) Mickiewicz: Kurs liter. słow., lekcye: 30, 31, 32, t. II. 8) Odyniec: Listy z podróży: tom. III. 9) Stattler: Przypomnienie starych znajomości. («Kłosy», 1873, t. XII). 10) J. H. Rychter: Miłość G-go na podstawie nieznanych pism poety (Bluszcz 1885, 106—124).

A) „Wacława dzieje“ (1833)

(Tu z wyd. lipskiego, 1863).

Jest to poemat dramatyczny, podzielony na dwie części, z których każda składa się z sześciu obrazów. Na tle własnych przejść duchowych poeta przedstawia bohatera Wacława, który zrazu o wszystkiem wątpi, jak Faust, lecz niebawem pod wpływem rozczarowania się do nauki, która

nie dała mu odpowiedzi na najważniejsze zagadnienia, jaka jest pierwoprzyczyna bytu i jaki cel jego, a z drugiej strony pod wpływem dążności zaspokojenia głodu uczuć patryotycznych, dźwiga się z otchłani pesymizmu i przedzierzga się (jak Gustaw w Konrada) w człowieka, pragnącego poświęcić się krajowi. W pierwszem stadyum swego rozwoju Wacław — to człowiek, zajęty wyłącznie myślą, mocujący się sam z sobą, z swoim pesymizmem, w drugim — to działacz polityczny, konspirator. Wacław, pan wsi, żyje samotnie, stąd tajemniczy dla wszystkich. Jeśli się zjawia, to nocą czy wieczorem, w czarnym ubiorze, na karym koniu. Przybywa on w wielki piątek do kościoła i tam, przy grobie Jezusa, zastawszy dawnego nauczyciela swego, mnicha, kornie śpiewającego Mękę Pańską, stacza z nim namiętną dysputę o religii i o stosunku duchowieństwa do nauki Chrystusa.

492) *Str. 7 – 11.*

Ksiądz *(poznawając nieznajomego)*
To ty, młodzieńcze, tutaj?
Młodzieniec. Krzycz — żegnaj — przeklinaj!
Duch stoi — jako waszych kościołów wieżyce,
Choć deszcz leje — grzmią nieba — palą błyskawice,
One stoją — nuż śmiało egzorcyzm zaczynaj!
Tylko pomnij, że płaszcz mnie słów więcej nie mami,
Że, choćbyś drgał językiem, jak wicher potokiem,
Jam zawczasu ten potok zbadał myśli okiem
I płaszcz twój czarodziejski zdarł myśli zębami;
Że żartuję —
Ksiądz. Młodzieńcze! nie bluźń nadaremnie!
Takież to odebrałeś nauki ode mnie,
Na tożem cię wychował, ażebyś w kościele,
W dzień dzisiejszy, przy grobie Zbawiciela świata,
Bluźnił wiarę najświętszą?
Młodzieniec. Poznaj się w twem dziele!
(z ironią) Tyś mój mistrz!
Ksiądz. Słuchaj tedy — burzliwe są lata
Młodości — wiele ludzi na zawsze w nich ginie.
Jam to wiedział — jam, ciebie chcąc zbawić jedynie,
Chcąc ratować...
Młodzieniec *(przerywając z zapałem)*. Na zawsze zgubił bez ochyby!
Tlało we mnie przeczucie wolności szlachetnej,
I mocne miałem ramię i do czynów dzielność;
Tyś mi odgadł mą duszę — miałem w myślach szyby
Do przejrzenia — tyś przejrzał i — jak dąb stuletni
Upadkiem strzaska drzewka — Bogaś nieśmiertelność
Spuścił na mnie, na duszę, myśl strzaskał ogromem:
Wzgardziłem tem, co dawniej w oczach stało bóstwem,
Ojczyzną i miłością, przyjaźnią i domem,

Otoczyłem się waszą pokorą, ubóstwem;
Jam wiarą waszą świętą, jak tarczą, się składał
I cóż stąd? jam nareszcie wiarę i was zbadał.
Chcecie, pokory suknie zawdziawszy na pychę,
Zamieniając pałace na ustronia ciche,
W duszy gmachach zarządzać — i chatą i tronem:
Mieszkańców ich, jak ptaków, łapiąc w szpon sokoli,
Sami zimni — bez serca — męczyć, gryźć do woli.
Chcecie, martwi, spokojni, jak klasztoru ściany,
Na czas nieczuli, jako na pył śmierci wianek,
Patrzyć zimno na łzy, gdy kto łzami zlany,
Albo gdy ginie człowiek — wolny lud — kochanek.
Wam wolność, miłość niczem — płakać nie myślicie.
Ileż razy wam w duszy złorzeczyłem skrycie!...
Wyrwałem się nakoniec! — lecz czarowne słowo
Wiary waszej i klątwy i modlitw i sztuki,
Wisiało, jak na włosie miecz, nad moją głową.
Drżałem, żeby nie upadł! — dziś czas — dziś nauki —
O! dzisiaj już inaczej — rozumiem was, mnichy —
Dzisiaj — żarty to żarty — wszystkich was zbadałem.
W głos pytam: gdzie jest słowo, co się stało ciałem?
W głos krzyczę: wiara wasza jest to dziecko pychy.
. . . . . .
Ksiądz. Szalony, milcz na Boga!
Młodzieniec. Milczeć? toć milczałem:
Długo i bardzo długo — dziś mówić przychodzi.
Dziś krzyczeć będę, słyszysz, krzyczeć gardłem całem!
Chciałbym po słów mych fali, na myśli mych łodzi,
Z duszą moją żeglować i wpędzać się w dusze.
Niechajby moja mowa, jako bystra rzeka,
Wszystkie strumienie myśli korytem swem zlała!
I zleje — bo ja myśleć — bo ja mówić muszę.
Słuchaj, z duszą mą wpadnę w głąb serca człowieka,
I, jak szkło młota gromem, wiara pryśnie cała.
Mówić mu chcę wolności świętemi słowami —
Mówić mu chcę niemowląt — nieszczęśliwych łzami,
Krzyczeć nad nim, jak matka nad śmiercią dziecięcia,
Gdy je z pod piersi matce wyrwie ptak straszliwy;
Zaklnę go na najświętsze uczucia zaklęcia,
Na śmierć ojca, na przodków szereg nieszczęśliwy.
Niech wszystkiemu zawierzy — wam jednym nie wierzy!
Bo wy słudzy nikczemni, zamiast Boga słudzy,
Wy, kiedy ludzie giną, męczeni są drudzy,
Wy, jakby to nieludzkie trafiało przygody,
Choćbyście jednem słowem krwi wstrzymali strugi,
Patrzycie zimnem okiem, jak giną narody,

Ledwie trupom oddając ostatnie przysługi.
Toż więc jest wiara wasza? na to macie władzę,
Aby, cnót się wyrzekłszy, dawać przykład zbrodni?
Nikczemni ludzie! boskich przydomków niegodni!
Od mleka matki waszej ziemi was odsadzę,
Kiedy litości ziemskiej, cnót w sercu nie macie;
Wyprą się was rodzice, jak wy się wyparli,
I siostry, przyjaciele, i brat was po bracie
Kląć będzie, i tam z grobu powstaną umarli
I kląć będą i wołać o zemstę wszechwładną,
I głowy wasze wkońcu pod żelazem padną,
A wiara...

Ksiądz. Stój! — nic więcej!!

Zegar bił w tej chwili
I na hymny wieczorne księża nadchodzili.
Twarz swoją nieznajomy płaszczem więc osłonił,
Coś jeszcze prędko wyrzekł, zwrócił się z pośpiechem,
Idzie — krok nagli — śpieszy — nim zegar wydzwonił,
Trzask drzwi mocnem się odbił o sklepienie echem.

Zniechęcony do religii, a nadewszystko do jej przedstawicieli, rzuca się Wacław namiętnie do nauki, w nadziei, że ta zaspokoi jego pragnienie poznania prawdy. Ale rychło rozczarował się.

493) *Str. 22—24.*

Kiedy blask wiary dawnej ściemnili mu księża,
Myślił tedy, że z nauk iskrę po iskierce
Zsypując, znowu światłem jasnem duch zabłyśnie.
Oszukał się okropnie! — rozumowań słowa
Słyszał ciągle — w nich jakaś treść — ziarno — osnowa,
A duszy ani śladu — czasem, niecierpliwie
Rzucając książkę z ręki, wołał na głos cały:
«Gdzież jest bóstwo, które ja w piersiach moich żywię?
«Przyjaźni zapał — miłość — wolności zapały,
«I myśl, co człeka tworzy i różni od zwierza?
«Gdzie jest Bóg, stwórca świata?» – Książki nie wiedziały!
One, jak taktyk stary, gdy wojnę zaczyna,
Zwycięstwo liczbą kreśli — ustawi żołnierza,
Ale mu wiara wyższa nie staje jedyna.
Wiedzą, ile jest zwierząt, skąd która roślina,
Tylko czem zwierzę, kwiatek; czem człowiek — nie doszli,
Byli i tacy prawda, co innych przerośli,
Myślą o rzeczach wyższych, lecz w ich nauk szkole
Kto wytrzyma? — gdy w słowa myśl — jak w nurt potoku
Ziarno zboża rzucone, tonie — a na dole,
Na dnie choćby i rosło — nie dojrzeć je oku!

«Rozbrat więc z niemi wieczny» — pomyślił — wykona.
Wacław czucia i myśli na frymarkę nie ma:
Raz jeszcze w świat ów martwy zatoczył oczyma,
Dzisiaj — i nic nie znalazł — dusza przesilona,
Kurzem już żyć nie może, głupcom ku podziwie.

Z pogardą więc pchnął stolik ręką niecierpliwie,
Słowa na wpół ucięte, niewyraźne zrazu
Chwilowo usta miecą, aż w głosie pomału
Wyraz się coraz bardziej łączy do wyrazu,
Z dumań wypada mowa – jak deszcz śród upału:
«Niechaj mól życie nędzne w starych księgach pędzi,
«Niech się w kartę zbutwiałą z ciekawością wżera,
«Moja ręka napróżno tysiąc ksiąg otwiera
«I waży doświadczenia z tysiącznych narzędzi.
«Któż jak ja, z potem czoła, męczył się i czytał?
«Dziś, gdym na równi z wami, gdybym się zapytał,
«Czegoście nauczyli i co sami znacie,
«Wstydby wam czoło, serca i rozum wypalił,
«Jeśli wstyd znacie jeszcze — wam, gdybym się żalił!
«Zamknijcie księgi dumne i w nauk warsztacie,
«Na każdej ścianie, każdej książkowej okładce,
«Zapiszcie jedną prawdę — wypadek zagadce;
«I ja z wami zapiszę: że człowiek zrodzony,
«By wszystkiego dociekał, sam niedocieczony!»

Nagle dolatuje go śpiew chłopów, idących do karczmy. Ten śpiew przywołał go do rzeczywistości. Oto rzuca księgi i swe myśli bolesne i dąży za chłopami: «W karczmie jakby z pod ziemi śpiew, tańce, kapela, wesoło, słychać: grzmią śmiechy, krzyki, hulanka, zabawa». Ale niebawem wybucha kłótnia; kiedy jednak rozległy się dźwięki Mazurka Dąbrowskiego, rozmowy i kłótnie «ustały, jak deszcz, kiedy zaświeci pogoda albo gdy kur zapieje złych upiorów harce».

494) *Str. 29.* Na jednej stronie w myślach zatopione starce,

Słuchając znane nuty w milczeniu głębokiem
Spoglądali na młodzież smutnem łzawem okiem,
Dalej chór śpiewał nutę — lecz w tej nucie słowo
Tak dziwnie w ustach brzmiało młodzi śpiewającej,
Tak każdy ton był czuły i wolny i drżący,
Że wziąłbyś hymn wesela za pieśń pogrzebową
Albo za pieśń rozstania i zimnej rozpaczy.
Wacławowi jednemu inaczej się zdało;
Wacławowi jednemu zabrzmiała inaczej:
Bo w myślach, w duszy jego, obudziła ciało,
Ciało z letargu wspomnień wywołała znakiem,
Uczuł, że ma ojczyznę — wspomniał, że Polakiem.
Tak często tonącemu w bezdennej topieli

Rzuć z brzegu nitkę słabą rwącej się kądzieli,
On za nić, jak kotwica za grunt morski, chwyci:
Ale patrz — ledwo sięgnie — wiotkie rwą się nici,
Tak słowo, w dobrej ludziom powiedziane chwili,
Jak trąba archanioła, stworzy ich, czem byli.
«Ojczyzna! — krzyknął Wacław — o dzięki wam, dzięki
«Za znak życia nowego! — póki stanie ręki,
«Ręka do niej należy — póki myśli stanie,
«Myśli jej niechaj będą! — Zabłysło zaranie
«Świateł nowych — Bóg w nowej zabłysnął postaci.
«Nie w księgach Go wynaleźć: On w żywocie braci
«Mieszka, jak w swym kościele, jak w arce przymierza!
«Niebo rodzinne — oto świątyń Jego wieża:
«Ziemia rodzinna — oto budowa kościoła;
«A w piersiach tron jest Jego — w piersiach głos anioła!
«Posłyszałem — uczułem — rozumiem Cię, Boże!
«Chcesz ofiar — ja mój żywot w ofierze położę,
«Przyszły i teraźniejszy — chcę, jak lud na puszczy,
«Łaknąć, byle ojczyźnie tem dopomódz można;
«Każda myśl moja będzie, jako hymn, pobożna,
«Język mój ustom, słowa samej czci poduszczy,
«W modłach noce przepłaczę, dni przemęczę w trudzie:
«Tylko niech kraj mój wolnym — wolni będą ludzie!»

Nagle wchodzi do gospody obcy jakiś człowiek: «Z ubioru zdał się Polak — z wzrostu nie był mały, wytartą miał bekieszę, pas u niej wytarty; przecież śmiech wiecznie prawie do twarzy przyrosły; oczy bystre— włos rudy — nos w górę zadarty». Cisną się około niego chłopi, pytają, skąd przybył. On na to: «Kto tam teraz ciekawy, jak się kto nazywa? Jan, Paweł — Niemiec, Polak — czyż to daje złoto? Imię spasłym nie czyni — więc lepiej z ochotą wypić jeszcze!» Poczem śpiewa «przytłumionym głosem, jak gdyby dla siebie, tak jednak, aby wszyscy słyszeli»: «Gdzie dobrze urodzajna niwa, pop ma litość, król z ludem przyjaźń zobopólną, gdzie wszystko myśleć wolno, wszystko mówić wolno, a sędzia ubogiemu sprawiedliwość przyzna, tam kraj mój — moje imię — rodzina — ojczyzna!» Na pytanie chłopów, gdzież kraj taki: «Czy jest? — odrzekł na to — zapewne kiedy człowiek nigdzie nie wychodzi i życie spędzi między stodołą i chatą, trudno, żeby go znalazł, i wy nie znajdziecie: ale świat jest obszerny, dziwy różne w świecie!... Wy, prawda, biedni ludzie — wy nie wiecie o tym. Dla panów waszych z czoła pracujecie potem, dla drugich — a ci drudzy! — wściekłość mnie pożera! Każdy z nich próżniak, skąpiec, obłudnik, kostera, robi z wami, jak z młynkiem, co mu się podoba — ależ prawda — was święta uczyła osoba, choć świętość więcej grzeszy, niż wy wszyscy razem, że panów słuchać — wiecznym religii rozkazem, że...» W tem miejscu chłopi przerywają Nieznajomemu, nie rozumiejąc dokładnie jego myśli, i proszą go o zaśpiewanie jakiej historyjki.

Korzysta z tego Nieznajomy (w rozumieniu Garczyńskiego — Szatan) i śpiewa piosnkę, w której szydzi z religii i uczuć religijnych chłopa. Spostrzegli się — po niewczasie — starzy, gromada rzuca się na Nieznajomego. Rzuca się i oburzony Wacław z krzykiem: «Kto ci dał moc kupczenia twym nędznym rozumem? Trujesz ludzi... Szatanie czy człowieku!» Lecz szatan znikł. Całe to zajście zastanawia młodego filozofa, odmienia go. Dotychczas marzyciel, unikający ludzi, w samotni miotający się daremnie w konwulsyjnych ruchach myśli na rozwiązanie nierozwiązalnych problemów, wyłącznie zajęty pracą wewnętrzną, a życie puszczający mimo siebie, spostrzega się, że był w szponach własnej niemocy — nieświadomości: nie znał wartości — uczuciowych i nierozłącznych z niemi życiowych pierwiastków. Teraz uświadomienie patryotyczne zwróciło Wacława na pole czynu — walki o kraj. I oto zjawia się w Warszawie (tu się rozpoczyna II-a część poematu) jako konspirator: bierze udział w t. zw. spisku koronacyjnym. Jest obecny na tajnem posiedzeniu spiskowych. «Sternik ich czynów» — to romantyzm w polityce — «zapał i serce». Męka narodu nakazuje zebranym zemstę — wykonanie spisku. Jeden tylko głos popsuł harmonię zgromadzenia. który tonem pesymizmu wytrącił spiskowym broń z ręki. Był to ów Nieznajomy z karczmy, Szatan. Lecz Szatan ten działał nie w imię politycznej rozwagi, lecz w myśli odwrócenia Polaków i Wacława od jakiegobądź czynu. Rzeczywiście, nic nie uradziwszy, spiskowi i Wacław rozchodzą się. Wacławowi towarzyszy Szatan: «Bądźcobądź — ja od czynów odstraszyć go (Wacława) muszę». I czyni to za pomocą sztuki czarnoksięskiej, roztaczając przed oczami Wacława kilka obrazów, przedstawiających polskie społeczeństwo w jaknajgorszem świetle. Obraz pierwszy: rozpacz i śmierć córki, którą ojciec zmusił do poślubienia nikczemnika. Drugi: oficerowie, mażący swój honor nieuczciwą grą w karty Trzeci: banalność życia salonowego (jak w III części «Dziadów»). Czwarty: nieudolni poeci, chcący łatwo na sławę zasłużyć, a pod płaszczykiem wielkich haseł ukrywający pustkę duszy i obojętność względem nieszczęść życiowych. Za takich ludzi nie będzie przecież walczył Wacław: «Raz ciebie proszę jeszcze, raz zaklinam jeszcze, dla miłości ojczyzny, bliźnich i rodziny, zaniechaj przedsięwzięcia — opóźnij swe czyny!» Jakoż Wacław pozostał bezczynny i uciekł przed uwięzieniem z Warszawy, powrócił na wieś i znów pędzi życie samotne. Raz wychodzi wieczorem do ruin zamku, siedliska niegdyś swych dziadów, i tam, jak Konrad Mickiewicza, wygłasza improwizacyę.

495) *Str. 80—83.*

Sen pierzcha przed myślami, jak ptak płochopióry
Przed nagłym strzelca chodem porywa się zdala.
Tak! — czuję — duch mój wyższy nad prawa natury!
On wszechmocnie świat tworzy, on w proch go obala,
Zwierciadli się, gdy zechce, jak w krysztale światło;
W całym świecie — gdy zechce, odbiega porządku,
Inny świat mistrza ręką rzuca sobie na tło,

Bo on jeden bez ciągu, końca i początku!
Brzmią mi w pieśni tajemnej słowa przyjaciela:
«Patrz na tę dumną postać — zarządcą jest świata,
«Milionom śmiercią grozi lub życie udziela,
«Toporem zmiennej chęci głowy ludzkie zmiata,
«Z tych piersi nic nie dobył, z tej przepaści ducha!»
Zrozumiałem cię, bracie, przyjęło się ziarno!
Czuję godność, wszechwładność, człowieczeństwa właści —
Wszystko mi wydrzeć mogą, ducha nie ogarną!
Ciągnij ciało na męki i wymyślaj męki,
Duch w postaci anioła wzbije się do góry,
Jak na łoże z bławatu, spojrzy na tortury;
Dumny kacie! Duch jeden żartuje z twej ręki!
Ojczyzną jego świat jest wielki, niedościgłe
Słońce, gwiazdy dziedzictwem — on odsuwa rygle
Zamku niebios, z niebieskich gmachów rzuca ognie,
On słowem wody morskie w srebrne wały pognie,
On wiatrom tchnienie daje, gór pasma rozciąga;
On sprawił koło czasu, wiek spycha po wieku;
Jemu stanęła ziemia w kształt chwały posąga,
A ty sam, Boże wielki, widzisz się w człowieku!

Co za brzęk? — ha — dwunasta godzina wybiła!
To czas, w którym najtęższa nocnych duchów siła.

Zadrżałem? — ja? — i przed kim? — czym nie wyższy duchem?
Ja, który myśli mojej olbrzymim łańcuchem
Ludzi samych krępuję, jak nędzne robaki?
Ja, który myślą moją, jako ptak nad ptaki,
Wzbijam się w oka mgnieniu, gdzie skrzydło jej niesie?
Chcę — i myśl, jako ołów, przeszłość do dna wierci,
Chcę — w przyszłość strzelam — przyszłość, jako papier, drze się;
Chcę — myślą czas uderzę, czas leci na ćwierci!
Ściganiem rzeszy ziemskich gdy uczucie znużę,
Duch mój do nieba leci błyskiem wyobraźni,
Da znak — i twórczym znakiem wydmie skrzydła chmurze,
Olbrzymią wolą chmurę do burzy rozdraźni,
I sam, na haftowanym rojem błysków tronie
Gdy siądzie — niebo nad nim, ziemia pod nim leży...
Orlé, monarcho ptaków! — czem moc twoich pierzy?
On wiatry nieścignione ujarzmił za konie!!

Dziś przecie — ha — dlaczego tak mi głucho — ciemno?
Ze wszystkich gmachu kątów dym się jakiś wzdyma,
Każda cegła przeszłości rdzawemi oczyma
Spogląda, jakby cały stary wiek był za mną!
Dreszcz mnie zimny przechodzi — to zimne powietrze!
Nic więcej — czemże zresztą przeszłości obrazy?

Niczem! — są to umarłych języków wyrazy,
Którym czas życie dawne i znaczenie zetrze,
Potrzaskanem przez piorun gałęzistem drzewem,
Które było — a teraz wypróchniałe leży,
Strunami — które kiedyś głośnym brzmiały śpiewem,
Dziś ledwie brzęk wydadzą, gdy w nie myśl uderzy!
Teraźniejszy świat tylko jest wielki, jest boski,
Przeszły, przyszły są niczem! — Tak mi rzeźwiej, lepiej,
Duch mój — czuję, jak leci — jak się niebios czepi—
Widzę gwiazdy! — nie gwiazdy — to stworzenia głoski
Pierwsze, które Bóg skreślił — czytam w nich, jak w księdze!
Czytam! czuję — kto mojej zaprzeczy potędze?
Uciekacie? — napróżno — ja za wami pędzę
Na lżejszych myśli skrzydłach — chcę — zrobię was niczem —
Chcę — z wschodu w zachód wszystkie, woli mojej biczem,
Jakoby trzodę błędną, po mlecznym obszarze,
Poprowadzę i w wieczną przepaść was utopię!
Ha — co to jest — gdzie gwiazdy? ludzkie widzę twarze!
Ludzi pełno, miliony, światy przy ich stopie
Leżą, jak sługi wierne, gdy rozkażą pany,
To nie światy — to chmury — jako snop przy snopie,
To nie chmury — zawoje — lśniące się turbany,
Srebrem tkane — na wschodzie rozsypane wkoło.
Ku wam więc wznoszę moje, jak świat, silne czoło!
Niechaj zawój rzeźwiący, jak laurowy wieniec,
Orzeźwi skronie moje! niechaj z nieba rosa
Spadnie tutaj — niech w tęczę zegną się niebiosa
I dotkną czoła mego — potrzebne ochłody!
Nie słuchajcie! jam silny jam w wieku młodzieniec,
W myśli jest dusza stwórcy! — Nie słuchacie pana?
Dobrze, a więc zginiecie — w kroplę mętnej wody
Ścisnę was — albo skinę — i na rozkaz duchy,
Niższe duchy, jak wiatry ostrozębne z rana,
Rozwieją was na strzępki — na pierze — na puchy,
I bez śladu zginiecie! — nie słuchacie jeszcze?
Wy więc duchy nadziemne, sługi mej potęgi,
Posłuszne mi, jak oku abecadła księgi,
Jak sercu czującemu są natchnienia wieszcze...
Was wzywam — tu stawajcie — ziemim prawda synem,
Ale wyższym od innych, bom wolnym człowiekiem.
Mnie piersi macierzyńskie nie karmiły mlekiem;
Męczarniami jam wyrósł — myślą — czuciem — czynem,
I tak, jak Cerber piekło wrzaskiem trójpaszczęki
Obszczekiwał przed laty, stróżem będąc czujnym,
Tak ja was grzmiącą piersią, zaklęciem potrójnem
Wyzywam do stawania — znak daję mej ręki!...

Ha — głosy? — to ich głosy! — jakiś akord dzwonią!
Słucham was! jak dech wiatru na Eolskiej lutni
Tak miłe, ciche głosy — płyńcie, płyńcie duszy
Mocniejsze — palce w biegu jedne drugie gonią,
Wolnieją — skąd ta żałość? — brzmią słabiej i smutniej,
Ledwie czasem strunami ręka lekka ruszy.

Nagle za murami zamku rozlega się śpiew; ostatnia jego zwrotka mówi o szczęściu wędrowca, który nakoniec do ojczyzny swej wrócił. «Dziś weselne (wędrowiec) przywdział szaty, lubi ludzi, góry, kwiaty, bo w ojczyźnie, jak przed laty!»

Str. 85. W ojczyźnie? — kto to wyrzekł? — stójcie — nic już więcej,
Myśli moje się plączą, gdzie jestem? gdzie byłem?
Obrazy krążą jakieś przed okiem zawiłem,
Widzę krew! — głowy lecą ludzi stu tysięcy.
To bracia moi! — gdzie kat? — pomszczę się krzywd braci—
Broni! broni! chcę — muszę — ręka moja dzielna —
Dusza wolna — olbrzymia — wielka — nieśmiertelna —
Gdzie oni? — gdzie ludzkości krwią spryskani kaci?...
Co za orszak żałobny kurzem z ziemi krwawej
Kłębi się i wysuwa — w oczy mi zachodzi?
Wiatr go pędzi — nade mną płaszczem się zawiesza,
Spada — spada już na mnie! — wiatr, jak powiew sławy,
Dawnej, zamilkłej, czuję... przypomnień powodzi.
Tak jasno przy mnie, we mnie przodków wstaje rzesza!
Znam was, duchy zagasłe — ziemia waszą matką,
Niebo ojcem — ha! — błysło gwiazd czystych źrenicą,
W piersiach moich tak lubo — gwiazdy mi tak świecą!
Świećcie, świećcie, — bo serce — bije wolno — rzadko —
Usypiam, jak ta piosnka, śpiew młodzieńca straty:
On w ojczyźnie, jak przed laty.

Głos za oknem. Wacławie!

Był to głos Heleny, siostry-kochanki Wacława. Pomysł tej nienaturalnej miłości powstał pod wpływem «Réné» Chateaubriand'a czy «Manfreda» Byrona. O ile tajemniczość romantyczna Wacława i jego głębia myśli przypominają raczej Manfreda, o tyle zakończenie miłości — podobnej zresztą w zasadniczym tonie do miłości byrońskiego bohatera i jego siostry — przywodzą na myśl uczucie Réné'go — z tą niewielką różnicą, że w utworze francuskim kobieta zwraca uwagę na nienormalność stosunku takiego i zamyka się w klasztorze, u G-go Wacław, niebawem opuszczający ojcowski dom. — Na tem urywa się poemat. «Wacław wyjechał — dokąd? — na świata obszary — krótkim był w pożegnaniu — uściśnienie dłoni, łza w oku, bądźcie zdrowi! — Czyż spełni zamiary? czas okaże — a pióro wieszcza kiedyś odsłoni! jam chciał mu pieśń ostatnią, śpiew nu-

cić podróży! ale, zaledwie myśli skrzydłem się uniosły, wypadło pióro z ręki — bo pod piórem rosły, inne okropne słowa! — i nie śpiewam dłużej».

B) Wspomnienia z czasów wojny narodowej polskiej 1831 r.

(tu wydanie lipskie, 1863).

W rocznicę (dn. 29 listopada).

496) *Str. 173—175.*
Czas przyszedł zwiastowania! — Na całym zachodzie
Okrzyk powstał tryumfu — jako piorun silny.
Był to grzmot bez piorunu! Naród po narodzie
Biorąc hasło Paryża, w nadziei omylnej
Porywał się z letargu — i osłabłe ręce
Ku Zachodowi wznosił z jarzmiącej niewoli.
Próżno! — były to tylko okrzyki dziecięce —
A czyn ich? — z hukiem na dół rzucona kaskada,
Która, czując wysokość, gwałtownie upada,
Ale upadłszy — płynie zmęczona powoli.
Narody oszukane do ziemi przypadły.
Cicho wiały z Zachodu w trzech kolorach wstęgi...
Na północy — w dwuch światach szeroko rozsiadły,
... jeden, z krzykiem gniewu wzniósł berło potęgi
I niem trząsnął — od granic wody lodowatej
Aż do muru chińskiego znak przeleciał pana —
I pięćdziesiąt milionów padło na kolana,
I czołem uderzyły dwa pobratnie światy.
Dał znak drugi — jak wiatrem utoczona śniegu
Lekka bryła na ślepo rośnie coraz wyżej,
Tak wojska państw ogromnych od brzegu do brzegu
Nim się zlały — urosły w trzy kroć sto tysięcy.
I trzy kroć sto tysięcy pan wiedzie nad pany,
I drugie tyle królom wyciśnie po drodze!
I, sześć kroć sto tysięcznych wojsk schwyciwszy wodze,
Popchnie w zachód lud zdepcze — i wtrąci w kajdany.
Czas przyszedł narodzenia! — patrz z Niepokalanej
Ducha świętego sprawą syn wyszedł prawdziwy.
Młodzież go urodziła w uczucia prostocie...
W mgnieniu oka czyn śmiały rozbłyśnięty w dziwy
Zachwiał w mocarzu myśli i wojsk jego krocie,
Orzeł nasz, ludów wszystkich oklaskami wzbity,
Jak owa gwiazda wschodnich królów przewódczyni,
Skrzydłem swym białym świata przeciągnął błękity
I nad ludem swym zawisł, jak lampa w świątyni!

Arką została Polska, wolności przymierzem —
Z niej miało światło wiary rozpłynąć po świecie,
I ludy wszystkie kiedyś wierzyć, jak my wierzym,
Że przemoc upaść musi, gdy dzielnie zechcecie!
Że olbrzyma potrafi zgnieść wolności dziecię!

Cześć więc polskiej młodzieży! jakiej święta Panna
Doznała, kiedy Boga ujęła w ramiona;
Cześć im — niech w wieki późne wybawców imiona
Nieskażone przeniesie stujęzyczna sława!
Pamięć ich łzami ludów niech będzie karmiona!
A my śpiewajmy dzisiaj — hosanna, hosanna
Wolności zbawicielki, Betleem Warszawa!

Czas przyszedł męki świętej! od Niemna do Wisły
Miasta, wioski pożarów płomieniem załysły,
Wróg na nas z knutem przyszedł i z ogniem i z mieczem.
Żony nam zabijano — dzieci — niemowlęta,
Męczenników strumieńmi lała się krew święta,
Biliśmy — złorzeczyli — jak dzisiaj złorzeczem.
Próżno! — napróżno wałem wzrastały mogiły
I trzykroć nasze siły stargały ich siły!
Zwycięzcy, my nie z jednym walczyli narodem...
Z trzech stron czarne przemocy zawiały sztandary
Dwuch królów się złączyło z . . . . . .
I Bóg żądał ofiary — spełnione ofiary!

Bracia moi, — nadzieja! jeśli głosy wieszcze
Nie uwodzą, czas przyjdzie Zmartwychwstania jeszcze.
Przyjdzie czas Wniebowzięcia — laur z krzyża wyrośnie,
Tułacze znów się zbiegną na Pańską Wieczerzę,
Jak kiedyś apostoły Chrystusa, radośnie
My Polskę powitamy! i Polak zabierze
Miejsce między ludami i na siłach dzielny,
Jak dwa razy zrodzony — będzie nieśmiertelny!

C) Sonety wojenne (1833)

(tu wyd. lipskie 1863).

Posterunek na stracenie.

497) *Str. 187.*

«Wy idźcie! Ja z wyborem zostanę młodzieży,
«Duszą naszą i ciałem będziecie zakryci;
«Na znak ogień rozłożym i zapalim wici.
«Teraz idźcie! Niech bęben do marszu uderzy!»

«Jeśli jutro z nas który do was nie przybieży,
«Dajcie na mszę, niech kapłan ołtarze wyświeci
«I za tych modły wzniesie, co w polu zabici!»
Zamilkł — poszli — i ogień błysnął jaśniej — szerzej.

Długo błyskał — żołnierze maszerują drogą —
Znikł — łunę tylko widać, w chmurze malowaną —
Może i oni w niebo przyjęci zostaną?...

Świta. Jeżeli żyją — wnet powrócić mogą.
Przeszedł dzień — przeszło jutro — nowe błysło rano:
Na mszę dajcie! — Zabici — nie widać nikogo!...

Opracował: ST. KUROWSKI.

LXXVI

SŁOWACKI JULIUSZ

(1809—1849)

Najświetniejsza z gwiazd, jakie wraz ze wschodem słońca poezyi polskiej, geniuszu Mickiewicza, zajaśniały, jako świadectwo siły duchowej i żywotności skazanego na zagładę narodu, twórca dramatu polskiego i wieszcz «Króla Ducha», przyszedł na świat, podobnie jak jego wielki poprzednik, na ziemi, zdobytej pracą pługa polskiego i siłą przyciągającą kultury polskiej, na obszarach Wołynia, w krótkotrwałem lecz najświetniejszem ognisku życia umysłowego, jakie w swej wielowiekowej przeszłości wytworzyła ta prowincya w Krzemieńcu, dnia 23 sierpnia star. stylu, a więc 4 września 1809 r. «Kiedyś w Polsce moja rodzinna ziemia, ten to kawałeczek koło Wołynia, który zawsze i oddawna wydawał duchy pełne entuzyazmu — przewiduje mistycznie nastrojony poeta, w liście do Stattlera z r. 1844, — ziemia ta kiedyś stanie się, jako Ateneum Chrystusowej sztuki». Zarówno ojciec poety Euzebiusz, jak i matka, Salomea Januszewska, córka rządcy dóbr, stanowiących własność założonego w r. 1803 liceum krzemienieckiego, pochodzili z rodzin szlacheckich, osiadłych na Wołyniu, lecz nie odgrywających roli wydatniejszej w życiu ziemiańskiem dla braku majątku. Ojciec, wychowaniec szkół miejscowych, własną pracą doszedł do rozwinięcia, przez dość szerokie oczytanie, swych uzdolnień literackich. Obznajmiony z literaturą łacińską, francuską i polską, przekładem «Henryady» Woltera, obok innych prac, dał się poznać Tadeuszowi Czackiemu, który, przy organizacyi liceum krzemienieckiego, powierzył mu w tej szkole stanowisko nauczyciela poezyi i wymowy. Wątłego zdrowia, drażliwy, zgryźliwy, stronił od ludzi, którzy go razili próżnością, zuchwalstwem, fałszem, nikczemnością, a głównie zapewne różnicą w upodobaniach i pojęciach. Matka poety, żywa, towarzyska, uczuciowa, imaginacyjna, równie łatwo wybuchała wesołością, jak i zalewała się łzami, z błahych nieraz powodów. Nie oddając całej swej duszy zajęciom gospodarczym i zwykłym pracom kobiecym, zaczytywała się w romansach francuskich, które wywierały wpływ bardzo silny na jej uczuciowość, wyobraźnię i pojęcia. Zdobyte przez lekturę zasoby pozwalały jej ożywiać zebrania towarzyskie i ujmować sympatycznem obejściem i szczerością każdego, co się do niej zbliżał, czy to takiego samolubnego sybarytę, jak doktor Bécu, czy później tak wykwintną i wybredną duszę, jaką była pani Bobrowa, zarówno lgnącego do kobiet Odyńca, jak i krytycznego w ich ocenie Mickiewicza. Wskutek ogłoszonego przez uniwersytet wileński w r. 1809 konkursu na katedrę wymowy i poezyi, z podaniem za temat do rozprawy: «O sztuce dobrego w języku polskim pisania», Euzebiusz Słowacki, którego praca była uznana za najlepszą, został powołany do Wilna. Przenosiny nastąpiły w r. 1811. W trzy lata po objęciu tego zaszczytnego stanowiska, strawiony piersiową chorobą, zmarł w r. 1814 pracowity i uzdolniony profesor, zostawiając, jako owoc swej działalności, wykłady, ogłoszone w zbiorowem pośmiertnem wydaniu (Wilno, 1824—1826, 4 tomy), i dwie tragedye oryginalne: «Mendog» i «Wanda». Wdowa z pięcioletnim synem przeniosła się teraz do rodziców swych, stale mieszkających w Krzemieńcu. W trzy lata później zjawił się tam, w sierpniu r. 1817, znany wtedy z szerokiej praktyki śród wyższych kół towarzystwa wileńskiego, lekarz, a zarazem profesor uniwersytetu, doktor Bécu, wdowiec, który, upatrzywszy w pani Słowackiej, znanej mu poprzednio, najodpowiedniejszą osobę na opiekunkę dorastających córek i przedstawicielkę domu, w którym bywał świat naukowy i urzędowy stolicy Litwy, oświadczył swoje zamiary. Poparty przez rodziców młodej wdowy, uzyskał dość szybko jej zgodę. Ślub odbył się bezzwłocznie w Krzemieńcu, i przy końcu sierpnia państwo Bécu z ośmioletnim Julkiem przybyli do Wilna.

Pieszczony i kochany przez egzaltowaną matkę, wątły i szczupły, zato rozwinięty duchowo ponad swe lata, chłopiec znalazł w nowem otoczeniu, w przybranych siostrach, dorastających już córkach doktora: Hersylii i Aleksandrze, rywalizujące poniekąd z matką, w pieszczotach i sympatyach, opiekunki. Już w czwartym roku życia drogi rodzicom jedynak unieśmiertelniony został w wizerunku pędzla Rustema, przedstawiającym malca w postaci skrzydlatego Kupidyna. Zaledwie nauczył się czytać na bajkach Krasickiego, dostał «Iliadę» (w przekładzie Dmochowskiego), która tak oczarowała wrażliwą imaginacyę chłopca, że «Eneidy», danej mu następnie, nie mógł doczytać do końca, jako nudnej. Okazałość obrządków kościelnych w katedrze wileńskiej tak silnie oddziaływała na spragnioną niezwykłych obrazów duszę dziecka, że wywołała w niej egzaltacyę uczuć religijnych, połączoną z chwilowem marzeniem o stanie duchownym. Z kolei wyobraźnia młodzieńca zapaliła się do czynów bohaterskich, ale wcześnie już pragnienie sławy pośmiertnej i życia poetycznego przemagało w rojeniach dziesięcio czy dwunastoletniego chłopca. Poeta, wspominając te szczegóły w liście do matki z 25 stycznia 1845 r., odnosi je do dziewią-

tego roku życia, ale zapewne należy nieco przesunąć tę chwilę. Ta przedwczesność rozwoju duchowego umożliwiła mu ukończenie w 15 r. życia szkoły wydziałowej wileńskiej i wstąpienie do uniwersytetu na wydział prawny w r. 1824. Rok ten sprowadził pewną zmianę w losach jego matki przez nagłą śmierć doktora Bécu, zabitego od piorunu we własnem mieszkaniu. Zgon tak niezwykły, o ile wywołał w całem mieście wielkie wrażenie ze względu na podejrzenia o udział zmarłego w komisyi śledczej dla sprawy filareckiej, podejrzenia, unieśmiertelnione przez dzielącego je i piętnującego winowajcę z dantejską plastyką i siłą Mickiewicza, — o tyle w najbliższem otoczeniu zmarłego, nie podejrzewającem stwierdzonej dziś prawdy, a nie żywiącem gorętszych uczuć dla człowieka, którego życie sybaryckie odsuwało od koła rodzinnego, przeszedł bez silniejszego odczucia. Pomyślne warunki materyalne pozwalały pozostałej rodzinie prowadzić dom bez troski o środki, a Juliusz mógł swobodnie odbywać studya uniwersyteckie na wydziale prawnym, wybranym zapewne na życzenie matki, a za radą starszych krewnych i przyjaciół wileńskich. Dla młodzieńca było to rzeczą obojętną. Miał on już świat swój, świat wymarzonych postaci, położeń, wydarzeń, wypełniający mu duszę, żył w nim nie troszcząc się o rzeczywistość tak szarą i biedną. Dla nauki szkolnej, uniwersyteckiej zostawiał otworem tylko przedsionek duszy, w którym gospodarowała pamięć, pozwalająca mu pomyślnie odbywać studya i kończyć uniwersytet w r. 1828 bez spodziewanego «premium», ale zawsze z pierwszym «accessit». Wprawdzie był on studentem w tych smutnych latach, w których Lelewel i Gołuchowski, usunięci od wykładów, przestali zapalać i kształcić dusze młode, a wykłady Grodka i Borowskiego nie obowiązywały go, jako prawnika; wprawdzie i wśród młodzieży osłabł, pod wpływem prześladowań, ruch, któremu dał popęd Zan i koła filareckie: ale mimo to główną przyczyną obojętności młodziana na bodźce umysłowe i społeczne był geniusz wyobraźni, odosobniający i wyłączający z życia koleżeńskiego i społecznego. Z wyjątkiem Ludwika Szpicnagla, z którym zbliżyło go pokrewieństwo dusz marzycielskich, nie wyniósł Juliusz ze szkół i uniwersytetu ani jednego stosunku koleżeńskiego na dalsze lata, ani jednego trwalszego wspomnienia. U Szpicnagla marzycielskość, połączona z nadmierną uczuciowością, sprowadziła katastrofę: samobójstwo; Juliusz w miłości matki, w przyjaźni sióstr przybranych, znajdował zaspokojenie potrzeb serca, które nie ogarniało szerszych kręgów społecznych ni realnych zadań życiowych, a gubiło się w przestworach «siódmego nieba» genialnej wyobraźni. Nienasycony głód tej wyobraźni, nieustająca potrzeba nowych podniet, pokarmów, wrażeń, będzie głównym bodźcem czynów i tworów poety. Myśl i uczucie, czy to narodowe czy religijne, z trudnością i zwolna bardzo będą się rozwijać w jego duszy.

Od ósmego roku życia aż do końca niemal studyów uniwersyteckich głód ten zaspokajała lektura. Iliada, Jerozolima (w przekładzie Piotra Kochanowskiego), rozliczne romanse francuskie i opisy podróży,

odczytywane wspólnie z matką, której bywał lektorem, tragedye francuskie, w które była niewątpliwie zaopatrzona biblioteka ojca, gorącego miłośnika klasyków wieku XVII i pisarzów w. XVIII, współczesne romanse polskie, a obok tego skwapliwie pochłaniane pierwsze twory Mickiewicza, Zaleskiego, Malczewskiego, Goszczyńskiego a wreszcie współcześnie z lekcyami języka angielskiego, poematy Byrona — oto pokarm obfity i różnorodny, na którym kształciła się niezwykła wyobraźnia, przyswajająca instynktowo z dzieł czytanych najświetniejsze, najbarwniejsze i najsilniejsze obrazy i sytuacye. To, co się nam wydaje, przy czytaniu młodzieńczych tworów Słowackiego, naśladownictwem, jest właściwie bezwiedną reprodukcyą nagromadzonych przez lekturę, a przyswojonych na własność duchową materyałów. Bezwiedny artyzm młodej wyobraźni sprawia, iż wybiera ona to wszystko, co jest najlepszego i najpiękniejszego w obrazach, oświetleniu, barwach, gestach, pozach, nastroju, stylu, tylko nie w ideach, myślach przewodnich, na które nie okazuje wrażliwości. Pierwsze utwory Słowackiego są poniekąd antologią tych piękności współczesnej poezyi polskiej. Wypełniwszy niemi duszę, snuje z nich różnobarwne wiązanki, wstęgi, pasy lite, kobierce czarodziejskie, które usiłuje ująć w formy ustalone: poematów, pieśni, dramatów; lecz wątłość podkładu i powiązania pojęciowego, trudność pogodzenia lotnych tworów wyobraźni z granitem, mało znanej i rozumianej rzeczywistości, z wymaganiami normalnej duszy, wywołuje te rażące czytelnika nielogiczności, przeskoki, nieumotywowane sytuacye, czyny, rozwiązania. W objaśnieniach do tragedyi «Mindowe», pisanych niewątpliwie dopiero podczas jej druku, w Paryżu 1832 r., przytacza Słowacki uwagę Cousin'a, z jego Historyi filozofii w. XVIII, iż «Bóg obfitą dłonią rozlał na ludzi nowe zasoby imaginacyi», z czego wnosi młody poeta, iż, wiek ten będzie poetycznym w wypadkach swoich, a skarby imaginacyi, rozsypywane przez poetów, usposobią ludzi do wielkich czynów i przedsięwzięć celem silniejszego popchnięcia dążności ludów». Nie siłą uczuć lub idei, lecz potęgą swej imaginacyi poeta spodziewa się oddziaływać na ludzi i pobudzać do postępu.

Obok lektury, życie samo, ruchliwe i bogate we wrażenia, wynikające z częstych zmian miejsca pobytu i otoczenia, życie, nie przeszkadzające polotowi wyobraźni troską o chleb powszedni, pracą prozaiczną, obowiązkami zawodowymi, rodzinnymi — dostarcza coraz to nowych i coraz bogatszych obrazów i wrażeń. W czasie studyów uniwersyteckich w Wilnie odbywa podróż do Odessy, dla pokrzepienia kąpielami morskiemi wątłego organizmu. Wrażenia tej podróży, w połączeniu z czytanemi wtedy dumkami Zaleskiego, dostarczą później obrazów do «Żmii». Po skończeniu uniwersytetu przenosi się z matką do Krzemieńca. Pani Bécu wydawszy za mąż swe pasierbice (jedna z nich Hersylia wyszła za Januszewskiego, brata przybranej matki), wróciła w rodzinne strony. Juliusz chętnie opuścił Wilno, gdzie współcześnie z zawodami ambicyi młodzieńczej (nieprzyznanie premium uni-

wersyteckiego), rozstał się na zawsze, chłodno i spokojnie wobec ludzi, a z bólem upokorzenia w sercu, z panną Ludwiką Śniadecką, opuszczającą wtedy wraz z ojcem na czas pewien to miasto. Przyjazne stosunki, jakie łączyły rodzinę Jędrzeja Śniadeckiego z domem doktora Bécu, zbliżyły o lat kilka starszą Ludwikę z kochanym tak i pieszczonym przez jej przyjaciółki, córki doktora, Juliuszem, który pod wpływem swej wyobraźni, podsycanej przez ciągłą lekturę, przejmując się rolą zachwycających go bohaterów, wcielając się poniekąd w ich postacie (co zresztą jest dość zwykłem zjawiskiem w wieku dziecinnym), wybrał sobie pannę Ludwikę, wyegzaltowaną przez edukacyę, opartą na romansach francuskich i pismach pani Staël, za partnerkę w odtworzeniu rojeń romantycznych. Choć ona tej roli na seryo grać nie zamierzała, mając serce zajęte miłością dla młodego Korsakowa (syna ówczesnego gubernatora wileńskiego), jednak nie odpychała zapewne naiwnych hołdów, spojrzeń i westchnień chłopca o marzycielskich oczach, pięknem czole, interesującym wyrazie twarzy. Uczucia Słowackiego zostają zawsze w ścisłej zależności od jego wyobraźni, kocha on to jedynie, co wyobraźnię uderza, podnieca, pociąga i dopóty tylko, dopóki trwa ten czar wyobraźni, póki w stosunku poety do danej osoby czy przedmiotu nie zajdzie zmiana, wywołana przez powód błahy nieraz, ale niszczący czy osłabiający urok, jakim wyobraźnia otaczała dany przedmiot. Mickiewicz, którego twory odczytywał z takim zachwytem, wydał mu się śmiesznym, gdy go spotkał w Paryżu na wieczorze u Czartoryskich: «z pomiętym od koszuli kołnierzem i we fraku zasmolonym». Było to jeszcze przed ogłoszeniem trzeciej części «Dziadów», która dała poważniejszy powód do niechęci. Ale kontrast między ognistym Gustawem czy Romeem sonetów erotycznych, bohaterskim Konradem, a tym zaniedbanym w ubiorze, ogniem apostolskim ks. Piotra przeniknionym, poetą-wygnańcem — wydał się dysonansem, rażącym młodzieńca, który wtedy właśnie zdolny był rozumieć i odczuwać Gustawa, czy Don Juana Odeskiego, blizkim był duszą Wallenroda, ale zato obcym i dalekim ideom «Ksiąg Narodu», pokorze ks. Piotra.

Matka poety, żywością swej wyobraźni dzieląc z synem, podczas lektury wspólnej, odbierane wrażenia, interesując się jego młodzieńczemi próbami, wpływała od wczesnego dzieciństwa na jego duszę, ale przyszedł moment, w którym wyobraźnia syna i jego lektura zaczęły iść dalej, wyżej, innemi drogami. Osiadłszy z matką w Krzemieńcu, uzupełnia rozpoczętą w Wilnie naukę języka angielskiego i jednocześnie pochłania poematy Byrona, otwierające duszy młodzieńczej nowe krainy, odpowiadające tak głodowi wyobraźni, która po zerwaniu z Ludwiką, po zawodzie ambicyi studenckiej, przy bezczynnem, jednostajnem życiu małego miasta, zapełnianem drobiazgami stosunków rodzinnych i towarzyskich, nie znajdowała ni w otaczającej rzeczywistości, ni w widokach przyszłości najbliższej żadnego oparcia, ni punktu wyjścia dla tkanki marzeń. Projektowana przez matkę wspólna

podróż kilkomiesięczna do Włoch, wydawała mu się, w obecnym nastroju bajronicznym, śmieszną, upokarzającą, wprost przeciwną rojeniom wyobraźni romantycznej, goniącej za sytuacyami niezwykłemi. «Myślałem o nim (wojażu) — mówi poeta w swoim pamiętniku — jako o poetycznej pustyni, na którą sam, jako poetyczna i ciemna osoba, rzuconym będę... Wszelka zaś poetyczność znikała, skorom pomyślał, że mam podróżować z matką — byłbym wówczas, jak dobroduszna osoba, odprawiająca świętą pielgrzymkę; nic nadspodziewanego, nic dzikiego w mojem życiu». Wynikłe stąd naprężenie w stosunkach ułatwiło i przyspieszyło nieuniknione zresztą rozłączenie. Widząc, we wskazanej mu przez radę familijną służbie rządowej w Warszawie, sposobność zdobycia sobie szerszej widowni dla działalności literackiej i źródło nowych wrażeń, wyjeżdża 15 lutego 1829 r. z Krzemieńca i w dwa dni przybywa do stolicy Królestwa, gdzie, za pośrednictwem Odyńca, zawiązuje stosunki i wchodzi, jako bezpłatny aplikant, do komisyi skarbu, zostającej pod sterem ks. Lubeckiego. Bezpośredni zwierzchnik biurowy młodzieńca, Dominik Lisiecki, tłómacz wielu utworów z dawniejszej i współczesnej literatury francuskiej, okazał się życzliwym dla młodego prawnika, który wkrótce pozawiązywał znajomości w kołach literackich i towarzyskich. Wprawdzie ubogie w piękności przyrody i pomniki kultury miasto i nudna praca nad przepisywaniem referatów biurowych, nie odpowiadały potrzebom duszy goniącej za niezwykłością w życiu i przyrodzie, ale koncentrujący się wtedy w Warszawie rozkwit młodej poezyi, rozwijające się życie umysłowe i polityczne dostarczały coraz nowych bodźców i wrażeń. Nawet unoszące się nad uliczkami Starego miasta i katedrą św. Jana tradycye przeszłości oddziałają na młodą duszę i odbiją się znacznie później w pięknych, mistycznych obrazach, skreślonych w ostatnich latach życia.

W chwili przybycia Słowackiego do Warszawy, wydany w Petersburgu «Konrad Wallenrod» wstrząsał swemi pięknościami i korzył przed geniuszem poety nawet oporne dotąd na wpływ jego dusze. Świeżo ogłoszony «Zamek Kaniowski», bogaty w niezwykłe postacie i położenia, był zapewne dla przybyłego nowością, której piękność zdolny był ocenić lepiej, niż ogół czytelników. Utwory te pochłaniał i przyswajał nie myślą i uczuciem, lecz wyobraźnią głównie. Idea Wallenroda, bogactwo myśli i uczucie patryotyczne, wyrażone po raz pierwszy w dziejach poezyi polskiej, z taką siłą, głębią i pięknością w tym poemacie, nie odbija się w duszy Juliusza, zato olśniewają go sceny miłosne, bajroniczność Konrada, tajemniczość postaci, niezwykłość położeń i kontrasty życia rycerza-mnicha z uczuciami, skrywanemi w głębiach duszy. Aldona, czy to jako naiwna księżniczka, słuchająca przy krosnach opowieści Alfa, czy to jako pustelnica, dzieląca swe uczucia między niebo a tego, który w jej duszy te uczucia rozniecił, wreszcie to tło malownicze życia krzyżackiego, z jego rycersko-zakonną kulturą, tajemnymi trybunałami, ucztami, w przeciwieństwie do prostoty

i dzikości Litwinów, oto skarby spragnionej wyobraźni. W podobny sposób oddziałała na Słowackiego «Grażyna», którą nazywa «śliczną», t. j. czarującą wyobraźnię bogactwem i świeżością obrazów i sytuacyi. Tak samo naturalnie odbije się na tej koncentrującej się w wyobraźni duszy zarówno «Marya», jak «Zamek Kaniowski», «Dumki» i «Rusałki» Zaleskiego. Stąd wynikało to stałe i długotrwałe upodobanie do obrazów i scen z życia i przyrody Wschodu. Jeszcze jako student uniwersytetu snuje na lekcyach prawa rzymskiego sceny poematu wschodniego, z których później powstanie «Arab»; w Krzemieńcu układa plany tragedyi o Mahomecie, zakochanym we własnej córce Fatymie. Miał on być podobny do Manfreda, rozprawiać z duchami. Nie o ideę, lecz o sytuacye niezwykłe, wstrząsające i zdumiewające, chodziło poecie. Rzecz naturalna, iż piękności Sonetów krymskich i erotycznych dostrzeże najpierwszy może z polskich czytelników. Pod wpływem tych sonetów powstaną, najwcześniejsze po «Dumie» z r. 1826, próby młodzieńcze, sonety z r. 1827, uderzające zdolnością świetnej, co do formy i języka, reprodukcyi wrażeń, odniesionych przy czytaniu, podobnie jak «Duma ukraińska» była odtworzeniem, «transkrypcyą» wrażeń, wywartych przez obrazy i nastrój dumek Zaleskiego; «Szanfary» zaś — utworu Mickiewicza pod tymże tytułem. Ten niezwykły stosunek władz duchowych, ta przewaga wyobraźni, podporządkowującej sobie tak uczucie, jak myśl i wolę poety, odbije się zarówno na jego twórczości poetyckiej, jak i na charakterze, tak dobrze na Słowackim-artyście, jak na Słowackim-człowieku, na jego stosunku do Boga, przyrody, ojczyzny, ludzi, rodziny, religii, nauki, przeszłości. Do duszy jego to tylko dostać się może, to tylko pobudza myśl, uczucie, wolę, co poruszy, uderzy wyobraźnię i przez nią zostanie zabarwione, opromienione. Życie ludzkie w swej współczesnej rzeczywistości jest dla niej obojętne, szare, nudne, stąd przemawiają do niej jedynie zjawiska i jednostki, odskakujące niezwykłością położeń, tła, ubioru, gestu, od powszedniości, postacie i tło oryentalne, osobistości, przeciwstawiające się społeczeństwu, charakterem, czynami: Szanfary, Arab, Lambro, Emir Rzewuski, Bielecki. Ponieważ przekształcenie współczesnych faktów przez wyobraźnię (w «Kordyanie» np.) wyda rezultaty artystycznie niezadowalające, przeto zwracać się będzie ona tak chętnie w czasy przedhistoryczne, umożliwiające zupełną swobodę dla twórczości. Przyroda jedna, z otoczenia realnego, będzie miała zawsze jednaki urok dla poety, dzięki nieskończonej rozmaitości i bogactwu niezwykłych, nie barw, lecz blasków i cieni, ciągłej zmienności i płynności pojawów. Podczas gdy na Mickiewicza oddziaływa ona tem, co w niej jest trwałe i wybitne, barwami i plastyką kształtów, dostarcza mu form na wyrażenie stanów uczuciowych i lotu myśli, to Słowackiego czaruje siłą blasków (złoty, srebrny, płomienny) grą odcieni, zmiennością rozpływających i przekształcających się obrazów i zjawisk, odpowiadających zmienności i lotności wyobraźni poety.

Można do jego obrazów odnieść to, co o krajobrazach Turnera,

znanego angielskiego malarza, mówi Robert de la Sizeranne: «Każde jego dzieło powstaje z tego, co w przyrodzie jest niedotykalnem (impalpable), co jest niestałem i niedającem się określić, czego nie można pochwycić, ograniczyć, usunąć». Sam poeta w ocenie «Nocy letniej» Krasińskiego tak się wyraża, mając i swoje utwory na myśli: «Oddech nadzmysłowego świata już jest ujęty w słowa..., szmer niewidzialnego wpływu już gra w harfie poety i wtóruje mu tak, że mimowolnie włosy na głowie powstają — i nie jest to próżna fantasmagorya umysłu, ale wszystkowidzenie serca..., ale przedarcie się śmielszego poety w świat duchów». Upajając się tą grą obrazów, tą pogonią za coraz nowem objawieniem się piękna, obojętnieje stopniowo na swe dawniejsze twory, stanowiące niższe, uboższe szczeble w ewolucyi twórczej wyobraźni; wydają mu się one śmieszne, sztuczne, fałszywe, jako odbicie niższych estetycznie i moralnie stanów duchowych. Mickiewicz, u którego myśl jest źródłem formy, mógł przeciwnie, do końca swej twórczości, czuć się w harmonii z ideami swej młodości i z ich artystycznem wcieleniem w «Romantyczności», «Dziadach», «Konradzie», «Farysie». Muzykalność Słowackiego pod wpływem wyobraźni przybiera również inny zupełnie charakter, niż u Mickiewicza. Gdy u twórcy «Dziadów», «Konrada», Sonetów, melodya, unosząca się ponad wspierającą ją rytmiką wiersza, odtwarza falowanie uczuć, rozczulenia, zachwyty, oburzenia, protesty, wzniesienia i entuzyazmy potężnego serca, to u twórcy «Beniowskiego», «Zborowskiego» i «Króla Ducha» odbijać będzie polot wyobraźni i związane z nim ciągle zmienne nastroje, stąd cechą jej będzie nie melodya, rzadko i na krótko się zjawiająca, ale nie dające się określić i wyrazić muzycznie drgania i dreszcze. O ile wyobraźnia poety zwraca się ku przedmiotom i stosunkom realnym, współczesnym, o ile domiesza «żółci do błękitów», budzi w poecie ludzkie namiętności, o tyle słowom jego towarzyszy muzyka, melodya, osnuta na tonach zwykłej skali dźwięków. W lirykach (Do ***, «Rozłączenie», «Smutno mi Boże») i w lirycznych poematach jak «Ojciec Zadżumionych», «W Szwajcaryi», «Beniowski», muzyka ta ma źródło w sercu, zostającem wprawdzie pod wpływem wyobraźni, ale nasuwane przez tę władzę obrazy i położenia realne, blizkie poecie, budzą w nim uczucia, wspólne z ogółem ludzi i znajdujące oddźwięk w sercach i wyraz muzyczny w kombinacyach melodyjnych, trafiających do dusz. Szczytem muzykalności i melodyi jest cudowny wiersz «Do autora trzech psalmów», jeden z najdoskonalszych utworów Słowackiego. Tam jednak, gdzie wyobraźnia poety, jak to najczęściej bywa, goni za niezwykłością, zatapia się w mrokach przeszłości dziejowej i usiłuje odtwarzać tajemnice świata nadzmysłowego, tam wyrazem muzycznym nastrojów poety, jego dreszczów, wstrząśnień, wybuchów, porywów, będą brzmienia, niemieszczące się w zwykłej skali muzycznej, jako zbyt nizkie lub zbyt wysokie: szmery, szumy, świsty, szelesty, grzmoty, syki. Nowsza muzyka (Wagner, Ryszard Strauss) posiłkuje się nieraz zarówno krańcowymi tonami skali muzycznej, jak i brzmieniami, nie

mieszczącemi się w tej skali, a mającemi odtwarzać niezwykłe nastroje, stany uczuciowe, pod wpływem niezwykłych położeń, wydarzeń, zjawisk. Muzykę szmerów, szeptów, syczeń, zawodzeń, przejął od Słowackiego Wyspiański i nadał jej taką wybitną rolę w spotęgowaniu ekspresyi artystycznej.

Uwzględnienie należyte wpływu wyobraźni na charakter Słowackiego pozwoli wytłómaczyć jego właściwości i rozstrzygnąć spór, jaki o wartość moralną twórcy «Króla Ducha» toczą jego wielbiciele z przeciwnikami.

Rozwój charakteru normalny, pomyślny, rozpoczyna się w człowieku w kole rodzinnem i posuwa się dalej w życiu koleżeńskiem, szkolnem, a następnie pod wpływem zajęć zawodowych, stosunków towarzyskich, społecznych i przemagających w duszy pojęć, uczuć, dążeń. Stopniowe podejmowanie coraz to nowych, trudniejszych i ważniejszych obowiązków, zadań, a więc praca świadoma, chętna, systematyczna, konieczność hamowania naszych osobistych zachceń, upodobań, wstrętów, uwzględnianie praw i potrzeb współtowarzyszów, a jako podstawa czynów i źródło energii moralnej, idea religijna, społeczna, filozoficzna, w związku z budzonem przez nią uczuciem — oto zwykłe, konieczne warunki rozwoju moralnego, tworzenia się charakteru w człowieku.

Warunki, w jakich upływa młodość i krótkie życie Słowackiego, nie sprzyjały temu procesowi, nie dostarczyły mu bodźców i czynników najważniejszych tego procesu, a pobudziły rozwój wyobraźni, która sprawie umoralnienia człowieka więcej szkody, niż pożytku przynieść może, która odwodzi od zadań realnych, celów moralnych życia, i zobojętnia na nie artystę, marzyciela. Podczas gdy Mickiewicz i cały zastęp współczesnych mu młodych poetów, z wyjątkiem Krasińskiego, od wczesnej młodości zmuszeni są własną pracą zdobywać sobie kawałek chleba, walczyć z niedostatkiem, podejmować obowiązki zawodowe, rodzinne, społeczne, Słowacki nie zna ni niedostatku, ni pracy zawodowej (prócz krótkiej i nieuciążliwej aplikacyi urzędniczej w Warszawie), nie pełni ni obowiązków rodzinnych, ni służby społecznej stałej, poza swobodną twórczością artystyczną nie zna trudu, nie dźwiga ciężaru żadnych powinności. W dzieciństwie i młodości, pieszczony i obsługiwany jedynak, w szkołach stroni od związków koleżeńskich wskutek swej duchowej odrębności i poczucia swej wyższości, w dalszem życiu utrzymuje tylko stosunki towarzyskie w kołach, prowadzących próżniacze życie po hotelach i pensyonatach Włoch i Szwajcaryi. Choć sam będzie emigrantem, ale daleki od nędz i ciężarów życia emigracyjnego, dzięki pomocy materyalnej matki i własnej przezorności i praktyczności, której trudnoby się spodziewać u poety, żyjącego w świecie wyobraźni. Uczucia i idee religijne rozbudzą się w nim z całą siłą dopiero w ostatnich latach życia i wtedy wywrą silny wpływ na rozwój charakteru, który nie mógł się urobić w duszy, nie stężałej i okrzepłej pod uderzeniami młota życiowych konieczności i obowiązków, niezahartowanej przez pracę, niedostatek, walkę z popędami i pokusami. Uczucia jego, zarówno religijne jak rodzinne, narodowe, miłosne, są w najściślejszej zależności, co do siły i trwałości, od wyobraźni. Ponieważ najbliższa rzeczywistość rzadko kiedy, tylko w pewnych chwilach niezwykłych, zadowala jego duszę, przeto poeta może kochać z oddalenia jedynie, z oddalenia przestrzeniowego lub czasowego, umożliwiającego swobodne oddziaływanie wszechwładnej w nim wyobraźni. Zarówno miłość dla matki, od której dzieli go przez lat tyle odległość wielkiej przestrzeni i czasu (od chwili rozłączenia), jak i różne chwilowe interesowania się taką Maryą Wodzińską, Moszczeńską, Bobrową, przypomnienia pogrzebanych uczuć młodocianych dla Luwidki Śniadeckiej, wynikły z oddziaływania wyobraźni, przekształcającej i oświetlającej tęczami minione dawno stosunki. Uczucia patryotyczne budzą się w nim także pod wpływem niezwykłości pewnych chwil życia narodowego, pewnych położeń i postaci. Zarówno pierwsze utwory patryotyczne, wywołane przez podniecenie wybuchem 29 listopada, jak «Kordyan», osnuty na wrażeniach z koronacyi Mikołaja I w Warszawie i krążącej tajemniczo wieści o uknowanym jakoby przez spiskowców zamachu, jak «Duma o Rzewuskim», który swym oryentalizmem i tajemniczością zgonu uderzył wyobraźnię poety, stwierdzają, iż zarówno matkę, jak ojczyznę, Boga, jak ludzi mógł Słowacki kochać jedynie przy pośrednictwie wyobraźni, z oddalenia, zacierającego realne szczegóły, a umożliwiającego nadanie tym postaciom i przedmiotom, rysów, położeń, blasków, odpowiadających pragnieniom przemagającej w duszy poety władzy, coraz samodzielniejszej, lotniejszej, subtelniejszej i potężniejszej, urabiającej i naginającej do swych lotów, kaprysów, czarodziejstw, coraz to posłuszniejszy, giętszy i subtelniejszy język. «Zamykam oczy i widzę — i piszę, co widzę», powiada sam poeta o trybie tworzenia swego w Beniowskim (Pieśń VIII, strofa 6).

Idea wszelka, religijna, filozoficzna, społeczna, interesowała o tyle poetę, o ile można z niej było wysnuć pasmo nowych, niezwykłych, uderzających siłą i pięknem obrazów. Uczucie zaś przybierało formę nastroju, którego trwałość i siła zależały od wpływu, jaki na wyobraźnię wywierają w danej chwili obrazy, wysnuwane z pewnej idei, faktu, położenia. W tych nastrojach zmiennych, nieuchwytnych często, szukać trzeba przyczyn i bodźców postępowania, rażącego czy zadziwiającego często tych, którzy przywykli uważać uczucia i przekonania za główne pobudki postępowania ludzi rozwiniętych normalnie, działających świadomie. Gdy uczucia mają swe źródło w głębiach duszy, wiążą się ściśle z pewną ideą i są bodźcem czynów, to nastroje, przeciwnie, wynikają z wpływów zewnętrznych (przyroda, zjawiska życiowe, dzieła sztuki i twory literackie) i, jeżeli nie znajdują przeciwwagi w uczuciach i pojęciach, już rozwiniętych i ustalonych, a za to grunt podatny we wrażliwości i goniącej za niezwykłością wyobraźni, to opanowują duszę, przytłumiając rozwój uczucia, myśli i charakteru, paraliżując je niekiedy. Gdy u Mickiewicza siła uczuć i po-

tęga inteligencyi trzyma na wodzy nastrojowość, którą posługuje się także dla celów artystycznych, gdy u Krasińskiego przewaga nastrojowości ujęta zostanie w karby siłą myśli wyrobionej przez studya i refleksyą, u Słowackiego nastrojowość ta, nie znalazłszy przeciwwagi, stanie się przemagającym stanem duszy. Dopiero w ostatnich latach życia rozszerzenie horyzontu pojęć przez podróże, czytanie, doświadczenie, rozwój i pogłębienie uczuć przez obudzenie się patryotyzmu i religijności, nadadzą tej zmiennej nastrojowości pewien stały ton, barwę i podniosły charakter.

Niezwykłość organizacyi duchowej poety nie pozwala więc do oceny jego charakteru i postępowania stosować zwykłych norm, a każe uwzględnić warunki, nie dopuszczające mu tak czuć, jak większość ludzi czuje, tak patrzeć na świat i tak widzieć przyrodę i ludzi, jak widzą i sądzą światłe, myślące umysły, tak postępować, jak tego wymagamy od kierujących się głosem rozumu i serca, tak tworzyć wreszcie, jak większość dawniejszych i współczesnych mu poetów. W tem leży jego oryginalność, niezwykłość, siła a zarazem źródło jego słabości ludzkich i wad twórczości.

To rozpatrzenie się we właściwościach duchowych poety pozwoli wyjaśnić prosto i łatwo zarówno wszystkie ważniejsze fakty z życia, jak genezę, budowę i artyzm utworów.

Po drobnych, wspomnianych powyżej próbkach wileńskich, w Warszawie dopiero, w latach 1829 i 1830, rozpocznie się stała i ciągła odtąd twórcza praca, oparta na wrażeniach, dostarczanych przez lekturę głównie, ale też i przez życie i obserwacyę przyrody. Nauczywszy się malować, spędzał dnie całe w Krzemieńcu nad «pejzażami». Pierwszym z nich był «Poranek mglisty» na morzu, a więc nastrojowe odbicie wrażeń odeskich. Lektura współczesnych poetów (głównie Mickiewicza i Byrona) w połączeniu z wyrobieniem wyobraźni, rozwijanej i kształconej ciągłą czynnością od dziewiątego roku życia, pozwolą Słowackiemu, już w pierwszych próbach młodzieńczych, osięgnąć wysoką doskonałość formy i odbić nastroje i stany duchowe, właściwe o wiele starszym duszom, wywołane przez dążenia, cierpienia i zawody dojrzalszego wieku. Ta wcześnie tak rozwinięta zdolność wywoływania we własnej duszy nastrojów, przejętych za pośrednictwem lektury, z utworów innych poetów, przeszczepiania obcych stanów duchowych wraz z właściwościami artyzmu i stylu, pozwoli dziewiętnastoletniemu studentowi wileńskiemu w «Szanfarym», odmalować siebie w takiem wyznaniu:

Są w świecie serca, które w młode lata,
Straciwszy szczęście, w samym życia kwiecie,
Nie mogąc w niebo ulecieć ze świata,
Żyją, a przecież nie żyją na świecie;
Lecz, nim śmierć więzy cielesne rozkruszy,
Pomiędzy niebem a ziemią się ważą;

Tworzą świat nowy, świat serca i duszy.
W tym świecie żyją, kochają i marzą.

Wyznanie to, charakteryzujące zarówno chwilowy nastrój, jak i stałe cechy organizacyi duchowej poety, będzie się powtarzało w różnych formach, przez całe życie poety, we wszystkich wybitniejszych jego utworach od «Godziny myśli» do «Króla Ducha». W czasie gorączkowych ataków uporczywej febry, przebywanej w r. 1829 w Warszawie, powstał pomysł napisanego dopiero w r. 1830 «Mnicha». W r. 1829 powstały też: «Hugo» (pod wpływem Wallenroda) i «Mindowe», dramat osnuty na tle dziejów Litwy i stosunków z Krzyżakami. Główna postać, ów wynurzający się z pomroki dziejów, pierwszy władca Litwy, zespolonej jego dziką energią, nosi cechy, które w wyobraźni poety będą stale znamionami nadludzkiej potęgi, imponującej i zdumiewającej wielością i jakością spełnianych gwałtów, zbrodni, zniszczeń, jaskrawemi sprzecznościami uczuć i dążeń nagromadzonych w jednej duszy. Taka postać wstrząsała spragnioną niezwykłości, przeciwieństw i okropności wyobraźnię, wywoływała dreszcz nastrojowy, który poeta chciał dzielić z czytelnikami, ukazując im w duszy bohatera «przepaść rozpaczy i zbrodni» obok miłości dla Litwy i pretensyi, że go «nikt nie kocha». O możliwość i prawdę psychologiczną, czy historyczną, o rozwój charakterów i akcyi mało się troszczy poeta, starając się zawsze z pomysłu swego wydobyć cały ciąg nastrojowych sytuacyi, niezwykłych obrazów.

«Marya Stuart», utworzona w kilka miesięcy po «Mindowem», dawała w dziejowych i kulturalnych stosunkach i cechach epoki bogatszy materyał obrazów i położeń nastrojowych. Wzniecając urodą swą miłość we wszystkich, których pozycya dworska ku niej zbliżała, nie gardząc składanymi jej hołdami, szukając w upojeniu miłosnem zapomnienia o ciężarze korony i niebezpieczeństwach, jakimi wzburzone namiętności religijne ludu groziły jej władzy i życiu, nadawała się lekkomyślna, uczuciowa i słaba królowa szkocka do zgrupowania koło jej postaci całego szeregu obrazów i scen nastrojowych.

Paź-dziecię, Rizzio harfiarz, Botwel tajemniczy, bajroniczny «nadczłowiek», mający «gorzki uśmiech i wzgardę» na «wybladłej twarzy», a w duszy namiętności i żądzę, wielkości zwłaszcza, popychające go do zbrodni, oto partnerzy miłosnych scen, których nastrojowość polega na kontrastach, uniemożliwiających harmonię i wzajemność uczuć. Niedołężny małżonek królowej i górujący nad nim duchowo błazen, astrolog z baśni czarodziejskiej z lunetami, zwróconemi ku niebu w każdem oknie komnaty, i szukający u niego rady kochankowie i politycy, wszystko to postacie z romansów Walter-Skota, baśni czarodziejskich, i własnych wspomnień poety, który, w stosunku pazia-dziecka do Maryi-kobiety, odtwarza swój stosunek do Ludki, a przez usta Rizzia wygłasza swą skargę na obojętną:

Pocóż mam wracać? poco łzy, westchnienia tłumić?
Jedna tu była dusza, zrozumieć mnie mogła
I ta nie zrozumiała, nie chciała zrozumieć.
Odjadę więc samotny... (Akt II, sc. 8).

I ponownie:

Dla serca, trawionego ogniem niewzajemnym,
Potrzeba takich cierpień, niech się karmi łzami.
. . . . . .
Świat jest przepaścią; kto się w przepaść rzucił,
Może nigdy nie wrócić... (Akt III, sc. 7).

W przebiegu akcyi i rozwiązaniu nie chodzi poecie bynajmniej o przeprowadzenie idei jakiejś, o logikę w faktach, o uwydatnienie prawdy moralnej, ale głównie o wrażenie nastrojowe, wstrząśnienie nerwów, nie głębi duszy — opanowanie wyobraźni, nie serc słuchaczów i czytelników. Stąd też nawet zabójstwo Darnleja odgrywa rolę środka do wywołania efektu, nie zaś faktu moralnego. Lampa z kaplicy, użyta przez Botwella dla podpalenia miny, wysadzić mającej w powietrze nieudolnego małżonka królowej, ma nadawać zbrodni rys niezwykłości przez zespolenie świętokradztwa z morderstwem, pospolitość i ohydę faktu przysłonić niepospolitością i świętością narzędzia. Bohaterka dramatu jest w pierwszych aktach słodką, miękką, spokojną, nad krosnami pochyloną lub wsłuchaną w tony harfy Rizzia kobietą, bo takiej potrzeba było poecie do tych położeń, do tych żywych obrazów, w których odtwarza nastroje, wywołane przez fakty własnego życia, i obrazy, napotykane w tworach poetów. Ażeby dla kontrastu przeciwstawić tym scenom i nastrojom inne, wstrząsające niezwykłością położeń, siłą namiętności, okropnością czynów, trzeba było przekształcić charakter bohaterki, dostroić go do tonu dzikich popędów i wypadków, w których będzie uczestniczyła. Krytyka zamiast udowadniać niemożliwość psychiczną nieumotywowanego przewrotu w charakterze, powinna raczej zaznaczyć to, jako objaw wszechwładzy wyobraźni w duszy i artyzmie poety, który nie był zdolny tworzyć zgodnie z pojęciami i wymaganiami ogółu czytelników i większości pisarzów dramatycznych. To od najmłodszych lat rozwijające się w Słowackim upodobanie do niezwykłości, przybierze stopniowo postać jakby kultu, którego przedmiotem będą wytworzone przez wyobraźnię i wyszukiwane w pomroce dziejowej jednostki, znajdujące najwyższe zadowolenie i cel życia w zużywaniu swej dzikiej energii na dręczenie i miażdżenie pogardzanych i nienawidzonych tłumów, przeszkadzających im w osiągnięciu ich niezwykłych, nadludzkich pragnień. «Arab», utworzony w r. 1830, lecz osnuty na pomyśle, zrodzonym na ławkach uniwersyteckich w Wilnie, jest najjaskrawszem odtworzeniem młodzieńczej fazy w rozwoju tego ideału, olśniewającego wyobraźnię poety do końca życia. Zarówno groźny, gnębiący ludzi morem, trzęsieniem ziemi Allah-Jehowa z «Ojca zadżumionych» i potężny mocarz

z «Beniowskiego», jak «Król Duch» w swych wcieleniach w «Popiela» i «Bolesława Śmiałego», są tylko dalszymi przekształceniami rysów, jakie spotykamy w «Mindowem», «Arabie». Wpływ Byrona przyczynił się zapewne do rozwinięcia w duszy poety tego ideału, lecz dlatego jedynie, iż w duszy tej, w wyobraźni poety, tkwił wrodzony popęd do niezwykłości i kontrastu, do wyróżnienia się od pojęć i upodobań otoczenia krańcowością, demonizmem czy anhellizmem, które znajdą swą syntezę niejako w «Królu Duchu». Co się tyczy «Araba», którego niepospolita piękność świadczy o sile przejęcia się przez poetę wcielonemi w główną postać uczuciami i dążeniami, to jest on co do tła i sytuacyi odbiciem wpływu «Farysa» i wrażenia, jakie to arcydzieło wywarło na wyobraźnię Słowackiego. Ta jednak doniosła różnica zachodzi między dwoma jeźdzcami pustyni, że Farys szaloną jazdą potęguje swe siły, których chce użyć dla szczęścia ludzi, podczas gdy Arab czuć się będzie szczęśliwy i spokojny wtedy dopiero, gdy żaden człowiek żywy nie przerwie mu samotności.

«Bielecki», poemat z tegoż czasu pochodzący (wstęp tylko dodany został później w r. 1832) przedstawia właściwie reprodukcyę wrażeń z lektury «Maryi» Malczewskiego, odbicie nastrojów, wywołanych przez uderzające wyobraźnię kontrasty i położenia tego bogatego tak w piękności poematu. Nieznajomość przeszłości, życia wewnętrznego, obyczaju, języka — obojętność dla tej przeszłości, mającej dostarczyć tylko postaci i dekoracyi do seryi obrazów niezwykłych, nadaje poematowi (z wyjątkiem zakończenia) cechy utworu, pisanego przez cudzoziemca, czerpiącego z lichych źródeł ubogie i fałszywe rysy niezrozumiałego mu życia. Malczewskiemu brak wiedzy książkowej zastępuje tradycya domowa, uczucie narodowe, niewystygłe pod pokostem kosmopolityzmu lat późniejszych, wpływem pognębiających ducha cierpień osobistych. Słowacki dopiero później, powoli, zacznie dostrzegać w przeszłości skarby niezwykłych postaci, czynów, wydarzeń, które pociągną wyobraźnię, a za jej pośrednictwem i serce. «Pan Tadeusz», «Opowiadania Soplicy» ukażą mu w całym blasku nieznaną niezrozumiałą, a więc obojętną przeszłość. Pisząc «Bieleckiego», chce on odtworzyć główne momenty «Maryi», tylko ze świetnością akcesoryów, przyćmiewającą pełne plastyki i prawdy obrazy Malczewskiego. Pałac Sieniawskiego w Brzeżanach mógłby rywalizować bogactwem, przepychem, pięknością budowy i urządzenia ze siedzibą Dożów. Biedny zagrodowy szlachcic, Bielecki, jedzie do ślubu ze wspaniałym orszakiem, w świetnej zbroi, a panna młoda ma suknię tak bogatą, strojną w hafty i ozdoby, że mogłaby jej pozazdrościć niejedna można pani. Wytknąć to poecie jako błąd, fałsz, na nic się nie przyda, jeśli przypomnimy sobie, z jakich pobudek i w jakim celu on tworzy. To nie obraz przeszłości, to nie uplastycznienie idei — jak np. Grażyna — ale szereg niezwykłych położeń i budzących różne nastroje obrazów. Cóż rzadszego, osobliwszego, jak położenie Bieleckiego i jego małżonki w chwili, gdy, wracając od ślubu, znajdują na miejscu dworku i gospodar-

stwa, które przed godziną czy dwoma opuścili — tylko świeżo zorane pole. W operach lub baletach spotykamy jedynie takie niespodzianki, jak przekształcenie się uczestników balu maskowego w napastników, zalewających krwią i niszczących pożogą przepych czarodziejski sal, błyszczących przed chwilą barwnością Tycyanowskiego obrazu. Na tle tego obrazu chwila najwyższej rozkoszy w duszy bohatera, rozkoszy dokonanej zemsty, równie wyszukanej i niezwykłej jak doznana krzywda. A wreszcie dla kontrastu — moment przygnębienia, pochylenia zuchwałej głowy pod ciężarem banicyi i klątwy — osamotnienie cmentarne, wyłączenie ze społeczeństwa. Nad pognębionym, niezdolnym przeżyć upadku, czuwa do zgonu jak anioł opiekuńczy Anna, potrzebna tu, jako biała statua grobowa — późniejsza Eloe — rozjaśniająca ponurość tła cmentarnego. Nie możemy z prof. Małeckim dopatrywać w Bieleckim «bohatera staropolskiej tradycyi», ani w Annie przedstawicielki protestu przeciw «bezduszności instytucyi zdolnych tylko potępiać bezwarunkowo». Zarówno «tradycya staropolska», jak i zamiar napiętnowania «bezduszności instytucyi» były przy tworzeniu Bieleckiego o sto mil od duszy twórcy, który szukał, bez względu na czas i miejsce, pomysłów, nadających się do wytworzenia wstrząsających lub kojących, upajających lub drażniących wyobraźnię położeń, ugrupowań, oświetleń.

Spiewakiem uczuć i dążeń narodowych stanie się on, na chwilę wprawdzie tylko, skoro życie narodowe pobudzi jego wyobraźnię niezwykłością wybuchu 29 listopada i całego szeregu wywołanych przez ten wybuch wypadków. Mickiewicz, przebywający w Rzymie, daleki od zachodzących faktów, nietylko przestrzenią, ale powagą dojrzewającego ducha, nastrojem religijnym, milczeć będzie przez cały czas walki. Z grona młodych poetów, którzy pieśnią i czynem poprą wszczęty ruch, najdonośniej, najświetniej zabrzmi głos Słowackiego, który swą «Bogarodzicą», «Kuligiem», «Pieśnią legionu», zajmie stanowisko Tyrteusza polskiego, lecz będzie zdolny jedynie do odegrania tej roli w połowie... Z chwilą, gdy rewolucya przejdzie w fazę wojny, w fazę obrony orężnej praw narodowych, gdy zagrzmią pod Warszawą działa walki grochowskiej, a groza i proza wojny odsłoni się z całym realizmem, polski Tyrteusz znajdzie się w ciężkiem położeniu. Jego wyobraźnia, przerażona zgiełkiem wojennym, taborami rannych, dymem prochu, unoszącym się w powietrzu Warszawy, bezsilna wobec potężnie przemawiającej rzeczywistości, przestanie podniecać i podtrzymywać duszę, w której rozgrywać się będzie niewątpliwie walka między głosem sumienia i rozumu, wskazującym na obowiązek służenia wraz z całą młodzieżą sprawie narodowej, uzupełnienia pieśni Tyrteuszowych czynami, a zdradziecką władczynią, nasuwającą mu teraz w jaskrawych obrazach zarówno grozę, ciężary, cierpienia służby wojennej, jak i spotęgowane następstwa uchylenia się od niej.

»Imaginacya moja, pisze, w jednym z późniejszych (z 27 paźdz. 1833 r.) listów do matki, poeta — jest jedynem źródłem wszystkich

moich nieszczęść i wszelkiego szczęścia na ziemi,... bo prawdziwie, że jestem szczęśliwy często tą władzą twórczą urojonych wypadków». «Ile razy się zetknę z rzeczywistemi rzeczami, opadają mi skrzydła, i jestem smutny, jak gdybym miał umrzeć, albo gniewny», wyznaje w przedmowie do «Lilli Wenedy». Zarówno nagły wyjazd z Warszawy w dniu 8 marca 1831 r., a więc w dziesięć dni po walce grochowskiej, jak i późniejsze, w dalszem życiu, pod różnymi błahymi pozorami, dokonywane zmiany miejsca pobytu, znajdują wytłomaczenie w powyższych wyznaniach poety, który później doszedł do świadomości przemożnego wpływu wyobraźni nietylko na twórczość, ale i na postępowanie [1]). Nie jest to zjawisko rzadkie, owszem częstsze, niż sądzimy, tylko ukryte zarówno dla tych, co zostają pod przemocą wyobraźni, jak i dla otoczenia, nie zdającego sobie sprawy z istotnych pobudek postępowania danej jednostki. Jeżeli zwyczajne dusze, ulegające tym złudzeniom, zasługują w swych błędach na pobłażliwość, to cóż dopiero dusza, obdarzona tak potężną, czarodziejską wyobraźnią; o ileż więcej ma ona prawa do wyrozumiałości na zboczenia, w których odpowiedzialność moralna schodzi do minimum, przy uwzględnieniu zwłaszcza zarówno wątłości delikatnego nerwowego organizmu, jak i pieszczotliwego wychowania. Wyjazd ten zagranicę, upozorowany dawniejszymi zamiarami i życzeniami matki, rozpocznie edukacyę jego duszy a wyobraźni przedewszystkiem, przez dostarczanie w ciągłej zmianie miejsc pobytu, coraz nowych wrażeń, położeń, wpływów — coraz nowych stosunków, podniet duchowych. Postęp duchowy polegać będzie na uszlachetnianiu stopniowem wyobraźni, zwracającej się do coraz wyższych i głębszych sfer życia, do coraz donioślejszych zjawisk, subtelniejszych piękności, pobudzającej więc jednocześnie pracę myśli i rozwój artyzmu i charakteru.

W kilka miesięcy po przybyciu do Drezna, które spokojnymi obrazami swej kultury, pięknej przyrody, ponętą nagromadzonych skarbów sztuki doprowadziło odrazu do równowagi wrażliwą na wpływy otoczenia duszę, zaszedł fakt niespodziany, który sprowadził dla poety pożądany zwrot w jego losach. W niewyjaśniony dotąd sposób został on wybrany na kuryera, mającego przewieźć do Londynu doręczone mu depesze rządu narodowego ówczesnego, i 26 lipca wyruszył bezzwłocznie w drogę. Trudno istotnie by to wymyślić coś bardziej odpowiedniego dla poety, spragnionego wrażeń niezwykłych i kłopoczącego się o rehabilitacyę swej ucieczki z Warszawy, dla młodzieńca, który po raz pierwszy w życiu spełnić ma poważną, pożyteczną dla kraju a łatwą i miłą w wykonaniu posługę. Wyobraźnia naturalnie ubarwi mu i podniesie znaczenie tej usługi, obudzi zanikłe, po chwilowym wybuchu Tyrteuszowym, uczucia narodowe. Jak Kor-

[1]) Sam poeta w «Rozmowie z matką Makryną» potwierdza powyższe wyjaśnienie przyczyn wyjazdu z Warszawy w odpowiedzi swej na zapytanie o «godność» (tytuł): «Godności nie mam, przed męką uciekłem».

dyan, unoszony przez chmurę, pędzi on bez odpoczynku, niesiony przez skrzydlatą wyobraźnię i podniecony przez nią zapał, do olbrzymiego ogniska kultury ludzkiej, z nadzieją, iż pośpiechem swym i gorliwością sprowadzi pomyślniejszy obrót spraw narodowych. Najsilniejszych wrażeń dostarczyła mu przeprawa morska, na specyalnie wynajętym statku, którym niejako sam rozporządzał. O piątej rano 3 sierpnia stanął w Londynie.

Stolica Wielkiej Brytanii zaimponowała mu swą niezwykłą wielkością, nowością, odrębnością obrazów, na jakie złożyły się pomniki świetnej przeszłości i bogate tak życie teraźniejszości. Zapał dla Byrona, nawiązana w czasie miesięcznego pobytu w Londynie znajomość z tworami Szekspira, uprzejmość, jakiej doznał od Anglików, wszystko to złożyło się na jeden ciąg wrażeń przemawiających do spragnionej «niezwykłego» wyobraźni. Gdy w pierwszych dniach września przybył na dłuższy pobyt do Paryża, w którym po Londynie nie znalazł «niezwykłości» i olbrzymiości, a spotkał ludzi i widoki, przypominające mu Warszawę, doznał rozczarowania. Po Szekspirze, dramat i komedya francuska wydały mu się pospolite, liche, głupie, źle grane. Opinię Słowackiego o krajach i ludach, które będzie w swych podróżach poznawał, mają za podstawę wrażenie, odniesione przez wyobraźnię. Nie wnika on, jak Mickiewicz w obrazach Rosyi, w duszę ludu w jej związku z przyrodą, w odbicie tej duszy w pomnikach przeszłości i kulturze, ale chwyta czy to w przyrodzie, czy w pomnikach i życiu samem rysy niezwykłe, uderzające wielkością, tajemniczością, barwnością. Astrolog, mistyk więcej go pociąga, niż uczony; piramidy, ruiny świątyń greckich więcej interesują niż arcydzieła malarstwa i budownictwa włoskiego; widoki piękne więcej, niż wszelkie muzea i zbiory. W widokach tych zaś nie kształty, plastyka, barwy, linie, ale to, co niepochwytne albo niezwykłe, przygniatające: lśniące w lodowych pancerzach olbrzymy alpejskie, tęcze nad wodospadami, gra odcieni i blasków w falach morza czy obłokach. W literaturze znowu pociągają go poeci, obdarzeni bogatą wyobraźnią: Dante, Ariost, Tasso, Calderon, Szekspir, Byron i Mickiewicz. Działają oni na niego przedewszystkiem potęgą indywidualną, dającą im władzę nad duszami, a przytem niezwykłością wprowadzanych do utworów idei, postaci, położeń, tła krajobrazowego czy dziejowego. Ludzie żywi, współcześni, zwyczajni, interesują go tyle tylko, o ile potrzebni mu są w życiu codziennem, o ile odbiera od nich usługi, dowody życzliwości, o ile zresztą zdolni są interesować się jego osobą i utworami. Wyobraźnię zaś zajmować będą albo tajemnicze, niepochwytne postacie praojców z czasów przeddziejowych, albo też również niepochwytne, we mgle przyszłości ukryte pokolenia dalekiej przyszłości, aniołów, pracą ducha poety przetworzonych ze zwykłych zjadaczów chleba. Współcześni rodacy albo są mu obojętni, albo też nawet, jak cała emigracya, wstrętni. Nastrój ówczesny wyobraźni uniemożliwiał bawiącemu w Paryżu poecie zespolenie uczuciowe, łączność pojęć i dążeń, wspólną pracę i współ-

życie z ludźmi, śród których najlepsi i najzasłużeńsi nawet przedstawiali się mu z wysokości bajronicznego poglądu, jako miernoty i karykatury. Przejąwszy od poety angielskiego pozę i pogardliwe traktowanie wielkich mężów własnej ojczyzny, dzielił z nim kult dla Napoleona, ku którego chwale wytworzył naciągniętą syntezę historyozoficzną dziejów ludzkości, naprzód w formie rozprawki, odczytanej na jednem z posiedzeń Towarzystwa literackiego (20 listopada 1832 r.), a następnie streszczonej wierszem i włożonej w usta tajemniczego Doktora w «Kordyanie» (akt III). Ze świeżych wypadków jeden fakt tylko, jedna postać uderzy wyobraźnię zbajronizowaną, a to urokiem Wschodu owiana postać Emira Rzewuskiego, którego zgon pod Daszowem wyśpiewa w znanym wierszu.

W tymże czasie, gdy u Mickiewicza wstrząśnienia cierpiącej za całe społeczeństwo duszy wywołają trzecią część «Dziadów» i «Księgi narodu», wyobraźnia Słowackiego, olśniona pozą Byrona, zapala się do obrazów i położeń, z których powstanie «Żmija», «Lambro» i «Godzina myśli», odtwarzająca własne stany duchowe poety z niedalekiej przeszłości. Ten ostatni utwór jest ważnem i ciekawem świadectwem zaszczepionych tak wcześnie w duszy poety pod wpływem ksiąg Swedenborga i «Dziadów», przekonań, niemal już wierzeń, o związku świata duchów ze światem ziemskim i o ewolucyi ducha, który «przez wieki rozkwita i kona... biorąc kształty różnych tworów. W kwiecie jest duszą woni i treścią kolorów, w człowieku myślą — światłem staje się w aniele, Raz wstępnym pchnięty ruchem, ciągle w Boga płynie». Mamy tu już w zawiązku przyszłą «Genesis z ducha».

Bajronizm poety jest również powierzchowny, wyobraźniowy, jak i jego historyozofia, to też nie trzeba go brać na seryo i szukać w słabym, wrażliwym Julku pokrewieństwa wewnętrznego z geniuszem Byrona, z siłą duchową i fizyczną tego władzcy dusz całej ludzkości ówczesnej, tego Napoleona sfery duchowej, wygnańca, narzucającego z różnych etapów swej tułaczki, swe miłości i nienawiści, duszom spragnionym siły i prawdy uczuć, swobody myśli i czynu. Podziwiając Byrona, wyobraża sobie poeta z młodzieńczą naiwnością wrażliwej duszy, że jest do niego podobnym, że może zająć podobne stanowisko, podobną odegrać rolę. Stąd ten pesymizm w poglądzie na życie, to niedowiarstwo, tak sprzeczne z istotą duszy, skłonnej do mistycyzmu, ta pogarda i lekceważenie ludzi wybitnych, to wysuwanie w utworach własnych miłości i miłostek, sprzeczne z rzeczywistością, z brakiem silniejszych popędów erotycznych w delikatnym organiźmie i stroniącej od rzeczy realnych duszy. Przy tem wszystkiem niezdolność do samokrytyki — tak wcześnie występującej u Mickiewicza — sprawia, iż każdy własny utwór wydaje mu się najlepszym, zadowala, zachwyca go, jako odbicie obrazów, położeń, zajmujących chwilowo wyobraźnię.

Dopiero, stopniowo, kontrast własnych zachwytów z chłodnymi sądami krytyków, obojętnością ogółu, rozwój własnego ducha, otworzą mu oczy na słabość tych utworów i uczynią mniej pochopnym do po-

śpiesznego ogłaszania, a skłonnym do niszczenia nawet, dla ponownego przerobienia. Zniechęcony chłodnem przyjęciem przez emigracyę ogłoszonych w Paryżu utworów, dotknięty boleśnie wprowadzeniem do «Dziadów» drezdeńskich postaci ojczyma (Dra Bécu), którego zgon od piorunu jest przedstawiony, jako kara Boża za udział w prześladowaniach młodzieży wileńskiej — rzuca Słowacki Paryż i w końcu grudnia r. 1832 przybywa na dłuższy pobyt do Szwajcaryi. Osiedla się tu pod Genewą w pensyonacie, utrzymywanym przez panią Pattey, wdowę, mającą dorosłą, niemłodą już córkę Eglantynę. Były to osoby z lepszem wychowaniem, zacne, uczuciowe, które, poznawszy bliżej położenie młodego emigranta, otoczyły go troskliwą opieką. Znalazł poeta to, do czego był przyzwyczajony od dzieciństwa, życzliwe otoczenie kobiece. Przez swoje opiekunki wszedł w towarzystwa szwajcarskie. Poblizka Genewa dostarczała mu w bibliotekach swych lektury kształcącej umysł, a wspaniała przyroda z błękitnym Lemanem i srebrzystymi lodowcami olbrzyma Mont Blanc'u nowych, niezwykłych obrazów.

Wydając swe młodzieńcze twory w Paryżu w 1832 r., a więc w chwili, w której geniusz Mickiewicza zabłysnął największym blaskiem, osięgnął najwyższy stopień twórczej potęgi i doskonałości, nie mógł Słowacki nietylko zachwycić, ale nawet zainteresować nimi czytelników, nie znajdujących w tych poematach i dramatach bliższego związku z własnemi uczuciami i zadaniami życia ówczesnego. Świetne błyski artyzmu, tu i ówdzie porozrzucane, nie przemawiały do mało wykształconego w tym kierunku ogółu. Nie zdoławszy ni dramatami, ni «Żmiją», ni «Lambrem», ni spowiedzią swą w «Godzinie myśli» przełamać obojętności rodaków, wkracza teraz śmiało w dziedzinę, w której panował niepodzielnie ten, co czuł i przemawiał «za miliony», w dziedzinę życia narodowego i jego świeżych pojawów. Chce on potęgą swej wyobraźni odtworzyć w artystycznem przekształceniu świeży dramat dziejowy, podjąć to, do czego nie był zdolnym Mickiewicz, odczuwający tak żywo tę mękę narodu, wobec której «sama odwaga załamuje ręce». To też w «Dziadach» drezdeńskich ogranicza się on do wypadków litewskich z r. 1823 i 24; cierpienia i myśli, wywołane wypadkami r. 1831, przenosi on w duszy Konrada na czas pobytu w więzieniu wileńskiem. Słowacki, nie biorący żadnego udziału ni w związkach, przygotowujących wybuch listopadowy, ni w samej akcyi rewolucyjnej, nie przechodzący całego procesu gorączki konspiratorskiej, uniesień i rozczarowań otwartej walki, chce w dziejach własnej duszy ukazać to, czego w niej nie było, co siłą wyobraźni jedynie stara się wywołać. Utożsamiając siebie z bohaterem, wiążąc początek dramatu z zakończeniem «Godziny myśli», popełniał zmyślenie, które pociągnąć musiało cały szereg dalszych zmyśleń, niejasności, przesuwań faktów i ostatecznie nie dozwoliło ani dokończyć utworu, ani rozwinąć głównej postaci i usprawiedliwić stworzonego dla niej imienia (Kordyan, t. j. posiadaiący wielkie serce). Satyryczno-fantastyczny wstęp

razi niesprawiedliwością, płytkością karykaturalnej charakterystyki najwybitniejszych postaci ówczesnych i sądu o większości uczestników świeżych wypadków. Jest to nieudolne naśladownictwo szyderstwa i piorunów Byrona, na własną rzucanych ojczyznę. Pozą również, naśladownictwem jest popisywanie się ze swem niedowiarstwem, utratą uczuć religijnych na progach papieskich, życiem hulaszczem przy boku pięknej Włoszki, przedwczesnem przeżyciem się i obojętnością na wszystko. Jest jednak tu i cząstka prawdy, są błyski szczerych wynurzeń i wskazówki zwrotu szczęśliwego w rozwoju ducha poety. Oto pod działaniem oddalenia, tęsknoty, dobroczynnego wpływu pobytu w Szwajcaryi zaczyna wyobraźnia opromieniać blaskami zarówno matkę, którą kochać będzie inaczej, idealniej, silniej, niż gdy był przy jej boku, jak i ojczyznę, którą teraz dopiero zaczyna kochać i poznawać. Jednocześnie dochodzi do przekonania, iż jako poeta musi mieć pewien cel, ideał, kierunek wytknięty, że powinien zaprzestać tego uganiania się za obrazami i położeniami niezwykłemi, bez względu na ich związek z życiem narodu, bez względu na tkwiące w nich myśli i uczucia, że bez oparcia się na dążeniach, potrzebach, uczuciach własnego narodu nie znajdzie ni czytelników, ni sławy, ni źródła pomysłów i bodźców twórczości, podsycanej dotąd przez lekturę cudzych utworów. Poeta z całą szczerością przyznaje się do «jaskółczego niepokoju» swej duszy niepewnej, wahającej się co do kierunku twórczości i drogi życia, bo nie widzącej przed sobą celu, nie mającej w swych przekonaniach i uczuciach drogowskazu, nie wiedzącej, jak zużytkować tę potęgę wyobraźni i oparty na niej artyzm. «Niech grom we mnie wali! Niech w tłumie myśli jaką myśl wielką zapali», woła zrozpaczony Kordyan, oczekując z zewnątrz tego, do czego się dochodzi pracą wewnętrzną przedewszystkiem. Rzeczywistość, którą gardzi, od której się odwraca, nie przyjdzie z pomocą poecie, skazanemu na wieczną zależność od własnej wyobraźni. Ona to podsunie rozczarowanemu i znudzonemu «zbieraniem chwastu po skałach życia» Kordyanowi nowe położenie, wznoszące człowieka wyżej, niż tytuł grafa, podboje serc niewieścich, wdrapywanie się na szczyty alpejskie — położenie władcy i kierownika dusz. «Gdyby stanąć na ludzkich myśli piramidzie I przebić czołem przesądów chmurę, I być najwyższą myślą wcieloną!» Ażeby utworzyć taką piramidę uległych, wielbiących dusz, musi Kordyan, «uniesiony przez chmurę», zestąpić z iglicy Mont Blanc'u na piaski Mazowsza i tam czynami i siłą wewnętrzną zdobywać sobie dusze ludzkie, zacząwszy od najgorętszych, najofiarniejszych, grupujących się w tajnych związkach ówczesnych. Ale ta sama przemożna, władnąca nim imaginacya, która mu podsunęła obrazy niezwykłych czynów, poświęceń, sławy pośmiertnej, która go skusiła pięknością i wielkością stanowiska człowieka, wyzwalającego, jak drugi Winkelried, cały naród z niewoli, ta sama imaginacya obezwładnia, paraliżuje gotującego się do czynu Kordyana rojem widziadeł, hallucynacyi, okrążających rozgorączkowanego spiskowca, niezdolnego zachować zimną krew i opa-

nować swe nerwy. Jedyna wstrząsająca prawdą psychiczną scena dramatu to chwila, w której dusza Kordyana pod wpływem nastroju, wywołanego przez tragiczną sytuacyę, toczy walkę z własną wyobraźnią i strachem. Prawda i siła tej sceny pozwalają domyślać się, że poeta odtworzył tu moment z dziejów własnej duszy, że jest to echo szarpań, jakie przechodził przed wyjazdem z Warszawy, wahając się między nasuwającą się moralną koniecznością wstąpienia w szeregi walczących a słabością nerwów i gorączką wyobraźni, odstraszającej wizyami okropności wojny. Prawda, tkwiąca w tej z niepospolitą siłą odtworzonej scenie, tak podziałała na pokrewną duszę Wyspiańskiego, że w swym «Bolesławie Śmiałym» (trzeci akt) rozwinął szerzej i plastyczniej jeszcze hallucynacye Kordyana. Trumna biskupa, przytłaczająca w zakończeniu dramatu króla-zabójcę, ma swój początek w wizyi Kordyana, widzącego tłum trumien, które «wejść muszą» do zamku warszawskiego. Trumny te widział zapewne Słowacki w rzeczywistości, były one wyprawiane z miasta dla poległych pod Grochowem lub też ukazywały się na ulicach Warszawy w pogrzebach zmarłych z ran po szpitalach i domach.

Trudności, jakie przedstawiało przy tworzeniu Kordyana pogodzenie popędów i upodobań wyobraźni ze ścieśniającą ją rzeczywistością, nietylko zniechęciły poetę od opracowania dalszych części zamierzonej trylogii, ale zwróciły ku przedmiotom i widowniom odległym czasem i przestrzenią, a więc odpowiadającym potrzebom duszy, łaknącej niezwykłości i swobody. Oto w marcu 1834 r. zabiera się do tragedyi o Wallasie szkockim rycerzu, pobudzony przez wspomnienia dzieciństwa, albowiem matka, zachęcając go do uczenia się po francusku, obiecywała, że będzie mógł poznać życie Wallasa, zapewne znanego jej z romansu, jednocześnie zaś przy tej rozmowie grała walca sentymentalnego. Brzmienie nazwy (Wallas, Wali lasy), nadające bohaterowi cechę mistycznej postaci, olbrzyma, półboga, w połączeniu z zapamiętaną melodyą walca i rozrzewnieniem, wywołanem przez wspomnienie matki, oto chwila nastrojowa, w której powstał pomysł, nie wykonany zresztą, nowego dramatu. Tak samo znowu nastrój, wywołany przez wieczór tańcujący u pani Wodzińskiej w Genewie, w połączeniu zapewne ze wspomnieniami poematu Byrona i dumki Zaleskiego, podniecił tak wyobraźnię dla postaci i przygód niezwykłych Mazepy, że w ciągu kilkunastu dni utworzył tragedyę «gwałtowno-krwawą» «na której-byś płakała Mamo» — powiada w liście, pisanym wkrótce po skończeniu (9 list. 1834). Tragedyę tę skazał jednak na zniszczenie i dopiero w kilka lat później ponownie i w inny sposób urzeczywistnił swój pomysł. Zespolenie nastrojów, wywołanych przez wspomnienia dzieciństwa, lekturę Kochanowskiego, obrazy i postacie «Snu nocy letniej» i «Makbeta», splątane ze znaną z czasów wileńskich jeszcze balladą Chodźki «Maliny» i olśniewającym wpływem «Świtezianki» — oto zawiązek «Balladyny», utworzonej r. 1834. «Ze wszystkich rzeczy, które dotychczas moja mózgownica urodziła — pi-

sze do matki (18 grudnia 1834) — tragedya ta jest najlepszą, zwłaszcza, że otworzyła mi nową drogę, nowy kraj poetyczny, nie tknięty ludzką stopą, kraj obszerniejszy, niż ta biedna ziemia, bo idealny... Tragedya cała podobna do starej ballady, ułożona tak, jakby ją gmin układał, przeciwna zupełnie prawdzie historycznej, czasem przeciwna podobieństwu do prawdy. Ludzie jednak, starałem się, aby byli prawdziwymi i aby w sercu mieli nasze serca». W przedmowie, zwróconej do autora Irydiona, napisanej później, przy ogłoszeniu drukiem (r. 1839), stwierdza w poczuciu potęgi swego artyzmu, że Balladyna «obdarzona jest siłą wewnętrzną urągania się z tłumu ludzkiego, z porządku i ładu, jakim się wszystko dzieje na świecie», że «niechaj tysiące anachronizmów przerazi śpiących w grobie historyków i kronikarzy», jeżeli to, co poeta stworzył, «ma wewnętrzną siłę żywota... stworzone zostało podług praw boskich», to «Balladyna wbrew rozwadze i historyi zostanie królową polską, a piorun, który spadł na jej chwilowe panowanie, błyśnie i roztworzy mgłę dziejów przeszłości».

Jest to więc wyzwolenie poety-twórcy nietylko z wszelkiej zależności od reguł i wzorów literackich, ale od rzeczywistości, od praw fizycznych, prawdy dziejowej, z zachowaniem tylko prawdy psychologicznej, ograniczonej do uczuć i wyobraźni. A więc w «Balladynie» nie trzeba szukać tragedyi, ale widzieć w niej udramatyzowaną balladę (o czem świadczy nazwa bohaterki), a raczej szereg obrazów i położeń nastrojowych, niezwykłych, fantastycznych, luźno dość powiązanych. Jest to pierwsze dzieło, uwydatniające w całej pełni wdzięk, świeżość i blask artyzmu nowego, jaki geniusz jego twórcy wniósł do poezyi polskiej. Tu po raz pierwszy Słowacki uwydatnił swą indywidualność artystyczną, to zespolenie tak szczęśliwe ariostycznego uśmiechu z szekspirowską fantazyą, z subtelną uczuciowością, a nawet prawdą i realizmem postaci. Nie w patetycznych okrzykach Kordyana, lecz w tej woni przyrody polskiej i życia wiejskiego, jaką tchnie ten utwór, w tych echach fujarki ludowej, pieśni Karpińskiego («Filon i Laura»), ballad Mickiewicza (To lubię, Świtezianka, Lilie) odzywa się po raz pierwszy u Słowackiego ciepło miłości i tęsknoty za ziemią ojczystą. Pierwsze dwa akty «Balladyny», utrzymane tak szczęśliwie w ariostyczno-balladowym tonie i nastroju, czarują bogactwem artyzmu, ujmują tą ludowo-dziecięcą naiwnością i szczerością, z jaką poeta przesuwa przed naszemi oczami wysnute ze swej wyobraźni sceny. W dalszych aktach, zniewolony wymaganiami wybranej dla przedmiotu formy, podążając za Szekspirem, chce osięgnąć i prześcignąć tragiczność «Makbeta», «tej piramidy zbrodni», wychodzi więc ze sfery najodpowiedniejszej dla swego artyzmu i party pędem tego c r e s c e n d o zbrodniczości, dla rozwiązania sytuacyi, powikłanej przez mnogość wprowadzonych postaci i brak w tych postaciach charakterów i celów jasno zarysowanych — posługiwać się musi rozcinaniem splątanych węzłów przez uśmiercanie, kolejno, związanych z losami Balladyny osób i przerwanie pasma tych niepotrzebnych, wstrętnych zbrodni, piorunem, niebios po-

walającym zbrodniarkę. Niesmaczny epilog, wyszydzający Lelewela (dziejopis Wawel), przypomina niefortunny prolog «Kordyana».

Przypisując poecie zamiar przeprowadzenia w postaci Balladyny genezy zbrodni, jej zarodu, rozwielmożnienia się w zakresie woli człowieka i jej następstw nieuniknionych, staje Małecki w sprzeczności z tem, co sam poeta mówi o swym utworze, narzuca zamiary i myśli, o których Słowackiemu się nie śniło.

Tak przywykliśmy śledzić w każdym utworze dramatycznym dążność moralną autora, uwydatniającą się w rozwoju charakterów i biegu akcyi, że trudno się nam oswoić z myślą, że w «Balladynie» i innych dramatach Słowackiego szukać trzeba tego tylko, co twórca chciał wyrazić, co ze swej duszy w nie włożył, co zamierzał przez nie osięgnąć. Upajając się od wczesnej młodości nastrojami, wywoływanymi przez niezwykłe postacie, niezwykłe czyny i położenia, niezwykły zbieg wydarzeń, uderzające kontrasty lub czarujące harmonie, stara się przez wprowadzenie odpowiadających tym warunkom postaci, przez odpowiedni dla tych celów rozwój akcyi, podzielić się z czytelnikami własnymi nastrojami, oczarować, olśnić lub wstrząsnąć nimi. O tworzeniu charakterów, udowadnianiu pewnych prawd, nauczaniu, nie myślał wcale. Nic łatwiejszego więc, jak, sądząc jego tragedye skalą zwykłych wymagań i ustalonych schematów, wytknąć rażące błędy, nielogiczności, sprzeczności w rozwoju charakterów, niepodobieństwa, ale tą drogą nie osiągniemy celu, nie poznamy istoty geniuszu poety, istoty piękna, zawartego w jego tworach. Jak Mickiewicz w zamierzonem uzupełnieniu «Dziadów», dla przygotowania ich do przedstawienia na scenie, nazwał je «widowiskiem», nie mogąc podciągnąć pod żadną z dotychczasowych form dramatu, tak i tragedye Słowackiego są właściwie «widowiskami», fantasmagoryami, romansami fantastycznymi, mającymi działać przedewszystkiem na wyobraźnię, wywoływać rozliczne, nowe, rzadkie nastroje i tą drogą, pośrednio dopiero, oddziaływać na uczucia, odmawiając stłumionej, sparaliżowanej, przez niezwykłość wrażeń, myśli, prawa udziału w tej uczcie duchowej.

Zarówno rosnąca z latami tęsknota za krajem, jak wpływ, wywarty przez obrazy ogłoszonego świeżo «Pana Tadeusza», rozczytywanie się w przysłanych z domu poezyach Kochanowskiego i przekładzie «Jerozolimy» przez Piotra Kochanowskiego, budzenie się nastroju religijnego pod wpływem Biblii i studyów nad Dantem, wszystko to stopniowo otwierać będzie przed wyobraźnią poety nowe widnokręgi, wskazywać nowe kierunki twórczości i budzić poważniejsze i coraz to więcej uczuciem narodowem zabarwione nastroje i pomysły. W r. 1835 powstanie świetny, tylko niewykończony, a o wielkim postępie w rozwoju twórczości świadczący dramat «Horsztyński» i rozpocznie poeta pracę nad, w dantejskim nastroju pomyślanym, i w dantejską tercynę ujętym, ale po zaczęciu zaniechanym, utworem p. t. «Posielenie», w którym zamierzał odtworzyć w szeregu nastrojowych obrazów życie wygnańców polskich na Sybirze. Myśl ta później, w inną formę ujęta, urzeczywistnioną zostanie w «Anhelli'm».

We wspomnianym powyżej dramacie, któremu tytuł nadał, z domysłu jedynie, prof. Małecki, w wydaniu pośmiertnem fragmentów, treść stanowi, na tragicznem tle wypadków z r. 1794 osnuta, tragiczna sytuacya, wynikająca ze stosunku Szczęsnego Kossakowskiego, szlachetnego marzyciela, zwątpiałego, chwiejnego, do ojca Hetmana, znanego Targowiczanina, i z jego miłości dla Salomei, młodej, pięknej, dobrej małżonki starego konfederata barskiego (Horsztyńskiego), oślepionego przez żołnierzy Drewicza. Otoczenie, wśród którego żyje i działa ten Hamlet polski, scharakteryzowane, na przemiany, to z humorem szekspirowskim, to z palącą ironią, cechującą rysy obozu arystokratycznego w «Nieboskiej», której wpływ odbija się w bardzo wielu scenach utworu.

W cichem życiu genewskiem zajdą tymczasem wydarzenia, małoznaczące same przez się, ale zasługujące na wspomnienie przez to, iż wywarły wpływ na dalsze losy Słowackiego, dostarczyły mu obrazów i bodźców późniejszej twórczości. Znana już dawniej poecie pani Wodzińska, żona właściciela dóbr na Kujawach, przebywająca dla edukacyi córek w Genewie, zamieszkała, przed ostatecznym powrotem do kraju, na czas jakiś w pensyonacie pani Pattey, co dało powód do zbliżenia się między poetą a panną Maryą Wodzińską, zbliżenia naturalnego bardzo u współrodaków, na obczyźnie, pod jednym dachem przebywających. Już w poprzednim roku (1834) wspólna wycieczka kilkonastodniowa po Szwajcaryi, odbyta z tą rodziną, dała początek temu zbliżeniu, które teraz odbiło się boleśnie w sercu panny Eglantyny, żywiącej dla poety polskiego coś więcej nad życzliwość. Słowacki, odbierający od swych szwajcarskich opiekunek liczne dowody przyjaźni i pomocy w potrzebie, czuł się w kłopotliwem położeniu, które w jego wrażliwej wyobraźni przedstawiło się ze spotęgowaną jaskrawością. Nie czekając więc na wyjazd pani W. do kraju, opuszcza, wzburzony, pensyonat pani Pattey i przenosi się w lecie r. 1835 do Veytoux, cichej wioski nad Lemanem, gdzie spędza trzy miesiące, w samotności, śród wspaniałej przyrody, ale obcych, obojętnych ludzi, zapełniając czas lekturą (Byron i Szekspir) i rozmyślaniami. Rozdrażnienie, niesłuszne zresztą, na Eglantynę, w połączeniu z rosnącą, po rozłączeniu się, wyobraźniową tęsknotą po Maryi Wodzińskiej, odbiło się w znanych powszechnie pięknych tak, lirycznych wynurzeniach samotnika («Przekleństwo do ***» i «Rozłączenie»). W jesieni, zapomniawszy o urojonych urazach, wraca poeta do swego genewskiego pokoiku, «przyjęty, jak syn», i spędza tam zimę z r. 1835 na 1836. Jeszcze w maju r. 1835 otrzymał z kraju wiadomość, że wujostwo Januszewscy wybierają się w dłuższą podróż do Włoch i zapraszają go na towarzysza. Zamiar ten doprowadzony będzie do skutku dopiero w początkach r. 1836; z tego powodu Juliusz, po trzyletnim pobycie, opuszcza tak gościnną dla niego Szwajcaryę i rozpoczyna nowy okres życia, najkorzystniejszy dla rozwoju jego twórczości, bo najbogatszy we wrażenia

świeże, niezwykłe, kształcące, potęgujące wyobraźnią, ten najważniejszy czynnik jego artyzmu.

Opuściwszy w lutym r. 1836 Szwajcaryę, obrał on drogę na Marsylię, z której parowcem przez Liworno przybył do Civita Vecchia, a stamtąd do Rzymu, gdzie czekali na niego Januszewscy. Spędził tu z nimi trzy miesiące, od marca do końca maja. Ze znajomości, jakie porobił śród bawiących w Rzymie Polaków, najważniejszą była przyjaźń, nawiązana z Zygmuntem Krasińskim, spędzającym tu zwykle zimy. Młodszy o trzy lata od Juliusza, ale dojrzalszy rozległem wykształceniem i wyrobieniem życiowem, twórca «Nieboskiej» i «Irydyona», pierwszy z ludzi zajrzał do wnętrza duszy twórcy «Balladyny», poznał i ocenił całą świetność i bogactwo jej artyzmu. Tem pozyskał jego ufność i utorował drogę swemu wpływowi na kierunek dalszej twórczości. Przez czerwiec, lipiec i sierpień przebywa Słowacki w Neapolu i Sorrento, gdzie, odłączywszy się od wujostwa, spędza cały miesiąc w zupełnej samotności. Tu prawdopodobnie powstały: «W Szwajcaryi» i «Wacław». Brak funduszów nie pozwalał na dalsze wycieczki po Włoszech, nie mógł poeta nawet odprowadzić do Florencyi powracających do kraju Januszewskich. Tymczasem niespodzianie zjawiają się w Neapolu znajomi dobrzy z Rzymu, Zenon Brzozowski i dwaj Hołyńscy, z propozycyą wspólnej podróży na Wschód. Aleksander Hołyński dostarczył zakłopotanemu potrzebnego na drogę funduszu, usuwając przez to jedyną przeszkodę do uskutecznienia zamiaru.

Odpłynąwszy z Neapolu 24 sierpnia r. 1836, przez Otranto, Korfu, przybył poeta do Aten. Grecya, pełna «ruin przecudownych», większe zrobiła na nim wrażenie, niż Rzym; ruiny Egiptu przyćmiły znowu wrażenie ruin greckich. Dnia 22 października wylądował poeta w Aleksandryi wraz z Brzozowskim, a 6 listopada puścił się ze swym towarzyszem na miesięczną wycieczkę łódką po Nilu, goniąc za wyprzedzającymi ich Hołyńskimi, z którymi spotkał się 19 listopada. Dotarłszy do Nubii, zwiedziwszy Teby i wszystkie ważniejsze po drodze spotykane przedwieczne pomniki, wrócili 10 grudnia do Kairu i po pięciodniowym odpoczynku, zaopatrzywszy się w namiot i wielbłądy, puścili się z najętymi beduinami przez pustynię do Gazy. Po ośmiodniowej podróży dotarli do El-Arish, gdzie wypadło odbyć pod namiotem dwunastodniową kwarantannę. Następnie przez Jafę i Gazę, nie zatrzymując się dłużej, dążyli do Jerozolimy, w której stanęli 13 stycznia 1837 r., wieczorem. Noc z 14 na 15 stycznia spędził Słowacki, obyczajem pielgrzymów, u grobu Chrystusa. «O godzinie 7 wieczorem zamknięto kościół, zostałem sam i rzuciłem się z wielkim płaczem na kamień grobu. Nade mną płonęło 43 lamp, miałem biblię, którą czytałem do 11 w nocy», tak opisuje te chwile w liście do matki, pisanym w miesiąc potem z Bajrutu. Zwiedził następnie konno wszystkie pamiętniejsze miejsca Palestyny: Betleem, Jeryho, dolinę Jozafata, Nazaret, Tyberyadę, morze Martwe, jezioro Genezaret, dotarł do Damaszku i, przebywszy uśnieżony Antyliban, zwiedził ruiny Bal-

beku i przez śniegi Libanu dotarł do krainy wiosny, Syryi nadbrzeżnej.

Brzozowski opuścił poetę, udając się przez Konstantynopol do domu, Słowacki zaś wrócił w góry Libanu i tam spędził 45 dni «niezabawnego życia» w klasztorze syryjskim, ormiańskim, życzliwie goszczony przez dobrych zakonników. Rzeczywistość nie ziściła tu obietnicy niezwykłych nastrojów wyobraźni. Podczas spędzonych w klasztorze świąt wielkanocnych odbył, z wielkiem wzruszeniem, przed bawiącym tam Jezuitą, spowiedź z całego życia. W początkach kwietnia przybył do Bajrutu i tu spędził około 40 dni, oczekując na okręt. Nudy oczekiwania umilało mu towarzystwo przybyłego z Jerozolimy Aleksandra Hołyńskiego, od którego odbierał dowody szczerego uwielbienia i przyjaźni. Wypłynąwszy w połowie czerwca z Bajrutu, wylądował 17 czerwca w Liworno, gdzie musiał odbyć trzytygodniową kwarantannę.

Po piętnastomiesięcznej uczcie wrażeń, obrazów coraz innych, coraz niezwyklejszych, powrót do życia rzeczywistego, normalnego wywołać musiał przygnębiające wrażenie. «Teraz mi Europa ciemną się wydaje. Poczerniały domy, zgęstniało powietrze — na zwierciadło marzeń ktoś chuchnął i zamglił szkło», skarży się poeta w liście z 24 listopada 1837 r. Od połowy lipca zamieszkał on stale w nieznanej mu dotąd Florencyi, która, mimo swych skarbów sztuki i piękności położenia, nie budziła w nim zajęcia. Tęsknił za Genewą, dokąd go zapraszano listownie, a zamyślał o Paryżu, zamierzając tam ogłosić cały szereg w części wykończonych, a w części zamierzanych i naszkicowanych w duszy utworów. «Wojaż, pisał poeta w jednym z dawniejszych listów, wiele daje wyobrażeń, szkoda tylko, iż wszystko ukazuje mniej pięknem, jak było w imaginacyi. I potem zostają w pamięci dwa obrazy: jeden taki, jaki być powinien, oczami wymalowany; drugi piękniejszy, dawniej utworzony przez imaginacyę. Kiedyś utworzy się trzeci — najpiękniejszy — z imaginacyi i z sennego przypomnienia i połączy w sobie wszystko najpiękniejsze obu obrazów». Spostrzeżenie to wyjaśnia genezę utworów Słowackiego, w których spotykamy najczęściej takie zespolenie, sennego jakby odbicia wrażeń rzeczywistych z rojeniami imaginacyi, tworzącej pod wpływem nastroju, wywołanego przez wrażenia rzeczywiste lub lekturę.

Pominąwszy niewielki poczet drobnych poezyi (z nich najważniejszy «List do H.»), w których odbiły się bezpośrednio nastroje, wrażenia i rzadkie chwile czystego, prostego, wyzwolonego z pod tyranii wyobraźni uczucia («Smutno mi Boże»), jeden tylko większy nieco, niepospolitej wartości utwór powstał w ciągu podróży, zapewne w celi klasztoru na Libanie; jest to znany, najpopularniejszy, obok «Szwajcaryi» poemat Słowackiego: «Ojciec Zadżumionych». W rozbiorach tego utworu wysuwane bywa zwykle, jako główny motyw, współczucie dla cierpień nieszczęśliwego ojca, pod wpływem opowieści o losach Araba, odbywającego z rodziną kwarantannę w tymże

miejscu co i poeta. Rzeczywistym bodźcem, myślą, a raczej postacią, unoszącą się nad tym utworem i budzącą w poecie nastrój, którym chciał się podzielić z czytelnikami, jest to, niszczycielską potęgą, objawiający się światu Jehowa-Allah, przemawiający tą siłą niszczenia silniej do wyobraźni Słowackiego, niż innymi atrybutami Istoty najwyższej. Świadczy o tem znana charakterystyka Boga poety w «Beniowskim», stwierdza to zresztą stałe upodobanie, rodzaj kultu dla potężnych niszczycieli i dręczycieli ziemskich, odbijające się w licznych kreacyach Słowackiego od Mindowego do Króla Ducha. Opisana w przedmowie do «Ojca Zadżumionych», burza gwałtowna w nocy Bożego Narodzenia, którą drżący z przerażenia wędrowiec obserwował ze swego namiotu, współczesne z tem trzęsienie ziemi w Palestynie, które zburzyło Tyberyadę i pozbawiło życia 500 ludzi, w połączeniu z pustoszącą tę okolicę zarazą i z opowiedzianą świeżą historyą nieszczęśliwego Araba, przedstawiły się podnieconej wyobraźni poety, jako znaki widome potęgi groźnego Jehowy, który kiedyś w tych stronach karał ludzi potopem, deszczem ognistym i śród gromów błyskawic objawiał swą wolę. Gdy przygnieciony nawałem ciosów ojciec zwraca się do Allaha z modlitwą rozpaczliwą, nie trzeba w tem widzieć ironii czy powątpiewania o istnieniu i sprawiedliwości Bożej, jak w «Trenach» Kochanowskiego, ale ukorzenie się fanatycznego czciciela Allaha przed jego potęgą gniewną, imponującą stokroć więcej wyobraźni poety, niż pojęcie chrześcijańskie Boga, sprawiedliwego, opatrznego, Ojca dobrotliwego. Drugim motywem pociągającym Słowackiego była niezwykłość położenia człowieka tracącego kolejno wszystkich mu najbliższych i najdroższych, osamotnionego wśród pustyni.

Wyobraźnia poety poprzestać tu musiała na niezwykłej rzeczywistości, wobec której czuła się bezsilną, stąd ta prawda i realizm opowieści, który powtórzy się ponownie w podobnych warunkach w «Rozmowie z matką Makryną». I w jednym i w drugim przypadku poeta czekać nie będzie na stopniowe zlanie się rysów rzeczywistych z obrazem imaginacyjnym, lecz utworzy swą opowieść pod bezpośredniem wrażeniem. Dla Kochanowskiego jedną z pobudek wypowiedzenia się w Trenach jest niezwykły stopień miłości i żalu ojcowskiego, jaki odczuwał («Żaden ojciec dziecięcia bardziej nie żałował»), i zachwiana przez otrzymany cios wiara w sprawiedliwość i dobroć Bożą; dla Słowackiego — niezwykłość położenia, osamotnionego przez utratę całej rodziny ojca, a jednocześnie niezwykłość objawu potęgi niszczycielskiej Jehowy-Allaha, stwierdzającej jego wszechmoc. Nie porównywać więc z Trenami, ale przeciwstawiać im należy ten utwór Słowackiego, jako kontrast, mimo pozornego podobieństwa.

Nie ogłoszony za życia, bo nie wykończony poemat «Podróż na Wschód» był właściwie jakby dziennikiem podróży, notującym z bajroniczną pozą różne drobiazgi i nastroje. Jest to jakby pianka wrażeń przelotnych, podczas gdy silniejsze i głębsze, później dopiero, przekształcone w duszy poety, wejdą w skład różnych utworów. Niekiedy jednak wra-

żenia odbierane, spotkawszy w duszy poety gotowe skojarzenia z nagromadzonymi dawniej obrazami i nastrojami, dawały początek wyższej wartości urywkom. Obok «Smutno mi Boże» i innych, najwybitniejszym i stąd wydzielonym z niewykończonej «Podróży», jest znany wiersz «Grób Agamemnona», w którym przyjęte od Krasińskiego (w czasie rzymskich stosunków) dosadne i szorstkie sądy o szlachcie polskiej i przeszłości narodowej przedstawiły się w tak jaskrawem przeciwieństwie z postaciami i scenami bohaterskiemi Grecyi starożytnej. Estetyczny kontrast dwóch kultur podniecał Słowackiego, nie posiadającego należytej znajomości dziejów i myślowego uzdolnienia do wydania o tem sądu, i wywołał jaskrawo zobrazowane porównanie i oparte na nim, świetnie wypowiedziane, ale nie dające sie uzasadnić wnioski. Zresztą zarówno autor tych sądów, jak i przyoblekający je w formy poetyczne Słowacki, w krótkim czasie zaczną głosić wprost przeciwne zdania, będą uwielbiać, apoteozować tę przeszłość szlachecką, w tem nawet, co miała najgorszego (Liberum veto, anarchizm). Świadczy o tem, co do Krasińskiego, Przedświt i Psalmy, a co do Słowackiego dalszy ciąg Beniowskiego, Zborowski, Król Duch. Młodych, wrażliwych na piękne formy, poddających się łatwo urokowi roztoczonych przez poetę niezwykłych obrazów, czarowi pełnego siły języka, olśniewać będzie długo jeszcze zarówno «dusza anielska, więziona w czerepie rubasznym» i «Dejaniry paląca koszula», jak i ta nowa Polska, «nagością bezczelna, nie zawstydzona niczem — nieśmiertelna», mająca «z piorunów ręce i wieniec i gardzący śmiercią wzrok». Co się pod tymi obrazami i frazesami kryje, jaką wyrażają one prawdę, o to wielbiciele i wielbicielki się nie pytają, sam nastrój, samo podniecenie im wystarcza, zachwycają się pięknością, siłą słowa i grą zmieniających się obrazów. Na to zgoda. Ale naiwniejsze dusze biorą te frazesy patetyczne za głęboką syntezę przeszłości, za wielkie, świeże myśli i w tem tkwi zło i szkoda.

Łatwość, z jaką, pod wpływem warunków zewnętrznych, zmieniały się nastroje, a z nimi uczucia i pojęcia poety, pozwoliła mu przejść w niedługim przeciągu czasu, zapewne podczas pobytu w klasztorze syryjskim, z roli szorstkiego karciciela społeczeństwa na stanowisko cichej ofiary, smutnego, cierpiącego za błędy współrodaków anioła — Anhellego (Angellos greckie). Z pierwotnego pomysłu poematu, mającego odtwarzać piekło życia polskiego, po którem wędruje poeta, pod przewodnictwem Dantego, wyłoniły się dwa odrębne utwory «Anhelli» i «Wędrówka Dantyszka po piekle». Pierwszy odbił w sobie nastrój uczuciowy, poniekąd religijny, duszy przejętej, pod wpływem pielgrzymki po Ziemi świętej, szczytnością ofiary i pragnącej dla siebie tego zaszczytu, drugi, pisany we Florencyi, pod wpływem Piekła dantejskiego i plastyki genialnej jego obrazów nieśmiertelnych, odbija nastrój patryotyczny. Pod wpływem włoskiego mistrza, poeta chce także być karcicielem wrogów ojczyzny i mścicielem jej krzywd. Ale brak mu do tego danych.

Najsilniejsze i najpiękniejsze wybuchy uczucia patryotycznego w dedykacyi utworu Warszawie i w zakończeniu («Myśmy z twojego zrobili nazwiska pacierz, co płacze, i piorun, co błyska»), są niewątpliwie wywołane przez podniecenie, pod wpływem otrzymanej z kraju wieści o aresztowaniu matki poety za udział w sprawie Konarskiego. Mickiewicz, w «Dziadach», zbliża się w wielu miejscach do plastyki, realizmu i siły wizyi dantejskich, bo ma z włoskim mistrzem wiele wspólnego w sile patryotyzmu, szczerości wiary, plastyce artyzmu. Słowackiemu, wyobraźnia rozlewna, skrępowana realnością przedmiotu, patryotyzm i religijność nastrojowe, nie pozwoliły wywiązać się z zadania. Za to Anhelli, gdzie rolę Danta spełnia Szaman (Krasiński zapewne), świadczy o postępie w rozwoju wyobraźni, stanowiącej główny czynnik artyzmu poety. Uszlachetniła i usubtelniła się ona wielce. Po Kordyanie, szukającym zapełnienia czczości życia porywami, do których nie ma sił, lub bezowocną brawurą, ten młodzian, w którego Szaman wlał «miłość serdeczną dla ludzi i litość», któremu pokazał «wszystkie nieszczęścia tej ziemi» i pozostawił «w ciemności wielkiej z brzemieniem myśli i tęsknot na sercu», znajdował i znajduje dotąd sympatyę dusz współczujących i gotowych dzielić z nim ciężar cierpienia ofiarnego, okupić mającego lepszą dolę dla przyszłych pokoleń. Niewątpliwym jest tu wpływ rozmów z Krasińskim, tym «archaniołem wiary», jak go zwie Słowacki w wierszu z r. 1838; przekształcone odbicie niektórych scen z Nieboskiej, Irydyona i obrazów z Ksiąg pielgrzymstwa, które podsunęły też poecie pomysł użycia prozy, nie zupełnie biblijnej wprawdzie, ale z nią pokrewnej przez prostotę, tylko miększej; nie nauczającej, ni opowiadającej, ale kołyszącej duszę obrazami, które, mimo swej grozy i boleść budzącej treści, ukazuje się jakby we mgle sennych widzeń, nie wywołują wrażenia rzeczywistości, a więc rozmarzają, nastrajają smutnie, lecz nie wzruszają, nie przemawiają do serc, tylko do wyobraźni, jak pochmurne niebo jesieni. Ten Sybir, służący za widownię przesuwających się ponurych obrazów, to właściwie tylko symbol położenia ówczesnego społeczeństwa i poety, symbol cierpień materyalnych i moralnych narodu, zostającego pod uciskiem nieprzyjaciół i ciężarem własnych błędów, a zarazem tło, uwydatniające osamotnienie poety, któremu władza zamknęła powrót do kraju, a współtowarzysze wygnania zamknęli przed nim swe serca. Zarówno charakterystyka kłócących się stronnictw politycznych śród wygnańców, jak obrazy prześladowań i cierpień, spadających na społeczeństwo po r. 1831, a wreszcie i sama idea cichej ofiary, cierpiącej i konającej w osamotnieniu, znanej tylko Bogu (Eloe, anioł czuwający nad umierającym Anhellim), wszystko to jest niewątpliwie odbiciem myśli, uwag, opowiadań Krasińskiego, który, jak o tem świadczy «Ostatni», przewidywał dla siebie podobny los, zgon ofiary, zapomnianej w podziemiach więzień sybirskich. Stąd to wynikł zachwyt, jaki utwór ten obudził w Krasińskim, który spotkał tu własne myśli i rojenia, przekształcone na obrazy, rzucone na mgliste tło

mrocznych obszarów, przez czarodziejską latarnię wyobraźni Słowackiego [1]). Wyobraźni tej, już w czasie pobytu pod Genewą, przedstawiał się błyszczący lodowcami olbrzym Mont Blanc'u, jako «snycerski posąg sybirskiej krainy». Kordyana, bohatera-działacza, umieszcza poeta na najwyższej igle lodowej tej góry. Anhellego, milczącą, cichą ofiarę otacza bezgraniczną równiną Sybiru moralnego i fizycznego. Sceny, charakteryzujące stosunki emigracyjne i cierpienia zesłańców służą tu tylko jako tło, od którego odbijać ma postać główna, tło, usprawiedliwiające zarówno bezsilność tej postaci wobec takich stosunków, mimo przepełnionego miłością i litością serca, jak rezygnacyę, z jaką godzi się na rolę cichej ofiary. «Chciałbym umrzeć, powiada Anhelli, bo zdaje mi się, że, gdy będę umarłym, to Bóg pożałuje tego, co ze mną uczynił». Dopiero po zgonie, Eloe daje odpowiedź na dręczące Anhellego pytanie (Po co żyję), oznajmiając, że «on był przeznaczony na ofiarę serca». Wiersz współczesny, do Krasińskiego zwrócony, kończy wdzięczny przyjaciel słowami «Dałeś mi serce».

Istotnie w «Anhellim» po raz pierwszy dusza poety odezwała się cichą, subtelną muzyką uczuć, dobywającą się z głębin przekształcającego się serca i towarzyszącą mrocznym obrazom, wysnuwanym przez wyobraźnię w ciszy i samotności klasztoru syryjskiego, w związku z myślami o stanowisku wobec emigracyi i w ciężkiem położeniu zostającej ojczyzny.

Wkrótce po napisaniu wiersza do Krasińskiego, datowanego 4-go grudnia r. 1838, opuszcza Słowacki Florencyę i przenosi się do Paryża, gdzie, zaraz po przybyciu, zajął się ogłoszeniem swych dawniejszych, wykończonych utworów. Datę roku 1839 nosi wspomniane już «Poema Piasta Dantyszka herbu Leliwa o piekle» (Paryż 1839), choć zapewne było wydrukowane jeszcze w końcu r. 1838 podczas pobytu autora we Florencyi. Jest to w całości nieudatna, w szczegółach pięknа niekiedy powiewnością rojeń wyobraźni, ale rażąca jaskrawym realizmem, przejętym od Danta, bez siły jednak, plastyki, prawdy i szczerości mistrza włoskiego.

Pod okiem twórcy ukazała się teraz omawiana tu już «Balladyna» (Paryż 1839, str. 212) i «Trzy poemata» (Paryż 1839, str. 121). Ten zbiorek mieścił: «Ojca Zadżumionych», «Wacława» i «W Szwajcaryi». O pierwszym była już mowa. «Wacław», stanowiący opowieść dalszych dziejów bohatera poematu Malczewskiego, powstał przed podróżą wschodnią (może jeszcze w Szwajcaryi), z zespolenia wrażeń, zostawionych przez lekturę, ze szczegółami ustnej opowieści o dalszych losach Szczęsnego Potockiego i wywołanym przez to nastroju imaginacyi, która chwytała chciwie i przekształcała każde niezwykłe położenie ludzkie, każdą wyjątkowość i kontrast. Najpotężniejszy magnat, «orderami srebrny i wiekiem», widzi się otoczonym wzgardą ludzką

[1]) Po śmierci Słowackiego proponował Krasiński, by na pomniku poety położyć napis: «Twórcy Anhellego».

i wstrętem. Jedynym towarzyszem, «aniołem obrońcą» jest dla tego starca «maleńki blady i nierozkwitniony... smutny synek jego pierwszej żony». Nad duszą jego, jak czarna chmura, unosi się sromotny koniec ojca, o którym mówią, że «w turmę zamknięty, umarł przed sądem, a drudzy, że ścięty». O ile w fantastycznej «Balladynie» urąganie prawdzie dziejowej chętnie wybaczamy, o tyle nieprawdopodobieństwa i niedorzeczności faktyczne «Wacława» odstręczać muszą, mimo licznych piękności, czytelnika i przeszkadzać w wywoływaniu nastroju, o który poecie chodziło. Za to trzeci z poematów: «W Szwajcaryi», mający w stylu, obrazach, toku, znamiona współczesnego powstania z «Wacławem», nie przestanie nigdy czarować dusz ludzkich szczęśliwem, rzadkiem zespoleniem rozmarzających, kołyszących duszę nastrojów, wywołanych przez odtworzenie najmniej realnych, najlotniejszych objawów piękna przyrody, zespolonych z najsubtelniejszemi pożądaniami wyobraźni i prawdziwą, choć nieokreśloną tęsknotą serca. Jak w «Panu Tadeuszu», tak i w tej elegijnej idylli tęsknota, spotęgowana przez oddalenie przestrzeniowe i czasowe, opromieniła przechowane w duszy obrazy i podnieciła wyobraźnię do przetworzenia ich w pasmo wynurzających i zanurzających się w mgle oddali krajobrazów, postaci, grup, położeń, rozpływających się tak szybko, iż oko nie może pochwycić kształtów ni szczegółów tych powietrznych emanacyi przyrody, snów wyobraźni i towarzyszącej im muzyki tęskniącego za ideałem serca. Rzadki tak u Słowackiego spokój i umiarkowanie wyobraźni, poprzestającej na prostych danych, przez rzeczywistość dostarczonych, a przez serce wskazanych, narzuconych jej poniekąd, pozwala czytelnikom zespalać się w zachwytach i tęsknotach z poetą, pozwala dzielić jego marzenia, wzloty i zawody.

Udział uczucia, większy niż w innych utworach, nadał językowi niezwykłą u Słowackiego melodyjność, stylowi zaś miękką rozlewność i utrzymał wyobraźnię w granicach obrazów i scen, barw i tonów, nie wykraczających poza ramy elegii i idylli. Stąd prawdy i uczucia, w obrazach i położeniach, więcej daleko, niż w innych utworach poety, który tu stał się śpiewakiem i malarzem pragnień, rojeń każdej wrażliwszej i subtelniejszej duszy [1]).

W dalszym ciągu tego łańcucha utworów, odsłaniających czytelnikom coraz to nowe bogactwa niewyczerpanej wyobraźni i potężniejącego artyzmu poety, ukazały się w osobnych wydaniach r. 1840

[1]) Brak miejsca nie pozwala mi szerzej uzasadniać dowodami, z właściwości artyzmu i cech nastroju poety czerpanymi, odniesienia daty napisania «W Szwajcaryi» do lata roku 1836. Samo zakończenie poematu daje wyraźne wskazówki w słowach: «i kreślę jej rysy lub imię piszę na piasku wilgotnym lub błądzę między róże i cyprysy», świadczących o włoskim nadmorskim krajobrazie, a dalej w ustępie: «Więc już nie myślę teraz tylko o tem, gdzie wybrać miejsce na smutek łaskawe», odbijające wahania i niepewność poety, przed zdecydowaniem się na niespodzianie nastręczającą się podróż wschodnią, co do wyboru miejsca dalszego pobytu.

w Paryżu dwie tragedye, przedstawiane dotąd, częściej od innych, na scenach polskich: «Mazepa» i «Lilla Weneda».

Pierwsza z nich to opracowanie ponowne dawniejszego pomysłu, przy zużytkowaniu rysów życia szlacheckiego i dziejowego, dostarczanych przez rozczytywanie się w książkach historycznych i zapoznanie się z «Pamiętnikami Paska» i świeżo ogłoszonymi «Pamiątkami Soplicy» (1839) «Pan Tadeusz» po raz pierwszy ukazał poecie bogactwo oryginalnych postaci i obrazów w życiu szlacheckiem, które teraz zacznie żywo interesować i pociągać wyobraźnię Słowackiego, znajdującą tu coraz więcej niezwykłych, świeżych, barwnych przedmiotów, pozwalających na szekspirowską obfitość i rozmaitość w kombinacyach scenicznych. Bogactwo to utrudniało ujęcie materyału w ramy pięcioaktowego dramatu i stąd pozostało tyle nie dokończonych utworów, stąd obrabianie jednego pomysłu kolejno w formach dramatu i poematu (Beniowski), stąd też niemożność doprowadzenia do końca i poematów samych, wobec zboczeń i lotów nienasyconej wyobraźni. Wracając do Mazepy, który zaletami i wadami swemi interesował żywo krytyków i recenzentów teatralnych, to jedyne właściwe stanowisko przy ocenie tego, jak i innych dramatów Słowackiego, jest pogodzenie się z myślą, iż mamy tu do czynienia z odrębną formą sztuki, że poeta, urągający chętnie dla dogodzenia wyobraźni wszelkim wymaganiom prawdy dziejowej, logiki, prawdopodobieństwa, szanuje jedno tylko dawne wymaganie formalne, ujęcia utworu w pięć aktów, i zachowuje ustaloną nazwę tragedyi. Zadanie swoje twórcze spełnia on zwykle w sposób następujący: nagromadziwszy w wyobraźni pewną liczbę pociągających ją właściwościami swemi postaci, wytwarza, ze stosunków między temi postaciami, szereg położeń i obrazów niezwykłych, uderzających, czarujących czy przerażających, zabawnych lub wzruszających, wstrętnych lub porywających, realistycznych lub eterycznych. O ile te położenia wynikają z naturalnego rozwoju charakterów i stosunków, o tyle staje się możliwym naturalny i logiczny przebieg akcyi, skoro jednak tą drogą nie dają się w dalszym ciągu wysnuwać coraz to jaskrawsze, niezwyklejsze obrazy i położenia, poeta przerywa czy załamuje naturalny bieg czynności, wykrzywia lub przekształca charaktery, byle osiągnąć upragniony przez wyobraźnię efekt, wywołać niezwykły nastrój.

Sam Słowacki w swej odprawie, danej krytykom poznańskim («Krytyka krytyki i literatury»), przybranej w formę dyalogu między Szekspirem a redaktorami Orędownika i Tygodnika, powiada przez usta Szekspira: «Aby pisać, trzeba mieć coś pięknego przed oczyma imaginacyi — rzecz, rozwidniającą się stopniami, obszerną, jak świat, pełną ruchu i życia... Ja bez żadnej idei piszę... Rzecz stworzoną nazywam pomysłem... z pomysłu wynikają naturalnie figury i charaktery — charaktery znów oddziaływują na pomysł... jest zaś jakieś monotonne usposobienie duszy, które to wszystko harmonizuje i jedną barwą oblewa». Usposobienie to nazywamy dziś nastrojem. Pomysł

sam był u poety nie myślą, ale obrazem, postacią niezwykłą, położeniem, kontrastem, który stawał się punktem wyjścia dla całej seryi dalszych kombinacyi.

Mazepa swoją sceniczność i wartość artystyczną zawdzięcza właśnie szczęśliwszemu, niż w innych utworach, zharmonizowaniu wymagań wyobraźni, co do wytwarzania kontrastów i położeń niezwykłych, uderzających, z wymaganiami logicznego rozwoju akcyi, w związku z charakterami osób działających. Załamywania charakterów są tu mniej rażące, nieprawdopodobieństwa i niezwykłości w położeniach mniej jaskrawe. Daremnie tylko krytycy szukają tu myśli przewodniej i głównej postaci, daremnie skarżą się na niejasność zamiaru autora, na niepotrzebne epizody i figury. Daremnie również poddają ocenie moralną wartość postaci, którym zawsze brakuje tego, co stanowi istotę charakteru, świadomego dążenia ku pewnym celom, przy kierowaniu się naprzemian to wskazówkami rozumu, to popędami, przy zwykłem u ludzi wahaniu się między głosem sumienia a różnemi pożądaniami. Najczęściej spotykamy w postaciach Słowackiego owładnięcie przez jeden, na tym samym stopniu utrzymujący się, nastrój uczuć, dodatnich lub ujemnych, jak w Mazepie np. Amelia, Wojewoda, Król, Zbigniew; inne znowu osoby dostrajają się, bez umotywowania, do zmienionych sytuacyi, jak np. Mazepa. Rozwoju charakterów, pełni rysów moralnych nie spotykamy tu zwykle, tylko jednostronne przemaganie najwyższych zwykle stopni cnót, namiętności, występków. Wprawdzie poeta stara się wynikającą stąd monotonność nastroju urozmaicać niekiedy postaciami i scenami czarodziejskiemi, humorystycznemi, ale i wtedy zbyt rażące przeskoki nastrojowe, zbyt jaskrawe kontrasty drażnią, ale nie uspokajają zmęczonego czytelnika czy widza.

Wydana współcześnie z «Mazepą», pełna prześlicznych momentów, «Lilla Weneda» przedstawia jako całość, jako dramat, wszystkie charakterystyczne cechy twórczości Słowackiego; bogactwo niezwykłych, nowych w naszej poezyi postaci i obrazów, brzmienność i blask języka, odtwarzającego nastrój, wywołany w duszy poety przez odsłonięte potęgą wyobraźni tajniki początków dziejowego bytu narodu, nastrój, spotęgowany przez powiązanie z tymi przedwiecznymi stosunkami położenia samego poety we współczesnem społeczeństwie. On i Krasiński, to dwaj bracia Wenedzi — Lelum i Polelum, walczący za sprawę skazanego na zagładę plemienia marzycieli, śpiewaków.

Zwycięscy Lechici, posiadający wszystkie ujemne cechy szlachty polskiej, to ów «czerep rubaszny», w którym uwięziona została anielska dusza narodu, mająca teraz swych jedynych obrońców i przedstawicieli w związanych jednością uczuć i przekonań braciach-poetach. Z wypowiedzianych w «Grobie Agamemnona», a podsuniętych przez Krasińskiego poglądów, wytworzyła się, w wyobraźni Słowackiego, obrazowa geneza sprzeczności własnego idealizmu z rubasznością i prostactwem szlacheckiem, ukazująca w pierwotnych stosunkach przed-

dziejowych początek tego dualizmu. Z tym głównym motywem, a raczej obrazem, zespolił poeta postać dziewczęcą, uosabiającą poświęcenie się dla rodziców i braci, postać, której piękność podsunął wyobraźni twórcy ustęp z «Wędrówek Child-Harolda» Byrona, wywołany przez napis — sfałszowany zresztą — skopiowany jakoby z nagrobka młodej kapłanki awentyńskiej Julii Alpinuli. Naturalnie, dla kontrastu, dał poeta tej gołąbce-Lilli siostrę, uosabiającą energię dziką i surowość oddanej bogom i sprawie narodowej kapłanki. Cała akcya tragedyi polega na wymyślaniu przez Gwinonę, okrutną żonę Lecha, zwycięzcy i władzcy pokonanych Wenedów, różnych rodzajów niezwykłej śmierci dla pojmanego w niewolę Derwida, króla zwyciężonego ludu, podczas gdy poświęcająca się dla uratowania ojca Lilla, w pewnego rodzaju zakładzie, udaremnia swymi pomysłami zamiary okrutnicy, ażeby przez to, po trzykrotnej próbie, uzyskać w wygranej życie ojca, którego pozbawiono już wzroku. Zarówno pomysły Gwinony, jak sposoby, którymi je Lilla udaremnia, są niezwykłe, wyszukane, odrażające niekiedy (jak owo powieszenie Derwida za włosy na drzewie i wyzwolenie go przez przecinanie włosów toporem, rzuconym ręką syna) i męczą widza naprężeniem przeciągającej się przez kilka aktów sytuacyi.

Sceny, w których występują Lechici, tudzież św. Gwalbert i jego sługa Ślaz, noszą w dyalogach, rysunku charakterów, biegu akcyi piętno szekspirowskie. Przyswajając sobie szekspirowski stosunek do przedstawionych postaci, poeta traktuje je jako charakterystyczne figury, służące mu do wytwarzania różnych sytuacyi, do uwydatnienia kontrastu między idealizmem, podniosłością moralną Wenedów a płaskością, pospolitością Lechitów. Św. Gwalbert otrzymał rysy dobrodusznego, mistycznie nastrojonego, lecz w życiu praktycznem ograniczonego umysłowo zakonnika lub plebana polskiego. Przez usta Ślaza wypowiedział poeta rubasznie to samo, co wygłosił z patosem w «Grobie Agamemnona». To znowu, co z grozą nastrojową wypowiada Roza Weneda o zaścielających pobojowisko trupach Wenedów, przedstawia i ten lud w świetle niekorzystnem (tchórze, bez serca), lecz wyjątek stanowi tu rodzina królewska, w której członkach i chórze harfiarzy skupił poeta cały idealizm dążeń, uczuć podniosłych i uzdolnień. Łączność myśli przewodniczącej przy tworzeniu tego dramatu z pojęciami, wypowiedzianemi poprzednio w «Grobie Agamemnona», stwierdził sam poeta, dodając ten wiersz przy pierwszem wydaniu «Lilli Wenedy» w charakterze jakoby chóru, uzupełniającego dramat.

Jakkolwiek pokonani Wenedzi odnoszą tryumf moralny, bo nad stosem, pochłaniającym ciała Derwida, Lilli i jej braci, ukazuje się Bogarodzica, stwierdzając uznanie niebios dla zwyciężonych, jednak na ziemi, w społeczeństwie polskiem, lechickiem, szlacheckiem, poeta, czujący się potomkiem królewskiego rodu Wenedów, dalekim był jeszcze od przezwyciężenia obojętności słabo rozumiejących go czytelników i niezbyt życzliwie usposobionych krytyków. Uznanie Krasińskiego, tego brata, skutego z nim łańcuchem wspólnych pojęć i upo-

dobań, nie wystarczało. Pewny potęgi tej broni, jaką dawało mu ostrze ironii i dowcipu, którem zdolny był władać z błyskawiczną trafnością szpady rostandowskiego Cyrana, zdecydował się poeta otwarcie wystąpić do walki z obojętnymi i niechętnymi, zmusić rubaszną i prostaczą szlachtę do czytania z zachwytem, a krytyków do milczenia lub hołdów. Zamiast tragedyi, których, nie zarażona jeszcze melancholią Wenedów, szlachta nie chciała czytywać i nie mogła rozumieć, dać ogółowi prostą, osnutą na świeżych względnie, a sympatycznych wypadkach opowieść, snującą obrazy życia szlacheckiego w związku z dziejami konfederacyi barskiej. Zamiast tajemniczości i tragizmu, dać opowieści nastrój pogodny, żartobliwy, rubaszny nawet, a na to tło rzucić gdzieniegdzie obłoczki anhellicznej melancholii, błyski bajronicznej ironii, a wreszcie gromy satyrycznego oburzenia i potępienia, miotane na krytyków i przeciwników. Przytem zarówno w opowieści snuć się mającej, «jak dawny, długi, lity pas Polaka», jak i w przeplatających ją osobistych wynurzeniach, polemicznych napaściach, ukazać całe mistrzostwo języka, zdolnego naprzemian stawać się «jasnym i prędkim, jak piorun, smutnym, jak pieśń stepowa, miękim, jak skarga Nimfy, pięknym, jak Aniołów mowa». Poeta świadom jest, że wyobraźnia jego «nie wiem czego chce i czego dowodzi. Jako fajerwerk z gwiazd kilku tysięcy, chciałem, aby się spalił i nic więcej». Istotnie «Beniowski» jest w pierwszych pięciu pieśniach taką fajerwerkową improwizacyą, koncertowym popisem artyzmu, na czarodziejstwie wyobraźni opartego. Pisząc ten poemat, nie ma Słowacki żadnego planu; tworząc pieśń pierwszą, projektuje sobie dla drugiej i zapowiada w zakończeniu to czego, zmienna i niewyczerpana w pomysłach, wyobraźnia nie dozwoli urzeczywistnić, w drugiej części podobnież zapowiada jako dalszy ciąg fakty, których w trzeciej nie spotkamy. W następnych pieśniach zgubi z oczu głównego bohatera, by roztoczyć opowieść przygód postaci ubocznych, ale świeżością swą nęcących wyobraźnię. Postępuje, słowem, jak wędrowiec, który, goniąc za nowymi i pięknymi widokami, a nie mając wytkniętego kierunku i kresu drogi, daje się pociągnąć każdej dróżce, obiecującej mu nowe wrażenia i niespodziewane krajobrazy. Jedynym celem, którego nie spuszcza z oka, jedyną myślą, która nadaje spójność pewną ogłoszonej za życia części «Beniowskiego», jest przeciwstawienie się przeciwnikom, współzawodnikom, krytykom i zabłyśnięcie w oczach ogółu swem mistrzowstwem. Ten «fajerwerk z gwiazd kilku tysięcy» ma jednocześnie pogromić tych, którym «za kołnierz» spadną te płonące pociski («Syryusz lub Niedźwiadek») i oczarować blaskiem, pięknością i niewyczerpaną obfitością obrazów ogół czytelników, obojętnych na poprzednie utwory.

Ta domieszka «żółci do błękitów», to wprowadzenie rzeczywistości własnych uraz, żalów, sympatyi i zawiści, przy zamknięciu opowieści o przygodach Beniowskiego w granicach jeżeli nie prawdy dziejowej, to przynajmniej prawdopodobieństwa i połączeniu lotności z realizmem, a nawet plastyką obrazów, sprawia, iż ten niedokończony

poemat najbardziej pociąga i interesuje dzisiejszych czytelników, dostarczając im, więcej niż którykolwiek z utworów Słowackiego, odtworzeń stanów uczuciowych, wzlotów wyobraźniowych, upodobań normalnej duszy ludzkiej. Dostroić się do tonu «Anhellego», lub «Króla Ducha», wzlecieć wyobraźnią w przestwory, w jakich wtedy przebywa duch poety i utrzymać się w nich czas dłuższy, jest rzeczą nie łatwą i męczącą; przysłuchiwać się opowieści o Beniowskim, urozmaiconej koncertowym fajerwerkiem wybuchów i wzlotów, odsłaniających w całym blasku artyzm językowy tego «patris patriae» mowy polskiej, to jedna z największych uczt artystycznych, jakich dostarcza nasza poezya. Horyzont duchowy tej «uczty» zaciemnia jedynie burza, kończąca część poematu, ogłoszoną za życia, ta nadobłoczna, ale i bardzo ziemska jednocześnie, gigantomachia twórcy «Beniowskiego» z Mickiewiczem.

Wybuch ten usprawiedliwić można jedynie reakcyą, wrażliwej i spragnionej uznania, duszy poety na złośliwe plotki i kłamliwy opis uczty, danej na cześć Mickiewicza (z powodu rozpoczęcia w dniu 22 grudnia r. 1840, wykładów w Collège de France). Uczta odbyła się w sam dzień Bożego Narodzenia, u Eustachego Januszkiewicza, księgarza i wydawcy «Młodej Polski». Zaproszony na to zebranie Słowacki wypowiedział, na życzenie obecnych, dwie z kolei improwizacye, w których, jakkolwiek przeważnie mówił o sobie i swoich utworach, złożył w końcu hołd geniuszowi wielkiego współzawodnika. «Na łodydze mego życia, wyznał z całą otwartością, dwa błyszczą kwiaty: jeden niechęci ku tobie, ten więdnie i opada; drugi przyjaźni, ten rozwija się z pączka. Jakkolwiek nizko zakwita, schyl się, aby go zerwać!» Mickiewicz na to odpowiedział prosto i poważnie, przypomnieniem przeciwnikowi lat dziecinnych, w których go poznał, wskazaniem przyczyn, dla których jego utwory nie trafiły do dusz ludzkich i zakończył radą i przestrogą, że «dla poety jedna tylko droga... stąd (z serca) przez miłość, tam — do Boga!» Uścisk braterski miał stwierdzić zapomnienie przeszłych uraz i początek nowego harmonijnego stosunku.

Obecni na uczcie powzięli zamiar ofiarować Mickiewiczowi, na pamiątkę tej chwili, puhar składkowy i zaproponowali, Słowackiemu doręczenie daru. Jakkolwiek wymówił się on od tego zaszczytu, jednak położył swój podpis na adresie, dołączonym do puharu. Dotknięty przez od mowę poety Januszkiewicz tudzież inni niechętni twórcy Kordyana uczestnicy zebrania, postarali się o pomieszczenie w «Tygodniku poznańskim» (z 22 lutego 1841 r.) tendencyjnego, dokuczliwego dla Słowackiego opisu owej uczty dla Mickiewicza p. t. «Improwizatorowie». Opis piętnował zarozumiałość i «dumę szatańską» Słowackiego i podawał kłamliwie, jakoby Mickiewicz w swej odpowiedzi odmówił współzawodnikowi miana poety. Dotknięty do żywego tą opowieścią i milczeniem Mickiewicza, który nie sprostował fałszów, może dlatego, iż, zajęty pracą nad przygotowaniem wykładów paryskich, nie miał czasu na przeglądanie czasopism, a więc mógł nie wiedzieć o tym artykuliku — od-

powiedział przeciwnikom nie na szpaltach «Tygodnika», lecz w przeznaczonym dla załatwienia wszelkich porachunków z krytyką i obozami emigracyjnymi — «Beniowskim». Wprawdzie wszystkie utworzone wtedy pieśni tego poematu miały na celu uwydatnienie bogactwa i potęgi artyzmu twórcy, wzniesienie piedestału, któryby ukazał go na wysokości, jakiej mu odmawiali niechętni i obojętni, ale teraz poeta, zamiast przeznaczonego na zakończenie aktu hołdu dla ukochanej matki, u której stóp składał swe genialne czoło, zagrzmi wyzwaniem zasłaniającego go przed światem swą olbrzymią postacią «Boga litewskiego», «by ukazać pęknięcia na jego korze», by zmierzyć się z nim siłą, pięknością własnych, nowych ideałów, ukazać w nim dawnego, zachodzącego już ze swem słońcem Boga a w sobie nowego wnoszącego wschód nowej ery dla poezyi i życia duchowego.

O ileż podnioślejsze, pogodniejsze i sympatyczniejsze węzły nawiązałoby między poetą a czytelnikami pierwotne zakończenie tej części, odrzucone w ostatniej chwili przez twórcę, ten wylew uczuć stęsknionego za matką tułacza, ta elegia tęsknoty, miłości i wdzięczności dla jedynej drogiej mu w świecie duszy. Świetność obrazowa i językowa dumnego wyzwania i postawienia się na równym z twórcą »Dziadów» i «Tadeusza» poziomie, może olśnić chwilowo, ogłuszyć czytelnika tem potężnem crescendo okrzyków bojowych, ataków i natrząsań z przeciwnika, ze strony wdzierającego się, na niedostępny mu piedestał, zdobywcy, ale zostawia po sobie w następstwie, w każdej głębszej duszy, przykre uczucie niesmaku i obniżenia sympatyi dla mistrza, wkładającego samemu sobie koronę wieszcza na skronie.

To wyładowanie nagromadzonych z dawna niechęci, pragnień, żalów, wywołać musiało w duszy wrażliwego i niezasobnego w siły fizyczne poety reakcyjną depresyę, odpowiednią swą siłą poprzedzającemu ją napięciu. Zużywszy cały zasób energii na wyrzucenie swego pocisku w obóz przeciwników, nie czuł się zdolnym do zniesienia następstw tego wyzwania, przedstawiających się w wyobraźni poety w spotęgowanych rozmiarach i jaskrawych barwach. Wysławszy do «Tygodnika literackiego» felietonową ocenę «Nocy letniej» Krasińskiego, z którą powiązał zręcznie opowieść o «pewnej nocy zimowej», będącą protestem przeciw fałszywej relacyi o przebiegu uczty dla Mickiewicza, wyjechał z Paryża do Frankfurtu, by stamtąd śledzić wrażenie, jakie w kołach emigracyi wywarło pojawienie się «Beniowskiego», który ukazał się na świat w końcu maja r. 1841. Niezbyt przychylne, ale wogóle spokojne przyjęcie przez ogół emigracyjny tego pocisku, który rozsypywał się w deszcz ognisty gwiazd, iskier, smug płonących, drażniąc, olśniewając, ale nie druzgocąc w istocie nikogo, pozwoliło poecie powrócić do Paryża i tam odnieść moralny tryumf nad przeciwnikami, którzy — bez udziału obojętnego w tej sprawie Mickiewicza — zamierzyli za pomocą pojedynku zmyć rzucone im obelgi. Wybrany na mściciela młodzieniec, jeden z dotkniętych w «Beniowskim» krytyków, po przyjęciu przez poetę wyzwania (w połowie czerwca) cofnął się w ostatniej chwili i Słowacki miał to moralne zadowolenie, iż, stanąwszy na placu walki, zastał tam zmieszanych sekundantów przeciwnika, oznajmiających, iż tenże cofa swe wyzwanie. Współcześnie zaczęły się pojawiać w pismach emigracyjnych («Demokrata», «Trzeci Maj») wielce pochwalne oceny świeżo ogłoszonego poematu. Znany rzeźbiarz, Władysław Oleszczyński, utrwalił oblicze poety w świetnym medalionie, którego opis, podany w «Trzecim Maju», był wyrazem hołdu dla Słowackiego. To też w liście do matki z tego czasu pisze on: «Wszystko się tak składa, jakby Bóg nade mną czuwał i kochał mnie i błogosławił». Wzywał dalej matkę, aby dziękowała Bogu, że «go widocznie broni i niczemu nie pozwala przemódz nad nim». Świeże przebyte wstrząśnienia rozbudziły ponownie występujące u poety, od czasu do czasu, uczucia religijne i umocniły przekonanie o szczególnej nad nim opiece Opatrzności. Wiara ta, na teraz, da Słowackiemu chwile spokoju i równowagi ducha, a w połączeniu z odniesionymi tryumfami pogodzi go z ludźmi i rzeczywistością. Nastrój ten odbije się w pochodzącym z tego czasu utworze, przechowanym w spuściznie pośmiertnej, bez tytułu i wykończenia ostatecznego, a znanym pod różnymi kolejno dawanymi mu nazwami («Niepoprawni», «Nowa Dejanira», «Fantazy»). Utwór sam przekonywa, iż Słowacki, o ile tylko spotykał w rzeczywistości współczesnej postaci i położenia, interesujące wyobraźnię i pobudzające potężniejącą i coraz subtelniejszą ironią, zdolnym był odtwarzać życie realne z prawdą, świadczącą o bystrej obserwacyi i przenikliwości. Wyobraźnia jego jednak wybierała z rzeczywistości najchętniej figury niezwykłe. «Pan Tadeusz», odsłaniając Słowackiemu całe bogactwo świeżych, oryginalnych postaci, obrazów, w świecie ludzkim i przyrodzie Litwy z czasów tak blizkich jeszcze, podsunął mu zamiar odtworzenia w formie dramatycznej ludzi i sytuacyi współczesnego Wołynia. Jacka Soplicy w życiu tem daremnieby szukać, ale Hrabia i Telimena poznaliby pokrewne dusze w niejednej osobistości z tego świata, którego przedstawicieli spotykał poeta w swych wędrówkach po Europie. Hrabia Fantazy i Idalia to nowe wcielenie tej pary, w pokoleniu żyjącem o 30 lat później, a więc wychowanem w innej już atmosferze umysłowej i obyczajowej. Tak samo znowu Major jest to Ryków, ale przeniesiony w czasy Mikołaja I, dotknięty prądami ruchu Dekabrystów. Wogóle możnaby o «Nowej Dejanirze» powiedzieć, iż poeta, zgromadziwszy tu całe grono postaci współczesnych, ale wybranych z życia i scharakteryzowanych, pod wpływem przejęcia się przez wrażliwą wyobraźnię poety nieśmiertelnymi pierwowzorami epopei Mickiewiczowskiej, zapragnął zbogacić nimi swój teatr i wysnuć z akcyi tych figur cały szereg położeń, pozwalających oświetlić wytworzone stąd grupy i obrazy błyskami ironii i promieniami sympatyi. Niestety, smutna konieczność rozwiązań, wobec trudności powiązania akcyi z charakterami osób, położeń i ugrupowań niezwykłych z logicznym przebiegiem wypadków, nie dozwoliła tu Słowackiemu, jak i w tylu innych niewykończonych utworach, utrzymać akcyę do końca na tej wysoko-

ści artystycznej, jaką przedstawiają pierwsze akty. Utwór ten można też uważać za odlew, wykonany z tej samej mieszaniny artystycznych pierwiastków, z jakich powstał «Beniowski». Wprowadzenie do charakterystyki Fantazego rysów, wziętych z trafnej bardzo obserwacyi właściwości duchowych Krasińskiego, stanowi pierwszy etap rozwijającego się antagonizmu, w stosunku do skutego łańcuchem wspólnych pojęć i uczuć brata-Wenedy, od którego przedzielił się teraz wysokością świeżo zajętego w «Beniowskim» stanowiska. Z tego też czasu pochodzą tak bogate w piękności fragmenty «Złotej czaszki», obrazu, odtwarzającego, z werwą staroszlacheckiej gawędy, przeplatanej cudownym liryzmem, obrazy z przeszłości Krzemieńca, postaci świata szlacheckiego i mieszczańskiego z połowy w. XVII: «W chorągwie cechowe ubrany dworek starego szlachcica, który okrywał jasną cnotę gospodarza. Dla nędzy także otworzone progi, i obwarzanek dla nędzarza: I piękność chował dawnych, szczerych rysów, Napełniającą dom wonią narcyzów». Mieszkańcy dworku «ludzie gospodarni, od serc naszych mieli serca cichsze. A gdy się rwali z ubogiej pościeli, To więc do szabli albo do kądzieli». Tak charakteryzuje w wierszowanej parabazie osnowę dramatu sam poeta, zwracający się do czytelników z prośbą, by byli «wyrozumiali dla tych rubasznych serc i szorstkich dłoni».

W prostocie tego nieukończonego wiersza, tchnącego miłością dla świata staropolskiego, więcej jest prawdy i porywającego uczucia, niż w deklamacyjnym patosie «Grobu Agamemnona», stanowiącego z nim tak jaskrawy kontrast. Świadomość własnej siły, spotęgowana teraz rosnącem uznaniem dla «Beniowskiego», jak pobudziła poetę do przeciwstawienia w «Nowej Dejanirze» postaciom «Pana Tadeusza» podobnych, a jednak innych, wyższych duchowo, tak znowu wznieci chęć zmierzenia się z Szekspirem — którego wpływowi nieraz ulegał — (w «Balladynie» i «Horsztyńskim» zwłaszcza), utworzenia i dramatu, noszącego w stylu i budowie piętno ducha i artyzmu wielkiego poety. W przesłanym r. 1841 «Orędownikowi» (pismo w Poznaniu wychodzące), ale ogłoszonym dopiero w r. 1891 [1]), artykule p. t. «Krytyka krytyki i literatury» poeta użył formy dyalogu, prowadzonego przez Szekspira z Orędownikiem i Tygodnikiem. Naturalnie Szekspir wypowiada tu myśli Słowackiego. Jest to zresztą właściwością wrażliwości artystycznej poety, że pod wpływem żywo odczuwanych i dostrzeganych piękności dzieł różnych mistrzów stara się tworzyć w ich duchu, chce być to Zaleskim, Malczewskim, Mickiewiczem, to Byronem, Dantem, Szekspirem, Calderonem. «Beatrix Cenci», osnuta na postaciach i obyczajach włoskiego Odrodzenia, które dostarczyło Szekspirowi treści do znanych powszechnie arcydzieł («Romeo i Julia», «Otello», «Kupiec Wenecki») pozwoli Słowackiemu zarówno w budowie, jak stylu, prowadzeniu dyalogów, odtworzyć właściwości dramatów poety angielskiego.

[1]) «Krytyka krytyki i literatury». Z autografu wydał Dr. B. Erzepki. Poznań 1891 str. 23.

Odczuwać, pojmować i wyrażać się po szekspirowsku było zadaniem wielekroć trudniejszem i zaszczytniejszem, niż skarżyć się i urągać ludzkim stosunkom w bajronicznej pozie. Poeta polski świetnie pochwycił i odtworzył to «podniecenie», w jakiem przedstawia nam Szekspir swe wszystkie postacie, podniecenie, wyróżniające te postacie w ich słowach i czynach od ludzi realnych, a odbijające stan upojenia duchowego poety w chwili tworzenia.

Ogarniając swą intuicyą i wyobraźnią cały świat ludzki i przyrodę, doznawał poeta angielski, pod wpływem życia, ruchu, barw i dźwięków tego czarodziejskiego «bioskopu», przesuwającego się w jego duszy, tylu podniet, oddziaływających na różne władze jego bogatej tak duszy, iż musiał w odtwarzaniu swych wrażeń odbić to odurzenie, podniecenie. Osoby dramatów Szekspira kochają czy nienawidzą, cieszą się czy cierpią, pragną czy wstręt czują, pouczają czy drwią, dowodzą czy przeczą, zachwycają się czy oburzają, czynią to zawsze z siłą i natężeniem większem o wiele, niż zwyczajni ludzie. W słowach i czynach swych odbijają owo spotęgowanie, skoncentrowanie energii życiowej i ten zachwyt dla niezliczonych objawów tej energii, cechujący geniusz Szekspira.

Słowacki, dzięki swej wrażliwości i wyobraźni, odczuwa ten stan duszy wielkiego dramaturga, zachwyca się jego genialną reżyseryą, potrafi przemawiać jego językiem, ale nie zdolny jest nadać ruchu i życia szekspirowskiego swoim postaciom, poprowadzić śmiało i energicznie akcyę w grupie danych jednostek, gdyż zbywa mu na intuicyi, pozwalającej przeniknąć głębie dusz ludzkich i dostrzedz w nich sprężyn czynów. Ten szekspirowski nastrój, godzący poetę z rzeczywistością, odbija się i w dalszych pieśniach «Beniowskiego», w których Słowacki stopniowo zmniejsza domieszkę osobistych wynurzeń, a za to więcej się troszczy o samą opowieść, co wpływa niewątpliwie na coraz żywsze i gorętsze interesowanie się życiem staroszlacheckiem, tak bogatem w objawy indywidualizmu i fantazyi szlacheckiej. «W dawnych ludziach złotą wiarę i złote serca miłuję nad własne», wyznaje w pieśni VI, zapowiadając, iż wywoła z grobów i sprowadzi z niebios te «duchy żywe, jasne, ubrane w tęcze, gwiazdy i miesiące». Wyobraźnia jednak poety, nie znosząca wytkniętych z góry przedmiotów i dróg, pociągnęła go w dalszych pieśniach (VII do X) do Krymu, do opowieści żartobliwej o przygodach Beniowskiego na tle wschodniej przyrody i wschodniego życia. Mimo rozsianych tu i ówdzie piękności, pieśni te świadczą o wyczerpywaniu się wyobraźni — w zakresie wybranego przedmiotu. Omawianie obrazowe w całych oktawach każdego ruchu, czynności czy pozy wprowadzonych tu postaci, wysnuwanie z każdego szczegółu obrazów, które, chociaż piękne przez się, odwracają przecież uwagę od głównego wątku, przedłuża do nieskończoności opowieść i wyczerpuje cierpliwość czytelnika. Słowacki chciał tu iść śladami Ariosta i wprowadzić do swej opowieści jego swobodę w snuciu i przetykaniu zboczeniami wątka opowieści, jego

ton niezależności od przedmiotu, którym raczej się bawi niż przejmuje, obojętności na wymagania i niecierpliwość czytelnika, którego zaciekawia i drażni, pociąga i lekceważy.

Pociąga poeta nas przedewszystkiem ciepłem uczucia polskiego, które tu przemawia do serc i wzrusza swą szczerością, prawdą. Po sarkazmie «Grobu Agamemnona», po oplwaniu przez usta Ślaza przeszłości szlacheckiej, poeta tu po raz pierwszy wyznaje swą cześć dla tych, co śpią w mogiłach, swą miłość dla «ich złotej wiary i złotego serca», swój żal, iż:

Zaledwo chłopek dawną wiarę chowa
I serce...

i swą nadzieję, iż: Ty się już rodzisz nowa,
W żłóbku serc naszych biednych położona
Na zwiędłym kwiecie marzeń i popiołów...
. . . . . .
Biedne uwiędłe serce! Inni mogą
Płomieniem twojej przyszłości oddychać;
Ja, twoje biedne dziecko, stoję z trwogą,
Bo mi płacz twoich dawnych mogił słychać.
Proszę cię w moją duszę, jak w ubogą
Chatę, co już się zaczęła rozsychać,
Rozpadać, tylu wichry rozerwana,
Biedna, tak dawno stojąca, gliniana.

Prawda i szczerość uczucia łączy się tu z rzadkim u poety momentem pokory ducha.

Piękności scen wojennych, zarówno w obrazach walk, drgających ruchem, życiem rycerskiem, jak i w sile, szorstkości, prostocie języka, wynikły z przejęcia się przez Słowackiego scenami wojennemi «Jerozolimy», przekształconemi w swobodnym przekładzie Kochanowskiego na obrazy bojów polskich. Osiąga poeta często niepospolitą i niezwykłą u niego plastykę. Świadomość tej różnostronności potężniejącego artyzmu musiała, coraz to częściej, nasuwać mu myśl o niezwykłości stanowiska, jakie zajmował w społeczeństwie, o doniosłości i wielkości roli, jaką powinien odegrać w przewidywanych przyszłych wielkich wstrząśnieniach. Poecie zdaje się, iż słyszy pod narodową mogiłą «jakieś dziwne, ciągłe, głuche kucie... jakgdyby serce ludu w kamień biło». Wzywa więc ludy do czujności, «bo wkrótce będziecie, jak Bogi, Co rozwiążecie wy w żelaznej dłoni, to rozwiązanem będzie już na wieki... Tętno już waszego chodu w uszach wysokich ludzi grzmi wyraźnie». W tym świcie nowej epoki poeta sobie wyznacza rolę przewodnią:

«Ja jestem gwiazdą życia, co o świcie,
Skąpana w krwawej jutrzence, wychodzi

Różana — a dzień będzie biały,
Gdy ja zagasnę. . . . . .
. . . . . .
Kto chce w pioruny wstąpić i w błyskanie
I śnić to, o czem śnię... niech przy mnie stanie».

W niedługim czasie, może w kilka miesięcy później, powtórzy poeta w istocie rzeczy to samo, tylko w innym, nowym zupełnie tonie, w nowym nastroju uczuciowym, w nowem oświetleniu i zobrazowaniu. Wysunie wprawdzie sobie z pod stóp piedestał słoneczny, którym uświetnił swą apoteozę w zakończeniu pierwszej części «Beniowskiego», przysłoni gwiazdę, którą opromienił swe czoło w przytoczonym powyżej urywku z dalszych pieśni tego poematu, pochyli pokornie głowę przed majestatem Chrystusa, przed potęgą i pięknością odsłoniętych mu prawd żywota, by odczuć po raz pierwszy w sercu swojem siłę nowych uczuć i stać się: «zbroją, piorunem i podnóżem do szczęścia dla milionów».

Świadomość uzdolnień niezwykłych, przy ich ciągłym rozwoju, rosnącej świetności artyzmu, zdolności odtwarzania cech, stylu, kompozycyi, wysłowienia największych mistrzów poezyi, musiały koniecznie nasuwać Słowackiemu myśl o źródle i celu tych uzdolnień, wyróżniających jego duszę śród milionów dusz ludzkich. W latach młodzieńczych widział cel swej twórczości w zyskaniu sławy, w budzeniu podziwu i uwielbienia. Zawód tych nadziei i przykład Mickiewicza ukazał w «rządzie dusz», w przewodnictwie duchowem, w roli tłumacza i malarza cierpień narodowych, — cel pragnień. «Kordyan» był wyrazem tych nieziszczonych dążeń. Chwilowo szukał pociechy i pokrzepienia w myśli, iż «przeznaczony jest na cichą ofiarę serca», potrzebną dla zbawienia milionów. Rosnący antagonizm z obojętnem i niechętnem społeczeństwem pobudził poetę do podjęcia walki z przeciwnikami, zatknięcia sztandaru opozycyi i walki przeciw dotychczasowym hasłom, kierunkom, wodzom, potępienia przeszłości całej w «Grobie Agamemnona», a zjadliwej krytyki teraźniejszości w «Beniowskim». Względne powodzenie tego wystąpienia pobudziło do dalszej w tym kierunku ewolucyi pojęć o własnej odrębności od ogółu społeczeństwa i o doniosłości danego przez wyższe potęgi posłannictwa.

Nie mogąc być wodzem duchowym współczesnego społeczeństwa, jego inteligencyi, oczekuje od przyszłych pokoleń, a zwłaszcza od budzącego się jakoby, w marzeniach i złudzeniach ówczesnych demokratów, ludu polskiego do życia duchowego i politycznego. Stąd z taką tryumfującą z góry pewnością woła w «Beniowskim»: «Lud pójdzie za mną», stąd to nadsłuchiwanie oznak poczynającego się budzenia tego ludu, upajanie się wszechwładzą i potęgą ludów, które «będą, jak Bogi» i co rozwiążą «w żelaznej dłoni, To rozwiązanem będzie... już na wieki». W tem zwycięstwie rozbudzonego ludu poeta przeznacza sobie rolę chorążego, wodza, pioruna gniewu i zemsty, a zarazem

czarodzieja, zachwycającego i uszczęśliwiającego masy, kupiące się koło niego, skarbami swego artyzmu, swymi «snami». Przywiązując, podobnie jak Mickiewicz, wielką wagę do snów swoich i przeczuć, które zapisywał i wprowadzał nieraz do utworów, umacniał się coraz więcej w tkwiącem od młodych lat w duszy jego przeświadczeniu (o czem opowiada w «Godzinie myśli») o wpływie świata duchów na świat żyjących. Wiara ta coraz silniej zespalała się z myślą o danem mu posłannictwie i o pokrewieństwie z wielkimi duchami przeszłości. Że zarówno nauka Towiańskiego, jak idea metempsychozy i ewolucyi pierwiastku duchowego, znajdą w duszy poety grunt, na którym odrazu się przyjmą i otworzą wyobraźni nowe dziedziny piękna, zakrytą odwrotną stronę czarodziejskiego dywanu, świata nadziemskiego i przeddziejowego, ukazującego nam tylko szare strzępki, było to rzeczą naturalną, nieuniknioną niemal. Podczas gdy Mickiewicz znalazł w Towianizmie potwierdzenie i umocnienie swej idei «Dziadów», idei solidarności i łączności świata żyjących ze światem duchów, której rozwój ma podnosić moralnie ludzkość, a społeczeństwu polskiemu przygotować odrodzenie i wyzwolenie, to Słowackiemu znowu nauka mistrza Andrzeja rozjaśni jego przeczucia i pragnienia co do własnego stanowiska względem świata duchów i społeczeństwa, wprowadzi go na drogę do odkrycia w sobie wcielonego drogą metempsychozy ducha wodza, Króla Ducha, kierującego w różnych swych wcieleniach i w różnych epokach życiem duchowem i politycznem dawnych społeczeństw, a przedewszystkiem polskiego. W dniu 12 lipca 1841 roku Nabielak, jeden z blizkich, życzliwych Słowackiemu, sekundant w niedoszłym pojedynku paryskim, zaprowadził go do Towiańskiego. O wrażeniu, jakie z tego zetknięcia wyniósł poeta, dostrojony do niego duchowo, świadczy skreślony nazajutrz, a tchnący niewymowną siłą zapału i prawdą uczucia wiersz: «Tak mi Boże dopomóż». Niewysłowiona radość, pewność i ufność zwycięska tryska z tego tryumfalnego aktu wiary, okrzyku upojenia z ujęcia i rozwinięcia sztandaru sprawy Bożej. Zapominając o mistrzu i jego prawach do przewodzenia, poeta, wstrząśnięty piorunem nowej idei, czuje się głosicielem woli Bożej i przeznaczeń ojczyzny.

Z pokorą teraz padam na kolana,
Abym wstał silnym Boga robotnikiem.
Gdy wstanę, głos mój będzie głosem Pana,
Mój krzyk, — ojczyzny całej będzie krzykiem,
Mój duch — aniołem, co wszystko przemoże,
Tak mi dopomóż, Chryste Panie Boże!

Zestawienie tego wybuchu pragnień i nadziei odrodzonej duszy Słowackiego ze wspaniałym aktem wiary, jakim unieśmiertelnił Mickiewicz swój duchowy przełom («Rozum i Wiara») w tym samym momencie życia swego (co do wieku), uwydatnić może najwymowniej przedział, dzielący te dwie dusze i scharakteryzować stosunek ich do

Boga i społeczeństwa. Najnowszy biograf Słowackiego, prof. Tretiak, określa ten nowy okres w życiu duchowem poety mianem «transfiguracyi». W istocie jednak jest to tylko ostatnie, najsilniejsze i najgłębsze z całego szeregu przekształceń, polegających na kolejnem przyswajaniu sobie przez twórcę «Króla Ducha» nastroju uczuciowego, punktu widzenia rzeczy, a w związku z tym właściwości artyzmu, całego szeregu mniejszych i większych duchów, których wpływowi się poddawał. Widzieliśmy, jak kolejno przejmował nastrój duchowy Zaleskiego, Mickiewicza, Byrona, Dantego. Szekspira, Krasińskiego. Wkrótce spotkamy się z pełniejszem i świetniejszem, niż w poprzednich fazach, przyswojeniem znamion duchowych Calderona. Wpływ Towiańskiego, będący pośrednio wpływem Mickiewicza, tego duchowego ojca zasadniczych pojęć nauki mistrza Andrzeja, różni się od poprzednich tem przedewszystkiem, że wprowadza ducha poety w dziedzinę postaci, będących nie kreacyami artystycznemi, ale realnością, dla wierzących w nie naturalnie — że wywołuje w jego duszy po raz pierwszy potężne rozbudzenie uczucia, z którego płynąć będzie odtąd szczerość, ciepło i siła przekonania, na jakich zbywało poprzednim kreacyom, powstającym z podniecenia wyobraźni, że, jakkolwiek i teraz jeszcze, jako artysta, podlegnie na czas pewien wpływowi Calderona, to odtworzenie właściwości artyzmu mistrza hiszpańskiego przewyższy świetnością piękność oryginału. W ostatniej wreszcie fazie rozwoju artyzmu, w okresie tworzenia «Króla Ducha», osięgnie, zarówno w treści, jak i formie swego arcydzieła, niezależność artystyczną, królewskość ducha, który z całego szeregu wcieleń wyniesie w zdobyczy pierwiastki nowej, ostatniej, najwyższej formy artyzmu. Rzecz naturalna, że, odebrawszy to potrącenie duchowe od Towiańskiego, nie pozostanie długo w gronie posłusznych i uległych mistrzowi, że jeden z najpierwszych, wcześniej daleko niż Mickiewicz, odłączy się, w poczuciu własnej duchowej potęgi, własnego, bezpośrednio od Boga otrzymanego posłannictwa. Nie robotnikiem pokornym, ale «aniołem Bożym», «ojczyzny krzykiem» stać się teraz zapragnie. Ten porywający pędem uczucia i wyobraźni wiersz «Tak mi Panie dopomóż» jest jednocześnie aktem pokory, wyznaniem nowej nauki i okrzykiem niezależności od mistrza, ogłoszeniem swego posłannictwa. Jak u Mickiewicza, tak i u Słowackiego, Towiański potrąceniem swojem wywołał wyładowanie nagromadzonych zdawna czynników duchowych, ukształtowanie w całości dawno i zwolna wyrabiających się wierzeń i dążeń, których zawiązki, sięgające czasów wileńskich, występują w szerszem rozwinięciu już w «Godzinie myśli». Siła charakteru pozwoliła Mickiewiczowi dłużej pozostać w związku z mistrzem, polot wyobraźni odrazu Słowackiego uskrzydlił do samoistnego lotu i pobudził do odtwarzania artystycznego rozwidniających się przed oczami duszy tajemnic pra-wieku i zaświatowych sfer, zespolenia przeszłości ojczyzny z dziejami własnego ducha. Poświęcając jeden ze swych wierszy Towiańskiemu, określa poeta wpływ jego temi słowy: «Temu, który nie

słowy, ni nauką, ale przyjściem swoim i zapowiedzeniem sprawy Bożej, ducha mojego z więzów uwolnił i przejściu w krainę wiedzy dopomógł». Dalej zaznacza, że z całej nauki mistrza dla niego znaczenie ma ta jedna, równie doniosła, jak odkrycie Kopernika, prawda, «że wszystko przez Ducha i dla Ducha stworzone jest». Rzecz naturalna, że w takim nastroju, patrząc z takiego stanowiska na swoją przeszłość i swe przyszłe zadania, ze wstrętem i politowaniem ocenia własne poprzednie fazy duchowe — Bajronizm zwłaszcza — swe nawyknienia i upodobania światowe, wreszcie swe dawniejsze utwory. Stosunek do ludzi i współrodaków ulegnie zupełnemu przewrotowi. Donosząc matce, w liście z 2 sierpnia 1842 r., że «świat glansowanych rękawiczek i woskowanych podłóg» zniknął zupełnie mu z oczu, dodaje: «Wiele nadziei zwiędłych Boża miłość i łaska ożywiła we mnie, już nie wyrzekam, ale ufam... Otoczył mię krąg ludzi kochających, kosztuję nowego stanu duszy, zdaje się, że błogosławieństwo Boże jest nade mną. Wszystko to podobne jest do snu i do marzenia i wytłomaczonem być nie może».

Zapał neofity, który w związku z «kolumnami duchów» i Bogiem, znalazł nieznane mu dotąd rozkosze uczuć religijnych, wraz z przeświadczeniem o dostojności własnego ducha, wytworzy nowy, nieznany dotąd duszy poety, nastrój heroiczny i nowy pęd wyobraźni, cechujący cały szereg świetnych dzieł tego ostatniego i najwyższego okresu twórczości. Wynikiem tego nastroju będzie przekształcenie pomysłów, wysnutych przy pracy nad dalszym ciągiem «Beniowskiego», w heroiczno-mistyczne dramaty: «Ksiądz Marek» (Paryż 1843), «Sen srebrny Salomei» (Paryż, 1844), tudzież to cudowne zespolenie własnego nastroju z heroizmem mistycznym Calderona, w przekładzie «Księcia Niezłomnego» (Berlin, 1844). Z dwóch oryginalnych dramatów tylko w pierwszym znajdzie poeta w księdzu Marku, Judycie, Kossakowskim, Kazimierzu Pułaskim, postacie, w które będzie mógł wcielić swój heroizm, upojenie nawróconego, pęd wyobraźni, odurzonej nowością niedostępnej jej dotąd dziedziny; we «Śnie srebrnym» królować zaś będzie wyobraźnia, gospodarująca swobodnie w otwartej i rozjaśnionej srebrnym blaskiem mistycyzmu krainie snów, widzeń, tworzącej taki kontrast z rzeczywistością życia szlacheckiego, krwawym blaskiem pożarów i rzezi hajdamackich.

«Ksiądz Marek», uważany jako szereg płomiennym blaskiem oblanych obrazów, jako ciąg położeń niezwykłych, wywołanych przez dążenie postaci niezwykłych, po odrzuceniu większej części aktu ostatniego, stanowi z jednego odlewu duchowego metalu wytworzone, lecz niedokończone arcydzieło polskiego Calderona. Trudność rozwiązań, która nie pozwoliła poecie dokończyć tylu świetnie zaczętych utworów, tu wobec rzeczywistości dziejowej, załamującej swą granitową ścianą pęd uczucia i wyobraźni, doprowadziła do wymęczonego, niezdarnego załatania ciągu obrazów, olśniewających heroicznym entuzyazmem i szałem uczuć.

Nastrój ducha poety w chwili tego porywającego wytrysku heroiczno-mistycznego uczucia, jakim jest «Ksiądz Marek», pozwolił mu dostrzedz potężne siłą uczucia i wysłowienia odbicie pokrewnego nastroju w starej pieśni konfederatów barskich, wprowadzonej, w mistrzowskiem przekształceniu, do utworu w pierwszej scenie dramatu. Pieśń ta, osnuta na psalmie 46 («Deus noster refugium»), góruje potęgą wiary i zapału, polotem formy nad całą naszą liryką patryotyczną, nie wyłączając nawet chórału Ujejskiego. Zespolone w tej pieśni, omawianej przez Mickiewicza w prelekcyach paryskich, myśli i obrazy psalmisty z naiwną pobożnością i energią rycerską obrońców Baru, pociągnęły pokrewnie nastrojoną, wrażliwą duszę Słowackiego, który dał nam tu najprostszy i najsilniejszy wyraz własnych uczuć i użył tej pieśni za sztandar, powiewający nad postaciami utworu. Trafniej i wymowniej ona charakteryzuje postać bohatera, niż ekstatyczna odpowiedź tego cudotwórcy na oznajmiony mu przez marszałka konfederacyi zamiar opuszczenia Baru. Odpowiedź ta jest to właściwie, w drugiej zwłaszcza połowie, prorocze widzenie przyszłego odrodzenia Polski przez Towianizm i przeniesienie na Księdza Marka, widzianego w wyobraźni, a wysnutego z silnej wiary poety, stosunku ze światem duchów:

> Bo zaprawdę jestem w lidze z duchami i ze świętemi!
> A chociaż nizki na ziemi — To duchy okryte zbroją
> Na ramionach moich stoją! I kończą się gdzieś w bezkońcach
> W świecie, gdzie gwiazd zawierucha..
> W gwiazdach, meteorach, słońcach —
> Za słońcami, w słońcu Ducha!

Poeta, który nie tak dawno jeszcze wyrzekał się wszelkiej wspólności z rubasznymi czerepami Lechitów i widział w sobie potomka wytępionych harfiarzy-Wenedów, teraz czuje na swych ramionach całe piętra duchów w «zbrojach», duchów przodków lechickich i upaja się szczęściem i siłą tego zespolenia. Idea «Dziadów», solidarności i łączności świata duchów ze światem żyjących, owładnęła teraz duszą Słowackiego i zespoliła go w bratnim uścisku z tym, w którym dotąd widział swego przeciwnika, zagradzającego mu drogę, ze współzawodnika uczyniła współpracownika w sprawie Bożej. Za to rosnący rozłam z Krasińskim i jego ideałami, głoszonemi we współcześnie wydanym «Przedświcie» widocznym jest w różnych miejscach utworu i w niekorzystnem oświetleniu postaci tak drogiego twórcy «Niebos-kiej» przodka, biskupa kamienieckiego, marszałka konfederacyi.

«Sen srebrny Salomei», będący, podobnie jak «Ksiądz Marek», przerobieniem, w formie «romansu dramatycznego», pomysłów do dalszego ciągu «Beniowskiego», nie ma już tego heroicznego nastroju, występującego tylko w niektórych momentach. W całości swej przedstawia się jako fantastyczny ciąg obrazów i sytuacyi, wysnutych z kombinowania ze sobą postaci, przemawiających dość słabo do

serca i wyobraźni poety, odtwarzanych dość chłodno lub z ironią, przypominającą ton «Nowej Dejaniry». Jedna tylko postać Wernyhory wnosi do utworu świetność artyzmu, dorównywującą blaskowi «Księdza Marka». Wobec wyraźnie zaznaczonej intencyi uczczenia matki przez wprowadzenie bohaterki, noszącej jej imię i charakteryzowanej z pomocą szczegółów, zapożyczonych z jej młodości, trudno zrozumieć, jak w duszy poety godziła się z tym zamiarem zarówno charakterystyka przewrotności i obłudy kobiecej, włożona w usta Leona, kochanka Sali, jak i stosunek, ich wiążący. Towianizm odzywa się tu jedynie we wprowadzeniu snów, jako czynnika, w akcyi utworu i powoływania się osób działających na wpływ duchów. Olbrzymiej długości opowiadania (Pafnucego i Sawy) są nie tyle pojawem wpływu Calderona, ile pozostałością epickiego pochodzenia materyału, przygotowanego dla dalszego ciągu powieści o Beniowskim, a przekształconego na udramatyzowany romans, przysłoniający jakby srebrzystą mgłą sennych widziadeł jaskrawość krwawego tła, dzikość wchodzących w grę namiętności, wreszcie nieloiczności i sprzeczności w charakterach i czynach, położeniach. Jest to jakby senne marzenie, w którem wspomnienia rodzinne, słyszane w dzieciństwie opowieści, rysy życia szlacheckiego i ludowego na Rusi, szczegóły, z tradycyi i z książek zebrane o ruchach hajdamackich, Wernyhorze, przesuwają się przed wyobraźnią poety, budząc w nim, naprzemiany, to sympatyczne rozrzewnienie, to ironiczno-krytyczne spojrzenia, to wreszcie heroiczne i mistyczne nastroje. Z tego punktu widzenia dopiero odsłania nam ten dziwny utwór swój specyalny powab. Sam poeta stwierdza to w liście do matki (30 list. 1844), w którym powiada: «Ja sobie żadnego z moich utworów teraźniejszych wytłómaczyć nie mogę. Nie wiem bowiem, skąd przychodzą i dokąd idą; ale czasem względem nich są dziwne okoliczności, które mi dowodzą dziwnego związku tych rzeczy ze światem niewidzialnym, a ztąd i potrzeby ich dowodzą». Słabość naciągniętych rozwiązań wynika z trudności i niemożliwości niemal ujęcia tych sennych obrazów w ramy wymagań świadomego umysłu, wysnucia z nich konkluzyi, zadowalającej logiczne, etyczne i estetyczne warunki. Wyłamanie się z przyjętych przez Koła Towiańczyków, a krępujących swobodę indywidualną wymagań, było nieuchronnem następstwem organizacyi duchowej poety. Ani zalecanego i przez Mickiewicza popieranego wstrzymania się od twórczości literackiej, a zwrócenia na drogę czynów, ani poddania się pod decyzye koła niepodobna oczekiwać od przyszłego twórcy «Króla Ducha». Nauka Towiańskiego właśnie utwierdziła go w przeświadczeniu o niezwykłem posłannictwie, danem mu przez świat duchów, a przecież całą siłą jego ducha, całą świetnością i dostojnością była potęga artyzmu, której używać teraz będzie dla szerzenia nowej nauki śród ludzi, dla ukazania potęgą własnego uzdolnienia tajemnic, odsłaniających się mu coraz więcej, pod wpływem związków ze światem nadziemskim.

To przeświadczenie, wraz z podjętą współcześnie pracą nad przekładem «Księcia Niezłomnego», podnieciło na nowo i spotęgowało w poecie nastrój heroiczny i pozwoliło mu, po całym szeregu odtworzeń stanów duchowych i znamion artyzmu wielkich poetów, zabłysnąć najświetniejszą z tego długiego ciągu duchowych kreacyi, odtworzeniem Calderona, owładnięciem zasobami jego heroiczno-mistycznego ducha, ognistego temperamentu i opartego na tych czynnikach artyzmu. To też Słowacki, który dla władnących poprzednio jego wyobraźnią mistrzów miał słowa podziwu, zachwytu artystycznego, oddaje mistrzowi hiszpańskiemu swe serce («Ukochałem księcia Niezłomnego» — w liście z 30 list. 1844). Przyznaje, że mu ten dramat «kości wewnętrzne połamał», bo są w nim «pioruny poezyi». Pod wpływem heroicznego swego nastroju, patrzy z lekceważeniem nietylko na «Godzinę myśli» i «Lambra» ale też na «Balladynę» i «Lillę Wenedę».

Wyobraźnia i myśl poety, znalazłszy w nauce Towiańskiego stwierdzenie przejętych z otoczenia w dzieciństwie, umocnionych przez poznanie nauki Swedenborga w latach szkolnych, pojęć i wierzeń o oddziaływaniu świata duchów na świat ludzki, pracują teraz z zapałem nad rozwiązywaniem, z pomocą tych pojęć, zagadnień bytu indywidualnego i jego stosunku do wszechświata. Pierwszem odbiciem tej pracy duchowej jest niedokończony, lecz niezwykle piękny polotem wyobraźni, podniosłością myśli, głębią i muzyką uczucia, fragment p. t. «Poeta i natchnienie»[1]). Występuje tu już wyraźnie idea metempsychozy, bardzo naturalna u artysty, który na sobie obserwował zdolność przetwarzania się w tylu z kolei duchów twórczych, który więc miał pewną podstawę do wnioskowania, iż duch jego, w tych fazach twórczych, przypominał sobie swe dawne kolejne wcielenia i miał zawsze za towarzysza ducha nadziemskiego, dającego natchnienie i nazwanego tu Atessą. zamierającego i zmartwychstającego z nim razem. Po epoce greckiego, harmonijnego współżycia, nastąpiło rozłączenie. Poeta zapytuje pojawiającą się mu Atessę, gdzie była, gdy:

... spędzany zawsze skrzydłem chyżem
Śmierci, musiałem nędzny grób rozrywać
I sam przychodzić i znów odlatywać.
Gdzie byłaś, gdym tu nareszcie za karę
I za ostatni los — z potęgą słowa
Wstał, słysząc w duchu jakieś wieki stare,
Których ogromna szmerność podgrobowa...

Co spełniał w czasie tego rozdziału duch poety, o tem wyraża się ogólnikowo w słowach:

przez krew i zbrodnie
Szukałem ciebie, rosnąc w piękność mocy,
Która po twojej trzyma niezawodnie

[1]) Rozwinięte tu myśli spotkamy ponownie w «Zborowskim».

Najpierwsze miejsce u samego Boga...
On wie, że w moim duchu nie miał wroga.

«Król Duch» opowie nam i rozjaśni dzieje tych kolejnych wcielań. Wreszcie nastąpiło spotkanie, upragniona i oczekiwana Atessa zjawiła się w chwili...

Kiedy ja wichrem nieszczęść zbity
I tak, jak sztandar, kulami zniszczony,
I tak, jak hełm Hektora bez kity,
I tak, jak harfa, co straciła tony,
I tak, jako trup w grobowcu odkryty,
Na bezlitosne wystawiony wzroki,
I tak widzący swój zgon, jak proroki,
Walę się w prochu...

Tak poeta odmalował swoje duchowe wstrząśnienie i przekształcenie pod wpływem Towiańskiego. Drugiem duchowem potrąceniem, z którego wypłynął cudowny obraz, o wiele wyższy artystycznie od pierwowzoru, był «Przedświt», czarujący wyobraźnię Słowackiego postacią Bogarodzicy, przekształconą tu w postać idealną niewieścią na tle milionami słońc jaśniejącej nieskończoności, płynącą na «półmiesięcznej łodzi» na czele zastępu duchów, «sypiącą rękami złotymi litosną miłość». Beatrice z «Przedświtu» z harfą w dłoni i iskrą natchnień, skrzącą się z lica, rozanielona blaskiem księżyca, otaczającego światłokręgiem jej skronie, przekształciła się u Słowackiego w wyższą duchowo, przedwieczną, nieśmiertelną Atessę, «gwiazdowem uwieńczoną złotem». Jak cudny epizod o jaskółkach jest przeciwstawieniem subtelnego, wzruszającego prostotą wyrazu uczucia patryotycznego poety, wymownym, silnym, lecz trącącym patosem wybuchom uczuciowym «Przedświtu», tak znowu barwnemu, lecz teatralnemu nieco pochodowi podnoszących się z grobów przedstawicieli przeszłości, Słowacki przeciwstawia tu trzy duchy, przedstawicieli przeszłości, bohaterów zamierzanej przez poetę «Iliady barskiej»: Beniowskiego, Wernyhorę i Księdza Marka, ale w przeciwieństwie do autora «Przedświtu», solidaryzującego się z przeszłością i jej winami, woła:

Stary świat skonał, nie zaczął się nowy.
Dla takich duchów, jak wy, miejsca niema!
Lećcie i w nową zorzę się rozpłyńcie
I bądźcie nowi duchem — albo zgińcie.

Widzeniom przyszłości świata i Polski, rozwijanym w «Przedświcie», Słowacki chciał widocznie przeciwstawić swoje, ale myśl i wyobraźnia nie mogły się zdobyć na samodzielne, zadowalające rozwiązanie tego pytania, i utwór pozostał nie dokończony. Łańcuch duchowej łączności, spajający niedawno braci Wenedów, został zerwany i role dwu przyjaciół się zmieniły. Przedtem, młodszy wiekiem, lecz dojrzalszy umysłem, bogatszy wiedzą i doświadczeniem życiowem, Krasiński, był

przewodnikiem, kształcącym, kierującym starszego, przez lotną, kapryśną wyobraźnię uwodzonego i unoszonego towarzysza, teraz naodwrót, wzbiwszy się na wyżyny artyzmu i szczyty mistycznych wzlotów, Słowacki patrzy z góry na swego niedawnego mentora, usiłuje go pociągnąć za sobą. W listach z tego czasu, po bezskutecznych wysiłkach, podniecony przez nowo pojawiające się, po dłuższej przerwie, utwory Krasińskiego, głoszące sprzeczne tak z niedawno rozwijanymi, poglądy na przeszłość, sprobuje naprzód przeciwstawić w «Poecie i natchnieniu» swój artyzm i pojęcia artyzmowi i ideom «Przedświtu», a po wydaniu «Psalmów» zerwie się do zaciętego boju z dawnym przyjacielem, w którym będzie widział antagonistę swego w dążeniach do duchowego przewodnictwa narodu.

Miarą siły przekształcenia duchowego w poecie jest spotęgowanie artyzmu, który, zbogacony muzyką głębokiego uczucia i pogłębieniem sądu o życiu, stosunkach ludzkich i świecie, widzianych pod kątem nieskończoności, dosięga teraz najwyższego stopnia swego rozwoju. Przekształcenie to odbiło się na charakterze i życiu poety. Miłość i wdzięczność dla Boga wypełniła jego serce. «On mię wodził po kwietnych drogach i przywiódł do celu, pisze w liście do matki z 28 lipca 1843 r., on staremu memu duchowi, co już długo musi na świecie żyć, bo wiele sobie przypomina instynktownie z dawnych żywotów... pozwolił teraz dowiedzieć się nareszcie, jak mam dopełnić misyi, abym już nie potrzebował wracać i oblekać gorsze lub lepsze ciało, ale abym już poszedł między Aniołów ... i stamtąd jeszcze natchnieniami, miłością dopomagał tym, co idą za mną»... Poeta czuje się na ostatnim, najwyższym szczeblu ewolucyi ziemskiej ducha, prowadzącej do anielstwa. Zrozumieć i spełnić najlepiej swe ostatnie ziemskie posłannictwo, przeniknąć zakryte duszom mędrców tajniki rozwoju świata, poznać i odtwarzać dzieje własnego ducha w jego dawniejszych wcieleniach, oto zadanie, które owładnie całą duszę Słowackiego, skupi całą energię myśli, wyobraźni, całą siłę spotęgowanego artyzmu. W takim stanie duszy poeta pragnie, a więc wypatruje i wyczekuje ciągle znaków ze świata duchów. Znakami takimi wydają mu się przedewszystkiem sny, które zapisuje teraz skwapliwie, drżącą ręką, do swego notatnika. Miłość dla przyrody rośnie, potężnieje pod wpływem rozmyślań nad związkiem jej życia ze światem duchów. «Teraz życie i śmierć jednakowo mi są ponętne, pisze w liście z 12 sierpnia 1844 r., i niczem się nie różniące od siebie». Prawdopodobnie w tym roku, w czasie pobytu nad morzem w Pornic napisał poeta swą «Genezis z ducha», do której potrącenie duchowe i wątek myśli przewodniej dostarczyły mu pojęcia Krasińskiego, zapewnie listownie udzielone, i wykłady Mickiewicza (prelekcya z 19 marca 1844 r). W ogłoszonych, w roku następnym, «Psalmach» Krasińskiego spotykamy wypowiedzianą zasadniczą myśl «Gienezy z ducha» w słowach:

«Patrzcie, patrzcie! — Od kamienia Jak stopniami Pan przemienia Duchy stworzeń. — Zrazu senny wszczątek życia, aż powoli

wydobędzie się z niewoli... Wreszcie przywian Duch z daleka, wdziewa na się pierś człowieka. — Głaz, kwiat, zwierzę, śniły z cicha, On ku niebu pnie już głowę — Do Aniołów pieśnią wzdycha między gwiazdy eterowe». Jak Krasiński wypowiedział tu, w formie poetycznej, myśli zaczerpnięte z niemieckiej filozofii, tak Słowacki odtworzy współcześnie prozą natchnioną, brzmiącą upojeniem radosnem i mistycznym zachwytem, odsłonięte mu przez wyższe potęgi tajemnice wszechświata i zagadkę bytu. Czarodziejski dywan, z którego strzępy tylko lewej strony dostępne były oku mędrców i myślicieli, ukazał poecie — wybranemu duchowi — swą niewidzialną stronę, budząc w sercu jego niewypowiedziane szczęście, a otwierając wyobraźni i artyzmowi niewyczerpane skarby postaci, obrazów, blasków, tonów. Pracując zdawna nad wyjaśnieniem sobie dręczącej każdego myślącego człowieka zagadki bytu, zbierał poeta i zestawiał różne wskazówki i myśli z dzieł filozofów i przyrodników, z rozmów z Krasińskim i obserwacyi nad sobą, swojem życiem duchowem. Zamierzał ująć to w formę rozprawy filozoficznej, której plan naszkicował w swym notatniku, ale polot wyobraźni, pobudzonej przez wspaniałość Oceanu, wraz z egzaltacyą uczuć religijnych, przekształcił filozofa w natchnionego «widza Bożego», jak w wieku XVI nazywano tych, których dziś z francuska dajemy miano wizyonerów. «Na skałach oceanowych postawiłeś, mię Boże, woła w uniesieniu poeta, abym przypomniał wiekowe dzieje ducha mojego, a jam się nagle uczuł w przeszłości nieśmiertelnym, Synem Bożym, stwórcą widzialności i jednym z tych, którzy Ci miłość dobrowolną oddają na złotych słońc i gwiazd girlandach». Sam utwór jest rodzajem hymnu a raczej w podniosłym tonie trzymanej, opowieści lirycznej wiążącej fakty Mojżeszowej Genezis z myślami poety, wysnutemi z wyrzeczeń Ewangielii św. Jana («Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo») i faktami, zaczerpniętymi z paleontologii.

«W skałach już leży duch doskonałej piękności, uśpiony jeszcze, ale już przygotowany na człowieczeństwa formy, a tęczami myśli Bożej spowity, niby sześcioraką girlandą». Na wyższym stopniu bytu w organizmach pojawia się śmierć jako «przejście ducha z formy do formy» i dana duchom moc odtwarzania podobnych sobie form. Najwięcej zajmuje się myśl poety światem roślinnym, dla którego żywił najsilniejszą sympatyę. «Uczuwszy woń róży, wyznaje poeta-widz Boży, zapominam na chwilę... ludzkiej mojej natury, a powracam niby w te czasy w których celem, dla ducha mego, było utworzenie piękności, a odetchnienie wonią było mu jedyną ulgą w pracy i rozkoszą. A tak o Panie, powracam, niby na chwilę, w dzieciństwo moje i przychodzi, niby z otchłani genezyjskich, wiatr orzeźwienia i młodości». Doprowadziwszy swój mistyczny wywód do stworzenia człowieka, o którego «przeciążona duchem» natura wołała do Boga, kończy zapowiedzią przedstawienia pracy ducha w ludzkości, w dalszych księgach. Pragnieniem i nadzieją poety było, iż nauka jego, ujawniona narodowi polskiemu, przez Boga wybranemu, utoruje drogę do Królestwa Bo-

żego i pozwoli mu, śród ludów świata, zająć przodownicze stanowisko, zostać tą «Niedzielą wieków», jak się wyraża Krasiński («Dzień dzisiejszy»), czerpiący równie, jak i Słowacki, myśl tę i wiarę z «Ksiąg Narodu», z ich mesyanicznej ewangielii. Twórca «Genezis z ducha» był świadom tego źródła swej myśli (ob. Tretiak II, 88), lecz sobie przypisywał szersze, pełne rozwinięcie i pogłębienie takowej, przez powiązanie z rozwojem duchowym całej ludzkości. Uważając jednak współczesnych rodaków za nieprzygotowanych i niezdolnych do pojęcia i przyjęcia objawionej mu prawdy, wstrzymywał się z ogłoszeniem jej, wyczekując wskazówki z niebios. W jednym z fragmentów dalszego ciągu «Beniowskiego» zapytuje się o to Ducha Świętego: «Kiedyż, o boży zwiastunie, gołębiu, który szepczesz mi do ucha, te straszne rzeczy, zrobisz taką ciszę, że Polska to usłyszy, co ja słyszę».

W ciekawej notatce, z tego czasu, oświadcza Słowacki, że «dzieło to» jest owocem dwuletniego stanu nadzwyczajnej egzaltacyi i myśli ciągle przez ów czas zwróconej ku Bogu i ku źródłom wiedzy. Napisane jednym ciągiem pióra, jednem tchnieniem modlącego się ducha, ale rozważane głęboko». W ostatnich dniach życia oddając rękopis «Genezis» Szczęsnemu Felińskiemu, dołączył kartkę ze słowami: «Genezis z Ducha, pismo zdaniem autora najważniejsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek napisał; zawiera bowiem alfę i omegę świata». Rzecz naturalna, iż najgorętsi nawet z wielbicieli poety nie potwierdzą dziś tego sądu. Dla potomności «Genezis» będzie miała swe znaczenie głównie jako klucz do zrozumienia całego szeregu wspaniałych utworów, z ostatnich lat jego życia, a przytem jako jeden z najciekawszych i najpodnioślejszych pojawów w rozwoju mesyanizmu polskiego.

Zapewne jeszcze w ciągu dwuletniego zastanawiania się nad kwestyami, rozstrzygniętemi w piśmie powyższem, snuł poeta pomysły, odnoszące się do rozjaśnienia roli ducha w życiu społeczeństw, starał się pochwycić wątek duchowej spójni idących po sobie pokoleń i wieków. «Śni mi się jakaś wielka, przez wieki idąca powieść», wyznaje we fragmencie z tego czasu, «niby na twarzy ogromnego miesiąca ludy wymalowane... krwią swą purpurową idące błagać Boga i wiekuiste Słowo... O pomóż, Zbawicielu, abym te wszystkie rzeczy... do gwiazdy i do celu doprowadził... Prześwięte więc żywoty opiszę... i tych jasnych duchów słonecznik złoty ciągle ku przejasnemu słońcu odwracający oblicze... więc i wielki ów kraj teraz płaczący wolności.. zbudzę». Snujące się w duszy «kaznodziei-poety», tak siebie tu nazywa, plany przyszłych dzieł przedstawiają się, jak wielka mgławica, która zacznie wyłaniać z siebie coraz to świetniejsze skupienia cząstek gromadzonych siłą twórczą dośrodkowej energii, skupienia, które niestety nie zdołają nigdy osiągnąć pełni skończonego kształtu. Nowy stan ducha, nowy tak wysoki nastrój uczuć, polot myśli i wyobraźni, usiłującej odtwarzać tajniki świata duchów, wymagały nowych form, nowego języka i stylu. Poeta to czuje i mozoli się nad wytworzeniem

szat odpowiednich wielkości i podniosłości treści, usiłowania te jednak nie doprowadzą do zadowalających go wyników i nie dozwolą dokończyć i ogłosić za życia większej części poczętych w tym czasie dzieł. W najwcześniejszem zapewne z nich, w «Zawiszy Czarnym», którego postać, przypominająca «Księcia Niezłomnego», pociągnęła wyobraźnię i myśl poety, spotykamy świadectwo takiego mocowania się z trudnościami nowej poezyi, w gmatwaninie licznych waryantów tekstu i w rozmaitości stylów i form, nadających mozajkowy charakter szacie tego nieskończonego dramatu. Kolejno występują tu formy greckiej tragedyi (Chorus), szekspirowskie dowcipkowanie, bajroniczne motywy (Maurytanka w przebraniu giermka, towarzysząca Zawiszy), Kalderonowski wiersz ośmio-zgłoskowy naprzemiany z jedenasto- i trzynasto-zgłoskowym i prozą, i wreszcie tu i ówdzie świat duchów jako czynnik, wpływający na czyny bohatera, który w rozmowie ze starościanką Laurą wyznaje:

Od jakiegoś ja czasu
Jestem przez ciemne duchy za ramiona chwytany,
Oczy me pełne ognia, a hełm pełny hałasu.

Różnorodność nie zharmonizowanych pierwiastków, przy luźności budowy, upodobnia ten utwór ze «Snem Salomei» i pozwala go nazwać udramatyzowanym romansem fantastycznym. W najściślejszym związku z ideami «Genezis z Ducha» zostaje inny utwór, nie wykończony, w formie dramatycznej, ogłoszony pod nadanym przez wydawców tytułem, «Samuel Zborowski». Stanowi on poniekąd szersze, ponowne. w innej formie rozwinięcie pomysłów, wypowiedzianych w «Genezis z ducha». Utwór ten, wielkich rozmiarów, około 3000 wierszy liczący, niedawno dopiero został poznany i wydobyty z chaosu pośmiertnych rękopisów. Małecki, przyznając, iż «w tem lub owem miejscu uderza potężny gieniusz poety», widzi w całości «bezład, zamęt, brak artystycznego układu i jasnych pojęć»... zdradzający, z jak «mętnego stanu ducha dzieło wyszło». Z tego powodu uznał je za niegodne ogłoszenia w zbiorze pośmiertnych utworów. Dzisiejsza krytyka widzi w tym fantastycznym, nie dokończonym dramacie niemal arcydzieło poety. I trzeba przyznać słuszność temu sądowi. Jako wyraz duszy Słowackiego w ostatniej fazie jej rozwoju, w rozkwicie jej spotęgowanych uzdolnień, «Zborowski» rozległością horyzontów, śmiałością fantazyi, świeżością artyzmu, szukającego nowych dróg i form, przewyższa «Króla Ducha», to również potężne, choć nie wykończone, lecz przy całej świetności szczegółów, ciaśniejsze zakresem widowni i skrępowane monotonią oktawy, odbicie bogactw duchowych twórcy.

Heroizm mistyczny poety znalazł w «Zborowskim» najpełniejszy i najświetniejszy swój wyraz. Po raz pierwszy wyzwala się tu Słowacki z zależności od wpływów wielkich poprzedników, przestaje przemawiać językiem greckich tragików, Szekspira lub Calderona, krępować się wymaganiami poetyki lub sceny. Życie duchowe ludzkości

przedstawia mu się jako ewolucya ścierających się potęg, stąd dla odtworzenia, odsłoniętych jego duszy, tajników tego procesu rozwojowego, jedyną możliwą formą jest dramat fantastyczny, w którego ramach zamykali treść swego ducha najwięksi mistrze poezyi nowożytnej. Bezimienne — bo tytuł obecny, dany przez Małeckiego, nie odpowiada treści — arcydzieło Słowackiego powinno być wyłączone z długiego szeregu jego dramatów, a zająć stanowisko w szeregu dzieł, odtwarzających syntezy okresów całych duchowej ewolucyi poety, jakimi są: «Kordyan», «Anhelli» i zamykający ten szereg: «Król Duch».

Na powstanie «Zborowskiego» złożyły się dwa bodźce: pragnienie uplastycznienia i rozwinięcia dalszego pojęć, zawartych w «Genezis z ducha», i występujący tu ponownie zamiar przeciwstawienia «Przedświtowi», który wstrząsnął wyobraźnią wrażliwego na wszelkie piękno poety, własnego sądu o przeszłości i przyszłości narodu. Głos obrończy Lucyfera w akcie V, obejmujący do 1000 wierszy (więcej niż trzecią część całości utworu), zaczyna się słowami:

Panie, oto jest jedyny manifest
. . . . . .
. . . . . wolny głos za mym narodem,
Który, oto tu przed niebieskim grodem
W tych dwóch osobach stoi. — Przeszły wieki
Sławy, a już w grobowcu, o Panie!
Jako głos harfy wygląda daleki.
. . . . . .
Dajże mi siłę i głosy poważne,
Adwokatowi już nie szczęścia, sławy,
Ale tej oto wielkiej bożej sprawy,
Która musi być wygraną w niebiosach.

Poeta, podrażniony przyjętym przez Krasińskiego w «Przedświecie» tonem i stanowiskiem męczennika i wieszcza narodu, chce stwierdzić swoje prawa do takiego przewodnictwa duchowego, wołając:

Lecz, jeśli cierpiał kto więcej ode mnie,
Jeśli kto twardszą był na piorun skałą,
Jeśli w kim serce wzgardą głośniej brzmiało
Na fałsz, co fałsze tu szatańskie wspierał,
Jeśli kto większe łzy w źrenicach zbierał
Nad nędzą wielkich, we wnętrznościach powiek;
Jeśli jest taki tutaj duch i człowiek,
A jeśli nędze ojczyzny go ruszą,
Niech stanie — głos mu oddam choćby z duszą.

Wieszcz czuje się silnym przez poparcie potęg niebiańskich, wyrażających mu uznanie odgłosem trąb, radosnem «Hosanna» chóru aniołów; urąganie «Małych» z ziemskiego padołu nic go nie obchodzi, bo oto głos z góry oznajmia, że «Sprawa u Pańskich podwoi przed są-

dem Boga». Nieco chłodnym obrazom «Przedświtu», ukazującym z kolei to przesuwający się w przestworzach nadziemskich korowód duchów polskich, prowadzonych przez królową — Bogarodzicę, to zmartwychwstałą, odrodzoną Polskę, powołaną przez Boga na zbawicielkę i przewodniczkę ludzkości i odbierającą hołd miłości i czci od wszystkich ludów świata, przeciwstawia tu poeta swe pomysły, w istocie rzeczy identyczne, pogłębione tylko przez oparcie na pomysłach «Genezis z ducha» i płonące siłą uczucia. Gdy u Krasińskiego głos Boży oznajmia ludom:

Jak im Syna niegdyś dałem,
Tak im, Polsko, daję ciebie
. . . . . .
Bądź więc prawdą, jak on wszędzie,
Ja cię córką moją robię.

Słowacki przedstawia Polskę jako nową Golgotę, na której Chrystus zatknął swój Krzyż.

Na głowach, które dla ojczyzny spadły,
Na sercach, które były Twoją skałą,
Bo ukochały coś więcej niż ciało
I nie ulękły się wiecznej mogiły.

Bogarodzicy, wiodącej hufiec dusz polskich, przeciwstawia twórca «Zborowskiego», cudowną, tajemniczą postać kobiecą: Polskę Bogarodzicę, obleczoną w słońce, z księżycem pod nogami, w koronie z dwunastu gwiazd. Ukazała się ona już św. Janowi, który ją przedstawił w swej ewangelii. I to niebieskie Jeruzalem, o którem śpiewa gdzieindziej Krasiński, ukazuje nam Słowacki jako cudowne miasto z perłowemi bramami, złotem brukowanymi ulicami, odsłania «w górze ten ostateczny wschód, ostatni z wschodów... nie tylko cel złoty narodó ale i duchów, cel konieczny, jakiś ostatni, wielki i słoneczny». Poeta czuje w sobie taką potęgę, że uważa się za zdolnego dotrzeć do tego Bożego grodu:

. . . . . A jeśli na czele
Chcę wjechać, z mieczem mojego narodu
I z sztandarami następować śmiele,
Szablami rąbiąc owe perły święte.
. . . . . .
A jeśli zechcę sam i bez karabel,
Tylko przez pieśni ogromne, natchnięte
Pioruny, co mi kruszą całą duszę,
Kruszyć te bramy, myślisz, że nie skruszę?
. . . . . .
Więc musi jakiś być kraj, gdzie się schodzą
Duchy już godne najwyższego tronu,
Który swój żywot jako harfę godzą,

Nie z żadną ciała skruszonego troską,
Ale z harmonią nieśmiertelną boską,
Nie z celem ziemi już, lecz z celem światów...
. . . . . .
Wiecież wy, jaką mi ognistą paszczą
Świat broni wieków i tej Jeruzalem?
A ja to całym mej ojczyzny żalem,
Z całą mej ziemskiej ojczyzny tęsknotą
Wyciągam ręce, tęsknię za tą złotą,
Za ostatecznym snem naszych rycerzy...

Po raz pierwszy występuje tu poeta jako wieszcz-wódz narodu, czujący się potężnym, posiadaną w duszy wiedzą genezyjską, i stąd występujący śmiało, do poważnego współzawodnictwa z zajmującym podobne stanowisko Krasińskim. Podniosłość nowej roli, heroizm mistyczny, rozpłomieniający duszę poety, odbijają się w spotęgowaniu artyzmu, dochodzącego teraz do zenitu swego rozwoju. Muzykalność, siła wyrazu, niezwykła u Słowackiego plastyka, występują jako nowe cechy. Śpiżowymi dźwiękami rymów męskich — po raz pierwszy pod wpływem «Przedświtu» użytych, lecz o ile potężniejszych — brzmi heroiczny prawdziwie śpiew z 4-ej sceny I aktu «Zborowskiego».

I złamiesz świat i pójdziesz wbrew
Wojskami mar, przeciwko ciał,
I będziesz myśl przemieniał w krew,
Sam dawał moc i od nas brał
I będziesz król — lecz będziesz sam, —
Albo więc idź, albo się złam.

Gdy w swej duchowej samotności, zatopiony w otwartych przed nim tajnikach zaświatowych, śledzący z gorączkowem naprężeniem znaki i wskazówki, w sennych marzeniach otrzymywane, wstrząśnięty do głębi ukazaniem mu się na jawie, jakoby przy czytaniu Biblii, w nocy z 20 na 21 kwietnia, r. 1845, płomieni, tworzących ognistą kopułę ponad głową [1]), utwierdzony, przez tę półsenną zapewne halucynacyę, w przeświadczeniu o danym mu z niebios znaku i posłannictwie, weźmie do ręki wydane w jesieni r. 1845 «Psalmy Przyszłości» Krasińskiego, znajdzie w dawniejszym przyjacielu bracie Wenedzie, z którym świeżo chciał się pojedynkować [2]), wieszcza-współzawodnika, występującego ponownie (po «Przedświcie») w roli ducho-

[1]) W trzecim rapsodzie «Króla Ducha» powiada o tym fakcie poeta tak: «Bóg ojców, który mię raz na śpiewaniu śpiącego zastał... i cały na mnie rzucił się w błyskaniu».

[2]) Krasiński, utrzymujący w największej tajemnicy swą twórczość poetycką przed policyą rosyjską, przybywszy do Paryża dla dozorowania druku «Psalmów», ukrywał swą obecność i osobę, przez zmianę ubioru i niebieskie okulary. Powitany przez Słowackiego na ulicy, udał obcego, czem dotknął do żywego swego dawnego przyjaciela.

wego kierownika narodu, wskazującego i torującego mu drogi przyszłości. Przytem jeszcze współzawodnik ten w «Psalmie miłości» zagrzmiał piorunami gniewu i oburzenia na sympatyczne Słowackiemu doktryny świeżo wydanych «Prawd żywotnych» i «Katechizmu demokratycznego», wyrażających dążenia i pojęcia Towarzystwa demokratycznego. Dotknięty do żywego w najdroższych mu marzeniach i dążeniach, Słowacki zespolił poniekąd wszystkie siły i uzdolnienia swego ducha, by, w odpowiedzi swej, przeciwnika przezwyciężyć potęgą całą uczucia i artyzmu, oddanych na posługi bronionej sprawy.

Umiejący odczuwać i cenić piękno, przeciwnik sam nazwał, w przedmowie do swej odpowiedzi, danej w «Psalmie żalu», protest Słowackiego «jedną z przedziwności języka polskiego, brzmiącą cudownymi dźwięki, a głębokiego mistycyzmu piętnem naznaczoną». Istotnie wiersz «Do autora trzech Psalmów» jest arcydziełem liryki Słowackiego. Gdy mowa obrończa w «Zborowskim», była głównie przeciwstawieniem ideom i obrazom «Przedświtu» wierzeń i wieszczeń współzawodnika, wiersz ten jest bezpośrednim gorącym atakiem na pomysły i dążenia «Przedświtu» i «Psalmów», a zarazem stawieniem własnych haseł i obroną swego prawa wyłącznego do przewodnictwa duchowego w narodzie.

Gdy w podobnej walce, o rząd dusz, przyznał Mickiewiczowi równorzędne ze sobą stanowisko («Dwa na słońcach swych przeciwnych Bogi»), to teraz, swego niedawnego, duchowego brata-Wenedę, nie uznaje za równego mu współzawodnika. To tylko wierszopis, «który perłami pisze», to «jasny pan, modny historyk świata, który stawia się nakształt proroka ludziom», który «wieszcze rymy jako cugi posłał na świat równym kłusem i napełnił wóz Chrystusem, jak Owidyusz Faetonem», który «na słońc, gwiazd granicy, z kochankami mdlejąc lata» (aluzya do Beatrice z «Przedświtu»), który wobec «wzbierającej czynu fali», kładzie się kamieniem, wstrzymującym «nowe fale, rzeki Boże», który «nie wnika do serc zbolałych», ale tylko «formą dzwoni albo syka», brak ognia świętego w swych oczach osłania «nędzną płachtą sztandaru».

Takiemu pseudo-poecie i deklamatorowi, udającemu wieszcza, przeciwstawia siebie, swe uduchownienie:

Jam spróbował na mej głowie,
Nakształt gwiazdy kałakuckiej,
Nosić gwiazdę myśli ludzkiej,
I z tą gwiazdą żyć surowie;
I przybiegli aniołowie,
Aniołowie Betleemscy —
A odbiegli ludzie ziemscy
I drzwi moje pożegnali
I przeklęli...

Nie ja ci grożę, «marny człowiek i twój brat», ale te znaki

z niebios «światła boże, rzucające się na lud, strachy, które mówią: cud! Ognie, które szepcą: jestem!... wszczynający ruch, wieczny rewolucyonista, pod męką ciał — leżący duch». Matce Boskiej Częstochowskiej, prowadzącej w «Przedświcie», w charakterze królowej, pochód przedstawicieli przeszłości szlacheckiej, przeciwstawia poeta swą Bogarodzicę «piękność, z płomieniem w sercu, z gwiazdami nad głową», unoszącą się nad falami ognistemi uczuć i dążeń młodej Polski ludowej, dającej tym dążeniom taką siłę, iż zniweczą usiłowania tych, którzy «duchem Bożym nie skrzydlaci», chcę «stać na głowach braci» i «staną w poprzek Charonowej łodzi (Krasińskiego), pełnej trupów». Najwspanialszym ustępem z tej mistyczno-lirycznej polemiki jest brzmiąca całą potęgą uczucia religijnego, podniosła i ekstatyczna modlitwa, na której skrzydłach mogły ulecieć w harmonii dusze walczących z sobą wieszczów, modlitwa, którą Słowacki chciał stwierdzić siłę i szczerość swych wierzeń i dążeń i przeciwstawić ją słabszym, chłodniejszym modlitwom «Przedświtu». Walki tej z Krasińskim nie ujawni światu poeta — jak uczynił to względem Mickiewicza w «Beniowskim»; ani «Zborowski», nie wykończony zresztą, ani wiersz «Do autora trzech Psalmów» nie zostaną ogłoszone drukiem. Wydanie tego drugiego utworu w Lipsku, r. 1848 nastąpiło, o ile się zdaje, bez wiedzy i woli autora. Jeden z odpisów jednak dostał się do rąk Krasińskiego i wywołał, jako odpowiedź, «Psalm żalu». Stosunki listowe mimo to nawiązały się między poetami, po niedoszłym pojedynku, na nowo. Pierwszy odezwał się Słowacki, usprawiedliwiając swój krok przyjętem na siebie posłannictwem, dla którego musi poświęcać związki ludzkie: «Ty jesteś wielki duch Boży i jeden z aniołów narodu naszego. Zakrwawiać Ciebie i zakrwawionym w sercu zostawić, byłoby grzechem przeciw duchowi świata». Słowacki wiedział i czuł, ile zawdzięcza bogactwom duchowym Krasińskiego i jego artyzmowi, który sobie przyswoił tak świetnie, w tej najwyższej fazie rozwoju twórczości, to też powyższem wyznaniem przekreślał on niesprawiedliwe, przez podniecenie uczuć wywołane sądy i zarzuty tego wspaniałego wyznania, jakim jest wiersz «Do autora Trzech Psalmów». Dusza poety podlega kolejno to porywom wyobraźni, spotęgowanej przez mistyczną egzaltacyę, to znowu otrzeźwieniu pod wpływem rzeczywistości, oddziaływającej, jako probierz prawdy i siły, snutych przez nią rojeń. Zetknięcie się, z przybyłą do Paryża we wrześniu, r. 1845 matką Makryną Mieczysławską, Bazylianką z Białorusi, głośną z bohatersko znoszonego przez lat ośm męczeństwa za wiarę, wywołało taką chwilową reakcyę w mistycznem upojeniu poety. Prostacza naturalność tej męczennicy, która potęgę wiary, siłę zdumiewającą swego ubogiego w zasoby wiedzy ducha, łączyła z wyglądem, gestami i mową klucznicy wiejskiej, «gospodyni, siedzącej sobie na szlacheckim dworze... w czepcu, rańtuchu, kluczami za pasem», wstrząsnęła silnie śniącego o królewskości swego ducha poetę. Słuchając jej prostej opowieści o znoszonych, przez lat tyle, najwyszukańszych męczarniach, nie

znajdując w niej ni śladu jakiejś pozy czy pretensyi do wielkości i świętości, uznawał się w głębi sumienia słabszym moralnie, upokorzonym tą prawdą ducha tak potężnego, a tak skromnego i naturalnego. Ten nastrój wzruszonej i skruszonej duszy umożliwi odbicie w niej i odtworzenie, tak proste, realistyczne, plastyczne, wolne od mgieł mistycznych, zarówno zewnętrznej postaci tej cichej bohaterki, jak jej duszy. Poemat Słowackiego jest zarazem aktem pokory ze strony poety, «noszącego na swem czole gwiazdę myśli ludzkiej», odbierającego w płomienistych wizyach stwierdzenie danej mu przez niebiosa myśli. «Król Duch» zgina kolano przed prostoduszną klucznicą litewską, promienną rzeczywistą potęgą swego realnego męczeństwa i nie waha się jej nazwać «Królową Ducha».

Ponieważ liczne utwory z tej ostatniej epoki twórczości, przeważnie nie wykończone, pozostawił poeta w rękopisie, a zwłaszcza te, w których opiewał królewskość własnego ducha, przeto należałoby biografowi i krytykom trzymać się zasady, iż w sądach o człowieku opierać się trzeba przedewszystkiem na jego czynach spełnionych; zarówno trudne do pochwycenia pobudki czynów, jak i zamierzane a zaniechane czyny, drugorzędne mają znaczenie dla sprawiedliwego, a znającego słabości, sprzeczności i zawiłości duszy ludzkiej sędziego. Dzieła nie wykończone, utwory wykończone, lecz z woli autora nie ogłoszone za życia, mogą i powinny mieć znaczenie dla historyka, jedynie jako świadectwo, pozwalające mu zrozumieć wahania duszy i twórczość pisarza, ale nie jako czyny, jako twory, przeznaczone do obiegu publicznego, do oddziaływania na ogół czytelników, do współubiegania się z innymi tworami o uznanie i wpływ na dusze. Czytelnicy i krytycy, biografowie i wydawcy, przy stykaniu się z tak bogatą spuścizną pośmiertnych, nie wykończonych, fragmentów Słowackiego, powinni mieć na pamięci tę ważną, a nie uwzględnianą zwykle różnicę. Ceniąc szczerość, z jaką odsłania on nam tajemnice najciekawszej i najbogatszej ze sfer swego życia duchowego, sfery wyobraźni, nie mamy prawa kłaść różnych prób, rzutów, niedokończonych, niepełnych odbić tych wysiłków ducha i artyzmu, mocującego się z tak trudnym do ujęcia, owładnięcia, odtworzenia artystycznego, światem mistycznych wzlotów i rojeń, na równi jako świadectwa o poecie, z przeznaczonymi przez niego dla druku utworami, jak: «Ksiądz Marek» i pierwsza część «Króla Ducha».

Ostatnie lata życia i twórczości Słowackiego przedstawiają wzruszający istotnie obraz rwania się, w różnych kierunkach i formach, ducha, krępowanego wzmagającą się niemocą, trawionego chorobą chroniczną ciała i wyczerpującego się heroicznymi wysiłkami myśli, uczucia i wyobraźni, pracujących gorączkowo, w podnieceniu, dochodzącem do ekstazy, nad rozwiązaniem najważniejszych zagadnień ludzkich, przeniknięciem tajemnic prabytu i rozświetleniem mroków przyszłości świata i własnego narodu. Przekształciwszy i rozwinąwszy, z pomocą swej wyobraźni, ideę stopniowego uduchowniania się przyrody, przejętą za pośrednictwem Krasińskiego z filozofii niemieckiej, widzi w niej alfę i omegę wszelkiej wiedzy i na niej opiera swą religię, historyozofię, politykę, etykę i estetykę. Wzmagająca się, z rozwojem wewnętrznym, siła i głębia natchnienia twórczego, umacnia w poecie i rozwija kiełkującą w nim zdawna myśl o odwiecznem istnieniu jego ducha, jego wysokiem posłannictwie, wskazywanem przez wizye, ognie cudowne, natchnienia rozjaśniające mu różne zagadnienia przyrody i świata ludzkiego. Na miejsce niedawnego przeświadczenia o wyższości i potędze własnego ducha, opartej na mistrzostwie artyzmu, występuje wiara w anielskość tego ducha, mającego swym trudem, swą ofiarą, wyrzeczeniem się świata i rozkoszy życiowych, wyzwolić, podnieść własne społeczeństwo i ludzkość, stać się żłóbkiem, w którym rozwijać się będzie nowa era. Nie można temu przeświadczeniu nadawać miana i znamion obłędu wielkości.

O ile anhelliczne i posągowe pozy poety, apoteozującego swe osamotnienie i mistrzostwo artystyczne, mogą wywoływać ironiczny uśmiech surowszych pod względem moralnym czytelników i krytyków, o tyle anielskość ostatnich lat i związany z nią heroiczno-mistyczny nastrój, przekształcający tak do głębi życie duchowe Słowackiego, wydobywający z jego serca tak szczere i silne tony uczuciowe miłości dla Boga i ludzi, dla Polski i ludzkości całej, nadający jego artyzmowi niezwykłą siłę, głębokość, szczerość, prostotę i polot, budził i budzić nie przestanie cześć, podziw i współczucie. Na tem nowem stanowisku, o ile się oddali od tak blizkiego mu dotąd duchowo Krasińskiego, którego utwory wydają się mu teraz «pyłem błyszczącym», o tyle zbliży się do pokrewnego mu obecnie heroizmem mistycznym Mickiewicza, który na swego niedawnego antagonistę oddziaływa teraz pociągająco i podniecająco, zarówno działalnością dla sprawy bożej, jak porywającymi wykładami w Kolegium Francuskiem. Poruszając sprawę przywrócenia Mickiewiczowi odebranej mu katedry, w liście publicznym do ks. Czartoryskiego (w r. 1847), z uniesieniem odtwarza Słowacki wrażenia swe ze słuchanych przed czterema laty wykładów.

«Po tylu wiekach Sorbona — od Danta jeszcze głucha i nie rodząca, pierwszy raz twórcze teologiczne słowo usłyszała... Polak mówił. Zdaje się, że ów dawny Awarys Scytyjski, od którego Pitagoras pobrał myśli najwyższe — wrócił — a odebrawszy poplamione przez ludzi swoje własne ideje — rzucał je na nowo — ze świeżością kwiatów... z blaskiem słońc nowo z rąk duchowi jakiemu wylatujących». Przykład Mickiewicza, który zaniechał twórczości poetyckiej, a oddał się propagandzie i praktycznej działalności w Sprawie Bożej, zetknięcie się z matką Makryną, mogły także pobudzić Słowackiego do przerzucenia swej działalności na te nowe pola. Nosząc w swej duszy odkrytą tajemnicę świata, stara się przygotować ludzi do jej przyjęcia przez częściowe odsłanianie posiadanej prawdy i godzenie jej z chrześcijańską, pojmowaną, objaśnioną z punktu widzenia «Genezis z Ducha». Jednocześnie zaś, wobec ruchów rewolucyjnych ówczesnych (1846 do 1848), witanych przez poetę jako początek nowej ery, wyzwalania

się ujarzmionego ducha, uważa za swój obowiązek propagować przez broszury, odezwy i listy, polityczne doktryny, wyprowadzone z zasad nowego objawienia.

W pierwszym kierunku działalności, najważniejszym, w rękopisie przechowanym owocem wysiłków duchowych apostoła-poety jest utwór, nazwany przez wydawcę (prof. Tretiaka) «Listem apostolskim». «Napiszmy oto na złotej płycie skały, — czytamy we wstępie — ewangelię prawdy dla braci naszych». Pod wpływem «Ksiąg narodu» powtarza tu Słowacki myśl, iż Bóg okazał się najdobrotliwszym dla narodu polskiego, wybierając go na ofiarę krzyżową, bo, gdyby nie to ukrzyżowanie, to nigdyby Polacy nie usłyszeli ogromnego głosu w duszach swoich, który im prawdziwą wiedzę odkrył», Porzuciwszy niedokończony ten list, zabrał się do ujęcia w formie «Rozmów» wyników swej nauki dla uzupełnienia i objaśnienia głębszego zasad chrześcijańskich. Około siedmiu fragmentów świadczy o wysiłkach umysłowych poety. przelewającego nieraz po kilka razy swe wywody w coraz to inne formy: wykładów, wierszowanych parafraz, romansu historyozoficznego (Helion i Helois), osnutego na metampsychozie. Że Słowacki świadom był bezsilności i bezowocności swego apostolstwa, o tem świadczy tchnąca goryczą żalu skarga, wywołana powodzeniem i uznaniem, jakiego doznawali w podobnych usiłowaniach Towiański, Mickiewicz, a poniekąd i Krasiński Helion uśpiony, w «Zborowskim», woła z żalem:

Ja się w mej twórczości męczę,
A oni, patrz, pełni mocy,
Na górach, Boga prorocy.
Piorunami nakryci, kościołem,
Nad tęczowem stoją kołem
I lud jak owce pasą...

Dalej nieco, w rozmowie z Dziewicą, objaśnia poniekąd przyczynę swej niemocy:

A w marach, głosach, które dotąd słyszę,
Piękniejszej niby brakuje połowy
Tej, która daje harmonię i ciszę...

Tą piękniejszą połową była poszukiwana synteza, sformułowana ostateczna nauka. Na zapytanie Dziewicy, gdzie ją prowadzi, odpowiada:

Gdzie? Sam nie wiem wcale,
Jeśli duch powie — wstąpimy na fale,
Jeśli pochwyci — polecim w niebiosa;
Jeśli roztopi — spadniemy jak rosa;
Jeśli zaśpiewa chór, co teraz niemy,
W echo się jego głosów rozlejemy.

Słowem, sam poeta świadom jest swej bezsilności co do ujęcia własnych marzeń i pragnień w zasady, umożliwiające działanie i apo-

stolstwo śród ludzi. Siłą jego jest artyzm jedynie, artyzm zależny od wzlotów niespodzianych i spadających na duszę nastrojów, natchnień.

Co się tyczy działalności politycznej poety, to ona naturalnie obracać się musiała w najwyższych sferach... utopii mistycznej i z polityką jako nauką i sztuką urządzania stosunków ludzkich nic wspólnego nie ma. Jego republikanizm jest właściwie wybujałym anarchizmem, ubóstwiającym «liberum veto» i opartym na mistycznych wzlotach wyobraźni poety w sfery zaświatowe. Wedle wywodów broszury: «O potrzebie idei», przenikniętej messyaniczną egzaltacyą, Bóg karze Polaków «jako ludzi, którzy zaczęli, a ustali... jako Anioły, które widziały niebiosa a nie weszły... jako Naród, który stał przewodnikiem i wzorem ludów, a zeszedł na małego naśladowcę innych narodów... a swej przeszłości wstydzi się jako szaleństwa i snu, poczętego w pijanej młodości godzinie... Bóg bowiem chce Polski, aby czyniła Wysokość między wysokościami, do której dążą w ideałach inne narody». Mickiewicz, mimo utopijności swego Messyanizmu, wskazał narodowi w «Księgach Pielgrzymstwa» realną, niewzruszoną podstawę odrodzenia i polityki w prostej a doniosłej swą prawdą nauce: «O ile powiększycie i polepszycie duszę waszą o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice», Słowacki tymczasem kończy swą odezwę, wydaną w chwili kiedy, rwącym się do działania, trzeba było wskazać prosto i jasno cele i środki akcyi, mistyczno-apokaliptycznem zaleceniem: «Uczcie się! iż potrzeba jest zgłębić dno Globu, a obaczyć tajemnice żywota i nauczyć ducha Waszego, aby przez całe godziny mógł żyć w głębiach wiedzy Bożej jako duch widzący Świat Ducha. W środku aż bowiem ziemi może się pokaże Anioł ów, ze słońcem na głowie i z miesiącem stratowanym pod nogami... o którym mowa jest w Jana św. widzeniach». Brak echa, śród emigracyi, dla tego rodzaju haseł, rad i pomysłów, rozwijanych przez poetę w licznych pismach i odezwach, musiał oddziaływać zniechęcająco i otrzeźwiająco może na poetę, który w pewnych momentach zdolnym był do samokrytyki. Nieliczne grono nowych, młodych przyjaciół, a raczej uległych wielbicieli, złożone z przybywającej z kraju młodzieży, nie pozwoliło poecie probować, niemożliwej zresztą, realizacyi własnych idei w jakiejś organizacyi i akcyi politycznej. Niepowodzenia w próbach zarówno sformułowania i ogłoszenia światu całokształtu nowej nauki, jak i zastosowania jej w akcyi, zwróciły poetę ku najwłaściwszemu dla jego uzdolnień zadaniu: artystycznego odtworzenia, w oświetleniu nowych pojęć, dziejowej przeszłości narodu. Do myśli tej pierwszą podnietę dało Słowackiemu pojawienie się «Pana Tadeusza», którego piękności on pierwszy niewątpliwie dostrzegł i ocenił (Krasiński w pierwszych chwilach uważał «Pana Tadeusza» «za nowego, świetniejszego tylko «Pana Podstolego»), skrystalizowała się ona pierwotnie w pomyśle «wielkiego poematu w rodzaju Ariosta, który ma się uwiązać z sześciu tragedyi czyli kronik dramatycznych». «Balladyna» miała stanowić jedną część tej wielkiej całości, którą chciał zapewne przeciwstawić arcydziełu Mickiewicza.

Powstała ona w listopadzie r. 1834, a więc w kilka miesięcy po wyjściu «Pana Tadeusza», czy jednak pomysł «poematu z sześciu tragedyi» wspomniany w przedmowie, pisanej w r. 1839, pochodził z tego czasu, co i dramat, czy też później się wyłonił, by nie wejść w wykonanie, o tem trudno orzec stanowczo. Czy przy tworzeniu «Lilli Wenedy», pisanej współcześnie prawie z drukiem «Balladyny», miał jeszcze poeta ten plan na myśli, o tem wątpić należy. W utworze nic nie wskazuje na jakąkolwiek łączność z «Balladyną». Spotykamy tu jednak ponowną, w liście do twórcy «Irydyona», zapowiedź całego cyklu dziejowych dramatów. W lat kilka, już pod wpływem Towianizmu, poeta w urywku, ogłoszonym wraz z fragmentami «Zawiszy Czarnego», oznajmia, iż «śni mi się jakaś wielka, przez wieki idąca powieść... niby na twarzy ogromnego miesiąca ludy wymalowane... krwią swą purpurową idące błagać Boga i wiekuiste Słowo na niebiosach zjawione... Prześwięte więc żywoty opiszę... tych jasnych duchów słonecznik złoty ciągle ku przejasnemu słońcu odwracający oblicze». Fragment p. t. «Poeta i natchnienie», tudzież dramat znany p. t. «Zborowski», wyjaśniają nam dalszy rozwój tej myśli na tle idei metampsychozy i pod wpływem wywołanego, syntezą przeszłości i przyszłości narodów w «Przedświcie», dążenia by przeciwstawić, temu poematowi, własną głębszą i świetniejszą syntezę i poprzeć swoje prawa do stanowiska wieszcza i wodza duchowego narodu, przez odtworzenie dziejów własnego ducha, który «tu nareszcie za karę i za ostatni los — z potęgą słowa wstał», jak nam oznajmia w «Poecie i natchnieniu». Nawał cisnących się do duszy zadań, płynących ze świadomości nowego stanowiska, gorączkowe chwytanie coraz nowych dróg, środków, form, odrywały poetę od najwłaściwszego kierunku i najodpowiedniejszych uzdolnieniu form i środków oddziaływania. Niepowodzenie ruchu rewolucyjnego w r. 1846 choć nie wytrzeźwiło poety z jego złudzeń i rojeń, ale wpłynęło zapewne na skierowanie działalności w sferę twórczości artystycznej i wywołało utworzenie, w końcu tegoż roku, pierwszego rapsodu «Króla Ducha», ogłoszonego drukiem w 1847 w Paryżu.

Doświadczenie nabyte przez wielokrotnie ponawiane wysiłki, czynione dla powiązania dziejów przemian własnego ducha z ideami «Genezis z Ducha» i rozwojem duchowym ludzkości, skłoniło Słowackiego do powściągnięcia zapędów wyobraźni i myśli, mocującej się z nieskończonością i ujęcia przedmiotu w ograniczone czasowo i przestrzeniowo granice. Zaczerpnięta z dyalogu Platona legenda o Herze Armeńczyku posłużyła poecie za punkt wyjścia, prowadzący odrazu do wcielenia ducha tego Hera w mitycznego twórcę państwa i społeczeństwa polskiego — Popiela, zrodzonego z czarodziejki, zapłodnionej przez popioły tych, których miał być mścicielem. Pomysł ten, będący właściwie realistyczną illustracyą znanego wiersza wirgiliuszowego: «Exoriare aliquis ex ossibus nostris ultor», wiąże «Króla Ducha» z «Lillą Wenedą», czyniąc Popiela synem «Rozy Wenedy» zapłodnionej popiołami poległych i spalonych przez nią rycerzy. Jednakże poeta nie daje

mu charakteru mściciela podbitych i wytępionych Wenedów, o których wzmianki tu już niema. W tych ujemnie tak scharakteryzowanych zwycięzcach, Lechitach, widzi teraz «Cudowne jakieś Lecha pokolenie! Mające w sobie całej Polski Słowo — I moc i rózgę cudów Mojżeszową». Ten kontrast, sprzeczność duchową, jaką widział niedawno między swoim duchem a rubasznością i prostactwem duchowem Lechitów, znikł w oczach poety, czującego się obecnie nie wenedyjskim Lechum, poetą, nie rozumianym przez krytyków i tępe głowy rubasznych potomków Lecha, lecz duchem-aniołem, wieszczem, wodzem, władcą narodu, który ma oświecać o najważniejszych prawdach i prowadzić ku jego wysokim celom. To nie Bajron, walczący w «Beniowskim» szyderstwem z niechęcią głupich krytyków i ograniczonością «Sanszo Panszów» szlacheckich, to wysłaniec świata wyższego, z jego «wyroków», odsłaniający ludziom «rzeczy przeminięte i wielkie duchów świętych wojny święte». Głęboka wiara w prawdę, zbawczą siłę i moc odradzającą noszonych w duszy tajemnic świata podtrzymuje w poecie ten podniosły nastrój, miłości, czci i pokory wobec potęgi nadziemskiej, której czuje się narzędziem, a dostojności kapłańskiej i miłości ojcowskiej względem tych, których ma prowadzić siłą ducha swego ku odrodzeniu i wyzwoleniu. Znika teraz w Słowackim człowiek ze swymi urazami, drażliwościami, niechęciami, usuwa się nieraz na drugi plan artysta, a góruje wieszcz-kapłan, chcący ubierać się, przez pokorę ducha, w «wierszа dawnego strukturę», by powagą i prostotą archaiczną formy uwydatnić świętość odsłanianych czytelnikowi tajemnic. Poeta czuł niedopowiedniość oktawy, przypominającej swoim ruchem rytmicznym, wytwornością swoich wyginań, renesansowe pochodzenie, wdzięk uśmiechu ariostycznego, donżuanowskiej galanteryi, rycerskości i lotności. Stąd usiłował bądź przekształcić tę formę, przez wprowadzenie nowych kombinacyi, nadających jej inny układ, zgodniejszy z nastrojem utworu, bądź zastąpić przez inne, więcej odpowiednie powadze i dramatyczności treści. W szeregu prób, o których świadczą liczne przechowane w rękopisach fragmenty i waryanty, spotykamy też zamiar wprowadzenia obrzędu, formy, wiersza i układu dramatycznego z drugiej części «Dziadów», której nastrojowość teraz dopiero z całą siłą przemówiła do duszy Słowackiego. Przekład dwu pieśni Iliady, pochodzący z tego czasu, pozostaje zapewne w związku z usiłowaniami wytworzenia najwłaściwszej formy i stylu dla heroicznej opowieści «Króla Ducha».

Ostatecznie pozostał poeta przy oktawie. Nie dająca się ujarzmić i ograniczyć wyobraźnia Słowackiego, wdarłszy się teraz w sfery nieskończoności, rozsadza wszelkie formy i uniemożliwia zamknięcie pomysłu w ramach planu obmyślanego i wyczerpującego całą ewolucyę myśli zasadniczej. «Dziady» pomimo tego iż brak im początku i końca, przedstawiają, dzięki oparciu na realnym gruncie ewolucyi ducha poety, dwa doniosłe akty, dwie skończone fazy tej ewolucyi. Mickiewicz, przy całej sile swej wiary w łączność życia duchowego jednostki ze światem nadziemskim, umiał zapanować nad nieskończonością, zjednoczyć

dzieje swego ducha z życiem realnem świata ludzkiego, krzepiąc nas tym zespoleniem dwu światów, tem wprowadzeniem powiewu nadziemskich sfer w duszną atmosferę padołu ziemskiego. Takim genialnym przewodnikiem w sferach zaświatowych jest także Dante, nie tracący na chwilę poczucia realności bytu ziemskiego i ujmujący tak szczęśliwie, w granice pojemności ludzkiej duszy, nieskończoność sfer nadziemskich.

Słowacki całe życie, jak to już zapowiedział w pierwszym swym utworze młodzieńczym, «waży się pomiędzy niebem a ziemią», goniąc za słońcami duchowemi, któreby mu pozwoliły pojąć i odtworzyć niewidzialną, tajemniczą stronę bytu ziemskiego i opromienić fakty realne porozwieszanemi nad nimi tęczami wyobraźni. Najpotężniejszym z tych wysiłków duchowych poety, najwyższym wzlotem jego wyobraźni, dla rozwinięcia tych tęcz i zapalenia słońc duchowych, któreby rozświetlając przeszłość przeddziejową, rozjaśniły cały ciąg dalszych dziejowych chwil życia narodu i rozpędziły mroczne mgły chwili współczesnej i przyszłości, jest «Król Duch». Losy tego utworu nie odpowiedziały zamiarom i nadziejom poety. Liczni dzisiejsi wielbiciele czczą i podziwiają w tem potężnem dziele nie objawienie wieszcze, nie wykład tajników przeszłości, nie księgę, mającą nam torować nowe drogi ku lepszej przyszłości, lecz to, czego nie pragnął i nie szukał sam twórca, czego się nawet wyrzekał: świetność i nowość artyzmu. W tej sprzeczności zamiarów i wysiłków poety z rezultatami otrzymanymi odsłania się nam tragiczność wzruszająca ostatnich lat życia duchowego twórcy «Króla Ducha».

Poeta «męczy się w swej twórczości» by tęcze i mgły, blaski i widma swej wyobraźni, skupić, skoncentrować w jakiejś nowej ewangielii, ujmującej w opowieściach, czy obrazach dramatycznych, czy też prostym wykładzie, noszoną w duszy tajemnicę, alfę i omegę mądrości ludzkiej, mającą zbawić ojczyznę i ludzkość całą.

Na czele drugiego rapsodu «Króla Ducha» woła w uniesieniu wieszczem: «Polsko! ofiaruję Ci rapsody dalsze «Króla Ducha»... Znajdziesz w nich tajemnicę początku i końca, alfę i omegę świata, a zatem i Ojczyzny. Znajdziesz tajemnicę ziarna — wpływu Ducha Świętego — cudów Izraelową rózgą Mojżesza przez Duchy sprawowanych — nareszcie walkę sił pogańskich, duchowych, elementarnych z Oświeciciela potęgą. Wyraźniejsze tych rzeczy wypowiedzenie wzbronione zostało dotąd poecie, pod trwogą Boga zostającemu». Bezowocność swych usiłowań poeta przypisuje woli wyższej, nie dopuszczającej do ogłoszenia ludziom objawionych mu tajemnic. Wobec tego poprzestaje on na rozjaśnieniu, jednym z promyków tego zamkniętego w jego duszy światła, tajemnic dziejowego początku ojczyzny. Ta sama piękność nadziemska, którą ujrzał na chwilę Her Armeńczyk, którą wprowadza ciągle do swych utworów poeta w postaciach, odtwarzających zarysy Beatrice, Atessy, Madonny Rafaela i Tassa, Bogarodzicy z «Przedświtu», mistycznej Róży złotej hymnów i litanii kościelnych, przewodniczy jako źródło

natchnień drugiemu rapsodowi «Króla Ducha». Źródłem siły twórczej i wytrwałości, w walce z trudnościami zadania, jest przeświadczenie, że ojczyzna cała w duchu poety rośnie i rosnąć tego ducha przymusza, że Bóg, «nawiedzacz ludzkich izb z anielskim dworem, swoją mocą ku mnie nachyloną, napełnia pieśnią to maluczkie łono... Pod jego wielką mocą trzymam pióro, snem piszę, a z mgieł rozjaśnionych biorę i moją własną kwitnącą naturą nieznane dotąd oceany porę; wiersza się nawet dawnego strukturą ubrałem Panu memu przez pokorę, tak od cielesnej uwolniony troski, cały się zdałem na moc i duch boski». Te wyznania, odsłaniając nam zamiary poety, jego nastrój i stosunek do przedmiotu, pozwalają, w zestawieniu z utworem samym, jako wynikiem tych usiłowań, dostrzedz piękności niepospolite, uwydatniające świeżość, oryginalność i niezwykłość potężnego artyzmu w przeciwieństwie do niepowodzenia wieszczych, apostolskich zamiarów, zrealizowanych w pomysłach, których ubóstwo myślowe, jaskrawa sprzeczność z prawdą dziejową, nieujętość i niejasność razić musi każdego czytelnika, starającego się wyłuszczyć ziarno myśli z mglistych powijaków, jakimi je omotał duch poety. Sprzeczności i niejasności w pojęciach mają naturalną przyczynę w chaotyczności, zależnej od kaprysów duszy wieszcza-artysty, który tego drugiego charakteru nie może się pozbyć i, choć przywdziewa szaty i sandały apostolskie, niezdolny jest zawładnąć nad porywami wyobraźni, przekładającej piękno i niezwykłość obrazu nad wszelkie prawdy i rozumowania.

Zamiar ogołocenia opowieści z wszelkich przystrojów artystycznych i posiłkowania się szorstkim, niewyrobionym, naiwnym językiem i stylem Homera czy Piotra Kochanowskiego (w rycerskich scenach «Jerozolimy») zrealizowany został w tych tylko ustępach, w których poeta opowiada obojętne dla wyobraźni szczegóły. Odtwarza on wtedy, z nieporównaną trafnością, wszystkie własności (ujemne zwłaszcza) tego pierwowzoru oktawy polskiej (to samo spotykamy w dalszych pieśniach «Beniowskiego»). Tak np. w drugiej pieśni trzeciego Rapsodu w opisie góry Zober, z pustelnią zamieszkaną przez czarowników, znajdujemy ciekawą próbę (oktawa IV i V) języka i stylu Kochanowskiego w takim np. ustępie:

To straszne Zober nazwisko się Pysze
Natchniętej — zdawna było spodobało.
Więc tam przybiegła i lasów zacisze
Straszne ujrzała — szczyt przykryty skałą,
Pustelnie — duchy — i one derwisze
Z duszą żyjącą i z kością spróchniałą...

Lecz, po chwili tej sztucznej pokory i prostoty, podniecona wyobraźnia wybucha całym przepychem artyzmu w przemowie Ottona do Pychy.

Jak poeta niezdolnym jest oprzeć się pokusie wprowadzenia do opowieści szczegółu, nie mającego żadnego związku z przedmiotem, ale

interesującego wyobraźnię, świadczy ów opis pogrzebu bogatego kupca u Bułgarów w wieku X, napotkany przez Słowackiego w jakiemś dziele historycznem, w relacyi posła, wyprawionego do tego ludu przez Kalifa Muktedira. Zręczniej wpleciony do opowieści jest ten przecudny, jako obraz, epizod o pszczołach, rozpoznawających girlandy Krystyny, lecz z osnową opowieści o Bolesławie, jako wodzu narodu, ma on tyle związku, co arabeskowe miniatury średniowiecznych rękopisów z ich teologiczną lub filozoficzną treścią. Wplatane do poematu wywody historyozoficzne, próby syntez dziejowych, na fantazyach etymologicznych osnute (Polska = skała na ból, Bolesław = boli mię sława, Jadwiga = Jad widzi, Mieczysław = Miecz i sława), osłabiają swoją naiwnością, nietrafnością, sprzecznością z prawdą dziejową i logiką wrażenie, wywołane przez brylanty artyzmu, od których skrzy się ten świetny utwór.

Niepowodzenia, daremne trudy i wysiłki głosiciela nowej nauki, nagradzał sowicie, sobie i czytelnikom, poeta, gdy, wracając do roli artysty, odtwarzał swobodnie polot wyobraźni, podnieconej przez heroiczno-mistyczny nastrój ducha.

Mickiewicz po mistrzowsku odtworzył polot wyobraźni, podnieconej przez nastrój młodocianej rycerskości, w opowieści Gustawa o zabawach szkolnych, przekształcających się w młodych duszach w istotne boje husaryi polskiej z Turkami; Słowacki, przeświadczony o swem duchowem zespoleniu, przez metampsychozę, z legendowymi i historycznymi władzcami i twórcami piastowskiej Polski, odczuwa w ich czynach swoje wysiłki, męki, boje, bohaterstwa; w jego duszy «rośnie ojczyzna», jego serce jest tym «żłóbkiem», w którym kwili nowa, odradzająca się Polska, on ją męką swą tworzył w postaci okrutnika i pokutnika Popiela, walczącego z własną ślepotą, pogaństwem i sąsiadami, w ciągłym trudzie Mieczysława, i upadkach, miotanego żywiołowymi popędami bogatej natury, Bolesława Śmiałego.

Zakończenie pierwszego rapsodu jest najsilniejszem odbiciem tego heroizmu mistycznego, któremu zawdzięczają całą swą siłę i piękność utwory ostatniego okresu, począwszy od pierwszego oddźwięku tego nowego tonu w wierszu: «Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże», hymnie radości, uskrzydlonego nową ideą, ducha poety. Streszczając owoce swej działalności, głosi Popiel-Słowacki:

Świat zwyciężyłem i oto są ślady,
Żem duch, mający moc — nad tą naturą
. . . . . .
Nade mną była myśl słoneczna, złota,
Do niej moc ciemnych, okrwawionych wschodów
Wiodła mię prosto w złotych celów progi:
Jam szedł... jak rycerz krwawo — i bez trwogi.
Życie dźwięczało w każdej ducha strunie,
Moc słychać było w każdym moim kroku;

Choć być na takiej drodze? lepiej w trunie,
Choć z myślą taką? — lepiej z włócznią w boku!
Prędzej czy później deszcz piorunów lunie
Na orła, który słońce miał na oku.
Na mnie — żórawia z wyciągniętą szyją
W przyszłość — pioruny Boże jeszcze biją...
Ale przeze mnie ta Ojczyzna wzrosła,
Nazwiska nawet przeze mnie dostała,
I pchnięciem mego skrwawionego wiosła
Dotychczas idzie: Polska — na ból — skała...

Z całą świadomością i pewnością swej tożsamości duchowej z Popielem, woła poeta w następnej oktawie:

Śpijże, mój kształcie pierwszy... z ducha zdjęty...

Tak samo znowu, w ciągu całego rapsodu, własne wrażenia, marzenia, widzenia wkłada w opowieść Popiela. Mamy tu (Pieśń I, oktawa 31 i nast.) odbicie samotnych wycieczek i marzeń śród druidycznych głazów w Dièppes (Pornic?), gdzie poeta, bawiąc tu w sierpniu r. 1846 dla kąpieli morskich, tworzył pierwszą część «Króla Ducha». O nastroju swego ducha pisze teraz w liście do matki: «Na tych skałach... ja często siadam nocą i w Bogu utonąwszy, dziwne robię zaklęcia, dziwną pracę odbywam... pracę nad samym sobą, nad własną moją ubogą naturą, nad tym duchem, który nad światem cierpi, a pomódz mu jeszcze nie może... Wczoraj, gdym sobie w rozmowie z Bogiem dopomagał wspominaniem Mojżeszowej, wielkiej, rozkazującej modlitwy, z jednej strony kawał smętnego miesiąca świecił, jakby jeden ze świeczników zakonu, a z drugiej strony ciągle błyskało się, jak na Synaju».

Wogóle heroizm mistyczny «Króla Ducha» jest to nastrój «Księcia Niezłomnego», spotęgowany przez wielkość, niebotyczność, że się tak wyrażę, danego mu posłannictwa. Przeznaczony «na walkę z ciałem wieczną, aż Jeruzalem sprowadzę słoneczną» «Król Duch» posiadać musi potężniejszy rozpęd, to też woła on w takim heroicznym porywie:

«Uczucia moje ludzkie podruzgotam,
Serce rozbiję, miecz jak drzazgę złamię,
Sławę rycerza od siebie pomiotam,
Koronę zrzucę, krzyż wezmę na ramię,
Tylko niech sobie tym dniem zarobotam
Wieczyste światło i to złote znamię,
Które się w bożem Królestwie pokaże,
Zmartwychwstającym kościom złocąc twarze.
A tę ofiarę chcę mieć, postokrotną,
Nietylko za się, ale i za ludzi;
Abym tę otchłań niebios nie samotną
Miał, ale z braćmi, których Bóg obudzi.

Obok tego w «Królu Duchu» można widzieć najświetniejszy wynik duchowego współubiegania się poety, z dwoma wielkimi współzawodnikami, o rząd dusz w narodzie, o utorowanie dróg przyszłości i najwyższe, najpodnioślejsze pojęcie i przedstawienie zadań i ostatecznych celów bytu narodowego. Idea messyaniczna znalazła tu kres swej ewolucyi — wcieleniem w postać Króla Ducha genezy przeszłości i ewangelii, a raczej Apokalipsy przyszłości. Po «Boskiej Komedyi», tem jedynem w literaturze świata arcydziele, ujmującej w zamkniętą i wykończoną z całą subtelnością i plastyką całość, odtworzenie nieskończoności sfer zaziemskich, arcydzieło Słowackiego jest niewątpliwie jedną z najświetniejszych prób odbicia artystycznego heroicznych wysiłków duszy, stwarzającej, z pomocą podniecanej przez mistyczną egzaltacyę wyobraźni, z mgieł i blasków, z drgań, wzlotów, wichrów, szmerów, świstów, krzyków, zgrzytów i grzmotów, z podań i legend i widzeń, z tego wogóle, co leży poza zwykłą skalą barw, tonów, głosów, poza sferą ruchów i kształtów realnych, a więc poza obrębem rzeczywistości dziejowej, nową poezyą, posługującą się nowymi środkami, dla wyrażenia nowych stanów duszy, przeświadczonej o swej nadludzkiej zdolności jasnowidzenia rozwoju przeszłości i złotych wschodów, prowadzących do promiennej Jerozolimy przyszłości.

Powyższa charakterystyka określa sama przez się stosunek genialnego dzieła Słowackiego do arcydzieła poezyi polskiej i ogólno ludzkiego, jakim jest «Pan Tadeusz». Sam twórca «Króla Ducha» z właściwym mu polotem podnieconej wyobraźni wyznał, iż w tej opowieści litewskiej «bratni Homerowi śpiewak» potęgą geniuszu swego sprawił, iż «czas się cofnął i odwrócił lica, by spojrzeć jeszcze raz na piękność w dali». W istocie «Pan Tadeusz» to wskrzeszenie zamarłej przeszłości siłą kochającego serca i unieśmiertelnienie jej potęgą genialnego artyzmu. «Król Duch» to ikarowy, heroiczno-mistyczny poryw ducha uniesionego na skrzydłach genialnej wyobraźni, na wyżyny, z których giną realne szczegóły bytu ziemskiego, a ciemne obszary nieskończoności rozjaśniają rzucane na mgły i obłoki, blaski i postacie latarni czarnoksięskiej duszy poety, odtwarzającej swe szczytne pragnienia i fantastyczne rojenia. Sfera twórczości i artyzmu Słowackiego zaczyna się tam, gdzie kończy się królestwo Mickiewicza. «To mój los senne królestwa posiadać» woła z pewną goryczą Słowacki. Jedną jeszcze uwagę można dodać dla scharakteryzowania dwu mistrzów i dwu dzieł. Mickiewicz, tworząc «Pana Tadeusza», zamyślał pierwotnie o skromnej sielance i dopiero w ciągu pracy, pod parciem nagromadzonych w duszy skarbów, roztoczył całe bogactwo swych zasobów i stworzył arcydzieło skończone pod każdym niemal względem. Słowacki, pod wpływem swego heroiczno-mistycznego nastroju, zamierzał dać ojczyźnie i światu nie dzieło sztuki, nie obraz lub opowieść, lecz nowe objawienie, alfę i omegę wiedzy, a przynajmniej syntezę historyozoficzną przeszłości, oświetloną promieniami,

objawionej mu przez niebiosa, przyszłości Polski i związanych z nią losów ludzkości. Rzecz naturalna, iż wielkość nadludzka zamiaru, i złączonego z nim wysiłku, musiałaby doprowadzić do ułomkowego tylko urzeczywistnienia planu, nawet w razie, gdyby śmierć nie uwolniła poetę od zarzutu zaniechania rozpoczętego dzieła. Ta nadludzkość zamiaru, ta niepochwytność, tajemniczość unoszących się nad utworem idei, ułomkowość ruinowa tych mistycznych wschodów, mających nas prowadzić do tajemniczej Jerozolimy, odbierają utworowi tę siłę i urok, jaki ma każde zamknięte, wykończone dzieło sztuki, a zmuszają do wyszukiwania licznych, zdumiewających, lecz fragmentarycznych piękności, nie dających duszy czytelnika wrażenia i rozkoszy estetycznej wielkiej, harmonijnej całości.

Jednocześnie z tym największym wysiłkiem duchowym poety, jaki stanowi jego gorączkowa, twórcza działalność w ostatnich sześciu latach życia, rozwija się powoli, lecz nieustannie choroba piersiowa, do której skłonność odziedziczył po ojcu. Praca i stan ciągłego podniecenia, wyczerpując niewielkie zasoby sił fizycznych wątłego organizmu, przyśpieszały rozwój złego. Wypadki r. 1848, w których poeta mistyk widział potwierdzenie swych wierzeń i objawień, wywołały nadmierny, dla wyczerpanego organizmu, wysiłek, postanowienie rozpoczęcia czynnej działalności politycznej, której pierwszym krokiem było zawiązanie, z udziałem koła otaczającej poetę młodzieży, związku nazwanego konfederacyą (24 marca 1848), i wyjazd do Poznania, w kwietniu, w celu czynnego popierania ruchu narodowego i rewolucyjnego. Zmuszony przez bieg wypadków, po miesięcznym pobycie, opuścić Poznań, przeniósł się do Wrocławia, gdzie doczekał się upragnionego tak przybycia matki (20 czerwca).

Nie mamy wprawdzie bezpośrednich, szczerych wyznań matki i syna o wrażeniach, jakich doznały te dwie kochające się z oddali, przez lat ośmnaście rozłączone i w odrębnych warunkach rozwijające się dusze: matki, która nie wyszła poza dość ciasną sferę pojęć swego otoczenia krzemienieckiego, swej dawnej uczuciowości, i syna, który w niedawnym liście (22 stycznia 1848 r.) pisał tonem nauczyciela (zaczyna się list: Kochana matko moja — gdy poprzednio pisał: «moja najdroższa, moja święta» i t. p.): «Więc myślisz, że zebranie pewnej liczby talentów i pewnej ilości ludzkiego szacunku jest to wszystko, do czego syn twój może dążyć na ziemi? A jeśli on ma od Boga to, o czem jeszcze świat nie wie? Jeśli on przyszedł umyślnie na świat, aby powiedział i uczynił to, czego inni ludzie jeszcze nie powiedzieli i nie uczynili, powiedz, czy ty go sądzić możesz? A jeśli sądzisz, a nie rozumiesz, powiedz, jak mu to boleśnie».

Takich bolesnych momentów niemało sprowadzić musiało kilkunastodniowe pożycie w Wrocławiu, uwydatniające zarówno przekształcenia jak spustoszenia, jakie lata i smutki w rysach powabnej «Sally», a praca ducha, egzaltacya mistyczna i gorączka procesu gruźliczego sprowadziły w pięknym czarnookim, dbałym o elegancyę młodzieńcu,

marzycielu. Dobroć godzącej się z tem, co się zmienić nie dało, matki, poważny, religijny nastrój uczuć u syna, umożliwiły harmonijne, poważne rozstanie się. Matka dała błogosławieństwo swe odjeżdżającemu i oddała go opiece Boga. W przeciwieństwie do swego dawniejszego osamotnienia, poeta otoczony jest teraz w Paryżu przez grono młodych przyjaciół, wychodźców, przez ostatnie ruchy skazanych na życie tułacze.

Najwydatniejszą śród nich postacią jest idealnie szlachetny i całą duszą oddany potrzebującemu coraz więcej opieki, gasnącemu poecie, Szczęsny Feliński, synowiec twórcy «Barbary», a syn dzielnej i zacnej Ewy, późniejszy arcybiskup warszawski. I śród Francuzów znalazł teraz poeta-tułacz szlachetne dusze, zdolne ocenić i pokochać w nim ten szczytny idealizm, promieniejącego zapałem nadziemskim ducha. Mylny domysł Małeckiego, który wiersz p. t. «Mój Testament» uznał za wyraz przedzgonnych myśli i uczuć poety, fałszywie oświetlił, w przekonaniu ogółu, nastrój duchowy Słowackiego z ostatnich miesięcy życia. Wiersz ten powstał prawdopodobnie r. 1841, w chwilach poprzedzających niedoszły pojedynek; z religijno-mistycznym nastrojem ostatnich lat i ostatnich chwil nie ma on nic wspólnego. Nastrój ten odbił się w gorączkowo na papier rzucanych fragmentach dalszego ciągu «Króla Ducha», odbiciem jego jest zapisana w dzienniku poety (czerwiec, r. 1848) ekstatyczna modlitwa:

O krzyż Cię proszę modlitwą gwałtowną,
O krzyż i siłę przed rozdarciem ćwieka!
Całemu światu lampą tak cudowną
Stać się — gdzież większa jasność dla człowieka?
Panie, nie jest to, Panie, modlitwa nabożna,
Ani prośba Tytana, który o krew woła —
Panie! bo złych inaczej przerobić nie można,
Tylko w godzinę śmierci miłością anioła.

W marcu, r. 1849, wyczerpany, przez ponawiające się krwotoki, organizm zaczął odmawiać usług rwącemu się jeszcze do życia i twórczości poecie. Przybyły do Paryża Feliński zastał w dniu 1 kwietnia chorego, oczekującego ze spokojem dawno już przewidywanego zgonu. Już w marcu zrobił rozporządzenie swego szczupłego mienia (nie wielki kapitał w papierach francuskich i dzieła), czyniąc egzekutorem przyjaciela, Francuza, Karola Pettiniaud. W dniu 3 kwietnia, po odbyciu spowiedzi przed ks. Proniewiczem i przyjęciu Sakramentów, przy zachowaniu zupełnej przytomności umysłu i podniosłego nastroju religijnego, oddał Bogu ducha na rękach czuwających nad nim Felińskiego i Pettiniaud'a. W dwa dni potem gromadka towarzyszów tułaczów odprowadziła zwłoki zmarłego na cmentarz Montmartre.

Bogatszy nieprzebranymi skarbami swego artyzmu od swego wielkiego poprzednika, nie osięgnął on jednak w żadnem ze swoich dzieł

tej skończonej doskonałości, nadającej tworom sztuki ogólno ludzką doniosłość i trwałość nieśmiertelną. Przy zdumiewającej zdolności, z jaką wcielał się w dusze wielkich poetów i przyswajał sobie właściwości tworzenia Danta, Szekspira, Calderona, Byrona, nie posiadał on ich męskości. Do śmierci zachował młodzieńczo-kobiecą organizacyę duszy, nie pozwalającą, przy rosnącej z latami potędze i wszechwładzy wyobraźni, z wyjątkiem drobnych utworów, zapanować nad przedmiotem i ująć go w skończoną, harmonijnie rozwiniętą całość. Rozsnuwając pomysł na pasma obrazów i opowieści, rozbiegających się promieniami z pierwotnego centru i rozpływających się w nieskończoności czasu i przestrzeni, poeta zmuszony jest albo rozcinać te pasma na kawałki i, dorobiwszy z trudem mechanicznie przyczepione zakończenie, nadawać tym cząstkom miano i formę dramatu, albo też zostawiać opowieściami niedokończonemi z powiewającemi, nie nawiązanemi, nićmi przerwanych wątków. Pokrewieństwo duchowe pociąga ku Słowackiemu najsilniej dusze młodzieńcze i kobiece, a właściwości geniuszu utrudniają wczucie się w subtelne piękności utworów umysłom, ceniącym przedewszystkiem w dziełach sztuki równowagę duchowych czynników, odbicie dojrzałości zarówno artystycznej, jak moralnej i umysłowej ich twórców. Gdy zaśći się pragnienie coraz liczniejszych czcicieli świetnego artyzmu i piękności tego ducha, potężniejącego stopniowo pracą wewnętrzną i trudem męczeńskim, w dążeniu ku najwyższym ideałom ludzkim i narodowym, gdy prochy poety powrócą na ziemię ojczystą, to najodpowiedniejszym dla nich miejscem spoczynku wiecznego okaże się Warszawa, podziemia katedry świętojańskiej, gdzie, jak w swych marzeniach, królować będzie sam i czuć się w harmonii z młodzieńczo kobiecym nastrojem duchowym młodszej stolicy, której wspomnienia, mimo krótkiego pobytu, tak silnie i wielokrotnie odbiły się w jego utworach.

Krasiński, który w dalszych fazach swego rozwoju duchowego z wielkiego poety przekształcił się na głębokiego krytyka, ujął istotę ducha i artyzmu Słowackiego i jego stosunek do Mickiewicza z taką prawdą i trafnością, że dziś, po latach sześćdziesięciu, pomimo tak wielkiego i szybkiego postępu, jakiego dokonała u nas krytyka literacka, w ostatnich zwłaszcza latach, sąd ten nie stracił nic ze swej głębokości i prawdy i dziś jeszcze jest najtrafniejszą i najgłębszą charakterystyką jego twórczości. «Mickiewicz, powiada krytyk-poeta, w swej rozprawie «O krytyce w ogólności» zaklął polskiego ducha poezyi i jak Tytan skupił go objęciem ramion, ścisnął w żelazny pierścień natchnienia — a duch stał się dotykalną pięknością. ... Czem Alp ogromy, czem piramidy pustyni, czem wszystko co zasadnicze i wzniosłe, a zarazem nieporuszone i wieczne, tem Mickiewicza dzieła; w nich nadewszystko przemaga siła dośrodkowa, siła wcieleń i twierdzeń, wola i czucie i wiara; one są granitowem jądrem naszej literatury... Słowackiego można rozumieć tylko po Mickiewiczu, tym ogromnym *fiat lux* [1]) lite-

[1]) «Niech się stanie światło», słowa Biblii z opowieści o stworzeniu świata.

ratury polskiej... Zdaje się nam, jakobyśmy czuli, gdy czytamy dzieła Słowackiego, że w nich się objawiła ta druga konieczna, odśrodkowa siła, siła odwcielań i zaprzeczeń, której pęd, poczęty z dołu, a bijący ku górze, stara się jak, muzyka, ciągłem drganiem cząstek i roztapianiem kształtów, wyrazić westchnienia wszystkich ciał natury i rwania się wszystkich myśli ducha ku niewidzialnemu światu nieskończoności...

Czem więc w naturze płynność i rozmdlewanie się, czem tęczy koło wodospadów umizgi, czem chmury co chwila zmienne, płynące na to, by przepaść i znieznacznieć, ale nie w nicości, jedno w niebie; czem błysk łusk, zakalających się na piersiach węża, czem przewrotność barw na tle opalowej białości, czem szmery rozmarzonych strumieni i szum daleki morza, czem gwary mnóstw wszelkich, nierozpoznalne a wsiąkające w duszę, jakby prosto szły z wieczności — czem owe melodye śpiewu, które gasną, oddalając się coraz wyżej, coraz szerzej, jakby życie, z piersi ludzkich uwolnione, już w niebo wstępowało, słowem, czem to wszystko, co już prawie zewnętrznego kształtu się pozbyło, lecz natomiast samą iściznę natury swojej prawie dotkliwie wyraziło, — tem się nam marzy, że jest poezya Słowackiego w literaturze naszej... Jej ogół, przez to właśnie że siły odwcielań jest formą... ma za formę ciągłe pojedyńczych cząsteczek stawianie i znoszenie, tworzenie i niszczenie i utrzymuje się następstwem tych znoszeń, raczej ruchem ciągłym niż postacią, tak jak muzyka... Stąd ciągły pozór ironii i kaprysu, stąd pęd niewstrzymany, ale lekki, przejrzysty.. Stąd mistrz stawia się na stanowisku panteistycznego Boga i ciągle stworzenia własne, jakby sny znikome, budując i rozwalając zarówno, według widzimisię swego, te ich wschody i zachody tragicznie lub komicznie... uważać może». Charakterystykę tę, skreśloną przed zapanowaniem w duszy Słowackiego nastroju mistycznego heroizmu, który wniósł do jego twórczości nowy ton i stały kierunek, stwierdziła i udostępniła, niepojmującym jej należycie przez długie lata czytelnikom, dopiero najnowsza krytyka, uwydatniająca w twórczości poety niedostrzegany poprzednio zespół czynników artystycznych, wiążących ją z dramatem Wagnerowskim i dzisiejszym modernizmem.

Współczesny francuski krytyk, Sarrazin, wskazuje, jako źródło tych cech artyzmu Słowackiego, obok wyobraźni, w najwyższym stopniu (podobnie jak u Shelleya) rozwinięty dar marzenia, wywołujący to nieokiełznane pragnienie lotu bez końca, przez zmieniające się ciągle przestrzenie i czasy, coraz nowe wizye postaci, położeń, zjawisk jak najdalszych od rzeczywistości. Zgodnie zresztą z tem, co sam poeta wyrzekł o sobie («To mój los senne królestwa posiadać»), zwie go krytyk francuski władcą świata wymarzonego (irréel).

Takim był Słowacki jako artysta. Jako człowiek, ze swą młodzieńczo-kobiecą duszą — dopiero po przebytych zawodach ambicyi artystycznej, w ostatnich latach krótkiego swego życia, osięgnął, pod wpływem rozbudzenia uczuć, wywołanych przez nastrój heroiczno-mistyczny, moralną piękność i podniosłość, która pozwala nam w wielkim i świe-

tnym artyście czcić ducha niepospolitego oddanego z całem zapałem i zaparciem żarliwej służbie w sprawie Boga i Ojczyzny.

WSKAZÓWKA BIBLIOGRAFICZNA.

A) Wydania zbiorowe i pierwsze wydania pośmiertne pojedyńczych utworów: Za życia poety pojawiło się tylko zbiorowe wydanie jego młodzieńczych utworów, p. t. «Poezye Juliusza Słowackiego» (Paryż, 1832—33). Tom I obejmował poematy: *Żmija, Bielecki, Hugo, Wiersz do Skibickiego, Mnich, Arab;* tom II dramaty: *Mindowe, Marya Stuart;* tom III rozpoczyna przedmowa poety, a po niej idą: *Lambro, Godzina Myśli, Duma o Wacławie Rzewuskim, Bogarodzica, Kulig, Pieśń legionu litewskiego.* Po śmierci poety pierwsze zbiorowe, ale niekompletne i niepoprawne wydania pojawiły się w Naumburgu (r. 1861, księgarnia Maurera) i w Lipsku (1863, 1869 i 1894) u Brockhausa, w 4 tomikach. Pierwsze staranniejsze, wedle wskazówek Małeckiego, a pod nadzorem Amborskiego, wydała księgarnia Gubrynowicza we Lwowie, r. 1880 (4 tomy). Pomieszczono tu w porządku chronologicznym to jedynie, co poeta ogłosił drukiem za życia, z dodaniem dwu urywków z pism pośmiertnych. Wydanie Kazimierza Bartoszewicza (Kraków 1882 r., 6 tomów), zawiera, w innym tylko porządku, te same utwory, co poprzednia edycya, z wyjątkiem urywków pośmiertnych, zastąpionych przez wyjęty z rękopisów urywek dalszego ciągu «Pana Tadeusza». Wydanie H. Biegeleisena (Lwów 1894, w 6 tomach), zawiera także w czterech pierwszych tomach przeważnie drukowane za życia poety utwory, z dodaniem wiersza: «Tak mi Boże dopomóż» i kilku prozą pisanych rozpraw, zaś w dwu ostatnich, później dodanych, bibliografię szczegółową i obfite wypisy ze studyów nad Słowackim. Warszawskie wydania częściowe w «Bibliotece najcelniejszych utworów» Lewentala i późniejsze, pełniejsze, przez redakcyą «Wędrowca» podjęte, w 6 tomach, pod redakcyą F. Hoesicka i L. Méyeta (Warszawa, 1903—4), niewielką mają wartość. Obecnie przygotowuje A. Górski możliwie zupełne wydanie pism Słowackiego, mające się ukazać w 6 tomach, nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa; pełną również edycyę przygotowuje we Lwowie Br. Gubrynowicz.

Bogatą spuściznę rękopiśmienną, złożoną przez rodzinę poety dla przechowania w bibliotece Ossolińskich we Lwowie, pierwszy rozpatrywał prof. Antoni Małecki i, dokonawszy, wedle swego uznania, wyboru zasługujących na ogłoszenie utworów, w całości czy fragmentach zostawionych, wydał w r. 1866 we Lwowie «Pisma pośmiertne» (3 tomy). W tomie I pomieścił, po raz pierwszy, ułamki poematu *Szanfary*, 28 utworów lirycznych, z epoki 1828 do 1842 i 34 drobnych utworów z epoki mistycyzmu, następnie *Podróż na Wschód*, poemat niedokończony (6 pieśni). *Wschód słońca nad Salaminą, Poeta i natchnienie*, fragment, trzy ustępy przekładu *Iliady*. Prócz tego dodano

tu przedruki wcześniej ogłoszonych utworów: *Grób Agamemnona* (ogłoszony przez poetę przy pierwszem wydaniu *Lilli Wenedy*, w r. 1840). *Do autora trzech psalmów* (poprawny, różny nieco tekst), *Rozmowa z Matką Makryną* (ogłoszona już w «Dzienniku literackim» lwowskim, r. 1861), *Preliminarya peregrynacyi do Ziemi św.* (ogłosz. w Tyg. liter.), *O «Nocy letniej»*, *Do księcia A. C.* i *Głos brata J. Słow. do zgromadzonych i w klub zawiązać się chcących Polaków* (19 marca 1848 r.). Tom II pomieścił dalsze ciągi *Beniowskiego* i *Króla Ducha*, z pominięciem waryantów i urywków, które wydawały się Małeckiemu nieodpowiednie. Przy końcu, przedruk *Ody do wolności* (r. 1830), z uszkodzonego egzemplarza. Tom III wypełniły utwory dramatyczne: zostawione w całości: *Beatrix Cenci* i *Niepoprawni* (Nowa Dejanira), tudzież w niezupełnej całości dramat, p. t. *Horsztyński*, prócz tego urywki z dramatów: *Krakus, Wallenrod, Walter Stadion, Jan Kazimierz, Złota Czaszka* (w znacznej części opracowany) i *Beniowski*.

Następnie inni wydawcy, ze zbioru, złożonego u Ossolińskich, i przechowanych przez różne osoby autografów, rozpoczęli ogłaszać pominięte przez Małeckiego, lub nieznane mu utwory. Z tych ważniejsze są: «Genezis z ducha», pomieszczona r. 1871 w piśmie «Strzecha» (Lwów) i w następnym roku osobno wydana we Lwowie i Poznaniu; ponownie poprawniej r. 1874 we Lwowie. Utwór ten, tudzież List do J. N. Rembowskiego. Wykład nauki. Dziennik z r. 1847—49, ogłosił H. Biegeleisen w Warszawie, nakładem Księgarni Paprockiego (bez roku). Dramat p. t. *Horsztyński*, wydał z uzupełnieniami dla sceny krakowskiej Juliusz Mien (Kraków 1883). W r. 1889 wydał w Krakowie J. H. Rychter, p. t. «Poezye, utwory dramatyczne i Proza», zbiór urywkowych nieznanych dotąd utworów, mieszczący: Poezye liryczne, Teogonią, Epigramaty i dramaty: Eolion (Zborowski), Zawisza Czarny, Agezylausz — Z dziejów Nowogrodu. Scena w Malborgu — Przypowiastki — Sny — Testament. Wydanie to niedbałe i niekrytyczne. Najważniejszem odkryciem, dokonanem przy rozpatrywaniu spuścizny rękopiśmiennej poety, było odnalezienie i zestawienie rozproszonych cząstek wspaniałego utworu, w formie dramatu fantastycznego, któremu wydawcy dali z własnego domysłu tytuł: *Samuel Zborowski*. Już w r. 1884 «Echo muzyczne i teatralne» ogłosiło kilka scen, J. Rychter, podał p. t. «Eolion», w swym zbiorze, części niektóre, całość zaś odszukanych i zestawionych cząstek pomieścił Artur Górski w «Słowie» warszawskiem, z r. 1901, a częściowo w «Słowie polskiem» lwowskiem. Pierwsze książkowe wydanie sporządził H. Biegeleisen (Warszawa, 1903, str. 215). Drugi wydobyty z zapomnienia utwór, dramat *Zawisza Czarny*, ukazał się po raz pierwszy w niedbałem, bezwartościowem wydaniu J. Rychtera (Kraków 1889). Dopiero Artur Górski dał nam dwa razy obszerniejszą całość rozproszonych w brulionach cząstek i ogłosił ją naprzód w «Słowie polskiem» r. 1903, a następnie w osobnem wydaniu (Warszawa 1906). Nowe fragmenty i waryanty Beniowskiego ogłosiła Gazeta «Lwowska» z r. 1902, n. 212 223 i Bibliot. Warsz. z r. 1902 (sierpień), odszukane i podane przez prof. Tretiaka. Dziennik podróży na wschód i plan poematu «Posielenie» ogłosił H. Biegeleisen w Bibliot Warsz. z r. 1891, t. II. Z utworów prozaicznych ważnym jest tak nazwany, przez wydawcę prof. Tretiaka, «List apostolski», ogłoszony w Bibl. Warsz. (1904, II, str. 429 do 473.) Ma także dla charakterystyki pojęć literackich i artyzmu poety znaczenie rozprawka «Krytyka krytyki i literatury», z rękopisu ogłoszona przez B. Erzepkiego (Poznań 1891). Pominięto w tym wykazie drobniejsze utwory i urywki, ogłaszane po różnych czasopismach. Listy poety do matki i rodziny ogłoszone były r. 1875 w «Ruchu literackim» lwowskim i osobno w dwu tomach (Lwów, 1876). Powtórnie pomnożone, lecz niestaranne wydanie ukazało się r. 1883 (2 tomy, Lwów). Pierwsze krytyczne wydanie listów z autografów, z objaśnieniami ogłosił L. Meyet (Lwów 1899 r., 2 tomy). Obejmuje ono 142 listy do matki i rodziny. Pamiętnik Jul. Słowackiego ogłosił H. Biegeleisen, r. 1901 w Warszawie (Biblioteka dzieł wyborowych).

B) **Biografie**. Śmierć Słowackiego w r. 1849, prócz krótkiego wspomnienia w «Przeglądzie poznańskim» (t. VIII z r. 1849) i podanego w «Dzwonku» lwowskim (z r. 1850) listu Felińskiego z opisem ostatnich chwil życia poety, nie wywołała w ówczesnem piśmiennictwie żadnego poważniejszego wyrazu uznania i hołdu dla zmarłego. Dopiero z rozbudzeniem się życia narodowego, wywołanem przez wojnę krymską, a następnie włoską (1859), zaczną się okazywać objawy zainteresowania się życiem i utworami poety. Norwid Cypryan ogłosił r. 1861 w Paryżu swe odczyty o Słowackim, a r. 1862 wydał tamże bliski poecie Reitzenheim Józef krótką biografię z portretem (str. 29), a jednocześnie w «Książce zbiorowej dla Wójcickiego» (Warszawa, 1862) ukazała się «Młodość Juliusza Słowackiego», pierwszy rozdział rozpoczętej przez Antoniego Małeckiego biografii poety. W cztery lata później wyszła we Lwowie całość tego dzieła, p. t. «Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła w stosunku do współczesnej epoki» (3 tomy). Drugie wydanie z niewielkiemi zmianami w szczegółach, wyszło w r. 1881 (Lwów, tom I, str. XII, 305, tom II, str. 347, tom III str. 286). Trzecie wydanie także we Lwowie r. 1901. Z dodatkiem, mieszczącym listy poety do p. Bobrowej. Biografię poety oparł tu zasłużony profesor na listach do matki i rodziny, nadając jej przez to charakter jakby autobiografii, uzupełnionej czerpanymi z innych źródeł szczegółami, przeplatanej rozbiorami utworów ogłoszonych za życia i ważniejszych ze spuścizny pośmiertnej. Sumienna, rozważna, pobłażliwa dla słabości Słowackiego, żywo i wymownie podnosząca i objaśniająca dostrzeżone przez biografa znamiona jego świetnego artyzmu, praca ta stała się prawdziwym pomnikiem dla wielkiego, nieznanego ogółowi poety, pomnikiem, odsłaniającym jego rysy duchowe nie w całej pełni wprawdzie nowych, subtelnych znamion, ale w najsympatyczniejszym i najprzystępniejszym dla ogółu zarysie. Dopełnieniem niejako tej pracy, dodającem nowe i zmieniającem niektóre z rysów tego

wizerunku, była wywołana przez to dzieło rozprawa krytyczna prof. Tarnowskiego, ogłoszona w «Przeglądzie Polskim» (r. 1867 i 68).

Nagromadzone przez poszukiwania w pośmiertnej spuściznie rękopiśmiennej szczegóły, dostarczyły gorliwemu zbieraczowi różnorodnych świadectw, F. Hoesickowi, materyału do nowej, trzy grube tomy obejmującej biografii p. t. «Życie Jul. Słowackiego, na tle współczesnej epoki» (Kraków 1896). Jakkolwiek nazwana przez autora «psychologiczną», jest właściwie anegdotyczną opowieścią o poecie i osobach, zostających z nim w stosunkach. Drobiazgi życia zewnętrznego zasłaniają tu raczej niż rozjaśniają dzieje duszy. Ostatnie poecie poświęcone dzieło prof. J. Tretiaka: «Juliusz Słowacki, historya ducha poety i jej odbicie w poezyi», ogłoszone częściowo (dwie części z pięciu) w «Rozprawach wydziału filol. Akad. Umiej.» (r. 1903), a następnie oddzielnie w całości (Kraków 1904 r. dwa tomy z rycinami), nosi na sobie w pierwszej, słabszej połowie, odbicie pierwotnego planu, w którym chodziło autorowi o przedstawienie stosunku Słowackiego do Mickiewicza. Stąd wynikła tendencyjność pracy i traktowanie, w pierwszej zwłaszcza połowie, przedmiotu z tego specyalnego punktu widzenia. Druga część, przedstawiająca rozwój ducha i twórczości Słowackiego w epoce Towianizmu, jest opracowaną pełniej i zgodniej z tytułem to też daje nam bogaty w szczegóły, starannie wystudyowany, obfity w trafne spostrzeżenia choć nie wolny od tendencyjnych domysłów i oświetleń, obraz ostatnich lat życia i twórczości poety. Najnowsze opracowanie danych, odnoszących się do młodych lat Słowackiego dał Tadeusz Grabowski w pracy: «Młodość Słowackiego 1809 do 1836» (Bibl. Warsz. 1905 T. I., — 25 i 279—319) tudzież: «Ostatnie lata Sł.» (Bibl. Warsz. r. 1907 i 1908). Poszukiwaniami nad dziejami rodziny poety i jego stosunkami rodzinnymi i towarzyskimi zajmuje się od dawna gorliwy zbieracz pamiątek i świadectw, do poety się odnoszących, i wydawca jego listów, Leopold Méyet. Ogłosił on w «Gazecie lwowskiej» z r. 1902 pracę «Gniazdo poety» (n. 259 do 269), podaną w skróceniu w Bibl. Warsz. (1903 r. II.) tudzież, w tejże gazecie z r. 1903, «Z dziejów rodziny Słowackich» (n. 141—148) obok tego: «Szlachectwo rodu Słowackiego». (Przew. nauk liter. z 1905) i «Dziadek Juliusza» (Kuryer Codz. r. 1905 n. 210 – 224). Są to części przygotowywanej większej pracy o rodzinie poety.

C) Studya krytyczne nad twórczością i pojedyńczymi utworami. Pierwszym krytykiem, który odczuł i trafnie scharakteryzował genialny artyzm Słowackiego, był Zygmunt Krasiński. Wygłaszane w rozmowach i listach opinie streścił on w rozprawie, pomieszczonej w «Tygod. literackim» z r. 1841 (t. IV) p. t. «Kilka słów o Juliuszu Słowackim». Mickiewiczowi jego potężna indywidualność artystyczna uniemożliwiała wnikanie w głąb dusz poetów, posiadających odmienną organizacyą duchową (w czem mistrzem był Słowacki), stąd to wynikało tak nietrafne, przez przyjaźń podyktowane, przecenianie Garczyńskiego i Zaleskiego,

a obojętność zupełna na twory Słowackiego, której nie można przypisywać wyłącznie niechęci osobistej. Jednakże ostatnie arcydzieła Słowackiego, «Król Duch» mianowicie, wydały się Krasińskiemu niezrozumiałemi dziwactwami. Karol Libelt ogłosił rozbiory «Mazepy» i «Księdza Marka» (Pisma krytyczne, t. II. Poznań 1851). Tylko pokrewny duchowo Cypryan Norwid zdolny był wnikać głębiej w tajniki tej twórczości. Ogłosił on w r. 1861 w Paryżu: «O Juliuszu Słowackim w sześciu publicznych posiedzeniach» (str. 90). Dzieło Małeckiego i wydane przez niego «Pisma pośmiertne» (r. 1866) wywołało żywsze zainteresowanie się Słowackim u publiczności i krytyków, zwłaszcza dramatami, które zaczną się ukazywać na scenach polskich w Krakowie, Lwowie, a nawet i Warszawie («Mazepa»). Tarnowski ogłosił cały szereg studyów krytycznych i odczytów o «Mazepie» «Balladynie», «Lilli Wenedzie», «Horsztyńskim», i poematach «W Szwajcaryi» i «Ojciec Zadżumionych». Rozbiory: «Mazepy», «Niepoprawnych», «Horsztyńskiego» (w zbiorze «Rozbiory i sprawozdania», Kraków 1895). Szujski Józef napisał porównanie «Trenów» Kochanowskiego z «Ojcem Zadżumionych», Asnyk swoje uwagi o «Królu Duchu» (Przewodnik nauk. literacki 1879), Bełcikowski wygłasza i wydaje w Warszawie (r. 1879) odczyty o «Balladynie», J. Kotarbiński o «Horsztyńskim», (Przegląd Tyg. 1879 r.), Chmielowski kreśli charakterystykę «Ostatnich lat Juliusza Słowackiego» (Ateneum r. 1877) i postacie kobiece jego utworów przedstawia w książce: «Kobiety Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego» (Warszawa, cztery wydania), Cezary Jellenta dał zarys: «Juliusz Słowacki dzisiaj» (Głos z r. 1899 i osobno Kraków 1900 str. 72). Następnie rozpoczęły się trwające dotąd poszukiwania nad genezą utworów, pojedyńczych postaci i pomysłów poety, tudzież krytyczne wydania oddzielnych utworów. Ważniejsze są: Nehring Wł. «Studya literackie» (Poznań 1884 — rozbiory «Balladyny» i «Lilli Wenedy»); P. Chmielowski (Studya liter., Kraków 1886, zarys: Juliusz Słowacki Towianczykiem), M. Zdziechowski, Mickiewicz i Słowacki pod wpływem Towiańskiego («Mesyaniści i Sławianofile», Kraków 1888). J. Kotarbiński: Byrona «Don Zuan» i Słowackiego «Beniowski» («Ateneum» 1889); W. Bugiel: Tło ludowe «Balladyny» («Wisła» z r. 1893); F. Hösick: «Anhelli i Trzy poematy», Kraków 1895; Tretiak Józef («Szkice liter.», w nich «Hamlet polski», Kraków 1896); W. Hahn: Studyum nad gienezą «Lilli Wenedy», (Lwów 1894); Tenże: «Przyczynek do gienezy Maryi Stuart» (Ateneum 1894); Tenże: «Kilka słów o genezie Mindowego», (Lwów 1894); Tenże: Poeta i natchnienie Juliusza Słowackiego, (Pam. liter. 1904, str. 628 — 647); Tenże: Wincenty i Bonawentura Niemojewscy w «Anhellim», Lwów 1903); Tenże: Juliusz Słowacki, Samuel Zborowski, (Lwów 1905); E. Porębowicz: Jeszcze Beatrix Cenci (Aten. 1896); Drogosław «O Maryi Stuart» Słowackiego (Aten. 1906); T. Pini: «Kilka słów o wpływie Shelleya na tragedyę» Słowackiego Beatrix Cenci (Aten. 1897); S. Askenazy: «Na marginesie Kordyana» (Kwart. hist. 1902); K. Tetmajer: Z powodu wystawienia

Kordyana w Krakowie (książka zbior. «Melitele», Kraków 1902); Stanisław Witkowski: Czas napisania «Genezis z Ducha» (Pam. literacki 1904, str. 610 i następne); K. Jarecki: J. Słowackiego poemat «W Szwajcaryi» (Bibl. Warsz. 1904); H. Trzpis: «Krytyczna ocena charakteru Kordyana», (Kraków 1905); I. Zimmermann: «Studyum nad genezą Mazepy» (Lwów 1905); Z. Wasilewski: Stosunki Słowackiego z Goszczyńskim (w zbiorze «Śladami Mickiewicza», Lwów 1905); I. Kleiner: «Patryotyzm Słowackiego», (Bibl. Warsz. 1905); I. Matuszewski: «Geneza i znaczenie Eloi u Słowackiego», (Ateneum z r. 1892 i w zbiorze «Swoi i obcy» Warsz. 1898, 2 wyd. 1903); Zdziarski Stan.: «Szkice literackie», (Lwów 1902 «O młodzieńczych utworach Słowackiego»): Ed. Dubanowicz «Ksiądz Marek» (Pam. liter. z r. 1904); K. Jarecki: «Beatrix Cenci» (Bibl. Warsz. 1904); Nehring Wł.: «Mazepa» (Biblioteka Warsz. 1903), Dwa najwybitniejsze utwory z ostatniej fazy twórczości, «Król Duch» i «Samuel Zborowski», wywołały liczne studya krytyczne i przyczyniły się wielce do rozwoju naszej krytyki literackiej, która wobec niezwykłości i złożoności znamion artystycznych tych pojawów twórczości, musiała wznieść się na wyższe stanowisko, szersze ogarnąć horyzonty, pogłębić się i usubtelnić zarazem. Najwybitniejszą z prac, wyjaśniających cechy nowego artyzmu, uwydatnione w «Królu Duchu», jest studyum Ign. Matuszewskiego «Słowacki i nowa sztuka (Modernizm): Twórczość Słowackiego w świetle poglądów estetyki nowoczesnej», (Warszawa 1902 i 2-e wydanie 1905); z innych studyów odnosi się tu: J. Żuławski: «Prolegomena» 1902; K. Jarecki: «Znaczenie i idea «Króla Ducha» (Bibl. Warsz. III. 1903): T. Miciński: w książce «Do źródeł Duszy», Kraków 1906; Jan Gwalb. Pawlikowski: «Ze studyów nad «Królem Duchem». Popiel: («Słowo Polskie» 1904 r. n. 68 i nast).; «Samuel Zborowski» jest przedmiotem prac: W. Hahna (Lwów 1905 str. 78) i Stan. Schneidera: «Teorya palingenezy w Sam. Zborowskim», (Lwów 1905) i W. Makowskiego, w zbiorze p. t. «Godzina Pogardy«, (Wilno 1906); tu odnoszą się także pomieszczone w «Pam. liter. lwowskim» opracowania: Stefanii Tatarówny: «Słowacki a Nietsche» i Jana Pawlikowskiego: «Źródła i pokrewieństwa towianizmu i mistyki Słowackiego».

Z wydań krytycznych utworów Słowackiego zasługują na uwagę, prócz wymienionych powyżej pierwszych pośmiertnych, wyborne, wzorowe wydanie «Genezis z Ducha» przez W. Lutosławskiego (Kraków 1903); «Anhellego» przez W. Hahna (w Bibl. Westa); «Rozmowa z matką Makryną» przez H. Biegeleisena (Lwów 1904); Przekład (dwie pieśni) «Iliady», wydał ze swymi rysunkami St. Wyspiański (Kraków 1903). Bibliografię wydań utworów Słowackiego i opracowań o nim prowadzi W. Hahn w «Pamiętniku literackim».

A) Sonet (1827) [1]).

498) Zwarzyła jesień kwiaty nad brzegiem strumyka,
Wiatr, szumiąc, zeschłych liści tumanami miota;
Błyszczy dąb koralowy, błyszczy brzoza złota,
A jaskółkę wewnętrzny niepokój przenika.

Już czas lecieć — gdzie? w sercu znajdziesz przewodnika,
Już czas lecieć, wewnętrzna uczy cię tęsknota.
Siedzi smutna nad gniazdem, skrzydełkiem trzepiota,
Zrywa się — podleciała — mignęła i znika.

Jaskółka miała wrócić, nim zefir zawionie,
Pod strzechę, której nieraz doznała opieki,
Lecz ją w przelocie morskie pochłonęły tonie.

Lauro, — ja nieszczęśliwy, idąc w kraj daleki,
Myślę, że wrócę kiedyś, spocząć na twem łonie...
Próżne marzenia — żegnam, żegnam cię na wieki.

B) Szanfary.

(Ułomki poematu arabskiego).

(1828).

Podajemy tu tylko charakterystyczne wynurzenia samego poety, świadczące o jego nastroju bajronicznym, ale zarazem mieszczące zarys jego duchowej organizacyi.

499) Są w świecie serca, które w młode lata
Straciwszy szczęście, w samym życia kwiecie,
Nie mogąc w niebo ulecieć ze świata,
Żyją, a przecież nie żyją na świecie:
Lecz nim śmierć więzy cielesne rozkruszy,
Pomiędzy niebem a ziemią się ważą,
Tworzą świat nowy, świat serca i duszy;
W tym świecie żyją, kochają i marzą.

Motyl, błyszczący skrzydłami bławatu
Pierwszy dzień, pierwszą godzinę na świecie,
Usiadł na łąki najpiękniejszym kwiecie,
Usiadł — i nigdy nie uleciał z kwiatu.
Krótka, niestety! jego szczęścia chwila,

---

[1]) *Uwaga*: Konieczność przystosowania się do planu wydawnictwa niniejszego, wynikającego z jego przewodniej myśli, tudzież do skali oznaczonych z góry rozmiarów całości, utrudnia wielce, przy bogactwie różnych stopni i rodzajów twórczości Słowackiego, scharakteryzowanie systematyczne w dobranych urywkach wszystkich dzieł wielkiego poety. Zamiast podawać z każdego utworu po drobnej próbie, uznaliśmy za właściwsze ograniczyć się tylko do najważniejszych i najcharakterystyczniejszych dzieł, a za to uwydatnić w liczniejszych i obszerniejszych wyjątkach całe bogactwo artyzmu, całą gamę nastrojów i wszystkie wybitne fazy rozwoju duchowego poety.

Zatruty napój pije z kwiatów łona;
Pierwszy raz stałym widziano motyla;
I wiecznie stały, bo na kwiecie kona. —
Ty, co jak motyl nad kwiatów kobiercem
Do jednej przylgniesz i duszą i sercem,
Strzeż się; bo ona, choć ma lica cudne,
Nie mając duszy [1]), ma serce obłudne,
A okiem swojem tak prędko zabija,
Tak prędko truje ustami z koralu,
Że życie twoje jak chwila przemija,
A potem wieczność pełna mąk i żalu.

Nie chcę ja raju, lecz proszę proroka:
Niech da mej duszy taki step bez końca,
Step dziki, pusty, bezbrzeżny dla oka
I wiecznie wrzący promieniami słońca;
A gdy zapragnę, wśród dzikiego błonia
Na me skinienie niech źródło wypływa,
Niech mi tam prorok wróci mego konia,
Który gdzieś w piaskach ruchomych spoczywa;
Niech dla rajskiego duszy zachwycenia
Step ten okryją mych wrogów mogiły,
Niech mi się wrócą mej młodości siły,
Lecz nie wracają młodości cierpienia!
O takiem szczęściu serce moje marzy,
Ach! wtenczas będę zupełnie szczęśliwy;
Niech tylko żaden, żaden człowiek żywy
Tej samotności przerwać się nie waży!

Patrz, jak te twarde dzikich skał ogromy
Nad fale groźne wysuwają czoła;
Próżno nad niemi ryczy wiatr i gromy,
Grom ich i fala poruszyć nie zdoła!
Każda ta skała złożona z korali,
A każdy koral, pod wody ukryciem
Niedawno jeszcze obdarzony życiem,
Czuł jak najlekse poruszenie fali:
Lecz później wszystkie te cząstki żyjące,
Szukając wsparcia, przylgnęły do skały,
Wśród zimnych głazów wiecznie czuciem drżące
Pośród kamieni same skamieniały. —
Tak, kiedy na świat rzucisz szybko okiem,
Ileż serc zimnych oko napotyka:
Ten patrzy na świat obojętnym wzrokiem,
Ten zimnych ludzi, jak gadzin, unika. —
A jednak każde, każde z tych serc biło

[1]) Mahomet kobietom w Alkoranie duszy odmówił.

Żądzą wielkości, potęgi i sławy,
Albo z wojennej ochłonąwszy wrzawy,
Wrzącym się ogniem miłości paliło.
W przyjaźni stałe, w miłości niezmienne,
Długo cierpiały na tej nieszczęść ziemi,
Ale trafiając na serca kamienne,
Same się wkrótce stały kamiennemi.

C) Godzina myśli.

(Paryż 1832).

Z tej opowieści-spowiedzi, bajronicznie nastrojonej, podajemy, opuszczając zarówno wpleciona tu historyę rojeń i zgonu samobójczego, jedynego, blizkiego Juliuszowi, kolegi lat szkolnych: Ludwika Szpitznagla, jak też uwzględnione już w zarysie biograficznym szczegóły młodości samego poety — te głównie ustępy, w których znajdujemy zarówno charakterystykę jego organizacyi duchowej i nastroju bajronicznego, jak i zawiązki, rozwiniętych dopiero w całej pełni, w ostatnich latach życia, wierzeń i myśli.

500) Głuche cierpiących męki, śmiech ludzki nieszczery
Są hymnem tego świata; a ten hymn posępny,
Zbłąkanymi głosami wiecznie wniebowstępny
Wpada między grające przed Jehową sfery [1]),
Jak dźwięk niesfornej struny. Ziemia ta przeklęta,
Co nas takim piastunki śpiewem w sen kołysze;
Szczęśliwy, kto się w ciemnych marzeń zamknął ciszę,
Kto ma sny i o chwilach prześnionych pamięta.
. . . . . .
. . . . . .
W dolinie mgłą zawianej śród kolumn topoli
Niech blade uczuć dziecko o przyszłości marzy,
Niechaj myślami z kwiatów zapachem ulata,
Niechaj przeczuciem szuka zakrytego świata;
. . . . . .
Karmił się marzeniami, jak chlebem powszednim;
Dziś chleb ten zgorzkniał, piołun został w głębi czary.
Do szkieletu rozebrał zeschłe myśli ciało,
Odwrócił oczy, — serce już myśleć przestało
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . Młoda pamięć obu,
Ogromna pamięć, z myśli uwita łańcucha,

[1]) «Grające sfery», a właściwie muzyka sfer, jest to pojęcie, biorące początek z filozofii Platona i w późniejszych wiekach, u Ojców kościoła, spotykane, o harmonii muzycznej, powstającej z ruchu ciał niebieskich, a raczej sfer kryształowych, z którymi razem się poruszają. Ludzie tej harmonii nie słyszą, dopiero w życiu przyszłem, duszom zbawionym będzie dostępna.

Świadczyła o istności przedżywotnej ducha,
A przeczuciami życie widzieli do grobu.
I nic ich nie dziwiło, co z lat poszło biegiem,
I smutni nad przepaści życia stali brzegiem,
Nie odwracając lica. W ciemnej szkolnej sali
Smutna poezya duszy dała dźwięk uroczy,
Na ciemnych, mglistych szybach zawieszając oczy,
Wiosną, śród szmeru nauk, myśleniem słuchali
Szmeru rosnących kwiatów . . . . . .
. . . . . .
Serce każdego równą miarę uczuć trzyma;
Smutna poezya duszy oba serca żywi:
Lecz wrażeniami duszy odmiennie szczęśliwi,
Odmiennie czuli. Dziecko z czarnemi oczyma
Młodsze wiekiem, natchnieniom dało myśl skrzydlatą,
I wypadkami myśli żyło w siódmem niebie.
Młodszy marzenia stroił czarnoksięską szatą,
A potem silną wolą rzucał je przed siebie;
I stawały, i widział przed sobą obrazy,
Od których się odłamał zimniejszym rozumem:
Więc przeczuł, że marzeniom da kiedyś wyrazy,
Że się zapozna myślą z myślnym ludzi tłumem;
Przed sobą miał krainę duchów do zdobycia.
. . . . . .
Oni marzeniem księgi rozumieli ciemne,
Nie rozumiejąc myśli. Z dziecinnego piasku
Na księgach Swedenborga budowali gmachy,
Pełne głosów anielskich, szaleństwa i blasku,
Niebu Tytanowymi grożące zamachy.
Przez tworów państwa snuli myślą dwa łańcuchy:
W światło zbite u góry, w ciemność spodem zlane;
Tych ogniwa, jak szczeble wschodów połamane,
Wiodą w światłość idące, albo w ciemność duchy. —
I świat tworów w dwa takie rozłamany ruchy
Wiecznie krąży. A dusza z iskry urodzona
Różnem życiem przez wieki rozkwita i kona,
Przez długie wieki, biorąc kształty różnych tworów,
W kwiecie jest duszą woni i treścią kolorów,
W człowieku myślą — światłem staje się w Aniele.
Raz wstępnym pchnięta ruchem ciągle w Boga płynie,
W doskonalszem co chwila rozkwitając ciele.
Człowiek się silną myślą w Anioła rozwinie,
Ten anioł zachwyceniem w światło się rozleje
I będzie częścią Boga na żywiołów tronie[1]).

[1]) Odbicie tych pojęć spotykamy w postaci Anhellego, a szersze, pełniejsze rozwinięcie w «Genezis z Ducha» i utworach ostatniej epoki życia.

. . . . . .
On sam od siebie śmierci odsunął widziadło
Dziwnem wynalezieniem cierpiącego życia.
On przed sobą przyszłości postawił zwierciadło
I rzucał w nie obecne chwile i z odbicia
Wnosił, jaki blask przyszłe wspomnienia nadadzą
Obecnym chwilom życia . . . . . .
. . . . . .
. . . . . Wszystkie czucia skarby
Ognistej wyobraźni rzucił na pożarcie.
Wyobraźnia złotemi rozkwitała farby
I kładła się jak tęcza na ksiąg białej karcie;
Lecz nie było w niej wiary w szczęście ani w Boga;
Ludzie w nim mieli ducha, w myślach świat miał wroga,
On, w głębi duszy słysząc krzyk szczęścia daremny,
Mścił się i gmach budował niedowiarstwem ciemny.
. . . . . .
Zabite głodem wrażeń jedno z dzieci kona,
A drugie, z odwróconem na przeszłość obliczem,
Rzuciło się w świat ciemny . . . . . .

D) Kordyan (1834).

Prolog.

Pierwsza osoba prologu.

501) Boże! ześlij na lud Twój, wyniszczony bojem,
Sen cichy, sen przespany, z pociech jasnym zdrojem;
Niechaj widmo rozpaczy we śnie go nie dręczy!
Rozwieś nad nim kotarę z rąbka niebios tęczy.
Niech się we łzach nie budzi, przed dniem zmartwychwstania:
A mnie daj łzy ogromne i męki niespania.
Po mękach wręcz mi trąbę sądnego Anioła;
A kogo, przed tron Boga, ta trąba zawoła,
Niechaj stanie przed Tobą. Daj mi siłę, Boże!
A komu palec przekleństw na czoło położę,
Niech nosi znak na czole. — Pozwól, Panie, tuszyć,
Że słowem zdołam cielce złote giąć i kruszyć —
Z bronzu wzniosę posągi, gdzie pokruszę gipsy,
A kto ja jestem? jestem duch Apokalipsy. —
Obróćcie ku mnie oczy zamglone i twarzy —
Oto stoję wśród siedmiu złocistych lichtarzy
Podobny do człowieka — szata, w długość szczodra,
Spływa do stóp; pas złoty przewiązał mi biodra,
Głowę kryje włos biały, jak śniegi, jak wełna;
Z oczu skra leci ogniów dyjamentu pełna,

Nogi mam, jak miedź, świeżem ogniskiem czerwona;
Głos huczy, jako woda wezbraniem szalona.
W ręku siedm gwiazd niosę, a z ust mi wytryska
Miecz ostry, obosieczny, a twarz moja błyska,
Jak słońce w całej mocy wyświecone kołem.
A gdy przede mną na twarz upadniecie czołem,
Powiem wam: Jestem pierwszy — i ostatnim będę.

Druga osoba prologu.

Ja wam zapał poety na nici rozprzędę!
Wy śmiejcie się z zapału mego towarzysza —
Kto on? do tureckiego podobny derwisza —
Owe siedem lichtarzy jest to siedem grodów,
Stoi wśród siedmiu złotem nalanych narodów —
Wygnaniec. — A włos czarny w siwość mu zamienia,
Nie wiek, ale zgryzota. — W oczach blask natchnienia,
W ręku gwiazdy — to myśli, z których jasność dniowa;
Miecz w ustach obosieczny jest to sztylet słowa,
Którym zabija ludzi głupich — albo wrogów.

Trzecia osoba prologu.

Zwaśnionych obu spędzam ze scenicznych progów.
Dajcie mi proch, zamknięty w narodowej urnie,
Z prochu lud wskrzeszę, stawiam na mogił koturnie,
I mam aktorów wyższych o całe mogiły.
Z przebudzonych rycerzy zerwę całun zgniły;
Wszystkich obwieję nieba polskiego błękitem;
Wszystkich oświecę duszy promieniem i świtem
Urodzonych nadziei — aż przejdą przed wami,
Pozdrowieni uśmiechem, pożegnani łzami. —

Akt I. Scena I.

(Kordyan, młody piętnastoletni chłopiec, leży pod wielką lipą na wiejskim dziedzińcu; Grzegorz, stary sługa, nieco opodal czyści broń myśliwską. Z jednej strony widać dom wiejski, z drugiej ogród — za ogrodzeniem dziedzińca staw, pola i lasy sosnowe).

Kordyan, *zadumany.*

502) Zabił się — młody [1]). Zrazu jakaś trwoga
Kładła mi w usta potępienie czynu;
Była to dla mnie posępna przestroga,
Abym wnet gasił myśli zapalone.
Dziś gardzę głupią ostrożnością gminu,
Gardzę przestrogą, zapalam się, płonę —
Jak kwiat liściami w niebo otwartemi,

[1]) Odnosi się to do samobójstwa Szpitznagla, opowiedzianego przez poetę w «Godzinie myśli». Poeta, odrazu nawiązując «Kordyana» do poprzedniej opowieści, zaznacza związek ścisły wynurzeń i czynów bohatera z własnemi kolejami i rojeniami.

Chwytam powietrze, pożeram wrażenia,
Myśl Boga z tworów wyczytuję ziemi
I głazy pytam o iskrę płomienia.
Ten staw odbite niebo w sobie czuje
I myśli nieba błękitem.
Ta cicha jesień, co drzew trzęsie szczytem,
Co na drzewach liście truje,
I różom rozwiewa czoła,
Podobna do śmierci anioła —
Ciche wyrzekła słowa do drzew — Gińcie, drzewa! —
Zwiędły — opadły — —
Myśl śmierci z przyrodzenia w duszę się przelewa —
Posępny, tęskny, pobladły,
Patrzę na kwiatów konanie,
I zdaje mi się, że mię wiatr rozwiewa.
Cicho! — Słyszę po łąkach trzód błędnych wołanie,
Idą trzody po trawie chrzęszczącej od szronu
I obracają głowy na niebo pobladłe,
Jakby pytały nieba: gdzie kwiaty opadłe?
Gdzie są kwitnące maki po wstęgach zagonu?
Cicho, odludnie, zimno — — Z wiejskiego kościoła
Dzwon wieczornych pacierzy dźwiękiem szklannym bije;
Ze skrzepłych traw modlitwy żadnej nie wywoła,
Ziemia się modlić będzie, gdy słońcem ożyje —
Oto ja sam, jak drzewo zwarzone od kiści!
Sto we mnie żądz, sto uczuć, sto uwiędłych liści;
Ilekroć wiatr silniejszy wionie, zrywa tłumy.
Celem uczuć — zwiędnienie, głosem uczuć — szumy
Bez harmonii wyrazów. — Niech grom we mnie wali!
Niech w tłumie myśli jaką myśl wielką zapali — —
Boże! zdejm z mego serca jaskółczy niepokój,
Daj życiu duszę i cel duszy wyprorokuj —
Jedną myśl wielką roznieć, niechaj pali żarem,
A stanę się tej myśli narzędziem, zegarem;
Na twarzy ją pokażę, popchnę serca biciem,
Rozdzwonię wyrazami i dokończę życiem.
(Po chwili).
Jam się w miłość nieszczęsną całem sercem wsączył — —

Z aktu II.

(Kordyan, z założonemi na piersiach rękoma, stoi na najwyższej igle góry Mont-Blanc).

Kordyan.

503) Tu szczyt — lękam się spojrzeć w przepaść świata ciemną.
Spojrzę. — Ach! pod stopami niebo i nad głową
Niebo. — Zamknięty jestem w kulę kryształową!

Gdyby ta igła lodu popłynęła ze mną
Wyżej — aż w niebo — nie czułbym, że płynę.
Stąd czarne skrzydła myśli nad światem rozwinę.
Ciszej! słuchajmy — o te lody się ociera
Modlitwa ludzka, po tych lodach droga
Myślom płynącym do Boga.
Tu dźwięk nieczysty głosu ludzi obumiera,
A dźwięk myśli płynie dalej.
Tu pierwszy zginę, jeśli niebo się zawali.
A ten kryształ powietrza, by tchnieniem rozbity
Kręgami się rozpłynie na nieba błękity,
I gwiazdy w nieznajomą uciekną krainę;
I znikną, jakby ich nigdy nie było —
Sprobuję — westchnę i zginę.
(Patrzy w dół).
Ha! przypominasz mi się, narodów mogiło!
Oto się przedarły chmury,
Igły lodów wytrysły z chmur kłębów;
Tam las ogromny sosen i dębów,
Jak garść mchu w szczelinie góry,
A ta plamka biała — blada —
To morze.
Silniej wzrok napnę — oczy rozedrę, otworzę,
Chciałbym stąd widzieć człowieka.
Tam, koło jednej igły, krążą orłów stada,
Jak pierścionki żałobne na perłowych lodach;
A ode mnie błękitna płynie szczelin rzeka —
Każda w jedną otchłań zlata,
I nikną, jak w morza wodach —
— — — — — — — — —
Jam jest posąg człowieka na posągu świata!
— — — — — — — — — —
O gdyby tak się wedrzeć na umysłów górę,
Gdyby stanąć na ludzkich myśli piramidzie,
I przebić czołem przesądów chmurę,
I być najwyższą myślą wcieloną!
Pomyśleć tak — i nie chcieć? o hańbo! o wstydzie!
Pomyśleć tak i nie módz? w szmaty podrę łono!
Nie módz? to piekło!
Mogęż siłą uczucia serce moje nalać,
Aby się czuciem na tłumy rozciekło,
I przepełniło serca nad brzegi,
I popłynęło rzeką pod trony — obalać?
Mogęż, ruszyć lawiny? potem lawin śniegi,
Zawieszone nad siołem,
Zatrzymać ręką lub czołem?

Mogęż jak Bóg w dzień stworzenia,
Ogromnej dłoni zamachem
Rzucać gwiazdy nad świata zbudowanym gmachem,
Tak, by w drodze przeznaczenia,
Nie napotkały nigdy kruchej świata gliny
I nie strzaskały w żegludze? —
Mogę — więc pójdę! ludy zawołam! obudzę!
(Po chwili — z wyrazem zniechęcenia).
Może lepiej się rzucić w lodowe szczeliny? —
(Po chwili — zrazu spokojnie, potem z zapałem).
Uczucia po światowych opadały drogach —
Gorzkie pocałowania kobiety — kupiłem. —
Wiara dziecinna padła na papieskich progach —
Nic — nic — nic — aż w powietrza błękicie
Skąpałem się — i ożyłem,
I czuję życie!
Lecz nim myślą olbrzymią rozpłonę,
Posągu piękność mam — lecz lampy brak.
Więc z ognia wszystkich gwiazd uwiję na czoło koronę,
W błękicie nieba sfer ciało roztopię tak,
Że, jak marmur, jak lód, słonecznym się ogniem rozjaśni.
Potem, piękny jak duch baśni,
Pójdę na zimny świat i mogę przysiądz,
Że to na czole tysiąc gwiazd i w oczach tysiąc,
Że posągowy wdzięk narodów uczucia rozszerzy,
I natchnie lud:
I w serca jak myśl uderzy,
Jak Boga cud. —
— — — — — —
Nie — myśli wielkiej trzeba z ziemi, lub błękitu!
Spojrzałem ze skały szczytu,
Duch rycerza powstał z lodów —
Winkelryd dzidy wrogów zebrał i w pierś włożył! —
Ludy! Winkelryd ożył!
Polska Winkelrydem narodów!
Poświęci się, choć padnie, jak dawniej — jak nieraz! —
Nieście mię, chmury! nieście, wiatry! nieście, ptacy! —
(Chmura znosi go z igły lodu).

Chmura.

Siadaj w mgłę — niosęć. — Oto Polska — działaj teraz! —

Kordyan *(rzucając się na rodzinną ziemię, z wyciągniętemi rękoma woła).*

Polacy!!!

Akt III. Scena II.

(Sala, tak nazwana koncertowa w zamku królewskim, oświecona lampą — wokoło kolumny z marmuru, ściany zamalowane arabeskami. — Widać

przez drzwi, otwarte na przestrzał, ciąg długi ciemnych pokoi; wokoło błyska słabe światło sypialnej komnaty. — Kordyan, oparty na bagnecie karabinu. — Różne widma).

Kordyan *(idąc naprzód z karabinem).*

504) Puszczajcie mię! puszczajcie! jam ..... morderca!
Idę zabijać — ktoś mię za włos trzyma!
Przywidzenie. Słuchaj! ja mówię oczyma.
Strach. Słuchaj! mówię biciem serca.
Kordyan. Nikogo niema —
Ktoś gada —
Przywidzenie.
Nie patrz na mnie, lecz patrzaj, gdzie ja palcem wskażę.
Kordyan. Palca twego nie widzę, lecz mój wzrok upada
Tam, gdzie wskazujesz palcem. Widzę jakieś twarze —
To arabeski, ścienne malowidła —
Strach. Przekonaj się! wpatrzaj się w ściany,
Ściana gadem się rusza — przebrzydła —
Każdy wąż — złota ogniem nalany,
Pierścieniami rozwija się z muru.
Kolumny potrząsają wężów zwitych grzywą;
Sfinksy straszliwe
Spełzły z marmuru —
Sfinksy płaczą jak dzieci — węże jak wiatr świszczą.
Nie nastąp na nie — patrzaj wiją się i błyszczą.
Przywidzenie. Jako motyl płocha, powiewna,
Odleciała od ściany dziewica;
Może jakaś zaklęta królewna?
Królewna — lub czarnoksiężnica?
Przypomnij! widziałeś jej lica,
Przypomnij! do kogoś podobna,
Przypomnij!
Tamta była posępna i patrzała skromniej;
U tej szata gwiazdami ozdobna —
To gwiazdy prawdziwe — to światy,
Błyszczą na szafirze szaty —
Jest to pasterka z gwiazd sioła,
Kosz na głowie, w koszu kwiaty —
I twarz anioła —
Strach. Lecz patrzaj na oczy! nieruchome oczy!
Gdzie się obrócisz, patrzą za tobą.
Przywidzenie. Czy czujesz woń jej warkoczy?
Strach. Rozgniotłeś węża pod sobą —
Pękła żmija.
Kordyan. Jezus Marya!!! *(Przeciera oczy).*
Sen zniknął. — Naprzód! naprzód z bagnetem — w pierś.

(Wchodzi do następującej sali — zupełnie ciemnej. Na lewo drzwi otwarte

do gabinetu konferencyjnego. Pokój ten w kształcie wyzłoconego jaja zupełnie księżycem oświecony. W środku stoi trójnóg sztucznie ze złota urobiony, a na nim leży korona).

Obie władze. Stój —
Kordyan. Puśćcie! Boska cięży na mnie kara! —
Obie władze. Słuchaj! szum głuchy z milczeniem się bije,
Jakgdyby wicher wleciał w komnat szyje,
Niby szum suchego drzewa,
Niby ulewa
Grzmi o dachy pałacu — grzmi — a księżyc świeci!
Kordyan *(patrząc do gabinetu konferencyjnego).*
Ta komnata srebrnego napiła się blasku,
Trójnóg złoty — korona leży na trójnogu;
Jest to korona ..... dzisiaj — lecz o brzasku
Ta korona należeć będzie tylko — Bogu —
Idźmy -! Nie mogę oczu odjąć od korony.
Przywidzenie.
Patrz dłużej — krew z niej kapie, a pod nią schylony
Człowiek, czarny jak smoła,
Zajęty pracą —
Strach. Dwa rogi wytrysły mu z czoła,
Oczy jak żar — bez powiek —
Skąd on? i na co?
Kordyan. Skąd? i na co ten człowiek?
Widmo. Podłogę polską czyszczę,
Bo krwią ..... zwalana;
Ale śladu nie zniszczę,
Chyba za drugi wiek!
Kordyan. Jeśli nie zmyjesz wodą z polskich rzek,
Przyniosę krwi — podłogę całą
Wymyjemy, będzie białą
Jak twarz trupa. *(Po chwili)*
Jeszcze jedną komnatę przejść trzeba.
(Wchodzi do sali tronowej)
Ciemno — i czarne okna — żadnej gwiazdy z nieba —
Tam wiedzie droga — nakształt ognistego słupa,
Lampa strzeże ....., oświeca mu łoże,
I leje światło na posadzki szkliste,
Jak księżyc po wód jeziorze,
Chwyta łódź moją, w kręgi ogniste —
Płynę zawrotem głowy — któż podda podniety?
Przywidzenie. Twój bagnet łysnął — płomienne bagnety
Zleciały się w powietrzu i z ostrzem się zbiegły —
Jak rybki, gdy w krysztale kruszynę spostrzegły —
Zleciały się i stal szczypią —
I palą.

W powietrze uderzasz stalą,
Z powietrza jak iskry się sypią.
Czekaj, aż się ul cały płomyków wyroi —
Strach. Nie patrz tylko za siebie — bo tam u podwoi —
(Kordyan obraca się).
Przywidzenie. Dwie z malakitu wazy, w nich dwa drzewa rosną,
Zimą i wiosną.
Patrz — liście z ludzkich uszu, z oczu ludzkich kwiaty;
I zwykły nasionami języków się plemić,
Lecz ..... rwie nasiona, by drzewa oniemić —
Więc jak nieme hajduki, przy wejściu komnaty
Patrzą kwiatem — liściem słyszą;
A wszystko z grobową ciszą,
W grubiejący pień się wlewa —
Kordyan. Widzą i słyszą! drzewa —
Strach. Nie zaglądaj przez okna, na ciemną ulicę!
(Kordyan patrzy przez okno).
Przywidzenie. Z kościoła aż do zamku orszak zmarłych długi;
Niosą żółte gromnice,
Wiele trupów — jeden, drugi,
Setny — nie przeliczysz więcej —
Tysiąc tysięcy —
Berła — korony — szaty królewskie.
Z gromnic dymy niebieskie,
Mglą trupom twarze kościane.
A trumien ile trupów! — każdy niesie trumnę —
Rzucają pod zamku ścianę,
Budują wschodów kolumnę,
Wysoko jak stogi gumien
Trumny się kruszą,
Lecz tyle trumien!
Wejść muszą.
Kordyan. Gdzie idą?
Przywidzenie. Tu.
Kordyan. Czy .... trumnami uduszą?
Przywidzenie. Ciszej! patrz — jakieś straszydło,
Z ognistą twarzą, wyszło z sypialnej komnaty
Nie słychać kroku jego; choć posadzek kraty
Rozstępują się — łamią pod nogą obrzydłą.
Strach. Czuć krew! wyszedł z tamtej komnaty —
Tam śpi ..... w łożu białem —
Ten człowiek stamtąd wyszedł —
Przywidzenie. Widziałeś?
Kordyan. Widziałem?
Strach. Co on tam robił?
Kordyan. Co on tam robił?

Djabeł. Zdławiłem .... i byłbym go dobił,
Lecz tak we śnie do ojca mojego podobny!
Przywidzenie. Słyszysz dzwonów jęk żałobny —
Po całem mieście i na wszystkie strony! —
Kordyan *(z przerażeniem)*.
Słyszę — dzwony —!
Przywidzenie. Błysk w szybach sali —
Po trumnach wszedł trup, i stoi cichy w oknie;
Gromnicą szyby pali.
Wiatr zrywa mu płaszcz — a robak w każdem włóknie
Jak nić biała —
Gdzie oczu blask, tam świeci kość spróchniała.
To trupów kat — wykona co uchwalą —
Patrz w okno bije - rozbija —
Kordyan. Jezus! Marya!
Przywidzenie. Zniknął — trumny się walą
Jak grom.
Strach. Wracaj! tu czarta dom —
Kordyan. Pójdę mimo dyabłów głosy,
Abym się we krwi ochłodził.
Tłum jakiś drogę zagrodził —
Przejść nie można — jak przez kłosy
Trzeba deptać — nie roztrącę.
Widma blade i milczące,
Jak stooki strażnik pawi,
Zaglądają w tamte drzwi
Gdzie śpi ..... — czy ciekawi
Jaka barwa ..... krwi?
Ha — mówcie — czy się nie budzi —
Pożarłbym teraz mowę stu tysięcy ludzi —
Jak w grobie głucho —
(Słychać dzwon na jutrznię).
Ktoś mi przez ucho
Do mózgu sztylet wbija —
Jezus Maryja!
(Wymawiając ostatnie słowo, pada bez czucia, krzyżem na bagnecie, u drzwi sypialnego .... pokoju).

— — — — — — — — — — — — — — — —

E) Balladyna.

(Tragedya w pięciu aktach)
(1835—1839).

Jest to udramatyzowana ballada, a raczej opowieść, wplatająca, z ariostyczną swobodą, w wątek akcyi postacie i czynności różnych epok i dwu światów: realnego i fantazyjnego. Podajemy tu naprzód charakterystykę

utworu, skreśloną przez samego poetę w słowie wstępnem, do Krasińskiego zwróconem, a następnie urywki charakteryzujące wprowadzone tu postacie i ariostyczny nastrój pierwszej połowy tragedyi.

505) Kochany Poeto Ruin!

Pozwól, że pisząc do ciebie, zacznę od Apologu, który mi opowiedziano nad Salaminy zatoką.

Stary i ślepy harfiarz, z wyspy Scio, przyszedł nad brzegi morza Egejskiego, a usłyszawszy z wielkim hukiem łamiące się fale, myślał, że szum ów pochodził od zgiełku ludzi, którzy się zbiegli pieśni rycerskich posłuchać. Oparł się więc na harfie i śpiewał pustemu morza brzegowi: a kiedy skończył, zadziwił się, że żadnego ludzkiego głosu, żadnego westchnienia, żadnego pieśń nie zyskała oklasku. Rzucił więc harfę precz daleko od siebie, a te fale, które śpiewak mniemał tłumem ludzkim, odniosły złote pieśni narzędzie, i położyły mu je przy stopach. I odszedł od harfy swojej smutny Greczyn, nie wiedząc, że najpiękniejszy rapsod nie w sercach ludzi, ale w głębi fal Egejskiego morza utonął.

Kochany Irydionie! ta powiastka o falach i harfiarzu zastąpi wszelką do Balladyny przedmowę. Wychodzi na świat Balladyna z ariostycznym uśmiechem na twarzy, obdarzona wnętrzną siłą urągania się z tłumu ludzkiego, z porządku i z ładu, jakim się wszystko dzieje na świecie, z nieprzewidzianych owoców, które wydają drzewa, ręką ludzi szczepione. Niech naprawiacz wszelkiego bezprawia Kirkor, pada ofiarą swoich czystych zamiarów; niech Grabiec miłuje kuchnię Kirkora; niechaj powietrzna Goplana kocha się w rumianym chłopie, a sentymentalny Filon szuka umyślnie męczarni miłosnych i umarłej kochanki. Niechaj tysiące anachronizmów przerazi śpiących w grobie historyków i kronikarzy. A jeżeli to wszystko ma wewnętrzną siłę żywota, jeżeli stworzyło się w głowie poety podług praw Boskich, jeżeli natchnienie nie było gorączką, ale skutkiem tej dziwnej władzy, która szepcze do ucha nigdy wprzód niesłyszane wyrazy, a oczom pokazuje nigdy, we śnie nawet, nie widziane istoty; jeżeli instynkt poetyczny był lepszym od rozsądku, który nieraz tę lub ową rzecz potępił: to Balladyna, wbrew rozwadze i historyi, zostanie Królową Polską, a piorun, który spadł na jej chwilowe panowanie, błyśnie i roztworzy mgłę dziejów przeszłości.

Uśmiechnij się teraz, Irydionie, bo oto, naśladując francuskich poetów, powiem ci, że Balladyna jest tylko epizodem wielkiego poematu, w rodzaju Ariosta, który ma się uwiązać z sześciu tragedyi czyli kronik dramatycznych. Już różne cienie ludzi nie byłych wyszły ze mgły przed-stworzenia i otaczają mię ciżbą gwarzącą: potrzeba tylko, aby się zebrały w oddzielne tłumy, ażeby czyny ich ułożyły się w postacie piramidalne wypadków, a jedną po drugiej garstkę na świat wypychać będę. I sprawdzą się może sny mego dzieciństwa. Bo ileż to razy, patrząc na stary zamek, koronujący ruinami górę mego rodzinnego miasteczka, marzyłem, że kiedyś w ten wieniec wyszczerbionych murów, nasypię widm, duchów, rycerzy; że odbuduję upadłe sale i oświecę je przez okna ogniem piorunowych nocy, a sklepieniom każę powtarzać dawne Sofoklesowskie «niestety!» A za to imię moje słyszane będzie w szumie płynącego pod górą potoku, a jakaś niby tęcza z myśli moich unosić się będzie nad ruinami zamku. O! nie mów mi, że z dzwonków polnych większa ozdoba ruinom, niż z tego wieńca myśli, w który je ubierze poeta: bo choć róże rosnące na ruinach pałacu Nerona rozwidniły nam pięknie te gruzy, to jednak jaśniej mi je oświecił ów duch Irydiona, któregoś ty pod krzyżem w Kolloseum położył i nakrył złotemi skrzydłami anioła [1]).

Tak więc, kiedy ty dawne posągowe Rzymian postacie napełniasz wulkaniczną duszą wieku naszego — ja z Polski dawnej tworzę fantastyczną legendę, z ciszy wiekowej wydobywam chóry prorockie — i na spotkanie twojej czarnej, piorunowej, Dantejskiej chmury, prowadzę lekkie, tęczowe i Ariostyczne obłoki; pewny, że spotkanie się nasze w wyższej krainie, nie będzie walką, ale tylko grą kolorów i cieni, z tym smutnym dla mnie końcem, że twoja chmura większym wichrem gnana, i pełniejsza piorunowego ognia, moje wietrzne i różnobarwne obłoki roztrąci i pochłonie.

Doniosły mi Sylfy, żeś powędrował teraz odwiedzić Etnę czerwoną: posłałem natychmiast Skierkę, aby ci na drodze wszystkie pootwierał kwiaty i wszystkie gwiazdy nad tobą za-

[1]) Jest to aluzya do wieczornych przechadzek i rozmów z Krasińskim, w roku 1836, w ogrodach willi Mills w Rzymie, na gruzach dawnego pałacu Cezarów założonej.

palił; za to, przez wdzięczność, stanąwszy na szczycie Wulkanu, spojrzyj na mórz rozległe błękity, i pomyśl, że niedawnemi czasy, przez te zwierciadła wędrował okręt mój, jak łabędź żaglami nakryty. Powiedz, czy nie dojrzysz jakiego rysu na fali, jakiego śladu po zniknionym okręcie? Księża wtenczas śpiewali hymn do Najświętszej Panny, a ja stałem z wlepionemi w ogień Etny oczyma, smutny, że mnie fala znów tylko do Europy odnosiła. Słuchaj w ciszy powietrznej, czy echo tego hymnu, który mi serce uciszał, nie drga dotąd w kryształowej atmosferze? Szukaj mojego śladu w powietrzu i na fali, a jeśli o mnie na fali i w powietrzu nie słychać, to znajdź mię w sercu twojem, i niech ja będę jeszcze z tobą przez jedną godzinę. Wszak darem to jest Boga, że my umiemy latać myślą do siebie w odwiedziny.

Rozpisałem się długo, a zamierzyłem był tylko napisać:

AUTOROWI IRYDIONA

NA PAMIĄTKĘ

BALLADYNĘ

POŚWIĘCA

JULIUSZ SŁOWACKI

Z aktu I. Sceny I.

(Las blizko jeziora Gopła — chata pustelnika ustrojona kwiatami i bluszczem. — Kirkor wchodzi w Saraceńskiej zbroi — bogato ubrany, z orlemi skrzydłami).

Pustelnik.

506) Bo też ja kiedyś byłem pan nad pany
Stu-tysięcznemu narodowi miły;
Żyłem w purpurze, dziś noszę łachmany —
Muszę przeklinać. Miałem dziatek troje,
Nocą do komnat weszli brata zbóje,
Różyczki moje trzy z łodygi ścięto;
Dziecinki moje w kołyskach zarżnięto!
Aniołki moje! wszystkie moje dzieci!

Kirkor. Kto jesteś, starcze?

Pustelnik. Ja? — Król — Popiel trzeci. —

Kirkor *(schyla kolano)*. Królu mój!

Pustelnik. Któż mię z żebraki rozezna? —

Kirkor. Uzbrajam chamy i lecę do Gniezna
Mścić się za ciebie —

Pustelnik. Młodzieńcze, rozwagi!

Kirkor. Bezprawie, gorzej od Mojżesza plagi,

Kala tę ziemię i prędzej się szerzy;
Popiel, skalany dzieci krwią niewinną,
Niegodny rządzić tłumowi rycerzy.
Niech więc się stanie, co się stać powinno
Pod okiem Boga, na tej biednej ziemi.

Pustelnik. Czy ty skrzydłami anioła złotemi
Z nieba zleciałeś?

Kirkor. Na barkach orlicy,
Para tych białych skrzydeł wyrastała.
Gdy na rycerskiej są naramienicy,
Będziesz li rycerz mniej niż owa biała
Ptaszyna, ludziom użyteczny? — Ma-li
Gadom przepuszczać rycerz uskrzydlony
Orła piórami?

Pustelnik. O mężu ze stali!
Ty jesteś z owych, którzy walą trony.

Kirkor. Ty wiesz, jak nasza ziemia wszeteczeństwem
Króla skalana. Wiesz, jak Popiel krwawy
Pastwi się coraz nowem okrucieństwem? —
Zaczerwienione krwią widziałem stawy.
Król żywi karpie ciałem niewolników,
Nieraz wybiera dziesiątego z szyków
I, tnąc w kawały, ulubionym rybom
Na żer wyrzuca; resztę ciał wymiata
Na dworskie pola — i czerwonym skibom
Ziarno powierza. Sąsiad ziemię kata
Na pośmiewisko zwie Rusią czerwoną!
Dotąd żyjącym pod Lecha koroną
Bóg dawał żniwo szczęścia niezasiane,
Lud żył szczęśliwy; dzisiaj niesłychane
Pomory, głody, sypie Boża ręka.
Ziemia, upałem wysuszona, pęka;
Wiosenne runa złocą się, nim ziarno
Czoła pochyli, a wieśniacy garną
Sierpami próżne tylko kłosy żyta.
Ta sama Polska, niegdyś tak obfita,
Staje się co rok szarańczy spichlerzem:
Niegdyś tak bitna, dziś — bladym rycerzem;
Z głodami walczy i z widmem zarazy.

Pustelnik. Ach! jam przeklęty! przeklęty, trzy razy!
Przeklęty! winien jestem nieszczęść ludu.

Kirkor. Jakto, tyś winien? —

Pustelnik. Z rozlicznego cudu
Korona Lecha sławną niegdyś była!
W niej szczęście ludu, w niej krainy siła
Cudem zamknięta — oto ja wygnany,

Lud pozbawiłem w tej korony —
. . . . . .
Kirkor. Skądże tej koronie
Cudowna władza?
Pustelnik. Ku ojczystej stronie,
Wracali niegdyś od Betleem żłobu
Święci królowie — dwóch Magów i Scyta.
Ów król północny zaszedł w nasze żyta.
Zabłądził w zbożu, jak w lesie — bo zboże
Rosło wysokie, jak las w kraju Lecha.
Więc zabłądziwszy rzekł — «wyprowadź, Boże!»
Aż oto przed nim odkrywa się się strzecha
Królewskiej chaty — bo Lech mieszkał w chacie -
Wszedł do niej Scyta i rzekł: «Królu! bracie!
Idę z Betleem, a gwiazda błękitna
Twoich bławatków ciągle szła przede mną,
Aż tu zawiodła». — Lech rzekł: «zostań ze mną.
Kraina moja szczęśliwa i bitna
Jeśli chcesz, to się tą ziemicą z tobą
Dzielę na poły» Scyta rzekł: «zostanę
Lecz kraju nie chcę, bo ziemie złamane
Rozgraniczają się krwią i żałobą
Dzieci i matek». Więc razem zostali — —
Ale to długa powieść —
Kirkor. Mów! mów dalej!
Pustelnik. Więc jako dawniej czynili mocarze,
Z Lechem się mieniał Scyta na obrączki;
A pokochawszy mocniej sercem, w darze
Dał mu koronę — stąd nasza korona.
Zbawiciel niegdyś, wyciągając rączki,
Szedł do niej z matki zadumanej łona;
I ku rubinom podawał się cały,
Jako różyczka z liści wychylona,
I wołał «caca!» i na brylant biały,
Różanych ustek perełkami świecił.
Kirkor. O! biedny kwiatku! na toż ty się kwiecił,
By cię na krzyżu ćwiekami przybito?
Czemuż nie było mnie tam na Golgocie,
Na czarnym koniu, z uzbrojoną świtą!
Zbawiłbym Zbawcę — lub wyrąbał krocie
Zbójców, na zemstę umarłemu —
Pustelnik. Synu!
Bóg weźmie twoją pochopność do czynu,
Za czyn spełniony. Wróćmy w nasze czasy.
Gdy mię brat wygnał, uniosłem w te lasy
Świętą koronę —

Kirkor. Wróci ona! wróci
Przysięgam tobie! — Lecz —
Pustelnik. Co chcesz powiadać!
Kirkor. Nim Kirkor w przepaść okropną się rzuci,
Szukając zemsty — chcę, chciałbym cię badać,
Na jakim pieńku zaszczepić rodowe
Drzewo Kirkorów, aby kiedyś nowe
Plemię rycerzy tronu twego strzegło?
Kogo wprowadzić w podwoje zamkowe,
Z żony imieniem?
Pustelnik. Tylu ludzi biegło,
Z pierścionkiem ślubnym, za marą wielkości,
A prawie wszyscy wzięli kość niezgody,
Zamiast straconej z żebra swego kości.
Postąp inaczej. — Ty szlachetny, młody —
Niechaj ci pierwsza jaskółka pokaże,
Pod jaką belką gniazdo ulepiła;
Gdzie okienkami błysną dziewic twarze,
A dach słomiany, tam jest twoja miła.
Ani się wahaj, weź pannę ubogą,
Żeń się z prostotą i niechaj ci błogo
I lepiej będzie, niżbyś miał z królewną. —
Kirkor. Tak radzisz, starcze?
Pustelnik. Idź, synu, na pewno
Do biednej chaty — niechaj żona karna,
Miła, niewinna —
Kirkor. Jaskółeczko czarna!
Ptaszyno moja, gdzie mię zaprowadzisz? —
Pustelnik. Słuchaj mię, synu —
Kirkor. Starcze, dobrze radzisz. —
Prowadź, jaskółko! *(Odchodzi).*
Pustelnik *(sam).* O! ci młodzi ludzie,
Odchodzą od nas i wołają głośno:
Idziemy szukać szczęścia. Więc my, starce,
Cośmy przebiegli po tej biednej ziemi,
A nigdy szczęścia w życiu nie spotkali;
Możeśmy tylko szukać nie umieli? —
Idź! idź! idź, starcze, do pustelnej celi. —
(Chce wchodzić do celi — zatrzymuje się na progu).
(Wchodzi Filon, pasterz zamyślony — fantastycznie we wstążki i kwiaty ubrany).
Filon *(z egzaltacyą).* O złote słońce! drzewa ukochane!
O ty strumieniu, który po kamykach
Z płaczącym szumem toczysz fale szklane,
Rozmiłowane w jęczących słowikach!
Róże wiosenne! — z wami Filon skona!

Bo Filon marzył los Endymijona. —
Marzył, że kiedyś, po blasku miesiąca,
Biała Bogini różami wieńczona
Z niebios błękitnych przypłynie i drżąca
Czoło pochyli, a koralowemi
Ustami usta moje rozpłomieni.
Ach! tak marzyłem! Ale na tej ziemi
Niema Dyjanny! Samotny uwiędnę
Jako fijołek — albo kwiat jesieni.

Pustelnik. Co znaczą owe narzekania zrzędne?
Młody szaleńcze, gdzie zimny rozsądek?
Wywracasz świata Boskiego porządek!
A że ty chciwy Akteona wanien,
Czekasz na ziemi anielskiego bóstwa:
Dlatego tyle zestarzałych panien
Dotąd się mężów swych nie doczekały!
Szukaj kochanki na ziemi!

Filon. Świat cały
Napróżno zbiegłem, przeglądając mnóstwa
Dziewic śmiertelnych. Nieraz wzrok łakomy
Śledził, z pod złotej kapeluszów słomy,
Żniwiarek twarze, podobne czerwienią
Makom zbożowym. Nieraz poglądałem
Na białe płótna, łąk jasną zielenią
Słońcu podane; rojąc serca szałem,
Że z bieli płócien, jako z morskiej piany,
Alabastrowa miłości Bogini
Wyjdzie na słońce. Ach! tak obłąkany,
Żyłem na świecie, jako na pustyni:
Nienasycony, dumający, rzewny.
Byłem na dworach, widziałem królewny,
Podobne gwiaździe Wenus, co wynika
Wieczorem z nieba różowego, zorzą
Zaczerwieniona — ale bez promyka!
Serca nie mają, a sercem się drożą
Więcej, niż koron brylantami.

Pustelnik. Głupcze!
Niedoścignionych gwiazd szalony kupcze!
Ty, co na dworach szukałeś kochanki:
Precz; precz ode mnie, kwiecie beznasienny!
Studniom niezdatny, jak stłuczone dzbanki,
Światowi, jako słońca blask jesienny,
Bezużyteczny. Skoro na tron wrócę,
Zamknę cię w szpital szalonych lub rzucę
Na bakalarską ławę między dzieci.

Filon. Mój dobry ojcze! niechaj ci Bóg świeci!

Musisz być chory, gadasz nieprzytomnie.

Pustelnik. Wszyscy szaleńcy zlatują się do mnie,
A wszyscy marzą o królewskich dworach,
Myślą o królach, a kryją się w borach,
I jęczą, jęczą, jak oślepłe sowy! —

Filon. Wsadź, starcze, głowę w strumień kryształowy,
Może ochłonie.

Pustelnik. Woda nie obmyje
Na mojem czole czerwonego pasu.
Widzisz! czy widzisz, jak korona ryje?
Dwudziestoletnie życie w głębi lasu
Nie zagoiło rany. Pas na czole,
A drugi taki pas mi serce płata;
Ten od korony, *(pokazując na serce)* ten od mieczów kata.
O moje dzieci! o sieroctwa bole!
O moja przeszłość! —

Filon. Nudzi mię ten stary!
W głowie ma jakieś bezcielesne mary —
Pewnie oszalał samotnością, postem.

Pustelnik. Cierpienie myśli jest kolącym ostem,
Lecz rzeczywistość — o! ta, jak żelazo,
Rani, zabija —

Filon. O tem inną razą
Mówić będziemy, a przekonam ciebie,
Że smutek serca —

Pustelnik. Niechaj cię pogrzebie,
Mdława istoto. «Nic» niech «nic» zabije;
A twój grobowiec zamknie «nic».

Filon. O luba!
Nie znaleziony twój obraz *(pokazując na serce)* tu żyje!
Nieznalezienie gorsze, niźli zguba —
Jam cię nie znalazł, a widzę przed sobą!
Idę do lasu, gdzie będę sam — z tobą —
Błogosławiony wyobraźni cudzie,
Ty mię ocalasz! *(Odchodzi w las).*

Pustelnik. Jak szaleją ludzie! *(Wchodzi do celi).*

Scena II.

(Inna część lasu — widać jezioro Gopło. — Skierka i Chochlik wchodzą).

507) Skierka.
Gdzie jest Goplana, nasza królowa?

Chochlik. Śpi jeszcze w Gople.

Skierka. I woń sosnowa,
I woń wiosenna nie obudziła
Królowej naszej! woń taka miła!

Czyliż nie słyszy, jak skrzydełkami
Czarne jaskółki biją w jezioro
Tak, że się całe zwierciadło plami
W tysiące krążków.
. . . . . .
(Patrzy na jezioro).
Ach patrz! na słońca promyku
Wytryska z wody Goplana;
Jak powiewny liść ajeru,
Lekko wiatrem kołysana;
Jak łabędź, kiedy rozwinie
Uśnieżony żagiel steru,
Kołysze się — waha — płynie.
I patrz! patrz! lekka i gibka
Skoczyła z wody, jak rybka;
Na niezabudek warkoczu
Wiesza się za białe rączki,
A stopa po fal przeźroczu
Brylantowe iskry skrzesza.
Ach czarowna! któż odgadnie
Czy się trzyma fal obrączki?
Czy się na powietrzu kładnie?
Czy dłonią na kwiatach się wiesza?

Chochlik. Ona ma wianek na głowie —
Czy to kwiaty? czy sitowie?

Skierka. O nie — to na włosach wróżki
Uśpione leżą jaskółki.
Tak powiązane za nóżki,
Kiedyś, w jesienny poranek,
Upadły na dno rzeczułki:
Rzeczułka rzuciła wianek,
Wianek czarny, jak hebany,
Na złote włosy Goplany.
. . . . . .
Promienie słońca przenikły
Jaskółeczek mokre piórka —
Ożyły — pierzchły i znikły.
Jak spłoszonych wróbli chmurka.
Królowa nasza, bez ducha
Zadziwiona stoi, słucha —
Nie śmie wiązać i zaplatać
Kos rozwianych, nie wie, czemu
Wianeczkowi uwiędłemu
Przyszło ożyć? skąd mu latać?
Goplano! Goplano! Goplano!
(Wchodzi Goplana).

Goplana. Narwij mi róż, Chochliku! poleciał mój wianek.
Chochlik. Już się zaczyna praca.
(Chochlik odchodzi mrucząc).
Goplana. Czy to jeszcze rano?
Skierka. Pierwsza wiosny godzina.
Goplana. Ach! gdzież mój kochanek?
Skierka. Co mi rozkażesz, królowo?
Zadaj piękną jaką pracę.
Zwijać tęczę kolorową,
Albo budować pałace;
Powojami wiązać dachy,
I opierać kwiatów gmachy
Na kolumnach malw i dzwonów
Lazurowych.
Goplana *(zamyślona).* Nie!
Skierka. Chcesz tronów
Z wypłakanych nieba chmurek?
Czy ci przynieść pereł sznurek,
Z ówych pereł, które dają
Lep na ptaszki; ale mają
Takie blaski, takie wody,
Jak kałakuckie jagody.
Chcesz? lecę na trzęsawice
Dojrzę — dogonię — pochwycę —
Błędnego moczar ognika;
I zaraz w lilijkę białą,
Oprawię, jak do świecznika,
I nakryję białym dzwonkiem
By ci świecił. — Czy to mało?
Rozkaż, pani! co pod słonkiem,
Co na ziemi, wszystko zniosę.
Drzewa, kwiaty, światło, rosę —
Co nad ziemią, w ziemi łonie,
Dźwięki, echa, barwy, wonie,
Wszystko, o czem kiedy śniły
Myśli twoje, w jezior burzy
Kołysane —
Goplana. Skierko miły,
Ja się kocham,
Skierka. W czem? czy w róży
Bezcierniowej? czy w kalinie?
W cztero-listnej koniczynie?
Może w kwiatku «niech Bóg świeci»,
Który posadzi macocha
Na grobie mężowskich dzieci?
Może w Magdaleny nitce,

Co bez wiatru leci płocha?
Może w białej margarytce,
Co piątym listkiem «nie kocha» —
Zabiła młodą pasterkę?
W czem się kochasz? — Poszlij Skierkę!
A przyniesie ci kochanka,
I wplecie do twego wianka,
I będziesz go wiecznie miała.
Pieściła i całowała
Do przyszłej wiosny poranka —
Do drugiego kwiatów wieku.
Goplana. Ach! ja się kocham, kocham się w człowieku.
. . . . . .

Scena III.

(Chata Wdowy. Wdowa i córki jej Balladyna i Alina wchodzą z sierpami).

508) Wdowa.
Zakończony dzień pracy, moja Balladyno!
Twoje rączki od słońca całe się rozpłyną
Jak lodu kryształiki. Już my jutro rano
Z Alinką na poletku dożniemy ostatka;
A ty, moje dzieciątko, siedź sobie za ścianą —
Alina. Nie! nie! nie! jutro odpoczywa matka,
A my z siostrzycą idziemy na żniwo.
Słoneczko lubi twoją główkę siwą
I leci na nią, by natrętna osa
Do białych kwiatów, — ani go od włosa
Liściem odpędzić. Że też nigdy chmurki
Bóg nie nadwieje, aby cię zakryła —
O! biedna matko!
Wdowa. Dobre moje córki
Z wami to nawet ubożyzna miła,
A kto posieje dla Boga, nie straci.
Zawsze ja myślę, że wam Bóg zapłaci
Bogatym mężem — a kto wie? a może
Już o was słychać na królewskim dworze?
A my tu żniemy, aż tu nagle z boru
Jaki królewicz — niech i kuchta dworu
Albo koniuszy — zajeżdża karetą —
I mówi do mnie: poczciwa kobieto,
Daj mi za żonę jedną z córek! — Panie!
Weź Balladynę, piękna, jak dziewanna —
Tobie się także Alino dostanie
Rycerz za męża — ale starsza panna
Powinna prędzej zostać panną młodą.

W rzeczułkach woda goni się za wodą —
Mój królewiczu, żeń się z Balladyną.
Balladyna. Gdzie ty mój grzebień podziałaś, Alino —
Co ty tam słuchasz, jak się matce marzy.
Alina. Wiesz, Balladyno, że to jej do twarzy,
Kiedy śni głośno, kiedy się uśmiecha —
Matka *(do Balladyny)*.
Dobrze ty mówisz! chata taka licha,
A mnie się marzy Bóg wie nie co. — Ale
Bogu się także w wiekuistej chwale
Musi coś marzyć — a gdyby też Bogu
Chciało się matce dać złotego zięcia —
Balladyna. Ach! słychać jakiś turkot na rozłogu,
Jedzie gościńcem dwór jakiegoś księcia.
Pięć koni — złota kareta — ach kto to? —
Jedzie aleją. Jakto pięknie złoto
Między drzewami błyska! Ach mój Boże,
Co im się stało? — śród naszego mostu
Powóz prr — stanął — i ruszyć nie może —
Wdowa. Pewnie chcą konie napoić.
Balladyna. Ot właśnie
Pan poi konie na drodze po prostu —
Wdowa. Ha! jeśli pić chcą —
Alina. Już słoneczko gaśnie —
Trzeba zapalić sosnowe łuczywo —
Balladyna *(biegnąc od okna)*.
Ach lampę zaświeć — ach lampę — co — żywo —!
O! gdzie mój grzebień?
(Słychać pukanie do drzwi).
Wdowa. Cóż to? co? — ktoś puka —
Otwórz Bladyno —
Balladyna. Niech siostra otworzy —
Wdowa. Prędzej otwórzcie — ktoś do chaty stuka!
Alina. Ach! ja się boję —
Wdowa. Niech wszelki duch Boży
Boga wychwala — ja odemknę chatę —
(Patrzy przez dziurkę od klucza).
O jakie stroje złocisto bogate. *(Otwiera).*
Czy w imię Boga?
(Kirkor wchodzi).
Kirkor. Tak, z Boga imieniem.
Proszę wybaczyć, ale nad strumieniem
Mostek pod mojem załamał się kołem.
Szukam schronienia —
Wdowa. Proszę — poza stołem,
Mój królewiczu, siadać — proszę siadać.

Chata uboga — raczyłeś powiadać,
Że powóz — O! to nieszczęście! — Dziewczęta!
To moje córki, jasny królewiczu —
A to już dawno człowiek nie pamięta
Takich przypadków, chyba przy księżycu
Młynarz, co jechał przeszłej wiosny —

Balladyna. Matko
Dosyć — daj panu mówić —
(Wchodzi Skierka niewidzialny dla aktorów).

Kirkor. Przed tą chatką
Słyszałem dźwięki luteń — czy to córki
Wasze grywają na lutni?

Wdowa. Przepraszam —
Nie — królewiczu —

Skierka. Z niewidzialnej chmurki
Sympatycznymi kwiaty poukraszam
Obie dziewice, bo moja królowa
Nie powiedziała, do której nakłonić
Serce Kirkora. — Muzyka echowa
Zacznie hymnami powietrznymi dzwonić,
A wieniec kwiatów taką woń rozleje,
Że serce tego człowieka omdleje —
Że jednem sercem dwa serca pokocha.
(Wkłada wieńce kwiatów na głowy dziewicom. — Słychać muzykę).

Wdowa. Może królewicz chce odpocząć trochę —

Kirkor *(z zadziwieniem i niespokojnością).*
Odpocząć, kiedy dźwięki takie cudne —
Słyszę. — Dziewice! wasze są to pieśni? —
Słyszę śpiewanie —

Alina. Czy się panu nie śni?
Tu w chacie — cicho

Kirkor. Ach! jakże mi nudne
Wspomnienie zamku pustego!

Skierka *(Na stronie).* Czar działa —

Kirkor. Z jakich kadzideł ta woń się rozlała?
To pewno wasze wieńce, uroszone
Łzami wieczoru, dają takie wonie?

Balladyna. Lecz my nie mamy wieńców.
(Wchodzi sługa Kirkora bogato ubrany).

Sługa. Naprawione
Koło w powozie —

Kirkor. Wyprządz z dyszla konie!
Ja tu zostanę — *(Sługa odchodzi).*

Wdowa. Cóż to za zjawienie?
Królewicz w chacie! Na jakiem on sienie
Spać będzie? — Jego listki róży cisną —

Kirkor *(do siebie).* Prawdę wróżyłeś, Pustelniku stary:
Gdzie okienkami dwie różyczki błysną,
Gdzie dach słomiany —

Skierka *(do siebie)* Zakończone czary —

Kirkor *(do Wdowy).* Słuchajno, matko! na świat wyjechałem
Szukać ubogiej i cnotliwej żony;
Dalej nie jadę, bo tu napotkałem
Cudowne bóstwa. — O! gdybym dwa trony —
Ach, powiem raczej — gdybym miał dwa serca! —
Lecz zdaje mi się, że dwa serca noszę —
Dwoma sercami o dwie córki proszę;
Ale Bóg jedną tylko wziąć pozwala
I do ślubnego prowadzić kobierca;
Więc trzeba wybrać. — Czemuż losu fala
Rozbiła serce moje o dwie skały?
Ach, czemu oczy moje nie wybrały
I nie powiodły czucia. Dziś nie umię
Wybrać —

Wdowa. Ja ciebie, panie, nie rozumię —

Kirkor. Proszę o rękę jednej z córek. — Może
Słyszałaś kiedy o hrabi Kirkorze,
Co ma ogromny zamek, cztery wieże,
Złocisty powóz, konie i rycerze —
Na swych usługach? — Otóż Kirkor — to ja —
Proszę o jedną z córek —

Wdowa. Córka moja?
Ja dwie mam córki — ale Balladyna —

Kirkor. Czy starsza?

Wdowa. Tak jest — a młodsza Alina
Także jak anioł —

Kirkor *(do siebie).* Jaki wybór trudny!
Starsza jak śniegi — u tej warkocz cudny —
Niby listkami brzoza przyodziana —
Ta z alabastrów, a ta zaś różana —
Ta ma pod rzęsą węgle — ta fijołki —
Ta jako złote na zorzy aniołki —
A ta zaś jako noc biała nad rankiem.
Więc jednej mężem — drugiej być kochankiem!
Więc obie kochać, a jedną zaślubić?
Lecz którą kochać! którą tylko lubić? —
Niech się przynajmniej z ust różanych dowiem,
Która mię kocha? — *(Do dziewic)* Moje smukłe łanie!
Czy mię kochacie?

Balladyna. Ach! ja ci nie powiem —
Nic — ale nie śmiem wymówić — tak panie —
Ale ty zgadniesz, choć będę milczała. —

Zgadnij, rycerzu.
Kirkor *(do Aliny).* A ty różo biała?
Alina. Kocham —
Kirkor. Obiedwie kochają.
Wdowa. Zapewne,
Że muszą kochać! — tożby to dopiero
Gdyby nie kochać rycerza, co szczerą
Mógłby za żonę wziąć sobie królewnę!
Piękny i śmiały. —
Kirkor. Któraż z was, dziewice,
Będzie mię więcej kochała po ślubie?
Jak będzie kochać? lubić, co ja lubię? —
Jak mi rozchmurzać gniewu nawałnice? —
Balladyna. O panie! jeśli w zamku są czeluście,
Z czeluści ogień bucha, a ty każesz
Wskoczyć — wskoczę. Jeśli na odpuście
Ksiądz nie rozgrzeszy, to wezmę na siebie
Śmiertelne grzechy, którymi się zmażesz.
Jeżeli dzida będzie mierzyć w ciebie,
Stanę przed tobą i za ciebie zginę —
Czegoż chcesz więcej? —
Wdowa. Weź! weź Balladynę! —
Szczera jak złoto.
Kirkor *(do Aliny).* A ty, młodsza dziewo,
Co mi przyrzekasz?
Alina. Kochać i być wierną.
Kirkor. Ach! nie wiem, której oddać rękę lewą,
Jako szwagierce — a której z pierścionkiem! —
O! gdybym ujrzał tę gwiazdę przedsterną,
Co wiodła króle do Dzieciątka żłobu! —
Serce mam jedno, a ciągnie do obu.
Którą odrzucić? której być małżonkiem?
Obie kochają, więc niesprawiedliwość
Poniesie jedna, jeśli wezmę drugą.
W obojgu jedna prostota i tkliwość,
W obojgu miłość jednaka zasługą —
Którą tu wybrać?
Alina. Jeśli mię wybierzesz,
Szlachetny panie, to musisz obiecać,
Że mię do zamku twojego zabierzesz
Z matką i siostrą. — Bo któż będzie matce
Gotować garnek? kto ogień rozniecać? —
Ona nie może zostać w biednej chatce,
Kiedy ja będę w pałacach mieszkała.
Patrz, ona siwa, jak różyczka biała.

O! widzisz, panie — musisz także ze mną
I matkę zabrać.
Kirkor. O! jakąż tajemną
Rozkoszą serce napełnia — o miła —!
Wdowa. Lecz Balladyna to samo mówiła
W sercu i w myśli. — Wierzaj mi, rycerzu,
I Balladyna kocha matkę starą.
Kirkor. Jużem był wybrał i znów mi w puklerzu
Dwa serca biją —
Balladyna. Byłabym poczwarą,
Niegodną twojej ręki, ale piekła,
Żebym się matki kochanej wyrzekła.
Prócz matki, siostry, wszystko ci poświęcę.
Kirkor. Oślepionego chyba losu ręce
Wskażą mi żonę —
Skierka *(śpiewa do ucha Wdowy).*
Matko, w lesie są maliny,
Niechaj idą w las dziewczyny.
Która więcej malin zbierze,
Tę za żonę pan wybierze.
Wdowa. Coś matce staruszce
Przyszło do głowy. — Mój ty królewiczu,
Jeśli pozwolisz twej pokornej służce,
To ci poradzi, piękny krasno-licu.
Oto niech rankiem idą w las dziewczyny!
A każda weźmie dzbanek z czarnej gliny;
I niechaj malin szukają po lesie,
A która pierwsza dzban pełny przyniesie
Świeżych malinek — tę weźmiesz za żonę.
Kirkor. Wyborna rada. — O złota prostoto!
Ty mi dasz szczęście niczem nie skłócone,
Dnie rozkoszami przeplatane z cnotą! —
Tak, moja matko — niech o słońca wschodzie
W las idą córki z dzbankami na głowie.
A my w lipowym usiądziemy chłodzie:
Która powróci pierwsza, ta się zowie
Hrabini Kirkor. — Sądź sam, wielki Boże.
Wdowa. Królewicz znajdziesz w tej chateczce łoże,
Pachnące siano, zakryte bielizną.
Wierzaj mi, panie, żabki się nie wślizną
Do twego sianka — proszę do alkowy.
Kirkor *(klaszcze, wchodzi sługa).*
Przynieś z powozu puhar kryształowy,
Wino i zimne żubrowe pieczywo — *(Sługa odchodzi).*
Bądźcie mi zdrowe, piękne narzeczone —
(Odchodzi do alkowy, poprzedzany przez Wdowę).

Alina. Siostrzyco moja! — o jakież to dziwo!
O jakie szczęście! —
Balladyna. Jeszcze nie złowione
To szczęście, siostro, może nie dla ciebie —
Alina. O! moja siostro — wszakże to na niebie
Jeśli nie słońce, to gwiazdy nad głową:
Jeśli nie będę panią Kirkorową,
To będę pani Kirkorowej siostrą.
A tobie jutro trzeba wziąć się ostro
Do tych malinek, bo wiesz, że ja zawsze
Uprzedzam ciebie i mam pełny dzbanek.
Nie wiem, czy na mnie jagody łaskawsze,
Same się tłoczą — czy tam — twój kochanek —
Balladyna. Milcz! —
Alina. Ha! siostrzyczko? a ja wiem dlaczego
Malin nie zbierasz —
Balladyna. Co tobie do tego.
Alina. Nic — tylko mówię, że jabym nie chciała
Rzucić kochanka ani dla rycerza,
Ani dla króla. — A gdybym kochała,
Wzajem kochana, rolnika, pasterza.
To jużby żaden Kirkor —
Balladyna. Nie chcę rady
Od głupiej siostry —
(Słychać klaskanie za chatą. — Balladyna zapala świeczkę i, zakrywszy ją w dłoni, wychodzi).
Alina. Ha, zaklaskał w borze —
Wyszła ze świeczką. — O mój wielki Boże!
Co tam pan Grabek powie na te zdrady? —
Bo też ta siostra chce iść za Kirkora,
A jam widziała na kwiatkach ugora,
Ba! i pod naszą osiną słyszałam
Sto pocałunków — przebacz mi, o Chryste!
Że sądzę miłość, której ach! nie znałam — *(Klęka).*
Widzisz, mój Boże! ja mam serce czyste,
A przysięgając, nie złamię przysięgi —
Boże! ptaszęta u twojej potęgi
Mogą uprosić o wisienkę czarną!
Jaskółkom w dzióbek dajesz muszkę marną.
Jeśli ty zechcesz, Boże mój jedyny,
Gdzie stąpię — wszędzie czerwone maliny —
(Siada na ławie i usypia).
Skierka *(śpiewa)*. Niech sen szczęścia pozłacany
Zamyka oczy dziewczyny —
A ja lecę do Goplany — *(Odchodzi).*
Alina *(przez sen)*. Wszędzie maliny! maliny! maliny!

F) W Szwajcaryi.

(Utworzone prawdopodobnie w Sorrento, w maju 1836, ogłoszone 1839).

Na tle wynurzających się, z poza błękitnej mgły oddalenia, zarysów krajobrazu szwajcarskiego, poeta rozsnuwa tu swe, splątane z realnemi wspomnieniami, rojenia miłosne, przesuwające się przez widnokręg jego wyobraźni i rozpływające się w przestworach. Zostawiają one po sobie nieokreśloną tęsknotę i niepokój, pobudzający do szukania po świecie miejsc «łaskawych na smutek».

II.

509) W szwajcarskich górach jest jedna kaskada!
Gdzie Aar wody błękitnemi spada.
Pozwól tam spojrzeć zawróconej głowie. —
Widzisz tę tęczę na burzy w parowie?
Na mgłach srebrzystych cała się rozwiesza —
Nic jej nie zburzy, i nic jej nie zmiesza;
A czasem tylko jakie białe jagnię
Przez tęczę idzie na krasne doliny,
Szczypać kwitnące róże i leszczyny.
Lub jaki gołąb, co wody zapragnie,
Jakby się blaskiem pochwalić umyślnie,
Przez tęcze szybko przeleci i błyśnie —
Tam ją ujrzałem! i wnet rozkochany,
Że z tęczy wyszła i z potoku piany,
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca;
Tak jasną była od promieni słońca!
Tak pełna w sobie anielskiego świtu!
Tak rozwidniona źrenicą z błękitu! —
Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,
To zakochały się w niej moje oczy! —
A za tym zmysłem co kochać przymusza,
Poszło i serce, a za sercem dusza.
I tak się zaczął prędko romans klecić,
Że chciałem do niej przez kaskadę lecić;
Bo się lękałem, że, jak widmo blade,
Nim dusza ze snu obudzona krzyknie,
Upadnie w przepaść, w tęczę i w kaskadę,
I roztopi się i zgaśnie — i zniknie!
I byłem, jak ci, co się we śnie boją,
Bo jużem kochał, bo już była moją! —
I tak raz pierwszy spotkałem ją samą,
Pod jasną tęczy różnofarbnej bramą;
Powiew miłości owiał mię uroczy —
Stanąłem przed nią i spuściłem oczy.

III.

Poszedłem za nią przez góry, doliny —
I szliśmy razem u stóp tej lawiny,

Gdzie śnieg przybiega aż do stóp człowieka
Spłaszczoną pletwą — jak delfin olbrzymi;
Para mu z nozdrza srebrzystego dymi,
A Rodan z paszczy błękitnej ucieka.
Pamiętam chwilę — poranek był skwarny.
Tameśmy szmerem spłoszyli dwie sarny;
Te jakby szczęścia ludzkiego świadome,
Stanęły blizko, złote, nieruchome —
I utopiły oczów błyskawice
W kochanki mojej błękitne źrenice;
I długo patrząc, nieruchome obie,
Głowy promienne pokładły na sobie!
Rzekłem: — one się zakochały w tobie!
Rzekłem — i za to z ust, zamkniętych skromnie,
Najpierwszy uśmiech jej przyleciał do mnie —
Przyleciał szybko i wrócił z podróży
Do swego gniazda, do pereł i róży;
A gdy zobaczył, że oczu nie mrużę,
Całą jej białą twarz zamienił w różę
A wiecie? ani tak za serce chwyta
Rumieniec kwiatu, co świeżo rozkwita;
Ani tak oko wędrowca zachwyca
Gór nad-alpejskich śnieżysta dziewica,
Kiedy od słońca różane ma lica;
Jak ten rumieniec bez wstydu i grzechu,
Co się na twarzy urodził z uśmiechu.

IV.

Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,
Płynąc szwajcarskich jezior błękitami —
I nie wiem, czy tam była łódź pod nami;
Bom z duchy prawie zaczynał się bratać,
Chodzić po wodach i po niebie latać.
A ona tak mię prowadziła wszędzie!
Ach! ona była, jak białe łabędzie,
Była jeziora błękitnego panią;
Płynęła lecąc — łódź leciała za nią,
Za łodzią jasność szafirowym szlakiem,
Za tą jasnością rybek korowody;
I wyrzucały się aż do niej z wody!
I z takimeśmy płynęli orszakiem,
Uśmiechając się w błękitu krainie.
Bo ona była jak wodne boginie:
Miała powozy z delfinów, z gołębi,
I kryształowe pałace na głębi,

I księżycowe korony w noc ciemną —
I mogła była wszystko robić ze mną.

V.

Raz — że nie była niebieskim aniołem
Myślałem całe długie pół godziny!
Wyspowiadałem się potem z tej winy.
Słuchajcie! — Oto przed Tella kościołem,
Pierwsza na kamień wyskoczyła płocha,
I powiedziała mi w głos, że mię kocha —
I odesłała mię znów na jezioro;
Łódkę swą piersią odtrąciwszy białą —
A ja — ach nie wiem, co się ze mną stało!
Czy mię anieli do nieba zabiorą,
Czy grzmiące fale jeziora pochłoną,
Czy uśmiechami rozerwie się łono —
Czy serce, jak lód rozegrzany taje,
Czy dusza skrzydeł anielskich dostaje,
Czyli w nią wstąpił cały anioł złoty? —
Czyli uśmiechów pełna? czy tęsknoty?
Wszystkie uczucia gwałtownymi loty
Na serce spadły, jak gołębi chmura,
Pić łzy i białe w nim obmywać pióra,
Aby się czyste rozlecieć po niebie —
Wtem zawołała łódź ze mną do siebie.
Usłyszała ją łódka i spostrzegła
I sama do niej z błękitu przybiegła.

VI.

Pod ścianą ze skał i pod wieńcem borów
Stoi, cichości pełna i kolorów,
Tella kaplica. Jest próg tam na fali,
Gdzieśmy raz pierwszy przez usta zeznali,
Że się już dawno sercami kochamy:
A pod tym progiem są na wodzie plamy
Od sosen, co się kołyszą na niebie,
I od skał cienia; gdzie, mówiąc do siebie,
Wbite do wody trzymaliśmy oczy.
A pod tym progiem fala tak się toczy
I tak swawolna i taka ruchoma,
Że wzięła w siebie dwa nasze obrazy,
I przybliżała, łącząc je rękoma,
Chociaż nas tylko łączyły wyrazy.
Ach! fala taka szalona i pusta!
Że połączyła nawet nasze usta,
Choć sercem tylko byliśmy złączeni.

Fala tak pełna ruchu i promieni,
Że jednym światła objąwszy nas kołem,
Zmieszała, niby anioła z aniołem.
Gdy myślę — boleść dręczy mię niezmierna
Falo! niewierna falo! — a tak wierna!

VII.

Raz mię ów anioł zaprowadził złoty,
Przez jasne łąki do lodowej groty.
Tam ją obielił dzień alabastrowy;
I mróz na czole mej jasnej królowej,
Perłami okrył wszystkie polne róże.
I ze sklepienia łzy leciały duże;
A we łzach sylfy z jasnością ogromną,
Deszczem spadały, na białą i skromną.
Słysząc, że ściany płaczą coraz głośniej,
Cała się szatą okryła zazdrośniej,
I wszystko oczom ciekawym ukradła;
I jeszcze ręce skrzyżowane kładła
Na alabastry widne, choć zakryte.
Tak nieruchomo stała — a koło niej
Igrały tęcze w blaski rozmaite.
Ja wtenczas modlić się zacząłem do niej:
Ave Maria — !
Jak biała róża, kiedy się rozwija,
Róż pokazuje z piersi odemkniętej;
Taki rumieniec wyszedł z lica świętej.
I, zamyślona, odwróciła głowę,
Palec na ściany kładąc kryształowe;
Jak ta, co imię ukochane kreśli,
Lub o błękitnych jakich czuciach myśli. —
Wreszcie, się do mnie obróciwszy, rzekła:
Może za miłość ja pójdę do piekła,
I gdzieś w piekielne wprowadzona chłody,
Wszczepioną będę w kryształowe lody;
Jako ta bańka z powietrza i z tęczy —
Lecz prawda, rzekła, jeżeli się męczy
Ta jasność, słońca stworzona promieniem,
Którą lód w sobie mrozi i zabija:
Można ją z lodu uwolnić westchnieniem —
Ave Maria! — — —

VIII.

Pójdziemy razem na śniegu korony!
Pójdziemy razem nad sosnowe bory,
Pójdziemy razem gdzie trzód jęczą dzwony!

Gdzie się w tęczowe ubiera kolory
Jungfrau i słońce złote ma pod sobą;
Gdzie we mgle jeleń przelatuje skory.
Gdzie orły, skrzydeł rozwianych żałobą
Rzucają cienie na lecące chmury! —
O moja luba! tam pójdę za tobą.
A jeśli z takiej nie wrócimy góry,
Ludzie pomyślą, że nas wzięły duchy
I gdzieś w niebieskie uniosły lazury;
Żeśmy się za gwiazd chwycili łańcuchy,
I ulecieli z plejadów gromadą.
I tylko po nas potok spadnie głuchy
I się błyszczącą łez rzuci kaskadą.

IX.

Ach! najszczęśliwsi na ziemi nie wiedzą,
Gdzie duchy skrzydła na ramionach kładną,
Gdzie jak łabędzie zadumane siedzą?
Ach! najciekawsi na świecie nie zgadną,
W jakim szalecie żyłem z moją miłą!
I wiele nam róż do okien świeciło,
I wiele wisien na około rosło,
Ile słowików na wiśniach się niosło?
Ile tam w każdą noc miesięczną, bladą,
Kłótni słowików płaczących z kaskadą;
Ile trzód naszych szło na łąkach dzwonić —
Ach! tego nawet śpiącym nie odsłonić,
Ani pokazać, ani zawrzeć w słowie! —
Łąka i szalet i wiśnie w parowie.
W takim parowie, że stróż anioł biały
Rozwijał skrzydła od skały do skały,
I nakrywał ten cały parów dziki:
Szalet i róże, i nas, i słowiki.

X.

Lecz nadto było cyprysowej woni,
I nadto barwy co się w różach płoni;
I chciała nas już miłość ująć zdradą.
Było to rankiem — pomnę — pod kaskadą —
Byliśmy, niczem nie strwożeni — sami —
Czytając książkę pełną łez, ze łzami.
Wtem duch mi jakiś podszepnął do ucha,
Ażebym na nią z książki przeszedł okiem. —
Była jak anioł, co myśli i słucha —
I nagle — takim przejrzystym obłokiem
Rumieniec smutny twarz jej umalował,

Że nie wiem dotąd, jak się wszystko stało —
Alem ją w usta różane całował,
I czułem ją tu, na mych rękach, białą,
Sercem bijącą, brylantową w oczach.
Wtem nagle — w jasnej kaskady warkoczach
Coś pomieszało się i coś urzekło;
Wiatr na nas rzucił całe wodne piekło,
I z kwiatów spłoszył wilgotnemi mgłami.
Odtąd jużeśmy nie czytali sami.

XVI.

510) Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać,
Kiedy się wszystkie słowiki uciszą,
I wszystkie liście bez szelestu wiszą,
I ciszej źródła po murawach dyszą. —
Jakby ta gwiazda miała coś nakazać,
I o czem cichem pomówić ze światem,
Z każdym słowikiem, z listeczkiem i z kwiatem.
Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą
Wychodzi blady pierścionek Dyjanny:
Wszystkie się wtenczas słowiki rozjęczą,
I wszystkie liście na drzewach zabrzęczą,
I wszystkie źródła jęk wydają szklanny —
O takiej chwili, ach, dwa serca płaczą!
Jeśli coś mają przebaczyć — przebaczą;
Jeżeli o czem zapomnieć — zapomną.
O takiej chwili z moją panią skromną,
Jużeśmy siedli w naszych progach sielskich,
Już rozmawiali o rzeczach anielskich.

XVII.

Jak śpiewający na niebie skowronek,
Z gór słychać było pustelnika dzwonek.
Rzekła raz: chodźmy do staruszka celi,
Może rozgrzeszy, może rozweseli,
Dłonie nam zwiąże i kochać ośmieli.
Tak mówiąc, wbiegła do sosnowej chaty,
Szybko zamknęła wszystkie okiennice,
Ażeby na nią nie patrzały kwiaty;
I ustroiwszy się, jak gór dziewice,
Wybiegła do mnie — myślałem, że padnę!
Ani jej oczy kiedy takie ładne,
Ani jej usta takie były świeże!
Motyla miała czarnego na głowie —
Ten alabastrów od smagłości strzeże;
I przeświecony od słońca w połowie,

Na czoło rzuca skrzydła cieniu duże.
A pod motylem pochowane róże,
Z pod czarnej gazy patrzały ciekawe,
Na pół zamknięte, świeże jeszcze, łzawe.
Wiedząc, że zawsze strzegą serca strony,
Złośliwy motyl usiadł przechylony.
Myślałem, że mu to skrzydło połamię —
Siadł i na lewe przechylił się ramię.
I któżby wierzył w przeczucia, co straszą,
Gdy wyobraźnia cała szczęściem dumna!
Gdym z góry spojrzał na dolinę naszą!
Szalet się oku wydawał, jak trumna:
Maleńki, cichy — kiedym spojrzał z góry:
Nasz ogród z wisien, jak cmentarz ponury;
I niespokojne o nas gołębice,
I zadumane o nas w łąkach trzody! —
Ziemia smutniejsza, błękitniejsze wody;
Zabite ćwiekiem śmierci okiennice;
Wszystko zaczęło mię straszyć i smucić,
Jakbyśmy nigdy nie mieli powrócić.
Szedłem posępny i drżący na góry —
Jeziora czarne, głazy, śniegi, chmury;
Girlandy z orłów na błękitnym lodzie,
Słońce czerwone, jak krew o zachodzie,
Dom pustelnika, śniegiem przysypany,
I dwa ogromne na straży brytany. —
Krzyżyk na celi, gdzie siadały gile,
Cela, pustelnik stary, księgi w pyle —
Wszystko to dzisiaj już podobne snowi. —
Pamiętam tylko, że promień zachodu
Cały się na twarz rzucał Chrystusowi,
Kiedy na palec jej zimny jak z lodu
Kładłem pierścionek — — — —
— — — — — — — — — —

XVIII.

Gaje! doliny! łąki i strumienie!
O nie pytajcie wy mię smutne o nią.
Są łzy, co mówić na zawsze zabronią —
A kiedy mówię, wpadam w zamyślenie:
I widzę jasne błękitne spojrzenie,
Co się zaczyna nade mną litować —
I widzę usta, co mię chcą całować,
I drżę — i znów mię ogarną płomienie.
I nie wiem, gdzie iść? i gdzie oczy schować?
I gdzie łzy ukryć? i gdzie być samotnym?

I staję blady, i kreślę jej rysy
Lub imię piszę na piasku wilgotnym;
Lub błądzę między róże i cyprysy.
Jak człowiek, który skarb drogi postrada,
Zmysły utracił i płacząc usiada
Tam, kędy urny na grobowcach siedzą;
Myśląc, że groby o niej co powiedzą.

XIX.

Jest pod mojemi oknami fontanna,
Co wiecznie jęczy zapłakanym szumem;
Jest jedno drzewo, gdzie harfowym tłumem
Żyją słowiki; jedna szyba szklanna,
Gdzie co noc blada zaziera Dyjanna,
I czoło moje smutnym blaskiem mami.
I tak mię budzą zalanego łzami:
To drzewo, księżyc ten i ta fontanna.
I wstaję blady, przez okno wyzieram,
Słuchając różnych płaczów na dolinie.
Słowiki jęczą i fontanna płynie —
Mówią mi o niej — ja serce otwieram
I o śmierć prędką modlę się z rozpaczą,
I schnę i więdnę — i, ach! nie umieram —
I, co dnia, budząc mię, fontanny płaczą. —

XX.

Kiedy się myślą w przeszłości zagłębię,
Nie wiem, jak sobie jej postać malować?
Czy, kiedy przyszła śpiącego całować,
Jak z roztwartemi skrzydłami gołębie?
Czy wtenczas, kiedy uciekała trwożna?
Czy, gdy na jedną ze mną księgi kartę
Wbijała oczy błębitne, otwarte,
Na każde moje spojrzenie ostrożna?
Czy, kiedy wiejskim otoczona dworem,
Chodziła, gdyby zaklęta królowa?
Czy, kiedy cicho uśnie pod jaworem?
Czy, kiedy goni? czy, kiedy się chowa
W księżyca blasku biała? — lub wieczorem
Od Alp na śniegu różowych — różowa? —

XXI.

Skąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą,
Tam pójdę! aż za ciemnych skał krawędzie.
Spojrzę w lecące po niebie łabędzie,
I tam polecę, gdzie one polecą.

Bo i tu — i tam — za morzem — i wszędzie,
Gdzie tylko poszlę przed sobą myśl biedną,
Zawsze mi smutno, i wszędzie mi jedno;
I wszędzie mi źle — i wiem, że źle będzie!
Więc już nie myślę teraz tylko o tem,
Gdzie wybrać miejsce na smutek łaskawe —
Miejsce, gdzie żaden duch nie trąci lotem
O moje serce rozdarte i krwawe;
Miejsce, gdzie księżyc przyjdzie aż pod ławę,
Idąc po fali — zaszeleści złotem,
I załaskocze tak duszę tajemnie,
Że stęskni — ocknie się — i wyjdzie ze mnie.

G) Anhelli (1838).

Podajemy tu ustępy, charakteryzujące nastrój i artyzm — w obrazach, postaciach, opowieściach i wynurzeniach.

Rozdział I.

511) Przyszli wygnańce na ziemię sybirską i obrawszy miejsce szerokie, zbudowali dom drewniany, aby zamieszkać razem w zgodzie i w miłości braterskiej; było zaś ich około tysiąca ludzi z różnego stanu.

A rząd dostarczył im niewiast, aby się żenili, albowiem dekret mówił, że posłani są na zaludnienie.

Przez jakiś czas był pomiędzy nimi wielki porządek i wielki smutek, albowiem nie mogli zapomnieć, że są wygnańcami i że już nie zobaczą ojczyzny; chyba Bóg zechce...

A gdy już zbudowali dom i każdy się zajął swoją pracą, — oprócz ludzi, którzy chcieli, aby je nazywano mądrymi, i zostawali w bezczynności, mówiąc: oto myślimy o zbawieniu ojczyzny, — ujrzeli raz wielką gromadę ptaków czarnych, lecącą z północy.

Za ptakami zaś ukazał się obóz jakoby, i tabor i sanie, zaprzężone psami, i trzoda renów z gałęzistymi rogami i ludzie na łyżwach, niosący oszczepy; był to cały lud sybirski.

Na czele zaś szedł król ludu, a zarazem ksiądz, ubrany podług zwyczaju w futrach i w koralach, na głowie zaś miał wieniec z węży nieżywych zamiast korony.

Więc mocarz ów, przybliżywszy się do gromady wygnańców, przemówił językiem ich ziemi: Witajcie!

Oto ja znałem ojców waszych, także nieszczęśliwych, i widziałem, jak żyli bogobojnie i umierali, mówiąc: Ojczyzno! Ojczyzno!

Więc chcę być przyjacielem waszym i zrobić przymierze między wami a moim ludem, abyście byli w ziemi gościnnej i w kraju dobrze życzących.

A z ojców waszych już nie żyje żaden, oprócz jednego, który jest już stary i mnie sprzyja; a mieszka stąd daleko w samotnej chacie.

Jeżeli chcecie, aby przyjaciel ojców waszych był przewodnikiem waszym, zostanę z wami i lud mój opuszczę; albowiem wy jesteście nieszczęśliwsi.

Mówił jeszcze dłużej starzec ów, i uszanowali go i zaprosili do swej szopy.

I zrobiono przymierze z ludem sybirskim, który się rozszedł i zamieszkał w swoich śnieżnych siołach; a król jego został z wygnańcami, aby je pocieszał.

I dziwiono się mądrości jego, mówiąc: oto jej zapewne od ojców naszych nabył, a słowa jego są od przodków naszych.

Nazywano go zaś Szamanem, tak albowiem nazywa lud sybirski królów i księży swoich, którzy są czarownikami.

Rozdział II.

512) Rozpatrzywszy się Szaman w sercach owej zgrai wygnańców, rzekł sam w sobie: zaprawdę, nie znalazłem tu, czegom szukał, oto serca ich słabe i dadzą się podbić smutkowi.

Dobrzy byliby z nich ludzie w szczęściu, ale je nędza przemieni w ludzi złych i szkodliwych. Co uczyniłeś, Boże!

Azaż każdemu kwiatowi nie dajesz dokwitać tam, gdzie mu jest ziemia i życie właściwe? Dlaczegoż ci ludzie mają ginąć?

Wybiorę więc jednego z nich i ukocham go, jak syna, a umierając, oddam mu ciężar mój, i większy ciężar, niż mogą unieść inni, aby w nim było odkupienie.

I pokażę mu wszystkie nieszczęścia tej ziemi, a potem zostawię samego w ciemności wielkiej, z brzemieniem myśli i tęsknot na sercu.

To powiedziawszy, przywołał do siebie młodzieńca imieniem

Anhelli i, położywszy na nim ręce, wlał w niego miłość serdeczną dla ludzi i litość.

A obróciwszy się do gromady, rzekł: odejdę z tym młodzieńcem, abym mu pokazał wiele rzeczy bolesnych, a wy zostaniecie sami uczyć się, jak znosić głód, nędzę i smutek.

Ale miejcie nadzieję; bo nadzieja przyjdzie z was do przyszłych pokoleń i ożywi je; ale jeśli w was umrze, to przyszłe pokolenia będą z ludzi martwych.

A to, o czem pomyślicie, wypełni się, i wielka radość będzie na ziemi w on dzień zmartwychwstania.

Lecz wy będziecie w grobach, i całuny będą na was spróchniałe; wszakże wasze groby będą święte, a nawet Bóg od ciał waszych odwróci robaki i ubierze was w umarłych dumną powagę... będziecie piękni.

Tak jak ojcowie wasi, którzy są w grobach; bo spojrzyjcie na każdą czaszkę ich; nie zgrzyta ani cierpi, lecz spokojną jest i zdaje się mówić: dobrzem uczyniła.

Czuwajcie nad sobą, bo jesteście jak ludzie, stojący na podniesieniu; a ci, co przyjdą, widzieć was będą.

Oto powiedziałbym wam tajemnicę, że jednych dusze idą w słońce, drugich dusze oddalają się od słońca na ciemne gwiazdy, lecz nie zrozumiecie mnie!

Powiedziałbym wam, dlaczego żyjecie i dlaczego się rodzą miliony dusz nowych, i na jaki cel dane jest ciało; lecz nie pojmiecie mnie!

Lecz mówię wam, bądźcie spokojni nie o jutro, lecz o dzień, który będzie jutrem śmierci waszej.

A gorsze jest jutro życia, niż jutro śmierci. Choć nie tak myślą ludzie podli i ludzie małego serca.

Rzekły więc do Szamana zgraje: Któż ci dał władzę nauczać o życiu i o śmierci? oto mamy między sobą księży, do nich należy słowo boskie.

Na to im odpowiedział Szaman: słyszeliście o Mojżeszu i o cudach, które czynił? Jam jest Mojżesz między sybirskim ludem, a cudy czyniłem straszniejsze, niż tamten, co przed wiekami.

A nie wyszedłże z zorzy północnej anioł, kiedym go wywołał z płomieni? spytajcie ludu mojego.

Na moje słowo ten śnieg stał się krwią, a to słońce sczerniało, jak węgiel; wiele bowiem we mnie jest Boga.

Lecz nie kuście mnie o cudy; albowiem jesteście ludem starym, a wskrzesić was — cudem jest. O to proście Boga.

Aby was wskrzesił, mówię, i dobył z mogiły i uczynił was narodem, który drugi raz kładziony jest w kołysce i spowity; by wyrósł prosty i nie skrzywiony na ciele.

Tak mówił Szaman, i nie śmieli mu odpowiedzieć wygnańce; lecz przyrzekli z ludem sybirskim chować przymierze.

Rozdział VIII.

513) A przechodząc dalej, ujrzeli wiele ludzi bladych i umęczonych, których imiona wiadome są w ojczyźnie.

I przyszli nad jezioro podziemne i postępowali brzegami ciemnej wody, która się nie ruszała, a złota była gdzieniegdzie od światła kagańców.

I rzekł Szaman: jestże to morze Genezaretańskie Polaków? A ci ludzie sąż rybakami nieszczęścia?

Jeden więc z tych, którzy siedzieli smutnie nad brzegami czarnej wody z twarzą zadumaną, odpowiedział: pozwalają nam odpoczywać, albowiem dziś są imieniny królewskie i dzień wytchnienia.

Więc usiadamy tu nad ciemną wodą dumać i rozmyślać i odpoczywać; bo serca nasze są strudzone gorzej niż ciała.

A oto utraciliśmy niedawno naszego proroka, którego ta skała była miejscem ulubionem i te wody miłemi mu były.

Człowiek to był blady, z błękitnemi oczyma, wychudły i pełny ognia.

A oto przed siedmią laty ogarnął go pewnej nocy duch proroctwa i uczuł wstrząśnienie, które było w ojczyźnie i rozpowiadał nam przez całą noc to, co widział, śmiejąc się i płacząc.

A dopiero o poranku zasmucił się i krzyknął: oto zmartwychwstali, lecz nie mogą odwalić mogiły! i to powiedziawszy, upadł martwy, a myśmy tu postawili jemu ten krzyż drewniany.

A we dwa lata później powiedzieli nam nowi wygnańcy, co się stało i, policzywszy noce, poznaliśmy, że ów prorok naprawdę mówił: więc chcieliśmy go uczcić, lecz już był w ziemi.

Szanujemy więc ten krzyż, nie mówiąc więcej: oto człowiek, który leży pod nim, był waryatem i obłąkanym i godnym śmiechu. Cóż mówicie na to?...

A obróciwszy się Szaman ku Anhellemu, rzekł: czemuś się tak zamyślił nad tą czarną wodą, co z łez jest ludzkich? czy o tym proroku dumasz? czy o sobie?

Gdy mówił, rozeszło się wielkie echo od wybuchu miny, i powtarzało się nad głowami, bijąc, jak dzwon podziemny. I rzekł Szaman: oto jest dzwonienie po umarłym proroku! Oto jest Anioł pański dla tych, którzy nie widzą słońca. Módlmy się.

I, podniósłszy oczy, rzekł: Boże! Boże! prosimy Cię, aby nasza męka była odkupieniem.

A nie będziemy cię już błagać, abyś powrócił słońce oczom naszym i powietrze piersiom naszym, bo wiemy, że Twój sąd nad nami jest zapadły... lecz nowonarodzeni niewinnymi są. Zlituj się, Boże.

A przebacz nam, że ze smutkiem krzyż dźwigamy i nie weselimy się, jak męczennicy; bo nie powiedziałeś, czy męka nasza policzoną nam będzie za ofiarę: lecz powiedz, a rozweselimy się.

Bo cóż jest życie, aby go żałować? czy to jest anioł dobry, który nas opuszcza w godzinie śmierci?

Gorąco krwi jest ogniem ofiary, a ofiarą są chęci nasze. Szczęśliwi, którzy się mogą za lud poświęcić.

. . . . . .

Rozdział X.

514) A oto wygnańcy owi w szopie śniegowej, w niebytności Szamana, kłócić się zaczęli pomiędzy sobą i podzielili się na trzy gromady; a każda z nich myślała o zbawieniu ojczyzny.

Więc pierwsza na czele miała Grafa Skir, który utrzymywał stronę tych, co się przebiorą w kontusze i nazywać się będą szlachtą, jakby z Lachem na nowo przybyli do kraju pustego.

A druga miała na czele żołnierza chudego, imieniem Skartabellę, który chciał ziemię podzielić i ogłosić wolność chłopów i równość szlachty z Żydami i z cyganami.

A trzecia na czele swojem miała księdza Bonifata, który chciał kraj zbawić modlitwą i na ocalenie kraju podawał sposób jedyny: iść i ginąć, nie broniąc się, jak męczennicy.

Te więc trzy gromady zaczęły być między sobą niezgodne w duchu i kłócić się poczęły o zasady.

A oto druga owa gromada, uzbroiwszy się w siekiery, wyszła w pole, odgrażając się, że u pierwszych dowie się, jaka jest krew, drugim zaś da to, czego żądają: męczeństwo.

Lecz nim przyszło do walki, a umysły już były rozgrzane, zgodzono się za poradą któregoś z tych, co był z trzeciej gromady, aby rzecz tę przez sąd Boga rozstrzygnąć.

I rzekł do nich ów doradca: oto postawmy trzy krzyże, na naśladownictwo męki Pana naszego, i na tych trzech drzewach przybijmy, po jednemu, z najmocniejszych w każdej gromadzie rycerzy: a kto najdłużej żyć będzie, przy tym zwycięstwo.

A że umysły tych ludzi były jakoby w stanie pijanym, znaleźli się trzej rycerze, którzy za swoje przekonanie śmierć ponieść chcieli i być ukrzyżowanymi, jako Chrystus Pan przed wiekami.

Postawiono więc trzy krzyże z najwyższego, jakie było w tym kraju, drzewa i wystąpili trzej męczennicy, po jednemu z każdej gromady; wszakże nie wybrani losem, lecz z własnej woli. Nie byli to gromad wodzowie, lecz jedni z najmniejszych.

Kiedy więc cieśle postawili krzyże na wysokiem wzgórzu śniegowem, odezwał się głos z nieba, jakoby wicher, pytając: co czynicie? lecz go ci ludzie nie przelękli się.

I zawieszono na krzyżach ludzie owe obłąkane i przybite im ręce ćwiekami; a ten, co był na prawo, krzyczał: równość! a ten, co był z lewej, krzyczał: krew! wiszący zaś pośrodku, mówił: wiara!

I tłumy stały w milczeniu pod krzyżami, czekając, co się stanie, i tak je noc zastała na śniegu, a była wielka ciemność i okropne milczenie.

Aż o północy zorza borealna rozciągnęła się na całej niebios połowicy i ogniste wystrzeliły z niej miecze; a wszystko stało się czerwone i te krzyże z męczennikami.

Wtenczas strach jakiś ogarnął tłumy i rzekły: źle czynimy! godziż się, aby za nasze wiary ci ludzie ginęli niewinnie?

I przeraziły się zgraje, mówiąc do siebie: oto umierają i nie skarżą się.

Rzekli więc do tych, co byli ukrzyżowani: chcecie, a zdejmiemy was? lecz ci im nic nie odpowiedzieli, będąc już umarłymi.

A poznawszy to, rozbiegły się zgraje pełne przerażenia, a żaden z tych, co uciekali, nie odwrócił głowy, aby spojrzeć na martwe i umęczone. Zorza je czerwieniła, zostali sami.

A właśnie wtenczas Szaman z Anhellim powracali z wędrówki podziemnej i zadziwili się, postrzegłszy na ognistych niebiosach trzy czarne krzyże, i rzekli z przestrachem: co się stało?

A przyszedłszy bliżej, strwożyli się, widząc na krzyżach ciała trupów, i poznali w nich swoje znajome; więc Szaman, usiadłszy pod krzyżami, płakał...

A powstawszy, rzekł do Anhellego: oto mi duch boży oznajmił winę tego ludu i wiem, dlaczego tych ludzi ukrzyżowano; lecz ażeby ciała ich nie ucierpiały jakiej nowej sromoty, zdejmiemy je i zaniesiemy na cmentarz.

Niech mają spoczynek w ziemi, albowiem w dobrej wierze na śmierć się wydali, i nie będzie im to na potępienie, ale na zagładę grzechów. Krzyż je oczyścił.

Tak mówiąc, zdejmowali owe zmarzłe i skościałe na krzyżu i przenosili je na dawne grobowisko wygnańców.

Rozdział XI.

515) A gdy się zbliżali ku cmentarzowi, Anhelli usłyszał hymn skarżących się mogił i jakoby skargę popiołów na Boga.

Lecz skoro się jęki podniosły, anioł, siedzący na szczycie wzgórza, skinął skrzydłami i uciszył je.

I trzy razy to uczynił, albowiem po trzykroć rozpłakały się mogiły.

I zapytał się Anhelli Szamana... co to za anioł z białemi skrzydłami i ze smutną gwiazdą na włosach, przed którym uciechają grobowce?

Lecz nic mu nie odpowiedział starzec: zasypywał bowiem śniegiem ciała umarłych i był zatrudniony.

A przybliżywszy się Anhelli ku owemu aniołowi, spojrzał na niego i upadł, jak człowiek martwy.

Skończywszy więc Szaman grzebanie umarłych, szukał go oczyma i, nie widząc nigdzie, szedł na wzgórze.

A natrafiwszy ciało Anhellego, potknął się na niem i krzyknął boleśnie, ale poznawszy, że młodzieniec żyje, ucieszył się.

Wziął go zatem za rękę i rzekł: wstań! nie jest jeszcze czas spoczynku.

A powstawszy, Anhelli oglądał się wkoło i spuścił przed Szamanem głowę, jak człowiek, co się wstydzi, mówiąc:

Otom zobaczył anioła, podobnego tej niewieście, którą kochałem z całej duszy mojej, będąc jeszcze dzieckiem.

A miłowałem ją w czystości serca mego; dlatego łzy mię zalewają, kiedy myślę o niej i o mojej młodości.

Bo oto byłem przy niej, jak ptak swojski, co się boi, i nie wziąłem nawet pocałowania od jej ust koralowych, choć byłem blizko; jak gołąb, mówię, siedzący na ramieniu dziewczyny.

Dziś już to snem jest. Oto szafirowe niebo i gwiazdy białe patrzą na mnie: sąż to gwiazdy te same, które mnie widziały młodym i szczęśliwym?

Dlaczegóż nie powstanie wicher, co mię z ziemi zwieje i zaniesie w krainę cichą! dlaczego ja żyję?

Oto już jednego włosa niema na mojej głowie z tych, które były dawniej, oto się nawet kości we mnie odnowiły, a ja zawsze pamiętam.

A niema jednej kawki w powietrzu, któraby nie spała przez jedną noc życia w spokojnem gnieździe. Lecz o mnie Bóg zapomniał. Chciałbym umrzeć.

Bo zdaje mi się, że, gdy będę umarłym, to sam Bóg pożałuje tego, co ze mną uczynił, myśląc, że oto już nie narodzę się raz drugi.

Wszak rodzić się nie jest to, co zmartwychwstać, trumna nas odda, lecz nie spojrzy na nas, jak matka.

Oto mi więc smutno, że ujrzałem tego anioła, i wolałbym był wczoraj umrzeć.

A Szaman, zapatrzywszy się w gwiazdy, rzekł: zaprawdę, że, jak dawniej wiele było opętanych przez czarty, tak dziś wielu jest opętanych przez czyste anioły.

Cóż zrobię! Oto wypędzę wszystkie te duchy z ciał i pozwolę, aby weszły w lilie wodne, i rozleciały się po gwiazdach różanych, i zamieszkały w tem, co jest najpiękniejszego, a opuściły ludzi.

A wieszli, kto to jest ten anioł smutny na cmentarzu? Oto się zowie Eloe, a urodził się ze łzy Chrystusowej na Golgocie, z tej łzy, która wylana była nad narodami.

Gdzieindziej napisano jest o anielicy tej i wnuczce Maryi Panny... jak zgrzeszyła, ulitowawszy się nad męką ciemnych Cherubinów i umiłowała jednego z nich i poleciała za nim w ciemność.

A teraz jest wygnaną, jak wy jesteście wygnani, i ukochała mogiły wasze i piastunką jest grobowców, mówiąc kościom: nie skarżcie się, lecz śpijcie!

Ona odpędza reny, kiedy przyjdą mech wyciągać zpod głowy trupów, ona jest pasterką renów.

Przywyknij do niej za życia, albowiem będzie na mogile twojej stąpać przy blasku księżyca; przywyknij do głosu jej, abyś się nie obudził, gdy mówić będzie.

Zaprawdę, że dla tych, co są smutni, ta kraina piękną jest i niebezludną; albowiem tu śnieg nie plami skrzydeł anielskich, a gwiazdy te są piękne.

Tu przylatują mewy i gnieżdżą się i kochają się, nie myśląc, że jest jaka piękniejsza ojczyzna.

. . . . . .

Rozdział XIII.

516) Odeszli więc, Anhelli z ową niewiastą i z renami Szamana, na daleką pustynię północną, a znalazłszy pustą chatę, w lodzie wykutą, zamieszkali w niej.

A po krótkiem pożyciu, Anhelli przyzwyczaił się nazywać siostry imieniem zbrodniarkę tę i pokutnicę.

Ona mu była sługą i uścielała łoże liściami i doiła reny wieczorem, a rano wypędzała je na paszę.

Serce jej od modlitwy ciągłej stało się pełne łez, smutków i niebieskich nadziei i wypiękniało na niej ciało.

Oczy rozpromieniły się blaskiem cudownym i ufnością w Bogu; a włosy stały się długie i podobne szacie obszernej, kiedy się w nie ubrała, i podobne namiotowi biednego pielgrzyma.

I dziwił się Anhelli, że była spokojną o przyszłość, popełniwszy niegdyś zbrodnię wielką, a nawet krwią mając zmazane ręce.

I dziwił się, że skarga jej była maleńką i skarżącą się, jak płacz niewinnej dzieciny, kiedy zazdrościła ptakom skrzydeł niebieskich, widząc, jak rybitwy białe wędrują ku słońcu złotemu i toną w promieniach.

A lękała się zmazać słowami nieczystemi, mówiąc: oto nas dwoje na ogromnej pustyni, więc nas Bóg pewnie słucha i na nas patrzy; a jeśli o rzeczy dobre prosić go będziemy, to nie opuści nas.

Przyszedł więc dzień sybirski, a słońce nie zachodziło, lecz biegało niebem, jak koń w zawodzie z płomienistą grzywą i z białem czołem.

Straszliwe światło nie kończyło się nigdy, a huk lodów był jakoby głos boży, odzywający się na wysokościach do ludzi nędznych i opuszczonych.

A długi smutek i tęsknoty przyprawiły o śmierć ową wygnankę, i położyła się na łożu liścianem pomiędzy renami swoimi, aby umrzeć.

A był zachód słońca: albowiem od niejakiego czasu zaczęły się noce w ziemi sybirskiej i słońce coraz dłużej zostawało pod ziemią.

Obróciwszy więc ku Anhellemu szafirowe oczy, zalane łzami wielkiemi, rzekła Ellenai: umiłowałam ciebie, bracie mój, i opuszczam.

A powiedziawszy, gdzie ją miał pochować, że pod sosną, która była w smutnym parowie, leżeć pragnie, rzekła: czemże ja będę po śmierci?

Oto chciałabym być jaką rzeczą żyjącą przy tobie, Anhelli, pajączkiem nawet, który jest miły więźniowi i schodzi jeść z jego ręki po złotym promyku słonecznym.

Jam się przywiązała do ciebie, jak siostra i jak matka twoja, i więcej jeszcze... Ale grobowiec wszystko kończy...

Nie zapominaj o mnie, bo któż o mnie będzie pamiętał po śmierci, chyba ren, któregom doiła, zalewając się łzami.

Jeżeli wiesz, gdzie ludzie idą po śmierci, to mi powiedz, bo niespokojna jestem, choć mam nadzieję w Bogu.

Oto ja polecę do krainy twojej rodzinnej i obaczę dom twój, sługi twoje i rodzice twoje, jeżeli jeszcze żyją.

I nawet miejsce to, gdzie stało twoje łóżeczko dziecinne, mała niegdyś kołyska twoja.

Ty powiesz, że to są myśli gminne, że człowiek po śmierci nie lata... Cóż! kiedy z taką myślą śmierć piękniejsza.

A oto patrzaj, nad łożem mojem ta szyba lodu słońcem czerwona, z dwoma skrzydłami promieni: nie jestże to anioł złoty, stojący nade mną?

Reny wyciągają mech z pod mojej pościeli i skubią łoże śmierci, jedząc... Biedne reny moje, żegnam was.

A teraz podniosę oczy do Królowej Niebieskiej i będę się modliła do Niej.

Zaczęła więc tu, umierająca, mówić litanie do Matki Chrystusowej i właśnie, wymówiwszy: Różo złota! skonała.

I na znak cudu upadła róża żywa na białe piersi umarłej, i leżała na nich, a w jamie rozeszła się od niej woń różana i mocna.

Nie śmiał więc Anhelli ruszyć ciała umarłej, ani złożyć rąk, które były wyciągnięte, lecz, usiadłszy na końcu łoża, płakał.

A oto jakoby o północy stał się wielki szelest, i myślał Anhelli, że reny szeleszczą, wyjadając mech z pod łoża śmierci; lecz inna była przyczyna.

Chmura jakoby duchów ciemnych zatrzymała się nad jamą, śmiejąc się głośno, a ciemne twarze pokazały się przez rozszczepione lodu sklepienie i krzyczały: naszą jest!

Lecz róża owa cudowna, dostawszy skrzydeł gołębich, podleciała w górę i spojrzała na nie oczyma niewinnego aniołka.

Ciemne więc owe duchy i chmura ich wzniosła się z dachu, krzycząc w ciemnem powietrzu smutne przeklinania, i stała się znów cichość, jaka przystoi w miejscu, gdzie trup spoczywa.

We trzy zaś godziny po północy usłyszał Anhelli stukanie do drzwi, które były z lodu i, odwaliwszy bryłę, wyszedł na księżyc.

I zobaczył owego anioła, który mu był przypomniał miłość dla niewiasty i pierwszą jego miłość na ziemi; więc, spuściwszy przed nim głowę, stał cicho.

I rzekła do niego Eloe: wynieś mi tu umarłą twoją siostrę, ja wezmę ją i pochowam litośnie; moją jest.

Odszedłszy więc Anhelli do jamy, wziął na ręce trupa, wyniósł i położył go na śniegu przed aniołem.

A Eloe, uklęknąwszy nad śpiącą, podłożyła pod nią z obojej strony końce skrzydeł łabędzich i zawiązała je pod umarłą.

I z pełnymi trupa skrzydłami, wstawszy, na księżyc odeszła.

Wrócił więc Anhelli do jamy pustej i, spojrzawszy na ściany, zajęczał, bo już jej nie było.

Rozdział XV.

517) Tego samego dnia, przed wschodem słońca, siedział Anhelli na bryle lodu, na miejscu pustem, i ujrzał zbliżających się ku sobie dwóch młodzieńców.

Po wietrze lekkim, który szedł od nich, poczuł, że byli od Boga, i czekał, co mu zwiastować będą, spodziewając się, że śmierć.

A gdy go pozdrowili, jak ziemscy ludzie, rzekł: poznałem was, nie kryjcie się: aniołami jesteście.

Przychodzicie-li pocieszyć mnie? Czy sprzeczać się ze smutkiem, który się nauczył w samotności milczenia?

I rzekli mu ci młodzieńcy: oto przyszliśmy ci zwiastować, że dzisiejsze słońce wstanie jeszcze, lecz jutrzejsze nie pokaże się nad ziemią.

Przyszliśmy ci zwiastować ciemność zimową i większą okropność, niż jacy ludzie doznali kiedy; samotność w ciemnościach.

Przyszliśmy ci zwiastować, że bracia twoi pomarli, jedząc trupy i będąc wściekli od krwi ludzkiej: a ty jesteś ostatni.

A jesteśmy ci sami, którzy przed wiekiem przyszli do chaty kołodzieja i usiedli za jego stołem, w cieniu lip pachnących.

Lud wasz wtenczas był jako człowiek, który się budzi i powiada sobie: oto mnie rzecz miła czeka o południu i weselić się będę wieczorem.

Zwiastowaliśmy wam nadzieję, a teraz przyszliśmy zwiastować koniec i nieszczęście, a Bóg nie kazał nam wyjawić przyszłości.

I rzekł, im odpowiadając, Anhelii: zaprawdę, urągacie mi, mówiąc o Piaście i o początku wtenczas, kiedy ja czekam śmierci, a w życiu mojem widziałem tylko nędzę?

Czy przyszliście przerazić mnie, wołając: ciemności nadchodzą! Na cóż wam przerażać tego, co cierpi? nie dosyćże jest przerażenia w grobowcu?

Życie moje zaczęło się od przerażenia. Ojciec mój umarł śmiercią synów ojczyzny, zamordowany, a matka moja umarła z boleści po nim, a jam był pogrobowcem.

Pierwsza lilia na grobie ojca mego jest moją rówieniczką, a pierwsza róża na grobie matki mojej była mi siostrą młodszą.

Oto mię w kołysce owionęła woń krwi ojcowskiej, i wyrósłem z twarzą smutną i przelęknioną.

A gdym usiadł dzieckiem na kolanach u ludzi obcych, to gadałem wyrazami przerażenia z ciemnością, a liść jesienny, szumiący z wichrami, rozumiałem, co szeptał.

Nad kołyską moją był przestrach; więc niech przynajmniej sam smutek cichy będzie w godzinę śmierci.

Idźcie! i powiedzcie Bogu, że, jeżeli ofiara duszy przyjętą jest, oddaję ją i zgadzam się, aby umarła.

Taki mam smutek w sercu, że mi światła anielskie w przyszłości natrętnemi są, a obojętny jestem na wieczność, a nawet znużony jestem i chcę zasnąć.

A choć Bóg wie, że jestem czysty na duszy i nie skalany żadnym grzechem podłym — oto powiedzcie mu, że, jeżeli chce ofiary z duszy mojej, to ją dam.

I przerwali mu anieli, mówiąc: gubisz się, żądanie człowieka jest sądem na niego.

A wieszli ty, czy od spokojności twojej nie zależy żywot jaki, a może żywot i los milionów?

Możeś jest wybrany na ofiarę spokojną, a chcesz się zamienić w piorun gwałtowny i być rzuconym w ciemność dla przestrachu zgrai?

I ukorzył się Anhelli, mówiąc: Anieli, przebaczcie mi! uniosłem się i skrzydła myśli moich uniosły mnie.

Więc będę cierpiał, jak dawniej: oto język mój rodzinny i mowa ludzka zostanie we mnie, jak harfa z porwanemi strunami... do kogoż mówić będę?...

Ciemność będzie towarzyszem moim i krajem moim.

A oczy moje, jak służebnice, które przestają pracować dla braku oliwy w lampie wieczornej.

A wzrok mój, jak gołębie, latające po nocy, które się tłuką o drzewa i skały piersią zlęknioną.

Płomieniste koła urodzą się w mózgu moim i staną przed oczyma, jak wierne sługi, idące z latarniami przed panem.

I wyciągnę ręce w ciemności aby ułowić którą z plam płomienistych, jak człowiek obłąkany.

Lecz okropności ziemi są niczem, zgryzota moja dla ojczyzny okropniejszą jest. Cóż uczynić?

O! dajcie mi moc miliona ludzi, a potem mękę miliona tych, którzy są w piekle.

Czemużem się targał i męczył dla rzeczy, będącej szaleństwem? czemu nie żyłem spokojnie?

Rzuciłem się w rzekę nieszczęścia i fala jej zaniosła mnie daleko i już nie wrócę — nigdy!

A znowu przerwali mu anieli, mówiąc: oto się raz uniosłeś aż do bluźnierstwa przeciwko duszy własnej, a teraz bluźnisz przeciwko woli, która była w tobie, kiedyś się poświęcił za ojczyznę.

Jestże jaki zły duch w najczystszych sercach ludzi, który je mięsza i przerzuca za kres dobrego?

Ostrzegamy więc ciebie z woli boskiej, że za niewiele godzin umrzesz, przeto bądź spokojniejszy.

Usłyszawszy to, Anhelli spuścił głowę i poddał się woli boskiej. A zaś aniołowie odeszli.

Rozdział XVI.

518) A zostawszy sam, Anhelli zawołał smutnym głosem: więc koniec już!

Cóż robiłem na ziemi? byłże to sen?

A gdy rozmyślał Anhelli o tajemnicach przyszłych, zaczerwieniło się niebo i wybuchnęło wspaniałe słońce; a stanąwszy na kręgu ziemskim, nie podniosło się, czerwone jak ogień.

Korzystały z dnia krótkiego ptaki niebieskie i białe mewy, którym Bóg uciekać kazał przed ciemnością, i wielkimi tłumami leciały jęcząc.

Więc spojrzał na nie Anhelli i zawołał: gdzie wy lecicie, o mewy?

I zdawało mu się, że w jęku ptaków usłyszał głos, odpowiadający mu: lecimy do ojczyzny twojej!

Czy każesz nam pozdrowić kogo? czy, usiadłszy nad jakim miłym domem, zapiać w nocy pieśń nieszczęścia?

Aby się obudziła matka twoja, lub który z krewnych twoich, i zaczęli płakać w ciemności z przerażenia.

Myśląc o synie, którego pożarła kraina grobowcowa, i o bracie, którego pochłonęło nieszczęście.

Taki był głos ptaków i rozkruszyło się serce w Anhellim i upadł.

A słońce utonęło nad ziemią, i tylko jeszcze najwyżej lecące ptaki świetniały na szafirowem niebie, jak róż białych girlandy, ulatujące ku południowi.

Anhelli był umarły.

Rozdział XVII.

519) W ciemności, która była potem, rozwidniła się wielka zorza południowa i pożar chmur.

A księżyc znużony spuszczał się w płomienie niebios, jakoby gołąb biały, spadający wieczorem na chatę czerwoną od słońca zachodu.

Eloe siedziała nad ciałem zmarłego, z gwiazdą melancholiczną na rozpuszczonych włosach.

I oto nagle z płomienistej zorzy wystąpił rycerz na koniu, zbrojny cały, i leciał z okropnym tętentem.

Śnieg szedł przed nim i przed piersią konia, jak fala zapieniona przed łodzią.

A w ręku rycerza była chorągiew, a na niej trzy ogniste litery paliły się.

I przyleciawszy ów rycerz nad trupa, zawołał grzmiącym głosem: tu był żołnierz, niech wstanie!

Niech siada na koń, ja go poniosę prędzej niż burza, tam, gdzie się rozweseli w ogniu.

Oto zmartwychwstają narody! oto z trupów są bruki miast! oto lud przeważa!

Nad krwawemi rzekami i na krużgankach pałacowych stoją bladzi królowie, trzymając szaty na piersiach szkarłatne,

aby zakryć pierś przed kulą świszczącą i przed wichrem zemsty ludzkiej.

Korony ich ulatują z głów, jak orły niebieskie, i czaszki królów są odkryte.

Bóg rzuca pioruny na głowy siwe i na obnażone z koron czoła.

Kto ma duszę, niech wstanie! niech żyje! bo jest czas żywota dla ludzi silnych.

Tak mówił rycerz, a Eloe, powstawszy z nad trupa, rzekła: rycerzu, nie budź go, bo śpi.

On był przeznaczony na ofiarę, nawet na ofiarę serca. Rycerzu, leć dalej, nie budź go.

Jam jest w części odpowiedzialna, że serce jego nie było tak czyste, jak dyamentowe źródło, i tak wonne, jak lilie wiosenne.

To ciało do mnie należy, i to serce mojem było. Rycerzu, koń twój tętni, leć dalej!

I poleciał ów rycerz ognisty z szumem jakoby burzy wielkiej; a Eloe usiadła nad ciałem martwego.

I uradowała się, że serce jego nie obudziło się na głos rycerza i że już spoczywał.

H) Lilla Weneda (1840).

(Tragedya w pięciu aktach).

Podajemy tu wstępny list do Zygm. Krasińskiego, poprzedzający utwór i mieszczący zarówno genezę, jak charakterystykę tej tragedyi, różniącej się tak, mimo pozornego związku w osnowie, od «Balladyny» zarówno nastrojem, stosunkiem poety do postaci i wypadków, jak i cechami artyzmu. Z utworu samego wybieramy ustępy, uwydatniające nowy artyzm i nowe bodźce twórczości: myślowe i uczuciowe.

Do Autora Irydyona.

520) Kochany Endymionie poezyi, drzemiący w cieniu gajów laurowych! Z lekkością i ciszą letniej błyskawicy przedzieram się przez czarne liście drzew nieśmiertelnych i trzema błyskami budzę ciebie ze snów niespokojnych. — Wstań! wstań, mój Edymionie, tajemniczej muzy kochanku! i postąp krokiem ku mnie, a napotkasz nowy gaj fantazyi, zielony sosnami teatr

bo oto dla ciebie jedynie, mój drogi, wybudowałem nową scenę, sprowadziłem duchów aktorów i rozłożyłem na leśnej murawie, biegającego po świecie kolportera, małe bogactwo. — Odeszlij mię z nowym zarobkiem przyjaźni! ze łzą, jeżeli można, z pochwałą, jeżeli można: a będę spokojny na wieczność.

Obudź się! obudź, rzymski, w złotej zbroi, z ognistym pancerzem, rycerzu! Nowe mary stoją przed tobą: oto jest wzgórze, okryte zieloną murawą; na wzgórzu stoi dwanaście druidycznych kamieni i trzynasty tron z omszonego granitu; oto wzgórze ukoronowane wieńcem dwunastu biało-włosych harfiarzy, zewsząd jakby morzem czerwonego połysku oblane. — Te straszne wzgórza zwierciadło: to krew narodu! — Śpiew dwunastu harf rozlega się nad ludem umarłych i wbiega w puste, szumiące lasy sosnowe, wołać nowych, na zemstę, rycerzy. — Czy ci nie smutno?

Oto jest rycerz, z dwojgiem serc, z mieczem jedynym, z Tella, z Kastora i z Polluksa złożony; rycerz, którego jedna połowa jest tarczą, a druga śmierci żelazem — wódz, mający dwie dusze i dwa ciała; nieszczęście narodu; Przeznaczenie, dowodzące potępionemu przez Boga ludowi! — Wódz z dwojakiem i nie śmiesznem już więcej nazwiskiem: oto stoi na stosie ostatecznym jako posąg przyszłości. — Czy go widzisz? [1]).

Oto wróżka, która zabrania harfiarzom rozpaczy, a jednym strasznym i mściwym czynem zajęta, stąpa po sercach ludzkich, kruszy je pod swemi nogami. — Eumenida Eschylowska, krzycząca: zwycięstwo! sto serc ludzkich za zwycięstwo! — Czy się nie wzdrygasz?

Oto jest stary i święty człowiek, który przyszedł łzawe Chrystusa oliwy zaszczepiać na płonkach sosnowych i zamieszkał w czaszce olbrzyma, a przyjazne jemu ślimaki przylazły i śliną kryształową zalepiły czaszki, już pustej, źrenice — powoje owinęły ją do koła. — Oto we wnętrzu groty kościanej i ludzkiej, krzyż stoi, lampa się pali i błyszczy obraz Rafaelowski Boga Rodzicy. — Widzisz, jak dno złote obrazu pięknie jaśnieje w ciemnościach pustego czerepu? słyszysz, jak szemrze

---

[1]) Zapewne źródłem pomysłu był ustęp z «Pana Tadeusza»:
«Kastor z bratem Polluksem jaśnieli na czele,
Zwani niegdyś u Słowian: Lele i Polele».

modlitwa? [1]). Lecz — o! biada — o, losy! — słowo świętego starca miecz Rolandowy wyprzedził i jeszcze lud jeden kona z wiarą okropną rozpaczy w przyszłość i zemstę. — Cóż, mój Galilejczyku? [2]).

Oto jest brat Rolanda, a praszczur Sobieskiego, człowiek silnej ręki i Molierowskiej w domostwie słabości [3]), kontusz mu włożyć i buty czerwone, gdy wróci z piorunowej walki, siarką cuchnący i krwią oblany po szyję. — Kontusz mu włożyć i żupan! Niechaj panuje — bez jutra.

Oto nareszcie jest twarda dziewka skandynawska; oto mniejsze mrówki ludzkości, pełne kłamstwa, wybiegów, tchórzostwa, w osobie Ślaza. — Oto jest cały sklepik kolportera, wysypujący przed tobą swe fantastyczne figurki: za które autor sam gada — a czasem szczebioce, Alfierego [4]) językiem. — Na cóż to wszystko?

Zaprawdę ci powiadam, jam tych mar nie wołał — przyszły same. Przyprowadziła ją z sobą biała Lilla Weneda — a ja, ujrzawszy ten tłum ludzi, harf złotych, hełmów, tarcz i mieczów dobytych; usłyszawszy głosy zmięszane dawno już wymordowanego ludu, wziąłem jednę z harf wenedyjskich do ręki i przyrzekłem duchom powieść wierną i nagą, jaka się posągowym nieszczęściom należy.

Ile razy więc, zwyczajem teraźniejszych poetów, chciałem zacząć kwilącą serca dyssekcyę, lub melancholizowaniem sztucznem obrazów prostą legendę okrasić, tyle razy mary zjawione krzyczały z krajów przeszłości: «Serca nasze i ciała były zdrowe! w mowie naszej nie było niespodziewanych «concetti». Choć córki królewskie, nie wzdychałyśmy do księżyca; choć synowie królewscy, pędziliśmy woły na paszę. Ossyan usłyszał naszego zgonu historyę, lecz nie znalazł w niej dosyć chmur księżycowych, duchów, sarn, błyskawic i wiatru, wzdychającego

[1]) Opisaną tu celę widział poeta w klasztorze św. Gwalberta w Vallombroso, we Włoszech.

[2]) Aluzya do zakończenia «Nieboskiej Komedyi» słowami Juliana Apostaty: «Zwyciężyłeś, Galilejczyku».

[3]) Odnosi się to do uległości Lecha względem energicznej Gwinony, podobnie jak później Sobieski ulegać będzie swej Marysience.

[4]) Alfieri, włoski tragedyopisarz z końca w. XVIII, odznaczał się zwięzłością i siłą wysłowienia.

po mogiłach; ani więc ruszył harfy, na omszonym dębie wiszącej, ale odpędził nas w mgłę niepamięci, rozpaczne. — Lecz ty, mówiły dalej mary, któregośmy widziały w ciemnym Agamemnona grobowcu; ty, jadący niegdyś brzegami laurowego potoku, gdzie Elektra, królewna, płótno bieliła matczyne — mów o nas prosto i z krzykiem» [1]).

Tak namówiony, wziąłem półposągową formę Eurypidesa tragedyi i rzuciłem w nią wypadki, wyrwane z najdawniejszych krańców przeszłości; a jeżeli mi Bóg pozwoli, to na tej nieco marmurowej podstawie oprę szersze, bardziej tęczowe, lecz mniej fantastyczne niż Balladyna tragedye. Tylko ty, Irydyonie! nie opuszczaj mię śród zimnego świata słuchaczy! Tylko ty mi nie daj uczuć chłodu, który mi na czoło od twarzy ludzkich powiewa; a gdybyś widział na mnie idące węże, weź w rękę harfę Lilli Wenedy i przemień te gady w słuchaczów. — Ile razy z tobą byłem, zdawało mi się, że wszyscy ludzie mają oczy Rafaelowskie; że dosyć jest jednym słowa zarysem pokazać im piękną postać duchową; że dbać nie trzeba o niedowidzenie, a chronić się tylko przesytu. Sądziłem, że wszyscy ludzie obdarzeni są Platońską i Attycką uwagą; że, dodawszy do stworzonego już przez poetów świata jedną taką postać, jak nimfa, uwieńczona jaskółkami, które pierzchają z włosów, dotknięte słońca promykiem — jedną taką postać, jak nimfa, uwiązana rączkami za łańcuch smutno gwarzących po niebie żórawi — można te Ateńczyki obrócić na niebo — oczyma. — Teraz widzę, że innych widm, innych kolorów, innych potrzeba obrazów. Nie schodzę jednak z mojej drogi; a że jest pustą i szeroką, to przypomina mi złote pustynie Suez, na których tak mi dobrze było, gdym się tylko za słońcem i gwiazdami kierował! — Jest to wreszcie dla mnie droga konieczna; ile razy bowiem zetknę się z rzeczywistemi rzeczami, opadają mi skrzydła i jestem smutny, jakgdybym miał umrzeć; albo gniewny, jak w owym wierszu o Termopilach, który na końcu księgi umieściłem: niby chór ostatni, śpiewany przez poetę [2]) — Na Odyna! niech wrze-

[1]) Odnosi się to do wspomnienia poety z podróży po Grecyi, w której zwiedzał ruiny grobowca Agamemnona.

[2]) Jest to znany «Grób Agamemnona», mieszczący w sobie poglądy, rozwinięte później w «Lilli Wenedzie».

szczą samochwalce, a ja z drgającemi ustami wracam pod skrzydła twoje — ochłonąć.

A teraz słyszę, iż mię pytasz: skąd się w mojej myśli biała postać Lilli Wenedy zjawiła? — Posłuchaj. Przed pięcią laty mieszkałem nad jeziorem Szwajcaryi, blizko miasteczka Villeneuve, dawnego Avencium. Miasteczko to, położone na zielonej równinie w końcu jeziora, niedaleko zamku Chillon i skał Heloizy, czarowało mię swoją wiejską i spokojną pięknością! Na jasnych i wodnistych łąkach zbudowane, uśmiecha się wiosenną zielenią z pod czarnych gór, które podobne Rzymskiemu Legionowi, stoją groźne, nachylone, gotowe spaść i rozproszyć. — Co? — Kilka małych domków, biało odbitych w jeziorze, mały kościołek z piramidalną wieżyczką i rząd ciemnych drzew kasztanowych, które jesienią owieszone mnóstwem chłopiąt, tłukących z koron owoce, rumienią się hożą czerwonością wesołych twarzy, niby jabłonie sadów naszych, mnóstwem owoców splonione. Takiem jest dzisiaj to miasteczko. — Lecz niegdyś, przed wiekami, na tem samem miejscu, odbywała się okropna jakaś ofiara: musiało być poświęcenie się, rozpacz, szczęk broni, miecz katowski, ucinający głowę starca i słowo S. P. Q. R., błyszczące na rzymskich chorągwiach! Czas wszystko uciszył. Z całej owej historyi został tylko jeden grobowiec z następującym napisem: *„JULIA ALPINULA tu leżę, nieszczęśliwego ojca, nieszczęśliwa córka: Bogów awentyńskich kapłanka. Wyprosić ojca od śmierci nie mogłam. Nieszczęśliwie umrzeć w losach jego było. Żyłam lat XXIII* [1]).

Mój Irydyonie! ta młoda dziewica, ta czysta kapłanka, co żyła tylko lat 23, skarżąca się tak cicho, a tak przeraźliwie — z przeszłości: ona to zamieniła się w Lillę Wenedę! Chciałem kwiat łączny przenieść do Polski: niosłem go ze świętem uczuciem, aby nie strącić zeń rosy, listka nie ułamać. Ta mara srebrnej białości, która na dziwnej zieleni łąk szwajcarskich, na odłamie skały, stawała przede mną, teraz, zmartwychwstawszy nad Gopłem, opowiedziała swego poświęcenia się historyę: cichą,

[1]) Nagrobek ten nie jest autentyczny. Ułożony został w wieku XVI. Poeta napotkał ten napis w przypiskach do poematu Byrona «Wędrówki Child Harolda», w którym poeta angielski poświęca jeden ustęp owej Julii Alpinuli.

czysta, biała i spokojna, ale głęboko w serce, nawet przez ojca własnego, raniona.

Dawniej jeszcze, jadąc przez pińskie błota, widziałem mnóstwo lilij wodnych i mnóstwo chłopów wychudłych od głodu. Między chłopami a nenufarem litewskim taki był związek, że chłopstwo jadło kwiatów łodygi, nie mając chleba; łodygi te bowiem rdzeń mają słodką, gąbczastą, która za pokarm służyć może. Co z tego pińskiego wspomnienia do tragedyi wniknęło — zobaczysz.

A teraz, kiedym ci się wyspowiadał, usiądź na ułomku jakiej dawnej ruiny, albo pod cieniem Wirgilowego lauru i niech cię gwarząca moja przeszłość otoczy! — Usiądź nad kryształową jaką i smętną wodą, abyś z książką moją mógł to zrobić, co zamyślona, z białą różą w ręku, dziewczyna: to jest oberwać ją, liść po liściu, rzucić w wodę płynącą i pytać się losu listków o los człowieka; a zniszczywszy tak ciało Lilli Wenedy, odtwórz ją na nowo w myśli swojej, większym blaskiem odzianą — i piękniejszą sto razy — i niech ta postać do nas obojga należy! niech będzie jako łańcuch, łączący dwóch Wenedów ręce, nawet w śmierci godzinie! — A tych dwóch wodzów! — Czy ty myślisz Irydyonie, że tworząc ów mit jedności i przyjaźni, nie łudziłem się słodką nadzieją — że kiedyś — i nas tak we wspomnieniach ludzie powiążą i na jednym stosie postawią! — Ty mię wtenczas umarłego będziesz trzymał na piersiach i mówił mi do ucha słowa nadziei i zmartwychwstania, albowiem za życia słyszałem je od ciebie jedynie!

Paryż, dnia 2 kwietnia, 1840 r.

Prolog.

(Obszerna grota Wróżki, wykopana w ziemi; w ścianach okrągłe dziury, przez które widać rozległe pola i daleki krajobraz — światło zachodzącego słońca).

Roza Weneda i Lilla Weneda, potem Harfiarze.

Lilla Weneda. O siostro moja! jak ty zadumana!
Idź, spojrz na walkę, zaczaruj zwycięstwo!

Roza Weneda. Na nic nie przyda się tu czar szatana.
Przekleństwo! przekleństwo! przekleństwo!
Ojczyzna nasza kona i na wieki
Widzę umarłą —
I ty umarła — ja ci zamknę powieki —

Zimnego piasku w usta nasypię, a w gardło
Przekleństw, które ty z sobą poniesiesz w daleki
Kraj — na tamten świat — o! nieszczęśliwa!

Lilla Weneda. Mówisz i wicher się zrywa
I płacze nade mną biedną,
Więc ja mam umrzeć? — o! Boże!

Roza Weneda. Cicho! czy Bóg ciebie jedną
Stworzył? Czemu trudzisz Boga?
Tam krew nasza i krew wroga
Zrobiła strumień i łoże,
I Gopło zaczerwieniła:
Będziesz ty, jak płaczka, wyła
Nad sobą — gdy rycerze konają?
(Słychać dźwięk harf).
O! cyt! — kiedy harfy grają
Słyszysz ich głosy ponure,
Płaczące i rozstrojone?
Harfiarze wchodzą na górę —
Wszystko stracone!

Lilla Weneda. Za harfiarzami tu wejdą rycerze
I nas zabiją i wytną harfiarzy.

Roza Weneda. Co? a z chmurami przymierze?
A piorun posępny, złoty,
Co stoi jakby na straży
U wejścia groty?
Co? a szatański mój głos?
Podobny zimnym sztyletom?
A zmartwychwstanie, dane przeze mnie szkieletom?
A mój smutek! a mój los!
I ty nie ufasz w tę straż?
I ty się lękasz? o! kraśna!

Lilla Weneda. Ty mówisz — lecz twoja twarz,
Jak księżyc, smutna, choć jasna,
Jak księżyc — umarłych słońce.
Gdzie nasi bracia obrońce?
Czy wiesz, co z nimi się stało?

Roza Weneda. Wnętrze groty zajęczało:
Słyszałaś odpowiedź skał. —
Wyjdź i wprowadź harfiarzy, ja ogień rozpalę.
(Wchodzi dwunastu starców ze złotemi harfami).
Proszę was! przy ciemnej skale
Postawcie te harfy rzędem,
I powiedzcie, co stało się z Wenedów ludem.

Lilla Weneda. Czy mój ojciec i bracia moi jakim cudem
Wyrwali się od śmierci?

Harfiarz. Starce, z takim pędem

Szliśmy na górę, że nam w piersiach głos zamiera.

Lilla Weneda. O! wy nie chcecie mówić.

Harfiarz. Niestety! Niestety!

Lilla Weneda. O! bracia moi! — O mój drogi ojcze! gdzie ty?
Ci ludzie milczą — mój ojciec umiera!
O! wy nie macie litości! —

Harfiarz. Jak żądasz,
Abyśmy z trwogi już przyszli do siebie?

Lilla Weneda. Starcze! Ty na mnie, starcze, tak spoglądasz,
Jak na sierotę!

Harfiarz. Na ziemi i w niebie
Lud nasz przeklęty — o biada nam! biada!
Twój ojciec wzięty — rycerzy gromada
Otoczyła go, z harfą jego złotą.
Widzieliśmy to i, bladzi zgryzotą,
Rwaliśmy włosy. — Bracia twoi wzięci. — —

Lilla Weneda. Więc nie umarli? o! mówcie mi jeszcze!
Więc nie umarli? —

Roza Weneda. Nie — ale przeklęci.

Lilla Weneda. O! nie mów tego! o nie mów! przez litość!
Ja braci moich, ojca mego zbawię.
O, pobłogosław ty mi, siostro moja!
Ty smutna — byłaś mi, wesołej, matką.
I wy mi, starzy ludzie, błogosławcie,
Ale nie proście Boga o nic dla mnie,
Tylko o rozum i przebiegłe serce,
Abym zbawiła tych, co są w kajdanach!
O bądźcie zdrowi! nie troszczcie się o mnie —
Za mną jest każdy kwiat i każdy gołąb,
Co biały, jak ja, swą mię siostrą mniema.
I ten jest ze mną, co nad gołębiami
W nieba błękicie jeszcze wyżej lata:
A gdy mię nazbyt przyciśnie nieszczęście,
Gotów odebrać gołębiowi skrzydła,
I mnie dać skrzydła, bym od ludzi poszła.
Jeśli nie zbawię ojca, umrę młodą —
A wtenczas płaczcie wy biednej dziewczyny!
(Wychodzi).

Roza Weneda. Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy. —
Cóż wy myślicie, Harfiarze?

Harfiarze. Wszystko stracone!

Roza Weneda. Na jad węża, co w tej czarze
Karmi płomienie czerwone:
Zaklinam się wam, o starzy!
Że kości z pobojowiska
Wstaną i będą walczyć w takt pieśniom harfiarzy!

Harfiarze. Wstaną i zginą raz drugi. —
Roza Weneda. I trzeci raz jeszcze zginą,
I przejdą po nich zapomnienia pługi,
I stokrocie się rozwiną
Na krwawym umarłych stepie;
I cóż! — Czy płakać?!
Harfiarze. Słuchaj! tam wrony zaczynają krakać,
I wilcy gryzą śpiące na oszczepie
Ciała rycerzy.
Roza Weneda. Za trzy dni sto piorunów uderzy,
Tysiące się podniesie prawic;
Będzie okropna walka przy świetle błyskawic!
Żywi się pomięszają z umarłemi,
I nikt ich nie rozbroni.
Wy umarłych poznacie po zapachu ziemi,
Po ognistym śladzie koni;
Lecz ci, co oko w oko spojrzą, nie poznają.
Harfiarze. O cud! — Harfy nasze grają
Rycerski śpiew!
Roza Weneda. Te harfy uczuły krew,
I drżą.
Harfiarze. O, chodźmy, tą pieśnią, jak skrą,
Ożywić ludy po siołach.
Roza Weneda. Dębowe wieńce na czołach,
A w ręku harfy złociste;
W piersiach serca bursztynowe,
Jak słońca złote i czyste;
A w ustach pieśni grobowe,
Co budzą narodów lwy! —
To są harfiarze! to wy!
Harfiarze. Wlałaś nam ogień do łez — —
Roza Weneda. Ogień, nim we łzach ostygnie,
Dwanaście ludów podźwignie;
Za trzy dni wszystkiemu kres!
Walka i zgon!
Harfiarze. Nasze harfy tobie w ton
Odgrały smutnie.
Roza Weneda. Uciszcie wy rękami rozpłakane lutnie.
Brońcie, by między ludzi ta pieśń nie wybiegła;
Brońcie, by grobu dusza ludu nie spostrzegła —
Brońcie, by lud nad sobą nie usłyszał płaczu — —
Jeśli nie obronicie tego — potępieni!
Harfiarze. Więc za trzy dni noc płomieni? —
Roza Weneda. I noc okropności mściwa,
I wiek haraczu —
Pół rycerzy od piorunów zginie, pół od miecza.

Wódz dwie głowy mieć będzie! jedna człowiecza,
Drugą głowę trupią wódz mieć będzie.
Ja ostatnia zostanę żywa,
Ostatnia z czerwoną pochodnią!
I zakocham się w rycerzy popiołach,
I popioły mię zapłodnią,
A swatami będą dęby z płomieniem na czołach!
A łożem ślubnem będzie stos rycerzy.
Kto, konając, we mnie uwierzy,
Skona spokojny.
Ja go zemszczę lepiej od ognia i wojny,
Lepiej niż sto tysięcy wroga —
Lepiej od Boga!
Harfiarze. Idźmy! wróżkę szał porywa.
(Wychodzą).
Roza Weneda. O wróżka! wróżka ludu nieszczęśliwa!
Ona ma serce! — Lecz noc już — już ciemno!
Chodźmy umarłych palić. Duchy, ze mną! —
(Wychodzi).

Ze sceny III aktu I.

(Derwid wchodzi jako więzień z harfą w ręku. — Gryf).

522) Gwinona. Jeszcze mu z ręki harfy nie wydarto —
Wy się boicie wszyscy tego starca!
(Przystępuje do Derwida i chce mu harfę wyrwać. — Derwid podnosi harfę jakby ją chciał uderzyć).
Derwid. Precz!
Gwinona. O, widzicie! On mię chciał uderzyć.
Nie zabijajcie go! — ja z nim pomówię.
Człowieku! chcesz ty mię nauczyć czarów?
Słyszałam, że ty masz w tej harfie ducha,
Który zgaduje przyszłość — czy to prawda?
Derwid. Mam w tej harfie ducha, co zgaduje przyszłość.
Gwinona. Każ mu wystąpić, niechaj go zobaczę!
Derwid. Póki ja żyję, ten duch w harfie będzie!
Gwinona. A jak ty umrzesz?
Derwid. Do nieba uleci.
Gwinona. Ja mogę ciebie dziś pozbawić życia.
Ja tego ducha widzieć chcę! — Rycerze!
Przynieście jemu pić, niech się ożywi.
(Do Derwida).
Ty mi wywołasz z harfy tego ducha!
Inaczej — klnę cię na Hekatę i trzy
Starki, co w piekle krwawymi nożami

Nić przecinają ludzkiego żywota,
Że zginiesz!

Derwid. Nigdy! o nigdy! piekielna!
Ty nie usłyszysz pieśni niewolnika!
Nigdy ta ręka od łańcuchów sina
Strun się nie dotknie! Nigdy moje oczy
Łez nie wyleją! Póki te łzy moje
Mogą posłużyć wam na wywołanie
Z ust okrwawionych serdecznego śmiechu!
O nie! — Nigdy wy z króla niewolnika
Nie uczynicie służalca harfiarza.
Ta pieśń, co do krwi pędziła rycerze,
I w miecze kładła dusze nieśmiertelne,
I wściekliznę swą ducha ojczystego
Dawała mieczom ząb, co gryzł wam kości,
I truł wam rany, nie zabrzmi w niewoli!
Możecie wy tę harfę wziąć i rzucić
W ogień i ogrzać przy niej ręce wasze,
I wasze trupie twarze rozczerwienić!
Możecie spalić ją, ale nie zgwałcić! —
O spróbuj! — Połóż twe palce na strunach,
Czy wywołają z nich co więcej, niż dźwięk,
Śmieszący ludzi? — I ty myślisz, że ja,
Gdy na mem sercu położysz twe szpony,
Poddam się palcom targającym żyły,
I z mego jęku zrobię pieśń? — O, jędzo!
Ty myślisz, że ja, gdy dziś jeszcze z góry
Widziałem lud mój — co, jak jeden człowiek —
O nie, jak jeden trup, leżał na polu,
Myślisz, że takim okropnym widokiem
Rozhartowany będę i pokorny?
Spróbuj, czy ze mnie co więcej wyciśniesz
Nad krew! — co będzie przeciw tobie świadczyć
Przed memi ludy! — Nie, ja nie mam ludu! —
Lecz po narodach, już wymordowanych,
Jeszcze zostaje jakaś moc, przed którą
Ty musisz bladnąć i ciągle twe lica
Strupiałe nową krwią farbować musisz!
Weźże krew moją do twej gotowalni,
Czarna kobieto! i co dnia jagody
Czerwień krwią moją, aby cię mąż kochał!
I nie zobaczył, że masz krew zieloną!

Gwinona. Skończyłeś, starcze?

Derwid. Nie, jeszcze nie, jeszcze!
Ja czuję w sercu jakąś moc zabójczą,
Która mym słowom da moc zabijania,

I ciebie mi tu da za niewolnicę,
I z twego trupa mnie, pokonanemu,
Tron nowy zrobi! Stój tu! — ja ci łono
Osuszę, piersi napełnię popiołem,
W żywot nasypię gadzin. — O! gdybyś ty
Była kobietą — gorzej niż to wszystko,
Bobym ci oczy twe napełnił łzami,
Opowiadając ci moje nieszczęście!
Ale ty jesteś nie z tych, które płaczą!
Ciebie zabijać trzeba przekleństwami,
I piekło całe zakląć przeciw tobie,
Ażeby piekło całe było w tobie,

Gwinona. Ten starzec śmierci chce. — Wydrzeć mu oczy!

Derwid. Czekaj — niech jeszcze raz spojrzę na ciebie
Temi oczyma, co będą wydarte!

Gwinona. Precz z nim!

Derwid. Przez oczy moje wyłupione
Niechaj na ciebie patrzy Bóg!
(Żołnierze wyprowadzają Derwida).

523) Chór dwunastu Harfiarzy.
Oczy wydarto staremu królowi!
Pęka się córki bursztynowe serce,
A w naszą starą kość strach idzie mrowi.
Lecz nie lejemy łez, bo ci morderce
Gotowi ludom rzec: zwycięstwo nasze!
Zwątpił o sobie lud! Harfiarze płaczą!
Niech spojrzy w piersi wróg, niech patrzy w czasze —
Czasze nalane krwią, serca rozpaczą!
Z ust się wydziera krzyk o zemstę Boga.
Czekamy wszyscy, drżąc, na piorun z chmur —
A kiedy milczy niebo, śpiewa chór.
A kiedy śpiewa chór — drży serce wroga!

Z aktu III. Scena III.

(Pole przy lesie).

Lilla Weneda, Lelum i Polelum *(w łańcuchach)*.

Lilla Weneda.

524) Wolni jesteście. Niech Roza Weneda
Rozerwie wam te na rękach łańcuchy,
A ja do ojca idę niewolnika.
Za trzy dni ojca wam żywego wrócę —
Lelum, ja byłam twoją narzeczoną,
Dziś jestem smutnej śmierci narzeczoną!
I może więcej nigdy nie powrócę,
I może nigdy się nie zobaczymy:

Pamiętaj o mnie! o! pamiętaj o mnie!
Ja cię kochałam, jako siostra twoja —
Ja cię kochałam, jak wierna kochanka!
Dzisiaj cię kocham, jak ta, co ma umrzeć — —
Pamiętasz, jak my, dziećmi maleńkiemi,
Z obu stron ojca harfy uklęknieni,
Przez złote struny dawaliśmy sobie
Pocałowania? dziwiąc się, że każdy
Nasz pocałunek strun się kończył jękiem —
Była to dziwna losu przepowiednia!
Cóż teraz myślisz o tym harfy jęku?

Lelum. Jeżeli śmierci masz wczesnej przeczucie,
Chodź! przedśmiertelne weź pocałowanie!

Lilla Weneda. Harfa naszego ojca jest w niewoli,
A ja nie jestem jeszcze zaślubioną —
Ust moich ci dać nie mogę płonących.

Lelum. Więc rozpuść, Lillo, twoje złote włosy!
Schowaj się za nie, jako za strunami
Harfy ojcowskiej — niechaj przez warkocze
Twych koralowych ust dotknę ustami —

Lilla Weneda. O nie! jak prosty gołąb, ja się rzucę
Na wasze łono — kochajcie mię! bracia!
Bo mi na świecie źle, ciemno i smutno!
Lecz to zwyczajna powieść — bądźcie zdrowi!
Jeśli zapyta o mnie jakie echo,
Mówcie: umarła *(odchodzi)*.

Lelum. Bracie mój — słyszałeś!
Ona ma umrzeć? —

Polelum. Całe piekło we mnie!
Nie więcej czułem, gdy topór okropny
Kręciłem w ręku, przeciw ojca głowie,
Jak teraz, słysząc wasze szczebiotanie,
Dzieci niedoli! Nie martw się, za trzy dni
Wszyscy będziemy niczem.

Lelum. O Polelum!
Ty po mnie żywy zostaniesz.

Polelum. Po tobie?

Lelum. Dlatego ciebie tak nazwała wróżka.

Polelum. Ja zadam kłamstwo wróżbie — ja nie będę
Z waszymi groby żył w kraju niewoli!
Świadczę się tobą, słońce, jeśli kiedy
Ujrzysz mię żywym na brata kurhanie:
To natęż tak twe oczy, światła Boże,
Aż mi zapalisz włos na tej bezwstydnej
Głowie, co mogła wszystko, wszystkich przeżyć.
Próżno los wróży, że będę ostatnim,

Ostatnią będzie tu jaka kobieta,
Albo rzecz jaka żywa, jeszcze słabsza —
Monstrum, któremu Bóg nie dał w rozpaczy
Władzy skonania — to będzie ostatniem.
Słońce zapłoni się, jakby zhańbione,
Że nie ma komu świecić, tylko gadom,
I tym, co umrzeć, jak ludzie, nie śmieli.
Chodź wróżka powie nam, jak mamy skonać.
(Wychodzą).

Chór dwunastu harfiarzy.

525) O święta ziemio polska! arko ludu!
Jak zajrzeć tylko myślą, krew się lała.
W przeszłości słychać dźwięk tej harfy cudu,
Co wężom dała łzy i serca dała.
Słuchajcież wy! gdy ognie zaczną buchać,
Jeżeli harfy jęk przyleci zdala;
Będziecież wy, jak węże, stać i słuchać?
Będziecież wy, jak morska czekać fala,
Aż ścichnie pieśń i krew oziębnie znowu,
I znów się staną z was pełznące węże?
Aż rzucą was do mogilnego rowu,
Gdzie z zimnych, jak wy, serc hańba się lęże?
Już czas wam wstać i bić i truć oręże.

Ze sceny III aktu IV.

Gwinona, Lilla Weneda, Derwid, Lech.

Gwinona *(do wnoszących harfę)*.

526) Postawcie przy nim bliżej harfę złotą;
Niechaj się na niej oprze ręką drugą.
(Stawiają harfę przy Derwidzie, starzec jedną rękę na harfie, drugą kładzie na głowie córki).
Widzisz, ta harfa równa córce wzrostem —
A gdyś w niewoli był, obie zarówno
Płakały — obie jak córki — o! teraz
Wybierz pomiędzy płaczkami! Derwidzie!
I niech wybrana idzie z tobą w lasy,
A druga córka twoja, odrzucona,
Ze mną zostanie — i będzie zakładem.

Derwid. Córko! co ona mówi?

Lilla Weneda. Ojcze drogi!
Ta pani harfę ci oddaje złotą.

Derwid. Tę harfę?

Lilla Weneda. Ojcze, harfę.

Derwid. Już oddała?
To chodźmy, córko.

Lilla Weneda *(do Gwinony)*. Pani, ja powrócę
I będę twoją niewolnicą. — Ojcze!
Chodźmy już —
Gwinona. Harfę porzucasz, Derwidzie? —
Lilla Weneda. Nie mów tak głośno — jam cię zrozumiała.
Okropną jesteś — zlituj się nade mną.
Jeśli mię żywą chcesz mieć, to nie żądaj
Mieć porzuconą przez własnego ojca.
Serce mi pęknie i będziesz tu miała
Trupa, nie córkę! — O! bo w mojem sercu
Jest tyle złotych strun, jak na tej harfie —
Lecz wszystkie pękną odrazu z boleści,
Jednym wyrazem ojcowskim stargane —
I nad nim także litość miej i nad nim!
Proszę cię, sroga, miej i nad nim litość!
Gwinona. Będziesz li zawsze, jak mała ptaszyna,
Skrzydełkiem w oczy bić błyszczące węża?
Jeślim wyrzekła — to chcę. Kto mi wzbroni
Spróbować serca ojcowskiego? i tu
Usprawiedliwić siebie, żem je gryzła?
Wytłomacz ojcu sama, czego pragnę.
Lilla Weneda. O nielitośna! — Ojcze, ta królowa
Oddaje tobie tylko jedno dziecię.
Ty wybierz sobie dziecko, które śpiewa,
A zostaw dziecko, które tylko płacze —
Ja wiem, że ty mię kochasz, ojcze drogi,
Lecz nie wybieraj mnie, boś nieszczęśliwy —
Jeżeli zechcesz o nieszczęściu śpiewać,
To znajdziesz we mnie tylko echo płaczu,
A w harfie echo nieśmiertelne. Ojcze!
Wybierz, co kochasz, a to, co odrzucisz —
Kochaj — —
Derwid. Niebiosa! — Córko! gdzie ty jesteś? —
Ja kocham moją córkę. O! gołąbku!
Chodź i ślepego prowadź. Córko — prowadź
I wyjdźmy prędzej stąd. — Córko! a harfa?
Lilla Weneda. O! harfa skarży się, żeś ją opuścił — —
(Trąca o struny).
Derwid. Harfa się skarży na mnie?
Lilla Weneda. Ojcze! jęczy.
Derwid. Jęczy? — Gdzie moja harfa? — czy to mara,
Czy to duch mojej harfy rozpłakanej —
Stoi przede mną w promieniach? i skrzydła
Roztworzył, jakby z płaczącymi jęki
Już odlatywał do nieba! — Ha! —
(Lilla znów porusza struny) I znów —

Słyszycie! harfa jęknęła — słyszycie?
O! dajcie! niech ją obejmę w ramiona!
Dajcie! to córka królów rozpłakana — —
(Chwyta harfę, obejmuje i ucieka z nią)
Gdzie drzwi? — Rycerze! goście mię z mieczami!
O! ja tej harfy nie dam — — Harfy nie dam!
(Pada piersią na harfę).
Lilla Weneda. Widzicie! ręce pokrwawił na strunach.
Wstań, dobry ojcze! — O! patrzcie! o patrzcie!
Usta położył na strunach, całuje,
A te niedobre struny i niewdzięczne
Usta mu krwawią. — O struny! o struny!
Wy nie jesteście córkami. — Królowo!
Widzisz, mój ojciec wybrał; lecz jeżeli
Myślisz ty, pani, że ja teraz płaczę
Dlatego, że mię ojciec mój porzucił:
To bądź przeklęta za tę myśl! — To radość!
Wyrywa z oczu moich łzy! to radość!
Niechaj nikt ojca mojego nie sądzi.
Dzisiaj, karmiony starzec lilijami
Tak mię całował w usta i we włosy,
I do mnie tak się przytulał rozpacznie,
Jak się do harfy odzyskanej tuli.
A że ja płaczę, to tylko dlatego,
Że przypominam ojca pocałunki
W ciemnem więzieniu — i łzy moje głupie
Pytają same serca, czemu płacze?
Gwinona. Oderwać starca od harfy!
Lilla Weneda *(podnosząc ojca)*. Widzicie —
On już łagodny, jak baranek.
Gwinona. Starcze!
Syn mój najstarszy Lechon, syn mój drogi,
Jest niewolnikiem twoim — a ta harfa
W zakładzie, moją będzie niewolnicą,
Aż mi żywego wrócisz syna.
Derwid. Harfa?
Ja stąd bez harfy nie wyjdę.
Lilla Weneda. O pani!
Więc jeszcze raz się rzucę na kolana
I będę ciebie prosiła ze łzami —
Oddaj mu harfę, a mnie weź! Czy myślisz,
Że twego syna, jeśli jeszcze żywy,
Ten starzec nie da za córkę? O pozwól!
Niech tylko mego ojca odprowadzę!
On ślepy — tylko odprowadzę ojca,
A sama wrócę; a że ja powrócę,

To niech ci harfa ta będzie zakładem.
Ale przysięgnij, że za niewolnicę
Królewnę — harfę wypuścisz z niewoli:
A gdy przysięgniesz, to ja pewnie wrócę.
Bo cóż mi teraz życie! cóż mi życie!
O! ty wiesz sama, że ja pewnie wrócę.

Gwinona. Jakiż mi zakład z córki nie kochanej?

Lech. Na Boga! dosyć, Gwinono! już dosyć!
Ta córka warta dziesięciu Lechonów.
Przysięgam! jeśli z Lechonem powróci,
To weźmie harfę, Lechona i moje
Błogosławieństwo. Jeśli wróci sama —
To i tak za nią, przysięgam na bogi!
Oddasz kawałek płaczącego drzewa.

Gwinona. Słyszysz! jak mówi mój mąż, tak się stanie.

Lilla Weneda. Dzięki wam! dzięki! — Ojcze, dziś wieczorem
Harfę ci twoją postawię do grania.
Ty wiesz, ja dotąd nigdy nie skłamałam.
A teraz — o! królowie, do widzenia.
Przyjdzie po harfę Lilla niewolnica — —
Chodź, dobry ojcze!

Derwid. A harfa?

Lilla Weneda. Ta idzie
Za nami, ojcze! *(Do Lecha)* Szlachetny rycerzu!
W twojem więzieniu został smętny starzec,
Także niewinny. *(Odchodzi z ojcem).*

Lech. Ha! to ten czarownik! —
Sygonie! każ go wypuścić na wolność.
W ludziach anielstwa tyle, że nie można
Traktować jak psów — wypuścić go z wieży.
A teraz chodźmy stroić się do walki! *(Wychodzi).*

Ze sceny VI.

527) Roza Weneda.
Wczoraj kości warzyłam na polu —
Mózg gotował się w czaszkach człowieczych,
I wilgotna kość jęczała na ogniu.
Słuchająca wrzasku tych umarłych,
Pomazałam krwią zamknięte oczy —
I nagle — —
Widmo straszne wyszło z ognia do mnie,
I zawiodło mię na walkę duchów.
Słuchajcie!
Wódz dwie głowy miał: wtem jedna głowa
Oczy nagle, jako trup, zawarła —

Spadła na nią iskra piorunowa!
I ta głowa smętna, już umarła,
Jęła smutnie mówić z drugą żywą,
Aż skry zjadły, jak smolne łuczywo,
Rozpłakaną tułowu koronę!
I spojrzałam w drugą walki stronę,
Odwróciwszy się, jak od gasnącej głowni,
Od półmartwej osoby.
I tam stali ludzie w szyku, równi!
Równi, zimni, biali, jako groby —
Miecz je walił, gdy piorun był niemy;
Czasem walił piorun i miecz razem.
Wtem ktoś cicho wykrzyknął: «Giniemy»!
I tysięcy sześć nie tkniętych żelazem —
Sześć tysięcy bez ducha upadło —
Jakby je kto struł. — Nadeszłam z nożem —
Otworzyłam jeden tułów trupowy,
I znalazłam, że w nim serce zbladło,
I tak trzęsło się, jak liść olchowy:
Więc plunęłam temu sercu w usta — —
I rozcięłam drugą pierś dla ptaków,
Lecz znalazłam w niej kłębek robaków,
Zamiast serca. — I pierś trzecią rozdarłam,
I spojrzałam w nią lecz była pusta!
I nie było w niej serca! — Jak chusta,
Zbladłam we śnie i we śnie umarłam.
Widząc, że w niej serca nie było!

Harfiarz. Cóż to znaczy?

Roza Weneda. Nad naszą mogiłą
Wejdzie słońce, lecz nie mówcie ludowi.

(Dwunastu Wodzów wchodzi do groty. Wszyscy różnie ubrani. Jedni na hełmach mają tarcze, drudzy jelenie rogi; u innych tylko pióra pawie lub czaple. Pancerze z siatki lub z łuski. Miecze olbrzymie w rękach).

Roza Weneda. Oto wodze są. — Cóż, piorunowi?
Wiele ludu?

Wódz. Dwanaście tysięcy.

Roza Weneda. Pijcie z czaszek tych i bladej śmierci
Urągajcie się, pijąc! Niech wyje!

Wódz. Cóż ci mówiły wróżby?

Roza Weneda. Jeśli podczas walki
Ojciec mój z harfą złotą, na kamiennym tronie,
Zagra pieśń, ową straszną pieśń, od trzech pokoleń
Nie słyszaną — to przy nas zwycięstwo!

Wódz. Twój ojciec
I harfa jego złota w niewoli.

Roza Weneda. Bez wiary! —

Ojciec mój na tronie czarnym stoi,
Za swą harfą, jak za słońcem czerwonem.
Każdy harfy ton, jak rycerz w zbroi,
Na rumaku wybiega szalonym;
Jako rycerz-duch, głos każdy leci
I obala z rumakami rycerzy.
Ile strun, tyle wężów wybieży
Z harfy ojca, i oczyma zaświeci,
I skrzydłami ognistemi okręci
Wojsko Lecha.

Wódz. Gdzież wódz jest dwugłowy?
Roza Weneda. Nie wierzycie mi, ludzie przeklęci?
Rzućcie czary te w krąg Derwidowy.
W kręgu trupich głów wodza postawię.
Wódz. Nie uwierzym, aż ujrzym oczyma.
Roza Weneda. Ty, co nosisz złote piórko pawie,
Migocące od pierwszych błyskawic,
Odwal kamień, ten kamień olbrzyma.
Cóż? nie możesz? — Więc dwanaście prawic
Niech ten kamień odwali — choć ruszy — —
Wodze. Nie możemy.
Roza Weneda. Więc rękami go duszy
Ja podniosę — i niech idzie do piekła,
Wodze. Cudy! słowo zaklęte wyrzekła —
I ten kamień wstał!

(Roza Weneda wchodzi, odwaliwszy kamień, do podziemnego lochu i wy-prowadza Lelum i Polelum, przykutych za ręce łańcuchem do siebie.)

Roza Weneda. I wódz się zjawił.
Patrzcie! łańcuch, co ręce pokrwawił,
Z dwóch uczynił jednego człowieka.
Chodź tu między czaszki, wodzu blady,
Bo już piorun niespokojny szczeka.
Włożę wam zbroję.

(Kładzie na czoła braciom dwa hełmy i złączonych razem uzbraja, jak je-dnego rycerza. — Tarcza olbrzymia, na ręku Lelum zawieszona, obu bra-zakrywa, Polelum w prawą rękę, wolną od łańcucha, miecz bierze. — Roza Weneda, zawieszając tarczę, mówi do Lelum).

Ty będziesz bronił swego brata tarczą.
(Do Polelum).
Ty go zakryjesz miecza błyskawicą.
Biada, kto swego nie dopełni! biada!
Jesteście jednym rycerzem-mścicielem;
A gdy nie będzie was, to jęk żałosny
Przeleci wieki i zwiąże imiona.
Jęk jeden będzie po dwu zgonach waszych;
Po waszych sercach roztrzaskanych w piersi,

Jedna zostanie żałość w tej ojczyźnie,
Nie rozróżniona, jako w sercu matki — —
Krwi! krwi ofiarnej!
Polelum. Weź z mojego łona.
Roza Weneda. Tu krwi potrzeba obcej, z niewolnika.
. . . . . .
. . . . . .
(Ślaz wchodzi wprowadzony przez dwóch wenedyjskich rycerzy).
Cóż to za człowiek?
Ślaz. Ja tu dobrowolnie
Przychodzę, proszę wierzyć — dobrowolnie.
Roza Weneda. Lechitą jesteś?
Ślaz. O! gdyby nie respekt
Dla was, rycerze, i dla tej mocarki,
Wziąłbym pytanie za obelgę. Mówcie,
Że ja pies — dobrze; mówcie, że ja sowa —
Dobrze; mówcie, że bocian — doskonale! —
Lecz mówić, że ja Lechita! mnie? — w oczy? —
Gdybym nie mienił to być uchybieniem,
Plunąłbym w oczy temu, kto zapytał,
Czy ja Lechita! — Cóż to? czy mi z oczu
Patrzy gburostwo, pijaństwo, obżarstwo —
Siedm śmiertelnych grzechów, gust do wrzasku,
Do ukwaszonych ogórków, do herbów?
Zwyczaj przysięgać in «verba magistri» —
Owczarstwo? — Czy to wszystko mam na twarzy?
Jeśli tak, wodą mnie zlejcie gorącą —
Niechaj oblezie ze mnie pierwsza skóra.
. . . . . .

Scena ostatnia aktu V.

(Monument druidyczny. — Stos ułożony w miejscu, gdzie stał tron Derwida).

Roza Weneda *(sama)*.

528) Już lud wyrżnięty i ustaje burza,
Przed chwilą tu był król, ludzie, pochodnie —
Teraz dwanaście tych pustych kamieni —
I tak na wieki już! i tak na wieki!

(Wchodzi Polelum, niosąc na rękach ciało zabitego brata, jeszcze przykute do niego łańcuchem).

I cóż — nie mówisz nic do mnie — Polelum?
Polelum. O! patrz! zabity brat na piersiach mi śpi.
Roza Weneda. Czy rozciąć łańcuch między wami dwoma?
Polelum. Nie rusz łańcucha. — Gdzie stos dla umarłych?
Roza Weneda. Masz zgliszcze — burza zgasiła pochodnie.
Polelum. Poszukaj ognia.

Roza Weneda. Ogień dadzą chmury.
(Polelum wchodzi na stos z trupem brata).
Polelum. Jam gotów — pieśnią zawołaj piorunów.
O! śpij na piersiach moich, bracie blady!
Wszystko skłonione do snu na tym świecie. —
Wróżko! zawołaj piorunów — jam gotów
Roza Weneda. Podnieś do nieba rękę z ręką trupa.
Wołajcie oba gromów — łańcuchami. *(Wchodzi Lech).*
Lech. Stójcie, poganie! przynoszę wam życie!
(Wchodzi święty Gwalbert).
Święty Gwalbert. Stójcie poganie! — przynoszę wam wiarę!
Polelum. Życie i wiarę? — Boże! patrzaj z nieba
Na tych dwóch ludzi przed stosem Weneda
Konającego — patrzaj na tych ludzi
I pomyśl, jakim ty dajesz stworzeniom
Chwilę tryumfu i urągowiska!
I przyszli kiedy mój lud cały skonał!
I przyszli, kiedy mój brat już nie żyje —
I przyszli, kiedy niebo oświecone
Łunami stosów, gdzie się palą trupy!
I tu mi dają życie. O stworzenia!
Czuję nad wami w sercu wielką litość
I wielką wzgardę! O! nie pozwól, Boże!
Aby grobowiec mój był na tej ziemi,
Gdzie oni żyją! — Chmury! czarne chmury!
Co uciekacie z nad trupiego pola,
Ostatnie miecąc pioruny — o chmury!
Podnoszę do was tę rękę w łańcuchu,
Z tą drugą ręką mego brata trupa —
Obie te ręce i ten łańcuch proszą
O piorun jasny, litosny, ostatni —
Cóż! nie słuchacie! — Więc tą ręką trupią
I tym łańcuchem wyzywam do walki
Was! napełnione piorunami burze!
Aż prośbą, piorun wasz, nie wywołany —
Wydrę przekleństwem!
(Piorun bije w stos, drzewo zajmuje sie złotym płomieniem. Lelum i Polelum nikną w blasku. — Powoli nad gasnącym stosem ukazuje się postać Bogarodzicy).
Święty Gwalbert *(pokazując na zjawienie).* Ave nieśmiertelna!
Lech. Cudowne widmo w obręczu z płomyków!
Roza Weneda *(wchodząc na stos zagasły, grzebie w popiołach, znajduje łańcuch próżny, którym przykuci byli do siebie Lelum i Polelum i, rzucając go pod stopy Lecha, mówi:)*
Patrz, co zostało z twoich niewolników.

---

529) I) Beniowski (1841).

Z Pieśni I.

Za panowania Króla Stanisława
Mieszkał ubogi szlachcic na Podolu,
Wysoko potem go wyniosła sława;
Szczęścia miał mało w życiu, więcej bolu;
Albowiem była to epoka krwawa,
I kraj był cały na rumaku, w polu;
Łany, ogrody leżały odłogiem,
Zaraza stała u domu za progiem.

Maurycy Kaźmierz Zbigniew miał z ochrzczenia
Imiona; rodne nazwisko Beniowski.
Tajemniczą miał gwiazdę przeznaczenia,
Co go broniła, jako Częstochowski
Szkaplerz, od dżumy, głodu, od płomienia,
I od wszystkich plag — prócz śmierci i troski;
Bo w życiu swojem namartwił się bardzo,
A umarł, choć był z tych, co śmiercią gardzą.

Młodość miał bardzo piękną, niespokojną.
Ach! taką tylko młodość nazwać piękną,
Która zaburzy pierś jeszcze niezbrojną,
Od której nerwy w człowieku nie zmiękną,
Ale się staną niby harfą strojną
I, bite pieśnią zapału, nie pękną.
Przez całą młodość Pan Beniowski bujnie
Za trzech ludzi czuł — a więc żył potrójnie.

Wioseczkę małą miał ale dziedziczną,
Dwadzieścia miał lat — był u siebie panem.
Spraszał do domu szlachtę okoliczną,
Fortunka jego ciągle ciekła dzbanem.
Miał nadto proces i sprawę graniczną;
A prędzej sprawę wygrałby z szatanem,
Niż z ową psiarnią wtenczas palestrantów:
Słowem, że przyszło do długów i fantów.

Pozbył się naprzód klinów i futorów,
Potem i konie wyprzedał z uprzężą —
Nie znano wtenczas jeszcze w Polsce szorów,
O które żony dziś mężów ciemiężą —
Pozbył się potem swoich białozorów,
Regentowi dał charty — w rękę księżą
Ostatnie grosze dwa za ojca duszę
I na ornaty dwa ojca kontusze.

Z tych majątkowych ostatnich konwulsyi
Nie zyskał, jedno wyrok przeciw sobie;

Wyrok, w którym rzecz była o ekspulsyi.
Mało o to dbał (tracąc na chudobie,
Dzisiaj są ludzie młodzi stokroć czulsi),
Lecz Pan Beniowski rzekł: ja sam zarobię
Na drugą wioskę, *et si non mi noces*,
Fortuna — z wioską nabędę i proces.

I znowu mój syn będzie miał przyjemność
Z palestrą jadać i być Akteonem; [1])
I na przyjaciół wzdychać niewzajemność,
I stać, tak jak ja, pod ciemnym jesionem,
Który mój ojciec sadził... O! nikczemność!
Tu Pan Kazimierz jęknął harfy tonem
I na szumiący jesion łzawo spojrzał.
W tej chwili zyskał trochę — trochę dojrzał.

Trochę skorzystał w sobie, jako prawnik,
Trochę skorzystał, jak człowiek odarty,
Na którego sam Pan Sędzia, Zastawnik
I Regent — niby trzy głodne lamparty,
Lub jako muły, puszczone na trawnik,
Lub jak na duszę rozsierdzone czarty,
Wpadli, ogryźli, i na pocieszenie
Rzecz zostawili słodką — doświadczenie.

O! doświadczenie — ty jesteś pancerzem
Dla piersi, w której serce nie uderza;
Jesteś latarnią nad morskiem wybrzeżem,
Do której człowiek w dzień pochmurny zmierza;
O! doświadczenie — jesteś ciepłem pierzem
Dla samolubów; tyś gwiazdą rycerza,
Bawełną w uszach od ludzkiego jęku —
Dla mnie, śród ciemnej nocy — świecą w ręku.

Lecz Pan Beniowski liczył lat dwadzieścia,
O doświadczenie, jak o grosz złamany,
Nie dbał — wolałby mieć wioskę i teścia;
To jest ślubem być dozgonnym związany
Z Panną Anielą. — Tej sztuka niewieścia
Sprawiła, że był srodze zakochany,
Na gitarze grał i rym śpiewał włoski,
I wszystko dobrze szło dopóki wioski

Nie stracił... wtenczas po włosku *addio!*
Po polsku: pisuj do mnie na Berdyczów.
Okropne słowa! jeśli nie zabiją,
To serce schłoszczą tysiącami biczów.

---

[1]) To jest, będzie rozszarpany przez palestrę, jak Akteon przez własne psy, o czem mówi następna oktawa.

Panna Aniela, dziewczę z białą szyją,
Była z rodziny dostatniej A....wiczów...
Kochała wiernie — wierność była w modzie...
Lecz ojciec — ten stał, jak mur, na przeszkodzie.

Mimo to jednak Aniela, jak róże,
Co nad wysoki mur liściem wybiegną
Patrzeć na słońce — oczy miała duże,
Czarne — Jak róże, co się nad mur przegną
I, mimo czujne ogrodowe stróże,
Zerwaniu chłopiąt i dziewcząt ulegną,
A potem, gorzki los tych niewiniątek,
Więdnąć na włosach i sercach dziewcząteк;

Aniela — mimo ojcowskie czuwanie
Widywała się ze swoim Zbigniewem. —
Kronika milczy, czy to widywanie
Odbywało się pod jaworu drzewem,
W godzinę, kiedy słychać psów szczekanie,
Kiedy słowiki wywołują śpiewem
Księżyc z pod ziemi; — lecz pozwól Asindziej,
Że się nie mogli widywać gdzieindziej...

530) . . . . . .
. . . . . .

Każdy z nas miał kraj młodości, szczęśliwy,
Kraj, co się nigdy w myślach nie odmienia.
Ja sam, com widział Chrystusa oliwy,
Góry z marmuru i góry z płomienia,
Wolę — i sądzę najpiękniejszą z krajów,
Jedną maleńką wieś, pełną ruczajów.

Pełną łąk jasnych, gdzie kwitnie wilgotna
Konwalia, pełną sosen, kalin, jodeł;
Gdzie róża polna błyszczy się samotna,
Gdzie brzoza jasnych jest kochanką źródeł —
A zaś przyczyna temu jest istotna,
Że na tych bagnach, gdzie potrzeba szczudeł,
Jam wtenczas bujał na młodości piórach,
Jasny i chmurny — jako księżyc w chmurach.

O! Melancholio! Nimfo, skąd ty rodem?
Czyś ty chorobą jest epidemiczną?
Skąd przyszłaś do nas? Co ci jest powodem,
Że teraz nawet szlachtę okoliczną
Zarażasz? — Nimfo! za twoim przewodem
Ja sam wędrówkę już odbyłem śliczną!
I jestem dzisiaj — niech cię porwie trzysta! —
Nie Polak — ale istny Bajronista...

Trochę w tem wina jest mojej młodości,
Trochę — tych grobów, co się w Polsce mnożą,
Trochę — tej ciągłej w życiu samotności,
Trochę tych duchów ognistych, co trwożą,
Palcami grobów pokazując kości,
Które się na dzień sądny znów ułożą,
I będą chodzić, skrzypiąc, płacząc, jęcząc;
Aż wreszcie Pana Boga skruszą — dręcząc.

Prześliczna strofa! mógłbym zacząć od niej
Nowy poemat, jak Sąd ostateczny;
I przy Eumenid pokazać pochodni,
Jak jest grzech każdy dziwnie niebezpieczny;
Jak w jasnem niebie daleko jest chłodniej,
Niż w piekle, kędy płonie ogień wieczny;
Lecz wolę dzieło to rzucić na później,
Bo do porządku mnie wołają Woźni...

Ci Woźni są to krytycy — Kollego,
Byłżeś w Arkadyi tej, gdzie jezuici
Są barankami? — pasą się — i strzegą
Psów; i tem żyją, co ząb ich uchwyci
Na pięcie wieszcza. Kraina niczego;
Pełna wężowych ślin, pajęczych nici
I krwi zepsutej — Niebieska kraina!
Co za pieniądze Bab — truć nas zaczyna.

O! *Polsko!* jeśli ty masz zostać *młodą*
I taką jak ta być co dzisiaj żyje?!
I być ochrzczona tą przeklętą wodą,
Której pies nie chce, wąż nawet nie pije;
Jeśli masz, z twoją rycerską urodą,
Iść między ludy, jak wąż, co się wije;
Jeśli masz zrównać się z podstępnym Włochem;
Zostań, czem jesteś — ludzi wielkich prochem!

. . . . . .

531) Beniowski już był na kolanach; w dłonie
Wziął drżącą rączkę Anieli... Tu proszę
Włożyć mi wieniec Petrarki na skronie;
Bo na tem pieśń zakończę i ogłoszę
Po dawnych wieszczów umarłych koronie
Czas bezkrólewia; pobuntuję kosze,
Krytyków kupię z Grabowskim Prymasem [1]),
Reszta owczarzy moja. — A tymczasem,
Jako pretendent, na własne poparcie
Utworzę całe wojsko w drugiej pieśni.

[1]) Michał Grabowski uważany był wtedy za najznakomitszego krytyka literackiego, stąd zwie go poeta ironicznie Prymasem.

Epiczny zamiar wyjawię otwarcie,
Wyjdę z dzisiejszej estetycznej cieśni,
I skrzydeł mojej Muzy rozpostarcie
Tęczowym blaskiem was oślepi wcześniej,
Niż miałem zamiar. Suszę tylko głowę,
Jak w rzecz wprowadzić rzeczy nadzmysłowe.

Nie podobało się już w Balladynie [1]),
Że mój maleńki Skierka w bańce z mydła
Cicho po rzece kryształowej płynie;
Że bańka się od gazowego skrzydła
Babki konika rozbija i ginie;
Że, w grobie leżąc, Alina nie zbrzydła,
Lecz piękna, z dzbankiem na głowie, martwica
Jest, jak duch z woni malin i z księżyca.

Nie podobało się, że Grabiec spity
Jest wierzbą, że się Balladyna krwawi,
Że w całej sztuce tylko nie zabity
Sufler i Młoda Polska, co się bawi,
Jak każdy głupiec, plwając na sufity
Lub w studnię... która po sobie zostawi
Tyle, co bańka mydlana rozwalin,
A pewnie nie woń myrry — ani malin...

O! Boże! gdyby przez Metampsychozę
W Kozaka ciało wleść, albo w Mazura;
I ujrzeć, jaką popełniłem zgrozę
Pisząc — naprzykład — Anhellego. Chmura
Gwiazd, białych duchów, które lgną na łozę,
Jak szpaki Danta: rzecz taka ponura,
A taka mleczna i nie warta wzmianki —
Jak kwiat, posłany dla pierwszej kochanki.

Pewniebym takich nie napisał bredni,
Gdybym był zwiedził Sybir sam, realniej;
Gdyby mi braknął gorzki chleb powszedni,
Gdybym żył, jak ci ludzie borealni,
Troską i solą z łez gorących — biedni!
Tam nędzni — dla nas posępni, nadskalni,
Podobni Bogom, rozkutym z łańcuchów,
W powietrzu szarem, mglistem, pełnem duchów.

Pewniebym. — Lecz ta spowiedź jest za długa,
Dygresye — nudzą; więc — mój czytelniku

[1]) W tej i następnych oktawach poeta daje odprawę krytykom, którzy w «Młodej Polsce» i innych pismach ówczesnych, oceniali świeżo w latach: 1839 i 1840 ogłoszone jego utwory.

Spróbuj, czy ci się pieśń podoba druga,
Gdzie więcej nieco będzie gwaru, krzyku,
Kościół i wielka słoneczna framuga,
I na tęczowym Duch Święty promyku:
Także cokolwiek szlachty. Powieść taka,
Jak dawny, długi, lity pas Polaka.

Pieśń druga.

532) O! nie lękajcie się mojej goryczy!
Dalibóg! nie wiem sam, skąd mi się wzięła;
Długo po świecie, pielgrzym tajemniczy,
Chodziłem, farby zbierając do dzieła,
A teraz moja Muza strof nie liczy,
Lecz złe i dobre gwiazdy siać zaczęła;
Komu za kołnierz spadnie przez przypadek
Syryus, rzucony przez nią, lub Niedźwiadek.

Spali się — lecz ja nie winien. — Per Bacco!
Różnemi drogi mój poemat wiodę;
Jak Chochlik, często częstuję tabaką,
A gdy kichają, ja zaczynam Odę,
Naprzykład drugą piękną Odę taką,
Jak do młodości. Może serca młode
Pokochają mnie za to, żem jest śmiały,
Jak Roland, który w pół rozcinał skały.

I teraz chciałbym rozciąć — co? — dom jeden,
Podolski jeden dom rozciąć na dwoje;
I pokazać wam jaki szczery Eden!
Jak nieraz pełne aniołów pokoje!
Jak złoty, piękny, domów jest *syredeń!*
Ukraińskie to słóweczko, nie moje.
Wywołał je tu rym przez dźwięki bliźnie,
Nie miłość, którą mam ku Kozaczyźnie:

Chciałbym więc rozciąć jeden z dawnych dworów,
Które na górach stoją nad stawami.
Stawy — to tarcze, tęczowych kolorów,
Gdzie się łabędzie białe za gwiazdami
Gonią, podobne do srebrnych upiorów,
A na nie księżyc jasnemi oczami
Patrzy, na niebie jeden, przez topole,
A drugi taki złoty księżyc — w dole.

Atoli, wnętrze tych domów dopiero
Poetyczne jest — zwłaszcza jeśli miłość
Oświeci, wonną je napełni myrrą
I ścian drewnianych sprostuje pochyłość;

Podolanek są usta srebrną lirą,
Serca... Ta strofa ma pewną zawiłość
Której nie lubię, lecz ją skończyć muszę. —
Serca są takie, jak aniołów dusze.

Sam znałem jedną — lecz nie wspomnę o niej,
Bo się nadzwyczaj mój rym rozserdeczni.
Od serca mi jej wiało tyle woni
I tyle światła, że mi dziś słoneczniej —
Chociaż mi zegar teraz północ dzwoni —
Niż gdybym w Boga się patrzał najwieczniej.
Niech was bluźnierstwa nie rozpędza trwoga;
Ona umarła już. — Jest częścią Boga,

Duszą, światłością, wolą, jedną chwilą
Wieczności, wiedzą wszystkiego. — O! dosyć!
Niech resztę grobu cyprysy ochylą.
Różom najbielszym jej żałobę nosić,
Ją słońca drogi mlecznej nie omylą,
Zdziwiona blaskiem, będzie się podnosić
Jako harmonii lekkiej głos, bez końca,
Ze słońc, na wielkie słońca, i nad słońca.

A gdy się w drogi zatrzyma połowie,
Jak gołąb, puszczę za nią skrzydła hyże —
A tu mi ręce zawiążcie na głowie
I twarzą bladą połóżcie na lirze,
Jakbym, w alpejskim upadłszy parowie,
Spoczywał. — Miałem ja troski i krzyże —
Więcej niż śniło się wam, filozofom.
Lecz dajmy pokój tym myślom i strofom.

Dosyć o sercach strzaskanych, o świecie
Tu, ziemskim, i tam, nadsłonecznym; oba
Smętne są. — Światy wam utworzę trzecie,
Jeżeli się mój poemat podoba,
Znów drugi, wielki tom napiszę w lecie:
A te zostaną pieśni, jako próba,
Wcale nie według mego serca — ale
Ponieważ moje są; otwarcie chwalę.

Głupi! o sobie dobrze mów! wykrzyka
Ryszard w okropnym bardzo monologu,
Ujrzawszy siebie we śnie, jak krwawnika,
Oczerwienionym na piekielnym progu —
Szkoda, że w księdzu Kefalińskim znika
Szekspir; przyczyną jest trudność połogu
W stanie bezżennym — także to, że z księdza
Nie może nagle być Makbeta jędza.

O księżach dobrze mów! jest to przestroga,
Już nie Szekspira, na tym fundamencie
Moralność cała stoi. — Lecz na Boga!
Gdzie mój poemat? Moje przedsięwzięcie
Epiczne? Moja Aryostyczna droga? —
Widzę, że wszystko mi stoi na wstręcie,
Nawet pisania łatwość rzuca plamę —
Mówią, że w czterech dniach układam Drammę.

O! Boże! ileżbym stworzył romansów,
Gdybym chciał wszystkich d.....w być zabawą,
Wyspą dla grubych naszych Sanczo Pansów,
Na którejby się uczyli ze sławą
Syllabizować. Lecz z prozą alliansów
Nie chcę — do wiersza mam, jak sądzę, prawo.
Sam się rym do mnie miłośnie nagina,
Oktawa pieści, kocha mię sestyna.

Ktoś to powiedział, że, gdyby się słowa
Mogły stać nagle indywiduami;
Gdyby ojczyzną był język i mowa:
Posągby mój stał, stworzony głoskami,
Z napisem *patri patriae.* — Jest to nowa
Krytyka. — Stój! — ten posąg błyska skrami,
Spogląda z góry na wszystkie języki,
Lśni, jak mozajka, śpiewa, jak słowiki.

Otocz go lasem cyprysów, modrzewi,
On się rozjęczy, jak harfa Eola,
W róże się same, jak Dryada, wdrzewi,
Głosem wyleci za lasy, na pola,
I rozłabędzi wszystko, roześpiewi...
Jak smukła, pełna słowików topola,
Co, kiedy w nocy zacznie pieśń skrzydlatą,
Myślisz... że w niebo ulatujesz z chatą,

Że porwał cię głos, jasność księżycowa,
Serce rozkwitłe, rozlatane pieniem.
O! gdyby mogły się na posąg słowa
Złożyć i stanąć pod cyprysów cieniem,
Jak marmur, który duszę w sobie chowa
I zwolna złotym wylewa strumieniem;
A tak powoli leje i łagodnie,
Że po tysiącach lat, jak słońce wschodnie,

Stoi w nim cała, ogromna... . . . . .
. . . . . .

533) O! tam poezya gotowa — Romeo!
Pożycz mi twoich słów rozpromienionych.
Zresztą już Ursę mam z Kassyopeą,
Mam księżyc i mam dwoje serc pęknionych,
I Philomelę, co tak, jak J. B. O.[1])
Ów Londyńczyków słowik zapalonych,
Śpiewa, dla chcących spać arystokratów,
Tak, że go wszyscy dają do stu katów.

O! tam poezya. Gdyby tylko na to
Aby się żegnać, warto brać amanty.
Czuliście kiedy tę łzę lodowatą
Przy pożegnaniu, ciężką, jak brylanty?
Te słowa: «pójdę i skonam za kratą!»
Czyście słyszeli te słodkie kuranty,
Grane przez wszystkie pozytywki żywe,
A jednak — przysiągłbym, że nie fałszywe:

Czyście żegnali? klęczeli? włos rwali?
Tracili ducha? wymowę? kolory?
Pugilares z paszportem? i t. d.
Czy przysięgaliście, jako upiory,
Wrócić po śmierci, przy księżycu biali?
Łopotać w okno czarne skrzydłem zmory?
Kochankę swoją w noc poślubną napaść,
Unieść na koniu i w ziemię się zapaść?

Czy wam pozwolił potem los nie wrócić?
Zachować smutku wrażenie niestarte,
I całe życie się przeszłością smucić;
Odwiedzać morza, ludy, Egipt, Spartę,
A zawsze: «ona teraz musi nucić!
Teraz na księżyc oczy ma otwarte!» —
Ach, takem ja śnił — lecz na piramidzie,
Tfu! — odebrałem list, że zamąż idzie.

To mię cokolwiek zmieszało - nie bardzo —
Ale cokolwiek zmieszało, Bóg świadkiem! —
Są ludzie, którzy wtenczas klną i gardzą,
Lecz ja to smutnym nazywam wypadkiem.
Takich dwa: a me serce tak zatwardzą,
Że niezabudką już, ani bławatkiem

---

[1]) Józefat Bohdan Ostrowski, publicysta, literat, znany z działalności agitatorskiej w Warszawie podczas rewolucyi r. 1831, następnie na emigracyi. Wszedł on później do służby policyjnej (tajnej) francuskiej i przedstawiał w kłamliwych raportach działalność emigrantów, a między innymi Mickiewicza, jako przekupionego przez rząd rosyjski.

Nie da się nigdy wyprowadzić w pole,
Chyba mi posag położą na stole.

Ha, takem zgorzkniał, że nawet nie trącę
W tej pieśni smutnej lutni pożegnania.
Szeptali długo, jak wierzby płaczące,
Gołębi słychać tam było gruchania,
Łzy zimne usta zmywają gorące,
Słychać serc bicia, płacze, słowa łkania,
Już się rozeszli — rzecz skończona — Horor!
Miłość, przechodzi już w pamiątek kolor...

W kameleona, w serdeczną jaszczurkę,
W rzecz poetycznie piękną, w sen niebieski,
W muzę, Olimpa zamglonego córkę,
W poemat, smutny od deski do deski,
W mgłę, podnoszącą się z łez, w białą chmurkę
Na tle przeszłości, w gwiazdę, w arabeski
Tęczowe — chmurą obwiedzione złotą.
W dole: Raphaël pinxit, albo Giotto.

W galleryi siedzi dusza. — O! tęczowa
Kopuło myśli, tyś moim kościołem! —
Wymalowana, jasna, księżycowa
Nad srebrnym duszy wisząca aniołem;
Modlitwą w tobie są rozpaczy słowa,
Serce wygląda, jak urna z popiołem
W najtajemniejszej kaplicy stojąca —
Tak jesteś, gdy cię żaden wiatr nie trąca. —

Lecz kiedy burza zawieje i zruszy
Z filarów ciebie, kopuło tęczowa,
Pękasz, jak niebo nad Aniołem duszy;
Próżno się broni w błyskawicach głowa,
Cały gmach na nią upada i kruszy
I ją i serce, które, biedna, chowa,
Jak smętny łabędź pod skrzydły białemi.
Pękło — popioły rozwiał wiatr po ziemi.

Skończona wielka tragedya powagi
I ciszy greckiej; reszta — wiatru wyciem,
Myśl zabłysnęła nagle, jak miecz nagi,
Marzenia stają się czynem i życiem;
Czyny się stają piorunem odwagi —
Rozbiły kościół! — Pod jego rozbiciem
I serce pękło i burza przewyła...
Z wszystkiego patrzcie co? — krzyż i mogiła. —

Z pieśni III.

534) . . . . . .
. . . . . .
O to bynajmniej nie dbam i nie stoję,
Aby wiedziano, czy moja Dziewica
Muza kochała się realnie. Roję,
Śnię, tworzę; harfy używam lub bicza,
I to jest moja poetyczna droga —
Lecz z mego życia poemat — dla Boga.

On wie, On wiedział, nad jakiemi chmury
Stawałem bez łez i pieśni, z myślami
Aniołów, w przepaść lecących — te chóry
On słyszał, gdyśmy byli z Bogiem sami.
Nie zawiodły Go te królewskie purpury,
W które ja się tu, jak przed sztyletami
Cezar, obwijam, gdy mię w serce rażą,
Ażeby umrzeć z niewidzianą twarzą.

Bóg sam wie tylko, jak mi było trudno
Do tego życia, co mi dał, przywyknąć;
Iść co dnia drogą rozpaczy odludną,
Co dnia uczucia rozrzucać, czuć, niknąć;
Co dnia, krainę mar rzuciwszy cudną,
Powracać między gady i nie syknąć;
Co dnia myśl jedną rozpaczy zaczynać,
Tą myślą modlić się — i nie przeklinać;

On, i pustyni gwiazdy lazurowe,
I zachodzące nad morzami słońce,
I jedno serce ludzkie. — Lecz to nowe
Głosy dla mojej lutni — te cierpiące:
Milcz, serce! Albo się strzaskaj, echowe
Narzędzie pieśni, bolu, wiecznie drżące
I obłąkane, nie zaspokojone. —
Uderzam ciebie w złości — Milcz, szalone! —

535) Pryncypia! O! pryncypia! jakbym chętnie
Powiedział prosto dziś, co o was myślę!
Gdyby mi teraz w serca mego tętnie
Nie brzmiała inna struna — Więc przekryślę
Te strofy. — Dusza mi zagrała smętnie,
Śmiechu na ustach nie mam, ni w myśle.
Wszystko prowadzi dziwnie Boża ręka,
Tak dziwnie! — że mi serce wre i pęka.

Więc, polityczne moje Falanstery
Bądźcie mi zdrowe! — I wy, co bez głowy

Upadli z pańskiej, jak z niebieskiej sfery,
W arystokratów gracie: smętne sowy!
Co w grze myślicie bić, jako kozery
Asa, choć będzie z sercem i laurowy:
Was także żegnam, bez miecza rycerze,
A choć mi serce pęka śmiech mię bierze.

Żeby też jedna pierś była zrobiona
Nie podług miary krawca, lecz Fidyasza!
Żeby też jedna pierś, jak pierś Memmona!
Żeby też jedna! — Ha... to mię przestrasza.
Kościuszko przeczuł was, krzycząc: *skończona!*
Z krzyża swojego krzyknął tak a wasza
Pierś to pojęła, z tą myślą umiera.
Chociaż mi serce pęka śmiech mię zbiera.

Co będzie z wami prosto wam nie powiem,
Nie jestem, jako wieszcz wszystko wiedzący.
Krwią do was piłem, moim duchem, zdrowiem;
A teraz ciskam serce, puhar lśniący,
Słyszycie? Pękło. — Teraz mi wezgłowiem
Jedno kobiece serce[1]), jestem śpiący:
Omdlały jestem, ogniem owionięty,
Piekielne rzeczy rzucający, święty.

Niech się komedya gra Może mi przyjdzie
Grać inną: wtenczas was wszystkich przerażę.
Ległem, jak czarny Sfinks, przy piramidzie
Z grobów ojczystych. — Patrzą blade twarze —
Może wieszcz, zechcę jeszcze w jasnowidzie
Rzec co ciemnego? Może wam pokażę
Pełne piorunów usta, piersi, trzewa: —
Może zamilknę, jak lew, co poziewa,

Patrząc na małość zielonego węża,
I zasnę zasnę ha! — lecz przebudzenie? —
Niech los i serca szaleństwo zwycięża!
Z mózgu mojego mieliście jedzenie,
Lecz serce moje się, jak łuk, wypręża,
Zrzuca was, głodne sępów pokolenie.
Ugolin odbył piekło... Ognia fale!
Wyrwijcie resztę sępom — Precz! szakale

Kto inny teraz jest nade mną, nie wy,
Na których patrzał ja, Akteon blady.

[1]) Odnosi się to do pani Bobrowej, która poecie, jako przyjaciel[illegible] drogiego jej Zygmunta Krasińskiego, okazywała wiele życzliwości, budząc tem w jego wyobraźni przelotne zresztą rojenia miłosne.

Między ciemnemi położył się drzewy.
Słowiki będą moimi sąsiady,
Księżyc, jako mój srebrny Anioł lewy,
Ona, jak złoty mój duch dobrej rady,
Odgoni czarne Cherubinów stada,
Mówiąc do nieszczęść tak — jak Anioł gada.

Przez litość tylko nade mną siostrzaną,
Przez błękit tylko swojej własnej duszy,
Przez gwiazdę swego losu obłąkaną,
Przez moc, co serca wskrzesza albo kruszy;
Przez to, że hymny we mnie zmartwychwstaną,
Jeżeli ona mnie, jak harfę, ruszy:
Będę zbawiony! dumny, bezpokutny. —
Ale to wszystko sen — i może smutny!

Z pieśni IV.

We wnętrzu wypróchniałego, olbrzymiego dębu chwilowo schronili się: ksiądz Marek, goniona przez żołnierzy urocza Swentyna, zakochany w niej Sawa i, sprowadzony przez gołębie Swentyny, Beniowski.

536) Już więc Ksiądz Marek (tu mnie nie dościgną
Ixy[1]) Warszawskie) kochanków zaślubił,
I nim oboje w małżeństwie ostygną
Przypieczętować chciał — już tak naczubił,
Już... już — W tem szable mu po oczach migną!
Ksiądz wstał — szczęk wielki był — pieczątkę zgubił,
Ujrzał na ścianach boju stereotyp,
Bowiem dąb w środku był jak dagerrotyp.

Co się im działo zewnątrz, to się w łonie
Suchego dębu odbiło tęczowie.
Był bój, naprzeciw siebie szły dwa konie,
A na koniach szli dwaj bohaterowie,
Nad głową niosąc podniesione bronie,
Szablice; każda jako sierp na głowie.
Teraz ksiądz poznał, że ci wojownicy
Byli to, z Panem Sawą, Pan Maurycy[2])

Poznawszy, w duchu rzekł: nie pójdę godzić,
Niechajże sobie trochę krwi utoczą,

[1]) Grono miłośników teatru i literatury w Warszawie, w latach od 1814 do 1819, dla podniesien iasceny i smaku publiczności, ogłaszało oceny wybitniejszych utworów, głównie przekładów czy naśladowań tragedyi francuskich, podznaczając te recenzye literą X. (Por. tom II, str. 137—173).

[2]) Powodem tego niespodziewanego pojedynku była miniatura panny Aneli, dostrzeżona przez Beniowskiego u Sawy, któremu ją dał, dla chwilowego przechowania, ksiądz Marek, by doręczyć następnie temu, dla którego była przeznaczona.

To może nadto gorących ochłodzić,
Potem z rozwagą większą w ogień skoczą...
Tak mówiąc, patrzał: jak, chcąc sobie szkodzić,
Na ścianach tęczę tworzyli uroczą.
Światłość ich obu owionęła krwawa;
W ogniu, na białym koniu, migał Sawa.

Spotkali się raz, złożyli nad głową,
I znów ich konie rozniosły szalone;
Za drugim razem, tnąc sztuką krzyżową,
Beniowski, zgrabnie skoczywszy na stronę,
Dał szacht tak płytki, koniowi nad głową,
Że mu z przyciętych uszu, dwie czerwone
Trysły fontanny; — jak rubin, się żarzą —
W biegu nadjechał na nie Sawa twarzą.

Więc się na białym wydawał rumaku,
Mając zalane oczy krwi wytryskiem,
Jakby Delfina miał w złotym czapraku
Pod siodłem, który krew wyrzucał pyskiem.
Nie dając jednak najmniejszego znaku,
Że był zmieszany tym ostrym dogryzkiem,
Obróciwszy się koniowi do grzbietu,
Strząsł krew i z olster dobył pistoletu.

Straszny był wtenczas. — We krwi, co go broczy,
Spokojną miał twarz i spokojnie mierzył
Do bohatera pieśni, między oczy: —
I gdyby krzemień był spadł i uderzył
W dekę... co skrami pryskając odskoczy —
Pewnieby więcej mój bohater nie żył.
Bo sam wyznawał, że w szturmaku onym
Widział przybitą kulę czemś czerwonym.

Więc pewnieby ją był duszy oczyma,
Jak mówi Hamlet, w czaszce swej zobaczył:
Gdyby nie dziwne, a dla piso-ryma
Miłe zdarzenie. — Bóg zachować raczył
Człowieka, a ja zeń zrobię olbrzyma;
Byle mi tylko czytelnik przebaczył
Że, empirycznie minąwszy przyczynę,
Wdałem się w skutek rzeczy, w rąbaninę.

Lecz wpadłszy, muszę kończyć. Więc Pan Sawa
Lewe przymrużył oko i wycelił,
A zaś powszechnie o nim niosła sława,
Że nawet pannom, gdy sobie podchmielił
Wystrzelał korki. — Była to zabawa,
Którejbym wcale z innemi nie dzielił,

Gdybym był panną, gdzieś w szlacheckich dworkach
Pod owe czasy i chodził na korkach.

Wycelił już więc prosto, w same czoło,
I palec już giął — gdy nagle... o! dziwy!
Jakoby Irys, co rzuciwszy koło
Z tęczy, zlatuje na zamglone niwy:
Lekko, jak Anioł, jak ptaszek, wesoło,
Dzieweczka z dębu dała skok straszliwy,
Skok na dwa łokcie od ziemi wysoki,
W poezyi mówiąc, skok aż pod obłoki.

Z obłoków spadła, na ów koń ze śniegu,
Na którym siedział Pan Sawa złowrogi;
Nim się obejrzał, już na siodła brzegu
Stojąca za nim, jak Olimpu Bogi,
Prosta i naprzód podana do biegu,
Chwyciła za lejc — i, na tylne nogi
Podniósłszy konia z rycerzem do góry,
Tem pomieszała go — że strzelił w chmury.

I, nie czekając aż poprawi strzału,
Lejcem i głosem zagrzawszy rumaka,
Rzuciła w galop taki pełen szału,
Że galop konia był, jako lot ptaka.
A ta dzieweczka, by duch ideału,
Stojąc nóżkami na końcu czapraka,
Resztą się ciała — strach przechodzi mrowi! —
Oddała całkiem unieść błękitowi.

I błękit ją wziął tak zrównoważoną,
Z rozciągniętemi, jako ptak, rączęty.
Z włosów, co były na głowie koroną,
Naprzód się złoty zrobił wąż, zwinięty
W kłęby, i leciał wraz za tą szaloną,
W połyskujące ją chcąc winąć skręty.
I różne kwiaty wyrzucał ze skrętów,
Które goniły ją mgłą dyjamentów.

Za włosem i za kwiatami i za nią
Pędziły równym dwa gołębie lotem. —
Nie widzę więcej, jary się tumanią,
Dymnej kurzawy przesłonięte złotem;
W kurzawie rycerz znika z moją panią...
Jeszcze raz galop konia runął z grzmotem,
Jeszcze raz jeździec, na wierzchołku góry,
Jak z ametystu, z płomienia i z chmury.

Beniowski jedzie do Krymu z listami do Khana.

537)

I wraz obrócił konia na południe
Ku wschodzącemu wtenczas miesiącowi...
Jechał i marzył o przyszłości cudnie.
A któż sny takie młodości wypowie?
Choć aniołami te strofy zaludnię,
Choć z ziemi stworzę kraj, podobny snowi:
Nie dosyć będzie, przez gościniec z ostów,
Kwiatów z różanych gwiazd i z tęczy mostów.

Austerye chyba z szkła i z dyamentu
Zbuduję — w karczmach posadzę Dyanny.
Łódź życia jest, jak złota łódź Sorrentu,
Co, siekąc kryształ przeźroczysty, szklanny,
Ogień dobywa błękitny z odmętu
I z wioseł ogień leje nieustanny
I, tak jak łabędź ognisty, przelata,
Pierś mając w ogniu i ogniem skrzydlata.

Młodości! każ się tej łabędziej marze
Z ognia i złota unosić po świecie.
Niech szumi wino w twej Platońskiej czarze,
Na głowie niechaj będzie wonne kwiecie;
A blizko — ślubów wysokich ołtarze,
Gdzie Saturnowy wąż się z ogniów plecie:
Tam ślubuj przyszłość... Muza mdleć zaczyna —
Dajcie mi bursztyn i róże i wina!

Kłębami dymu niechaj się otoczę;
Niech o młodości pomarzę pół senny.
Czuję, jak pachną kochanki warkocze,
Widzę, jaki ma w oczach blask promienny;
Czuję znów smutki tęskne i prorocze,
Wtóruje mi znów, szumiąc, liść jesienny.
Napróżno serce truciznami poim!...
Kochanko pierwszych dni! — znów jestem twoim.

Patrzaj! powracam bez serca i sławy,
Jak obłąkany ptak, i u nóg leżę.
O! nie lękaj się ty, że łabędź krwawy
I ma na piersiach rubinowe pierze.
Jam czysty! — głos mój śród wichru i wrzawy
Słyszałaś... w równej zawsze strojny mierze...
U ciebie jednej on się łez spodziewał,
Ty wiesz, jak muszę cierpieć — abym śpiewał.

Idź nad strumienie, gdzie wianki koralów
Na twoje włosy kładła jarzębina;

Tam siądź i słuchaj tego wichru żalów,
Które daleka odnosi kraina;
I w pieśń się patrzaj tę — co jest z opalów,
A więcej kocha ludzi, niż przeklina.
I pomyśl, czy ja duszę mam powszedną?
Ja — co, przebiegłszy świat — kochałem jedną.

Twój czar nade mną trwa. — O! ileż razy
Na skałach i nad morzami bez końca,
W oczach twój obraz, w uszach twe wyrazy,
A miłość twoją miałem nakształt słońca
W pamięci mojej. — Anioł twój bez skazy
Na moich piersiach spał — a łza gorąca
Nigdy mu jasnych skrzydeł nie splamiła:
Twa dusza znała to — i przychodziła.

W gajach, gdzie księżyc przez drzewa oliwne
Przegląda blado, jak słońce sumienia,
Chodziłem z tobą, jak dwie mary dziwne,
Jedna z marmuru, a druga z promienia;
Skrzydła nam wiatru nie były przeciwne
I nie ruszały włosów i odzienia.
Między kolumny na niebie się kryśląc,
Staliśmy, jak dwa sny — oboje — myśląc.

Z taką więc ciszą i z taką powagą
Wejdziemy kiedyś w Elizejskie bory.
My, cośmy ziemię tę widzieli nagą,
Przez piękne niegdyś widzianą kolory.
Cośmy poznali, że nie jest odwagą
Rozpacznym czynem skończyć żywot chory;
Lecz uleczeni przez trucizn użycie,
Sercu zadawszy śmierć — znaleźli życie.

Pierwszy to i raz ostatni, o! miła,
Mówię do ciebie. Jest to błyskawica,
Która ci chmurę posępną odkryła,
I boleść wyszła z niej, jak nawałnica;
W twoim ogrodzie pustym będzie wyła,
Gdy księżyc pełny, jak srebrna różyca
Gmachów gotyckich, biały blask rozleje,
W te — gdzieśmy niegdyś chodzili — aleje.

Bądź zdrowa — odejść nie mogę, choć słyszę
Wołające mnie duchy w inną stronę,
Wiatr mną, jak ciemnym cyprysem, kołysze
I z czoła mego podnosi zasłonę,
Z czoła, gdzie anioł jakiś skrami pisze
Wyrok, łamiący mnie między stracone...

Ja czekam, krusząc wyroki okrutne...
Twe oczy patrzą na mnie — takie smutne! —

Bądź zdrowa! drugi raz cud się powtórzy —
Martwy, odemknę ci w grobie ramiona,
Kiedy ty przyjdziesz, do zbielałej róży
Podobna, zasnąć. — Dosyć! Pieśń skończona!
Oko się moje senne łzami mruży,
Róże uwiędły — czara wychylona,
I pieśń gdzieś leci ode mnie echowa...
Już pożegnałem cię — jeszcze bądź zdrowa!

Z pieśni V.

538) Tu trzeba śpiewać, a ja baśni plotę,
Bo, kiedy grzebię w ojczyzny popiołach,
A potem ręce znów na harfie kładnę,
Wstają mi z grobu mary, takie ładne!

Takie przejrzyste! świeże! żywe! młode!
Że po nich płakać nie umiałbym szczerze:
Lecz z niemi taniec po dolinach wiodę,
A każda, co chce, z mego serca bierze,
Sonet, tragedyę, legendę lub odę...
To wszystko, co mam, co kocham, w co wierzę.
W co wierzę... Ty mię spytasz czytelniku:
W co?... Jeśli powiem — będzie wiele krzyku.

A naprzód ten rym, co drwi, lub przeklina,
Ma polityczne *credo;* jest to sfera
Dantejska. Wierzę, sercem poganina,
W rym Szekspirowski, w Danta i w Homera.
Wierzę w respublik jedynaka syna,
Mochnacki nim był u nas, ten kostera!
Co, wielkich marzeń nie przestając snować,
Przez Dyktatora dał się ukrzyżować.

Wierzę, że powstał w człowieczej postaci,
I szedł na wielki sąd, co kraj rozwidni;
Po drodze wstąpił do Arystokracyi
I w tem bez ognia piekle bawił trzy dni;
Potem w książeczce sądził swoich braci,
Tych, co są prawi, i tych, co bezwstydni.
Weń uwierzywszy, z dwóch tomów zaczętych,
W emigracyjnych wierzę wszystkich świętych,

I w obcowanie ich ducha z narodem,
I w odpuszczenie naszym wodzom grzesznym,

I w zmartwychwstanie Sejmu, pod Herodem
Obieranego, co jest bardzo śmiesznem
Ciałem i będzie najlepszym dowodem
Ciał zmartwychwstania, fenomenem wskrzesznym.
Na końcu dodam, o przyszłość bezpieczny,
Że w tego Sejmu wierzę żywot wieczny.

Amen... To *amen* krztusi mię i dławi,
Jak Makbetowe *amen.* — Jednak wierzę,
Że ludy płyną, jak łańcuch żórawi
W postęp... że z kości rodzą się rycerze,
Że nie śpi tyran, gdy łoże okrwawi,
I z gniazd najmłodsze orlęta wybierze;
Że ogień z nim śpi i węże i trwoga...
Wierzę w to wszystko — ha! — a jeszcze w Boga.

Boże! kto ciebie nie czuł w Ukrainy
Błękitnych polach, gdzie tak smutno duszy,
Kiedy przeleci przez wszystkie równiny
Z hymnem wiatrzanym, gdy skrzydłami ruszy
Proch zakrwawionej przez Tatarów gliny,
W popiołach złote słońce zawieruszy,
Zamgli, sczerwieni i w niebie zatrzyma,
Jak czarną tarczę z krwawemi oczyma...

Kto cię nie widział nigdy, wielki Boże!
Na wielkim stepie, przy słońcu nieżywem,
Gdy wszystkich krzyżów mogilne podnoże
Wydaje się krwią i płomieniem krzywym,
A gdzieś daleko grzmi burzanów morze,
Mogiły głosem wołają straszliwym,
Szarańcza tęcze kirowe rozwinie,
Girlanda mogił gdzieś idzie, i ginie —

Kto ciebie nie czuł w natury przestrachu,
Na wielkim stepie albo na Golgocie,
Ani śród kolumn, które zamiast dachu
Mają nad sobą miesiąc i gwiazd krocie,
Ani też, w uczuć młodości zapachu,
Uczuł, że jesteś; ani, rwąc stokrocie,
Znalazł w stokrociach i niezapominkach;
A szuka w modłach i dobrych uczynkach: —

Znajdzie — ją sądzę, że znajdzie — i życzę
Ludziom małego serca, kornej wiary,
Spokojnej śmierci. — Jehowy oblicze
Błyskawicowe jest, ogromnej miary!
Gdy warstwy ziemi otwartej przeliczę
I widzę koście, co, jako sztandary

Wojsk zatraconych, pod górnymi grzbiety
Leżą — i świadczą o Bogu — szkielety,

Widzę: że nie jest on tylko robaków
Bogiem i tego stworzenia, co pełza.
On lubi huczny lot olbrzymich ptaków,
A rozhukanych koni on nie kiełza...
On piórem z ognia jest dumnych szyszaków...
Wielki czyn często go ubłaga, nie łza,
Próżno stracona przed kościoła progiem:
Przed nim upadam na twarz — On jest Bogiem!

Gdzież więc ten człowiek, który jest zwiastunem
Pokory? co się Bogiem ze mną mierzył?
Ja go chcę jeszcze, w głowę tnę piorunem,
Tak jakem wczora go w piersi uderzył.
Czy widzieliście? i on ma piołunem
Zaprawne usta... Lud, co w niego wierzył,
Radość udaje, ale głowy zwiesił,
Bo wie, żem skinął Ja — i wieszcza wskrzesił.

Jam zwolna serca mego rwał kawały,
Zamieniał w piorun i w twarz jemu ciskał:
A wszystkie tak grzmią jeszcze, jako skały,
Jakbym ja w niebie na sztuki rozpryskał
Boga, a teraz kawałki spadały...
Jam zbił — lecz cóżem dziś u ludzi zyskał?
Za błękitami był bój i zwycięstwo —
Ludzie nie widzą we mnie, tylko męstwo.

Zaprawdę... Gdybyś mię widział, narodzie!
Jak ja samotny byłem i ponury,
Wiedząc, że, jeśli mój grom nie przebodzie,
Litwin z Litwinem mię chwycą w pazury.
Już, przypomniawszy gniazdo me na wschodzie,
Wołałem ręką Krzemienieckiej góry,
Ażeby weszła rozpędzić tę ciemną
Zgraję — i stanąć za mną — lub pode mną.

Bo się kruszyło we mnie serce smętne,
Że ja nikogo nie mam ze szlachetnych;
I próżno słowa wyrzucam namiętne,
Pełne łez i krwi i błyskawic świetnych,
Na serca, które zawsze dla mnie wstrętne —
Ja, co mam także kraj, łąk pełen kwietnych;
Ojczyznę, która krwią i mlekiem płynna,
A która także mnie kochać powinna.

Jeśli wy bez serc! Wy! — To moje serce
Za was czuć będzie, przebaczać bez miary.

Ikwo! Płyń przez łąk zielonych kobierce!
Ty także sławna, że fal twoich gwary
Jakoby z Niemnem w olbrzymiej rozterce
Gadają — Tyś zmusiła Niemen stary
Wyznać, żem wielki, że w sławę płyniemy...
Lecz rzekł: Niech idzie tam, gdzie my idziemy.

Ha! ha! Mój wieszczu! Gdzież to wy idziecie?
Jaka wam świeci! gdzie? portowa wieża?
Lub w Sławiańszczyźnie bez echa toniecie,
Lub na koronę potrójną Papieża
Piorunem myśli podniesione śmiecie
Gnacie. — Znam wasze porty i wybrzeża!
Nie pójdę z wami, waszą drogą kłamną —
Pójdę gdzieindziej! i Lud pójdzie za mną!

Gdy zechce kochać — ja mu dam łabędzie
Głosy, ażeby miłość swoją śpiewał;
Kiedy klnąć zechce — przeze mnie klnąć będzie;
Gdy zechce płonąć — ja będę rozgrzewał;
Ja go powiodę, gdzie Bóg — w bezmiar — wszędzie.
W me imię będzie krew i łzy wylewał.
Moja chorągiew go nigdy nie zdradzi,
W dzień, jako słońce, w noc, jak żar, prowadzi.

Ha! ha! odkryłeś mi się, mój rycerzu?
Więc teraz z mieczem pod ciebie przypadam!
Naprzód ci słońce pokażę w puklerzu,
Przed słońcem ciebie z trwogi wyspowiadam...
Fałsz ci pokażę w ostatnim pacierzu
I pokazanym fałszem śmierć ci zadam;
Patrząc na twoją twarz zieloną w nocy,
Jak księżyc — słońca wyrzekłeś się mocy?

Jam ci powiedział, że, jak Bóg Litewski,
Z ciemnego sosen wstałeś uroczyska;
A w ręku twem krzyż, jak miesiąc niebieski,
A w ustach słowo, co, jak piorun, błyska
Tak mówiąc — ja, syn pieśni! syn królewski!
Padłem — A tyś już następował z blizka,
I nogą twoją, jak na trupie, stawał?
Wstałem — Jam tylko strach i śmierć — udawał!

Znajdziesz mnie zawsze przed twojem obliczem,
Nie powalonym, hardym i straszliwym...
Nie jestem tobą — ty nie jesteś Zniczem.
Lecz choćbyś Bogiem był — ja jestem żywym!
Gotów wężowym bałwan smagać biczem,
Dopóki świat ten pędzisz biegiem krzywym...

Kocham Lud więcej, niż umarłych kości...
Kocham... lecz jestem bez łez, bez litości

Dla zwyciężonych. — Taka moja zbroja;
I takie moich myśli czarnoksięstwo;
Choć mi się oprzesz dzisiaj? — przyszłość moja! —
I moje będzie za grobem zwycięstwo!...
Legnie przede mną twych poetów Troja,
Twe Hektorowe jej nie zbawi męstwo.
Bóg mi obronę przyszłości poruczył; —
Zabiję — trupa twego będę włóczył! —

A sąd zostawię wiekom. — Bądź zdrów, wieszczu!
Tobą się kończy ta pieśń, dawny Boże,
Obmyłem twój laur w słów ognistych deszczu.
I pokazałem, że na twojej korze
Pęknięcie serca znać — a w liści dreszczu
Widać, że ci coś próchno duszy porze.
Bądź zdrów! — A tak się żegnają nie wrogi,
Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych — Bogi.

Poniższy ustęp przeznaczony był na zakończenie piątej pieśni Be- niowskiego i dopiero w ostatniej chwili usunięty i zastąpiony przez wy- zwanie, rzucone małym przeciwnikom i wielkiemu współzawodnikowi — Mic- kiewiczowi.

539) Któż nie ma w ziemi miejsca w jakiej trumnie?
Chyba przeklęty, lub nadto wysoki,
Podobny smutnej na polu kolumnie,
Co tylko głową gwiazdy i obłoki
Kochała, zawsze wyglądając dumnie,
Chociaż jej siostry upadły w potoki
Cefizu i tam leżą w modrej fali...
Lecz kto tak dumnie żył, czemuż się żali?

Kto, mogąc wybrać, wybrał zamiast domu
Gniazdo na skałach orła: niechaj umie
Spać, gdy źrenice czerwone od gromu,
I słychać jęk szatanów w sosen szumie...
Tak żyłem. Teraz widzę, pełen sromu,
Że mam łez pełne oczy; lecz je tłumię
I nie chcę wyznać, że mi przed mogiłą
Z aniołem śmierci żyć, tak straszno było...

Lecz to już przeszło; widma poznikały.
Do ciebie, matko moja, twarz obrócę;
Do ciebie znowu, tak jak anioł biały,
Z obłędnych krajów położyć się wrócę

U twoich biednych stóp, bez szczęścia, chwały,
Lecz bez łzy próżnej. Obojętnie zrzucę
Resztę nadziei, zwiedzionych przez losy,
Jak liść, co we śnie upadł mi na włosy...

Odbiegłem ciebie w szaleństwa godzinie;
Lecz ileż razy z fal i mórz i burzy
Patrzałem na twój cichy dom w dolinie,
Jak człowiek, który, myśląc, oczy mruży, —
Myśląc, że myślisz o mnie, o twym synie,
Który nieszczęścia bogu wiernie służy,
Lecz bez nadziei, łzami twemi żywy,
Jak Chrystusowe w ogrójcu oliwy.

Z błogosławieństwa twego miałem blaski,
Gwiazdom podobne, i cień w puszczach Gazy...
Nieraz ćwiek rdzawy u podróżnej laski
Rył imię twoje; tam, gdzie same głazy,
I słychać tylko fal libijskich wrzaski,
Eschylowskimi budzone wyrazy,
Echa słyszały twoje święte imię,
I słyszał je on laurów las, co drzymie.

I nad potokiem Elektry tyś była
Ze mną! Na każdem miejscu, gdzie z przeszłości
Dolata płaczu głos, o moja miła —
Wszędzie, gdzie w polach bieleją się kości
I woła głosem rycerskim mogiła
O zemstę — wszędzie, gdzie człowiek zazdrości
Umarłym i chęć śmierci duszą pije:
Tyś była ze mną, jam cię czuł — i żyję.

W Romie podobny głos twemu głosowi
Słyszałem: anioł życia zadrżał we mnie!
Aniołowie mi ciebie nadpalmowi
Pokazywali, świecącą przyjemnie
W gwiazdach, tam, gdzie był żłobek Chrystusowi,
I anioł życia smętny wyszedł ze mnie,
Chcąc ręką dotknąć o twe serce krwawe
I ból swój stłumić pozdrowieniem: Ave!

Wszędzie miłosne twoje oddychanie
Liczyło mi czas, co upływał w ciszy;
W tych strofach jeszcze — kiedy rym ustanie —
Niechaj czytelnik na końcu usłyszy
Moje twych biednych stóp pocałowanie,
Bo łez nie słyszał . . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Z pieśni VII. (1842—43).

540) . . . . . .
O matko Polsko, jak dawno nie grzmiało
Na twoich stepach takie dzikie hasło!
Jak dawno ludziom na stepie nie dniało
Krwawo — i słońce na szablach nie gasło!
Co dnia się mijasz z twoją dawną chwałą,
Zło się na twoich obszarach rozpasło; —
Zaledwie chłopek dawną wiarę chowa
I serce... A ty się już rodzisz nowa,

W żłobku serc naszych biednych położona,
Na zwiędłym kwiecie marzeń i popiołów;
Matki my biedne... bo z naszego łona
Płynie ci ogień — roztopiony ołów,
A ty tak jesteś karmi upragniona,
Że ci za matki my — i za aniołów,
I za obrońców, za dom — i za szańce
Musimy dziś być... my — sami wygnańce...
. . . . . .
. . . . . .

III.

Dawna ojczyzno moja! o jak trudno
Zakochanemu w twej śmiertelnej twarzy
Zapomnieć wdzięku, co młodość odludną
Wabił na dawnych opłotki cmentarzy.
Inni już pieją twoję przyszłość cudną; —
Ja, zostawiony gdzieś na mogił straży,
Jak żóraw, abym nie spał śród omamień,
Trzymam me serce w ręku... serce kamień —

Biedne uwiędłe serce! — Inni mogą
Płomieniem twojej przyszłości oddychać;
Ja, twoje biedne dziecko, stoję z trwogą,
Bo mi płacz twoich dawnych mogił słychać.
Proszę cię w moję duszę, jak w ubogą
Chatę, co już się zaczęła rozsychać,
Rozpadać, tylu wichry rozerwana,
Biedna, tak dawno stojąca, gliniana.

Dawniej... o! dawniej mogłem ja cię darzyć
Różami, listki, maczanymi w złocie.
Teraz ja muszę chować się i marzyć,
I w coraz większej schroniony prostocie,
Podług natury sądnej szale ważyć
I dbać o ciebie — gdy jesteś w polocie,

Ku siedmiu gwiazdom strzałą wyprawiona,
Choć masz na krzyżu ciało i ramiona.

Najbielsza moja! najsmutniejsza! — w tobie
Śpiewają jakieś pieśni — i nad tobą;
Otóż ja złączyć chciałbym pieśni obie,
I uczcić grób twój dawny tą ozdobą
Którą widziałem na rycerzy grobie:
Kamienną dużą rycerską osobą,
Dla której kilka lamp grobowych spalisz,
A potem z grobu wstająca — rozwalisz.

I nie pamiętaj o mnie w tej godzinie,
Gdy cię Bóg wielkim darem uweseli...
Lecz, póki Ikwa ma rodzinna płynie,
Wezbrana łzami po tych, którzy mieli
Serce i ducha, póki w Ukrainie
Dziad chodzi z pieśnią. a z Dniepru topieli
Ciągle niby gwar smętnych duchów mgli się
I Puławskiego śpieszny rumak śni się;

Dopóki ludzie, w nowych ducha siłach,
Nie znajdą w sobie rycerstwa i śpiewu:
Dopóty ja mam prawo na mogiłach
Stanąć i śpiewać — srogi, lecz bez gniewu,
Bo wiem, jak trudno ruch obudzić w bryłach
I kazać w niebo iść ściętemu drzewu,
I z tęczami się połączyć na niebie,
Ja, co nie mogłem wskrzesić — nawet siebie!

Dlatego w dawnych ludziach złotą wiarę
I złote serce miłuję nad własne.
Dalej więc! — mówcie mi znów serca stare,
Usta umarłe dziś, lecz w oczach krasne!
Odwińcie srebrną trumienną czamarę,
Pokażcie mi się, duchy żywe, jasne,
Ubrane w tęcze, gwiazdy i miesiące,
Na urok pieśni z nieba zlatujące!...

Z pieśni VII.

541) . . . . . Sam nie wiem,
Dlaczego mówię tak... lecz mam przeczucie,
Czuję trumnianym pachnący modrzewiem
Naród i w trumnie grające zepsucie...
A jednak — pod tym mogił chwastem, plewiem
Jest jakieś dziwne, ciągłe, głuche kucie
Pod narodową słyszane mogiłą,
Jakgdyby serce ludu w kamień biło.

W północy — wstają mi włosy na głowie,
I zadziwiony słucham — i to słyszę,
Co muszą boscy słyszeć aniołowie —
Jakąś okropność przyszłą, co kołysze
Światem... i miastom zapala na głowie
Straszne korony... Czujcie (ja wam piszę
Z ciemnego duchów świata list przestrogi)
Ludy, bo wkrótce będziecie, jak Bogi.

Co rozwiążecie wy w żelaznej dłoni,
To rozwiązanem będzie... już na wieki.
A kto odejdzie od was — gdzie się schroni?
Z was będą góry, doliny i rzeki
I morza, które wiatr na słońce goni;
Z was port zatraty będzie i opieki,
Z was będą cienie, jak morza rozlane,
Z was nad morzami słońca latarniane!...

Czujcie! bo tętno już waszego chodu,
W uszach wysokich ludzi — grzmi wyraźnie.
Na górach z cegieł i na igłach z lodu
Słuchałem... a duch swoję wyobraźnię
Przestroił wówczas na harfę narodu,
Me nienawiści dawne i przyjaźnie
Poddając twardej jedności... dlatego
Myśli me same się gryzą i strzegą.

Nie wy, Cheruby, co miecze z łuczywa
Macie, z papieru złotego przyłbice,
Których nie Pan Bóg, lecz człowiek używa,
I wami sławy wysokiej kaplice
Oszyldwachuje... przed tym, co się wrywa,
Jak wiatr, i w oczach niesie błyskawice,
Nie wy, brytany, wejścia mi bronicie!
Ja jestem gwiazdą życia — co o świcie,

Skąpana w krwawej jutrzence, wychodzi
Różana — a dzień będzie wtenczas biały,
Gdy ja zagasnę. — Duch w cierpieniach rodzi
I w gniewie — ale w gniewie tak wspaniały,
Jako Bóg chmurny, gdy piorunem godzi
W najwyższe czoła alpejskie i skały.
Kto chce w pioruny wstąpić i w błyskanie
I śnić to, o czem śnię... niech przy mnie stanie!

Na tych wyżynach ducha jest ponura
Dla serc stroskanych cisza; tu ja czerpię
Ogień i maczam w ogniu orle pióra;
Tu na księżyca rumianego sierpie

Piękności dawnych nieśmiertelna córa
Rozwidnia oczy me, a kiedy cierpię,
Przeszłości dawnej cień na szczycie skalnym
Stawia i czyni przede mną widzialnym.

Tak widzieliście próchnem wysrebrzone
Dębów umarłych wnętrza — i kaplice,
Rumaki białe, w polach wystrzelone, —
Kozaków — księży — szlachtę i dziewice.
Ariost-by patrzał sam na te szalone
Miłostki, boje, szturmy, nawałnice,
Rycerzy przy kielichu i w podróży,
Którym za cały czar — fantazya służy.

Zaczarowanych palm tu niema wcale;
Dęby i sosny i brzozy rodzime,
Odbite w stawów podolskich krysztale,
Reprezentują mi nową Solimę.
Z krzyżami złotych miast i wież nie walę,
Dla prawdy nagiej wielką mam estymę,
Do rymu nigdy sensu nie naginam,
Nie tworzę prawie nic, lecz przypominam.

Z pieśni VIII.

542) . . . . . .
Ten wiersz z Homera kradnę, ten ostatni,
Niegdyś płakałem nad nim... Zdaje mi się,
O Sarpedonie mówi śpiewak, bratni
Mickiewiczowi — ale miał w kirysie
Rycerzy, którzy byli bardzo stratni
I szafowali siłą, życiem; gdy się
Zmienili trochę Litwini dzisiejsi,
Będąc troszeczkę lepsi — ale mniejsi!

Jednak w tej cudnej epopei żyją;
W ich lasach trąba gada... boskie trąby
Odzywają się wnet w sosnach i wyją;
Patrzcie, jak ten żubr od pękniętej bomby
Cofa się: patrzcie, jakie wianki wiją
Z wiejskiego kwiatu wiejskie dziewosłęby;
Słuchaj i patrzaj, bo, jako zjawienie,
Litwa, ubrana w tęczowe promienie,

Wychodzi oto z lasu. — Z taką chwałą
Potrącał lutnię ten śpiewak Litwinów,
Iż myślisz dotąd, że to echo grało,
A to anielskich był głos serafinów.
Grzmotowi jego niebo odegrzmiało!

Chociaż Gofredów nie miał i Baldwinów,
Ani mógł morza wiosłami zamącić,
Ani księżyca z wież krzyżowych strącić:

Jednak się przed tym poematem wali
Jakaś ogromna ciemności stolica;
Coś pada.. myśmy słyszeli — słuchali:
To czas się cofnął i odwrócił lica,
By spojrzeć jeszcze raz na piękność w dali,
Która takiemi tęczami zachwyca,
Takim różanym zachodzi obłokiem...
Idźmy... znów czasu Bóg postąpił krokiem.

Z pieśni IX.

543) . . . . . .
Konwalie białe, cicha mgła i rosa,
Trawy zapachem dyszały od kwiecia:
Gdy oto z wierzby trefionego włosa
Wybiegły, — jedna, potem druga, trzecia
Gwiazdy błękitne, i nie szły w niebiosa
Po niebie latać i trwać przez stulecia,
Ale nad wierzbą stanęły w lazurze:
Dwie obok siebie stojąc — trzecia w górze.

I tak, w żurawi klucz uszykowane,
Jaśniały, aż las zajaśniał w promyki.
I przyszły panie dwie w błękit ubrane [1]),
I pod wierzbami ucichły strumyki,
Jak ja — gdy nagle, brzmiąc na lutni, stanę
Słuchać, czy oklask przyjdzie albo krzyki,
A potem znowu zaczynam nierychły:
Tak właśnie owe strumienie ucichły.

A one smutne, przez ów strumień złoty,
Podały sobie ręce, mówiąc: Ave!
A obie były tak pełne tęsknoty,
Jak strumień i las; a miały postawę
Lekką, jakgdyby mogły iść w poloty,
Lecz oswojone były i łaskawe;
Jedna twarz miała czarną, druga bladszą;
Pastuszkom zdało się, że we śnie patrzą.

[1]) Pomysł tego spotkania się i rozmowy Matki Boskiej Poczajowskiej i Podkamienieckiej (Podkamień nad Ikwą w pow. brodzkim, na Podolu g... licyjskiem) wziął Słowacki z ciekawej, a mało znanej broszurki Lelewela p. t. «Wieca królowej polskiej w Sokalu» (Bruksella 1843), w której wp... wadza, na uroczystości sokalskiej w r. 1842, cudowne Matki Boskie, ze wszyst... kich miejsc cudownych w Polsce zebrane, i radzące nad losami Polski.

I wszystko zdało się snem w cichym lesie
Na mchach i białej konwalii, pod drzewem,
Płonącem w światła cudownym okresie,
Gdy się witały te — łzami i śpiewem.
Jedna pytała drugiej — co ją niesie?
A każda rzekła: Jestem krwi wylewem
I ogniem grodów owiana gorących
I drżę, królową będąc konających.

Królestwo moje, rzekła matka czarna,
Wyniszczone jest mieczem i płomieniem;
Ptaszęta małe, gdy lecą po ziarna,
Znajdują pola, siane kul nasieniem.
Ja jestem matka ludzi gospodarna,
Zbieram, co sieją, i nad pokoleniem
Umarłych - moje wysłałam anioły,
Męczennikami napełniać stodoły.

Przyjdzie godzina, że ich dzieci dzieci
Nad plonem tego czasu wzniosą lament;
Lecz teraz wszystko, jak liść, z drzewa leci,
Kościołów krew nie broni i sakrament;
Kagańcem swoim śmierć kościana świeci,
A przed nią czarne dusze lecą w zamęt;
I nad tem wszystkiem stoję — ja królowa,
I patrzę ze skał moich, z Poczajowa.

Przychodzą matki w śmiertelnej koszuli
I przed ołtarzem moim klęczą krwawe;
Ta krzyczy: wczoraj syn mój legł od kuli,
O! wskrześ go, wskrześ go! — druga woła: ave!
Płód mój nożami z żywota wypruli,
Poskarż się za mnie! trzecia mi na ławę
Rzuciła parę niedoszłego płodu,
Prosząc: nakarm je, bo umarły z głodu...

We mgłach srebrzystych, gdy stepem przechodzę,
Spotykam jakieś jęczące gromady;
Ludzie okropni bez rąk są, jak wodze
Tym, co na rękach pełzają, jak gady;
Inni umarli zostają na drodze
I są zabójcom strasznym, jako ślady;
Inni bez twarzy wzdychają z rozpaczą,
Bez ust się modlą i bez oczu płaczą.

O siostro moja! morem ja owiana
I czarna dymem smętnego jałowcu,
Do mego dziecka krwawego i Pana
Każę się często nieść i, na grobowcu

Siedząc, mam dziatek umarłych kolana
Pełne — nie mówię, na jakim manowcu
Zbierałam kwiaty ludzkie nieszczęśliwe,
Lecz on je widzi u nóg — te nieżywe.

I taką ma twarz, jaką w Nazarecie,
Kiedy się żegnał ze mną, mówiąc: Matko,
Idę już umrzeć!... a mnie zorze trzecie
Pod oliwami zastały i chatką,
A jego już nie było... i na świecie
Stał krzyż, nad uczniów płaczących gromadką,
I słońca ani księżyca nie było,
I grób był krwawą, lecz pustą mogiłą...

Tak się skarżyła siostrze, a zadana
Turecką szablą na twarzy obraza,
Po której uśmiech pozostał i rana,
Stała się teraz widną, jako skaza,
Nowo boląca. Druga zadumana
I w sercu niosąc mieczów trzy żelaza,
Oczu z mlecznego nie spuszczała pasa.
Wtem ciche, krągłe światło wyszło z lasa.

Z pieśni XI.

544) Liro żebracka! słyszałem i słyszę
Twój głos, przez lasy lecący brzozowe;
I robię w moich myślach dziwną ciszę,
Aby cię słyszeć... Ty miałaś perłowe
I wydeptane palcami klawisze,
Po których pieśni chodziły stepowe, —
I w twoje łono — pochylając czoła —
Szły smętne, jak do starego kościoła.

Nie palce ciebie, liro, wydeptały,
Ale te pieśni, ciężką nogą ducha,
Który wywraca zbrojne zamki, skały
I naród gotów oderwać z łańcucha;
Taki jest silny i taki wspaniały,
Gdy się obudzi z grobu i wybucha!
On stare czasy żebrakowi szeptał,
Żył z nim i srebrne klawisze wydeptał.

Rozłamać nie mógł liry starzec siwy
I rzekł: — Oj bat'ku pane — tak nazywał
Suchodolskiego — wielkie będą dziwy...
Kto inny będzie na tej lirze grywał...
Kto inny będzie u tej szarej śliwy
Grał tobie pieśni złote... i używał

Twojej przyjaźni... ja wże idu spaty,
Kto ynszyj tobi bude, pane, hraty...

Koń suchą nogą zatętni po Rosi,
Zarży, a lira w trumnie mu odpowie;
Stamtąd koń... Widząc, że proroctwo głosi,
Pan Suchodolski oczy wylśnił sowie;
Lecz starzec zamilkł... i ta śmierć, co kosi,
Ścięła go; ale zjeżone na głowie
Włosy — powieki, które się otwarły,
Świadczą, że na coś się patrzał — umarły.

Pierwsze już grudki w dół rzucali diaki,
Gdy z lasu człowiek wyleciał nieznany;
Koń pod nim biały, jak śnieg, bez kulbaki,
Bez uzdy; — dziwnie w oczach obłąkany...
Przeleciał rzekę — ale lot miał taki,
Że się — jak mówi lud — nie tykał piany
I tylko pod nim wody srebrne biły...
Przybiegł i jeźdźca zrzucił u mogiły.

Zrzucił... i znowu w las poleciał rumak,
Zniknął — a dziś się lud w powieści dzieli:
Ci mówią, że koń — a drudzy, że sumak,
A inni, którzy tętna nie słyszeli,
Że koń — duch. — O tem każdy dziś wie czumak,
Że Wernyhorę ten koń, w światłej bieli,
Przyniósł, zostawił, lecz ma z nim przymierze.
Że znów przed śmiercią przyjdzie i zabierze.

Na grobie usiadł Wernyhora... pana
Znać na nim było: buty srebrem szyte,
Srebrne guziki błyszczą u żupana,
Złoty pas... czoło na wiatry odkryte.
Siadł i rzekł: — Ludzie! wy lirę Bojana
Schowali w grobie! Liry rozmaite
Brzęczą po świecie, tam, gdzie żal doskwiera,
Lecz niema drugiej liry, jak ta lira...

Przyjechał ja tu po lirę Zaboja
Na białym koniu, hej — i nie odjadę.
Oj, śpisz ty w grobie, liro, córko moja,
To ja się także w dół przy tobie kładę.
Albo ty zabrzęcz, tak jak stara zbroja,
Albo ty jęknij... ja dam tobie radę...
Wyciągnę z grobu... Wstał i spojrzał dumnie:
Lira zaczęła grać pod piaskiem w trumnie.

Na jakąś starą nutę, niesłyszaną
Odezwała się w grobie, jak anioły.

Gdy ją wyjęto i z trumny dostano,
Brzęczała jeszcze w ręku nakształt pszczoły.
Potem głos ustał; a tę rozpłakaną
Na łańcuchu swym uwiesił wesoły
Pan Wernyhora. — I wnet gadek mnóstwo
Po kraju szare rozniosło ubóstwo.

O pieśni XII.

545) Ale Aniela — do Heglistki wcale
Nie dorośnięta, bliższa Afrodyty
Pięknością — taka lekka, że na fale
Stawu wejść mogła i staw nie rozbity
Nosiłby nóżki jej... Jestem w zapale!
I oto mówię, że piękność kobiety
Nie jest, jak mówi ksiądz, czartów ułuda,
Lecz może — w duchu będąc, robić cuda!

Lub sama przez się robić, lub się w drugą
Duszę przelawszy, być w niej siłą, mocą,
Zaczepną bronią w ręku i kolczugą
Sercu i słońcem, które świeci nocą, —
I panią razem i razem być sługą,
I nawet w świecie aniołów pomocą;
Wdzięczność to cudna ducha nie obarczyć,
A świat dać, za świat stanąć i wystarczyć [1]).

Aniela była taką duszą; ona
Z Beniowskim tworzy jednego rycerza
I bohatera. Polska, przez nią śniona,
Świętą jest, wielką; z góry już uderza
Duchem na wszystkie słowiańskie plemiona
I do żywota budzi i przymierza;
Wielka i silnym podniesiona lotem
Nad ludy, w ludach żywot budzi grzmotem.

Gdy piorunami ognistymi lunie,
To coraz jeden grób oddaje ducha!
Zakipiał żywot w każdej stlałej trunie,
Zniedokwasiła się zgnilizna, słucha
I wstaje... Kiedyż, o boży zwiastunie,
Gołębiu, który szepczesz mi do ucha
Te straszne rzeczy, zrobisz taką ciszę,
Że Polska to usłyszy, co ja słyszę?

Nad morza teraz uciekam i blade
Tęczą nadmorskich kwiatów, wietrzne pola

[1]) Strofa ta cała w manuskrypcie przekreślona.

Depcę, a wielkich duchów o poradę
Pytam i często piorunowa wola
Ściąga mi taką moc, że ręce kładę
Na wiatrach, jako na harfy Eola
Strunach, i gra mi wiatr jak najboleśniej,
A ja posyłam na północ te pieśni.

Na północ je posyłam — miejcie czucie!
Bo kiedy głuchy grzmot, bez żadnej chmury,
Słychać — i kiedy słychać jakieś kucie
Jakby podziemnych zbrój i kiedy z góry
Słychać jakoby sztandarów rozprucie
I szelest, niby orzeł je w pazury
Chwytał i ciągle darł, jak stare szatry: —
Słuchajcie! to ja błogosławię wiatry.

I gdy na sennych was uderzą strachy,
I gdy zbudzicie się w łożu spotniali
I usłyszycie, że drżą wasze dachy
I tak trzaskają, jak kość, gdy się pali,
Kiedy was weźmie zimna śmierć pod pachy,
Bogu pokaże i przed nim powali,
A będzie ziemia cichą, jak mogiła: —
Słuchajcie! bo ten strach — to moja siła!..

Kiedy nie wiedzieć skąd dziecko się małe
Rozpłacze, rączki założy na głowie,
Wpatrzy się w ciemność i stanie się białe,
Jak próchniejąca wilcza kość w parowie;
Gdy włoski staną mu, jak zmartwychwstałe,
I przedrży wielki strach, a nic nie powie,
Lub co innego wam w uśmiechu skłamie: —
To mój go porwał wiatr i moje ramię.

Boleścią moją powietrze zaklęte
Stało się mocą, bronią — pełne ducha,
I czasem do was gra, jak harfy święte,
A czasem waszej odpowiedzi słucha...
Wtenczas — o straszne godziny przeklęte!
Siadam i strumień łez mi z oczu bucha
I przed Bogiem się nieśmiertelnym korzę,
Że mój duch cierpi tak — a nic nie może![1])

Kiedy wyjdziecie na ziemię różaną
Rankiem, a o mym duchu śnić będziecie: —
Trzody, leżące na kurhanach, wstaną,
Owce się ruszą, perły łąk... znajdziecie

[1]) I ta strofa przekreślona jest w rękopisie.

Tę okolicę całą zasłuchaną
W powietrze, w dźwięki, w smutek. Jeśli
Zeńce na polach żną, to przy kopicy [w lecie
Siedzą, jak dawni rzymscy niewolnicy —

Smętni i groźni; to moja daleka
Moc i pieśń, która serce przeobraża,
I niewolnika przedzierzga w człowieka.
Ale cóż znaczy moc i pieśń harfiarza?
Na powieść moją smętny człowiek czeka,
A mnie odleciał Anioł, który stwarza;
I muszę przestać strofy, która ludzi
Łamaną sztuką bawi — a mnie nudzi.

J) Nowa Dejanira (1841).

Z aktu I, sceny I.

546) Rzecznicki. . . . . Lecz ciebie znają.
Fantazy. . . . . Cóż? Że kilka listów,
Które w gorączce można było spłodzić,
Przepisać nawet, przez płatnych kopistów,
Samemu nawet pisać nie umiejąc —
Że kilka listów, które na Podolu
Panny czytały wyuczone, mdlejąc
I krzycząc: — ach! ten list na Kapitolu
Był napisany! a ten z Wezuwiusza
Leciał, jak gołąb, aż na Ukrainę!
Że wykrzykniki te: ach! co za dusza!
Ach! co za ogień! . . . . . [1])
Brzmiały tu stokroć razy: — to ja, hrabia
Fantazyusz, głupim być już nie mam prawa?
A cóż to, powiedz, jest opinia babia?
Czy to szacunku godna rzecz? czy strawa,
Na której serce tyje? czy poduszka,
Na której głowa leży? — Mój Rzecznicki,
Ty mój swat, ty mój — raczej moja drużka,
Bo się, jak panna, spłonię, w jezuicki
Talerz wlepiwszy me panieńskie wzroki...
Ty mnie zachwalaj, wynoś pod lazury,
Ponad Wezuwiusz, nad Alpy, obłoki!
Mów, żem napisał poemat ponury
O czterech wiatrach; złoć mię, jak barana!
A mnie pozwól się troszeczkę zagapić

[1]) Tu koniec karty w rękopisie wydarty.

I z siebie lakier byroński szatana
Zrzucić...
Rzecznicki. Fantazy! możesz się poszkapić
I źle wyjść —
Fantazy. Jak to?
Rzecznicki. Pierwsze złe wrażenie
Trudno się ściera
Fantazy *(przerywając niecierpliwie)*. Nie dbaj, nie dbaj o to!
Jeśli zakocham się, to się odmienię.

Ze sceny VI.

547) Fantazy. Ale powiedz mi, Rzecznicki,
Kto to jest ów pan Jan, wzięty z kosą?
Rzecznicki. Jakiś kosynier...
Fantazy. Jesteś, jak delficki
Posąg: — wyrocznie twoje prosto niosą
W sam cel i w samo serce prawdy; ale
Radbym dowiedzieć się, jaki to smutny
Upiór, nad srebrne gdzieś sybirskie fale,
Pierś pokazuje i łańcuch okrutny
Wstrząsa i w panien tych ładnej pamięci
Staje, z ranioną piersią i z brylantem
Tej łzy, co mu się w oczach mglistych kręci,
Próżno roniona. Z takim aresztantem
Adonis nie mógłby walczyć o miłość
Szlachetnej Polki!...
Rzecznicki. Przecudna tyrada:
Peryody długie...
Fantazy. Ta dawna zażyłość
Sybirska — chmura ta błękitno-blada
Szronu złotego, która go obwiewa —
Te pod nim jary, pełne wilczych kości —
Te nad nim czarne sosny, straszne drzewa,
I to nieszczęście czarne...
Rzecznicki. I w czarności
Kominie białą napisane kredą
Imię Dyanny...
Fantazy. Przeklęty człowieku,
Któremu jeszcze dziś świątynie w Knido
Dostarczą wody kastalskiej! O! ćwieku
Z byronowego krzyża! O baranie,
O którym niegdyś w mistycznem widzeniu
Śnił Sanczo Pansa, w niebie niespodzianie
Ujrzawszy bydło! O ty, co w płomieniu

Wiekowym głupstwa jesteś Salamandrą
I, w ogniu będąc, tyjesz, o Rzecznicki!
Rzecznicki. O nieszczęśliwy wieszczu!
Fantazy. O Kasandro
Przedkontraktowa!
Rzecznicki. O ty, potrzebnicki
Zdrowego sensu!
Fantazy. O ty, sekaturo!
Patrz — poszli wszyscy na ogród, a o nas
Ani kto wspomniał!
Rzecznicki. Bo ty jesteś pióro,
Które sonety pisze... et andronas
Scribit — i bawisz ludzi, gdy się nudzą,
A nudzisz, gdy się bawią.
Fantazy. To być może...
Rzecznicki. Abyś się widział sam, weź głowę cudzą
I włóż na swój kark.
Fantazy. A moją położę
Na twoim?
Rzecznicki. W karty przegraj twoją głowę,
Jeśli na stawkę szulery pozwolą
Stawić wiatr, a nie pieniądze gotowe.
Lecz pierwej złap ją tak, jak wróbla — solą
Na ogon, bo ci z rąk samych wyleci!
Fantazy. Prawdę ty mówisz: same jakieś światła
Chodzą po mojej głowie — jak u dzieci —
Zielone, jasne, czerwone — jak na tła
Złote, rzucone przez Wenecyanina
Świętych postaci; różne jakieś tony,
Z których ton każdy mi coś przypomina
Smutnego, a ma niewytłómaczony
Urok dla ducha. W powietrzu mi dzwonią
Różne pamiątki miejsc; koło mnie chodzą,
Każda ze swoją twarzą, swoją wonią,
Zmieniona w Nimfę, w postać... Ach! jak szkodzą
Uczuciom myśli nadto rozwinięte!
Zda się upiory piękniejsze, że smętne
Zdaje się kwiaty smętniejsze, że ścięte —
Zda się, że bóstwa — tak, krwią nie namiętne,
Ale grzejące słonecznością lica —
W wieńcach, w kameliach z gwiazd, których kolory
Niepewne, jako półtęcze księżyca
Srebrzeją... Myśli me — już pół-upiory,
A jeszcze myśli...
Rzecznicki. Bądź zdrów, bałłaguło,
Który handlujesz końmi Apollina!

Fantazy. Stój!
Rzecznicki. A co?
Fantazy. Serce moje coś uczuło.
Rzecznicki. Fenomen.
Fantazy. Słuchaj: — ta w czerni dziewczyna,
Ta wybielona wiatrem na Sybirze
Dyana, która czarnemi oczyma
Widzi tam jakieś mogiły i krzyże,
Słyszy tam jakieś łańcuchy i trzyma
Ręce na piersiach, jak posąg słuchania
I bolu — słuchaj! — ta Dyana dumna,
Co pod piorunem tu zatradowania,
Pod ruinami gmachu, jak kolumna
Ostatnia trzyma wysoko swe czoło,
Ta, która — patrząc na matki aktorstwo
I na twarz ojca — zbladłą, a wesołą
Dla ludzi... czuje całe gladyatorstwo
Nędzy domowej, ze światem walczącej —
Ona, co na mnie, jako narzeczona,
Patrzeć tu musi, a w duszy gorącej
Czuje, że będzie majątkiem kupiona,
A cierpliwością wypłacić się musi —
Ta panna — czuję, że to podłość we mnie!
Ale mnie jakiś szatan wnętrzny kusi
Popełnić taką podłość i nikczemnie
Kupić ją złotych polskich pół-milionem!

Akt I scena IX.

548) Hrabina.
Dawno Pan z Rzymu przybył na Podole?
Fantazy. Pół roku —
Hrabina. Któż tam z naszych?
Fantazy. Daję słowo,
Że oprócz kilku wielkich dziwolągów
Suchych, co jeden za drugim się wleką,
Powysychani, nakształt wodociągów
I wydają się ruinom opieką.
Jak mech i chwasty: niema w całym Rzymie,
Kogobym wspomniał.
Hrabina. Przecież dla nas, sielan,
Wszystko ciekawe.
Fantazy. Przy ruinach drzymie
Jeden katolik Polak — i szambelan
Cesarskiej Mości, wielki filharmonik;
Rogaty złotą lirą Apolina,
Śpiewa, ale tak, jak Egeryi ponik,

Mrucząc: niteczka głosu tylko sina
Z ust mu wypływa, młynów nie obróci,
A jednak ciurka wciąż włoską ruladą:
Milczenia anioł w nim siedzi i nuci;
Pitagor z całą swych uczni gromadą
Milczącą siedzi w nim; a rzecby można,
Że swojej szkolnej zasady nie łamie. —

Hrabina. Któż więcej?

Fantazy. Jedna hrabina pobożna,
Której spadają loki aż na ramię,
A w każdym włosa pierścieniu ukryty
Albo kanonik, albo Monsignore.

Hrabina. Dewotka. — Jakież są więcej kobiety?

Fantazy. Najwięcej blade są i bardzo chore,
Ruiny kobiet, resztki Karlisbadu,
Wód stalaktyty, zgasłe Wezuwiusze.

Hrabina. Zacytuj mi Pan jednę dla przykładu!

Fantazy. Ach! jest tam, chora do głębi na duszę,
Znajoma Pani — Hrabina Idalia,
Rodzaj Pani Staël — machina parowa
Pisząca listy...

Hrabina. Czy ładna.

Fantazy. Jej talia
Jest do połowy z mgły, druga połowa
Bez kości, sprężyn, samą siłą skrętu
Idąca naprzód — zresztą w oczach cała...

Hrabina. Piękne?

Fantazy. Dwie czarne plamy atramentu
Na prześcieradle białem.

Hrabina. Taka biała?!

Fantazy. Jak prześcieradło.

Hrabina. I takie ma oczy?

Fantazy. Jakby atrament.

Hrabina. Widzę ją przed sobą!

Fantazy. Kto prześcieradło to sztyletem zbroczy:
Popełni — wielką poezyą... z osobą,
Któraby dała dziś dziesięć lat życia
Za jaką scenę głośną i tragiczną.
Jej trzeba rany, usta ma do picia
Trucizny; — byłaby osobą śliczną,
Mając rozdarte serce lub sumienie,
Do miesięcznego modląca się blasku.
Nieszczęściem — takie biednej przeznaczenie —
Że, jako okręt rozbity na piasku,
Siedzi i czeka; lecz żądane burze
Nigdy ją z ziemi zabrać nie przychodzą.

Gdym przybył, chciała mnie poznać: ja służę
Chętnie kobietom, ale się nie godzę
Być Danaidy beczką, w którą leją
Wszystkie serc swoich rdzawych niedokwasy. —
Przychodzę: — była zajęta ideją,
Że miłość wszędy i po wszystkie czasy
Była święconą, bo w treści jest wiarą
I jedynie się zasadza na wierze.
Na to krzyknąłem bardzo wielkie «haro»!
I powiedziałem mojej Pani szczerze,
Że miłość nie jest taką narkotyczną,
Niedowiedzioną istotą; — że trzeba,
Aby tę gwiazdę zobaczyła śliczną
Przez alabastry płci jakiego Feba,
Świecącą w oczu skrze i na koralu
Ust gorączkowych... Gdym to rzekł, westchnienie
Z burnusowego wyrwało się szalu,
A ten szal — amiant — owinął płomienie
I przepalony, srebrniał w moich oczach,
Amiant prawdziwy! — Tu rzekłem, że widzę
Na jej błękitno-kruczanych warkoczach
Gwiazdę nieszczęścia. — Myślała, że szydzę,
Z początku; ale widząc, że ja na tem
Stanąłem, jako okręt na kotwicy,
Rzekła: — Ach! Pan mi będziesz duszą bratem!
Pan jeden — w jednej czucia błyskawicy
Pojąłeś, co ja cierpię, co ja czuję,
Na jaką jestem samotność skazana...
Rzekłem, że sercem się nad nią lituję,
Że mi potrzebna jest dusza siostrzana,
Jak rękawiczce nieparzystej druga
Z tej samej pary i z tego numeru.

Scena X.

Fantazy i Dyana *(sami)*.

549) Dyana. Chce pan herbaty?

Fantazy. Nie.

Dyana. Chce pan odwiedzić
Moją ptaszkarnię?

Fantazy. Nie — pozwól mi pani
Przy samowarze tym, co zaczął cedzić
Ukrop — pozwól mi z Plutona otchłani
Wydobyć słowo, które na cmentarzu
Żywych jest, jako trupia głowa na kwiatach.

Dyana. Pan mówi?

Fantazy. Prosto mówię — o maryażu.
Dyana. Ha!
Fantazy. Czy mam klęknąć?
Dyana. W tych namiętnych światach,
W których pan żyjesz, klękanie nie w modzie.
Fantazy. Zaprawdę — trochę się już zestarzało.
Dyana. Więc...
Fantazy. Więc, hrabianko?..
Dyana. W słowach tych na spodzie
Jest oświadczenie...
Fantazy. Cukier.
Dyana. To za śmiało,
Mój panie hrabio! Wcale po kupiecku
Zbliżyłeś się pan po towar. Gdzież łokieć?
I gdzie są szalki? — Szlacheckiemu dziecku
Bóg dał — patrz, hrabio — nawet ten paznokieć
U palca, jako rubin, gdzieś obmyty
Krwią przodków, a gdzieś wzięty na Wezyrze!
Me łzy — patrz, są, jak perły Amfitryty,
Bom obrażona we łzach. — W tym szafirze
Oka mojego znajdziesz, niby mętne
Łzami, rodowych myśli zdrojowisko.
Wszystko, co mogło w spadku dziecko smętne
Wziąć po umarłych: całe serc ognisko,
Z szlachetnościami wszystkimi — i całą
Myśli ich piękność — ja mam po nich w spadku;
A ten mój posag ich — to moje ciało!
Gdybym więc nawet kładła na ostatku
Duszę i o niej nie mówiła wcale,
Traktując z tobą o siebie na funty: —
To jeszczeby mi ust jasne korale,
To jeszcze oczy te, co straszne bunty
Podnoszą, ogniem i łzami ciskając,
Kazały dumną być w targu i trudną.
Jakto? — więc chciałeś, hrabio, nie klękając
Jak przed Madonną na stepie odludną
Rafaelową, zrumienić jej lice
I grubijaństwem cud otrzymać święty,
Że się łzami jej napełnią źrenice,
Lub z płótna tryśnie krew? — Więc, żeś ty wzięty,
Żeś w okolicy sławny, że się ludzka
Miłość za tobą goni, żeś pomięty,
Jak dziwna jakaś perła kałakucka,
Tem droższa, że ma kształt nieodgadnięty
I do perły jest niepodobna wcale,
Ale jest jako monstrum dziwne, drogie: —

To już myślałeś, że ja się zapalę
Do tego dziwu, jak dziecko ubogie
Pierwszy raz brylant słoneczny widzące
Na twej koszuli?... Bo wyznasz mi, hrabio,
Że Endymiona mirty i miesiące
Nie potrzebne ci były tu, gdzie grabią
Siano tak podłych, jak ja, pełne kwiatków!...
Dobrze więc! oto odpowiem ci szczerze,
Tem szczerzej, że tu jesteśmy bez świadków:
Ojciec mój daje mnie tobie, a bierze
Twoje pieniądze. Przebacz, że wyraźnie
Mówię... Mój ojciec ma ojcowskie długi,
A sam jest winien pół miliona w kaźnie,
A jutro wszystkim chłopom biorą pługi
I w każdej chacie stawiają żołnierza.
Więc, jeśli chaty te jutro posłyszę,
Że krzyczą: Boże! a Bóg nie uderza
Piorunem; jeźli duch, co we mnie dysze
Modlitwą,.. o! tej wioski nie obroni;
Jeśli mnie chłopki okrążą i padną
Do nóg, jakgdybym z gwiazdami na skroni
Stała w niebiosach, a ja męką żadną
Nie będę mogła wyratować ludu;
Jeśli Bóg z mego jedynie nieszczęścia
Chce siły, która, podobna do cudu,
Ten lud obroni: — to się do zamęścia
Z panem... przychylę.
. . . . . .

Z aktu II, scena III.

550) Idalia. Biedny ty, człowieku,
Że się wystrzegać musisz własnej mowy!
I ciągle być za serce — na tym ćwieku
Twojego krzyża! Jam mniejszej połowy
Historyi twojej wysłuchała, w grocie
Ukrytą będąc: — domyślam się reszty.
Jan. Jeśli tak, powiem Pani, że w istocie
Śpiewałem z bólu i z męki.
Idalia. A wiesz ty,
Że ja, słuchając, przysięgłam na ciernie
Chrystusa, że tej boleści pół biorę,
I będę tobie tutaj służyć wiernie
Sercem, co we mnie także bolem gore,
Także ranione. — Nie pytaj o więcej,
Ale wiedz, że tu jedne mamy cele:

Ty ustępujesz — bo kochasz goręcej,
Boś jest mężczyzną, bo masz mocy wiele,
I szlachetność ci męska nie pozwala
Za prawo serca, przeciw prawom ziemi,
Bunt podnieść. Lecz ja — ja — mnie tu krwi fala
Na brzeg rzuciła, żaglami złotymi
Płynącą; tu ja próchnieję — ja, dawniej
Różanym gwiazdom i kwiatom kochanka,
Ja, rozgłoszona już miłością sławniej,
Niźli niejedna Neapolitanka,
Sztyletem romans kończąca — a przecie
Tak porzucona, jak Basia lub Rózia,
W której się cała palestra w powiecie
Kocha i wierszem dzwoni, że jej buzia
Jest pełna cukru!... Horor! mówię tobie.
Bo, że ojczyzna ta mrze, to się zdaje,
Że wszystkie kwiaty więdną na tym grobie
I wszystko państwo ginie — a lokaje,
W panów ubrawszy się, wiodą romanse,
Serca zdobyte czepiąc u zegarka;
Potem poezye piszą i bilanse
Handlowe... Taka wielka gospodarka
W głowie tych ludzi teraz, że na wszystko
Jest czas i miejsce: to też wszystko blade;
Każdy jest panem, paniczem i chłystką,
Każdy od kuchty swego bierze radę,
A gdy co czyni, to siebie się pyta,
Czy kamerdyner się tam gdzie na boku
Nie śmieje. — Słuchaj! ja jestem kobieta:
To, co mam w sercu, to widzisz i w oku —
Wzgardę, ogromną wzgardę, błyskawicę!
Otóż tą wzgardą... z tą wzgardą, o Boże!
Z tą wzgardą ja tu wpadłam w nawałnicę
Nieszczęścia — i coś rzucam w mgłę — coś tworzę —
Coś — sama nie wiem; ale jestem pewna,
Że przyjdzie jaki wypadek, zdarzenie,
Które tonącej mi, jak kawał drewna,
Pomoże. A nie? — ha! to mam schronienie
Nie między ludźmi!...

Jan. Darujesz mi pani,
Lecz, jeśli tutaj jest jaka kobieca
Zemsta...

Idalia *(z śmiechem szydersko-bolesnym).*
To ona się nie ukołczani! —
Co?! — to ty, rycerz, nie spadniesz z księżyca
Na Ariostowym koniu i kochanki,

Jak sokół, sobie nie weźmiesz, z dziedzińca?
To za mnie bić się ty nie pójdziesz w szranki?
Cha! cha! cha! — ludzie myślą, że prócz sińca
Nic ofiarować nie można kobiecie!
Jeżeli nie dasz ręki — daj modlitwę,
Daj serce, sercem mi pomagaj skrycie!
Myśl twoją zawieś tak, jako rybitwę,
Nade mną — sercem bijącą, krzykliwą!
Niechaj mię broni, niech wiem, że nade mną
Jest kto mój — z parą skrzydeł sprawiedliwą,
Z szalą, która tu przez rękę nikczemną
Pofałszowaną nie była. I więcej,
Więcej żądałabym jeszcze od ciebie —
Ale to ledwo za kilka tysięcy
Lat człowiek będzie mógł dać zaraz z siebie.
. . . . . .

Akt V, scena I.

551) Fantazy.
Nieprawda... śmierć jest tą kolumną złotą,
Powietrza. — O! w tem powietrzu jest siła!...
O! to powietrze i ciepłe i wonne,
O! to ramiony memi ogarnięte,
Ma w sobie duchy piękne i niezgonne,
Jak ja, wyrwane z ciał, dawno poczęte,
Pełne miłości, jak ja, niewidziane,
A kształtem swoim świat rozpierające.
Czekaj, przy tobie tak za chwilę stanę
Powietrzem...

Idalia. Widzisz me serce dyszące?!...
O! znajdź, znajdź jakie słowo większej mocy,
Aby mnie w ciemnej śmierci rozmiłować!

Fantazy. Patrz — ta kaplica z krzyżem złotym, w nocy
Stojąca, jak duch, zacznie tu panować
Ducha naszego siłą... i z kamieni
Miłością świata lać sakramentalnie!
Jutro ten kościół tak się w nas wpromieni,
Jak w smętne światło, i będzie fatalnie
Działał na smutne duchy, serca młode —
Jak pieśń, która nam, dzieciom, w piersiach dzwoni.
Chodź! do kaplicy cię tej ciemnej wiodę.
Astarte!... o ty! bez lauru na skroni
Nieznanego tu ducha Beatricze,
Którą porwałem i aniołom niosę,
Chodź, chodź! i w Madonn się wpatruj oblicze

I w zachwyceniu świętem daj, pod kosę
Miesięczną śmierci cichej, twoją głowę!
Co mówię? — na niej stań, jak na miesiącu,
A on skrzydlaty z nami w światy nowe
Uleci — i w słońc ognistych gorącu
Postawi czoła nasze na granicy
Ostatniej, kędy ludzki duch dolata...
Chodź! chodź! chodź do tej, o siostro, kaplicy!
Chodź ze mną! stamtąd nie wyjdziesz bez brata,
Ani bez siostry ja — chociaż oboje
Bez ciał wyjdziemy...

Idalia. Duchu! w ręce twoje,
W twe usta ducha mego! —

Fantazy. Z błyskawicy
Twe usta, duchu mój!

Idalia. Chodź do kaplicy,
Niech świat za nami pędzi!

---

552) K) Złota Czaszka (1841?).

Pan Koniecpolski, alias Gwint.
Złota Czaszka, strażnik krzemieniecki.
Pani strażnikowa, jego żona.
Panna Agnieszka, jego córka.
Pan Gąska, regent.
Pan Milewicz, szlachcic.
Ksiądz, prowincyał franciszkański,
Inny ksiądz.
Zakrystyan.
Jankiel, Żyd arendarz.
Stanisław, skrybent.
Jan, Kleofas, Szaweł } studenci od Jezuitów.
Magda, dziewka.
Skopek, kaleka.

Rzecz dzieje się w Krzemieńcu — za panowania Jana Kazimierza.

Akt I. Scena I.

(Stancyjka Stanisława).

Stanisław, Jan, *później* Gąska.

Stanisław. Cóż tam, panie Janie? źle słychać, podobno, że pan strażnik krzemieniecki Złota Czaszka wydaje córkę swoją, pannę Agnieszkę, za pana regenta Gąskę... A cóż będzie z waćpanem?

Jan. Będzie, co Bóg zechce.

Stanisław. Zdaje mi się, że trzebaby złemu zapobiedz.

Jan. A jakim sposobem?

Stanisław. Pana Gąskę od małżeństwa odstraszyć! Słuchaj —

ja ćwik! Masz mnie; jeżeli chcesz, to usłużę. Oto naprzód — patrz; wykleiłem sobie wertep z papieru i będę chodził po domach, pokazując dyabła i anioła. To mi przyniesie kilka groszy — i będzie czem Boże Narodzenie pokropić. A waćpana podobno z domu strażnika wypędzono? — Otóż pomaluj sobie korkiem brwi, naucz się kolendy — a ja waćpanu wejście do domu pana strażnika ułatwię; pomówisz z panną Agnieszką w ciemnym kącie — a ja dziatwie i starym będę pokazywał dyabła w wertepie.

Jan. Cóż ja jej powiem? — ja jestem ubogi...
Pan regent jasnych atłasów naniesie,
Przyjedzie końmi karymi w kolesie —
Opowie, jakie ma pod domem stogi,
Jakie baranów, owiec pełne góry;
Jak te barany, jutro w Berdyczowie,
Przemieni w pereł kałakuckich sznury
I ją ubierze — że, jak aniołowie,
Będzie świeciła między siostry swemi,
Okryta blaskiem i gwiazdy złotemi!
A ja — co powiem? ja student, żak szkolny,
Co ja przyniosę?... Czy bławatek polny?
Czy narcyz biały? — Tu cały fundament:
Urząd — podkówki srebrne — aksamity:
Potrzeba czasem wyprawić traktament,
Potrzeba miejskie plotkarki, kobiety
Przynęcić i mieć wszystkie poza sobą;
A wiesz, że moja biedna matka wdowa —
Jedna jest tylko u nas w domu krowa,
I ta nie daje mleka! a ozdobą
Domu naszego jest — bocian na dachu,
Zamiast blaszanej z herbem chorągiewki!
U matki mojej przędą biedne dziewki —
Ona przedaje płótno... Tak, mój Stachu,
Być mi żołnierzem, nie strażnika zięciem!

Stanisław. Wiem, że nie jesteś hrabią ani księciem,
Ale pan strażnik także nie majestat.
Waćpan się tylko strój — niech panna kocha...
Lecz ot — ktoś wchodzi. — *(Wchodzi Gąska)*
Co widzę? Pan Gąska!

Gąska. Czy tu mieszka pan Stanisław, skrybent?

Stanisław. Ja jestem; do usług WPana.

Gąska. Hm... czy waćpan komponujesz wiersze?

Stanisław. Komponuję; co WPan rozkaże?

Gąska. Radbym mieć wierszem ułożoną kolendę... amoroso... w sposobie miłosnym... dla jednej panny, dla której mam afekt i postanowienie...

Jan. Dla Agnieszki?

Gąska. Skomponuj mi waćpan i napisz na najpiękniejszym papierze; rozumiesz? — Na wierzchu mają być kaligraficznie wydane dwa serca, jednemu uległe postrzałowi strzała srebrna, mocium panie, przeszywająca na wylot; — pod spodem miejsce na podpis... i jakie łacińskie symptoma.

Stanisław. Rozumiem, Wpanie.

Gąska. Co za to będzie należało — zapłacę. A proszę, aby dobrze było rezonowane i assumpt z wysoka; masz zadatek! *(wychodzi).*

Stanisław. Dukata rzucił! — Niech go dyabli — dukata rzucił! — Wiesz ty co?.. że... panna Agnieszka... e... e... e... dukata rzucił!.. Idź na żołnierza... idź na żołnierza! — Tu niema co robić gołemu człowiekowi, gołemu, jak bizunus. Niech go dyabli, jak płaci.

(Śpiewa). Póki nie obrośniesz pierzem,
Póki masz pchły za kołnierzem,
Requiescas!

Uf! to jakiś studukatowy szlachcic! — Chodź na wino do Jankiela! *(śpiewa).*

Póki nić ustrzyże Parka,
Żydóweczka nam szynkarka,
Lej, lej, lej!
Adonisie, z miłości się
Śmiej, śmiej, śmiej!

Chodź do Jankiela na wino!

Jan. Lecz co będzie z moją miłością?

Stanisław. Co? — Czy ja wiem, co będzie z twoją miłością? — Zatknij kwiat do czapki, ubierz się fantastycznie — i złap sobie jaką ciepłą wdowę, co ma pieniążki... *(wychodzą).*

Scena II.

(Szynk w zajezdnym domu).

Pan Koniecpolski — Jankiel, szynkarz.

Jankiel. Nu — a co tam słychać w Krakowie?

Koniecpolski. Źle, Żydzie, słychać; Szwedy w Krakowie — a Kozaki na Podolu — a jeszcze i Rakoczy ciągnie. Król Jan Kazimierz nie ma piędzi ziemi w Polsce.

Jankiel. Nu — tak cóż on zrobi? — a gdzie on?

Koniecpolski. W górach karpackich siedzi.

Jankiel. A co będzie, jak z gór wypędzą?

Koniecpolski. To pójdzie za góry.

Jankiel. A co będzie, jak za góry za nim pójdą.

Koniecpolski. Gałganie Zydzie, co ty mi pędzasz króla, jak Hamana. Zrobimy tu konfederacyę i wypędzimy Szwedów!

Jankiel. Ja nie przeczę.

Koniecpolski. Któż tu ma największe między szlachtą znaczenie?

Jankiel. Tak tu różnych jest panów; ale najbogatszy pan to pan strażnik, co dostał złotej czaszki.

Koniecpolski. Wytłómacz się, Zydzie!

Jankiel. Tak, to nie wielki pan, ale kochany bardzo między swymi i między nas, Żydków. Tak, to pan, co miał stłuczony łeb, a sprawił sobie złotą głowę, jak moja Siora, co nosi perły na głowie i brylanty. On ma złoty łeb — i dobry łeb — i stary łeb! — Pani strażnikowa to dobra kobieta; jest i panienka w domu, cymes panienka! — a idzie za mąż, za bogatego szlachcica...

Koniecpolski. Gdzie mieszkają ci państwo?

Jankiel. Tak pan idź na prawo; tam jest nad potokiem pod górą dworek biały i dwie lipy: tam państwo wielmożni strażnikowie mieszkają.

Koniecpolski. Trzeba mi do nich zapukać *(wychodzi).*

Jankiel. To jakiś haraburda! — Przyszedł robić szablistość... A czego on tu? Handel upadnie przez niego; przyszedł robić: zabij — wytnij — morduj! Ja nie widzę, żeby ten król był potrzebny, kiedy się bez niego obeszło... Trzeba mi zobaczyć, gdzie on idzie *(wychodzi).*

Scena III.

(Piekarnia w domu Strażnikostwa).

Pan Strażnik i pani Strażnikowa.

Strażnik. A cóż? każ serce, niech się dziewki zejdą na kolendę. Czy rozdałaś im wstążki?

Strażnikowa. Dałam każdej po wstążce i po tynfie — kontente! Ambrożemu nie dałam nic gotówką, boby się upił, ale kupiłam czapkę z barankiem...

Strażnik. A Gnusi coś dała?

Strażnikowa. Kornecik z czarnej koronki z różami.

Strażnik. A ja tobie co dam?

Strażnikowa. Nie szalej, dziadu! Czy ja jeszcze głodna na twoje fatałachy?... Ot wiesz co? Spraw Gnusi złotem szyte trzewiczki na korkach.

Strażnik. A weź serce na to z biurka pieniędzy i daj odemnie *(schodzą się dziewki)*.

No, dziewczęta, poprawcie kagańca i zaśpiewajmy o Bożem Narodzeniu. Serce, każ Gnusi, niech przyjdzie.

(Śpiewają).

Chrystus Pan się narodził,
Świat się cały odmłodził —
Et mentes.

Przyleciały łańcuchy
Łabędzi, srebrne puchy
Mutantes.

Nad sianem, nad żłóbeczkiem
Aniołek z aniołeczkiem —
Ridentes.

Puchu wzięła troszeczkę
Zrobiła poduszeczkę,
Dzieciątku.

Przyleciały wróbelki
Do Panny Zbawicielki —
Cantantes.

Potem je położyła
I sianem je nakryła
W żłobiątku.

Agnieszka *(wchodzi)*. Tatku, jakiś pan chce z tatkiem mówić.

Strażnik. Proś go tu, do piekarni. *(Agnieszka wychodzi)*.

Koniecpolski *(wchodzi)*. Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!

Strażnik. Na wieki wieków — Kto waćpan jesteś?

Koniecpolski. Jestem wojak, mości dobrodzieju!

Strażnik. A z jakich stron?

Koniecpolski. Z Ukrainy.

Strażnik. A jak godność?.

Koniecpolski. Nazywam się Gwint.

Strażnik. Familia acana dobrodzieja mi nieznajoma.

Koniecpolski. Wierzę; jestem z małej szlachty.

Strażnik. Ja także z małej...

Koniecpolski. Ale, jak słyszałem, z tęgiej?

Strażnik. Tak sobie! — Czemże mogę służyć acanu dobrodziejowi? — dziś dzień święty: zastałeś mię, z ludźmi śpiewałem kolendę. Siadaj waćpan! — Magdo, przynieś sztofik z szafki i pierniczki... Proszę, siadaj Wać.

Koniecpolski. Prosto waćpanu dobrodziejowi powiem, że przyjechałem tu robić konfederacyę.

Strażnik. U nas?

Koniecpolski. Czy to waćpana dziwi?

Strażnik. Miasteczko żydowskie, mościdzieju!...

Koniecpolski. Ale przecież tu mieszka i szlachta?

Strażnik. Są — są — ale nie tędzy!

Koniecpolski. Uważasz waćpan, że tu nie tak chodzi o rzecz, któraby miała szczęśliwy sukces — jak o danie pierwsze hasła narodowi, niszczonemu przez Szwedów i Kozaków. Wszak Waćpan służyłeś w wojsku?

Strażnik. Dotknij wać palcem; czy czujesz?.. twardy mam łeb — z kruszcu, mości dobrodzieju! Widać, że byłem cięty.

Koniecpolski. Słyszałem.

Strażnik. Więc waćpan jesteś przysłany do zrobienia konfederacyi — A kto przysyła?... Czy wolno spytać, kto przysyła?

Koniecpolski. Oto jest list.

Strażnik. Gnusiu! *(Wchodzi panna Agnieszka)*.

Agnieszka. Co, tatku?

Strażnik. Daj mi okulary... Widzisz, jaką mam tęgą dziewkę! słabe to, sucherlawe, ale nieszpetne; co?

Koniecpolski. Przystojna panna!

Strażnik. I dobra... *(bierze okulary)*. Idź precz, bo tu my mamy z sobą do pomówienia *(czyta)*. Więc waćpana sam król upoważnił? Ha! *(wstaje)*. Zrobimy, co się da... zrobimy... Jutro, wysłuchawszy trzech mszy u Franciszkanów, proszę tu panów braci szlachtę — i wypróbuję... A gdzie waćpan mieszkasz?

Koniecpolski. U Żyda Jankiela.

Strażnik. Przenieś się do mnie, tu będzie wygodniej.

Koniecpolski. Niedługo tu bawię, więc nie chciałbym waćpanu dobrodziejowi domu przewracać do góry nogami.

Strażnik. Jak wola; szczerem sercem proszę.

(Koniecpolski wychodzi)

Gnusiu, zawołaj mi matki *(wchodzi Strażnikowa)*.

Strażnikowa. A co, serce?

Strażnik. Jutro, serce, będziemy mieli wiele gości; przygotuj się na to, serdeniu.

Strażnikowa. Z jakimże to deszczem spadną ci goście?

Strażnik. Spadną, bo zaproszę — więcej babom wiedzieć nie trzeba. A słuchajno, serce! Trzebaby, żeby już ten pan Gąska, były marszałek, z naszą córką skończył; bo my nie długowieczni — a spadek niewielki. Cóż, czy ona się przychyla?

Strażnikowa. Nie męcz dziecka!

Strażnik. Waćpani jesteś nadto powolna; w tych rzeczach trzeba trochę musu.

Strażnikowa. Ale daj czas!

Strażnik. Bhu! Bhu!

Strażnikowa. Cóż to tak parskasz, dziadu?

Strażnik. Przygotuj waćpani córkę, bo się lękam, że pierwej mi zadzwonią na pogrzeb, niż na córki wesele.

Strażnikowa. Idź spać — idź spać, zrzędo, proroku czarny!

Strażnik. Dobrej nocy, moja babo! *(wychodzi)*.

Strażnikowa. Biedna moja Gnusia! Iść za takiego drewnianego człowieka w aksamicie!.. Gnusiu, a chodź tu!

Agnieszka. Co, mamo?

Strażnikowa. Staremu się coś ubrdało, chce koniecznie przyśpieszyć twoje wesele.

Agnieszka. O nie! o nie! Niech mnie mama broni, póki można.

Strażnikowa. Cóż ja będę zawsze ciebie bronić?... Trzeba, żebyś się zdecydowała. Pan Gąska przysłał podarunki. — Magdo! dobądź tam z komody zawinięcie w jedwabnej płachcie i przynieś... *(Magda przynosi)*. Widzisz? więcej ta jest złota, niż ty warta, błaźnico; łokieć tej koronki kosztuje pewnie dwa holenderskie dukaty. Jankielowa nie dawała czternaście tynfów bez targu... Cóż ty się tak skrzywiła? Smorgońska fioko, fiu fiu w głowie! przefuchasz

ty panieństwo i zostaniesz na koszu. Magdusiu, przypnij jej do głowy tego narcyza!

Agnieszka. Nie chcę, nie chcę, nie chcę!

(Wyrywa kwiat i depce go nogami).

Strażnikowa. Ale, Gnusiu, cóż będzie? — Trzeba panu Gąsce coś odpowiedzieć.

Agnieszka. Niech czeka.

Strażnikowa. Więc mu nie rekuzujesz?

Agnieszka. Rekuzuję.

Strażnikowa. Ale Gnusiu, ojciec chce...

Agnieszka. Mało czego ojciec chce! Powiedz mu mama, że ja za młoda, że jeszcze nie mam do stanu małżeńskiego powołania.

Strażnikowa. A skąd ty się nauczyła takich ekskuz, moja panno? Skąd takie kaprysy?.. Za młoda! — W twoim wieku już byłam matką Michała — niechaj Pan Bóg świeci dziecięciu! Byłby już teraz wojakiem, gdyby żył. Bóg daje, Bóg odbiera; niech będzie Jego wola przenajświętsza!... Ja widzę z miarki twojej na gorsecie, że ci czas na męża; namyśl się, bo okazya raz stracona nie wraca. Ja nie bardzom także kochała mego szczygła ze złotą głową i podrąbaną wargą, kiedym szła za niego — a teraz mi z nim dobrze. Trzy razy już adamaszek na kotarach naszego łóżka zblakował, a Bóg widzi, że nigdy nie odwróciłam się w gniewie od mego dziada, ani w niechęci zasypiałam. Pamiętaj, Gnusiu, że małżeństwo — to nie pierwsza para w draganta, co, jak skrzypak przestanie digać swoje, tak i ona tańcować. Małżeństwo — to sakrament!.. A jak nas Bóg zabierze, to przy kim ty się uwiesisz?... A pamiętasz, jak odwiedzaliśmy siostrę moją zakonnicę we Lwowie? — Piernikami cię nakarmiła — fioków papierowych nasypała do fartucha — i płakała! Wiesz ty, czego płakała? — bo się jej chciało dyrnąć z klasztoru i być choćby żoną chłopa, a nie zakonnicą! Pamiętaj, pamiętaj!

Agnieszka. Czy mama się od księdza Przeora nauczyła gadać kazanie?

Strażnikowa. Błaźnico jedna, przyganiasz ty matce?! — Myłam to, czesałam to, póki było młode — a teraz na starość

autorament w tej mendeweszce! A chore to, a nędzne to! a strzeż, jak porcynelę na stoliku! No, jeśli mi ty się stłuczesz, kraszanko! Pamiętaj: pókiś cała, to jeszcze dbam o ciebie; ale, jeśli mi się stłuczesz...

Agnieszka. Co mama gada? *(Wychodzi).*

Strażnikowa. Zaczerwieniła się. — Magdusiu!

Magda. Co Imość?

Strażnikowa. Nic, nic! Obudzisz mię jutro, jak świt, i rozczynisz ciasto w nieckach wielkich. Jegomość zapowiedział gości *(Wychodzą).*

Scena IV.

(Dom zajezdny. — Noc).

Pan Kleofas i Szaweł, studenci. — Jankiel.

Szaweł. Jankiel, wina!

Jankiel. A kto płaci?

Szaweł. Wina Żydzie!

Jankiel. A kto funduje? Waćpanowie studenty, nie ojce familiom.

Szaweł. Wina Żydzie! masz dukata.

Jankiel. Nu — kiedy dukata, to dukata... *(Kłania się).* A jakiego wina?

Szaweł. Jakie ksiądz Gwardyan franciszkański pije w piątek.

Jankiel. Zaraz przyjdzie. *(Odchodzi).*

Szaweł. I cóż dalej było z twoją miłością, Kleofazissime?

Kleofas. Co dnia, o godzinie piątej rano, chodziłem na ulicy, koło dworku Pana Strażnika czatując, jak będzie otwierała okiennice. Suka czarna Znajda już nie szczekała na mnie; okiennice takie, które zrazu skrzypiały na zawiasach, zaczęły się otwierać cicho, jakby je kto namaścił oliwą. Kamień był jeden pod murem na załamaniu ulicy, gdzie siadywałem z wielką zawsze konfuzyą et incertitudine...

(Żyd przynosi wino).

Szaweł. Podlej gardła.

Jankiel. Dobranoc, JW. Panowie studenty! A zagaście szabasówkę, idąc precz.

Szaweł. I podpalimy karczmę.

Jankiel. A za co karczmę?

Szaweł. Za to, że ukrzyżowała Pana naszego Jezusa Chrystusa; rozumiesz, Żydzie?

Jankiel. Nu — karczma nie winna.

(Rusza ramionami i wychodzi).

Szaweł. Cóż dalej?

Kleofas. Co dnia więc, o rannej zorzy,
Stawała mi w okiennicy;
Czekałem, aż okno otworzy,
I tak jak od błyskawicy,
Ślepłem, białością olśnięty.

Szaweł. Rozumiem.

Kleofas. Oczy jej to dyjamenty
Morską napełnione falą,
Zielone, gwiazdowe, przeczyste —
Jak błyskawica, ogniste;
Leją się strumieniem — palą,
Odwrócić się od nich nie można...

Szaweł. Oczy zielone...

Kleofas. Pobożna!
Widziałem, jak w usta bierze
Nieco powietrza i słońca
I czyste mówi pacierze,
I w pierś bije się bez końca.
«Moja wina! moja wina!»
Niewinna mówi dziewczyna,
Złocista w słońca promyku;
A u mej białej dzieweczki
Dwie róże, jak aniołeczki,
Siedzą w białym korneciku
I słuchają — i śmieją się z win...

Szaweł. Potem dzwonnik franciszkański
Zadzwoni na Anioł Pański:
Din don din! din don din!
A ty uciekasz; wszak tak?

Kleofas. Potem w swoje ręce bierze,
Jak Iris, tęczowy szlak,
I mówiąc ranne pacierze —
Jasna cała, jak lilia,
Ślicznych jeszcze pełna kras,
Ojcu jasny trzyma pas;
A on się w tęczę obwija,
Poważnie się kręcąc w koło;
Potem ją całuje w czoło
I w złotym pasie wychodzi
Pod lipy...

Szaweł. Tatko dobrodziej!...
Słuchaj — i tak zawsze z daleka patrzysz?
Kleofas. Tak zawsze patrzę z daleka,
Jak z jej rąk tęcza ucieka,
Jak gołębie z ustek jedzą,
Jak w kornecie białym siedzą
Wielkie, rozkwitnięte róże,
Myślami jej w pracy pomagam,
Myślami jej, jak pachołek, służę;
Gdy ją dotknę myślą, to się wzdragam
I przepraszam na kolanach,
Jak najświętszą Pannę Maryją.
Szaweł. Her Jejzus! ten młokos zwaryował.
Kleofas. Coś mi śpiewa w domu ścianach,
Jakby je ze strun budował
Dla serc, co młodością biją,
Jaki Anioł — budowniczy!...
Kiedy powraca z pastwiska
Wieczorem ich krowa i ryczy:
Czy z daleka czyli z blizka,
Czy ryknie na światło księżyca,
Znam, gdy głos leci z gościńca
I znam, kiedy jałowica
Woła z kochanki dziedzińca...

Szaweł. Her Jejzus! zwaryował! Gada, jak pozytywek. Podlej gardła!... Lecz ciebie z domu wypędzono?

Kleofas. Nie wspominaj mi!

Szaweł. Pan strażnik powiedział, jak słyszałem, że masz obdarte łokcie.

Kleofas. Kto ci to mówił?

Szaweł. Nie zżymaj się!...

Kleofas. Kto śmiał — powtórzyć?!

Szaweł. Widzisz? — Zdradziłeś się! Więc nazwał ciebie obdartusem, a ty cierpisz?...

Kleofas. Ja...

Szaweł. I plamisz w osobie swojej honor szkół! szkolną fanę w obeldze umoczoną gnoisz! Na furdament pałasza, jeśli jej nie uwiedziesz, będziesz kpem.

Kleofas. Zgubić ją?

Szaweł. Cóż to? Czy ty nie wart córki Strażnika Złotoczaszki? Alboż to on senator? — Idź Wać pod okno: już zaczyna

szarzeć powietrze — a staraj się, aby ci wyznaczyła schadzkę; o to się tylko staraj! *(Wychodzą).*

---

553) L) Tak mi Boże dopomóż.

(13 lipca 1842).

Idea wiary nowa, rozwinięta,
W błyśnieniu jednem zmartwychwstała we mnie.
Cała, gotowa do czynu i święta.
Więc niedaremnie! o niedaremnie!
Snu śmiertelnego porzuciłem łoże.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Może ja biedny — ale serce moje
Może pomieścić ludzi miliony,
Co wszyscy ze mnie będą mieli zbroje —
I ze mnie piorun mieć będą czerwony, —
I z mego szczęścia do szczęścia podnoże,
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże.

Za to spokojność już mam i mieć będę,
I będę wieczny — jak te, które wskrzeszę —
I będę mocny — jak to, co zdobędę —
I będę szczęsny — jak to, co pocieszę —
I będę stworzon — jak rzecz, którą stworzę,
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Chociaż usłyszę głosy urągania,
Nie dbam czy wzrastać będą — czy ucichać...
Jest to w godzinie wielkiej zmartwychwstania,
Szmer kości, który na cmentarzach słychać,
Lecz się umarłych zgrają nie zatrwożę,
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Widzę wchód jeden tylko otworzony
I drogę ducha tylko jednobramną...
Trzymając w górę palec podniesiony,
Idę z przestrogą — kto żyw — pójdzie za mną...
Pójdzie... chociażbym, wszedłszy, szedł przez morze...
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!...

Drugi raz pokój dany jest na ziemi
Tym, którzy miłość mają i ofiarę
Dane zwycięztwo jest nad umarłemi,
Dane jest wskrzeszać tych, co mają wiarę...
Na reszcie trumien — Ja — pieczęć położę.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Lecz tym co idą — nie przez czarnoksięstwa
Ale przez wiarę dam, co sam Bóg daje —
W ich usta włożę komendę zwycięztwa,
W ich oczy — ten wzrok co podbija kraje —
Ten wzrok, któremu nic dotrwać nie może.
Tak mi dopomóż Chryste, Panie Boże!

Z pokorą teraz padam na kolana,
Abym wstał silnym Boga robotnikiem,
Gdy wstanę, mój głos będzie głosem Pana,
Mój krzyk — Ojczyzny całej będzie krzykiem,
Mój duch — Aniołem, co wszystko przemoże,
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Ł) Ksiądz Marek.

Poema dramatyczne w trzech aktach (1843).

Podajemy tu wyjątki, odtwarzające najsilniej nastrój heroiczno-mistyczny, odbity w tym utworze z niezmierną potęga wiary i uczucia.

Akt I.

(Szopa wyporządzona jak na zebranie koła rycerskiego).

Wchodzą: Starościc z Baru i Towarzysz pancerny.
(Słychać zdaleka śpiew konfederacki).

Towarzysz.
Słyszysz pieśni — oto z pola
Rycerze nasi wracają.
Starościc.
Mam taką harfę Eola
W Anielinkach nad strumykiem;[1])
Lecz jej struny tak nie grają
Z szumem liści, ze słowikiem,
Tęskno, dziko i żałośnie:
Jak ta pieśń, co w hymny rośnie.
Towarzysz.
Wracają pełni zapału,
A ksiądz Marek karmelita
Ludziom błogosławi z wału.
Starościc.
Jak miło, gdy młodość rozkwita!
Gdy krwią biją wszystkie żyły!
Rzucić się pod sztandar Boży,
Co w stepach, z dawnej mogiły
Jak tęcza, która na chmurach
Słońce gdzieś ojczyste tworzy;
Błyska, i na złotych piórach
Dusze rycerskie unosi! —
A ta pieśń co Boga prosi
O łaskę, politowanie;
Taka miła jak pieśń dziecka,
Rubaszna — jak pieśń szlachecka,
Święta jak organów granie,

[1]) Anielinki, wieś, a może tylko folwark i dwór na Podolu, należący do dóbr Ladawa, które w wieku XVIII posiadali Dzieduszyccy. W czwartej pieśni «Beniowskiego» Aniela donosi Zbigniewowi (oktawa 39 i 40) że ojciec wyjeżdża z nią przed niepokojami wojennymi do Warszawy, lecz ona nie zapomni nigdy chwil w «Anielinkach pod słomianym dachem». Opis Ladawy, znanej poecie, mieści pierwsza pieśń Beniowskiego.

A świeża jako zaranie
Przyszłych nadziei narodu —
Tak trzęsie całą mieściną,
Że bez żadnego powodu
Kiedy słucham — łzy mi płyną!
Pieśń Konfederatów *(za sceną).*[2])
Nigdy z królami nie będziem w aljan-
[sach,
Nigdy przed mocą nie ugniemy szyi,
Bo u Chrystusa my na ordynansach —
Słudzy Maryi!
Więc choć się spęka świat i zadrży
[słońce,
Chociaż się chmury i morza nasrożą,
Choćby na smokach wojska latające,
Nas nie zatrwożą.
Bóg naszych ojców i dziś jest nad
[nami
Więc nie dopuści upaść żadnej klę-
[sce;
Wszak póki On był z naszymi oj-
Byli zwycięzce! [cami,
Więc nie wpadniemy w żadną wilczą
[jamę,
Nie ulękniemy przed mocarzy wła-
[dzą,
Wiedząc, że nawet grobowce nas
Bogu oddadzą. [same
Ze skowronkami wstaliśmy do pracy,
I spać pójdziemy o wieczornej zorzy;
Ale w grobowcach my jeszcze żoł-
I hufiec Boży. [dacy
Bo kto zaufał Chrystusowi Panu,
I szedł na święte kraju werbowanie,
Ten, de profundis, z ciemnego kur-
Na trąbę wstanie. [hanu,
Bóg jest ucieczką i obroną naszą!
Póki on z nami, całe piekła pękną!
Ani ogniste smoki nas ustraszą,
Ani ulękną.
Nie złamie nas głód, ni żaden frasu-
[nek,
Ani shołdują żadne świata hołdy:
Bo na Chrystusa my poszli werbunek,
Na jego żołdy. —
Starościc.
Ponieśli dalej sztandary,
Poszli dalej z bronią w ręku;
A ta pieśń na fundum wiary
Anielskiego pełna jęku,
Ściąga nam: cuda, zjawienia,
Przelotne niebios humory,
Gwiazdy z grzywą, meteory,
Nocne słońca — łby z płomienia,
Szwadrony w zbrojach nieznanych,
Po obłokach malowanych
Idące truchtem i cwałem.
A jak wczora, sam widziałem,
Będąc na straży w mieścinie —
Pana naszego obrońce,
Co siedmio-mieczowe słońce
Na serca jasnym rubinie
Zapaliwszy, stał na chmurach.
I nie sam świadczę o cudzie,
Ale wszyscy moi ludzie.
Wszystkie szyldwachy na murach
Widzieli ten wizerunek
Doloris, jak brał kierunek
Ku Wschodowi, świecąc miastu.
Widać, że nasz okręt tonie,
Że potrzeba mu balastu,
Więcej szabel — więcej ducha,
Więcej serca — w naszem łonie:
Bo ta wielka zawierucha
Niebios, wszystkich nas pochłonie.
Towarzysz.
Ksiądz Marek wczoraj to z ducha
Wytłómaczył na ambonie,
Mówiąc o różnej pokusie.
Miecze te, powiada, bolu,
Bolące Panu Jezusie,
To są, gorsze od kąkolu,
Wady na ojczystym polu,
Z których boleść ma Ojczyzna.

[2]) Jest to porywające siłą uczucia pszekształcenie starej pieśni konfederatów barskich, tworu nieznanego autora, osnutnej na myślach i obrazach psalmu 46 («Deus noster refugium»), który już w połowie wieku XVI, w epoce reformacyi, był przez również bezimiennego poetę przełożony z niepospolitą siłą wysłowienia.

Pierwszy miecz co w niej usterka,
Mówił, jest to francuszczyzna,
A drugi miecz, to szulerka,
A trzeci, to kieszeń stratna,
A czwarty, kobiece rządy;
Piąty — to przedajne sądy,
A szósty, zawiść prywatna,
A siódmy, zgniłe sumienie.
Te wszystkie, mówił, ościenie
W jednem sercu co je mieści,
Zatknięte ręką morderczą,
Jako błyskawice sterczą;
Jak słońce srebrne boleści,
Słonecznik siedmio-mieczowy,
Co ma w środku serce Boże,
A na rękojeściach głowy,
Do panów naszych podobne.
I znów o każdym upiorze,
O każdym mieczu magnacie
Mówił powieści osobne,
Jak sędzia na majestacie,
Sądzący zbrodnie czerwone. —
Potem kazał przed amboną
Przynieść trumnicę z kościarza,
I sam z ognistą powieką,
Nogą odrzuciwszy wieko,
Kiedy się pył ruszył z kości,
Krzyknął: oto proch smętarza,
Który w żywych obecności
Będzie sądzon, jak wy sami
Kiedyś nakryci trumnami,
Przez lud będziecie sądzeni —
Oto jest proch z trupa rdzeni!
. . . . . .
. . . . . .

Wchodzą i zasiadają na ławach: Pan Marszałek Konfederacyi Krasiński, Pan Regimentarz Pułaski, Ks. Przełożony Karmelitów — i wielu ze szlachty.

Regimentarz *(z manifestem w ręku).*

554) W imię Boga nieśmiertelne!
I w imię Bożego Syna!
I w imię Bożego Ducha!
Przed tym światem co patrzy i słucha,
Jak się nasza krew tu lać zaczyna,
I wulkanem pomsty z nas wybucha,
I wulkanem jęków nas przeraża —
Przed ziemią co nas spotwarza,
Że już ojczyzny nie mamy
I o nią się dobijamy —
Z mieczem w ręku przed tronami,
Któreśmy kiedyś zakryli —
Od Turka naszemi szablami —
I przed dzieciątkiem, co kwili —
I przed starcem, co grób kopie —
I przed chłopkiem, który siada
Jak Ceres, na złotym snopie
I płacze, gdy o nędzy gada. —
Przed magnatem, co krew żłopie
Ludu wnętrzności wyjada
I złoto skrwawione chowa —
I przed tą, która jest wdowa
Po mężu za kraj poległym —
I przed wiekiem już ubiegłym.
I przed tym, co w czasów prądzie
Na sąd trupów naszych idzie —
Wydarci przeszłej ohydzie
Stajem z tym pismem na sądzie!
Sądem krwi nie przerażeni,
Ani dumni, ani bladzi:
W środku rzezi i płomieni,
Przy biciu gwałtownych dzwonów
Pany na czele czeladzi,
Wodze na czele szwadronów,
Księża, tłum prowadząc niemy
W blasku krzyżów i kagańców,
Dawnych świętych zmartwychwstańców;
Na sądzie wszyscy stajemy!
I podnosząc ręce blade,
I wskazując rany święte,
Tę wszystkich narodów zdradę
I to morderstwo nieświęte,
Na naszych spełniane ciałach,
Rzucamy w czasu koryto.

Bogdajby kiedyś odkryto,
Że na tych przekleństwa skałach
Zatrzymane ludów wody,
Pierś swoją o nas rozbiją —
Staną i w kałużach zgniją,
Nie mogąc wejść na te wschody,
Któreśmy sypali sami
Wiekom — kładąc się trupami.
Bogdajby kiedyś odkryto,
Że tu, gdzie nas zabijano,
Ludów patronkę zabito!
Że tu, gdzie Polski kolano
Pierwszy raz przed nędzą klękło:
Nowa jest ludów Kalwarya. —
A tam, gdzie jej serce pękło,
Gdzie zapłakała, jak Marya:
Jest miejsce lamentowania. —
A tam, gdzie ją kat pogania
Knutem, cierniami i spiżem,
A ona padła pod krzyżem,
W koronie z blasków słonecznych:
Jest miejsce upadków wiecznych —
I śmierci okropna przystań.
A tam, gdzie matka rycerzy
Choć w grobie, w grób nie uwierzy:
Jest miejsce wieczne zmartwychwstań —
Jest duch co z grobu wyrywa
I kos żadnych się nie boi. —
Panowie! to miejsce stoi!
To miejsce Bar się nazywa!
Tu my, rycerze bez plamy,
Z odkrytą przed Bogiem głową,
Pod chorągwią Jezusową
Za kraj nasz poumieramy;
Zatknąwszy wieczne sztandary
Dla miłości prawd i wiary! —

Marszałek.

Szanowny Regimentarzu!
Mówisz tak, jak na Golgocie,
Mówisz tak, jak na smętarzu —
I takby się nam w istocie
Należało dziś zachować;
Krzyże nosić i całować,
Samym je zatykać w ziemię,
Nauczając przyszłe plemię,
Jak los przeciwny pokona.
Za prawą rękę i lewą
Dać się przybijać na drzewo,
Aby widział nasz morderca,
Że otworzywszy ramiona,
Pokazujemy i serca.
Ale sądzę, mój kolego,
Że wola Nieśmiertelnego
Chowa nas na większe czyny!
Więc z tej ubogiej mieściny
Gdzieśmy się teraz zamknęli,
Nie chciałbym uczynić jeszcze
Grobu dla obywateli.

Regimentarz.

Panie, przechodzą mię dreszcze!
Z gwałtownego chłonę żaru! —
Pierwszy raz ktoś mówi w radzie
O hańbie, o wyjściu z Baru —

Marszałek *(dobywając w pół szabli).* Hańba! Cóż to mi ty —?

Regimentarz.

Panie!
Niech twoje słowo zostanie
W gardle, szabla niech się kładzie
Do snu i niech się nie budzi.
Dawno ja żyję śród ludzi!
Z różnemi panami żyłem,
Obelgi nieraz znosiłem,
Dla ojczyzny — i dziś zniosę.
A jeśli kto mimowolną
Obaczy na rzęsach rosę
U obelżonego starca!
To także, i mnie mieć wolno,
Przy białej siwiznie marca,
I lód co szkłem w oczach świeci —
Bo ja mam aż czworo dzieci,
Aż czworo żywych pod niebem!
A gdy na mnie hańba spada,
To panie, tym jednym chlebem
Nas pięcioro się najada —
A czy to łza w oczach stoi,
I błyszczy w źrenicy biednej;
To pięcioro się napoi,
Panie, z tej wielkiej łzy jednej.
Bo kto na świat się nie gniewa,
Często, chociaż łez nie leje,

W serce — rzeki łez wylewa.
Marszałek.
Jeślim obraził — boleję.
Regimentarz.
Dosyć. Gadajmy o Barze.
Więc wola jest rzucić miasto?
Marszałek.
Dosyć spojrzeć tu na twarze —
Żaden tu nie jest niewiastą
Ani dzieckiem nie jest w duchu.
Widziano nas przy armatach —
Lecz dać się ciągnąć w łańcuchu?
I przy ruskich kazamatach
W błocie przed Branickim legać?
Mnie, co jestem z panów panem,
Nazywać jego hetmanem?
I grzeczności z nim przestrzegać?
Być jego sługą? Gdy mogę,
Do Turczech dziś pojechawszy,
Jutro tu powrócić krwawszy,
Zgnieść tę moskiewską stonogę,
Stanąć mu butem na głowie,
Królowi napędzić strachów. —
Cóż? — Czy nie prawda panowie,
Że tak lepiej! z hufcem spahów!
Szlachta.
Lepiej!
Marszałek.
Zgodne głosy słyszę —
A oto patrzcie — *(Dobywa listu)*
tu pisze
Pan Potocki nasz Podczaszy,
Że Turek już Moskwę straszy
Nad Prutem, stanąwszy w sile —
Cóż mu po naszej mogile?
Szlachta *(krzycząc)*.
Do Turków całemi szwadrony! —
Ksiądz Marek *(Wchodzi)*.
Niechaj będzie pochwalony
Jezus Chrystus. — Szatan głuchy —
(Na stronie)
Żaden nie dał odpowiedzi.
W tej szopie widać złe duchy
I zło — co otworu śledzi
Aby zerwać naszą zgodę.
Gdzie tylko okiem powiodę
(Głośno)
Zasmucone widzę twarze —
Regimentarz.
Mój księże, źle z nami w Barze —
Myślimy z miasta uchodzić.
Ksiądz Marek.
A miastem kto ma dowodzić?
Regimentarz.
Na cóż dowództwa w pustoszy?
Marszałek.
Dosyć tej wojny kokoszy!
Tej manifestów papierni!
Byliśmy krajowi wierni
I wiernie jemu dotrwamy,
Lecz tu w Barze już nie mamy
Prochu, jadła, ni pieniędzy.
Gorszy pocałunek nędzy
Niż pocałunek Judasza;
Bo często odwagę zdradza,
I wszystkie cnoty rozpłasza,
I w śmierci — hańbę doradza.
Ksiądz Marek.
Marszałku! panie narodu,
Czyś ty dzisiaj doznał głodu?
Otruł się na miejskiej wodzie?
I pomyślal o tem w głodzie,
Ażeby naród opuścić? —
Pan Bóg ci może odpuścić,
Jeśli to się w głodzie stało,
Jeśli twoje biedne ciało
Zaczęło się trząść na kości —
Pan Bóg jest pełny litości
Jeśliś głodny był — przebaczy —
Lecz Panie! o, ta stodoła
Tego mi nie wytłumaczy,
Przez jakiego ty Anioła
Ducha — byłeś ogłodzony?
Powiedz? czy upiór czerwony,
Jakie rodowe widziadło,
Odpycha od ciebie jadło?
Straszy cię, jeść nie pozwala?
Albo krwią okrzepłą kala
Ten chleb, który bierzesz w usta? —
Mówisz o nędzy? — Ta pusta
Stodoła, ta szopa żyda,
Panie, pałacem się wyda,

Jeśli ją, który z twych wnuków,
Ujrzy wygnańca oczyma.
Patrzaj, co tutaj jest bruków
Z jedwabi — gdzie okiem trącę,
Dywan na powietrzu trzyma
Srebrne gwiazdy i miesiące —
Kwiaty, takie winogrady,
Że dają oczom pokusy,
Więc także blade turkusy
Patrzą, niby na obrady,
Z szabel brylantowych czoła,
Jakoby oczy aniołów.
Więc ten dom i od kościoła
Bogatszy — bo dół kościołów
Często z ludzkich trumien bywa —
A tu morze złota pływa
Po pas w tej żydowskiej stajni.
Więc jeżeli wy przedajni? —
Czego nie daj Boże wielki —
Kto was kupi? gdzie są fanty —
Kto znajdzie takie brylanty
Coby waszej krwi kropelki
Były godne? warte były?
Więc wyznaj, że ani nędza,
Ani głód jedzący żyły
Poradził. — Ale ta jędza,
Co krew polską dawno chłepce,
Tchórzostwo do ucha szepce —
Nie chwytaj za miecz człowieku!
Ja ksiądz prosty, powiem tobie,
Że tu leży Polska w żłobie,
Lecz Polska nie tego wieku,
Żywa — nie przez nasze czyny.
Szanuj sen świętej dzieciny,
Która, gdy oczy otworzy,
A uczuje boleść ciała,
Najpierwej będzie płakała,
Taka ją ciemność zatrwoży
Z naszych grobów uczyniona —
I brak matczynego łona
Tak ją w żłóbeczku rozkwili! —
Szanuj! bo tu, gdzieśmy żyli,
Śród naszej niby opieki,
Bogu i ziemi na chwałę,
Poczęło się dziecko małe,
Które będzie żyło wieki!
O! gdybyś wiedział jak one,
Przed narodami wystrzeli,
Jaką ogromną koronę
Włoży — jakie berło chwyci!
Chociaż wódz obywateli,
Co są w rodach znakomici,
Nie śmiałbyś, przed tą maleńką,
Ruszyć ni szablą, ni ręką,
I stałbyś tam u podwoi,
Jak żebrak przed królem stoi. —
Ja ci nie powiem, kto ona;
Pozwalam jak szaleńcowi
Pożyć, a sam też w ramiona
Nie wezmę piastować żłobu:
Bom jest już podobny snowi,
Blizki męczeńskiego grobu.
Ale że tu jest to dziecię,
To widzą małe ptaszęta,
Swiergocące mu w błękicie,
Gdzie słoma wichrem podjęta
Błękit niebios pokazuje. —
Koń to już wojenny czuje,
W kącie stojący przy ścianie,
Bo kiedy poczucie ducha
Pójdzie ludziom w urąganie:
To świat go podlejszy słucha,
I nieraz harfą się stanie,
Na którą duch Boży dmucha,
Aż słońce się ludziom odsłoni. —
Człowieku niech cię Bóg broni,
Abyś zwątpił o proroctwie!
Bo wkrótce, w całem sieroctwie
Twego nieszczęsnego rodu,
Gdy odrzucon od narodu,
Krwią się do krzyża przyklei,
Sercem przylgnie do przyszłej ojczyzny:
Nie zostanie — prócz nadziei —
Żadnej po ojcach puścizny! —
Nie zostanie, gdy wyjęczy
Całą boleść. Tylko Panie,
Oto się chwytać tej tęczy,
Którą przez wieków otchłanie
Z proroczych ust teraz ciskam.
Więc się nie dziw, że tak błyskam
Jak Mojżesz duchem natchniety,

Żem jest, jako ów Jan Święty,
Widzący to — co ja widzę —
Bo, zaprawdę, jestem w lidze
Z duchami i ze świętymi!
A chociaż nizki na ziemi,
To duchy okryte zbroją
Na ramionach moich stoją!
I kończą się gdzieś w bezkońcach—
W świecie — gdzie gwiazd zawie-
[rucha,
W gwiazdach, w meteorach, w słoń-
[cach,
Za słońcami, w słońcu ducha.

Marszałek.

Czegóż chcesz w tej egzaltacyi?
I co ma ona za związek
Tu, gdzie pierwszy obowiązek
Zbawić panów, naszych braci,
Szlachetnych ludzi ostatki?

Ksiądz Marek.

Panie, zostań! z tej gromadki
Nie zginie żaden —

Marszałek. Kto ręczy?

Ksiądz Marek.

Pan.

Marszałek.

Co za znak?

Ksiądz Marek.

Zagrzmi działo — —

(Po chwili milczenia słychać strzał).

Czy słyszycie że zagrzmiało?
Aż belka w stodołach brzęczy
Jak echo kościelne nad ludem.

(Wchodzi artylerzysta polski).

Artylerzysta.

Panie! pękło nam na ćwierci
Jedno działo, ale cudem
Puszkarze uszli od śmierci,
Myślą, że świat cały runął.
Śledzą kto ognia podsunął
I kupią się — a szlachectwo
Już krzyczy: ogień i zdrada —

Marszałek.

Czyli to boskie świadectwo
I głos, który z niebios gada?
Czy zrządzenie przypadkowe?
O to nie zachodźmy w głowę.
A jeśli takie portenta
Brać nam za rozkazy z nieba?
To armata rozpęknięta
Mówi — że wyjeżdżać trzeba,
Unosząc ducha i serce.

(Wstaje).

Ksiądz Marek.

Zabierz z sobą te kobierce —
Własnością są twego rodu.
. . . . . .

Regimentarz.

Upadać Polska zaczyna!
Zarzucam żupana połę
Na oczy, by nie widziano,
Czy z twarzą wstydem rumianą,
Czy z twarzą łzami zalaną
Stary Puławski odchodzi.
Pole teraz waszej młodzi:
Niechaj nowe gniazdo lepi;
Bo oto my wodze starzy,
Jako żebrakowie ślepi,
Uchodząc z narodu straży,
Ręką macamy, gdzie wrota
Co na wygnanie prowadzą.
Niech wam duchy boskie radzą!
Niechaj rośnie patryota
I nowy kościół zakłada —
Co do mnie — byłaby zdrada,
Gdybym nie szedł na Podole,
Gdzie pan Marszałek nas wiedzie —

Ksiądz Marek.

Szablę zostawisz na stole!

Regimentarz.

Kto był na cudzym obiedzie,
Nie bierze sztućców gościnnych,
Ale zostawia dla innych
Zaproszonych, na dzień drugi.
Weźcież miecz pańskiego sługi
Przezemnie tu zostawiony,
I czyńcie z nim co potrzeba:
Na ucztę wołajcie wrony
I kruki i pomsty z nieba.

(Wychodzi).

Ksiądz Marek.

Szabla mi się nie należy,

Lecz przez nią Pan Bóg uderzy.

(Przypasuje pałasz).

Ksiądz Przełożony Karmelitów.

Ja także na żadną zgrozę
Nie wydam pańskich ołtarzy;
Lecz obnażę z relikwiarzy
I sakramenta uwiozę,
Aby splamione nie były.

Ksiądz Marek.

A nam zostawisz mogiły?
Ojcze! Ojcze przełożony!
Gdyby tu jedna owieczka
Pańska, jeden człek raniony
Miał zostać w nędznej mieścinie,
Co podobna do okrętów,
Na morzu rozpaczy ginie:
Gdyby ten jeden, o Panie,
Ranny wołał sakramentów!
Rękę swoją kładł na ranie,
Głowę zwiędniałą pokłonił
I tchu duchowego bronił,
Z rozpaczą w zawrotnej głowie?
Aż Pan Bóg przyjdzie i powie
Słowo ostatniej pociechy:
«Przebaczone ci są grzechy —
«Duszo święta wychodź z ciała!»
Gdyby jeden został taki,
Najlichszy między żebraki,
Pańska by przy nim została
Myśl i miłość Pańska przy nim. —
A my co, mój księże czynim,
My, co o jutrze nie wiemy,
A tu grzeszni zostajemy,
Aby tego jutra dożyć:
Gotowi żywot położyć
Nakryć się prochu mogiłą,
Ducha oddać w ogniu, w dymie.
Byle się tylko świeciło
Przenajświętsze Boga imię.
. . . . . .
A gdy na to odważeni,
Zostajemy tu na rzezie,
Ty myślisz, ojcze wielebny,
Że nam kto Boga uwiezie?
Że nam Bóg jest niepotrzebny
Charłakom, jęczącym w nędzy? —
Więc Pan, tej jedwabnej przędzy
Nie chciał zwlekać przez hajduki:
I zostawił złote bruki,
Po których chodził wspaniale,
Jak na opuszczonej skale
Morze swe perły zostawia!
Więc drugi, którego wsławia
Nie ród, lecz wielka ofiara,
Droższa od pereł, rubinów,
Uczyniona ze krwi synów —
A przecież? kiedy go wiara
W moc własnej szabli odbiegła,
Zostawił ją, aby strzegła
Rzeczy od człowieka świętszych,
Kościołów i serc gorętszych,
A osadzonych na Bogu.
A ty sam, z kościoła progu
Uchodzisz! ksiądz poświęcony?
. . . . . .
Lecz ksiądz, co Boga uwozi
I ucieka z nim za bramy?
Tego my jeszcze nie znamy
W Polsce od dawnego wieku!
A co ty wiesz? ty — człowieku!
Czy Bóg nie chce zostać z nami
I patrzeć jak umieramy?
I karmić sakramentami?
I dusz naszych wszelkie plamy
Krwią swoją obmywać drogą?
A co ty wiesz? czyli trwogą,
Włożon do twoich zanadrzy
Duch sakramentów nie zadrży?
I nie zlęknie się tych kości,
Gdzie żaden już duch nie gości? —
A co wiesz? — czy tajemnice
Po sakramentach zamknięte,
Nie pierzchną, by gołębice
Nie zlecą się w jedno święte
Miejsce — gdzie były już miecze,
A teraz jest pokój Boży —
W to biedne serce człowiecze,
W moją pierś, co się otworzy
Pełna radosnej boleści —
I wszystkie! wszystkie pomieści!
Nie — Boga nie weźmiesz zgoła,

Boć to nie jest tobie dane —
Oto idę do kościoła,
Sakramenta porwę w dłonie
I pójdę i śród kul stanę.
Ksiądz przełożony.
Temu księdzu na ambonie
Tumanić ludem zakażę *(wychodzi)*.
Ksiądz Marek.
Idźcie! idźcie! — a ja w Barze
Z ostatkiem ludu zostanę.
Zbiorę całą moją rzeszę,
Tęcze moje chorągwiane
Na miejskich wałach rozwieszę,
I odprawię nabożeństwo
Święte, do krwawego krzyża:
A Pan, co ludy uniża,
Da mi tryumf — lub męczeństwo —
I swoją wolę pokaże.
(Wychodzi z resztą szlachty).

555)

(Wchodzi Judyta *z nożem w ręku, za nią* Kosakowski i Bojwił).

Judyta *(do Kosakowskiego)*.
Nu! ja cię nożem przebiję,
Ja nie twoja nierządnica —
(Do starościca)
Panie! od tego szlachcica
Ratuj! skoczył mi na szyję,
Jak wąż, jak płomień z pod ziemi,
Wyskoczył do mnie w alkierzu.
Patrz! on cały w prochu, w pierzu,
Z oczyma zapalonemi,
Jak Edomit —
Kosakowski. Milcz szatanko!
Judyta.
Patrzaj ty na mnie człowieku!
Jestem Izraelitanką!
Mój Bóg nie wisiał na ćwieku,
Nie pił octu i piołunów,
Ale stał na wielkiej górze
Pośród dwunastu piorunów,
W czarnej i ognistej chmurze —
I rozbłyskał się na całe niebiosa!
Otóż ten Bóg teraz broni
Każdego mojego włosa,
A pioruny trzyma w dłoni,
Bóg Izraela i Judy,
Pioruny nad twoją skronią!
A jak spojrzy to się góry po-
[kłonią!
A jak błyśnie — to ślepota na ludy!
A jak zagrzmi — to się groby od-
[słonią,
A jak ścichnie — świat się cały
[odmieni,
A skrę rzuci — to świat będzie
[z płomieni,
I w słoneczne się ognie roztrzaśnie.
A brwi zmarszczy na czole, to zgaśnie
Jako węgiel pod wodą i syknie;
A gdy rękę podniesie — świat zni-
[knie
I nie będzie ani mnie, ani ciebie,
Tylko ciemność i sam Pan Bóg na
[niebie.
I któż jesteś ty? gwałtowny goimie,
I któż jesteś ty, chrześcianinie?
Że chcesz Bogiem być judzkiej
[dziewczynie,
Jak ten drugi co w Jerozolimie,
Choć poselstwa do Judy nie mając,
Zaćmił księżyc i słońce, konając.
Któż ty jesteś? Nu — że chodzisz
[cieniem
Jak duch jaki za owczym gdzieś
[runem?
I dotykasz się piersi piorunem?
I z rąk chwytasz za szyję — płomie-
[niem? —
Nu — ty zginiesz jak duch w bły-
[skawicy!
Przy lampie co stoi przy łożu.
Łeb twój krwawy — w żydowskiej
[miednicy,
Twoi słudzy obaczą, przy nożu,
I przelękną się łóżka i ciała —
Nu! ja sama gdy to rzekła, za-
[drżała —

A ty nie drżysz? któż ty jesteś czło-
Kosakowski. [wieku?
Na twe czoło, wykąpane
W ptasim gołębicy mleku!
Na twoje usta różane,
Których łuk napięty drży!
Na ten szprejtuch, który skrzy
Niby złoty jaki krąż,
W środku pełen białych róż!
Na twe oczy, z których bije
Razem żar i noc, i dzień!
Na twoją łabędzią szyję,
I na ten błękitny cień
Twoich rzęsów, który spada
Aż na rubin twoich lic!
Na tę głowę, gdzie gromada
I brylantów i rubinów
Pali się jak tysiąc świec —
Lub nad głową Cherubinów
Z różnych gwiazd uwity kłąb!
Na każdy z perełek ząb,
Co jak skrzydełko gołębie,
Bieląc czepca aksamity,
Spuszcza się na skroń błękity!
Na każdą perłę, w tym zębie,
Co, jakoby grochy duże,
Zwinęły się w srebrną różę
I twoją głowę oblały!
Na ten, mówię, skarbiec cały
I klejnotów i piękności!
I na królestwo miłości
Przysięgam —
Judyta. Co? —
Kosakowski *(urągając)*.
Miłość wieczną.
Bojwile — pod straż bezpieczną
Wziąść mi tę synogarlicę.
(Bojwił chwyta Judytę i unosi ją do karczmy).

556)

Z aktu II.

Ksiądz Marek *(pokazując przed sobą palcem na ziemię do Judyty)*.
Upadnij tu na kolana
Córko! niechaj ci odpuszczę —
Idę do mojego Pana.
Judyta *(rzuca się na kolana szlochając)*.
Przeklnij! przeklnij —
Ksiądz Marek. Jak Judyto?
Oto naród mój zabito!
Oto patrzaj, tam; w oddali
Płomień. — Dom się Boży pali
Nad ognistej krwi strumieniem —
I niebo kole płomieniem,
Jak miecz Archanioła kręty,
Już na brusie pociągnięty,
Ostrzem postawiony w górę.
Miecz, gotów karać naturę!
Ludzi — że są przeciw cnocie,
Braci — że rwą serca bliźnie,
Polaków — że przeciw Ojczyźnie,
Niewinnych — że są w ciemnocie,
Winnych — że jasności ślepi.
Oto miecz z płomieni różnych
Co wkrótce niebo rozszczepi.
Potem się na domach próżnych
Powali, świszcząc jak żmije,
I powali i nakryje
Gwałty, płacz, mordy rumiane;
I to miasto wyrzynane,
Jak anioł ognia pochłonie.
I podobny jest koronie
Z hiacyntu, z chryzolitu,
Śród gwiazd białych i błękitu
Przez duchy Boskie trzymaną. —
Aż naród zegnie kolano,
O Bogu pomyśli w burzy;
I na to ogniste wiano
Męczeństwem ducha zasłuży.
I jest jeszcze, jako kręta
Burza, co płomieni ręką
Porwała tam: sakramenta,
Krzyże, hostje z Pańską męką,
Obrazy przeświętych wzorów,
I grobowce fundatorów,
I podłogi, które rosi

Ludu łza — nawet kamienie;
Zawinęła je w płomienie —
I Panu Bogu odnosi.
Więc i te drzewa żałobne
W zielone świątki sadzone,
Których pnie takie czerwone,
Listki jak iskierki drobne,
W rubin na nitki znizane,
Jak struny wichrem odwiane,
Ogniem zajęte przy korze,
Te drzewa — to harfy Boże,
Od kościelnego krawędzia
Idące rzędy długiemi —
To Dawidowe narzędzia
Hymnów, które tu na ziemi
Śpiewają mi z tryumfalnych
Pieśni długie litanije,
Od aniołów niewidzialnych
Duchową ręką trącane.
Widzę Boga! któż mi oczy za-
[kryje?
Chwały niewypowiedziane
Widzę! — Głosy wielkie słyszę!
Boga! co mi ogniem pisze
Nowy rozkaz, nowe prawo!
Oblewa mię swoją sławą!
Ogniami męczeństwa złoci! —
Pan Bóg mój pełen dobroci,
Którego mię rany bolą,
A wola jest moją wolą.
I ja, przez tych świateł krocie
Oświecony, miałbym córo
Nie przebaczać tu ślepocie,
Lecz we krwi umoczyć pióro?
Ja, którego Bóg dziś słucha,
Wydać mam na twego ducha
Wyrok na wieki tracący? —
Owszem, węgiel gorejący
Na bladych ci ustach kładę;
Zmazuję wszelką szkaradę,
Wszelkie jady co je ślinią:
Abyś była prorokinią
Przyszłą, między twoim ludem,
Nawrócenia żywym cudem –
Jedną z tych, co w kraju jęczą,
Jedną z tych, co boleść dzielą,
Jedną z tych, co go weselą,
Jedną z tych, co w przyszłość wierzą!
Świecącą przymierza tęczą,
Świecącą, aż pioruny uderzą –
I z chmur spędzą jak ostatnią po-
[chodnię
Bo wiedz córko — że wszystkie ci
[zbrodnie
Odpuszczone są na wieki wieków.
(Obraca się do Moskali).
A teraz krzyża i ćwieków —
Co macie czynić czyńcie prędzej.
(Wyprowadzają go straże).
J u d y t a.
On przebaczył — bo ja w nędzy,
Bo on wie, co ja cierpiała —
Puśćcie mię do Jenerała,
Do ruskiego wojownika.
Nu — niech on księdza nie tyka,
Bo straci całe obozy —
Piorun mu spadnie na ramię.
(Rwąc na sobie powrozy).
Bo tak — jak ja rwę powrozy!
Tak ja mu wojsko połamię,
Spalę lud, jak błyskawica!

M) Genezis z Ducha (1844).

Podajemy tu początek i zakończenie, stanowiące siódmą mniej więcej część całości.

557) Na skałach oceanowych postawiłeś mię Boże, abym przypomniał wiekowe dzieje ducha mojego, a jam się nagle uczuł w przeszłości nieśmiertelnym, Synem Bożym, stwórcą widzialności i jednym z tych, którzy ci miłość dobrowolną oddają na złotych słońc i gwiazd girlandach.

Albowiem Duch mój przed początkiem stworzenia był w Słowie, a Słowo było w Tobie – a jam był w Słowie.

A my, Duchy Słowa, zażądaliśmy kształtów i natychmiast widzialnymi uczyniłeś nas Panie, pozwoliwszy, iżeśmy sami z siebie, z woli naszej i z miłości naszej, wywiedli pierwsze kształty i stanęli przed Tobą zjawieni.

Duchy więc, które wybrały za formę światło, odłączyłeś od duchów, które obrały objawianie się w ciemności i tamte na słońcach i gwiazdach, a te na ziemiach i księżycach rozpoczęły pracę form, z której Ty Panie odbierasz ciągle ostateczny wyrób miłości, dla której wszystko jest stworzone, przez którą wszystko się rodzi.

Tu gdzie, za plecami mojemi, palą się złote i srebrne skały nabijane mikowcem, niby tarcze olbrzymie, przyśnione oczom Homera, tu, gdzie odstrzelone słońce oblewa mi promieniami ramiona, a w szumie morza słychać ciągły głos, pracującego na formę Chaosu, tu, gdzie duchy tą samą, co ja niegdyś drogą wstępują na Jakubową drabinę żywota; nad temi falami, na które duch mój tyle razy puszczał się w nieświadome horyzonty nowych światów szukając; pozwól mi Boże, że, jako dzieciątko, wyjąkam dawną pracę żywota i wyczytam ją z form, które są napisami mojej przeszłości.

Albowiem duch mój, jako pierwsza Trójca, z trzech osób z Ducha, z Miłości i z Woli złożony, leciał, powołując bratnie duchy, podobnej sobie natury, a przez miłość wolę w sobie obudziwszy, zamienił punkt jeden niewidzialnej przestrzeni w rozbłysk sił Magnetyczno Attrakcyjnych.

A te przemieniły się w elektryczne i piorunowe.

I rozciepliły się w Duchu.

A gdy oto, zaleniwiony w pracy, mój duch słoneczności z siebie wydobyć zaniedbał i z drogą się Twórczości rozminął, Tyś go Panie walką sił wnętrznych i rozbratnieniem onych ukarał, nie światłem już, ale ogniem niszczycielem błyszczeć przymusił, a dłużnikiem miesięcznych i słonecznych światów

uczyniwszy, zamieniłeś ducha mego w kłąb ognia i zawiesiłeś go na przepaściach.

A oto na niebiosach drugi krąg duchów świecących, kręgowi ognia podobny, lecz czystszej i odkupionej natury, anioł złoty z rozwiniętymi włosami, silny i porywający, uchwycił jedną garść globów, zakręcił nią, jak tęczą ognistą, i porwał za sobą.

A wtenczas trzej aniołowie: słoneczny, miesięczny i globowy, z sobą zetknięci, ułożyli się o pierwsze prawo zależności, pomocy i wagi, a jam odtąd począł porę oświeconą nazywać dniem, a czas światłości pozbawiony nazwałem nocą. Wieki minęły o Panie, a duch mój ani jednego z tych dni minionych nie spoczął, lecz ciągle pracując, myśl nową o kształcie zamieniał w k s z t a ł t, zgodziwszy się ze Słowem globowem stanowił p r a w o, a następnie prawu poddawał się własnemu, aby, na tak położonym fundamencie, stanął i nowe wyższe duchowi drogi obmyślał.

W skałach więc już, o Panie, leży Duch, jako posąg doskonałej piękności, uśpiony jeszcze, ale już przygotowany na człowieczeństwa formy, a tęczami myśli Bożej spowity, niby sześcioraką girlandą. Z bezdna tego wyniósł on wiedzę m a t e m a t y c z n ą k s z t a ł t ó w i l i c z b, która po dziś dzień leży najgłębiej w ducha skarbnicy i zdaje się być wszczepioną w Ducha, bez żadnej jego wiedzy w tem i zasługi, ale Ty wiesz Panie, że forma dyamentowa ułożyła się z żywych, a wody poczęły się lać z ruchomych, lekko związanych i uczących się równowagi, a na globie wszystko było żywotem i przemianą — a tego, co dziś zowiemy śmiercią, to jest przejścia Ducha z formy do formy, nie było.

Oto zapozywam przed Ciebie, Boże mój, te kryształy twarde, pierwsze niegdyś ciało ducha naszego, dziś już przez wszelki ruch opuszczone, a jeszcze żywe, chmurami i piorunami ukoronowane, bo to są Egipcyanie pierwszej natury, którzy na lat tysiące ciała sobie budowali, ruchem pogardzili, w trwaniu i spoczynku rozmiłowali się jedynie.

Ileż ty Panie użyłeś piorunów bijących w skały bazaltowe pierwszego świata, ile ogni podziemnych, abyś te kryształy rozbił i zamienił w proch ziemski, będący dziś odruzgiem pierwszych i przez Attrakcyą ducha postawionych kolossów. Kazałeś

li Duchowi samemu zniszczyć się? czy przerażony sam walił na siebie wybudowane sklepienia? aż ze stłuczonych skał dostał ognia, skrę pierwszą, która, może miesiącowi wielkiemu podobna, wybiegła z gruchotu kamieni, zamieniła się w słup ognisty i stanęła na ziemi, jako Anioł niszczyciel, a dziś jeszcze leży w głębi ziemnej, pod siedmiodniową prac naszych i popiołów skorupą.

Wtenczas to, o Panie, pierwsze a idące już ku Tobie duchy w umęczeniu ognistem złożyły Ci pierwszą ofiarę. Ofiarowały się na śmierć. Co zaś dla nich śmiercią było, to w oczach Twoich, o! Boże, było tylko zaśnięciem Ducha w jednej, a obudzeniem się jego w drugiej doskonalszej formie, bez żadnej wiedzy o przeszłości i bez żadnej przedsennej pamięci. Pierwsza więc ofiara tego ślimaczka, który prosił Cię Boże, abyś mu w kawałku kamiennej materyi, pełniejszym żywotem rozweselić się pozwolił, a potem śmiercią zniszczył, była już niby obrazem ofiary Chrystusa Pana i niestraconą została; albowiem Tyś Panie nagrodził tę śmierć, pojawioną w naturze po raz pierwszy, darem który dzisiaj nazywamy o r g a n i z m e m. Z tej śmierci, jako z najpierwszej ofiary, wyrodziło się najpierwsze z m a r t w y c h w s t a n i e. Z łaski zaś Twojej, Panie, przydaną została duchowi cudowna moc odtwarzania podobnej sobie formy, przez którą to potęgę, w różnej liczbie ujedynione duchy, uderzając na siebie i zogniając moce swoje, zostały twórcami kształtów sobie podobnych.

Umierać więc i Zmartwychwstawać Duchy, a już nie składać się, lać się, łączyć się i roztwarzać w gazy poczęły. A chociaż ja wiem, Panie, że złożony w skrze pierwszej duch mój, w kamieniu już żył całkowicie, dla moich wszakże nędznych oczu, od tej dopiero śmierci i od tej pierwszej ofiary śmiertelnej, Duch widomie żyć zaczyna i bratem moim staje się.

Jedno więc ofiarowanie się Ducha na śmierć, uczynione z całą potęgą miłości i woli, wydało potomstwo niezliczone kształtów, cuda tworów, których ja dziś usty ludzkiemi nie wyliczę Tobie, Panie, ale Ty wiesz o wszystkich, żadna bowiem forma n a s t ę p n a nie urodziła się z p o p r z e d n i e j bez wiedzy Twojej. Tyś ducha proszącego wziął wprzódy w ręce Twoje, wysłuchałeś dziecinnych żądań jego i podług woli kształtem go

nowym udarowałeś. A mądre i dziecinne zarazem są te kształty. Każdy albowiem Duch długiem cierpieniem w domu swoim i niewygodą jego doczesną udręczony: wiedział i ze łzami prosił Cię Boże o poprawę jego ścian nędznych: a czy te były z perły, czy z dyamentu, zawsze coś ofiarował Tobie Panie, z przeszłych wygód swoich i ze skarbów swoich, aby wziął więcej dla Ducha, wedle jego potrzeby. . . . . .

. . . . . .

O Panie, który kazałeś szumowi morskiemu — i szelestowi wietrznych pól bladym kwiatkiem okrytych, aby mię uczyły słów tej księgi... a wiedzę na dnie ducha uśpioną, obudziły — Spraw, oby te słowa, westchnieniem pisane, przeszły jak wiatr i szum morski; a przechodząc i mijając niektóre i wielkie duchowe moce, w ojczyźnie mojej uśpione, z niewiadomości własnej na światło wiedzy własnej wywiodły... Aby z tej Alfy... i z Chrystusa i ze Słowa Twego wyprowadzon był świat cały — Aby mądrość jasna, miłością Bożą w duchach tworzona, rozwidnieniem dla każdej nauki stanęła... O to proszę... Boże i Panie mój! o widzącą wiarę, a zarazem o uczucie nieśmiertelności z wiary widzącej w duchach zrodzone — O słońce Mądrości Bożej proszę, w którym widzę już mieczowego Anioła przyszłej ofiary.

Albowiem na tych Słowach, iż wszystko przez Ducha i dla Ducha stworzone jest, a nic dla cielesnego celu nie istnieje... stanie ugruntowana przyszła wiedza święta Narodu mojego... a w jedności wiedzy pocznie się jedność uczucia... i widzenie ofiar, które do ostatecznych celów przez ducha Świętej ojczyzny prowadzą.

Ojcze Boże... według świadectwa Chrystusa Pana przez nikogo jeszcze na ziemi nie widziany, a który teraz przez krwawe i udręczone tłumy kształtów Genezyjskich, ciemną dla formy — ale łaskawą i sprawiedliwą względem Duchów i Ducha mego, a stąd jaśniejszą i niby zbliżoną, twarzą spojrzałeś! Spraw, aby ta jedyna droga rozwidnień i oświeceń: droga miłości i wyrozumienia, coraz mocniej jaśniała wiedzy słońcami... i lud Twój wybrany, a drogą bolesną teraz idący, do królestwa Bożego zaprowadziła.

N) Rozmowa z Matką Makryną Mieczysławską (1845).

558) Słysząc, że głos jej nożami przenikał,
Gdy swe bolesne męki powiadała,
Szedłem — nie przeto, abym ran dotykał
Ani rozdrażniał zranionego ciała,
Ani świadectwo wydawał o ranach;
Ale był wierny jak syn na kolanach,
Który dwojakie ma kadzidło w darze,
Łzy, albo zemstę — co matka rozkaże...
Szedłem, ażebym dla mojego czoła
Wziął uświęcenia od ręki anioła;
Bo mi się w nocy ta ręka czerwona
Pokazywała, przeze mgły, skrwawiona,
Wyrzucająca takie strachu strzały
Z palców ognistych — że brak na to słowa,
Żem drżał jak Mojżesz — gdyby mu Jehowa
Rękę był swoją pokazał ze skały.

Znalazłem w cichym siedzącą klasztorze
U suchych, obcych ludzi na gościnie,
Prostą niewiastę, rzekłbyś gospodynię,
Siedzącą sobie na szlacheckim dworze,
Kędy zarządza dziateczek hałasem,
W czepcu, w rańtuchu, z kluczami za pasem.
Wszakże pomimo tak wielką prostotę
I dziwne z matką moją podobieństwo,
Na twarzy jasne widziałem męczeństwo,
Jakieś męczeństwo wielkie, boże, złote,
Które mnie z góry uderzyło w ciemię,
Jak Pan — gdy rzuca zbrodniarzem o ziemię...

A wtenczas ona: «cóż ziomku kochany?
Przyszedłeś mocno, jak widzę, wzruszony;
Siądź — powiem tobie, że zamknięte rany
Lepiej przystoją Polce, niż korony;
Ty młody jeszcze, nie topionyś w Niemnie,
A już ty bledszy, mój synu, odemnie.
Widząc was wszystkich takich w tej stolicy,
Chociaż ja sądzę rozumem prostaczki.
Widzę ja prawie, że i wy biedaczki,
Widzę was jasno — i wy męczennicy».

Westchnęła — a ja: «Matko, powiedz proszę,
Czyś Ty do boskich nie zaniosła tronów
Skargi, na tyle polskich milionów?
Dwadzieścia!!! Gdyby to miedziane grosze —

Świat prawie kupić! — gdyby pozapalać,
A każdy dał krwi maleńką kropelkę,
O! na Chrystusa i na Zbawicielkę,
Tą krwią czerwoną świat możnaby zalać!
Gdyby błysnęły wszystkim ognie z lica,
Świat można spalić. — A ty męczennica?
Polka! w żołdackim utopiona brudzie?
Nie — car nie winien — to winni ci ludzie!!

A ona: «nie skarż , o! nie skarż nikogo!
Oni? — cóż oni biedacy tam mogą?...
Wszyscy pod wielkim i krwawym uciskiem
Czekają tylko na pierwszą dogodność»...
Tu mnie spytała: «jakiem zwać nazwiskiem?»
Nie dosłyszałem — a ona: «jak godność?»
Zarumieniłem się cały i rzekłem:
«Godności nie mam — przed męką uciekłem...»
I nastąpiło ponure milczenie,
Ona ze smutną, a ja z twarzą ciemną...
Czułem, że cierpi ze mną i nademną,
Jak gdyby znowu dźwigała kamienie.

. . . . . .
. . . . . .

Ona więc tak mnie pocieszywszy nieco,
Mówiąc o duchach, które w kraju rosną
I obeznawszy mnie z tą piękną wiosną,
Do której myśli, jak żórawie lecą:
Mówiła dalej: «Raz nam do klasztoru
Wieść przyszła, że nasz biskup zmienił wiarę...
Nie wierzyłyśmy — lecz w godziny szare,
Kiedyśmy poszły na modły do chóru,
Strach jakiś przewiał nieznany kościołem
I powiał na nas niewidzialną siłą;
Każdy myślała: a gdyby tak było!...
I przerażone padałyśmy czołem,
Jak małe dzieci, które dziad przeraża,
Nie śmiejąc rzucić tej nocy ołtarza.

Potem zostawszy ja sama w kościele,
Rzekłam: z biskupa duszą się rozprawię,
Myślą go sobie przed oczy postawię,
Wzrokiem zapytam — jakie on ma cele?
Stanął mi: a ja sądziłam oczyma,
Która kość w nim drży — a którą się trzyma —
Strach mnie za serce przenikliwy ścisnął,
Bo stał wyraźnie i oczyma błysnął,
A oczy były od zwyczajnych różne,

Jak szkła wypukłe, świecące i próżne.
Wtenczas w przestrachu mój duch osamotniał:
Rzucam się znowu — krzyżem martwa leżę:
A takie poty szły, aż przez odzieże,
Żem wstała — a krzyż na ziemi wypotniał.

Wkrótce przyjechał do nas, w odwiedziny,
Biskup w orderze krzyża czerwonego.
A ja raz tylko spojrzałam na niego,
A trunek było czuć i woń stęchliny...
Raz tylko w oczy spojrzałam okropne,
Zimne — umarłe niby — lecz roztropne,
A choć przychodził do rzeczy z daleka,
Już ja wiedziałam wszystko, co mnie czeka.

Po tylu latach męki i konania
Dziś nie powtórzę pierwszej z nim rozmowy.
To tylko powiem, że do przekonania
Trafiał i prośbą i słodkiemi słowy;
Siadł blisko — sztuczka podstępna i chytra,
Próbował i słów magnetycznych ze mną —
Była tam jakaś gregoryańska mitra...
Słowa mówione z trwogą potajemną
Jak węże skórą szeleściły suchą,
Dziwne — ogniste — zaszeptane w ucho.
On szeptał jak czart... wzrok miał obłąkany —
Szeptał.. te słowa, mówię ci, szatany!
Nikt o nich nie wie, gdzieś po trumnach siedzą,
On tylko jeden i szatany wiedzą
Jakie to słowa... skryte, ślepe krety —
Jakie to słowa? mówię ci sztylety,
Nie słowa ludzkie!...
Pan Bóg mnie obronił.
A on też inny ton wziął ze mną zaraz:
Będziesz, powiada, tu miała ambaras —
To rzekł i nisko kołpaka pokłonił,
I wyszedł...

559) Przyszedł nareszcie rozkaz ostateczny:
Odmienić wiarę — lub się wybrać w drogę...
Gdzie? co? — nic więcej — Uczułyśmy trwogę,
Jak gdybyśmy szły w ciemność na sąd wieczny.
Tak nic nie wiedząc, co się z nami stanie,
Czy gdzie w łańcuchy? czy gdzie na wygnanie?
Czy gdzie na nędzę, chłód i wichrów szturmy?
W Sybir? — któżby się nas tam upominał!
Może, myślałam, posadzą do turmy

I tam oskarżą o jaki kryminał?
Dotąd mię jeszcze strach okropny bierze,
Gdy myślę — jaka to szatańska była
Ta ciemność wielka w rządowym papierze,
Która nie mogła, a śmiercią groziła.

Wszystko, co potem z nami nastąpiło
Otwartą, groźną przedsięwzięte siłą
Nie takim strachem nam na dusze spadło,
Jako to pierwsze zagrożeń widziadło.
Pomyśl, którażby nie zmieniła cery,
Spojrzawszy w trupie te białe papiery?
Papiery pełne i groźby i siły,
A tak milczące, głuche, jak mogiły.
Strach nas, powiadam, dolatywał wszędzie.
W nas był... i szeptał strachami wygnania;
Męka to była nie do opisania;
Powiadam tobie, że tak w piekle będzie.

Bóg upominał, lecz strzegł. — Wszystko potem
Było przynajmniej już jasne, widome.
Cierpieć? my cierpieć byłyśmy łakome...
Z głodu umierać? — a cóż, gdy pod płotem
Niewinny żebrak na mrozie przypieka?
Czasami żołnierz zgłodzony, kaleka,
A psi go tylko sami głodni strzegą...
Umierać?... cóż my jak żebrak lepszego?
Męka, gdy ciało już kąsać zaczyna,
To nic, duch wtenczas nabiera odwagi
I samby prawie poszedł na miecz nagi;
Ale ta pierwsza zagrożeń godzina,
Gdzie wsparcia zniskąd, a ciemny strach wszędzie!
Powiadam tobie, że tak w piekle będzie!

Zadrżałem: tak się ta święta podniosła
I z takim gestem, zapalona cała,
Polskim duchowym językiem śpiewała
I w słowach, niby rozognionych, rosła!
Lecz się spostrzegła poważna matrona,
Że duch zebrany być musi do łona.
A nie ulegać zapału pokusie —
Jasny, spokojny, jak był duch w Chrystusie.

Więc zaraz, wziąwszy z siebie takich tonów
Którymi zawsze człowiek rządzić może,
Rzekła: chcesz słyszeć o moim klasztorze;
Powiem ci krótko kilka naszych zgonów,
Kilka męk. — Już wiesz zapewne od braci,

Żem była sama przełożoną, Ksienią;
Widzisz, czem jestem — sądź z mojej postaci.
Nigdy mnie ludzie podli nie odmienią,
Ani też choćby złotem mnie przykryto!
Zwyczajną jestem, jak widzisz kobietą,
I taką byłam; — to jednakże powiem,
Żem niegdyś była panną myśli trwożnej,
Bom się rodziła w rodzinie zamożnej,
Pusta — na szczęście obdarzona zdrowiem
I wytrwałością . . . . . .
. . . . . .
Przyszedł dzień ofiary: —
Sam biskup zjechał, zwołał uroczyście,
Wszystkieśmy drżały, jak na drzewie liście;
Ja nawet jeszcze nie nabrałam wiary,
Trzęsłam się cała, zbiedzona, zalękła,
Strudzona, głowy znękana zawrotem,
Serce mi biło ciężko, jakby młotem;
Myślałam, że gdzieś wielka żyła pękła
I kropliskami ciężko w pulsa sieje —
Krew kapie — a jak dokapie — zaleje.
Słucham — a czuję, że już coraz bladnę:
Strach! — a cóż poczną biedne siostry moje,
Jeżeli trwogą zabita, upadnę?...
Nie! przed biskupem żywa już dostoję.

Ale Bóg dobry — o! tak, Pan Bóg dobry!...
Zaraz mi weszło coś do serca mocy;
Ha! pomyślałam: z Mieczysława Chrobry,
A z Mieczysławskiej głaz w Dawida procy.
Niech czart próbuje: cóż? — choćby i bito,
Stanę mu twarz w twarz — niech walczy z kobietą!
I znów uczułam, że ten poryw ducha
Przydał Siemiaszce odwagi i siły: —
Więc znów zacięłam zęby — zimna, głucha;
Ducha do ciała, jak nogi stonoga
Zebrałam w sobie: jak na dno mogiły,
Zalękła poszłam do serca — po Boga!

A on, jak gdyby te straszne jaszczury,
Które złotemi jad oczami leją,
Spojrzał: — my stały spokojne, jak mury,
A on, choć z małą jak sądzę nadzieją,
Zapytał: A cóż, siostry moje drogie,
Chcecież przejść wszystkie na braterską wiarę?—
My nic; — on westchnął — i znów oczy szare
Obrócił na nas, ale już złowrogie;

Siostry mi potem mówiły, że w miarę
Jak się zapalał i rwał piersi wzdęte,
One już radość jakąś czuły, wiarę,
Różane moje, biedne siostry, święte...

Z umizgiem napół błagań i wyrzutów
Znowu zapytał jeszcze słodszym głosem:
Któraż z was łaską pogardzi i losem,
A weźmie...? — tu nam rzucił pękiem knutów!...
My nic. —

Oddechu wciągnął w schrypłe płuca,
Nareszcie nie mógł już więcej, wrzał skrycie;
Więc jakby rynna, gdy błoto wyrzuca,
Wrzasnął i zawył: — Cóż? czy przechodzicie?!
Nie skończył, targnął się jak pies w łańcuchu;
My nic: — milczałyśmy i rosły w duchu.

Wtenczas on uczuł, że przed nami pada
I my się czuły mocniejsze od niego.
Widzę go teraz: — skry mu z oczu biegą,
Jak gdybyś widział gdzie żebraka dziada,
Który się na psy szczekające gniewa
I trzęsie klaszcząc, jak kościotrup z drzewa.
— Ja was, zakrzyknął, w powrozy, w łańcuchy!
Wy buntownice, suki, polskie duchy! —
. . . . . .

O) Poeta i Duch.

Fragment.

(Pochodzi prawdopodobnie z r. 1845 i zostaje w pewnym związku ze «Samuelem Zborowskim» rozwijającym ponownie główne myśli tego urywku. Jestto pierwsza próba współzawodnictwa z Krasińskim, wywołanego ogłoszeniem «Przedświtu». Wiersz do autora «Trzech Psalmów» stanowi niejako najostrzejszy wyraz tej walki odpowiadający wystąpieniu przeciw Mickiewiczowi w «Beniowskim»).

560) Poeta. Atesso!
Duch. Jestem; alem uciekała,
Bo mię ta dziwna pieśń w otchłanie niosła.
Wszak wiesz, żem z tobą razem zmartwychwstała
I razem z tobą znowu razem rosła.
Wszak wiesz, gdzie oliw czarny gaj i skała,
I srebrne ogniem ozłocone wiosła;
Wszak wiesz, ta chata nasza bez zapory,
To falerneńskie wino i amfory

I w ścianach różne marmuru odłamy
I strumień, co tam w takt lutniowy ciecze;
Wszak ty pamiętasz bywało czytamy,
A ja Eschyla tobie rym kaleczę;
A gdzieś daleko, na oxynie bramy,
Słońce, na tańca pirejskiego miecze
Wzięte, przez liście cytryn się przeciska
I w oczy nasze zamyślone błyska.

Tam chór prowadzą młodzieńce na polu,
A tam z Hymetu księżyc biały miga...
Poeta. Dosyć, o duchu biały, bo mi z bolu
Znów serce pęka...
Duch. O! ten sen mnie ściga!
Poeta. O straszny boże burz, o ty Eolu,
Coś ze skał wiatry wypuścił na Fryga,
Dziś pomieściłeś wszystkie akwilony
W grobach i z mogił moich dmiesz szalony.
Duch. Spokojnie! o mój kochanku!
Poeta. Spokojnie!
Duch. Jesteś jak nimfa Echo.
Ja ci mówiłam, po Farsalskiej wojnie,
Że mak, co rośnie pod Greczyna strzechą,
Nie uśpi,... harfa, chociaż zagra strojnie,
Chociaż wesoło, nie będzie uciechą;
Że pamięć kształtów będzie w sercu brzydła.
Wtenczas wyrosły mi motyle skrzydła.

I poleciałam... gdzieś na jakąś górę,
Nad którą słońce w krwi, księżyc w zaćmieniu,
Męka, co całą męczyła naturę,
I krzyż na słońcu w czerwonym pierścieniu.
A ja... w te śmierci otchłanie ponure
Na moich skrzydeł tęczowym promieniu
Lecąca, jako dziś, patrz — upiór blady,
Ja, pierwsza z różnych piękności Hellady...

Czemu nie patrzysz na mnie? o! czy żal ci
Mojego włosa... pełniejszego łona...
I ducha tego, co jak czarę kształci
Pierś... i pięknością oblecze ramiona?
Teraz patrz — wiatr mi kształt spokojny gwałci;
Gdy zadrżysz, jestem ja sama wzruszona,
Oczy się moje jak szafir kryształą,
Rany na nogach i rękach się palą...

Poeta. Rany twe płoną — widzę — szafir nocy
Ma z twoich strasznych ran cztery pochodnie;

Pal się!... nie mogę żadnej dać pomocy.
Tylko to powiem, że przez krew i zbrodnie
Szukałem ciebie, rosnąc w piękność mocy,
Która po twojej trzyma niezawodnie
Najpierwsze miejsce u samego Boga...
On wie, że w moim duchu nie miał wroga.

Lecz ty aż teraz, jak krzyż zapalony,
Przyszłaś, kiedy ja wichrem nieszczęść zbity
I tak jak sztandar kulami zniszczony,
I tak jako hełm Hektora bez kity,
I tak jak harfa, co straciła tony,
I tak, jako trup w grobowcu odkryty,
Na bezlitosne wystawiony wzroki
I tak widzący swój zgon, jak proroki...

Walę się w prochu... Gdzie byłaś siostrzana
Duszo, kiedym ja cierpiał? czy pod krzyżem,
Z tęczowych twoich skrzydeł oberwana,
Śmiałaś się, gdym ja stutysięcznym spiżem
Na świecie imię obwoływał Pana,
A sam, spędzany zawsze skrzydłem chyżem
Śmierci, musiałem nędzny grób rozrywać
I sam przychodzić i znów odlatywać?

Gdzie byłaś, gdym tu nareszcie za karę
I za ostatni los — z potęgą słowa
Wstał, słysząc w duchu jakieś wieki stare,
Których ogromna szmerność podgrobowa...

Duch. Przy tobie byłam; przez powietrze szare
Snułam się cicho, jak wizya tęczowa;
Obłok nas jeden tylko dzielił cienki,
Taki łagodny, jako róż jutrzenki.

W dzieciństwie twojem samotna... a potem
Musiałam z większą liczbą
Cicha — gwiazdowem uwieńczona złotem,
Smętna, że duszy twojej rozpogodzić
Nie mogłam. Przestań już pamięci lotem
W dalszych się wiekach twoją myślą rodzić...
Patrz, jak w stygmatach piękna, w górne sfery
Lecę, ran niosąc zapalonych cztery.

Poeta. Nad tobą wyżej...
Duch. Co?
Poeta. Trzy miliony
Słońc i duch jakiś...
Duch. Co? posłaniec boży;
Poeta. Tam głębszy szafir — z pod słońca korony

Na trzech obłokach, niby lekkiej zorzy,
Jak jaka srebrna lampa zawieszony
Pali się miesiąc — liczba gwiazd się mnoży,
Wyiskrza szafir, na nim jak stal pryśnie
Coś, co od słońca jaśniejszego błyśnie.

Ach! od słońca by oczy me, nie biła
Taka ogromna jasność, jak z tych oczu
Spuszczonych! cały świat rozweseliła
Oblana słońcem złotem po warkoczu;
Taka miłości w niej ogromna siła,
Że gdy stanęła na ciemnem przezroczu:
Słońc się girlandy — niby zawrócone
Żórawie — wiążą w ognistą koronę.

Siotro! twe rany mocniej się płomienią,
A z twoich oczu wesołość wylata,
I szaty twoje się jak tęcza mienią,
I pierś — wzniesiona, i skrzydli się szata.
Nie leć! te słońca ciebie opierścienią,
Jak powój, który kołem się oplata;
I tam zostaniesz, statui starożytnej
Podobna — śród słońc złotych — przy błękitnej...

Duch. O! nie zostanę! bo w tej gwiazd powodzi
Ona się zniża i z duchami swemi
I na miesiącu swym na ziemię schodzi,
Bo zapragniona jest znowu na ziemi.
Oto więc na swej półmiesięcznej łodzi
Płynie, rękami sypiąca złotemi
Litosną miłość... Dawno tak widziana
Na wyspie Patmos przez świętego Jana...

Patrzaj na ciemne szmaragdowe lasy,
Zniżyła się tam i rzuca z pod siebie
Dwa wielkie tęczy rozwiniętej pasy,
Które się od niej zaczęły na niebie.
Przychodzą nowe na świat Pańskie czasy;
Niechaj umarły swych umarłych grzebie!
A ty, nie maż ust światowym piołunem,
Ale tej łaski Pańskiej bądź zwiastunem!

Widzę, jak oczy twe światłami skrzą się
I za tym widem przeszły i wróciły
Bez łez... Czyć zawsze napisano w losie
Nie być miłości duchem, ale siły?
Mów do mnie! może w twoim smętnym głosie
Nie będzie echa podziemnej mogiły.

O! nie! ty cały łamiesz się w boleści,
A twoja ręka szuka rękojeści...

Poeta. To nic — jam pobladł... duch mój jest otchłanią
Tęsknot i musi strzec się własną mocą.
Czuję, że gdybym ja poleciał za nią
Tam, gdzie te światła całą ziemię złocą,
Byłbym, jak jedna z gwiazd, co się tumanią
I przez tęczowe jej rąbki migocą,
I już, już własnej twarzy mieć nie mogą,
A ja tu czekam w ciemności —

Duch. Na kogo?

Poeta. Żaden duch nie jest bez przyjacioł własnych,
Żaden głos nie jest bez ech — po za światem...
Raz ja nad Ikwą, po mych łąkach jasnych
Błądząc, znudzony błękitem i kwiatem,
Bo mi w pamięci koral twych ust krasnych,
Co perły takim obwodzi szkarłatem,
Jaśniej się palił; i twoje oblicze
Skrzyło jak słońce myśli tajemnicze;

Znudzony, że mój głos tu nie pomaga
Ludziom w niewoli, ogień serca pije,
A ciągłej szczęścia ofiary wymaga,
A ciągle serca mego jadłem żyje,
A tu na świecie różna jakaś waga
Waży wypadki... człek podłością tyje,
I spity winem, pieśń, co Aniołowie
Dają, za pościel kładzie i wezgłowie: —

Siadłem pod chatą kobiety cmentarnej,
Co odmykała trumnom kołowroty;
I pełny byłem wtenczas myśli czarnej
Jak Brutus... który na twarz białą cnoty
Krwią swoją rzucił — a u gospodarnej
Kobiety były z malw ogromne płoty,
I z nędzą piękność tak złączona sielska,
Że chata się ta zdawała anielska.

Wszystko mi jakiś wzrok duchowy blady,
Przemieniał w dziwy: zda się — różdżką trącę,
A te malwowe z tęczy kolumnady
Dostaną nieba; a te pałające
Cynowe miski to, jakby na składy
Rusałki swoje oddały miesiące,
A te na półce girlandami świecą
I gdy kur nocny zapieje, wylecą.

Ja byłem wtenczas dziecię — lecz do gliny
Kiedy wejdziemy, my straszniejsi z duchów,
To mamy straszne w dzieciństwie godziny,
Gdzie duch bez żadnych więzów i łańcuchów
Ma ostrzeżenie. W mogilne doliny
Chodzimy chętnie... niby dla podsłuchów.
A duchy wtenczas rozmawiają z nami
Same, lub tylko natury ustami.

Otóż i wtenczas w myślach moich zamęt,
Zwątpienie było — rozpacz nad ubitą
Polską... Gdzież, rzekłem, jest taki sakrament,
Coby w niej martwej chodził siłą skrytą,
Jak krew żyjąca?... taki był mój lament,
Który me oczy wnet zamienił w sito
Siejące perły łez. A wtem od Boga
Przyszła nauka wielka i przestroga.

Skrzypnęła czegoś jedna stara belka
I poruszyła gniazdo jaskółczychy;
Z gniazda wypadła ptaszyna niewielka,
Bez pierza, mały zimny trupek, lichy;
Więc potem tego dziecka rodzicielka
I ojciec w domek przylecieli cichy
Prosto do gniazda, do swojego kątka,
I nie znalazłszy swojego dzieciątka,

Wyszli oboje — Boże! z jaką wrzawą?
Wie matka, której ludzie dziecko skradli...
Wreszcie ujrzeli go pod moją ławą —
Oboje z nieba jak martwi upadli,
Ojciec na lewo, a matka na prawo;
Usiedli przy niem, a skrzydła tak kładli
I tak włóczyli biedaczki za sobą,
Jak płaczki ciężką okryte żałobą.

Lecz śmierć ptaszęcia taka była świeża,
Tak niespodziana, taką zda się zdradą
Niebios, że ojciec matce nie dowierza —
Oboje w dzióbek żer mu jeszcze kładą,
Dzióbkami ciałka próbują i pierza.
A ono z główką wyciągniętą, bladą
Z początkiem tylko dziecięcych skrzydełek
Leży, jak srebrny na herbie orzełek.

Więc — o! niewiaro cudna, rodzicielska,
O! długie, piękne tych serc niepokoje,
O cudna myśli w ptaszkach, już anielska! —
Za skrzydła wzięli dzieciątko oboje,

I wyżej niż tam brzoza, nimfa sielska,
Rozrzuca swoje girlandowe zwoje,
Podnieśli... myśląc że w niem lot roznieci
Życie, że z dzióbków puszczone... poleci!

Tak, połączone przez biały dyjament,
Stało nademną w niebie biedne stadło.
Potem je może zdjął rozpaczy zamęt,
Bo upuścili dziecko... a to spadło;
A oni siedli nad niem znów i lament
Taki podnieśli, że mi lice zbladło,
Serce bolało, tak jak dzisiaj boli,
Bo coś tam dla mnie jest w tej paraboli...

O tak! nim ja w śmierć ojczyzny uwierzę,
Chociażby jak trup leżąc w grobie zbrzydła:
Potargam wprzódy ją pieśnią za pierze,
Położę wprzódy na pieśniane skrzydła,
Porwę ją z ziemi, tak jak wicher bierze,
Stargam łańcuchy wszystkie, wszystkie sidła,
Podniosę w niebo, aż gdzie Pan Bóg świeci,
Puszczę... jeżeli żywa... to poleci...

Dziecinna to myśl, duma to dziecinna!
Jam się sam rozbił piersią o granity,
Ale głos ani też lutnia — niewinna...
Cóż ty mi teraz pokazujesz świty,
Gdzie inna matka, ta królowa gminna,
Dzieciątko swoje podnosi w błękity,
Tak lekko duchy podnosząca wolne,
Jakby z łąk brała piękne kwiaty polne.

Cóż ty mi wróżysz tym pięknym widokiem
Tęcz i błękitów? za mną inna strona
I duchy, co się na pieśń zbiegły tłokiem,
Od których była już ogniem czerwona,
Ich tchem trująca, tętniąca ich krokiem...
Dobranoc! — harfiarz wasz posępnie kona!
Klnie wam i kona... precz straszydła stare!
O siostro! odpędź odemnie tę marę!

Duch. W powietrzu widzę trzy...
Poeta. Trzy przyszły razem?
Duch. Twój włos zjeżony operlił się potem!
Poeta. Patrz! za cerkiewnym, o! tym — bohomazem
Powietrze całe się wydaje złotem...
Zapewneś przyszedł od duchów z rozkazem?
Albo mi lirą powstać — albo grzmotem!

Tak zwykle gadał — gdy mu się podoba,
To w jęku głosy te połączy oba.

Teraz nie mówi nic; lecz stoi srogi
I zda się, twarz mi swoję w pamięć wraża.
A tamten — patrzaj, tak piękny, jak bogi —
Który wygląda także na harfiarza,
Ale instrument ma bardzo ubogi,
Sam widać był tej harfie za stolarza —
Dziwna!... rybie w niej srebrzą się ościenie
I labradorskie Sybiru kamienie.

Struny, podobne do starych badylów,
Pod palcem tego ducha drżą spróchniałe.
A co? czy dobrze na niej panna Nilów
Grała, wywiódłszy ciebie gdzieś na skałę
Kamczatki, kędy jasne roje gilów
Latały słuchać, gdy jej rączki białe
W powietrze pełne mgieł, duchów i szronów
Lały z tej harfy girlandami tonów? [1])

O powiedz, jakie ci sny o młodości
I o twej miłej ojczyźnie wyjęczał
Jęk tej, źle z renów ostruganej, kości
I tej dziewczyny głos, który wyręczał
Anioła stróża, a ty — o litości!
W oczy jej patrzał czyste, u nóg klęczał,
A drugą myśli połową pieśń mijał,
Palił dom, ojca w płomieniach zabijał...

Powiedz, czy w harfie tej dziś jest żałośny
Tego dziecięcia jęk i skarga cicha?
Czyś ty pomiędzy aniołami głośny
Tą harfą? Czy ci ręka nie usycha?...
Patrz... ten duch, niegdyś tak mało litośny
Temu dziewczyny sercu, teraz wzdycha
I lirnikowi palcem pokazuje,
Jakby chciał mówić: patrzaj, on to czuje!...

Precz bladzi! — i ten trzeci, co nad głowy
Wyciąga ręce i nad wami trzyma
Swój wielki, bardzo ciężki krzyż cynowy,
Niech mię nie prosi łzawemi oczyma!
Stary świat skonał... nie zaczął się nowy.
Dla takich duchów, jak wy, miejsca niema!

---

[1]) Duch ten, to Beniowski, który na Kamczatce wzbudził uczucia w córce miejscowego dowódzcy załogi fortecznej.

Lećcie i w nową zorzę się rozpłyńcie
I bądźcie nowi duchem — albo gińcie!

Duch. Stój! oni wszyscy z wiarą i nadzieją,
Pozwól im swojej duszy jak kościoła,
Gdzie teraz żadne lampy nie jaśnieją!
Kto wie, przez ciebie jaki głos zawoła,
Gdy będą w tobie... Patrzaj, jak pięknieją!
Ogień im tryska z nóg i z rąk i z czoła —
To wielkie duchy i wydarte niebu!

Poeta. Czegoż odemnie oni chcą?

Duch. Pogrzebu.

. . . . . .

. . . . . .

P) Samuel Zborowski (1845 r.?).

(Dramat w 5 aktach).

561)

Z aktu I, sceny I.

Helion *(w stanie somnambulizmu)*. I cisnę nieanielską tęczę.
Nic... Widzę ognistą tęczę... Ja się w mej twórczości męczę,
I to mię tu, o tu — boli. A oni, patrz, pełni mocy,
Ta tęcza nim świat okoli Na górach, Boga prorocy,
Różnopromiennemi pióry, Piorunami nakryci, kościołem,
Nim go dokoła obleci, Nad tęczowem stoją kołem
To ja przejdę przez tortury I lud, jako owce, pasą...
I duch się we mnie rozkwieci, ...

Dajcie mi tarcze zwierciadlane,
Dajcie mi złotą mitrę ojca Ramazesa,
Zaprzężcie konie białe, jak mleko! Atessa,
Siostra moja, niech ze mną na wóz złoty wsiądzie,
Niechaj położą dary na czarnym wielbłądzie,
A łodzie niech, okryte tyryjską purpurą,
Czekają przy sfinksowych alejach. O! góro
Karnakowa! Twych kolumn jaspisowych krocie,
Twe granity różane, twe piaskowce w złocie,
Błękitach i rubinach, niby las bogaty,
Gdzie pnie całe okryte tęczowymi kwiaty,
A liść cały, różowy, z granitów syeńskich,
Zorzy wielkiej podobny, wstędze i bóstw żeńskich
Rumieńcowi. O, góro! Gdzie piramid twarze,
Najwyższe tutaj słońca złotego ołtarze,
Są zapisane czynów moich wyliczeniem,
Ducha mojego pracą — wielkiem przemienieniem

Granitów w moje myśli o wieczności ducha
Na ziemi... Góro ludzka, skąd duch mój wybucha
Stu bramami i na świat się na złotych wozach
Toczy, tratując wszystko — zapomnij o zgrozach
Życia mojego! Tutaj z płonącego gmachu
Wyszedłem jak król ludzi — bez serca i strachu
Po ciałach ludzi żywych, co się kładli sami
I byli mostem... Słyszę pod memi nogami
Trzeszczące ciał wilgocie, kiedy ogień z ciałem
Walczył, ale żadnego jęku nie słyszałem,
Anim zabolał sercem, bo mój duch fatalny
Z głazów i z ludzi czyni świat piramidalny
I ma spokojność stwórcy. Ale śmierć przemaga...
Zawołajcie mi tutaj tyfońskiego Maga!
Chodź, chcę pomówić z tobą, chodź starcze uczony!
Widzisz, ten wóz, białymi końmi zaprzężony,
W alei sfinksów czeka, a już na nim stoi
Atessa, siostra moja.
Jak ona się boi
Tych koni, co pod drżącą i mleczną powłoką
Mają krew, ogień, dumę królewską, gdy wloką
Trupy królów i na wiatr rozpuściwszy grzywę,
Lecą przed złotym wozem, by furye straszliwe,
Piekielne...
A dziś, patrzaj, jak zda się spokojne,
Wiedzą, przeczuły, że nie wyjeżdżam na wojnę,
Ale już ku grobowi dyszel obrócony...
A patrz, Atessa moja do złotej korony,
Do mitry, cyprysowych przydała gałązek.
Miłość żony przeczuła smętny obowiązek
Skonania, lecz się piękność nawet na śmierć stroi.
Pamiętajże, o Magu! ty i bracia twoi,
Aby się wasza wiara w zmartwychwstanie ciała
Sprawdziła i piękności tej nie oszukała
Bo... *(dobywa miecza)*
Więc ty mi przysięgasz, że za trzy tysiące
Lat, ta góra, kolumny, to niebo i słońce
Nawet, o! ta żórawi girlanda płynąca,
Jak hieroglif na niebie, i tam to miesiąca
Oko srebrne, które się za palmami jawi,
W tym samym wszystko kształcie znowu się postawi,
Gdy z alabastrowego będę sarkofagu
Budził się z siostrą moją, Atessą, o Magu!
Budził się z siostrą moją Atessą, po wiekach
Snu, spoczynku!... *(zamyśla się)*
Mówiłeś mi, starcze, o Grekach.

Ten ślepy harfiarz, który tu, pod moim tronem
Śpiewał nowym językiem, nowym ducha tonem
Utkwił mi i zejść z oczu nie może. Ja w jego
Głosie słyszałem, Magu, coś nieśmiertelnego.
I dlatego w grobowca rytem malowidle
Ten starzec z harfą złotą, przy odwianem skrzydle
Srebrnej brody, przez moich rzeźbiarzy wykuty
Trwa między pamiątkami...
Niech ten duch poczuty
Duchem, zostanie kształtem, który grobowcowa
Cichość przy sarkofagu na wieki zachowa,
Aż się obudzę...
Teraz do sennego łoża!
(Postępuje niby we śnie, idzie ku oknu gotyckiemu).
Coraz ciemniej — jak słońce, gdy leci do morza,
Coraz ciemniej — konie mnie do przepaści niesą —
Coraz ciemniej i smutniej... Atesso! Atesso!
Tu nam zostać na wieki, tu położyć ciała —
Atesso! Tyś mię w złotej tyarze kochała.
I, nieprawda, że w jednym zaśniemy uścisku,
By się zbudzić z miłością? Patrz, na obelisku,
Co się nad sarkofagiem od pochodni złoci
Niby duch, tam — w ciemnościach i grobu wilgoci —
Skazany stać przez lata trzytysiączne w ciszy,
Aż nasze znowu głosy ocknięte usłyszy...
Patrz, na tym obelisku pracownicy prości
Nie rozumiejąc, ryli historyę miłości,
Historyę naszej duszy, jasnej, rozkochanej,
Historyę tej małżeńskiej razem i siostrzanej
Pary serc naszych... Siostro! obejmij w ramiona
Ten kamień, tam są nasze miłosne imiona,
Tam wypisana wierność i imionka dzieci.
On jest pomiędzy nami teraz jak brat trzeci,
Wszystko wie i zapomnieć się nigdy nie boi,
I nad naszym grobowcem jak piastunka stoi,
Więc go pocałuj, siostro, bo to brat nasz niemy.
Teraz nam spać i — w jego opiece zaśniemy.
A gdybyśmy wstawali ze snu nieprzytomni,
Gdybyśmy zapomnieli czego — on przypomni.
I nie przemoże grobu ta ciemność i zgniłość.
Obudziwszy się znowu na słońce i miłość,
I dawne życie w tęcze się rozleje nowe.
Zdejm więc róże z tyary i włóż mu na głowę.
Tyś skończyła z kwiatami, ze wszystkiem skończyła.
Chciałem, aby nas młodych zamknęła mogiła,
Abyśmy młodzi znowu do żywota wstali.

Weź tę truciznę, serca ci dotknie i spali...
Ja sam... Skonałaś? Ha! już, już na pozarzeczu
Ty jońskiem. — Tyś otruta! Ja skończę na mieczu.

Chór duchów.

562) O, smętny! o, kochany!
Srodze ty oszukany...
Przez sfinksowe aleje
Piasek stepowy wieje,
Jaszczurki łuską brzęczą
I ludzi się nie boją;
Palmy przy sfinksach stoją,
W palmach wielbłądy klęczą;
Na Luksoru wyżynie
Cicho, jak na pustyni...

Przeszło lat trzy tysiące —
To samo złote słońce
Przez niebiosa się pławi,
I girlanda żórawi
Ta sama na niebiosach;
I kolumn głowy ścięte,
I groby odemknięte,
I harfiarz w srebrnych włosach
Nad harfą swoją złotą
Duma, niby z tęsknotą...

O, smętny! o, kochany!
Srodze ty oszukany!...
W naszym chórze boleści
I płacz słychać niewieści,
Bo przy pochodni błysku
Ktoś do grobu zawitał
I stanął i coś czytał.
Na smętnym obelisku
Twój dawny poznał Eden
I zapragnął, on jeden...

Lecz ty z boleści zgrzytasz,
Bo nigdy nie wyczytasz
Tego z dawnych kamieni,
Lecz na serca czerwieni
Zapisana ci będzie
Piosnka obelisku grobowa,
Wszystkie łzy, wszystkie słowa,
Pierwsze w pamiątek rzędzie,
Zapisane przez Pana.
Miłość czysto-siostrzana...

O, smętny! o kochany!
Srodze ty oszukany!...
Grób twój wygląda: blada
Niby gmachów kaskada,
Cicha, a jednak grzmiąca;
W kraj cieniów i upiorów,
Z całą tęczą kolorów,
Pod ziemię wlatująca.
I tak wisi pochyła,
A stoi jak mogiła...

O, duchu smętny, śliczny,
Duchu mój letargiczny!
Możesz ty w ducha męce
Kąsać piersi i ręce,
Jeśli brak ci odwagi
Zacząć życie podróżne;
Bo dawne groby próżne,
I twoje sargofagi
Straciły twój proch — ciało —
Nic z nich nie zmartwychwstało,

Ani Atessa, ani
Miłością wy, siostrzani,
Obróceni ku sobie
W alabastrowym żłobie,
Piersią waszą i usty
Do siebie obróceni;
W grobowcu znalezieni,
Jak leśny orzech pusty,
W którym nic nie zostało,
Choćby też muszki ciało.

Z aktu II, sceny I.

Chór.
563) Błogosławiona jest ta, co się zowie
Między duchami Boga: Moje zdrowie [1])
Błogosławiona łaską nad jej synem...
Sen jego nawet jest pieśnią i czynem.
Przechodząc we śnie przedwstępne żywoty
Do Boga idzie, jako anioł złoty.
A cóż, gdy ta pierś, co myślą zagrała,
Oblecze puklerz Anhella Michała?
Gdy na koń czynu i cudu usiędzie,
Na barkach skrzydła rozepnie łabędzie,
Umalowane tęczami po końcach,
W tarczy i w hełmie, jak w podwójnych słońcach,
Z kopią, w płomień Boży zakończoną;
I tak wyjedzie na łąkę zieloną,
I tak wystąpi, jako anioł Pański,
Na ten kwiatkami złoty ług słowiański?
O, wtenczas kwiatki różne, małe, łączne,
O, wtenczas perły na kwiatkach tysiączne,
O, wtenczas wonie z łąk różanych wstaną
Przed mieczem jego, przed twarzą różaną —
I rzeki cofną się srebrne w korytach,
Gdy przyjdzie w zorzy ducha i w błękitach!
Lecz jeszcze nie czas, jeszcze przed nim stoją
Te sny, które go jako harfę stroją...
. . . . . .

Scena IV.

Helion.
564) Tu rozkazały duchy przyjść i czekać...
Raz mi się ciemne niebo wyiskrzyło,
Gwiazdy zaczęły w różnych stronach szczekać...
Serce mi w łonie zatrwożone biło,
Jakby na sądzie... i rozpaczą zdjęty,
Jakoby wirem głosów ogarnięty,
Stałem. Nareszcie tak mię owe głosy
Dręczyły, żem stał, wyrywając włosy
Jak potępieniec... Teraz okolica
Cicha.. I srebro różane księżyca —
Zda się — tęczami wewnątrz wskróś przesiąkło...
Coś w tej naturze niby serce zmiękło
I zesmutniało... i nie jest tak ciemną,

[1]) «Salus mea» tak poeta, swą etymologią, objaśnia imię matki swej (Salomea), której tu chór błogosławi za syna, mającego spełnić wielkie posłannictwa.

Jakby litością przejęta nade mną...
Cyt... słyszę głosy... lecz bardzo z daleka

Śpiew.
Gdy wyrośniesz na człowieka,
Staną ci sny, jak liczny wróg,
I stworzysz świat, jak tworzy [Bóg;
Ale nie świat realnych scen,
Lecz nikły świat, jak ze snu — [sen.
I złamiesz świat i pójdziesz [wbrew
Wojskami mar przeciwko ciał,
I będziesz myśl przemieniał [w krew,
Nam dawał moc i od nas brał;
I będziesz król — lecz będziesz [sam.
Albo więc idź, albo się złam..
Lecz jeśli duch przełamiesz twój
Jeśli ty nas odgonisz w mgłę,
To wtenczas drżyj! a silnie stój,
Bo my, jak psy, jesteśmy złe...
Z pękniętych serc, z serdecznych [cisz
Drwimy jak grom, co bije w krzyż!

Helion.
Pyszne to głosy! Głosy! jestem
Głos z dołu. [z wami!
Muszelki są z perłami
W naszem srebrnem jeziorze,
Zbieram je, wydobywam
I jedwabiem przeszywam
Na jedwabnym ubiorze,
W kościółku, Matce Boskiej —
A inne, czystszej wody,
Wkładam we złote włoski
Chrystusowi. A za to
Rybek mi korowody,
Pod rybaczaną chatą,
Przychodzą, przed niedzielą,
I dno całe zabielą.

Helion.
Jaki głos czysty!... Jak do nieba
Głos z góry. [płynie!
Zbliż się ku tej dziewczynie,
Rzuć na nią ręce ducha,
Mocniejszego posłucha,
Za mocniejszym popłynie
I poleci — bez końca...
Ciągnij za sobą w słońca!

Helion.
Jeden z tych głosów, czuję, świat
Głos z dołu. [pokona!..
Dziwnie ja przemieniona
Wstałam dzisiaj z pościeli!
Przyszli we śnie anieli
I ocząt mi zamkniętych
Liljami dotknęli,
I zobaczyłam świętych.

Helion.
Kto jesteś ty, co gadasz o aniołach?

Dziewica *(pokazuje się)*.
Rybaka jestem córką, żyję z niemi,
W tęczowych mi się pokazują kołach;
W nocy z tęczami przychodzą srebrnemi
I mówią do mnie...
. . . . . .
. . . . . .
Gdzież mnie prowadzisz? Silna twoja ręka!
Serce mi bije i duch mój się lęka...

Helion. Jak sen prowadzę... Gdzie? Sam nie wiem wcale.
Jeśli duch porwie — wstąpimy na fale,
Jeśli pochwyci — polecim w niebiosa,
Jeśli roztopi — spadniemy jak rosa,

Jeśli zaśpiewa chór, co teraz niemy,
W echo się jego głosów rozlejemy.
. . . . . .
. . . . . .
Zamknij teraz powieki
I do dna duszy własnej patrz, aż jaw się zjawi!
Widzisz — gmachy, błękity, girlandę żórawi
W dziwnym kluczu lecącą po bladych niebiosach?
Czy słyszysz szelest śmierci gałązek we włosach?
Czy widzisz grób, co wejściem ogromnem przeraża?
I posągi, i przy tych posągach harfiarza,
Po złotych strunach srebrną lejącego brodą?

Dziewica. Konie lecą i ludzi z pochodniami wiodą —
Jak mi straszno!

Helion. Czy widzisz różaną kolumnę
Pomiędzy nami?

Dziewica. Widzę.

Helion. Teraz białą trumnę
I podziemne gdzieś ciche tęczowe pokoje?

Dziewica. Trumna, gdzie spać będziemy, nieprawda, oboje?...
Cicho i długo, słońcu odjęci złotemu!
Jedno się położymy na sercu drugiemu,
W jednej trumnie — nieprawdaż, jak gołębi para?
O! ty blady, gdzie twoja wysoka tyara?
Dlaczego ty się później zbudził, dziecko cudze?
Myślałam, że ja ciebie pocałunkiem zbudzę,
Że rozkwitniemy razem w tym podziemnym grobie,
Opowiadając, żeśmy tam śnili o sobie.
O! duchy, które trupy oszukują, złe są.
Jam się zbudziła sama!

Helion. Atesso, Atesso!
Ty martwa? Wstań, przy tobie ja jestem, na ziemi.
Ty taka sama czysta, z usty różanemi,
Z oczyma, co szmaragdów podobne ogniskom.
Ja twój duch, ja winienem twym martwym uściskom
Sen cichy i spokojność winien pod mogiłą...
I pamiętasz, że w grobie nic się nie ruszyło,
Tylko raz serce, kiedy Jezus wstawał z grobu.

Dziewica. A moje wtenczas, gdy Go kładziono do żłobu,
I gdy Mu pasterz kwiatki maleńkie podawał.

Helion. Moje silniejsze wtenczas, kiedy zmartwychwstał.

Dziewica. Moje, kiedy Go pasterz w żłobeczku wychwalił.

Helion. Moje kraśniejsze wtenczas, gdy kamień odwalił
I wstał z grobu.

Dziewica. Helion.
Boże! więc my rozdzieleni... We mnie jest moc płomieni,

Co rozerwane — zwiąże...
Nie wiesz ty, gdzie ja dążę,
Nie wiesz ty, co ja stworzę.
Dziecko ja jestem Boże...
Idę gdzie przeznaczenie.
Wiatr świszcze i odrywa
Ze mnie wielkie płomienie —
A każdy z nich odpływa,
Po niebie leci, skłębia,
I kształt sobie zdobywa,
I w marmur się oziębia,
I zostaje...
. . . . . .

Z aktu V, sceny V.

Poeta w przemówieniu Lucyfera, który występuje tu jako adwokat narodu stojącego przed sądem Najwyższego w osobach: Zborowskiego i Zamoyskiego, przeciwstawia, swoje pojmowanie przeszłości i widzenie przyszłości, pojęciom i obrazom «Przedświtu». Widzi on w przeciwieństwie, a raczej różnicach zasadniczych dwóch tych ideałów Polski, ponowienie przeciwieństwa, zachodzącego między dążeniami Zborowskiego (którego ducha zaprzeczeń czuje w sobie) a Zamoyskim, którego duch przemawia przez Krasińskiego. Przez usta Lucyfera przeciwstawia Słowacki historyozofii «Przedświtu» (zarówno w przedmowie jak i poemacie rozwiniętej) zasady swej «Genezis z ducha» tylko jednak częściowo tu odsłaniane, gdyż «Głos« ostrzega; że «mówić nie wolno o tem co Królestwo Boże przybliża». Lucyfer streszcza główne myśli «Genezis» w ustępie zaczynającym się od słów: «Od czasu jak duch na ziemi zakłada».

565) Lucyfer.
Panie, oto jest jedyny manifest!
Panie, oto jest jedyny manifest
I rzecz, za czasu swego, dobrze znana.
Lecz teraz ją tu kładę pod kolana,
Prosząc o wolny głos za mym narodem,
Który oto tu, przed niebieskim grodem,
W tych dwóch osobach stoi — Przeszły wieki
Sławy, a on już w grobowcu, o! Panie!
Jako głos harfy wygląda daleki.
I dawne, proste pastuszków śpiewanie
Kolędujących w świecie już nieważne.
Dajże mi siłę i głosy poważne,
Adwokatowi już nie szczęścia, sławy,
Ale oto tej wielkiej bożej sprawy,
Która musi być wygraną w niebiosach;
Nim ją anieli na tęczowych rosach
Zniosą na ziemię — czem piekło zatrwożą
I w serca ludzi gorejące włożą. —
Quis advocatus est? Człowiek nikczemnie
Przed tobą Panie chylący to ciało;
Lecz jeśli cierpiał kto więcej ode mnie,
Jeśli kto twardszą był na piorun skałą,
Jeśli w kim serce wzgardą głośniej grzmiało
Na fałsz, co fałsze tu szatańskie wspierał,

Jeśli kto większy łzy w źrenicach zbierał,
Nad nędzą wielkich, we wnętrznościach powiek,
Jeśli jest taki tutaj duch i człowiek,
A jeśli nędze go ojczyzny ruszą,
Niech stanie — głos mu oddam choćby z duszą.[1])

Chór wielkich. Słyszysz, trąbami grzmią całe niebiosa
I grzmi oklaskiem ogniste scenaryum.

Chór małych. A bąk adwokat gdzieś uciera nosa
I liczy, jakie dostanie salaryum.

Chór aniołów. Sprawa wychodzi jak jutrzenka ranna
Z obłoków Pańskich. Hosanna! hosanna!

Głos. Słuchajcie! Sprawa u Pańskich podwoi,
Przed sądem Boga w adwokacie stoi.

Poeta. Trąby od twego grzmiące majestatu,
Słońca, co u stóp przelęknione gorą,
Przypominają mi, Panie: Quo foro
Sprawa się toczy; że to już nie światu,
Ale aniołom opisać należy:
Przez jakie drogi ta rzecz prawna bieży,
Ile już razy rozsądzoną była,
Gdzie jakie czoło lub jaka mogiła
Leży zapadłym już na niej wyrokiem.
Muszę iść za tą sprawą krok za krokiem,
Wszędzie jej dotrzeć, iść na kształt widziadła,
Chwytać ją duchem, tam, gdzie jest bez ciała,
Cierpieć na miejscach, gdzie ona upadła,
A tryumfować, gdzie tryumfowała,
Być bratem wszelkiej duchowej krainie,
A prawie ginąć tam, gdzie ona ginie.
Ale nie ginie ona! Si ab ovo
Pozwolisz, Panie, wywieść ród ubogi.
Ecce od wieków w Bogu było *słowo*,
A myśmy w *słowie* byli jako Bogi,
A przez nas forma jest.
Więc oto zda się,
Że ta daleka rzecz stosunku nie ma
Z tym oto, który tu w białym atłasie,
Z wytrzeszczonemi jak upiór oczyma,
Z głową uciętą stoi i dochodzi
Sprawiedliwości po trzechsetnym roku
Swego grobowca. Zda się, że w obłoku
Ten upiór krwawy do Charona łodzi
Wsiadł, gdy mu świat się błękitny uśmiechał,

[1]) Jest to przeciwstawianie swych cierpień skardze Krasińskiego we wstępie do «Przedświtu» (Jak Dant przez piekło przeszedłem za życia).

Jęknął i we mgły ogniste pojechał,
Odchodząc z ludzi smętnych trybunału...
A sprawa oto, że się jego ciału
Niesprawiedliwość stała, tu się wlecze,
I cała katem się podpiera!

Lucyfer. Przeczę —
A to na prawdy wywiodę zwierciadło,
Że nie o głowę, bo sto głów upadło,
Niesprawiedliwiej, nie o jego łono,
Bo mnie na świecie gorzej gdzieś raniono
W serce, a przecież nie dochodzę sprawy,
Że nie o jego ród, bo większej sławy,
Jest oskarżony niźli oskarżyciel.
O cóż więc staję tu ja, jego mściciel,
A Pan mściwości mej miłośnie słucha?
O cóż ja staję tu? O jego ducha
Staję, przez który duch szła Polska w górę —
A to niejako, przez formy strukturę
Mądrą, na wielkim świecie stać się miało,
Że nowa forma boska nowe ciało
Narodu stworzyć musiała na ziemi;
Lecz duch lecący pióry anielskiemi
Z pod formy, co go zaczynała cisnąć,
Lecąc do Boga formą miał wytrysnąć
Nową, jak złoty kwiat na grobowisku,
Formą, piękniejszą tem, że z pod ucisku
Wstać i z serc samych wielką mocą wziętą
Rosnąć już, gwiazdą zaczynała świętą
Błyszczeć na ziemi, jak w noc jaką chłodną,
Gwiazdą, co twarzą wychodzi pogodną
Świecić, tak była oczom moim miła...

Głos. Cyt, cyt, słuchajcie!

Chór. Upadł... Ta mogiła
Cięży mu zawsze, na duchu upada.

Lucyfer. Od czasu jak duch na ziemi zakłada
Różne królestwa formy, mocarz stary
Nowe i nowe składając ofiary,
A biorąc więcej, niż odda w ofierze —
Bo wiecie, że duch zawsze więcej bierze
Niż złoży, a gdy bardzo się zbogaci
Chcąc trzymać co ma, nieraz wszystko traci
I znów, strącony niżej, w górę dybie —
Od czasu jak się w dyamentu szybie
Pierwszy tęczowy anioł na śmierć zgodził,
A Stwórca go sam, podług jego woli,
Z niemrącej wyrwał bryły i urodził

Pierwszym robakiem. — Notuję atoli
Że Stwórca, jako ojciec, co dogadza
Dziecku, gdy głupie chce strzały lub łuka,
On niewidomie dzieciątko oszuka
I na końce strzał łakocie powsadza
Zamiast żelaza. Podobnie Jehowa
Zadrwił podobno coś z naszego słowa,
Kiedy w ślimaczku małym chciało krzyża,
Bo zamiast śmierci...

Głos. Stój! ta rzecz przybliża
Królestwo Boże, mówić jej nie wolno!

Lucyfer. Więc patrzcie — oto różę polną
Wnoszą mi tutaj srebrne Amfitryty,
Ten cudny pierwszy kształt zabity,
Mający gwiazdę żywota w warkoczu,
Będzie wymową (dicitur) do oczu
Zastępującą rzeczy ominięte,
Które ominąć muszę, jako święte
I położone na ustach Jehowy
Pod zagrożenia palcem.

Głos. Więc bądź nowy,
Lecz nie bądź wczesnym kamieniem zgorszenia.

Lucyfer. Więc dobrze, niech pod palcem zagrożenia
Będą te rzeczy, niech się duchy rodzą
I same prawdy przedwiecznej dochodzą,
Niechaj czytają sami w kształtów księdze.
Na świecie, będąc wężami, popędzą
Tę smutną ducha leniwą naturę,
Która opiera się idącym w górę
I wieczny opór z dawnej formy stawi.
Na świecie mój trup, pod strażą żórawi
I krzyżów, w stepach gdzieś teraz leżący,
Wstanie i pójdzie, żałosny lub drwiący,
Po wszystkich błotach z braterstwem się szargać,
Za wszystkie serca niebolące targać,
Próbować, które mi do tonu jękną,
Jeśli gliniane
Więc dobrze; to — panie —
Ta sprawa, gdy me ciało zmartwychwstanie
Na świecie, z ciałem mojem się podniesie;
To dobrze: w jakim ciemnym, prostym lesie,
Gdzieś na mogile, gdzieś w blasku księżyca,
Od razu, jak duch, jako błyskawica
Przenikająca świat, zdziwiony mrowiem
Stanę i głosu dobędę i powiem

Ostatnie słowo: Tu wrócę do prawa.
Panie, ty duchem wiesz, że Pańska sprawa
Jest sprawą ducha, który się wielmoży
Tobą i coraz nowe kształty tworzy,
I w tych się kształtach znów wyżej podnosi,
A będąc pierwszym, znów o nowe prosi,
A swoje duchom leniwszym zostawia.
Więc kto chorągiew ducha wyżej stawia
I przedstworzoną objaśnia ciemnicę,
Kto stawia — mówię, nową ducha świecę,
Do której lud inny powoli dochodzi,
Ten — mówię — jakby nową gwiazdę rodzi,
Do której wszyscy my powoli dążym,
I może nazwać się boskim chorążym,
Jeśli na drodze boskiej znalazł drogę.

Więc przed Chrystusem; a oto wam mogę
Dowieść, tych duchów srebrnych girlandami,
Kiedyśmy byli stworzyciele sami
Nowych gwiazd, chociaż przez ziemi pochyłość
I ciężar duchów w dół leciała fala.
To, oto patrzaj, ten duch stworzył miłość
Ojczyzny, a ten, co mię słucha zdala
I w ręku dla mnie czarę cykut trzyma;
Ten w niebo gdzieś tam spojrzawszy oczyma,
Nieśmiertelności dojrzał i tu zjawił.

Panie, tyś krzyż twój cierpiący postawił,
Ten krzyż, nad którym gwiazdy same zbladły,
Na głowach, które dla ojczyzny spadły,
Na sercach, które były twoją skałą,
Bo ukochały coś więcej niż ciało
I nie ulękły się wiecznej mogiły,
Więc pod twym krzyżem leżeć godne były
Jego podporą, jako pierwsza cnota.
A jeśli nie tak, to czemuż Golgota,
Czemu nie Alpy znaczył ci Jehowah,
Czemu ci kazał stać na trupich głowach?
Powiedz, jeżeli mówić się nie boisz.
A czemu teraz krzyżem w Polsce stoisz,
Naszych ubogich chateczek ozdobą?
Bo ta góra głów trupich poszła z tobą,
Lejącą z oczu serdecznemi łzami,
I krzyż musiał iść, za trupów głowami,
I stanąć u nas jako chorągiew Boga.

Primo. Probandum est, że ducha droga
Przez Polskę idzie, za nią ginąć każę,

A to finalnym tu celem wykażę,
Choć mam pisane na to dokumenta.
Secundo. Dowieść muszę, że ta święta
Sprawa w skarżącym była żywą, czerstwą,
Młodą — a na niej spełniono morderstwo,
Do którego się defendent przyznawa.
Tertio. Dowiodę, że dotąd ta sprawa,
Przez odebranie, tu duchowi, ciała
I przez wzrost tamtych we krwi zatrzymała;
A stąd ponosi swoje wielkie szkody
Sam Bóg. A na to pokażę dowody
Straszne, przez żaden sąd nieodepchnięte —
Ciała szlachetne, a z szubienic zdjęte
Duchy szlachetne, a skalane błotem,
Krzyż naszej męki, grożący wywrotem
Nawet aniołom...
Głos. Gwiazdy klaszczą złote...
Lucyfer. Kto nieśmiertelną ma w sobie istotę,
Czuje, widzący ten świat w starej korze,
Że coś większego ze świata być może
Gdy się urodzi w nowość z ducha cudów,
Niż gniazdo nędznych i cierpiących ludów,
Które za jadłem ciągle łażą chciwie;
A te są głupie, a te niegodziwe,
A te są dalej, a te bliżej krzyża;
Tam się podnosi duch, a tam się zniża,
A tam pod formą, jako anioł ciemny,
Pod twardą formą ciągle grzmi podziemny;
A tam zaledwo taka mała dusza,
Że formą rządu gdzieś cokolwiek rusza
Jak kret podziemny.
Każdy rząd swój tor ma
I depce głowę ducha, idąc z góry.
A więc być musi niewidzialna forma,
Zamieszkująca tęczowe lazury,
Większej piękności od gwiazd i miesiąca,
Codzień ku duchom naszym zlatująca, —
Jeszcze wysoko, jeszcze w łonie Pana,
A już przez oczy niektóre widziana.
Rzadko, bo w tysiąc lat raz albo dwa razy
Błyśnie na ludzkie, orle, dzikie oczy,
I znowu tysiąc smętnych lat przeskoczy,
I znowu temi samemi obrazy,
Gdy się otworzy nowa widzeń brama,
Ona wychodzi ze mgły taka sama,
Dziwna dziewica o tęczowych włosach,

Zawsze przed nami stojąca w niebiosach.
Ergo, dwie przyczyny:
Wstrzymanie ducha jest i podłość gliny,
Która uciska formę; gdzież zbawienie?
Od klęczącego tu biorę anioła
Księgę i oto cudowne widzenie [1]),
Które jest niby kopułą kościoła
I celem wszystkich dalszych ducha kroków.
Stoi wyraźnie: «I schodzi z obłoków
Miasto, żyjące pod boskiemi berły,
A bramy wszystkie stoją z jednej perły;
Pełno jest ulic złotem brukowanych,
A w fundamentach są drogie kamienie,
A miastu świecą tylko dusz płomienie,
A w tem się mieści i krew pościnanych
Znachodzi wszelka i wszelkie sumienie
Duchów słonecznych, a zamordowanych,
A którym żadna ludzka moc nie szkodzi,
Wstaje i znowu po ulicach chodzi;
Z lekkością czyniąc sprawy Boga dzielne,
I bez boleści, bo już nieśmiertelne
I duchy one są i miasto duchów». — *(Kładzie księgi)*.
A więc słuchajcie: Gdzieś nakształt łańcuchów
Żórawi albo tęcz trwających wiecznie
Ukazał się gród, cicho i słonecznie —
Trwający w niebie bez miejsca i czasu.
A raz w te jasne, szkliste dyamenty
Włożył swe oczy orle sam Jan święty,
A raz pastuszki z litewskiego lasu
Widzieli mury i perłową bramę;
A zawsze miasto stoi takie same
I światło rzuca na pastusze twarze.
Czasem lat tysiąc przetrwa poza mgłami
I znowu ze mgły cicho się pokaże,
Tęczą podparte albo piorunami;
Albo się w słońca opromieni ramę.
A zawsze — mówię — miasto takie same,
Jak przed wiekami.
Cóż jest ów ogród? — Mara,
Panie, oto ty, jako na Ikara,
Podniosłeś na mnie twój krzyż z dyamentów.
Czy myślisz, że mi braknie dokumentów
Na intromisyę do takiego grodu,
Jeśli spokojna? A jeśli na czele

[1]) Mowa tu o Księdze objawień św. Jana zw. Apokalipsą.

Chcę wjechać z mieczem mojego narodu
I z sztandarami następować śmiele?—
Szablami rąbiąc owe perły święte,
Myślisz, że świętych zabraknie mi szabel?
A jeśli zechcę, sam i bez karabel,
Tylko przez pieśni ogromne, natchnięte
Pioruny, co mi kruszą całą duszę,
Kruszyć te bramy, myślisz, że nie skruszę?
A jeśli do tych bram pozamykanych
Płynie się łodzią, po krwi pościnanych,
I z wielkim żaglem się otwartym wchodzi, —
Myślisz, że braknie mi krwi albo łodzi?
A jeśli piorun mię w bramie uderzy,
Myślisz, że po mnie zabraknie pacierzy
I łez? nie będzie klątew?

Chór kobiet. O! nie będzie...

Lucyfer. Cicho — wy białe, płaczące łabędzie —
Z pożałowaniem. A wiecie wy o co
Sprawa się toczy i serca druzgocą,
I włos siwieje na słuchaczy głowach,
I żywot oto ulatuje w słowach,
Jako rzecz marna, a one w klask mrącym...
Więc cóż jest ducha ostatecznym celem?
Za co my bierzem męki, za co rany,
Czemu ten złotem, a ten krwią zbryzgany,
A tego krwawca anieli się boją? —
A więc nad duchem, który legł pod Trają,
Jerozolimskie nic nie mają wzrostem?
A te nie sąż nam podstawą i mostem
Do spokojności większej wobec zgonu?
Więc musi jakiś być kraj, gdzie się schodzą
Duchy już godne najwyższego tronu,
Które swój żywot, jako harfę, godzą
Nie z żadną ciała skruszonego troską,
Ale z harmonią nieśmiertelną, boską;
Nie z celem ziemi już, lecz z celem światów...
Jeśli ja nędzny i bez antenatów
Zyskałem, żem tu zrobił wielką ciszę,
I mój mówiący głos jedynie słyszę,
Nie przerywany tu żadnym szelestem,
To mi ty powiedz, Boże, skąd ja jestem?
I skąd mi w słowach tyle serc i krzyków?
Jeśli nie z ludu i nie z męczenników,
Jeśli nie z Rzymian, jeżeli nie z Greków
Jestem wyrwany — to skąd?
Wiecież wy jaką mi ognistą paszczą

Świat broni wieków i tej Jeruzalem?
A ja tu całym mej ojczyzny żalem,
Z całą mej ziemskiej ojczyzny tęsknotą,
Wyciągam ręce, tęsknię za tą złotą,
Za ostatecznym snem naszych rycerzy...
Wiecież wy, że gdy ziemia tu poleży
Na mojem sercu, jako na trójnogu,
To ja ją, z ducha, słońcem rzucę Bogu
I już do gliny tej nigdy nie wrócę?
Jeśli tę sprawę wygram, słońcu rzucę
I nigdy więcej mój duch nie upadnie,
A jeśli przegram...

Głos. Patrzcie go jak bladnie.

Lucyfer. A jeśli przegram...

Głos. Gwiazd tysiąc cię słucha!

Lucyfer. Panie, to oddam w twoje ręce ducha
I rób z nim co chcesz.

Chór. Oklaskiem go w górę!

Lucyfer. Panie, oto więc pokazałem w górze
Ten ostateczny wschód, ostatni z wschodów,
Więc to nietylko cel złoty narodów,
Ale i duchów jest to cel konieczny,
Jakiś ostatni, wielki i słoneczny,
Atmosferyczny, mgłom rzucony na tło.
Co? może większe, niż słoneczne, światło,
Pełne pierwiastków, jako duch nasz wiecznych,
Na ziemi w czarach zniesione serdecznych
I z serc wylanej naszej atmosferze.
Może ta miłość, z której dziś duch bierze
Twórczość i ogień i moc swą i dzielność,
Zmieniona w jakąś światła nieśmiertelność,
Już jako dzień tu nieskończony wielka,
Nowa nam matka, opromienicielka
Ciał nieśmiertelnych, nowe światło dzienne.
Więc jeśli nie tak, to co te promienne
Białe postacie, pod szmaragdów drzewy?
Co są te ciągłe, te nabożne śpiewy,
Które tam słychać, niby śpiewy z raju,
Gdy wiatr powieje od tamtego kraju,
A my gotowi chwytać dźwięk harfiany?
Co jest ta jabłoń lecząca pogany,
A czyje to są te pogańskie dzieci,
Którym ogromna ta stolica świeci,
Jak słońce Boże, a ma blask człowieczy,
Które z ran wszystkich owa jabłoń leczy,
Podobna wiedzy i miłości drzewu?

A oni, w lasach gdzieś, słuchają śpiewu
Wielkiego miasta, wszędy dostrzeleni
Brylantowemi strzałami promieni.
A które ścierwo i krew zwierząt żywi?
Ja sądzę, Panie, że to są leniwi,
Że to są męty ducha, czerń zepsuta,
Gromada do form dzisiejszych przykuta,
Co ze krwi żyje, a z łez ludu czerpie,
A oto cierpi w ciałach, — o tak, jak ja cierpię,
Żem jest człowiekiem.

(Duchy klaszczą).

A one w klask, Panie!
Jeśli kto pierwszy u wrót miasta stanie
I w bramę z perły ogromną zastuka,
To oto człowiek ten, zda się, przez kruka
Zdziobany, oto ten kawałek ciała,
Oto ten ułan o krwawych wyłogach.
Krew jego poszła tam na własnych nogach
I już stanęła i już zaśpiewała,
I już zmartwychwstał, już śpiewał ten święty!
Kto słyszał? Ja sam. Kto drugi? Jan święty.
Jeśli dowodów trzeba, dajcie księgi.

(Bierze ewangielię i czyta)

«I ukazał się znak wielki na niebie. Niewiasta obleczona w słońce, a księżyc pod jej nogami, a na głowie jej korona z gwiazd dwunastu».
Azacz nie Polska to, już bez potęgi,
Taka, jaką jest w gwiazd wiecznych łańcuchu,
Która świętemu się Janowi w duchu
Ukazywała, przez jutrzni rubiny?
Więc przed wiekami jej największe czyny:
Wstrzymanie słońca, zgniecenie księżyca
Pokazywała jakaś błyskawica.
Jakże to dawno! Myśl spojrzeć się boi
W ciemność tych czasów, gdy się to zjawiło.
Więcże w tem piśmie też wyraźnie stoi,
Że krew pościnanych w mieście się obudzi!

. . . . . .

Panie, są wichry, co wielką kolumnę
Łamią, są burze duchom niebezpieczne,
Ja je znam. Czoło się moje słoneczne
Od nich, aż do twych tu stóp pochyliło.
Ale przed martwą, prawną uledz siłą,
Ale z przerwanym tu serdecznym głosem
Być zatrzymanym katem albo stosem,

Albo od miecza poledz lub płomienia,
Gdy człowiek czyni dla Twego Imienia,
Gdy Twego ducha w sercach świata budzi,
Gdy duszę gotów położyć za ludzi:
O! takiej więcej nie będzie męczarni;
Albo ja padnę tu, jak martwy pada!
Panie! Tu była wielka Polski zdrada,
Tu w tym człowieku, co nakształt latarni
Używa teraz głowy i roznieca
Krew swą, a tego kanclerza oświeca
I pokazuje trupem: Polskę ścięto.
A ja wybrałem dziś zaduszne święto,
I przez umarłych rządząc, bo mam siłę,
Otwarłem dawną, przedwieczną mogiłę,
A ta otwarta była moją sługą.
I szła — i oto otworzyła drugą,
I oto stoją tu otwarte obie;
A ja muszę drzwi zamknąć w jednym grobie
Nim stąd odejdę.

Lecz kanclerz powiada:
Cóż ja zabiłem? czy jakiego Greka,
W którym wyrocznia Bogów wielkich gada?
Czy mistrza myśli? Czy ludów człowieka?
Kogoż zamknęła ta czerwona trumna?
Powiada kanclerz: Czy sztuk opiekuna?
Czy akademiów zakładowcę? Gdy ja
Byłem jak człowiek, który świat rozwija —
Powiada kanclerz: Do jednego celu
Pędziłem czyny, gdy krwią Polska mokła,
Jak te obrazy na mojem weselu,
Z których się wielka, jasna tęcza wlokła
Przez cały Kraków — tak, z wielkiemi czoły,
Przez Polskę czynów moich archanioły
Szły a lud patrzał. Więc niechże się schowa
Ta jedna blada i ucięta głowa,
Przed Bożym Sądem furya jakaś blada,
Na moje teraz cierpienia nieczuła,
Która przez trzysta lat tę zemstę żuła,
A teraz żółcią tutaj i krwią gada.
Chryste! To kanclerz przed Sądem powiada!
A ja wyznaję, że mnie słowem kruszy,
Bo ja dla jego smętnej, wielkiej duszy
Mam łzy, jak perły wielkie. O! człowieku,
Czemuś ty w innym nie wstał jasnym wieku,
Czemuś, o, teraz w innym nie wstał kraju,

Gdzie prawo rządu jest w króla lokaju,
A ten, jeżeli ma rozum i płuca,
To narodowym mieczem gdzie chce rzuca.
Tak byłbyś wyższy nad lud, całem czołem;
Dla nas ty szatan, tam byłbyś aniołem.
U nas ty jesteś nie ludzki, nie bratni,
I za ostatnim Polakiem — ostatni!
Bo u nas, gdy duch przyjdzie, to już stary,
Przez wszystkie wieki i przez wszystkie wiary —
Jak żóraw ciężki i smętny — wędrował[1]),
Tam naród cały z grobów wyratował,
Tam, o miesiące, krzyżowe sztandary
Rozbił, tam tęcze Boże kładł na murach,
Tam deptał morze, a tam śnieg na górach
Przechodził z wojskiem, z tęczy mając bramę
A świadkiem czynu, tylko słońce same.

Więc kiedy przyjdzie, dla nowego losu
Przybrawszy ciało, miej klucz, co odmyka,
A w jednem ciele znajdziesz męczennika,
Który wyleciał z płomiennego stosu,
Gdzie ciało swoje i kość suchą twardą
Porzucił katom z powagą i wzgardą;
Drugi ci powie, że ma wielkie prawo,
A już duchowych tylko praw posłucha
I zaprzeczenie ci położy z ducha,
Przeciw któremu ty nic, ręką krwawą,
Nie zrobisz, choćbyś piorun trzymał w ręku;
Trzeci — poznasz go po łzach i po jęku,
Z jakiej nieszczęsnej ojczyzny przychodzi,
Gdzie się nie krzewi nic i nic nie rodzi,
Wszystko trzymane pod cielesną ryzą,
A wielkie duchy, same siebie gryzą,
Tęsknią i kują pod formy fortecą,
A gdy wylecą, to do Polski lecą,
Odetchnąć, jako błękitem sokoły.
. . . . . .

U nas gdy sądzą jakiego pisarza,
A on na chwilę głos i lutnię złoży,
To mówią: milczy — bo niebo otworzy;
Milczy, bo zbiera teraz siłę duszy,
Którą kraj wskrzesi i z mogiły ruszy.

[1]) Zgodnie z wierzeniami poety co do metampsychozy i co do wysokiego posłannictwa Polsce danego, które wymaga kierownictwa i pracy duchów wysoko udoskonalonych i blizkich już anielstwa.

Więc choć upadnie jaki brat Ikara,
To przy narodzie poezya i wiara.
Gdyś architektem, a jest jakaś bryła,
Z której lud sobie mieć kolumnę marzy,
To myśli zaraz, że będzie świeciła
W nocy, jak miesiąc, z płomieniem na twarzy,
I chce ażeby w niebiosa ubodła,
I gwiazdy wszystkie nam do kraju wiodła,
W pokorze niemi ogirlandowana,
Jakby cudowny gród świętego Jana.
U nas, gdy powie wieszcz: «kolumny głowa»,
To się kolumna ta duchowi kreśli,
Z ustami, z których lecą wielkie słowa,
Z głową, gdzie wielkie, kolumnowe myśli,
Z oczyma. I wnet spytaj się gawiedzi,
Powie, że serce w tej kolumnie siedzi,
Serce, co wiecznie się pęka i broczy.
Taka jest wielka moc błyskawic w łonach,
Że dotknij, a wnet piorun ci wyskoczy
Z każdego serca.
A ty na tych tonach
Chciałeś budować — co?

Chór. Bij go słowa tęczą!

Lucyfer. Nie, nie. — Patrzajcie, jego twarz dręczą
Zbudzone myśli. Nie, na Pana Boga,
On nie wygląda na ojczyzny wroga,
On także zguby narodu nie żąda.
On teraz dawnych myśli twarz rozgląda
I widzi, że go czeka przyszłość z nami.
Zostawcie go więc smętnego z myślami,
To jego kara.

Scena VII.

Lucyfer. Z klienta mego ran pozamykanych,
566) I z tej światłości, co jest jemu ciałem,
Widzę, o Panie, że sprawę wygrałem;
A on, z oczyma jak słońce złotemi,
Tę sprawę ciałem rozegra na ziemi.
Krew nie potrzebna więcej i ja, Panie,
Już nie potrzebny...

Głos. Chcesz iść za mną?

Lucyfer. Muszę
Jedną na świecie nieśmiertelną duszę
Przez wszystkie złote tajemnic otchłanie
Prowadzić.

Głos. Kto ci polecił?
Lucyfer. Ojciec nasz. *(Znika).*
Głos. Błysnęła mu twarz
I zniknął.
Chrystus. Siejcie duch, aby naród z pod ziemi wyniknął
I do niebios prowadził prostemi drogami,
Gdzie ja jestem...

---

567) R) Do autora trzech psalmów.

(Wiersz ten, napisany przy końcu r. 1845, pozostawał dłuższy czas w rękopisie. W r. 1847 poeta uporządkował i przerobił brulion tego wiersza i udzielił odpis komuś z kółka najbliższych; odpis ten został, bez wiedzy autora, ogłoszony drukiem bezimiennie w Lipsku, r. 1848. Małecki w wydaniu pośmiertnych pism, podał jakoby pierwotny tekst. Inny rękopis, ze zmianami i opuszczeniami, znalazł się niedawno i obecnie stanowi własność Biblioteki Krasińskich w Warszawie. Jest to autograf poety pochodzący z r. 1848. Na czele wiersza nadpis: «Odpowiedź na Psalmy Przyszłości z r. 1848. Na czele wiersza nadpis: «Odpowiedź na Psalmy Przyszłości Spirydyonowi Prawdzickiemu». Wobec braku ustalonego przez samego poetę wydania, podajemy tu wiersz, według układu w wydaniu Małeckiego, z poprawkami tekstu na podstawie autografu ze zbiorów Biblioteki Krasińskich).

Podług ciebie, mój szlachcicu,
Cnotą naszą — znieść niewolę?
Ty przemieniasz ziemską dolę
W żywot dziecka na księżycu.
W pieśniach wołasz: czynu, czynu![1])
Czynu — czynu naród czeka,
A ty drżysz, przed piersią gminu,
Drżysz, gdy błyśnie Bóg z człowie-
Drżysz gdy cię kos ukraińskich [ka!...
Długi, smętny brzęk doleci,
Drżysz, gdy w marzeń mgle zaświeci
Groźna, stara twarz Kilińskich.
Nie tak — nie tak, mój szlache-
Bo czyn ludu — nie piosenka, [tny,
To nie w herbie — z mieczem ręka,
To nie ród — imieniem świetny,
To nie pieśni próżny twór,
To nie buntu próżna mara,
To nie chmurny lot Ikara,
Gdzie zasługą upaść z chmur!
To nie na słońc, gwiazd granicy
Z kochankami, mdlejąc, latać,
Włosy splatać i rozplatać[2]),
Tchnienie tracić w błyskawicy;
Ale twardo, ale jasno
Śród narodu swego stać,
Myślą bić, chorągwie rwać,
Świecić czynu tarczą własną!
W drogę, choćby niepowrotną,
Lecz ofiarną — naprzód twarzą,
Z piersią czystą, choć samotną,
Choć ją sztyletami rażą,
Z twarzą smętną, ale białą,
Chrystusową, choć zwiędniałą,
A ciągnącą lud do siebie
Niesłychanym bożym czarem:
Takim duchem i sztandarem
Być na ziemi — to być w niebie!

---

[1]) Jest to aluzya do wykrzyku Krasińskiego: «Zgińcie me pieśni, wstańcie czyny moje» (w zakończeniu Przedświtu i Psalmie nadziei).
[2]) Aluzya do Delfiny Potockiej (Beatrice), w której towarzystwie tworzył Krasiński «Przedświt».

Jam spróbował na mej głowie,[1])
Na kształt perły kałakuckiej,
Nosić gwiazdę myśli ludzkiej
I z tą gwiazdą żyć surowie.
I przybiegli Aniołowie,
Aniołowie Betleemscy —
A odbiegli ludzie ziemscy
I drzwi moje pożegnali,
I przeklęli... me domowe
Duchy — serce moją głowę —
Każdy włos poprzeklinali...[2])
A jam przecie, bez ich wiedzy
I bez serc ludzkiego ciepła
Czuł, że w żyłach krew nie krzepła.
Ani na rozstajnej miedzy,
Która świat od Boga dzieli,
A do przyszłych idzie światów,
Rosło mniej tęczowych kwiatów,
Choć suszyli ją i klęli.
I dlatego, żem się umiał
Pohamować — być nad zgraję —
Wichr przeleciał i wyszumiał
I legł martwy... a ja wstaję;
Bo ojczyznę mą w łańcuchu
Widząc, miałem tę pokorę,
Żem żadnego nie klął ruchu...
Czuł gorących — bo sam gorę,
Modlił się o czasy nowe
I o wrogów swych zwycięstwo,
Choć groziło mi męczeństwo
I w sąd... mogło pójść o głowę.
Bo ty nie myśl, że z Anioły
Tylko Boża myśl nadchodzi;
Czasem Bóg ją we krwi rodzi,
Czasem rzuca przez Mongoły!...[3])
A ty, jasny jakiś panie,
Bo cię nie znam, ale słyszę,
Słysząc twoje wierszowanie,
Że ktoś, jak perłami, pisze,
Że ktoś, nakształt się proroka,
Stawia ludziom — ale modny,
Jak historyk świata — chłodny,
Obejrzawszy glob z wysoka,
Wieszcze rymy, gdyby cugi,
Wysłał na świat równym kłusem, —
I napełnił wóz Chrystusem,
Jak Owidyusz Faetonem.
I rozesłał swoje sługi,
Swe kolory — czcić pokłonem.[4])
Honor myślom, z których błyska
Nowy duch i forma nowa!
Bo są światu, jak zjawiska,
Jak jutrzenka są różowa,
Jak ogniste meteory...
Stopom ludu podścielona,
By gościńce Irydyona
Pielgrzymowi, który od nich
Bierze ogień i kolory,
Gdy już gwiazd dochodzi wschodnich.
Taką była dawniej dana
Poetyczna karm dla ludu,
Objawienie pełne cudu;
Myśl, jak mara niespodziana,
Z piersi naszej wychodziła,
Nakształt gwiazdy, lub miesiąca,
Narodowi dźwiękiem miła,
Ludu sen wspominająca.
To, jak słońce w półobłoku,
Oczom wschodziła i rosła,
To, jak róża na potoku,

---

[1]) Ustępu tego aż do słów: «A ty jasny jakiś panie» niema w wydaniu Biegeleisena i w autografie z r. 1848.
[2]) Odnosi się ten ustęp do zmiany duchowej zaszłej w Słowackim pod wpływem Towianizmu.
[3]) Rozwinięciem tej myśli będzie postać okrutnika Popiela w «Królu Duchu».
[4]) Poeta, który siebie uważa za głosiciela prawd nieznanych dotąd ludziom, a jemu tylko objawionych, który widzi w sobie wieszcza i wodza duchowego narodu, odmawia Krasińskiemu prawa przemawiania do ogółu w sprawie jego przyszłości, zajmowania stanowiska wieszcza, gdyż nie otrzymał on z niebios pełnomocnictwa.

Albo lekki Sylf bez wiosła.
Jakaś siła niewidzialna,
Przez poetę na świat lana,
Wolna — jako Anioł Pana!
Silna — jako skra zapalna.

Dziś co? — Każdy wieszcz z rozka-
Każdy patron... lecz za sobą; [zem,
Nie z promieniem, lecz z wyrazem,
Nie duch — duchem, lecz osobą.
Kiedy gore świat cierpieniem,
Kiedy wzbiera czynu fala,
On się kładzie wstecz kamieniem,
Na ruch ludzki nie pozwala;
Chce zawrócić w stare łoże
Nowe fale — rzeki Boże;
Do zbolałych serc nie wnika,
Gromu ludu nie ma w dłoni,
Ale w uszy formą dzwoni,
Albo dzwoni — albo syka.
Jego dźwiękiem, jego mową
Nie odetchnie pierś szeroka,
Nie pomyśli jego głową,
Skier nie weźmie z jego oka;
Tylko z nędznej, starej płachty,
Zamiast wieszcza — sztandar jego
I krzyk: «na Boga czerwonego!
«Ty kto jesteś? nie rżnij szlachty...

Któż i gdzie zagroził nożem?
Któż i gdzie ci stanął sporem? —
Możeś spotkał się z upiorem,
Z całem dawnem Zaporożem?
Możeś widział pochód głuchy,
Krzyki krwawe i namiętne,
I księżyce nad krwią smętne
I sokoły w mgle, jak duchy?
Może tobie zastąpiły,
W poprzek twojej sennej stecki,
Już nie duchy lecz mogiły —
A ty zląkł się! syn szlachecki!! —[1])

Może tylko w noc półjasną
Upiór jaki nadlatywał,
Strzały sobie z ran wyrywał
I mgły krwią czerwienił własną,
Hełm rozpalił w błyskawicę,
Miecz potrząsał purpurowy,
A zrąbane cztery głowy,
Jako perły, zausznice,
Z twarzą nieznajomych plemion,
Niby róże — niósł u strzemion.[2])
— A ty zaraz — w ręku kord,
W kosach przed nim cała wieś!
Duch ten, krzyczysz, jest to rzeź!
Duch ten, to czerwony mord!...
— Nie mord, nie rzeź: to z gir-
Co leciała pod nad Lidą[3]) [landy,
Jakiś sługa dziewki Wandy,[4])
Jakiś złoty husarz z dzidą,
Jakiś krzyża kapłan świecki,
Z tęczy widzeń oderwany,
Znów powracał na kurhany —
A ty zląkł się! — syn szlachecki!! —

Duchy lecą i nie giną.
Czasem pełne snów czerwonych:
Czy ty jeden z przestraszonych

[1]) Odnosi się to do, podzielanych przez Słowackiego a potępionych przez Krasińskiego, doktryn i haseł głoszonych przez kierowników stronnictwa demokratycznego na emigracyi, w świeżo wydanych książkach: «O prawdach żywotnych narodu polskiego» (Bruksella 1844) i «Katechizm demokratyczny albo opowiadanie słowa ludowego» (Paryż 1845). Autorem ich (pod pseudonizmem Prawdowskiego) był Henryk Kamieński.

[2]) Jest to obraz wzięty z niedokończonego dramatu: «Zawisza Czarny».

[3]) Lida jest to Lidynia albo Łydynia, rzeczka, dopływ Wkry. Płynie ona pod zamkiem ciechanowskim, w pobliżu Opinogóry. Wspomina ją Krasiński w młodzieńczym utworze «Pan trzech pagórków».

[4]) W jednym z fragmentów «Zawiszy Czarnego» występuje Wanda o której mówi Chorus:

Gwiazd różanych girlanda — To pani nasza Wanda
Na hełmie się paląca, — Która chór najweselszy
I hełm z kręgu miesiąca — Po błękitach prowadzi.
I koń od śniegu bielszy:

Ręką rzezi — gilotyną?
Skądże taka w tobie trwoga
I od ludu rów i przedział?
Prawdę mówisz?... Nie, na Boga,
Wiem, żeś prawdy nie powiedział!
Tylko jakieś sny czerwone,
Zaludnione czartów gminem,
Twych firanek karmazynem
Owionięte, osłonione,
Jak krew jasne — jak sen płone,
Pełne, mówię, mar szkaradnych,
Bez słońc, bez gwiazd, kwiatów ża-
Przestraszyły cię, żeś krzyknął: [dnych,

«Stójmy tak na Ojców ko-
I twój Anioł już w przyszłości [ści!»
Zabłyśniony — jak sen zniknął.

Jeszcze co? ani zamachu —
Naród cały hasła czeka —
A krzyk pierwszy z ust człowieka
Był krzyk: stójmy! był krzyk strachu.
Bo to sen na końcu pieśni,
Że magnaty — kiedyś — staną
Z wielką tęczą chorągwianą,
Otrząśnięci z wieków pleśni,
Z wielką myślą w sercu — w gło-
Chatom — niby Aniołowie; [wie —
I bunt święty rozpłomienią,
I świat cały od nich zgore...
W tych magnatach serce chore:
Wąż im sercem, a proch rdzenią!...

Kiedyś ze sto was tysięcy
Było szlachty — z serc i z lica;
Dziś jednegom znał szlachcica, —
Kraj ich cały nie znał więcej, —
Jeden tylko, serca męką,
Zamiarami, choć nie skutkiem,
Wielkim, cichym, dumnym smutkiem,
Pełną niegdyś darów ręką,
Smętną, wziętą z nieszczęść sławą
Był szlachcicem — i miał prawo...
Dziś — i ten nie został z wami
Swej godności już nie trzyma;
Marą króla zgnił z królami,
Dziś go nie ma — i was nie ma![1])

Nie myśl, że wszystko na naszej
[łące[2])
Smutnieje, więdnie, zachodzi nocą,
Że nietoperze ociemniające
W powietrzu cicho skrzydły łopocą,
Gdzie znajdą lampę — skrzydły
[zaduszą,
Gdzie znajdą ciepłą, polską krew
[w żyłach,
To ją wysmokczą — serce wysuszą —
Mózg o waryackich zostawią siłach.
Nie tak, tu nie tak... jak ci się
[może
Przyśniło, głośny szlachty upiorze!

Duch, ogień, młodość[3]) —
Orla i żywa,
Niebo porywa,
Z Boga moc czerpie.
Nad nią, na sierpie
Z blasków księżyca,
Boga Rodzica
W zorzy czerwonej,
Na wywróconej tęczy porannej!
A pod nią mgła
Z ognia i szkła,
W skrze nieustannej
Bałwany wznosząca,

[1]) Odnosi się ta do ks. Adama Czartoryskiego i, do narzucanej mu przez zwolenników, roli pretendenta do korony polskiej. W redakcyi ostatniej z r. 1848 poeta zmienił nieco tekst pierwotny, zaostrzając sąd swój.

[2]) Ustępu tego niema u Biegeleisena ni w autografie z r. 1848, a natomiast umieszczono w dalszym ciągu od wiersza: Bądźże mi weselszej cery.

[3]) Ustęp ten i następny w redakcyi z r. 1848, pomieszczone są pomiędzy ustępem od słów: «więc się bój, bo duch się wdziera», a ustępem od słów: «A tu niżej Pan poniży Namiętnych».

By znieść ją z miesiąca,
Z gwiazdami złotemi
Piękność z płomieniem w sercu, z gwiazdami nad głową[1]).

Wyszła, wyszła z za obłoku,
Ludom się pokaże,
I na żniwie i na toku,
Ujrzą ją żniwiarze!
Cała w słońcach, cała w błyskach,
Z kwiatem złotym w dłoni;
Pastuszkowie, przy ogniskach,
Zaśpiewają o niej!...
Ujrzą ją na łąkach trzody
I smętnie zaryczą;
Zadrżą drzewa, staną wody,
Sny z niej tęcz pożyczą!
W polu zbiorą się włódarze
Z kosami na roli;
Bo się w światłach — w snach po- [każe
Człowiek dobrej woli...
A tu niżej
Kilka krzyży —
Płacz namiętnych.
Pierś uciszysz,
A usłyszysz
Jęk smętnych.
Zebrzydowscy
I Zborowscy
W czerwonych deliach.
Sny-martwice
I dziewice
W bladych kameliach.
Chór nadchodzi,
Zda się, w łodzi,
O brzeg trąca.
Nad smętnemi
Lampa ziemi,
Krąg miesiąca.

Postawić na ziemi,
Ogłosić królową,
Zegar świata,
Ptak Piłata,
Godziny pieje.
Strach i nudności,
W grobach drżą kości,
Bezduch szaleje.
Duch uciska,
Mroczy i błyska,
Aż uzupełni
Wiek idący,
Bogiem błyszczący,
Jak księżyc w pełni.

Bądźże mi weselszej cery
Bo cię żywym być przymuszę;
Wygnaj z myśli Maryusze,
Cezary i Robespiery.
Z komet, z meteorów cyfer,
Czytaj przyszłość, wieszczu młody,
Nie bądź, w przyszłą noc pogody,
Jako gwiazda — Lucyfer,
Gdy słoneczny wóz wyciąga,
Jak pies, z morza wytknie szyję,
I zła skrzy... i w oczy bije
I bezsennym się urąga.
Bo my, z bezsennego łoża,
Wzrok rzucamy gorączkowy,
A ty, łyskasz blaskiem noża,
Dziecko, lub zły duch Jehowy,
Bo nam tworzysz czarną marę
I w zrodzoną rodzisz wiarę.[1])

Ten, kto ojcu powie: rakka!
Ten przeklęty: — więc się bój!
Polski lud, to ojciec twój.

[1]) Ta postać Bogarodzicy w wieńcu gwiazd, naprzemiany z postacią kobiecą, ideałem Polski przyszłej, występuje prawie w każdym utworze poety z ostatnich lat. Myślą poety jest tu, że fale młodzieńczych zapałów i poświęceń zdołają ściągnąć ideał ten z niebios na ziemię i uczynić tę piękność idealną królową odrodzonej ojczyzny. Dalszy ustęp opiewa radość ludu odrodzonego i przyrody samej.

[1]) Szerzysz wiarę w mary zrodzone w twej wyobraźni.

Zeń, jak z cierniowego krzaka,
Gotów znowu, Bóg wybuchnąć,
Z wichrów mając płaszcz i lice,
I na ciebie, jak na świecę
Iść — i dalej pójść — i zdmuchnąć!

Więc się bój; — bo nie ja grożę,
Marny człowiek i twój brat,
Ale jakiś straszny świat
I widzialne światła Boże,
Z mocą, z wichrem i z szelestem
Rzucające się na lud,
Strachy, które mówią: cud!
Ognie, które szepczą: jestem![1])

Więc się bój: — bo duch się wdzie- [ra,
Już podnosi góry, wieże;
Słaby, mówisz, rzeź wybiera;
A czy wiesz, co On wybierze?
Może ludów zatracenie,
Może nam przyniesie w dłoni
Komet wichry i płomienie,
W których drży król, matka roni,
Działa, wozy, hufce, konie
Ogień pali, ziemia chłonie,
A nikt z mogił nie korzysta,
Jeno wszczynający ruch,
Wieczny rewolucyonista,
Pod męką ciał — leżący duch!

We łzach, Panie, ręce podnosimy do Ciebie,
Odpuść nam nasze winy!
Niech będzie Twoja wola na ziemi i w niebie;
Przez nas czyń Twoje czyny!
Niechaj się Twoje imię na wysokościach święci,
Niech się święci trzy razy!
Abyśmy już nie byli z ksiąg żywota wyjęci
Dla naszych ran i zmazy.
Wspomnij, cośmy cierpieli pod chłostą tych mocarzy,
A ducha śmy nie dali:
Nie poznaliby ojce naszych bolesnych twarzy,
Gdyby z grobowca wstali.
Gdyśmy cierpieli mocno, wołaliśmy do góry,
Jako gołębie: «nie ciśnij!»
Duchy, jak gołębice, rozleciały się w chmury;
Zatrwóż! niech wrócą!... błyśnij!
W tej błyskawicy, Panie, ujrzym się, i z daleka
Brat pozna swego brata,
I wejdzie nieśmiertelność, jako Anioł, w człowieka
I staniem ludem świata!...

W takim hymnie wieszczu stój,
Bo pieśń taka pójdzie górą,
Nad podlejszych dusz naturą
Panująca — Boży strój,
Do którego Bóg nagina
Wszystkie tego wieku struny,
Złączy dźwięki i pioruny,
Świat, co kocha i przeklina,
I błękitu rzuci na tła,
Przemienioną krwawość w światła.
Anioł się z Aniołem zetrze,
Chrystus wstąpi na ciał złamy
I z Chrystusem się spotkamy,
A spotkania plac... powietrze! —

[1]) Poeta ma tu na myśli własne widzenie senne (r. 1845), w którem nad głową swą ujrzał ognistą kopułę z płomieni i upatrywał w tem objawienie się nadziemskich potęg.

Lecz dopóki ty i twoi,[1])
Duchem Bożym nie skrzydlaci,
Chcecie stać na głowach braci,
Tak jak szatan dotąd stoi,
Ciałem formą, która kuta
Od tysięcy lat we świecie,
Choć spróchniała duchy gniecie,
Wyrobiona i przeżuta,
Przeświecona piekłem mara,
Dla was święta tem, że stara..
Póki wy, jakby z kamienia,
A kryjący strach kobiecy,
Opieracie wasze plecy
O ten wiatr z gwiazd i z płomienia,
Który się jak słońce pali
I lud niesie, a was wali —
Lecz dotychczas jeszcze szczędzi
Najpiękniejszych od zagłady,
Aż nie mogąc, dusz gromady
Przerażone z ciał wypędzi: —
To ja — pomny na potrzebę
Przyszłych ludzi, tych Cezarów,
Którym każdy stary narów
Kładł pod nogi kamień, glebę,
Męczenników pełną chatę,
Swój interes i prywatę; —
To my święci, to my młodzi
Jutrzenkami i błyskaniem,
Charonowej twojej łodzi,
Pełnej trupów — poprzek staniem!

S) Król Duch (1846–1849).

Rapsod I, z pieśni I.

568) Cierpienia moje i męki serdeczne
I ciągłą walkę z szatanów gromadą,
Ich bronie jasne i tarcze słoneczne,
Jamy wężową napełnione zdradą — —
Powiem — wyroki wypełniając wieczne,
Które to na mnie dzisiaj brzemię kładą,
Abym wyśpiewał rzeczy przeminięte,
I wielkie duchów świętych wojny święte.

Ja Her Armeńczyk[2]) leżałem na stosie
Trupem — przy niebios jasnej błyskawicy,
Kaukaz w piorunów się ciągłym rozgłosie
Odzywał do ech ciemnej okolicy.
Niebo szczerniało — ale świeciło się
Grzmotami — jak wid szatańskiej stolicy.
A ja, świecący od ciągłego grzmota,
Leżałem. — Zbroja była na mnie złota.

I duch niewyszły z umarłego ciała
Czuł jakąś dumę, że spokojnie leży;
A nad nim ziemia poruszona grzmiała,
I unosiły się duchy rycerzy. —

[1]) Ustępu tego aż do końca, niema w wydaniu Biegeleisena i w autografie z roku 1848.
[2]) Obacz w Platonie pełną tajemnic ducha powieść o Herze Armeńczyku, na końcu dzieła p. t. Rzeczpospolita.

Trójca widm stos mój ogniem zapalała,
A ja czekałem aż piorun uderzy;
Tak byłem pewny, że w owe rumiane
Grzmotem powietrze: jak duch zmartwychwstanę.

Już przybliżały straszne czarownice
Chwast zapalony i suche piołuny,
I moje blade oświeciwszy lice,
Wrzeszcząc, posępne swe śpiewały runy:
Kiedy je trzasły aż trzy błyskawice,
I trzy siarczane ogniste pioruny;
I tak strzaskały płomienie czerwone
Żem je nie martwe sądził, lecz zniknione.

Wtenczas to dusza wystąpiła ze mnie,
I o swe ciało już nie utroskana,
Ale za ciałem płacząca daremnie,
Cała poddana pod wyroki Pana;
W Styksie, w Letejskiej wodzie, albo w Niemnie
Gotowa tracić rzeczy ludzkich miana,
Poszła: a wiedzą tylko Wniebowzięci,
Czem jest moc czucia, a strata pamięci!

Tam, kędy dusze jasne, jak brylanty,
Swe dobrowolne czyniły wybory,
Moc utrudzona biegiem Atalanty[1])
Szukała tylko szczęścia i pokory. —
Orfeusz między ptaki muzykanty
Szedł umęczony i na sercu chory:
A jam pomyślał; że mu śpiewem będzie
Składać, i skrzydła rozszerzać łabędzie.

Ulises poszedł w prostego oracza,
Aby odpocząć po swych wędrowaniach. —
Tak ludziom Pan Bóg zmęczonym wybacza!
I odpoczywać daje w zmartwychwstaniach!
Niech wyniszczony pracą nie rozpacza,
Że mu na ogniach braknie i błyskaniach,
Ani też myśli: że jest upominek
Dla ducha większy jaki, nad spoczynek —

Ja sam z harmonią obeznany młodą,
Własnego ciała nie chciałem odmiany,
I siadłem smutny nad Letejską wodą,
Nie usta moje myjąc, ale rany.

[1]) Atalanta, wedle mitu greckiego, słynna z piękności i biegu, wyścigała wszystkich ubiegających się o jej rękę i zabijała ich.

Odtąd już nigdy nad cielesną szkodą
Nie płakał mój duch z ciała rozebrany;
Ani za wielką sobie brał wymowę,
Otwierać tych ran usta purpurowe.

Wszakże Letejską przykładając wodę
Do ran, by pamięć boleści straciły,
Nie jedną poniósł na pamięci szkodę,
Nie jeden obraz stracił senny, miły.
Jutrzenek greckich różaną pogodę
Duchy mu nagle ręką zasłoniły,
A pokazały, jako świt daleki,
Umiłowaną odtąd — i na wieki!

Ani gwiaździce co się w morzach palą,
A mają w świetle tęczowe kolory,
I są gwiazdami w ciemnicy pod falą,
Tak błyszczącemi, że mórz dziwotwory
Delfiny w morzu swoje łuski skalą,
I obchodzą je cicho jak upiory:
A płynąć wierzchem nad niemi nie śmieją —
Tak mocno w morzu te gwiazdy jaśnieją!

Ani tych gwiaździc jasność tajemnicza
Tak nie przeraża owe pierwopłody,
Jak piękność, którąm ja poznał z oblicza,
We mgłach Letejskiej zapomnienia wody.
Nad nią: dźwięk, duchów girlanda słowicza —
Pod nią: jakoby złote zejścia schody
Na świat daleki i zamglony wiodły —
Na kwiatki jasne pod ciemnemi jodły.

Z tych łąk i tych puszcz, jakby wiatr poranny,
Pieśnią zapraszał na ziemię szczęśliwą.
Szedłem — choć strzały Numidzkiemi ranny —
Niepewny, czy śmierć? czy żywota dziwo?
Czy Irys, którą na świat znosi szklanny
Obłok? — a tęcze, świecące nad niwą,
Tyle kolorów i słońc tyle mają,
Że ją nad ziemią na światłach trzymają?

Ona przedemną do lesistych zacisz
Weszła, a harfy śpiewały wietrzane:
«Dobrze ją poznaj — bo wkrótce utracisz
Jak sny, przez dobre duchy malowane;
Żywot, tysiącem żywotów zapłacisz —
A zawsze jednę tę serdeczną ranę

Przyciśniesz w piersi rękami obiema:
Tę jednę smętną ranę — że jej nie ma![1])

Sławę ci damy — lecz tobie obrzydnie —
Serce ci damy, ale spustoszeje!
Przyjdzie do tego, że będziesz bezwstydnie
Urągał w Bogu mającym nadzieję!»
Na to ja: niechaj me oczy rozwidnię
Rubinem, który z jej ust światło leje —
A nie dbam o to co mię dalej czeka,
Żywoty ducha? czy męki człowieka?

W jedną girlandę męki me uwiążę,
Jak człowiek który za tysiące czuje,
I tą girlandą, jako świata książę,
Czoło uwieńczę i ukoronuję;
Niechaj-że na mnie idą duchy węże!
Niech mię świat walczy otwarcie lub truje!
Niech mię ognistą otoczy otchłanią:
Choćby aż w piekło wiodła — pójdę za nią! —

Pamiętam ten głos — i straszne zaklęcie,
Na które odwrzasł mi duch: «to Królowa»!
I całe mego ducha wniebowzięcie
Upadło. — A wtem jasność przyszła nowa
I w tem powietrzu, jako w dyamencie,
Ukazał się wid — piękność — córka S ł o w a,
Pani któregoś z ludów na północy,
Jaką Judejscy widzieli prorocy —

Słońce lecące trzymała nad czołem,
A miesiąc srebrny pod nogami gniotła:
Szła nad lasami i leciała dołem,
Nad chaty, jako komeciana miotła.
Tęcze ją ciągłem oskrzydlały kołem;
W słońcu girlandy niby z kwiatów plotła
I na powietrze rzucała niedbale
Perły-jaśminy i maki-korale.
. . . . . .

Budzę się. — Straszna nademną kobieta
Śpiewała swoje czarodziejskie runy.[2])
«Ojczyzna twoja — wrzeszczała — zabita —
Ja jedna żywa — a ty zamiast truny

[1]) To zjawienie to najwyższy ideał piękna i doskonałości, «Królowa» świata duchów. Następne zjawienie (oktawa XVI) to ideał ludów ziemskich, przyszła Polska «córka Słowa».

[2]) Jest to Roza Weneda. Spiewa ona tajemnicze zaklęcia (runy).

Miałeś mój żywot. — Popiołem nakryta,
I zapłodniona przez proch i pioruny,
Wydałam ciebie, abyś był mścicielem!
Synu popiołów, nazwany P o p i e l e m —!

Sam jeden jesteś — ale cię przymioty
Ojców napełnią — a ja dam dwa duchy:
Na prawo stanieć jeden Anioł złoty,
Na lewo jeden z krwi i zawieruchy!
Ci dwaj — ty trzeci i mój głos, jak grzmoty
Pędzący w zemstę — » To mówiąc, pieluchy
Moje chwytała, i trzęsąc nad głową,
Rzucała dzieckiem jak skrą piorunową.

Jeszczem nie dorósł, a już karmem duszy
Zemsta mi była — a nauką zdrada.
Często bywało, że ktoś włos mi ruszy,
I we śnie do mnie, jak anioł, zagada:
Gdy spojrzę — liść się tylko zawieruszy
I w kształt złotego widma wstaje, pada —
Czasem na moją pierś tumanem runie:
Ręka mi zadrży, nóż się sam wysunie.

O! pierwsze mego ducha nawałnice,
Jakże wy straszne stajecie w pamięci!
Widzę tę straszną krew, jak błyskawicę,
W której się mój duch, niby gołąb, kręci;
Dziś, nieraz, kiedy w czarną okolicę
I w puszczę wejdę, to mię coś tak smęci —
Że radbym własne wyrywał wnętrzności!
Albo u bolów swych prosił litości!
. . . . . .

569) Przerażon, w lasy wróciłem rodzinne,
A wkrótce wziął mię Lech król za pachołka.
Jam oczy groźne miał i ręce czynne,
I uwiązany cel do wież wierzchołka.
Trucizny wlano w to serce niewinne!
A zemsta, jako pierwsza apostołka,
Ciągle kłóciła mię z ludźmi i z losem —
A głos jej czasem nie był ludzkim głosem.

Więc ile razy posłucham jej rady —
A rada była dla ducha fatalna —
To widzę, że mi na świecie zawady
Usuwa jakaś ręka niewidzialna.
Na działającą moc patrzałem blady,
Sądząc, że biała mi orlica skalna

Zlatuje na hełm — usiada na czele —
I drogę moją piorunami ściele.

Żądałem wodzem być — i wraz dwa Wodze,
Krwi rozszalonej piorun w mózg uderzył.
Ja, co bywało, za stadami chodzę,
Kiedym się z duchy ciemnemi sprzymierzył,
Teraz tak straszny! — że komu ja szkodzę,
Choćbym się tylko nań myślą zamierzył —
Choćbym oczyma uderzył po stali —
W pancerz — i w serce ruszył: wnet się wali.

I szczerniał cały świat: a ja, syn borów,
Patrzałem jako na las do wycięcia.
Zpod przyłbic wielkich bladość mię upiorów
Trwożyła. — Byłem pierwszą ręką księcia.
Przed sobą dalszych nie widziałem torów,
Ani dalszego już celu do wzięcia.
W zamku cedrowym, nad Gopłową wodą,
Byłem najpierwszym Złotym Wojewodą.

Tu patrz! jak straszne są duchowe sprawy,
Jakie okropne zastawiają sidła!
Raz, gdy z dalekiej wracałem wyprawy,
A piorunów się różne malowidła
Przez długi deszczu włos świeciły krwawy:
Ja i rycerze ujrzeliśmy skrzydła
Orłów pobitych, w tak wielkiej ilości,
Jak na smętarzach gdzieś Germanów kości.

Pierze leżało zmokłe — lecz niektóre
Skrzydła sterczały z piasku, takiej miary!
Że gdym na dzidę wziął i podniósł w górę
Jedno — to, jako wielki upiór szary,
Wierzchem o ciemną kity mej purpurę
Dostało, wstając leniwe z moczary:
Niby, wyzwany czarodziejstwem runów,
Duch śpiący w błocie, przy blasku piorunów.

Taka w tem skrzydle była tajemnica!
I ludzkość! żem się spytał: Powiedz sępie,
Czy was na wiatrach paląc, błyskawica
Rzuciła w takie nic — i w takie strzępie?
Czyście się bili o państwo księżyca,
Idąc na siebie zastęp przy zastępie? —
Czyście tu jaki bój toczyli krwawy
O ścierw? — Czy tylko gryźli się dla sławy?!

Powiedz: jak nazwać to pamiętne pole,
Dziś od błyskawic czerwone rumianych?

Gdzie tyle górnych duchów — dziś na dole!
I tyle skrzydeł leży połamanych?
Tom rzekł, w nieszczęścia nauczony szkole,
Litować się łez i mogił nieznanych.
A wtem ujrzałem, że rycerstwo bierze
Skrzydła i wtyka sobie za pancerze.

Widok ten nowy! wspaniały! — czas późny! —
Błyskawic blaski wszędy! — wojsko w dali:
Gdzie każdy człowiek był jak upiór groźny —
Skrzydlaty — w czarnej rozświeconej stali.
Wszystko tak straszne, żem dreszcz uczuł mroźny
I krzyknął: «Sława Bogu świat się wali!
Ja pierwszy moją piersią go roztrącę!
Ja duch! — A za mną — wojska latające».

To mówiąc — skrzydło zmoczone i krwawe
Przypiąłem sobie tak, że hełm nakryło.
Ja biorąc skrzydła — za cel brałem sławę;
A oni chcieli sobie lotu siłą
Pomódz do domów. O! jakże ciekawe
Powody, które rządzą ciała bryłą!
O! jak są różne przed prawdy mistrzynią
Orły — choć wszystkie jeden hałas czynią!

I lecieliśmy do domu weseli,
Mijając drzewa i sady i chaty.
Rycerze moi przed zamkiem stanęli.
Jam wszedł, jak Anioł czarny i skrzydlaty —
Karmazyn, który świat od króla dzieli,
Cały się w gwiazdy rozleciał i w kwiaty,
Pokazał się król w odblaskach rubinu —
Spojrzał i berło upuścił z bursztynu.

Widziałem: jako łaskawość pogodna,
Jaskółka siwych włosów, dobroć cicha,
Znikła. A nagle twarz trupia i chłodna
Zmroziła mię tak, żem stał na kształt mnicha,
Spuściwszy oczy, patrząc w siebie do dna:
Zali zwycięstwa mego nagła pycha,
Jakich tajemnych myśli nie wywiodła
Na jaw? i króla w źrenice nie bodła? —

A on — na moje skrzydła, na te pióra
Patrząc — które blask wieczorny zapalił
I okrwawiła tronowa purpura —
Pobladł i berłem mię wskazawszy — zwalił.
Wzięto mię. — Dusza ma czarna, ponura,
Już mi radziła, abym się ocalił

Wtenczas, gdy tłumy stały przerażone,
Z mieczem na króla wpadłszy i koronę.

Wyzwolony z więzienia, z pomocą córki królewskiej, Popiel pędzi w świat szeroki i spotyka po drodze hordę Germanów, którzy go okrzykują swoim wodzem. Przybywa z nimi do zamku Lecha, którego już nie zastał przy życiu. Jako zdobywca nakazuje Wandzie przybyć na biesiadę. Ona rzuca się do Wisły. Rozpacz potęguje wrodzone okrucieństwo w Popielu mszczącym jej zgon. Obrany na rokach księciem zaczyna krwawe rządy.

570)

Krzyk pierwszy, który z ust wyszedł, zwierzęcy,
Już niepodobny krzykowi człowieka!
Zbudził Germanów całe sto tysięcy:
I szli jak morze huczące z daleka.
Stos wystawiłem okropny! książęcy!
Taki wysoki! że wiślana rzeka,
Na bladych trupów zatrzymana murze,
Stanęła — cała jak upiór w purpurze.

Lecz pierwej, nim ją oddałem płomieniom,
O! ileż strasznych słyszała lamentów! —
«O włosy! nie dam ja waszym pierścieniom
W ogniu z wiślanych oschnąć dyamentów!
Każę podziemnym zamienić się cieniom
W gmachy, filarów pełne i zakrętów,
W alabastrowej cię położę trumnie,
Każę strzedz wieków śpiewaczce — kolumnie.

Zbalsamowaną, wiecznym zdjętą spaniem,
Cicho na białych atłasach położę —
Sam przyjdę jak lew legnę — i wzdychaniem
Śmiertelnem twój sen spokojny zatrwożę.
Więc może wstaniesz? i pocałowaniem
Dasz mi ocknienia światłości i zorze?
I słuch mi weźmiesz, w tych podziemnych cieniach
Coś czytająca — wiecznie — na kamieniach?

W kraju bez słońca, bez gwiazd i księżyca,
Gdzie wiecznie smętno, posępnie i głucho;
Ja rycerz, jako śpiąca nawałnica,
Z otwartą szklanną źrenicą i suchą:
A ty — jak moja smętna czytelnica,
Perła po perle, ton lejąca w ucho,
Taka wyrazów i pieśni mistrzyni! —
Że pieśń z tysiąca lat — chwilę uczyni!»

Tom rzekł, pośmiertne przeczuwając rzeczy —
I głosy. I znów zajęty pożarem,
Chciałem ją złożyć na gwiaździcach z mieczy,
Upowić krwawym rycerskim sztandarem!

I z onej ziemi, gdzie ciało kaleczy
Słońce — niewczesnym i nieludzkim skwarem,
Uciec w Islandów wyspę zamrożoną,
Ogniami siedmiu wulkanów czerwoną.

«Tam ją, krzyczałem gdzieś na lodowiskach,
Złożę, jako kwiat ujęty w krysztale!
I przy wulkanów rubinowych błyskach,
Opłomienioną posadzę na skale! —
A sam z dzikiemi orły na urwiskach,
Dzikszy niż burze, straszniejszy niż fale,
Gdy góry będą swoje ognie zionąć:
Mrozom się dam zgryść! i ogniom pochłonąć!»

Tak mój duch w kształty się piramidalne
Wyrzucał, dawną tryskając naturą:
Tak nowe ciała łańcuchy, fatalne,
Targał i piorun zawsze miał pod chmurą.
Potem więc Roki się zebrały walne
I mnie okryły Lechową purpurą.
Lud cały strachem ohydnie znikczemniał —
Jam siadł na tronie, zmroczył się i ściemniał.

I któżby to śmiał w księgi ludzkie włożyć
Dla sławy marnej, a nie dla spowiedzi?
Postanowiłem niebiosa zatrwożyć,
Uderzyć w niebo tak, jak w tarczę z miedzi!
Zbrodniami przedrzeć błękit i otworzyć,
I kolumnami praw, na których siedzi
Anioł żywota, zatrząść tak z posady,
Aż się pokaże Bóg w niebiosach blady.

A gdy Bóg, nad tą żywota fortecą,
Zgwałconą, twarzy nie pokaże? Przecie
Komety złote na niebo przylecą
I bliżej oblicz ukażą na świecie;
Nad zamkiem swoje ogony zaniecą,
Jak widma: jedno, i drugie i trzecie —
Jeśli nie zlęknę się, a krew mię splami
Kto wie? — Jak słońca przyjdą tysiącami!

Niebiosa pełne widziadeł i twarzy
Słonecznych — może z krwawemi oczyma!
A tu koło mnie powietrze smętarzy
I ciągła burza, wiatr, ognie i zima.
Wichry skrwawione, głos trupów z kościarzy —
Słońce poblednie, księżyc się zatrzyma —
Gwiazda zajęczy jaka, lub zaszczeka —
Wszystko pokaże iż dba o człowieka!

Jeśli nie? rzekłem — jeśli z tym motłochem
Postąpię sobie jak król zwarjowany?
A żywot, jak wąż, schowa się pod lochem,
Jak gdyby nie czuł w sobie żadnej rany?
To ludzie są proch — i ja jestem prochem,
Na jeden tu dzień, jak miecz ukowany!
A tem straszniejszy — że go własne siły,
Nie duchów ręce z ziemi wyrzuciły.

Zaledwo ta myśl poczęła się we mnie,
Wzrok zaraz wydał ją — jasny i suchy,
Wchodzący w myśli ludzkie potajemnie,
Aby tam widział w kościach: czy są duchy?
Więc najprzód Czerczak, u nóg mi nikczemnie
Proszący o łeb, pod katów obuchy
Poszedł, a za nim jacyś dwaj Prorocy,
Których dziś krwawe łby widuję w nocy.

Za wojewodą cały dwór i sługi
Posłałem — niby z nim będące w zmowach.
I z wież patrzałem na ten łańcuch długi,
Idących na śmierć z świecami — w okowach.
A niebios? — niebios błękitne framugi,
Jakby o zdjętych nie wiedziały głowach,
Patrzały na to ciche, obojętne —
Mnie się wszelako zdawało: że smętne!

Ogromny szereg tych wymordowanych
Poszedł. Myślałem, że duchy zobaczę
Gdzieś, do łabędzi podobne rumianych,
Od których jęczy powietrze i płacze.
Albo, że ze ścian, ogniem zapisanych,
Wyjdą pająki z ognia straszne tkacze!
Na ściennych ogniach się swych zakołyszą,
I wyrok jakiś ognisty napiszą!...

Myślałem — że me noce niespokojne,
A dnie, jak noce bez gwiazd, będą czarne!
W ciemnościach jęki albo chrzęsty zbrojne,
Tchnienia na czoło chłodne albo parne?
I nic! — Ten straszny duch, któremu wojnę
Wydałem, dziecko zostawił bezkarne;
A ja podniosłem pierś dumną i twardą,
Gotów do końca walczyć z Bożą wzgardą.

Po zamordowaniu własnej matki i starego rapsoda Zoryana Popiel zabiera zamek i mienie zbiegłego, przed grożącą mu śmiercią, Swityna.

571) I ucztowaliśmy w tym zamku wygodnie.
Swityna własne nam służyły misy,

Stągwie, kobierce, czary i pochodnie,
I krwią cuchnące wonnych ław cyprysy.
Czary nam do rąk podawały Zbrodnie —
Widma — w płaszczach z krwi, z zielonemi rysy,
Stojące z boku upiory czerwone,
Wyraźne — a gdyś spojrzał wprost — zniknione.

A wtem przyleciał giermek zadyszany
I te wyrazy z ust wyrzucił skore:
Panie! ogromny znak jest ukazany!
Na niebie miotła płomienista gore! —
Jam zbladł — i kostur wyrwawszy ze ściany,
Sądząc że widzę ducha, albo zmorę,
Która mi wróżbę nieszczęśliwą szczeka —
Na wskroś przeszyłem pierś tego człowieka.

A sam wybiegłem na ganek odkryty,
Z którego widok szedł po okolicy,
Na drżące wielą gwiazdami błękity,
Poddane jednej, ogromnej gwiaździcy. —
Ta, jako wielki miecz z pochew dobyty,
Karbunkuł miała czerwony w głowicy;
A ten się błyskał i mienił na zarzy,
Jak oko w ducha niewidzialnej twarzy!

Wtenczas — w tej gwiaździe oczyma usiadłem,
I mocowałem się z nią jak z szatanem;
Truciznami ją serdecznemi jadłem,
Trawiłem jadów duchowych grynszpanem —
Więc czasem ona — a czasem ja bladłem.
Ażem nareszcie padł — jednem kolanem
Przyklękły — dysząc przejasnemi świty,
Jak rycerz w szrankach dzidą w pierś przebity.

I obaczyłem w gwiaździe niby znamię
Ognistsze powiek mgnięcie i błysk oka:
Wtenczas uczułem że mi ducha łamie
Na wieki, jakaś moc — straszna — głęboka!
Więc obróciwszy ku ludziom przez ramię
Twarzy — i palcem ognistego smoka,
Który w niebiosach wił jasnym ogonem,
Wskazując, rzekłem: przyszła z moim zgonem —

Kometa. — I tu, coraz bardziej blady,
I mięszając się już, rzekłem ponuro:
Świat zwyciężyłem! i oto są ślady
Żem duch mający moc nad tą naturą!
Gwiazdy tę gwiazdę wysłały na zwiady
Czym żyw? czy jeszcze okryty purpurą,

Czynię rzecz króla, człowieka i zbója?
Niebo się zlękło o świat. — To śmierć moja.

Idźcie. — Już więcej nie jesteście sługi
Mojej wściekłości, lecz rycerze twardzi.
Kupiłem naród krwią — i nad jej strugi
Podniosłem ducha, który śmiercią gardzi.
Nie jeden sobie wieśniak wieczór długi
Umili pieśnią — i tem się rozhardzi
Że będzie o swych ojcach przypominał.
Jak śmiało na śmierć szli — gdy król wyrzynał!

Co do mnie — jam jest bicz okropny, Boży —
I będę cierpiał, co mi przeznaczono.
Za chwilę jednę otchłań się otworzy!
Piorun rozerwie moje wielkie łono!
Wściekłoście — jak psy puszczone z obroży!
Żądze — jak słońca ogniste rozpłoną!
Ogromne ze mnie na wiatr pójdą cienie —
Wszech-miłość zmyta w krwi — i wszech-cierpienie!

Duch mój odpowie — lecz wy jak dzieciątka,
Jak białych jagniąt jesteście gromada.
Wszystko com czynił, szło z jednego wątka,
I cały ciężar zbrodni na mnie spada.
W kurhanach tylko zostanie pamiątka,
I w pieśni długiej wędrownego dziada,
Żem żył. — Chwasty mi porosną na grobie —
Inny was Anioł rozmiłuje w sobie.

. . . . . .

572) Taki był koniec mojego żywota,
Śpiewany długo w kraju przez Rapsodów,
Którzy nie doszli w czem była istota
Czynów? w czem wyższość od rzymskich Herodów?
Nademną była myśl słoneczna, złota —
Do niej moc ciemnych, okrwawionych wschodów
Wiodła mię prosto, w złotych celów progi:
Jam szedł — jak rycerz, krwawo i bez trwogi.

Życie dźwięczało w każdej ducha strunie,
Moc słychać było w każdym moim kroku:
Choć być na takiej drodze? — lepiej w trunie!
Choć z myślą taką? — lepiej z włócznią w boku!
Prędzej czy później deszcz piorunów lunie
Na orła, który słońce miał na oku:
Na mnie — żórawia z wyciągniętą szyją,
W przyszłość — pioruny Boże jeszcze biją. —

Ale przezemnie ta ojczyzna wzrosła,
Nazwiska nawet przezemnie dostała;
I pchnięciem mego skrwawionego wiosła
Dotychczas idzie: Polska — na ból skała —
Fala ją druga nieraz z drogi zniosła,
I duch jej święty poszedł w kwiaty ciała
Bezwonne, martwe — lecz com ja wycisnął
Pod krwią? — tem zawsze zwyciężył, gdy błysnął!

Śpijże mój kształcie pierwszy — z ducha zdjęty
Świecący w dali, jak księżyc na nowiu;
Upiorny, za krew wylaną przeklęty,
W koszuli z drutów i w czepcu z ołowiu.
Klątwa na ciebie! jak na dyamenty,
Na bazaltowe kolumny w pustkowiu
Pierwszej natury, z ducha budowane;
W ciemność i w chmury, i w piorun ubrane!

Lecz ja na tobie nogę postawiłem,
I dalej szedłem; a jużem był Boży.
Morza się cofną, góry pójdą pyłem,
I świat się komet deszczami zatrwoży,
Gdy duchem spełnią, co ciałem spełniłem! —
Duch, ukazany w pierwszej świata zorzy,
Któremu Pan Bóg swych zasłon uchyla —
A lat tysiące są jak jedna chwila.

Z rapsodu II.

573) Pamiętam chwilę, gdy cudowni goście
Zaszli do świętej chaty kołodzieja.
Jam stał — i cały smętny, na jasnoście
Patrzał... a wielka była gwiazd zawieja,
Wielkie czerwonych meteorów złoście,
Wielkie rozruchy swoje miała knieja,
Wielki niepokój ptaków na niebiosach —
Natura cała w westchnieniach i w głosach

Wołała: — «Boże, wiekuisty Panie!
Podnieś mię całą, podniosłszy człowieka!
Daj mi przez oddech wyższy oddychanie!
Daj krok, na który już czekam od wieka!» —
Jam się przyłączył: i całe śpiewanie
Szło, jak harmonia słyszana z daleka,
Coraz mocniejsza, strunami złotemi,
Niby drgające łono wnętrza ziemi.

Wtenczas ja, z moich zachwyceń dobyty,
Zacząłem składać moje wszystkie moce.

— «O Panie! który rozwidniasz błękity,
Czyń świat, a mnie tu niech piorun zdruzgoce!
Może ja stary i może zużyty,
Nie godzien struną być w harfie nieszporów,
Któreć śpiewane są przez trzodkę polną:
Tyś mię natężył — tobie zerwać wolno».[1])

I wyższy coraz nad chatę wieśniaka,
Nad lipy i nad mieszkanie bociana,
I nad skry, które, pod skrzydłami ptaka,
Nie wytrąciły go z postaci dzbana
I urny — bo stał i dziób, nakształt haka,
Trzymał na piersiach (postać zadumana,
Która się pieśnią nie mogła objawić!),
Zacząłem łzy lać z nim — i błogosławić.

— Choćby już nigdy myśl, zbrojami świetna,
Nie powróciła na tę ziemię ze mną,
Znienawidzona za to, że szlachetna
Chce jasnej broni, a gardzi nikczemną;
Choćby już tylko miodem prostym kwietna,
Z myślą — jak chłopek prostą, ale ciemną,
Ojczyzna ta wstać miała i w postawie
Chłopka się kłaniać Panu: b ł o g o s ł a w i ę.

«Równy chłopkowi małemu prostotą,
A niższy jeszcze aniołów pokorą,
Jak oni, skrzydeł wewnętrzną pozłotą
Nakrywam chatę, skąd miód ludzie biorą,
Gotów, jak gołąb, zostać nad ciemnotą,
Łonem świecący nad suchą ugorą,
Gdzie sobie trzody ciche śpią na trawie:
Ludziom i trzodkom cichym b ł o g o s ł a w i ę.

«Tam — walka krwawa o ścierwo i jadło!
Tu cisza, pokój, błękitna pogoda
I w ogniu moim strzaskane widziadło:
Duch nieznajomy dawnego rapsoda.

---

[1]) Tę strofę poeta później w rękopisie przemazał, a napisał natomiast następującą:

Wtenczas ja, wzbity modlitwą nad miarę,
Zacząłem składać wszystkie moje moce;
Tu płomień, tam pieśń; tak straszną poczwarę
Rozbijał piorun, co wnętrze druzgoce.
Leciały z wiatrem moje moce stare,
Jak wysadzone minami pałace.
Duch, który wieki zamyślone stworzył,
Uczuł je w sobie — i ofiarę złożył.

Niechajże, Panie i socha i radło
I niestrudzona myśl, bo jeszcze młoda,
A piękna, jak sen widziany na jawie,
Wstaną! niech wiecznie kwitną! — błogosławię.

«Niech będzie piękną, niech będzie wesołą —
Choćby już nigdy w niej nie zaświeciło
Rycerza mgliste, ale piękne czoło
Między oczyma z piorunową siłą;
Choćby tak, jako to żórawie koło,
Które się skrami chaty oświeciło,
Kolumny drżące budowała sławie
Bez innych świateł, jak te: błogosławię!

«W mroku zostawiam ją; lecz pod aniołów
Skrzydłami, które w tęcze ją oprzędą.
Sam idę... i gdzieś, z rykiem smętnych wołów,
Gdzieś przy miesiącu z pastuszków kolędą
Wyglądać będę, aż ze złotych stołów,
Do których prosi Bóg, a chłopi siędą,
Przyniosą mi chleb wędrowne żórawie:
Ptakom i stołom ludu błogosławię!

«Gwiazdom gwiżdżącym po łąkach — i kwiatom
I lasom, które w ciągłych płaczą szumach,
I pięknym wiosnom — i złocistym latom
I starcom, którzy pogrążeni w dumach,
Wesołym żeńcom — i dworom — i chatom
I ogniom, które dziś rodzą się w tłumach,
Bez czasu będąc, ale w bożej sprawie:
Siódmy raz zdaję moc... i błogosławię!» —

Tom rzekł, a na mnie Pan spojrzał litośnie,
Bo to uczułem, czego nie ma dusza:
Że mi ojczyzna cała w duchu rośnie
I rosnąć ducha mojego przymusza;
I zacierpiałem, ale tak radośnie,
Że sto lat uśmiech trwał, a w myślach głusza;
Jam tylko rosnął i ofiary składał,[1])
A sto lat we mnie duch — uśmiechem gadał.

Tak odebrane sobie mając oczy
Ojczyzną przed mym uśmiechem stojącą,
Ani widziałem, jako miód się toczy,
A te patoki brudzą się i mącą!...

[1]) Waryant: Ot Panie, mówić to ludziom nadaremnie,
Jak sto lat całe uśmiech jaśniał we mnie.

Jak z pod anielskich tęczowych warkoczy
Ta chata, którą aż wieki roztrącą,
Bo jest za ciasną pomieścić wieczności,
Zwolna traciła swoje złote goście...
. . . . . .

Rapsod III. pieśń I.

574) Żywot wam inny, królewski, opowiem
I podsłuchanie straszne mego ducha,
Gdy był pod dymem jeszcze i ołowiem,
A wichrzyła nim od gwiazd zawierucha.
Rzeczy, przed-życia oświecone nowiem,
Mówię dziś, żywy duch... a Bóg mię słucha,
Słucha niebieski mię Pan — i przebacza!
Innego nie mam nad sobą słuchacza.

Bóg ojców, który mię raz, na śpiewaniu,
Spiącego zastał i naszedł wieczorem,
I cały na mnie rzucił się w błyskaniu
I mocy swojej przeraził upiorem;
Bóg duch widzialny, który czuje w spaniu,
Nawiedzacz ludzkich izb z anielskim dworem,
Bóg, swoją mocą ku mnie nachyloną[1]),
Napełnia pieśnią to maluczkie łono...

Tensam, który z tęcz nad potopem błysnął,
Za Izraelem szedł w ognistej chmurze,
W skale się ukrył i wodą wytrysnął,
Na górach stojąc zamienił się w burzę
I piorunami swymi lud przycisnął,
I błogosławi dotąd — prawdy stróże;
Tensam... napełnia mnie, naturę małą,
Chrystus, który był piorunem i skałą.

Pod jego wielką mocą trzymam pióro,
Snem piszę, a z mgieł rozjaśnionych biorę,
I moją własną kwitnącą naturą
Nieznane dotąd oceany porę;
Wiersza się nawet dawnego strukturą
Ubrałem Panu memu przez pokorę —
Tak od cielesnej uwolniony troski
Cały się zdając na moc i duch boski.

[1]) Zamiast tych dwóch wierszy znajdują się w innym odpisie następujące:

Niech mi da głosy i kolory trwałe,
A weźmie z pieśni wieczną złotą chwałę!

— Przestał — i niby w niebo podniesiony
Tracił się śpiewak w spokojnym zachwycie;
Potem uderzył w tak spokojne tony,
Jak gdyby inne uczuł w sobie życie.
Szeroki, święty jakiś obraz śniony
— Malował mu się na wietrznym błękicie;
Duchy wezwane westchnieniem boleści
Znosiły wonie -- kolory — i wieści.

— Wieki minęły krwawe — świat był nowy,
I źródło ducha trysnęło z kamienia;
Nadchodził wielki ów rok tysiącowy,
Który narody jak gwiazdy odmienia.
Dawniej Sezostrys, i Orfeuszowy
Dźwięk lutni, nimfy wywodził z kamienia,
I usłyszano w Oceanid łonie
Wieść o chodzącym po morzu Jazonie.

Najwyższa w niebo rosła piramida,
Na nią zlatywał rumak Perseusza;
Świat cały w strachu — wieściach; Atlantyda
Herkulesowi z rąk pierzchła, jak dusza;
Nad całym wiekiem brzmi harfa Dawida,
A pod nią każdy duch swym ludem rusza
Najwięksi globu zeszli się mocarze
I swe cielesne zobaczyli twarze.

Potem — tysiąc lat po strasznym przymusie
Rola rodząca cudy odpoczywa;
Tylko wieść jakaś — jak sen o Chrystusie
Świat omiesięcznia i wiarę zdobywa...
Tam na Danai zbłysło się lamusie;
Owdzie — pomiędzy łabędziami pływa
Duch boży; wieszczom roją się na ziemi
Dziewice ścmione deszczami złotemi...

Wieszczowi bowiem potrzeba tak mało...[1])
Zbłyśnie się w duchu — on już słońce wita!
Jeszcze się stać ma — jemu już się stało!
Jeszcze cud w pączku — jemu już rozkwita!

[1]) Waryant. Wieszczowi bowiem potrzeba tak mało...
Błyśnie mu w oczach — on już słońce wita!
Jeszcze się stać ma — jemu już się stało!
Jeszcze cud w pączku — jemu już przekwita!
Jemu już dawno Eneasza ciało
I Romulusa trup na niebie świta
Ulatający z Etruskiego łanu,
Żywy, podobny Chrystusowi Panu.

Jemu już dawno Eneasza ciało
Wchodzi do niebios żywe — wiatr je chwyta,
Gwiazdy podnoszą wyżej — słońce wchłania
Na wzór... Pańskiego z ciałem zmartwychwstania.

Przysięgnie, że są — że na ziemi były
Niektóre święte bez krwi urodzenia,
Niektóre ciała wielkie — bez mogiły,
Niektóre przejścia ciał w słońcu — bez cienia...
A to glob tylko ruszał swoje siły,
W ciała ubierał swoje utęsknienia,
By wzbudzić wiarę, która świętym służy,
W pomoc cudownej Jerychońskiej róży.

O! Panno, któraś tę ziemi tęsknotę
Uspokoiła i rozczarowała,
Ścmiona, przez ducha moc i światło złote,
W płomieniach serca i w czystości ciała..
Oświeć tę nędzną rytmiarza robotę!
Niech tak w przeczuciach stanie doskonała,
Jak utęsknienie wieków niegdyś było
Za nieskalaniem i za bezmogiłą.

. . . . . .

Z rapsodu III, pieśń III.

575) Gdy tak sen onę biedną ziemię chwyta
I wiąże czynu i ruchu pozbawia,
Przyszedł błyszczący duch do Ziemowita
I rzekł: Przez ciebie Pan świeci i zbawia.
Wstań — oto jedna mocarka, kobieta,
Przeciwko Pańskiej — swoję wolę stawia
I ducha przeciw duchowi używa,
Bo nie jest czysta, lecz zła i kłamliwa.

Więc skoro zorze obaczysz wieczorne,
A jeszcze blady róż na polach będzie,
Gdy pług porzuca ciche pola orne,
Gdy dolatują gwiazd dzikie łabędzie:
Wstań i weź z płótna ubranie pokorne,
Które ci sługa twa domowa przędzie,
A świecznik także w rękę weź wesoły,
Który pozłacasz ty, a czynią pszczoły.

I zapaliwszy ono światło złote,
Idź w zamek senny twojego książęcia;
A oświeciwszy całą sal ciemnotę,
Nic nie bierz — choćby co było do wzięcia,

Nie łudź się blaskiem, nie wpadaj w tęsknotę,
Chociaż tam smętno żyć pod snem zaklęcia..
Strzeż się pokalać jakim ziemskim grzechem,
Lecz stań, a wszystko obudzisz uśmiechem.

A gdy obudzisz — strzeż się, aby która
Z Popiela córek do kolan nie padła!
A nic — pawiego nawet nie bierz pióra,
Ni kwiatka — ani patrzaj się w zwierciadła.
Króla gdy zbudzisz, mów, że wrogów chmura
Granice wzięła, zamki już napadła;
Król obudzony niechaj państwo budzi,
Reszta — jest dziełem lat i dobrych ludzi.

To rzekł, i wonne powietrze zostawił
I szedł; a z nim szedł różany młodzieniec
Ziemowit. Patrzy — naprzód go zabawił
Powietrzny chaty oblask i rumieniec,
Potem woń — potem w puszczach mu się zjawił
W palmach zielonych aniołowy wieniec;
Dziwi go natur nieznajomych przyjście —
Blask — świętość — i drzew nieznajomych liście.

Świętość go jakaś napełnia, oświeca,
Podnosi w jaśnie, w nieba, w duchu stawia;
Idzie — a w ręku jego złota świeca
Płonie i sama w kwiaty się oprawia.
Taka twórczości rajskiej tajemnica
Ani go dziwi, ani zastanawia,
Wyszedł na pola żyt i czarnoziemu
Szerokie, miłe wzrokowi wolnemu...

Miasteczka ciche i po uszy pijane,
Wioski o wiekach może złotych śniły,
Tak jako sady owocem rumiane
W cichy jesienny dzień, albo mogiły,
Zdają się smętne i pozamyślane,
Myślą, czem będą i pomną, czem były;
A tylko czasem listki na nich wstają
I niby muzyk globowych słuchają.

Nic nie ryknęło po bydła zagrodach,
Ciekawość nigdzie okien nie otwiera.
W stawach — jak cyna i ołów na wodach,
Woda nie spada nigdy i nie wzbiera;
Gościnność czujna — nie czuwa w gospodach,
Nic się nie rodzi i nic nie umiera;
Aż w święte, złote serce Ziemowita
Lała śmierć — ziemia na duchu zabita...

Idzie, jako sen... a tu horodyszcze
Mija — z rycerstwem sennem na okopach;
Owdzie moczarę, gdzie stęchła nie świszcze
Trzcina; tam pole — zżęte, lecz nie w snopach.
Przez pola — ścieżek jakieś złote błyszcze
Wiodą go ciągle, świecą mu przy stopach
I świecą dalej, idąc przez ugory,
Aż w straszne, śpiące Popielowe dwory.

Nic nie zmieniło się — żadnym obłamkiem
Nie grozi wieża, choć chwiać się musiała
W chwili, gdy czas się zatrzymał nad zamkiem,
A zamek stracił ruch i czyny ciała;
Najmłodsza córka jeszcze za barankiem
Goniąca — sama jak baranek biała,
Motylem wielkim tęczowym goniona,
Stała... baranek, motylek i ona.

Na szmaragdowej trawie ono dwoje,
A motyl wisiał i trwał na błękicie.
Druga, wchodząca w kryształowe zdroje —
Oddech w niej ustał, a zostało życie
I wstyd... bo jedną ręką srebrne stroje,
Ostatnie piersiom dziewiczym zakrycie,
Trzymała silnie, ku piersiom je cisnąc,
Drugą dłoń miała na wodzie — jak prysnąc...

Nie tylko ona — lecz nawet ciekawe
Te rybki, które wszelka białość nęci,
Skrzelki czerwone i łuski złotawe
Pokazywały na dnie wód — snem zdjęci;
Motyle wodni — gdy na nóżki zjawę
Lecieli — teraz do nóżki przypięci,
Wstążką błyszczącą, na dnie wód świecili,
Jak tęcza do nóg przypięta Dziedzilli.

Trzecia... (dwanaście król Popiel miał córek)
Trzecia, po piękną, najświetniejszą różę
W ogrodzie, weszła na najwyższy wzgórek —
Rękę podniosła, a kwiat wisiał w górze,
Lecz obwinięty pierścionkiem z jaszczurek...
Kwiat ją przeraża, wabią pączki duże —
Tak ją zastała ta chwila straszliwa,
Że chce i nie chce — boi się i zrywa.

Insza... już w sali — najdumniejsza z rodu,
Przy złotym, małym siedząca organku,
A obrócona oknem do zachodu
Ku zorzy — w pawich piór świecącym wianku,

Bita blaskami mrocznymi z ogrodu,
W półśnie — myśląca może o kochanku,
Gdy palce już ton na klawiszach biorą,
Zastygła... wszystkie pawie pióra gorą,

Jak gwiazdy... z jej ust jeden ton wylata,
Ton jeden, ale już najwyższy w śpiewie,
Ton może zdolny porwać serce świata,
Ten ton, o którym ona jeszcze nie wie,
Czeka nań... już swe rysy z wdziękiem brata,
Już w zachwyceniu bożem — jakby w gniewie,
Siedzi cudowna w Sybilli postawie,
Muzyką błyszczy — jak te pióra pawie.

Inne, uczone, nad księgami siedzą;
Lecz z literami oko nic nie czyni,
O duchu w księgach zamkniętym nie wiedzą.
Jedna skończyła kartkę — palec ślini,
Widać ciekawa, co wieszcze powiedzą
Na drugiej karcie — od natchnień bogini
Już rozkwilona stoi i zaklęta,
Z perłami w oczach, ciekawością zdjęta.

A najpiękniejsza (co się nawet zdarzy
Królewnom), cała zlękniona i drżąca,
Widać giermkowi pozwoliła twarzy
Na chwilę tylko — już uciekająca...
Giermek też usta, gdzie ogień się żarzy,
Przybliża... Koral już w alabastr trąca,
Już... wtem stwardnieli w piękność monumentu,
Ustom jednego zabrakło momentu.

Rzekłbyś, że Dusza i Miłość zjawione
Drugi raz w głębi czarownego dwora:
Oboje w jednę pochyleni stronę,
On ku niej... ona do ucieczki skora —
Nie tak jednakże, aby usta one
Nie miały w mroku wonnego wieczora
Czuć co słodyczy; wszakże się nie nagną,
Ona ucieka — usta jeszcze pragną.

Takimi czary otoczony wkoło
Ziemowit, widzi te, i drugie jeszcze;
Ta z twarzą smutną — złą, a ta z wesołą;
Te kwiaty — te z rąk sieją pereł deszcze;
Wtem ujrzał księcia, który miał pod połą
Rękę na mieczu, w oczach gniewu dreszcze
I biegł, jak gdyby duchem poczuł wroga
I zatrzymany był z nogą u proga.

W tego utopił piękne oczy swoje
Ziemowit, w tego swoje duchy wkłada.
On wnet się budzi i woła na boje,
Chorągiew chwyta i konia dopada.
Budzą się córki — szmer wchodzi w pokoje;
Echo wesołe po sklepieniach gada:
Zdaje się zrazu, że nie szmer z człowieka,
Ale wleciała jaka srebrna rzeka.

Patrzą na siebie — już nie kamienieją,
Ani je mroźny czar wzajem odpycha;
Lecz się ściskają — całują — łzy leją,
Wstyd się rumieni, miłość znowu wzdycha,
Broń znowu szczęka — chorągwie znów wieją,
Koń hamowany kopie grunt i prycha...
Przed nocą wszystko w szeregach — na wieżach —
W polu na czatach, albo na harcerzach.

. . . . . .

Z rapsodu IV, pieśni III.

576) Słysząc głos taki, sny mię anheliczne
Brały całego... Raz dwunastu ludów
Widziałem twarze dziwne, a tak śliczne,
Że na nich była cała boleść trudów;
Każdy zaś jakieś zwierzę symboliczne,
Albo kwiat — z ziemskich oczyszczony brudów,
Wcale duchowy już — na czole sadził,
Albo niósł w ręku, lub ziemią prowadził.

Naprzód szedł anioł Judy — a słoneczny
Był mu baranek w kwiatach przewodnikiem;
Za nim szedł wielki anioł, zwany wsteczny,
Ścigany wielkim genezyjskim krzykiem,
Blady — i mało zdaje się bezpieczny
Nad swoim dawnym własnym mogilnikiem,
Nad tą otchłanią, gdzie się forma mąci,
Gdzie węże świszczą — a krok każdy strąci...

Za nim szedł trzeci, już z człowieczym lądem
Obeznan: cichy — podły — pracowity —
Wołem Apisem i złotym wielbłądem
Podparty — mrówką na stopach okryty,
Jak trup przed bożym powstający sądem,
Jeszcze z trumnianych prochów nie obmyty,
Wiecznie pod biczem mocarza pogonny,
Jak trup z grobowca, czarny — ale wonny.

A czwarty za nim — młodzieniec z oliwą,
Która to wiecie, że nam w lampach świeci,
Młody — jak tęcza i dziecinne dziwo
I kwiat, gdy go lud ujmie i obleci.
Piąty wiódł u nóg wilczycę straszliwą,
Żelazną, która mu karmiła dzieci,
I węża czasu, który w złotych kłębach
Wił się, a ogon swój chciał ugryźć w zębach.

Szóstemu rosło jakieś straszne skrzydło
Już z ducha... jako pół miesiąca, złote —
W ręku kwiat jakiś dający kadzidło,
A bez owocu... Szedł, czyniąc ciemnotę,
I starty z oczu był jak malowidło;
A pierwszy wielką zostawił tęsknotę,
Bo stał na ducha prawego granicy,
A nie stało mu woni w kadzielnicy...

Jeszczem się dziwił temu, a już oto
Szedł siódmy, dziwny, że bez ziemskiej treści!
Tęczę miał ciałem — i całą robotą
Swoją, miał tęczę na krzyż się boleści
Owijającą; przyszedł zda się po to,
Aby dał pierwszy o aniołach wieści.
Ten mi się dziwnie, jak sen jaki zjawił,
Poszedł — a cień swój na ścianie zostawił.

I cień ten jeszcze, jakby człowiek żywy,
Ruszał swe członki z cedrowego drzewa,
A jeszcze duch w nim był objawu chciwy —
Gdy nie mógł blaskiem, słyszałem, że śpiewa...
Ósmy mi anioł sprawił mniejsze dziwy,
Chociaż od świata większych się spodziewa;
Ten, jak winograd, z krzemieni rozkwitał,
Z ziemi nic prawie — z wiatru wszystko chwytał.

I rzekła mi twarz jasna, że był czynny
Na wszystkie strony, jak pająk stuoki,
I gotów zawrzeć w sobie, jak szał winny,
I błyskawicą pójść aż pod obłoki;
Lecz gwiazdy na to zadrżeć nie powinny,
Ani uważać, Jehowy proroki,
Ani ust moczyć w tych jagód rubinie...
Puśćcie! niech przejdzie ten anioł i minie!

A był dziewiąty, jak na morskim smoku
I wężu i lwie; ten srodze mię zlękał,
Bo szedł spokojnie w burzy i w obłoku,
A nie drżał, ani z form złożony pękał.

Dziesiąty był z psem i miał go na oku,
A psa na więzi wiodąc, knutem nękał;
Już go rozdrażnił tak na zamach przyszły,
Że pies jak góra rósł — a z oczów skry szły...

A jedenasty mój — w wielkiej pokorze
Szedł, ale razem i w mądrość ubrany;
W ręku nic — tylko trzymał złote zboże
I karmił — wiatrem ku ziemi przywiany.
Gdy szedł, jam poznał go i krzyknął: Boże!
To mój... Wtem nadszedł dwunasty — nieznany...
I był objawion mi pod tajemnicą
Bez znaków; tylko wiem, że był dziewicą...

A gdy te wszystkie przeszły, Syn człowieczy
Stanął i patrzał na mnie, i rzekł: — panie!
Widziałeś teraz w duchu ziemskie rzeczy...
Przeciw ostatnim dwom — dziesięciu stanie.
Masz syna — czas jest srogi — nakup mieczy,
Zostań, aż przyjdę... I rzekłem mu: Panie,
Przyjdź!... Wtem mój synek w kołyseczce krzyknął,
Żona przestała grać... i Chrystus zniknął.

Z Rapsodu V, pieśń I.

577) Boże! jeżeli to jest w twojej woli,
Abyśmy twoim nieśmiertelnym duchem
Wyszli z tej podłej cielesnej niewoli
I potargali tym podłym łańcuchem:
Uczynisz teraz, że mój rym zniewoli
Narodu serce — i zawłada słuchem,
Ofiarowawszy kadzidło i złoto
Za rym, pokorny rycerza prostotą.

Jako właściciel — gdy nabędzie prawa
Do wioski — zbiera najstarszych z gromady,
Chodzi i kopce granic rozpoznawa,
Przekopy — leśne strumienie — lewady,
A przy kamieniu i mogile stawa
I rozpytuje ludzi — a te dziady
Niby wiekową omroczone tęczą
Stoją i tak, jak pszczoły złote, brzęczą;

Podobnie duchem wprzód obszedłem starą
Całą ojczyznę moję — wszystkie ślady,
Wszystkie mogiły... i przed każdą marą
Stawałem smętny, surowy — i blady;
Ażem się wreszcie wskroś widzącą wiarą
Przekonał w duchu, że nie ma zagłady,

I czas od czynów ludzkich nie ucieka,
I zwyciężona jest śmierć przez człowieka.
. . . . . .

Z Rapsodu V. pieśni II.

578) Któż cię, mądrości, ma? Kto dzisiaj szuka
Pod korą ciała pierwszej ciał przyczyny?
Czekacież, aż Bóg ciała poroztłuka
I wam pokaże wasze własne czyny?
Któż wie, że ojciec, jako duch, aż w wnuka
Musi przeskoczyć w rodzie przez dziewczyny,
A synów swoich ustąpi posąga
Dla duchów, które miłość matki ściąga?

Któż wie, jakie ma w domu swoim kwiecie,
Jak przed złodziejem zamknąć formy wrota?
Lud Izraela to wie — wy nie wiecie.
Taka jest nędza wasza i prostota!
To też wam cudzy wiatr domy zamiecie,
Aż ktoś tam czoło polskie zakłopota,
I zacznie Boga przyzywać w żałościach,
Widząc te pustki ducha w polskich kościach.

Postawmy polską myśl nad poduszkami,
Postawmy wiary naszej Archanioły,
Postawmy myśli serdeczne nad nami
I pieśń z otwartą myślą, jak miecz goły —
Niechaj machają w ciemności mieczami
Te wielkie stróże nad sennemi czoły,
A nikt się taki do nas nie przybliży,
Który nam w starej naturze ubliży.

A nie dlatego, bym miał jaką wzgardę
W sercu, jak człowiek przeciw człowiekowi,
Ale chcę, aby zamki były twarde
Na tych granicach, które duch stanowi,
By polskie duchy tem przed Bogiem harde,
Że się poddają jedynie duchowi,
Że przymuszone być z ciała nie mogą
Przeciwko vetu swemu — żadną trwogą!

By duchy, które mają to z Chrystusa,
Że veto swoje na wspak światu kładą,
Nie brała żadna cielesna pokusa
Iść za zwierzęcą i niższą gromadą,
Która pod biczem lub w galop lub kłusa
Leci — chociażby przeciw Bogu — stado!

I piersi naszych wielkich natur porze,
A myśli, że duch i pan Bóg pomoże.
. . . . . .

579) Bracia duchowi tego nie przeczuli,
Na czem stanęło moje biedne zdrowie:
I gdy najstarszy — choć najmłodszy z króli —
Stałem, żelazny, na rynku w Krakowie
I sądził sprawy, na złoconej kuli
Trzymając rękę, jak na świata głowie —
Bo sprawiedliwość z Bogiem przed oczyma
Przez duchy nasze ten świat w ręku trzyma —

Gdym stał żelazny — wyżej mego gminu,
Jako kłos prosty — z orłem na przyłbicy,
Na rubinowej szmacie karmazynu: —
Spojrzawszy w ciemność rogatej ulicy,
Duch zadrżał we mnie; i berłem z bursztynu
Dał drogę jednej cudownej dziewicy,
Myśląc, że jakiś płacz idzie bezbronny,
Któremu ja dam głos i plac przestronny.

Ucisk, myślałem, który się w sierocie
Do tronu spieszy — dostać się nie może.
Stanęła... oczy czarne były w złocie,
I tak błyszczały otwarte jak zorze,
Włos miał ten związek, który bywa w grzmocie,
Gdy go po środku wezmą ręce boże:
Na samem czole własnym zwity pętem
Błyszczał, jak gwiazda jednym dyjamentem.

Z tej gwiazdy, z oczu — jakieś, niby błędne,
Rozpajające ducha, szły promienie;
Szaty — jak na wiek, miała nie oszczędne,
Ale królewskie; a w uszach — pierścienie.
W licu — tę bladość, która mówi: więdnę,
Chcąc być na słońcu, a ukryta w cienie;
Na ustach — koral z najświeższych szkarłatów,
W ręku — ulotne dwie girlandy kwiatów...

Myśląc, że piękną — a przez moje panki
Wstydzoną — moją dobrocią ośmielę,
Rzekłem: — dzieweczko, wstąp tu na te ganki
I mów, czego chcesz? śmiało — jak w kościele...
A wtenczas ona, swe kwiatowe wianki
Wiejąc tam i tu... uszki swe, skrzele,
Zarumieniwszy rubinami, piekła,
Nie odwracając oczu ze mnie — rzekła:

«Mieszczanka jestem, z kupca urodzona,
Ochrzczona na chrzcie imieniem Krystyny;
Miasto wie całe, żem prawie szalona,
Bom jest odważną na nieznane czyny!
Słysząc, że ty masz mądrość Salomona,
Przyszłam cię podejść podstępem dziewczyny.
Oto są wieńce — jeden jest prawdziwy,
Drugi skłamany; poznaj — gdzie był żywy?

«Sama kłamałam ręką jasne róże,
A tchnienie mi też pomogło dziewicze
Otwierać serca schowane w purpurze
I złocić białym lilijom oblicze.
Te drugie kwitły na wiślanej górze
I z trupów mają wonie tajemnicze...
Poznaj, jeżeli jesteś Pan nad Pany:
Które ja rodzę? a które kurhany?»

Skończyła. A ja... o! najpierwszy grzechu!
Całego ducha wnet użyłem na to,
Abym tę sprawę — tak wartą uśmiechu,
Rozsądził jako Brutus albo Kato...
I oczy moje, sądzące w pospiechu,
Już ją widziały kwiatami skrzydlatą,
Ulatującą gdzieś na rynku cieniach,
Całą w iskrzycach, w gwiazdach i płomieniach.

Wstyd rozczerwienił mi twarz moją ciemną
Barwą z natury podobną do cegły;
W płomieniach byłem — a ona przedemną
Ciągle... a oczy w moje oczy biegły.
Wtenczas ja myślą westchnąłem nikczemną
Do tych aniołów, które ducha strzegły,
A ci — zaklęci duchem nieśmiertelnym —
Zaraz mi dali pomoc... w roju pszczelnym.

Właśnie te złote owadów żórawie
Leciały sobie nad placem — z tym brzękiem,
Jaki ma trąba dzwoniąca o sławie,
Smętna — z narodu pomięszana jękiem,
Gdy o nieszczęsnej dla ludu rozprawie
Z daleka mówi wołaniem i dźwiękiem;
Takim leciały otrąbione krzykiem
Pszczoły, złocistym po niebie strumykiem.

I zrozumiawszy aniołów przestrogę,
Zaraz z uśmiechem rzekłem do dzieweczki:
— Ja twoich kwiatów rozeznać nie mogę,
Ani rozsądzić, o prym, takiej sprzeczki;

Lecz oto pszczoły tędy mają drogę,
A ja moc w berle, zakląć te pszczółeczki,
Aby królowe, z Boga, naszych ulów
Zjawiły mądrość — nad mądroście królów.

«Bo wiedz, że pszczoły są sędziami kwiatów;
A kwiaty sądzą też niższe żywioły:
Ziemię i strumień, jak my z majestatów
Sądzimy niższe; nas tylko anioły!
A sądy są też między sobą światów
I są też słońca rozcięte na poły
Mieczami komet, których wielkie kroki
I twarze — pełnią złotych słońc wyroki.

«Drżyj, żeś tu śmiała, gwiazdo osrebrzona,
Pokazać twoje promieniste lice!
Bo oto leci kometa czerwona,
Ta — która, jak kat, rozcina księżyce,
Już tu...» To mówiąc, podniósłszy ramiona,
Rzuciłem brzmiące ulów robotnice;
Te zaś (nie wielkie to u mądrych dziwo)
Wybrały kwiatów girlandę prawdziwą.

Zrazu, brzęk tylko w różach, i organki
Głosów z lilii szły, jak źródło szemrze;
Nagle zczerniały one jasne wianki —
Zgrubiały i złe stały się, jak węże...
Potem brunatno złoty włos mieszczanki
Zabrzęczał! Jak chłop, gdy rzuca oręże,
Gdy opadnięty jest gdzie na podjazdach:
Tak biegła na mnie w pszczołach — niby w gwiazdach.

Nie!... dotąd widzę, widzę roziskrzoną,
Lecącą w gwiazdach, w kolorach, w mamidłach;
Czuję, jako duch duchowi obroną
Był, a już drżący, jak ptaszyna w sidłach.
Jam ją z powietrza wziął na moje łono,
Jak ogień... i wiatr muzykalny w skrzydłach;
I chwilę czułem, jak na mojem łonie
Przestrach mię mrozi jej — a miłość płonie.
. . . . . .

580) O wy, którzy mnie jeszcze dziś słuchacie —
Dawnego ducha tajemniczej mowy!
Niechaj wam pięknie w waszej śnieżnej chacie
Ta pieśń ujaśni jaki dzień zimowy!...
Jeśli jaskółce uchrony nie dacie,
Odejdzie od was — smętny, Bóg domowy;

Wiatr wam zawyje grobowemi usty,
Tą smętną klątwę: otóż dom wasz pusty...

Pieśń tę zostawiam wiekom, które mają
Potężne ręce i potężne głosy.
Niech jej w niebiosach głośniej dośpiewają,
Niż ja, kończący tu bolesne losy...
Anioły moje już przybiegły zgrają —
Tłuką mi serce — targają mi włosy
I nazywają już wielką osobą
I szepcą... i już zapraszają z sobą.

Bądźcież mi zdrowi, moi tegocześni
Bracia — tem tylko różni od śpiewaka,
Żeście lub mędrsi, albo mniej boleśni
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Opracował: BRONISŁAW CHLEBOWSKI

LXXVII.

TOWIAŃSKI ANDRZEJ.

(1799—1878).

Towiański Andrzej, mistyk, obdarzony głęboką energią ducha wywarł ogromny wpływ na najznakomitszych przedstawicieli naszej poezyi romantycznej i w życiu duchowem emigracyi polskiej odegrał bardzo ważną rolę. Urodził się 1 stycznia 1799 r. w Antoszwińciu, wsi należącej do jego ojca. W dzieciństwie był podobno dotknięty [illegible]ką chorobą oczu, która zamykała przed nim świat zewnętrzny, a skłaniała do zagłębiania się w sobie, do mistycznych dumań. Ukończywszy [illegible]nki gimnazyalne w Wilnie, był potem uczniem uniwersytetu wileńskiego, współcześnie z Mickiewiczem, ale nie zostawał z nim wówczas bliższym stosunku. Mniej więcej w tym czasie, kiedy Mickiewicz [illegible]piewał *Odę do młodości* i dwie części *Dziadów*, Towiański przejął się głęboką wiarą, że dla ludzkości nowa otwiera się era, że Bóg go powołał do wysokiego posłannictwa wprowadzenia zasad chrześcijańskich, w całej ich pełni, we wszystkie stosunki życia i odkrył mu związek tajemniczy między światem żywych a umarłych. Sam potem, w rozmowach ze Skrzyneckim, przyznawał się, iż «od młodości miał to przekonanie, że od osi do osi światem wstrząśnie».

Po ukończeniu nauk uniwersyteckich, był przez długi szereg lat (od 1818 do 1831) urzędnikiem sądowym, mianowicie naprzód rejentem sądu powiatowego w Wilnie, a potem assesorem głównego sądu wileńskiego i na tem stanowisku starał się już jak najskrupulatniej wcielać swoje zasady w życie. «Będąc urzędnikiem, opowiadał potem Mickiewiczowi, kiedy jaka sprawa między żydem i chłopem przychodziła, siedziałem ranek w kościele, i potem największego trudu trzeba było, żeby mię nie zbito z rezultatu, jaki w modlitwie sobie zanotowałem. Bo nie sztuka zairytować się, wyłajać kolegów, rozpisać się na wyroku, ale to rzecz, użyć całej miłości, całej mocy, żeby postawić prawdę». Patrzano na niego, jak na dziwaka, a nawet niekiedy podejrzewano o zboczenie umysłowe.

Kiedy nadeszło powstanie listopadowe, Towiański przepowiadał jego upadek i nietylko nie wziął w niem udziału, ale odciągał od niego tych, co byli z nim blizko, co już wtedy byli jego uczniami, jak naprzykład szwagra swego, Ferdynanda Gutta, albo malarza Wańkowicza. Ponieważ wierzył, że utrata niepodległości i cierpienia, jakich Polacy doznają, są karą z ręki Boga za ich winy, więc nie w zbrojnem powstaniu widział drogę do zbawienia ojczyzny, ale w moralnem doskonaleniu się w myśl zasad ewangielii. Wyzwolenie ojczyzny miało przyjść samo przez się, jako owoc moralnego odrodzenia narodu. Podobne stanowisko zajmował i wobec późniejszych zbrojnych ruchów rewolucyjnych, tak w Polsce, jak i gdzieindziej.

Po upadku powstania w r. 1832 pojechał do Petersburga i tam czas jakiś przebywał. Jest to fakt, na który biografowie jego zupełnie dotychczas nie zwracali uwagi. Co go tam pociągnęło, domyślać się można z późniejszej jego korespondencyi. Chciał przemówić do sumienia Rosyan w imię Sprawy Bożej i w tym celu zwracał się do jakiegoś hrabiego S. Wysłuchany był cierpliwie, przyjęty łagodnie, ale krok ten żadnego rezultatu nie przyniósł. W rok potem (1834) wyjechał Towiański za granicę i przebywał tam do r. 1837. U wód czeskich przez trzy lata miał sposobność spotykania się z generałem Skrzyneckim i zjednania go dla swoich zasad, a jakkolwiek generał wystąpił później przeciw Towiańskiemu i nazywał go fałszywym mistykiem, to jednak jednocześnie nie mógł zaprzeczyć, że wiele mu dobrego zawdzięcza. «Nie sądzę ja lekko Andrzeja i Gutta, pisał do Mickiewicza w r. 1842, wiele mi głębokich udzielili rzeczy, wiele odkryli, które albo słabo czułem, albo jak przez zasłonę widziałem podczas walki naszej... oni mi odkryli siłę i skuteczność modlitwy, lecz poza kościołem nie widzę ratunku etc».

W r. 1837, po śmierci ojca, Towiański powrócił do kraju i objął zarząd wsi ojcowskiej. Otwierało się przed nim pole do zastosowania swoich zasad w stosunkach z ludem wiejskim i oddał się temu gorliwie, a praca jego uwieńczoną została pomyślnym skutkiem ku niemałemu zdziwieniu sąsiadów, którzy ironicznie spoglądali na jego zabiegi i pewni byli, że z chłopami «tylko grozą i rygorem skutecznie działać można». To też doszedł on do tego przekonania, «że nie ma kraju, w którymby tak małym kosztem, byle przy miłości i czuciu, można było tyle dobrego zrobić co u nas, w Polsce, a szczególniej na Litwie». A jednak, pomimo osiągnięcia tak szczęśliwych rezultatów, w trzy lata po rozpoczęciu owej pracy nad ludem, w r. 1840, Towiański, pożegnawszy się uroczyście, w kaplicy przez siebie wystawionej, z włościanami i zostawiwszy im rozmaite rady i przestrogi na piśmie, a także coś w rodzaju nabożeństwa domowego, opuszcza wieś swoją i wraz ze szwagrem swoim, doktorem Guttem, wyjeżdża znowu za granicę, — aby już nigdy nie powrócić do kraju.

Co go tym razem powołało za granicę, domyślać się tylko można. Myśl wystąpienia przed światem, w szczególności przed narodem

swoim, jako prorok, jako objawiciel woli Bożej, nurtowała w nim niewątpliwie już dawniej, ale nie miał jeszcze dość śmiałości do tego, a przytem w państwie rosyjskiem otwarta propaganda Sprawy Bożej była niemożliwą, jakkolwiek z prądami rewolucyjnymi nic wspólnego nie miała. Tymczasem dochodzi go wieść o zamiarze sprowadzenia zwłok Napoleona z wyspy św. Heleny i o wielkim zapale, jaki ten zamiar wywołuje we Francyi. Towiańskiemu, który w czasach szkolnych był świadkiem pochodu wielkiej armii napoleońskiej na Wschód i na którym już wtedy postać cesarza musiała wielkie sprawić wrażenie, zdało się teraz, że ten uroczysty powrót popiołów wielkiego wodza jest dla niego tajemniczą wskazówką, że nadszedł czas ogłoszenia Sprawy Bożej i otworzenia nowej ery. Działalność w małym zakresie wioski i okolicy nie wystarczała mu więcej. Nie jest to tylko domysł oparty na roli, jaką wyznaczył Towiański duchowi Napoleona w swojej mistycznej nauce, ale fakt niewątpliwy, bo stwierdzony przez samego mistrza w pośmiertnem wydaniu *Biesiady*, gdzie powiedziano: «A mnie objawiła się wola Boża, abym powitał nad Sekwaną przybywające z wyspy św. Heleny zwłoki poprzednika epoki... co też spełnionem zostało przezemnie podczas aktu złożenia zwłok jego u Inwalidów». Jeszcze przedtem, jadąc do Paryża, zatrzymał się w Poznaniu i tu przed arcybiskupem Duninem wynurzał swoje poglądy i uczucia, które arcybiskup, ujęty głęboko religijnym nastrojem Towiańskiego, przyjmował bardzo życzliwie, nie spostrzegając w nich jeszcze wtedy żadnego odstępstwa od zasad wiary katolickiej. Zaraz po pogrzebie Napoleona, Towiański odnowił dawniejszy przyjacielski stosunek ze Skrzyneckim, razem z nim zwiedzał pola Waterloo i tu miał z nim ważną rozmowę, po której wręczył mu pierwsze pismo swoje, datowane 17 stycznia 1841, p. t. *Biesiada*. Pismo to było dość chaotycznym składem mistycznych pojęć Towiańskiego, wyrażonych stylem chropawym, mętnym ale nieraz poetycznym, a jest do dzisiaj najważniejszem źródłem do poznania całokształtu nauki Towiańskiego, szczególnie jej strony dogmatycznej. Podług tej nauki istnieje ciągły utajony związek między światem żywym, widzialnym, a światem duchów, które unoszą się nad globem ziemskim i układają się w kolumny światłe i ciemne, stosownie do swojej wartości. Wszystko, co się dzieje w świecie, dzieje się za ich sprawą, one napełniają ludzi i nimi kierują, ale od człowieka zależy, od jego serca, od jego poruszenia wewnętrznego w stronę dobrego lub złego, jaka kolumna duchów, jasnych czy ciemnych schodzi ku niemu i działa przez niego. W ten sposób pomimo wiary w ciągłą spółkę z duchami, utrzymaną jest zasada wolnej woli i odpowiedzialności człowieka za czyny. Celem stworzenia jest doskonalenie się wszelkich tworów i zbliżanie się ich do Boga. W świecie ludzkim temu doskonaleniu się pomagają duchy jasne wyzwolone z ciała, ale nad ziemią ciągle jeszcze unoszące się, przeszkadzają duchy ciemne, sługi szatana, które łatwy mają przystęp do materyi i przez nią łatwo opanowują dusze ludzkie. Ale zła potęga, pozornie krzyżująca plany boskie, nie jest potęgą nie-

zależną od Boga; w ogólnym planie stworzenia jest ona tylko jednem z narzędzi doskonalenia się ludzkości. Doskonalenie się człowieka polega naprzód na tem, aby duch jego, zamknięty w ciele, wyzwolił się z pod przewagi ciała, poczuł swoje winy i obudził w sobie *dobrowolną* miłość dla Boga, a następnie po tem podniesieniu się, aby dostroił do swojej wysokości ciało, t. j. aby przeniknął i natchnął sobą wszystkie sprawy życia człowieka, wielkie i małe, aż do najdrobniejszych spraw codziennych. To się nazywało *realizacyą* ducha w ciele, a ta realizacya nie wymagała bynajmniej ascetycznego martwienia ciała i wyrzekania się wszelkich rozrywek. I owszem, niektóre rozrywki, takie, jak piękna, w szczególności klasyczna muzyka lub piękne widoki przyrody, zalecał mistrz swoim uczniom. Najlepszym wzorem takiej realizacyi dla uczniów był sam Towiański, którego życie było w istocie zadziwiająco zgodnem z zasadami przez niego wyznawanemi, a ta zgodność nadawała postaci jego szczególny wyraz pogody i powagi, który wywierał silne wrażenie nawet na ludzi zupełnie obojętnych dla Sprawy Bożej.

Ci, którzy dokonają w całej pełni realizacyi, którzy ziemską pielgrzymkę ducha przebędą według praw ewangelicznej miłości, ci stają się już po śmierci duchami wyższymi, świętymi wielkimi cherubinami, ci zaś, którzy tego zadania nie spełnili, skazani są napowrót do życia cielesnego w nowych postaciach. Tutaj nauka Towiańskiego wkraczała na grunt metempsychozy i rozstawała się najwidoczniej z nauką kościoła katolickiego. Spostrzegł to bardzo prędko Skrzynecki, a jako prawowiernie usposobiony odwrócił się natychmiast od nauki Towiańskiego. W ten sposób spełzła nadzieja, jaką miał Towiański, oddziaływania na emigracyę polską przez tego, który jako wódz ostatniego powstania, zajmował w niej wysokie stanowisko. W pół roku niespełna potem zwrócił się on do innego rodzaju wodza emigracyi, do tego, który od szeregu lat, dzięki natchnionej poezyi swojej, panował nad wszystkiemi sercami polskiemi, do Mickiewicza i pozyskał go dla swej nauki niemal w jednej chwili. Temu nagłemu pozyskaniu sprzyjały różne podrzędne okoliczności, jak stan przygnębienia poety, choroba żony, cudowne na pozór jej ozdrowienie i t. p., ale zasadniczą przyczyną była głęboka zgodność niektórych ich pojęć i wspólna skłonność do mistycyzmu, skłonność, która się już w młodzieńczych poezyach Mickiewicza uwydatniła. Mickiewicz i Towiański, to były jakby dwa strumienie, które miały źródła tuż obok siebie, ale długo płynęły daleko od siebie, aby dopiero bliżej ujścia wspólnego połączyć się w jedną szeroką rzekę mistycyzmu.

W Mickiewiczu znalazł Towiański płomiennego apostoła i dopiero teraz nauka jego mogła wyjść z zakresu prywatnych stosunków na widownię publiczną. Pod koniec września 1841 zaprosił Mickiewicz drukowanemi kartkami emigracyę na nabożeństwo, odbyć się mające w Notre Dame de Paris, «w intencyi przyjęcia i podziękowania za łaski zlane przez Pana». Zeszło się dużo osób; podczas mszy Towiański gorąco modlił się na klęczkach u stóp ołtarza i wraz z Mickiewiczem przyjął komunię św., a po mszy, za zezwoleniem miejscowej władzy duchownej, przemówił do rodaków i objawił im, że staje przed nimi, aby im podać słowa pociechy i radości. Nie przynosi im mądrości rzeczy ludzkich, bo tej więcej od niego posiadają, ale przynosi im to, co mu polecono *z wyżej* objawić, iż «wstąpiliśmy w nową epokę, w epokę łaski», że wkrótce «wszystkie cierpienia ludzkości, z przemocy siły materyalnej pochodzące, przeminą, ewangelia obejmie w całej rozciągłości panowanie, zajaśnieje nie w słowach i formach, ale w sercach wszystkich i ludy wolnością pocieszone będą». Do udziału w tej wielkiej sprawie powołani są przed innymi emigranci polscy, jako obrońcy i męczennicy wolności, przygotowani do tej roli cierpieniami wygnania i tułactwa. Kończąc przemowę, oświadczył Towiański uroczystym głosem, że «Sprawa Boża i epoka chrześcijańska wyższa rozpoczęte zostały».

Niebawem, głównie dzięki gorącej propagandzie Mickiewicza, znalazło się w Paryżu kilkudziesięciu emigrantów, którzy uznali Towiańskiego za swego mistrza-objawiciela. Do tego związku religijnego przystąpili w następnym roku (1842) Słowacki i Goszczyński; pierwszy zjednany odrazu, błyskawicznie, dla Sprawy Bożej, w której ujrzał wielką misyę dla siebie, drugi po dłuższem wahaniu się, pociągnięty wymową Mickiewicza. Towiański stał się głośną wśród emigracyi postacią i zwrócił na siebie uwagę policyi paryskiej, która podejrzewając go, na podstawie mętnych pogłosek, o antirządową agitacyę, kazała mu opuścić Francyę. Nie pomogła gorąca odezwa do ministra spraw wewnętrznych, w obronie czystości zamiarów Towiańskiego, podpisana przez czterdziestu kilku jego wyznawców; rozkaz nie został cofnięty i Towiański musiał wyjechać z Francyi, a przewodnictwo w kole Towiańczyków w Paryżu objął Mickiewicz i sprawował je, zasięgając ciągle listownych rad i wskazówek od mistrza.

I dla jednego i dla drugiego stało się rzeczą widoczną, że aby Sprawa Boża mogła przenikać w szersze kręgi, potrzeba jej uznania ze strony najwyższej władzy kościelnej. W tym celu Towiański w roku 1843 wybrał się do Rzymu, aby stanąć przed papieżem Grzegorzem XVI i objaśnić przed nim posłannictwo, do którego się poczuwał, ale papież, uprzedzony już przez księży polskich o nauce Towiańskiego, nie dopuścił go do siebie, a policya papieska kazała mu natychmiast Rzym opuścić. Po tem niepowodzeniu Towiański osiadł w Szwajcaryi i zamieszkał naprzód w Solurze, dokąd go zapewne przyciągnął grób bohatera (Kościuszki), którego duchowi w swojej nauce ważną wyznaczał rolę; potem (od 1845 r.) przemieszkiwał w innych miastach szwajcarskich. Tymczasem Mickiewicz rozwijał zasady mistrza z katedry w Collège de France, coraz silniej występując przeciw tak zwanemu przezeń «Kościołowi urzędowemu», za to, że odtrąca ożywczy prąd religijny, w nauce mistrza zawarty. Kiedy jawna propaganda towianizmu, a zarazem napoleonizmu z katedry stała się zbyt jaskrawą, rząd francuski (na wiosnę 1844) zawiesił wykłady Mickiewicza.

Wkrótce potem, w tym samym jeszcze roku, Towiańczycy paryscy, w porozumieniu z mistrzem, wystosowali pismo do cesarza Mikołaja I, wzywające go, w tonie jak najpokorniejszym, do przyjęcia Sprawy Bożej i wprowadzenia jej w stosunki między ludami słowiańskimi, podległymi jego berłu. Pismo to, podpisane przez jednego z Towiańczyków, Aleksandra Chodźkę, byłego konsula rosyjskiego w Persyi, a złożone w ambasadzie rosyjskiej w Paryżu, nie doczekało się żadnej odpowiedzi od strony, do której było adresowane, natomiast w emigracyi polskiej wywołało niezmierne oburzenie. Około tego czasu zwracał się Towiański dwukrotnie (w 1843 i 1844 r.) do innej potęgi europejskiej, do Rotszylda we Frankfurcie, powołując i jego także do uznania Sprawy Bożej, — naturalnie bez żadnego także rezultatu.

Tymczasem w kole Towiańczyków paryskich coraz więcej bladły nadzieje, obudzone pierwszem wystąpieniem mistrza, coraz większe cisnęło przygnębienie, a wraz z tem coraz wyraźniej zarysowywała się różnica między temperamentem Mickiewicza a Towiańskiego. Mickiewicz, jak przedtem, tak i teraz uznawał świętość zasad mistrza i jego osoby, ale jego natura rwąca się do czynu, nie znosiła bezczynności, niezdolną była spokojnie oczekiwać wypadków, sprzyjających rozwojowi Sprawy Bożej, i ograniczać się tymczasem do r e a l i z a c y i w najciaśniejszym zakresie obowiązków. Przeciwnie Towiański, wśród największych niepowodzeń nie tracił równowagi ducha, jeżeli był przekonany, że spełnił to, co mu natchnienie i jego zasady nakazywały, zasady, które, jak wiemy, były przeciwne zbrojnym ruchom rewolucyjnym, przynajmniej o tyle, o ile te ruchy nie wypływały z dążeń ewangielicznych. Ta różnica temperamentów mistrza i jego zastępcy doprowadziła już w r. 1846 do rozdziału w kole Towiańczyków: większość, której przewodnikiem był Karol Różycki, jedna z najczystszych dusz w emigracyi i jeden z najwierniejszych do śmierci wyznawców mistrza, pozostała pod bezpośrednimi rozkazami jego, mniejszość oddaną była Mickiewiczowi, który chciał r e a l i z a c y ę właśnemi prowadzić drogami. To też jego podróż do Rzymu, audyencya u Piusa IX, i organizowanie legionu polskiego we Włoszech 1848 r., podobnie jak późniejsza, przedśmiertna wyprawa do Turcyi w czasie wojny Krymskiej, wszystko to podjęte było bez porozumienia z Towiańskim, a nawet po części wbrew jego poglądom.

Kiedy wybuchła rewolucya lutowa w Paryżu i dawniejsze zakazy policyjne utraciły moc swoją, Towiański, wezwany przez swoich uczniów, przybył do Paryża, aby Zgromadzeniu Narodowemu przedstawić Sprawę Bożą i wezwać je do jej przyjęcia. Ale właśnie w chwili, gdy kończył układać swoją odezwę, republikańska policya paryska, nie lepiej poinformowana od dawniejszej królewskiej, podejrzewając Towiańskiego o przewrotne dążności społeczne, aresztowała go wraz ze szwagrem, Guttem, i wtrąciła do więzienia, gdzie przebył blizko trzy miesiące. Już był skazany na zesłanie do Cayenny i miał być zaraz wywieziony, kiedy udało się staraniom Mickiewicza, jego

żony i innych przyjaciół uzyskać zupełne jego uwolnienie. Zaraz potem wyjechał Towiański do Awinionu, skąd miał, po otrzymaniu zezwolenia od Stolicy Apostolskiej, udać się do Rzymu, dla przedstawienia Piusowi IX swojej nauki, ale w Rzymie niebawem wybuchła rewolucya i udaremniła jego zamiary. W Awinionie zawiązał ściślejszy stosunek z ks. Edwardem Duńskim z zakonu Zmartwychwstania Pańskiego i podczas gdy inni członkowie tego zakonu, ks. Kajsiewicz, ks. Semenenko, gromili naukę Towiańskiego, jako heretycką, ks. Duński po dłuższym osobistym stosunku z Towiańskim doszedł do przekonania, że jest to człowiek, który «zdumiewa rozumieniem rzeczy Bożych złożonych w nieprzebranym skarbcu kościoła» i który «szerzy wszędzie czynem i słowem miłość Boga i bliźniego». W podobny sposób, aż do swojej śmierci w r. 1857, bronił ksiądz Duński przed wyższą władzą kościelną i Towiańskiego i swojego z nim stosunku.

Ażeby zrozumieć, dlaczego ksiądz Duński w poglądzie na naukę Towiańskiego tak różnił się od swoich byłych towarzyszy zakonnych, trzeba zwrócić uwagę na pewną ważną okoliczność. Tamci patrzyli tylko na stronę dogmatyczną towianizmu, która w *Biesiadzie*, napisanej dla Skrzyneckiego, wyraźnie odstępowała od nauki kościoła; ten był zapatrzony tylko w postać mistrza, jako wzór doskonałej realizacyi ewangielicznych zasad. Tamci mierzyli Towiańskiego rozumem, ten sercem, a mógł to czynić tem łatwiej, że Towiański protestował przeciw ogłoszeniu drukiem *Biesiady* przez jej przeciwników, uznając ją tylko za próbę niewykończoną i nieprzeznaczoną do druku. Należy wreszcie dodać, że od tego czasu, od r. 1848, przekonawszy się dostatecznie, jak strona mistyczna jego nauki stoi na zawadzie porozumieniu jego z kościołem, i jak wielu zdolna odstręczyć, Towiański odsuwał ją coraz bardziej w głąb, w cień, zwracając ku światu tylko moralne jej oblicze. W pewnej rozmowie późniejszej z jednym z wyznawców swoich francuskich, Towiański nawiązując do słów Chrystusa: «Mamci wam wiele jeszcze mówić, ale teraz znieść nie możecie», powiadał o sobie, że i on ma wiele do powiedzenia tym, którzy zdołają to udźwignąć, i gotowi to przyjąć, ale nie objawia tego tym, którym brak do tego siły lub dobrej woli. Więc dla pierwszych tylko, dla mocniejszych duchów, jest przeznaczone «wyższe światło niebieskie», dla wszystkich zaś bez wyjątku przeznaczał «wolę Bożą, wyzyw, który Bóg czyni człowiekowi w tej epoce wyższej chrześcijańskiej».

W czerwcu 1849 wyjechał Towiański z Awinionu do Szwajcaryi, gdzie naprzód przebywał przez kilka miesięcy pod Bazyleą, potem osiadł w Zurychu i tu pozostał aż do końca życia, odwiedzany często przez swoich wyznawców, nie tylko Polaków, ale także Francuzów i Włochów. Kiedy nadeszła wojna Krymska, Towiańczycy, którzy we wszystkiem zostali wierni mistrzowi, nie chcieli się przyłączyć do działań politycznych ks. Adama Czartoryskiego. Mianowicie Karol Różycki, ze względów zasadniczych, nie przyjął ofiarowanego sobie stopnia pod chorągwią turecką. Ściągnęło to nowe posądzenia na Towiańskiego, które

z oburzeniem odpierał Nabielak w liście do Czartoryskiego (3 lipca 1854); on też niebawem przedłożył francuskiemu ministrowi spraw wewnętrznych obszerny memoryał o Andrzeju Towiańskim, wystawiający czystość jego intencyi (25 sierpnia 1854 r.). Zatarg między Towiańczykami a emigracyą, której przewodził stary książę, odnowił się po wojnie krymskiej, kiedy cesarz Aleksander II ogłosił amnestyę dla emigrantów polskich. Ogół emigracyi z księciem na czele nie przyjął amnestyi i wydał deklaracyą, do podpisania której wezwano także Towiańczyków. Towiańczycy również amnestyi nie przyjęli, ale deklaracyi ks. Czartoryskiego podpisać nie chcieli, ponieważ nie zgadzali się z jej motywami, które przeczyły zasadom towianizmu. Natomiast Karol Różycki w imieniu Towiańczyków ułożył pismo p. t. «Powody, dla których amnestya przyjętą być nie może», które złożone zostało w ambasadzie rosyjskiej w Paryżu 24 stycznia 1857, a w którem przedstawiony był stosunek Towiańczyków do rządu rosyjskiego, zgodny z zasadami mistrza. Następstwem tego kroku było, że niektórzy Towiańczycy (Nabielak, Goszczyński, Baliński i in.) utracili posady, jakie zajmowali w szkole polskiej na Batignolles.

O ile przeciwny był Towiański zbrojnemu powstaniu, któreby opierało się tylko na sile materyalnej, o tyle z radością powitał ów ruch religijno-patryotyczny, który objawił się w manifestacyach warszawskich z r. 1861. W parę lat potem pisał o ruchach lutowych: «odkryła się droga ratunku Polski, ta droga, którą z woli Bożej przez lata ukazywałem wam, bracia» i ubolewał, że tak prędko z tej drogi zboczono, uważał bowiem, że zło zaczęło się już od 15 października 1861 r., w 44-tą rocznicę śmierci Hetmana polskiego (Kościuszki). Wszelako w początkach powstania 1863 nie wstrzymywał «braci» śpieszących złożyć krwawą ofiarę na polu walki, widząc w tem wolę Bożą, tylko nauczał ich (w piśmie wydanem przez Różyckiego p. t. «Do Rodaków. Tułacz kończący tułactwo»), że przedewszystkiem mają służyć rodakom pracą apostolską i przedstawiać im, że bez wstąpienia na drogę prawdziwego chrześcijaństwa, odzyskanie ojczyzny jest niemożliwe. W końcu lipca 1863 wystosował pismo do cesarza Aleksandra II, wzywające go do uznania Sprawy Bożej, w którem przyznając, że Polacy mają wiele grzechów wobec Boga, ubolewał, że nie za te grzechy, ale tylko za miłość ojczyzny są przez cesarza karani. W trzy lata po tem (1866) zwrócił się z podobnem pismem do Napoleona III i tonem uroczystym, niemal groźnym, potępiał jego panowanie, porównywając je z panowaniem Ludwika XIV, którego następstwem, jak utrzymywał, była wielka rewolucya francuska, i przepowiadał mu blizki upadek. Kiedy się ta przepowiednia prędko zaczęła spełniać, nową w podobnym duchu wystosował odezwę do cesarza (6 sierpnia 1870). Z innych wystąpień tego rodzaju należy jeszcze zanotować pismo do cesarzowej Eugenii (w lutym 1868), pismo do Piusa IX (w grudniu 1868) doręczone Ojcu św. przez Tancreda Canonico, profesora turyńskiego uniwersytetu i pismo do Wiktora Emmanuela, wystosowane doń już po zajęciu Rzymu w r. 1870. Że te wszystkie odezwy do głów koronowanych nie przynosiły żadnego rezultatu, to nie przygnębiało Towiańskiego; sądził on, że spełnia swoje powołanie, gdy daje «wyzyw», rozumiał zaś, że odpowiedzialność za nieprzyjęcie «wyzywu» nie spada na niego.

Umarł T. 13 maja 1878 r. w Zurychu, w parę tygodni po śmierci żony, Karoliny, która była najwierniejszą wspólniczką jego myśli i losów jego życia, «duszą i podporą domu», jak się wyraża o niej Tancredo Canonico. Otoczony był do końca życia głęboką czcią i uwielbieniem swoich wyznawców, którzy w r. 1866, w 25-tą rocznicę ogłoszenia Sprawy Bożej, ofiarowali mu kielich z wizerunkiem katedry paryskiej. Niektórzy z nich, jak Stanisław Falkowski, Karol Baykowski i Jakób Malvesin, mieszkali stale w jego domu, tworząc jakby jedną z nim rodzinę. Franciszek Barone, prof. historyi kościoła w uniwersytecie turyńskim, po odwiedzinach u Towiańskiego w roku 1852 pisał do brata: «Tutaj znalazłem to, czego nigdzie indziej nie spotykałem; znalazłem życie prawdziwe, czucie, wiarę, chrześcijaństwo pełne, żyjące». Wkrótce po śmierci Tow. Baykowski i Falkowski zajęli się wydaniem jego pism (listów, odezw, rozmów), na których czele umieścili *Biesiadę* ze Skrzyneckim, w treści mało zmienioną, w stylu znacznie przerobioną.

W końcu należy sobie zadać pytanie: jaka jest wartość Towiańskiego i jego nauki? czy jest w nim coś takiego, coby mu do tytułu wielkości dawało prawo? Jeżeli chodzi o naukę samą, to jej strona dogmatyczna, mistyczna, zarówno ze stanowiska kościoła, jak i ze stanowiska czysto rozumowego, musi być odrzuconą. Co się tyczy jej strony moralnej, ta nie ma nic oryginalnego: cała wzięta z ewangielii. Wreszcie strona literacka nie ma w sobie nic takiego, coby mogło uwiecznić imię mistrza. Ale to, w czem wielkość Towiańskiego można upatrywać, to jest jego t. zw. r e a l i z a c y a, to gorące przejęcie się zasadami ewangielii i nieustanne wcielanie ich w życie. Ewangielia dla niego nigdy nie była martwą literą, ale żywym potokiem, w którym kąpał swoją duszę i to nadawało mu ten urok nieprzeparty, jaki wywierał na ludzi, z którymi żył blizko. A jeśli sobie uprzytomnimy, że w tej realizacyi pozostał niezmiennie, niezachwianie przez lat z górą pięćdziesiąt, to podziw dla niego musi być tem większy.

BIBLIOGRAFIA.

Zbiorowe wydanie pism Towiańskiego jest tylko jedno: «Pisma Andrz. Towiańskiego. Turyn 1882, 3 tomy». Za uzupełnienie tego wydania można uważać wcześniejszą książkę Wł. Mickiewicza: «Współudział Ad. Mickiewicza w sprawie Andrz. Towiańskiego». Paryż 1877 2 tomy. Obfity materyał dla historyi towianizmu, zawiera «Kilka aktów i dokumentów, odnoszących się do działalności Andrz. Tow.» Rzym. Cz. I 1898, Cz. II 1899, a także wydane przez Karola Różyckiego: «Powody, dla których amnestya przyjętą być nie może». Paryż 1857; «Duński, prêtre zélé et zelé serviteur de l'oeuvre de

Dieu». Paryż 1858; wreszcie «Do Rodaków, tułacz kończący tułactwo», Paryż 1863.

Obszerną monografię o Towiańskim i jego nauce napisał po włosku i wydał Tancredo Canonico; wydaną też ona została i w tłumaczeniu polskiem, p. t. «Andrzej Towiański», Turyn 1897.

O Towiańskim pisali prócz tego: Witwicki: «Towiańszczyzna wystawiona i annexami objaśniona», Paryż 1844. Gołębiowski: «Mickiewicz odsłoniony i Towiańszczyzna», Paryż 1844. Wrotnowski: «Towianizm», Paryż 1844. Ad. Mickiewicz: «Cours de litterature slave t. I L'église officielle et le Mesianisme, t. II L'église et le Messie». Paryż 1848. X. Semenenko: «Towiański et sa doctrine», Paryż 1850. Erdan: «La France mystique» 1855. Kołosowski: «Moje stosunki z Towiańskim i Towiańczykami»; Paryż 1856. «Przeciw błędom Andrzeja Towiańskiego» (Przegląd pozn., 1858, tom XXV). P. Chmielowski: «Towiański i Mickiewicz» (Ateneum, styczeń 1879). M. Zdziechowski: «Messyaniści i Słowianofile»; Kraków 1888. X. arcybiskup Feliński: «Trzej wieszcze nasi wobec Kościoła» (Świat 1888). X. Paweł Smolikowski: «Historya Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego», Kraków, 4 tomy 1892—1895. Wład. Mickiewicz: «Żywot Ad. Mickiewicza», Poznań 1894, 4 tomy. Ferd. Hoesick: «Życie Juliusza Słowackiego» 3 tomy, Kraków 1897. Józ. Kallenbach: «Adam Mickiewicz» 2 tomy, Kraków 1897. Jan Mazurkiewicz: «Andrzej Towiański, studyum psychologiczne», Łódź 1901. Józef Tretiak: «Juliusz Słowacki, historya ducha poety i jej odbicie w poezyi», 2 tomy, Kraków 1904.

A) Biesiada z Janem Skrzyneckim.

581) *[T. I, str. 1—3].* Człowiek jest narzędziem widzialnem, przez które czyni niewidzialna kraina ducha, zamieszkała przez niezliczone gromady różnej natury duchów. Wedle dobrej lub złej woli człowieka, wedle tego czy on spełnia lub nie spełnia przeznaczenie swoje, myśl Bożą na nim spoczywającą, łączą się z człowiekiem i czynią przez niego duchy dobre lub złe, wyższe lub niższe, spełniając w tym względzie powszechne, całym ogromem Bożym rządzące prawo harmonii i spółki. Wszelka przeto myśl, mowa i uczynek człowieka nie jest owocem samego tylko człowieka, ale jest w wielkiej części owocem duchów działających przez niego. Wszakże człowiek odpowiedzialny jest za wszelki owoc wydany przez niego, za wszelki czyn swój wewnętrzny i zewnętrzny, lubo nie przez niego tylko samego spełniony; osiąga on bowiem zasługę lub staje się winnym przed Bogiem w tem, że połączył się z dobrym lub ze złym duchem, że był posłuszny Łasce Bożej lub pokusom. A nie sam tylko człowiek, ale i wszelkie stworzenie na ziemi jest pod wpływem i kierunkiem niewidzialnej krainy ducha.

Człowiek ma wolę, a chociaż nic nie może czynić sam przez się, siłą własnej tyko woli, a czyni wszystko pod wpływem i kierunkiem krainy ducha, wszakże wolna wola jego jest źródłem czynności, jest źródłem rachunków i kierunków jego przed Bogiem, jest pierwotną przyczyną tego wszystkiego, co z nim dzieje się i dziać się będzie w wieczności. Są chwile, w których Bóg dla próby miłości człowieka usuwa od niego wszelkie wpływy obce i zostawia go pełnej wolności jego, aby okazało się, co on w tym stanie wybierze, do czego pochyli duszę swoją: do nieba, czy też do ziemi, lub do piekła. W takich chwilach dobre i złe, Łaska Boża i pokusy ustępują i czekają na kierunek, jaki człowiek, sam sobie zostawiony, zakreśli dla siebie; a skoro ten kierunek zakreśli się w duszy człowieka skłonieniem się jego ku dobremu lub ku złemu, natenczas Łaska Boża, Duch Święty, lub też duchy ziemi i piekieł zespalają się z wolą człowieka, z poruszeniem duszy jego, nawiedzają go i rządzą nim. Dobrowolne przechylenie się człowieka ku dobremu, ten owoc miłości jego dla Boga i wskutek tego życie jego pod kierunkiem i opieką Łaski Bożej, nie tylko nie odejmuje człowiekowi wolności jego, ale przybliża go coraz więcej do tej wolności prawdziwej, w której wola stworzenia, poddająca się woli Stwórcy, coraz więcej z wolą Stwórcy łączy się i jedynie spełnienia się jej pożąda; przybliża go do tej wolności, za którą, wedle słów św. Pawła: «sami w sobie wzdychamy», której «stworzenie z wielką chucią oczekiwa... bo i samo stworzenie będzie wyswobodzone z niewolstwa skażenia na wolność chwały synów Bożych»... Przeciwnie zaś, kiedy człowiek złoży pewną miarę złej woli, złych poruszeń duszy, tychto owoców miłości swej dla złego, wtenczas Bóg poddaje człowieka pod moc złego. Tym sposobem kto nie skłania duszy swej przez miłość Boga ku dobremu, kto postawiony w wolności wyboru, przenosi złe nad dobre, temu daje Bóg w obfitości złe, które umiłował, aby owocami tego złego nasycił się, ucierpiał i dobrego zapragnął. Taki, stając się niewolnikiem złego, traci wolną wolę swoją i w tym stanie,

tylko nadzwyczajnem, pokutniczem wysileniem ducha, może sprowadzić Łaskę Bożą, wyzwolić się z pod mocy złego, wydobyć się z tego piekła swojego. Doznają takiej niewoli pojedyńczy ludzie, doznają jej narody całe przez czas krótszy lub dłuższy, który nawet przez wieki często przeciąga się.

582) *[T. I. str. 4—6].* Chrystus Pan zbawił świat, bo przyniósł na świat ogień niebieski miłości i ofiary, ogień który sprowadzając Łaskę Bożą, sprowadzając niebo na ziemię, rozpędza ciemności i zwycięża złe panujące na ziemi. Matka Boska starła głowę wężowi, bo była współdziałaczem w tem dziele sprowadzenia nieba, zwyciężenia złego i przez to zbawienia świata. Wielkie dobro idzie dla człowieka ze spółki w Chrystusie z bliźnim, o której powiedziano: «Gdzie są dwaj albo trzej zgromadzeni w Imię moje, tamem jest w pośrodku ich;» bo każdy z zespolonych w Chrystusie, rozżarzając iskierkę swoją, sprowadza Łaskę, te zastępy niebieskie, które łączą się z sobą i oddalają złe wszelkie. Przyszłe epoki chrześcijańskie, w których zakon Chrystusa coraz więcej poznawany i spełniany będzie, zależą na tem, że w nich człowiek będzie coraz więcej rozpalać w sobie ogień Chrystusa i siłą tego ognia coraz wyżej podnosić się, uświęcać się, i że wskutek tego, coraz obficiej schodzić będzie na ziemię Łaska Boża, to niebo naznaczone dla ziemi; aż nakoniec w epoce ostatniej osiągnięty zostanie, wedle najwyższego wzoru danego przez Chrystusa, ten ostatni cel człowieka: spełnienie Słowa Bożego, pełne zwycięztwo nad złem, pełne życie przez człowieka, Królestwa niebieskiego na ziemi.

Baranek Boży gładzi grzechy świata, bo na szczyt ziemski i piekielny u którego świat stanął przez grzechy swoje, postawił szczyt swój niebieski w tonie Baranka bez zmazy, cichego, pokornego, cierpliwego, tającego niebieską potęgę swoją... W tym tonie Baranek Boży, ofiarując się w duchu, w ciele i w czynie, wśród największych przeciwności od ziemi i od piekieł idących, podał światu ogień niebieski, a w nim światło i siłę niebieską, chrześcijańską, którą dokonał dzieła zbawienia świata; a po dokonaniu, kieruje przez wieki, aż do skończenia świata spełnionem przez siebie dziełem zbawienia, dziełem, które tylko wedle wzoru, danego przez Baranka Bożego i tylko podaną przez niego siłą ognia niebieskiego, spełniać się może na świecie w epokach chrześcijańskich, dziełem, w którem spełnia się pokuta za grzechy, spełnia się wybawienie od złego, a następnie podniesienie się, postęp świata. — A Baranek Boży przez długi czas jeszcze będzie umęczony w duchu na świecie, bo złe, działające przez ludzi złej woli, jako przez narzędzia swoje, będzie składać na Baranku owoce złości swojej — czego Bóg dopuszcza, aby złe i ludzie złej woli, po złożeniu owoców, poznali złe swoje, oczyszczali się pokutą, podnosili się, postępowali...

Ale kiedy sprawa postępu, zbawienia świata, czyni się jedynie ogniem niebieskim miłości i ofiary, dlaczegóż Bóg, ta miłość i ofiara najwyższa, najdoskonalsza, która pragnie jedynie postępu, zbawienia stworzeń swoich, cząstkę tylko ognia niebieskiego — i to tak rzadko — spuszcza na ziemię i na tak ciężkie koleje naraża, dopuszcza znieważać siebie w cząstkach swoich, dopuszcza tryumfować ciemnościom? Poczucie tego, usprawiedliwiając Boga w sądach jego, wesprze wiarę naszą i ułatwi nam żywienie w sercach naszych czystej miłości dla Boga.

W tych tak smutnych kolejach, które dla nizkości ziemi przechodzi na tym padole ogień niebieski, spełnia się prawo najwyższej miłości, sprawiedliwości i miłosierdzia, prawo, wedle którego Bóg rządzi i którego nie przestępuje przez wieki; a gdy i to nawet, co najmniejszem jest w ogromie, uległe jest prawu temu, tem bardziej chrześcijański postęp świata, żarzenie się ognia niebieskiego, szerzenie się Królestwa Chrystusowego na świecie, ulegać temuż prawu powinno.

Wedle tegoto najwyższego prawa, miłość, ten ogień niebieski, ta cząstka Boga samego, musi być dobrowolnie przyjętą przez człowieka i kwiat ten niebieski nie inaczej, jak tylko dobrowolnie może być w sercu człowieka pielęgnowany i do owocu doprowadzany. Od tej dobrowolności zależy świętość ognia tego. Miłość nakazana, narzucona, a nawet stworzona w sercu człowieka wszechmocnością Bożą, bez dołożenia się samegoż człowieka dla przyjęcia i żywienia jej, straciłaby swą świętość, przestałaby być miłością. Poczuwszy tę istotę ognia niebieskiego, łatwo też poczujemy, dlaczego Bóg wszechmogący, który jednem skinieniem glob i globy z nicości podnieść i w nicość obrócić może, tyle ofiaruje się przez wieki i na poniewierkę siebie samego oddaje, aby jednego robaka ziemskiego zwrócić ku sobie,

aby jedno dobrowolne poruszenie duszy, jedno westchnienie pozyskać u niego. Wedle tegoż najwyższego prawa, człowiek może postępować i zbawiać się nie inaczej, jak tylko zwracaniem się ku Stwórcy swojemu i poruszaniem się dla niego miłością i ofiarą, a przez to tworzeniem w sobie ognia niebieskiego; z istoty rzeczy nie ma innej drogi, po którejby Bóg doprowadzał sworzenia swoje, te dziedzice przyszłej szczęśliwości, do naznaczonego im dziedzictwa.

Tem prawem Twojem najwyższem ściśnięty, jesteś Wszechmogący Panie! — i chociaż nieskończona miłość i miłosierdzie Twoje podaje człowiekowi niezliczone sposoby ułatwiające zbawienie, nie może wszakże ona zbawić człowieka bez człowieka, bez tej dobrowolności jego, bez tego kwiatu z własnego jego pola!

B) O powinności artysty chrześcijańskiego w tej epoce.

(Noty z kilku rozmów z Józefem J.)

583) *[Tom II, str. 461—464].* Modlitwą jest muzyka wyższa, podnosząca ducha, i takiej muzyki używajmy jak modlitwy. Prawdziwy chrześcijanin pomodliwszy się, utrzymuje w sobie ducha przyjętego w modlitwie i z tą siłą chrześcijańską przystępuje do wszelkiej czynności, do spełniania obowiązków swoich. Tak i artysta, podniósłszy się muzyką wyższą, egzekwowaną lub słuchaną, na naznaczoną mu wysokość chrześcijańską, powinien utrzymywać ducha przyjętego i tą siłą chrześcijańską żyć, czynić, spełniać obowiązki stanu, powołania swojego. Gospodyni domu artystka, przegrawszy np. sonatę Beethovena, podniósłszy i zasiliwszy tem ducha swojego, niech już nie zasępiona i marząca, jak to zwyczajnie bywa, ale poruszona, ożywiona, pogodna staje do spełniania obowiązków powołania swojego, niech to czynią na polu swojem wszyscy egzekwujący i słuchający muzyki, a duch Beethovena i podobnych mu kompozytorów będzie przez to prawdziwie uczczony i pocieszony; bo tego jedynie pragnęli ci wielcy mężowie, aby to, co oni nosili w sobie i wydawali w kompozycyach swoich, poruszało świat i żyło na świecie.

Kto topi się w muzyce, zwłaszcza wyższej i eterycznej, a nie ofiaruje się, aby eter niebieski przeprowadzać z ducha na

ziemię i objawiać w czynnościach swoich, ten żyjąc duchem swym na tamtym świecie, chybia celu, dla którego otrzymał życie na tym świecie. Wszak celem życia człowieka jest postęp, zbawienie, przez spełnienie Słowa Bożego, przez podniesienie, na wzór Chrystusa, ducha, ciała i życia całego, do wysokości, do której Bóg Słowem swojem naznaczył dojść człowiekowi w postępie przez wieki czyniącym się. Chrześcijanin dążący do tego celu, przyjmuje do ducha niebo gdziekolwiek znaleźć je może, a potem to niebo przeprowadza z ducha do człowieka i jawi je we wszelkiej czynności, tem postępuje, zbawia się. Jakażby więc odpowiedzialność spadła na sługę sprawy Bożej, jeśliby on chociażby pod najświętszą formą odrzucał tę posadę, tę istotę chrześcijańską, jeśliby przebywając w eterze, w duchu samym, opuszczał ten świat i na nim pole obowiązków swoich, a przez to żywcem zamykał się w grobie.

Prosiłem o wyjaśnienie, co to jest eter niebieski i muzyka eteryczna.

Eter niebieski jest to samo niebo bez ucieleśnienia, jest to sam duch bez powłoki ziemskiej, która to niebo, tego ducha czyni dostępnym dla człowieka; a muzyka eteryczna, jest to muzyka, która wydaje sam eter, samego ducha. Wielcy kompozytorowie, ojcowie muzyki, w różnych stopniach ucieleśniali eter niebieski w kompozycyach swoich. Beethoven np. i Mozart, oba czerpali z nieba i wydawali niebo w tonach muzycznych, ale Mozart, biorąc pola mniej obszerne i mniej głębokie niż Beethoven, więcej ucieleśniał przyjęte przez siebie niebo, czynił je więcej żyjącem, więcej dostępnem dla człowieka. Jak w sonacie eterycznej Beethovena, tak i w operze żyjącej Mozarta, tak nareszcie i w polonezie naszym głębszym, a serdecznym i żyjącym, znajduje się niebo w cząstkach swoich, różnica tylko jest w ilości i w ucieleśnieniu tego nieba. Trzeba ofiarować się w duchu, aby podnieść, poruszyć ducha i przyjąć eter niebieski, trzeba ofiarować się w duchu i w ciele, aby ten eter pojąć władzami człowieka i wydać go zrozumiale, przez to uczynić dostępnym dla każdego człowieka; a nakoniec, trzeba ofiarować się w duchu, w ciele i w czynie, w całem jestestwie człowieka, aby ten eter w życie wprowadzić. Taką kolej przejść musi niebo, które zeszło na ziemię; wszystko, co dotąd jest w eterze, w duchu samym, w egzaltacyi, musi być pojętem i zrozumia-

nem, musi stać się rzeczywistem, żyjącem, praktykującem się w czynnościach człowieka prywatnych i publicznych. Celem Sprawy Bożej jest większe w tej epoce ucieleśnienie nieba przyniesionego przez Chrystusa i zastosowanie go do życia, aby ono w czasie swoim żyło na ziemi jak żyje w niebiesiech, aby przez to spełniła się codzienna prośba nasza: «Święć się Imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje...» Dlatego wszystko to, co jest niebieskie, a nie jest jeszcze ucieleśnione i zastosowane do życia człowieka, powinno być przedmiotem ofiary prawdziwego chrześcijanina, którego zadaniem jest uczynić dostępnemi dla każdego i wprowadzić w życie praktyczne te liczne płody eteryczne, które będąc dotąd niezrozumiałe, nie przynoszą naznaczonego pożytku człowiekowi. Tym sposobem zmniejszać się będzie ta nadzwyczajna nieproporcya, jaka dziś istnieje pomiędzy eterem niebieskim, zeszłym na ziemię, a życiem tego eteru na ziemi, nieproporcya, która szerząc samą egzaltacyą, oddalając od rzeczywistości i od życia prawdziwego, jest jednem z głównych źródeł niedoli człowieka. — Łatwo z tego poczujesz bracie odpowiedzialność tych artystów, sług Sprawy Bożej, którzyby dla grzechu lenistwa ku służbie Bożej, odrzucając ofiarę ciała i czynu, przebywali w duchu samym, w śmierci wewnętrznej i w tym stanie zaniedbywali powyższą powinność powołania swojego, tę główną powinność człowieka w epoce tej.

Trzymając się powyższej jedności, tyle tylko przebywajmy w duchu i czerpajmy z nieba, ile daru niebieskiego możemy użyć dla chrześcijańskiego celu naszego, ile ofiarą naszą możemy z nieba przyjąć i wprowadzić do ciała, do człowieka i do życia naszego. Nie oddawajmy się więc ani samej modlitwie, ani samej muzyce, ale modlitwy, muzyki, wszelkiej sztuki pięknej i w ogólności wszystkiego, co Bóg nam daje ku pomocy, używajmy tyle, ile potrzebujemy dla osiągnięcia jedynego celu naszego, dla spełnienia Woli Bożej, Słowa Bożego. Stąd przyjąwszy pomoc naznaczoną z modlitwy, z muzyki, lub z innego źródła, przechodźmy na pole powinności naznaczonych nam od Boga. Używajmy pokarmów dla duszy, tak, jak używamy pokarmów dla ciała, używajmy ich w porze i w mierze właściwej, aby je strawić, zasilić się niemi i tej siły użyć na przeciąganie ofiarnego, chrześcijańskiego życia naszego.

Oddawanie się zbyteczne modlitwie lub muzyce, przyjmowanie skarbów niebieskich nad miarę naznaczoną, przebywanie nad miarę w głębokościach ducha, zatrzymując człowieka na tamtym świecie, czyni go marą i utrudnia mu życie na tym świecie. Tym sposobem z tego świętego źródła, z którego w prawdziwej, ofiarnej pobożności, wypływa życie chrześcijańskie, niebieskie, może w pobożności fałszywej wypływać samo marzenie, ta to śmierć ducha i człowieka, która najwięcej oddala od drogi i od postępu chrześcijańskiego.

Ciężkim jest grzechem oddawać się marzeniu i idącej z niego rozkoszy ducha, czy to w modlitwie, czy w muzyce, czy na innem podobnem polu, gdzie przedmiotem grzechu staje się nie już ziemia i piekło ale niebo samo. Ośmiela się człowiek, zapominając o ziemi i o powinnościach, które na ziemi spełnić powinien, wdzierać się do nieba świętokradzko, bez szaty godowej i tam czerpać rozkosz dla ducha swojego, kiedy Słowo Boże powołało go do trudu, do krzyża, do ofiary, aby tą siłą chrześcijańską przyjmował niebo do duszy i objawiał je w życiu, w czynnościach swoich, aby tym sposobem zbliżał się do nieba i zasługiwał na niebo. Kto topiąc się nad miarę w niebie, upaja się eterem niebieskim dla przemijającej dogodności swojej, ten popełnia grzech spożywania owocu zakazanego, grzech, za który człowiek wygnany został z raju naznaczonego jemu, utracił szczęście naznaczone w tem życiu doczesnem i utrudnił sobie zbawienie wieczne. Takie nadużywanie, przetwarzając na ziemi niebo, a następnie i chrześcijaństwo, które prowadzi do nieba, stawi je w oczach świata niżej ziemi i staje się zgorszeniem oddalającem świat od drogi chrześcijańskiej i prowadzącem go na manowce odszczepieństwa lub bezbożności. Nie jest tu winne niebo, nie jest tu winna modlitwa i muzyka, która czerpie z nieba, winien tu jest człowiek, że nadużywa tego, co jest najświętszem dla niego. Niebo, jakkolwiek nadużywane w cząstkach swoich schodzących na ziemię, nie przestaje być niebem, i prędzej czy później będzie uczczone przez człowieka, będzie przyjęte do duszy i objawione w życiu jego na ziemi.

Kiedy więc, jak powiedziałem, muzyka wyższa jest to modlitwa, a modlitwa i chrześcijaństwo jest to cząstka i całość, które nie powinne być rozdzielane z sobą, używaj przeto talentu

twego, bracie Józefie, na chwałę Bożą, na postęp twój własny i na postęp bliźniego i ojczyzny, którym służyć powołany jesteś; jako sługa Sprawy Bożej, budź się sam i budź drugich do ruchu, do życia, do ofiary; niech ofiara twoja objawia się na drogach wspólnych wszystkim sługom Sprawy, a nadto niech objawia się na drodze sztuki twojej; pamiętaj na to, że powołanie twoje artystyczne jest nierozdzielną cząstką powołania twojego chrześcijańskiego, i że tę cząstkę o tyle tylko możesz spełniać należnie, o ile będziesz ją łączył z całością jej. Artysta, ofiarujący się dla sztuki pięknej nie jest wolny od ofiary, której wymaga od każdego ta najpierwsza i najpiękniejsza sztuka, sztuka życia chrześcijańskiego; — a ta sztuka zależy na przyjmowaniu do ducha tego co jest wyższe, niebieskie, na przejmowaniu się tem i na wydawaniu tego; zależy zatem na podnoszeniu ducha, strojeniu go do tonów coraz wyższych, na przepieraniu, ożywianiu tym duchem ciała, stąd na podnoszeniu człowieka i doprowadzaniu go do równowagi z duchem jego podniesionym; sztuka ta zależy nakoniec, na podnoszeniu wszelkiej sprawy człowieka do wysokości ducha jego, na doprowadzaniu do równowagi całego życia jego z duchem, aby duch, ciało i życie, całe jestestwo człowieka było w jednym tonie, a to na wzór Chrystusa, który duchem noszącym Słowo Boże podniósł ciało do wysokości Słowa, i którego wszystkie czynności — tak życie całe, jako męka i śmierć sama — były na tejże wysokości niebieskiej.

C) Noty rozmów z Feliksem N. 1866 r.

584) *[T. III. str. 177—183].* W tem wszystkiem co tobie mówię kochany bracie o powinnościach twoich dla ludu polskiego, nie podaję nic takiego czegobym sam nie spraktykował. Kiedy w 1837 roku objąłem po zmarłym ojcu moim majątek Antoszwińcie, zwróciłem całe wysilenie moje do tego, aby spełnić obowiązek sługi-przewodnika chrześcijańskiego dla tego ludu, którego kierunek Bóg mi powierzył. Sąsiedzi, którzy z 9-letniego urzędowania mojego w Wilnie, znali już zasady i charakter mój, pewni byli, że na polu z chłopami nic nie dokażę siłą chrześcijańską, bo tu wedle mniemania ich, samą tylko grozą

i rygorem skutecznie działać można. Ale wkrótce pozwolił mi Bóg okazać w praktyce, że zasada wolności i braterstwa, że siła miłości, ofiary i energii chrześcijańskiej, wydaje na tym polu rychlejsze, okazalsze i obfitsze niż na innych polach owoce. Składając jakie mogłem ofiary dla dobra wewnętrznego i zewnętrznego nietylko moich ale też i sąsiednich chłopów, doświadczyłem od nich nietylko powolności, zaufania i wdzięczności za poświęcenie się moje, ale też i pełnej spółki w tem wszystkiem co czyniłem. Zdarzyło się, że najgorsi ludzie, pijacy, złodzieje, których przedtem najsurowsze kary poprawić nie zdołały, skoro przemówiłem po bratersku do duszy, do sumienia ich i podałem środki ułatwiające poprawę, stawali się poczciwymi i porządnymi ludźmi. Tu też przekonałem się jak wielkiej siły nabiera ofiara wewnętrzna, skoro popartą jest acz najmniejszą ofiarą zewnętrzną. Mówiłem np. niejednemu. «Po co tobie bracie cały dzień siedzieć w karczmie, kiedy możesz dostać u mnie tyle wódki, że sobie na śniadanie i na obiad kieliszek wypijesz i jak należy posilisz się; — poco tobie kraść i gubić duszę, kiedy żyjąc poczciwie nie zginiesz, bo w ostatniej potrzebie znajdziesz zawsze u mnie ratunek»; — a w istocie cały ten ratunek zależał na kilku ćwierciach żyta, wartujących kilkanaście złotych. Nie brakowało w Polsce środków materyalnych do pogodzenia się, zaprzyjaźnienia się i zespolenia się z ludem, który na tak małem przestawał a brakowało tylko miłości, czucia. I tak np., kiedy zwróciwszy uwagę na opłakany stan parobków i dziewek, służących u gospodarzy, ale pracujących zwyczajnie we dworze dla odrabiania pańszczyzny, postanowiłem, aby oni w dnie świąteczne mieli czas dany sobie od gospodarzy i gospodyń na pójście do kościoła i na jakąś zabawę, i aby co rok mogli pójść o 4 mile do Łabonar, na odpust jesienny Najświętszej Panny, 8 go września; kiedy dla każdego służącego idącego na ten odpust ofiarowałem po groszy czterdzieści, ta mała ofiara podniosła stan służących, rozbudzając w nich życie i dążenie. Odpust łabonarski przyświecał im przez cały rok jako gwiazda pocieszycielka wśród jednostajnego i posępnego życia ich. Ile znam Europę z widzenia i opisów, czuję, że niema kraju, w którymby tak małym kosztem, byle przy miłości i czuciu, można było tyle dobrego zrobić co u nas, w Polsce, a szczególniej na Litwie.

Takie podniesienie moralnej godności chłopa, stało się dla niejednego z nich początkiem nadzwyczajnego i cudownego, rzec można, podniesienia się nietylko w duszy ale też nawet i w cywilizacyi, w ukształceniu człowieka. I tak np., był we wsi mojej chłop, nazwiskiem Filipczuk, który z nałogowego pijaka, a potem i złodzieja, ledwo nie został rozbójnikiem. Bóg dał mi poczuć, że wszystkie zboczenia tego człowieka szły z potrzeby duszy jego, pragnącej czegoś wyższego, a nie zaspokojonej. Wszedłem więc w to położenie jego, pomówiłem z nim z głębi duszy, jak brat z bratem, jak przyjaciel z przyjacielem, wskutek czego poruszył się on nadzwyczajnie, solennie mi przyrzekł, że się poprawi, i na żądanie moje dał mi słowo, że ile razy zechce napić się wódki, uda się wprost do mnie; a ja mu nawzajem obiecałem, że na każde zapotrzebowanie dam mu kieliszek najlepszej starki, pozostałej po starym panu, że przy tej okoliczności pomówimy z sobą po bratersku, i że na znak spółki, sam się z nim napiję, jak to i w owej chwili uczyniłem. Odtąd odrodził się on w nowego człowieka i stał się dla mnie wielką pomocą w interesach, bo gdzie tylko trzeba było człowieka wiernego a roztropnego, tam już nikt nie potrafił sprawić się lepiej jak Filipczuk. Przy budowaniu kaplicy antoszwińskiej, przy zakładaniu ogrodów i stawianiu pomników, wiele on mi dopomógł genialnemi pomysłami swojemi.

W tym też duchu czyniłem i z chłopami sąsiedzkimi. O kilka wiorst od Antoszwińcia jest wieś N., której dzierżawca był niesłychanym tyranem dla chłopów. Pamiętam, jak 24 grudnia 1837 r., jeden z moich włościan mówi do mnie: «Ot niech pan tylko zajrzy do tej wsi, a pięknych rzeczy tam się dowie». Uderzony temi słowami nie miałem pokoju i nazajutrz w pierwszy dzień Bożego Narodzenia, udaję się do tej wsi, aby naocznie o tem przekonać się; zwiedzam chałupy, bieda w nich straszna, większa niż gdziekolwiek, ale szczególniej uderza mię nędza chłopa Łuszczuka. Nic podobnego w życiu mojem nie widziałem: chata dziurawa i nieopalona, a mróz w tym dniu doszedł do 25° R.; on sam leżał, jęcząc na łóżku, bo całą tę noc jako stróż nocny był we dworze i rąbał drwa do browaru, aby bydło w tak wielkie zimno ciepłą brahę mieć mogło, a że nie mając kożucha skostniał od zimna i od głodu, więc mało drew

i w należytym porządku, chociaż głównym celem gospodarki mojej było nie to, abym jak największy dochód wyciągnął z majątku, ale, abym majątek, jako pole powierzone mi od Boga, urządził wedle prawdy chrześcijańskiej i ziemskiej, a ztąd z błogosławieństwem Bożem, z pożytkiem wewnętrznym i zewnętrznym bliźnich moich, bez krzywdy niczyjej, ani bydlęcia nawet. Ojciec mój, lubo był bardzo dobrym i czynnym gospodarzem, nie mógł zwalczyć niektórych nadużyć; był tam np. w całej okolicy taki zwyczaj, że choćby chłop miał dwie i więcej par wołów, a jednego tylko konika, to robił wszystko tym biednym konikiem, a woły próżnowały, aż póki nie przyszło orać. Objąwszy więc gospodarstwo, mówię sąsiadom, że u mnie ta niesprawiedliwość trwać nie będzie, a sąsiedzi śmieją się ze mnie, bo kiedy ani oni sami, ani mój ojciec, zawołany gospodarz, nie mógł nic na tym punkcie dokazać, to gdzież mnie to przerobić? Ale ja zwołuję gromadę, przedstawiam, że to jest niesprawiedliwość, że tym sposobem wyrządza się krzywda bydlęciu, które jest stworzeniem Bożem, a ztąd popełnia się obraza Boża. Wszczynają się dyskusye, odpowiadam i przekonywam o tej prawdzie, uzyskuję spółkę całej gromady i naznaczam dzień, w którym wszyscy mają stanąć do roboty z samemi tylko wołami; a nakoniec powtarzam moje zwyczajne w takich razach przedstawienie: «Kiedy to jest prawda, jest to więc wola Boża, która musi być spełnioną przez was bracia, po dobroci lub pod musem, bo ja tego, co jest prawdą i wolą Bożą za nic nie odstąpię». Dowiedziawszy się z boku, że trwa we wsi jak najlepsze usposobienie, że wszyscy chcą czynić po dobroci, zapraszam na ten dzień do siebie na śniadanie sąsiadów, którzy się ze mnie śmieli, a po śniadaniu wychodzimy w pole, gdzie wszyscy ze zdziwieniem widząc, że ludzie robią samemi wołami i to z przekonania i w radości, ukorzyli się przed tą prawdą, że można coś zrobić z chłopem siłą przekonania i energii chrześcijańskiej, z miłości idącej.

Czyt. Naukowa
Nr 111
Nr 431
BIBLIOTEKA POLITECHNIKI WARSZAWSKIEJ 1907
F III 59 IV

Opracował: J. TRETIAK.